

Nora Roberts

Ukryte skarby

Tytuł oryginału
Hidden Riches

PROLOG

Nie chciał tu być. Nie chciał być uwięziony w tym eleganckim starym domu, nękany i dręczony przez nie dające mu spokoju duchy. Pora już przykryć meble pokrowcami, zamknąć drzwi na klucz i odejść. Musiał opuścić ten dom, a opuszczając go, uwolnić się od koszmarów.

– Kapitanie Skimmerhorn?

Jednocześnie myślał nad tymi słowami. Od zeszłego tygodnia nie był już kapitanem. Złożył rezygnację, oddał odznak, ale już zdziwiło mu się to wyjaśnienie. Usunął się z drogi dwóm tragarzom znośnym w ów mroźny poranek po schodach palisandrowy kredens do wielkiego holu, a potem na zewnątrz domu.

– Tak?

– Może zjrzyj pan na górę, czy wzięliśmy wszystko, czego pan sobie życzył. Nam się wydaje, że już wszystko.

– Dobrze.

Ale nie chciał wchodzić po tych schodach, przejść przez pokoje. Nawet puste przypominały mu zbyt wiele. Odpowiedzialność, pomyślnie, ruszajcie niech tnie. Zbyt często pojawiała się w jego myśli, by miał teraz o niej zapomnieć.

Co się stało z jego dawnym pokojem. Pokoju, w którym dorastał, pokoju który zajmował, kiedy zamieszkał tu samotnie. Ale zatrzymał się na krok przed progiem. Mocno zacisnął pięści w kieszeniach i czekał, aż wspomnienia doświadczą go niczym kula snajpera.

W tym pokoju płakał – oczywiście ukradkiem i wstydliwie. Kapitan Skimmerhorn nie okazywał publicznie słabości. A kiedy jego łzy obeschły, planował tu zemstę. Błahe, dziecinne plany odwetu, które zawsze uderzały w niego rykoszetem.

W tym pokoju nauczył się nienawiści.

Ale przecież to tylko pokój. To tylko dom. Przekonał się o tym przed laty, kiedy jako dorosły mężczyzna wrócił, by w nim

zamieszka . I czy nie był zadowolony? Zadał sobie teraz pytanie. Czy to nie było proste?

A do chwili, kiedy Elaine...

– Jedydiaszu.

Wzdrygn łą si . Zanim si zreflektował, jego r ka si gn łą po bro , której ju nie nosił. Ten gest i to, e tak si pogr ył w niezdrowych rozmy laniach, i dał si zaj od tyłu, przypomniało mu, dlaczego nie nosi ju broni u boku.

Opanował si i spojrział na swój babk . Honoria Skimmerhorn Rodgers, spowita szczelnie norkami, z dyskretnymi, odpowiednimi do noszenia w dzie brylantami migoc cymi u jej uszu, miała pi knie ufryzowane nie nobiałe włosy. Wygl dała jak szacowna matrona zd aj ca na obiad w ulubionym klubie. Ale jej oczy, równie ywe i bł kitne jak jego własne, były pełne troski.

– Miałam nadzieję , e przekonam ci , eby zaczekał – powiedziała cicho i wyci gn łą r k , by poło y j na jego ramieniu.

Odruchowo uchylił si . Skimmerhornowie po prostu nie lubi czuło ci.

– Nie ma sensu czeka .

– A to ma sens? – wskazała pusty pokój. – Czy opuszczenie domu, porzucenie wszystkiego, co do ciebie nale y, ma sens?

– Nic w tym domu nie nale y do mnie.

– Absurd – w jej głosie pojawił si cie bosto skiego akcentu.

– Z braku prawdziwych wła cicieli? – odwrócił si plecami do pokoju, by spojrze jej w twarz – bo tak si zło yło, e zostałem przy yciu? Nie, dzi kuj .

Gdyby nie martwiła si tak o niego, dałaby mu dobr nauczka za t niegrzeczna odpowied .

– Mój drogi, nie ma o tym mowy. Ani niczyjej winy – przyjrzała si mu uwa nie i zamilkła.

Potrzebna łąby nim, gdyby mogło to co zmieni . Zamiast tego dotkn łą jego policzka.

– Ty po prostu potrzebujesz czasu.

Ten gest sprawił, że jego mi nie napiły się. Musiał zmobilizować całą siłę woli, by nie uchylił się spod tych delikatnych palców.

– I właśnie w ten sposób go sobie zapewniam.

– Wyprowadzaj się z rodzinnego domu.

– Rodzinnego? – roze miał się, a echo jego miechu rozległo się w holu nieznośnie głośnie. – Nigdy nie byliśmy rodziną, ani tu, ani nigdzie.

Jej spojrzenie, łagodne i pełne współczucia, stwardniało.

– Udawanie, że przeszło nie istnieje, jest tak samo złe, jak tkwienie w niej. Co ty wyprawiasz? Odrzucasz wszystko, co zdobyłeś, wszystko co zawdzięczasz sam sobie? Być może nie przyjął z entuzjazmem zawodu, jaki sobie wybrał, ale to był twój wybór, i to trafny. Wydaje mi się, że bardziej przysłużył się nazwisku Skimmerhornów, kiedy został kapitanem, niż wszyscy twoi przodkowie ze swoimi pieniędzmi i pozycją towarzyską.

– Nie zostałem policjantem, żeby przysługiwać się mojemu cholernemu nazwisku.

– Nie – powiedziała spokojnie. – Zrobiła to dla samego siebie, wbrew pragnieniom rodziny, właśnie czaję w to i mnie.

Odsunęła się od niego i ruszyła korytarzem. Mieszkała tu kiedyś, dawno temu, jako panna młoda. Nieszczęśliwa panna młoda.

– Patrzyłam, jak zmieniasz swoje życie i bałam się. Ponieważ wiedziałam, że zrobiła to tylko dla siebie. Często zastanawiałam się, skąd wzięła na to tyle siły.

Odwróciła się i przyjrzała mu się, synowi swojego syna. Odziedziczył efektowny urod Skimmerhornów. Brzoza włosy, rozwichrzone przez wiatr, okalały szczupłą, kościstą twarz, teraz wyraźnie spłótł. Martwiła się, jak każda kobieta, bo stracił na wadze, choć jego zastrzone rysy zyskały na wyrazie. W wysokiej sylwetce o szerokich ramionach kryła się siła, która zarazem podkreślała i kontrastowała z romantycznym skąd urod bladozłotej cery i wrażliwych ust. Jego oczy, głębokie i

intensywnie były kitne, unikały jej spojrzenia. Były teraz równie udręczone i wyzywające jak oczy tego nieszczyliwego chłopca, którego tak dobrze pamiętała.

Ale nie był już chłopcem, a ona bała się, że może jej pomóc.

– Nie chcę patrzeć, jak znowu zmieniasz swoje życie, tym razem z niewłaściwych powodów – potrzebujesz głowę, wracaj do niego, zanim zdąży odpowiedzieć.

– Mogłam mieć zastrzeżenia, kiedy po śmierci rodziców zamieszkałam tu samotnie, ale to również była twoja decyzja. A po pewnym czasie zaczęłam rozumieć, że znowu wybrałam włącznie. Ale czy tym razem twoja reakcja na tę tragedię ma być sprzedaż domu, zrezygnowanie z kariery?

Odczekał chwilę. – Tak.

– Zawiodłem mnie, Jedydiaszu.

To zabolęło. Rzadko wypowiadała to zdanie, a sprawiło mu wiązki bólu niestek wyzwisk, jakimi obrzucał go ojciec.

– Wolę ci zawieść, niż odpowiadać za życie choćby jednego policjanta. Nie jestem w stanie być dowódcą – spojrzał na swoje dłonie, zacisnął je. – Może już nigdy nim nie będę. A co do domu, już dawno powinno się go sprzedać. Po wypadku. Zostałby sprzedany, gdyby Elanie zgodziła się na to.

Co jakby utkwilo mu w gardle. Poczucie winy miało smak łości.

– Teraz jej tego już nie ma, a decyzja należy do mnie.

– Należy – zgodziła się. – Ale popełniasz błąd.

W jego żyłach zakipiała wściekłość. Miał ochotę uderzyć w coś, uderzyć kogoś, okładać pięściami czyjeś ciało. Zbyt często nawiedzało go to uczucie. Właśnie dlatego nie był już kapitanem J.T. Skimmerhornem z departamentu policji w Filadelfii, lecz zwykłym obywatelem.

– Nie rozumiesz? Nie mogę tu mieszkać. Nie mogę tu sypiać. Muszę się stąd wydostać. Ja się tu duszę.

– Wiń wróć ze mną do domu. Na wieczerę. Przynajmniej do Nowego Roku. Daj sobie trochę czasu, zanim zrobisz coś

nieodwracalnego. – Jej głos był na powrót łagodny, gdy brała jego oporne dłonie w swoje.

– Jedydiaszu, min ło wiele miesi cy, odk d Elaine... odk d zabito Elaine.

– Wiem, ile czasu min ło. – Tak, wiedzia ła dokładnie, kiedy zgin ła jego siostra. W ko cu to on j zabi ła. – Dzi kuj za zaproszenie, ale mam co robi . Dzisiaj ogl dam mieszkanie. Na South Street.

– Mieszkanie – westchnienie Honorii było pełne rozdra nienia. – Doprawdy, Jedydiaszu, po co ci te bzdury. Kup sobie nowy dom, skoro musisz, wyjed na długie wakacje, ale nie zagrzebuj si w jakim n dnym pokoju.

Zdziwi ła si , e potrafi si u miecha .

– W anonsie napisano, e mieszkanie jest ciche, atrakcyjne i dobrze po ło one. To nie brzmi n dnie. Babciu – u cisz ła jej r k , zanim zdo ła wszcz z nim kłótni – pozwól mi na to.

Znowu westchn ła, czuj c ju smak kl ski.

– Chc tylko twojego dobra.

– Jak zawsze – stłumi ła dreszcz, czuj c, e ciany napieraj na niego. – Uciekajmy st d.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pusty teatr ma swój szczególny urok. Urok mo liwo ci. Nios ce si echem głosy aktorów powtarzaj cych swoje kwestie, reflektory, kostiumy, nerwowa atmosfera i kipi ce temperamenty, które pluj ogniem ze rodka sceny a do ostatniego pustego rz du.

Isadora Conroy chłn ła ten urok, stoj c w kulisach Liberty Theater i przygl daj c si próbie kostiumowej „Opowie ci wigilijnej”. Jak zawsze rozkoszowa ła si przedstawieniem: nie tylko utworem Dickensa, ale i spektaklem rozdygotanych nerwów, o wietlenia, dobrze recytowanych kwestii. Przecie teatr miała we krwi.

Stała pozornie spokojnie, ale wewnątrz wszystko w niej pulsowało. Jej wielkie brzozy oczy błyszczały podnieceniem i zdawały się usuwać resztę twarzy obramowanej puklami złocistobrzozych włosów. To podniecenie wywołało na jej kremowej cerze rumieniec, a na szerokich ustach – uśmiech. Była to twarz o subtelnych rysach i płynnych liniach, zdrowych i licznych. Energia zdawała się promieniować z jej drobnego, jędrnego ciała.

Była kobietą interesującą się wszystkim wokół siebie, kobietą wierzącą w iluzje. Obserwując ojca, szczepiąc go łaskami Marleya i rozważając straszliwe prognozy przed zeszytniałym ze strachu Scrooge'em, wierzyła w duchy. A ponieważ nie wierzyła, jej ojciec nie był już jej ojcem, lecz potęgą, na wieczną skutym łaskami własnej chciwości.

Potem Marley na powrót stał się Quentinem Conroyem, zaskakującym aktorem, reżyserem i miłośnikiem teatru, ogłaszającym wola niechwil przerw na zmianę dekoracji.

– Doro! – siostra Dory, Ofelia, nadbiegła z głębi kulis. – Mam dwadzieścia minut spoczynku w stosunku do planu.

– Nie mamy planu – mruknęła Dora, kiwając głową, ponieważ zmiana dekoracji odbywała się błyskawicznie. – Moje handlowe podróże nigdy nie mają planu. Czy to nie cudowne, Leo?

Mimo jej zamiłowanie do porządku wołało o pomstę do nieba, Lea zerknęła w kierunku sceny i przyjrzała się ojcu.

– Tak. Choć Bóg wie, jak udaje mu się znieść rok w rok to samo przedstawienie.

– Tradycja – uśmiechnęła się Dora. – Na tym opiera się teatr.

To, co opuściła scenę, nie umniejszało jej miłości do niej i podziwu dla człowieka, który nauczył ją, jak interpretować tekst. Przyglądała się, jak wcielał się na scenie w tysiące postaci. Makbet, Willie Loman, Nathan Detroit. Była wiadkiem jego tryumfów i porażek. Ale zawsze porывał widzów.

– Pamiętaj o rodzicach w roli Tytanii i Oberona?

Lea przewróciła oczami, ale uśmiechnęła się.

– Kto mógłby to zapomnieć? Mama przez całe tygodnie nie wychodziła z roli. Niełatwo jest być z królowymi elfów. A jeśli nie wyruszymy zaraz, królowa gotowa tu przyjdzie i zacznie wyliczać, co może się przydarzyć dwóm kobietom, samotnie podróżującym cym do Wirginii.

Wyczuwając zdenerwowanie i niecierpliwość siostry, Dora objęła jej ramiona.

– Spokojnie, kotku, jest zajęta, a ona wkrótce zrobi chwilkę przerwy.

Co istotnie nastąpiło. Kiedy aktorzy się rozeszli, Dora wystąpiła na rodek sceny.

– Tato – zmierzyła go długim spojrzeniem od stóp do głów – była wspaniała.

– Dziękuj ci, najśladza – podniósł ramiona tak energicznie, że jego zniszczony płaszcz zatrzepotał. – Zdaje się, że od zeszłego roku udało nam się ulepszyć makijaż.

– Oczywiście. – Istotnie, szminka i kredka do oczu wyglądały alarmująco realistycznie, a przystojna twarz ojca sprawiała wrażenie bliskiej rozkładu. – Absolutnie makabryczne – złożyła na jego ustach lekki pocałunek, uważając, by nie rozmazała szminki. – Przykro mi, że stracimy dzisiejszą premierę.

– Nie ma na to rady – powiedział, choć trochę się na niego dsał.

Mimo że miał syna, kontynuując jego tradycje Conroyów, stracił dwie córki: jedną zabrało mu małżeństwo, drugą: wolny handel. A mimo to czasami udawało mu się obsadzać je w pomniejszych rolach.

– A więc moje dwie dziewczynki ruszają na wielką wyprawę.

– Tato, to podróż w interesach, a nie wyprawa do Amazonii.

– Wszystko jedno – mrugnął i pocałował z kolei Leę. – Uwaga: na wieczór.

– Och, Leo!

Trixie Conroy, ol nieważca w sukni z tiurniurami i kapeluszu z piórami, wybiegła na scenę. Znakomita akustyka Liberty niosła jej gardłowy głos aż do najdalszych balkonów.

– Kochanie, dzwoni John. Zapomniał, czy Missy ma dzi
zbiórk zuchów o pi tej czy lekcj fortepianu o szóstej.

– Zostawiłam list – mrukn ła Lea. – Jak zdoła dopilnowa
dzieci przez trzy dni, skoro nie umie znale listy?

– On jest taki słodki – skomentowała Trixie, kiedy Lea
pop działa do telefonu. – Doskonały zi . Posłuchaj, Doro,
b dziesz jecha ostro nie?

– Tak, mam.

– Pewnie, e b dziesz. Zawsze je dzisz ostro nie. Nie
b dziesz zabiera autostopowiczów?

– Nawet gdyby błagali na kl czkach.

– A co dwie godziny b dziesz si zatrzymywa , eby da
odpocz oczom?

– Punktualnie jak w zegarku.

Trixie, niestrudzona w zamartwianiu si , zagryzła warg .

– Ale i tak do Wirginii jest bardzo daleko. I mo e zacz
pada nieg.

– Mam specjalne opony – uprzedzaj c dalsze przewidywania,
Dora pocałowała matk jeszcze raz. – Mam te telefon w
furgonetce, mamu . Zamelduj si za ka dym razem, jak
przekroczymy granic stanu.

– Ale to b dzie zabawa! – ta perspektywa ogromnie
rozweseliła Trixie. – O, Quentin, kochanie, wła nie byłam w
kasie – dygn ła gł boko przed m em. – Wszystkie bilety
wyprzedane na tydzie naprzód.

– Naturalnie. – Quentin podniósł on i obrócił j we
wdzi cznym piruecie, zako czonym gł bokim ukłonem. –
Conroy oczekuje wył cznie kompletów.

– Złam nog – Dora ucałowała matk po raz ostatni. – I ty te
– zwróciła si do Quentina. – I, tato, nie zapomnij, e dzisiaj
masz pokaza mieszkanie.

– Nigdy nie zapominam o obowi zkach. Na miejsca! –
zawołał, po czym mrugn ł do córki – Bon voyage, moja słodka.

Wychodz c przez kulisy, słyszała szcz k jego ła cuchów. Nie
mogłaby sobie wyobrazi lepszego po egnienia.

* * *

Idąc za tokiem rozumowania Dory, sala aukcyjna była bardzo podobna do teatru. Była tu scena, rekwizyty, role. Przed laty już wyjechała swoim zdezorientowanym rodzicom, a tak naprawdę nie odchodzi ze sceny. Po prostu znalazła inny radek wyrazu. Kiedy tylko nadarzała się okazja kupna lub sprzedaży, z całą pewnością ci umiała wykorzystać swój aktorski talent.

Już zdążyła poznać sceny dzisiejszego występu.

Budynek, w którym Sherman Porter prowadził swoją aukcję, a także pełny targ, pierwotnie służył za reżenię i nadal przypominał bardziej stodołę niż cokolwiek innego. Towary wystawiano na pokaz na lodowatym betonie podłogi, na której kwiczały i ryczały niegdyś winie i krowy, mające stać się befsztykami i wieprzowymi kotletami. Teraz w drowali tu ludzie w płaszczach i szalikach, grzebiący w szkle, mrużąc oczy nad obrazami i zastanawiający się nad porcelanowymi szafkami i reżeniami wezglówkami.

Atmosfera była raczej nieszczególna, ale zdarzało się już jej grywa w mniej sprzyjających warunkach. I, oczywiście, to było tu najwłaściwsze.

Isadora Conroy uwielbiała okazjonalną sprzedaż. Słowa „na sprzedaż” odzywały się w jej krwi dźwiękiem srebrzystych dzwoneczków. Zawsze przepadała za kupowaniem, sama wymiana pieniędzy za towar wydawała się jej głęboko satysfakcjonująca. Tak satysfakcjonująca, że zbyt często zdarzało się jej wymieniać pieniądze za przedmioty, które do niczego nie były jej potrzebne. Ale to właśnie nieukośnienie takich okazji popchnęło Dorę do otworzenia własnego sklepu i późniejszego odkrycia, iż sprzedawanie niosło ze sobą równie wiele przyjemności co kupowanie.

– Leo, spójrz na to – Dora odwróciła się do siostry, pokazując jej połączone dzbanuszek do mietanki w kształcie kobiecego rannego pantofla. – Sama słodycz.

Ofelia Conroy Bradshaw rzuciła jej spojrzenie, unosząc jedno z rąk z miodowobrowym wzrosem. Wbrew romantycznemu imieniu była kobietą mocno stojącą na ziemi.

– Raczej koszmar.

– Daj spokój, zapomnij o oklepanych kanonach piwnicy – Dora powiodła z uśmiechem palcem wzdłuż podbicia bucika. – Na pewno jest miejsce i na mieszczki.

– Wiem. W twoim sklepie.

Dora może miała się bez urazy. Choć odstawiła dzbanuszek, już zdecydowała się na niego. Wyjęła notes i pióro, przyozdobione Elvisem gitarą, i zanotowała numer przedmiotu. – Strasznie się cieszę, że przyjechała ze mną, Leo. Pomogasz mi się skupić.

– Kto musi to robić.

Uwaga Leii pochłonęła wystawa szkła z czasów Wielkiego Kryzysu, były tu dwa lub trzy bursztynowe przedmioty, które ładnie uzupełniłyby jej kolekcję.

– A jednak czuję się winna, że wyjechałam z domu tuż przed Bożym Narodzeniem. Że zostawiłam tak Johna z dziećmi.

– Nie mogłaś się doczekać, żeby drapać od dzieciaków – wytknęła jej Dora, oglądając toaletkę z winowego drewna.

– Wiem. Dlatego czuję się winna.

– Poczucie winy to fajna rzecz. – Dora przykucnęła, zarzucając sobie na ramię jeden koniec czerwonego szala, i przyjrzała się wykonaniu mosiężnych uchwytów. – Kotku, to tylko trzy dni. W gruncie rzeczy już wracamy. Dziś bierzemy do domu, zakażesz dzieci na spacer, uwiedziesz Johna i wszyscy będą zadowoleni.

Lea przewróciła oczami i uśmiechnęła się słabo do stojącej za nią pary.

– Potrafisz niezawodnie sprowadzić wszystko do najniższego wspólnego mianownika.

Dora wyprostowała się z pełnym zadowoleniem mruknąc ciem, potrzebowała głowę odrzucając do tyłu przycięte do linii brody włosy.

– Chyba zobaczyłam ju dosy .

Spojrzawszy na zegarek zdała sobie spraw , e w domu wła nie zako czył si poranny spektakl. No trudno, pomy lała, tam mamy przedstawienie i tu mamy przedstawienie. Omal nie zatarła r k, ciesz c si na rozpocz cie aukcji.

– Lepiej zajmijmy jakie miejsca, zanim... czekaj! – jej br zowe oczy zabłyśły. – Spójrz.

Zanim Lea zd yła si odwróci , Dora p dziła ju po betonowej posadzce.

Jej uwag przyci gn ł obraz. Nie był du y, liczył sobie mo e jakie czterdzie ci pi na sze dziesi t centymetrów, a okalała go prosta, hebanowa rama o płynnej linii. Samo płótno było szale stwem kolorów, strumieniami i strugami szkarłatu i szafiru, potopem cytrynowej ółcieni, jaskrawymi plamami szmaragdu. Dora dostrzegła w nim energii i co podniecaj cego, co j przyci gało niczym czerwony nagłówek w gazecie.

Dora u miechn ła si do chłopca, który wieszał obraz na cianie.

– Trzymasz go do góry nogami.

– H ? – pomocnik odwrócił si i oblał si rumie cem. Miał siedemna cie lat, a u miech Dory zredukował go do kł bka hormonów. – Och, nie, prosz pani – jego jabłko Adama dr ało spazmatycznie, kiedy odwrócił obraz, by pokaza Dorze, gdzie przytwierdzony jest haczyk.

– Mmm – kiedy kto go kupi – a to z pewno ci nast pi pod koniec tego popołudnia – przymocuje go jak nale y.

– Ta, eee... przesyłka nadeszła dzisiaj.

– Ach – podeszła bli ej. – Co interesuj cego – powiedziała i podniosła figurk smutnookiego basseta, le cego w niedbałej pozie. Był ci szy, ni si spodziewała. Wydymaj c usta, obróciła figurk , by przyjrze si jej bli ej. Ani daty, ani godła rzemie lnika, pomy lała. Ale i tak dzieło było doskonałe.

– Wystarczaj co koszarne? – zagadn ła Lea.

– W sam raz. Fantastyczny przycisk do drzwi. – Odłó ywszy przedmiot, si gn ła po wysokie figurki m czyzny i kobiety w strojach sprzed wojny secesyjnej, zatrzymane w wirze walca.

Dotkn ła czyich s katych, w lastych palców.

– Przepraszam – spojrzała na starszego m czyzn w okularach, który zło ył jej skrzypi cy ukłon.

– liczne, prawda? – zapytał. – Moja ona miała co takiego. Rozbiło si , kiedy dzieci biły si w salonie – u miechn ł si , ukazuj c z by zbyt ale i równe, by mogły by dziełem natury. Miał czerwon muszk pachniał jak mi towy batonik. Dora odwzajemniła jego u miech.

– Pan jest kolekcjonerem?

– W pewnym sensie. – Odstawił figurk , a jego stare, przenikliwe oczy omiotły wystaw , oszacowuj c, kataloguj c, skre laj c.

– Nazywam si Tom Ashworth. Mam sklep we Front Royal. – z wewn trznej kieszeni marynarki wyj ł wizytówk i wr czył j Dorze. – Przez lata nagromadziłem tyle przedmiotów, e trzeba było otworzy sklep albo kupi wi kszy dom.

– Znam to. Nazywam si Dora Conroy – wyci gn ła r k i przyj ła mocny, artretyczny u cisk. – Mam sklep w Filadelfii.

– Wiedziałem, e jest pani z bran y – mrugn ł zadowolony. – Od razu pani zauwa yłem. Chyba nie widziałem pani jeszcze na aukcjach Portera.

– Nie, nigdy tu nie byłam. Wła ciwie zdecydowałam si na podró pod wpływem jakiego impulsu. Przywiozłam ze sob siostr . Leo, to jest pan Tom Ashworth.

– Bardzo mi miło.

– Cała przyjemno po mojej stronie. – Ashworth poklepał Le po zmarzni tej dłoni. – Nigdy tu nie grzej o tej porze roku. Porter najwyra niej s dzi, e sama licytacja rozgrzeje sal .

– Mam nadziej – palce u nóg Lei skostniały w zamszowych bucikach. – Od dawna prowadzi pan sklep, panie Ashworth?

– Prawie czterdzie ci lat. ona zapocz tkowała ten interes od szydeł – kowania serwetek i szalików, i co tam jeszcze, i

sprzedawania ich. Dodałem par drobiazgów i wstawiłem to wszystko do gara u. – Wyj 1 kieszeni fajk z kaczana kukurydzy i wlo 1 j mi dzy z by. – W 1963 roku ton li my w towarach i wynaj li my sklep w mie cie. Pracowali my rami w rami , dopóki nie odeszła na wiosn osiemdziesi tego szóstego, teraz pracuje ze mn mój wnuk. Ma mnóstwo szalonych pomysłów, ale to dobry chłopiec.

– Rodzinne interesy s najlepsze – powiedziała Dora. – Lea wla nie zacz ła dorywczco pracowa w moim sklepie.

– Bóg jeden wie, dlaczego – Lea wlo 1 ła zzi bni te r ce do kieszeni płaszczu. – Nie mam poj cia o antykach i kolekcjach.

– Wystarczy zrozumie , czego chc ludzie – powiedział Ashworth potarł zapalk o paznokie kciuka. – I ile gotowi s za to zapłaci – pod 1 i pykni ciem o ywił fajk .

– Wła nie – zachwycona nim Dora wzi ła go pod r k . – Chyba si zaczyna. Mo e usi dziemy?

Ashworth podał Lei drugie rami i dumny niczym kogut na przechadzce poprowadził obie kobiety do krzesel blisko pierwszego rz du.

Dora wyci gn ła notes i przygotowała si do zagrania swojej ulubionej roli.

Licytacja toczyła si powoli, ale czulo si wyra ne napi cie. Kiedy prezentowano przedmioty, głosy szybowały a pod wysoki sufit. Szemrz cy tłum sprawiał, e krew zacz ła szybciej kr y w 1 1ach Dory. Były tu transakcje do zawarcia, a ona była zdecydowana złapa nale n jej cz stk .

Przelicytowała szczupł , zabiedzon kobiet z ustami w ciup, kupuj c toaletk z wi niowego drewna, za bezcen zagarn ła dzbanuszek na mietank w kształcie pantofelka i stoczyła zawzi ty pojedynek z Ashworthem o zestaw kryształowych solniczek.

– Poddaj si – powiedział, kiedy Dora znowu go przelicytowała. – Masz szans wzi za nie wi cej tam na północy.

– Mam klientk , która to kolekcjonuje – powiedziała Dora. I która zapłaci mi dwa razy więcej niż teraz, pomyślała.

– Ach tak? – Ashworth pochylił się w krzesło, kiedy rozpoczęła się następna licytacja. – Mam w sklepie zestaw sześciu takich. Kobalt i srebro.

– Naprawdę ?

– Jeśli masz czas, wpadnij do mnie po tym wszystkim i rzuć na nie okiem.

– Myślę, że to zrobię. Leo, licytuj to szkło.

– Ja? – Lea spojrzała na siostrę z przerażeniem w oczach.

– Jasne. Rozruszaj się – Dora skinęła głową w kierunku Ashwortha. – Niech pan tylko patrzy.

Tak, jak przewidywała Dora, Lea rozpoczęła licytację cichym głosem, ledwie dochodzącym do prowadzącego aukcję. Potem pochyliła się nieznacznie naprzód. Jej oczy zalały się łzami. Kiedy licytacja dobiegła końca, jej okrzyki przypominały głos musztrujących rekrutów sierżanta.

– Czy nie jest fantastyczna? – spuchnięta z dumy Dora objęła Leę i ucałowała ją. – Zawsze była pojątna. To krew Conroyów.

– Kupiłam wszystko – Lea przycisnęła dłoń do galopującego serca. – O, Boże, kupiłam wszystko. Dlaczego mnie nie powstrzymała ?

– Czy cię psu zabaw ?

– Ale... ale... – teraz, kiedy w jej krwi obniżył się poziom adrenaliny, Lea opadła bezwładnie na krzesło – to setki dolarów. Setki.

– I dobrze wydane. No, to jazda – Dora zatarła ręce, ujrzawszy abstrakcyjny obraz. – Mój – powiedziała łagodnie.

* * *

O trzeciej po południu do skarbów w furgonetce Dory dołczył tuzin kobaltowych solniczek. Zaczęła wiać wiatr, wywołując na jej policzkach rumieńce i wdzierając się pod kołnierz płaszcza.

– Pachnie niegiem – zauważył Ashworth. Stał na krawężniku przed swoim sklepem, trzymając w dłoni fajkę i wdychał zapach wiatru. – Może zaskoczy was, zanim dotrzecie do domu.

– Mam nadzieję – uśmiechnęła się do niego, odgarniając fruwające na wietrze włosy. – Co to za wiata bez niegu? Ciesz się, Leę pana poznałam, panie Ashworth – znowu podała mu rękę. – Jeśli będzie pan w Filadelfii, spodziewam się pańskiej wizyty.

– Możeś na to liczyć – poklepał kieszeń, do której wsunął jej wizytówkę. – Uwagaście na siebie, panienki. Jedźcie ostro nie.

– Jasne. Wesołych wiat!

– I nawzajem – powiedział Ashworth, kiedy Dora wsiadała do furgonetki.

Pomachała po raz ostatni, włączyła silnik i ruszyła. Rzuciła okiem na wsteczne lustro i uśmiechnęła się, ujrawszy Ashwortha stojącego na chodniku z fajką w zaciśniętej ręce uniesioną po równym górze.

– Co za uroczy człowiek. Ciesz się, Leę kupił tę figurkę.

Lea zadrżała, nie mogąc się doczekać, a wnetrze furgonetki ogrzeje się.

– Mam nadzieję, Leę nie obrócisz na tych solniczkach.

– Mmm. On ma swój zysk, ja też miałam swój zysk, a pani O'Malley wzbogaciła swoją kolekcję. Kiedyś ma to, na czym mu zależy.

– Chyba tak. Ci głębiej nie chce mi się wierzyć, Leę kupiła ten bohomaz. Nigdy tego nie sprzedasz.

– E tam, i co z tego.

– No pewnie, to tylko pięćdziesiąt dolarów.

– Pięćdziesiąt dwa i siedemdziesiąt pięć centów – poprawiła ją Dora.

– Właśnie – Lea obróciła się na fotelu i spojrzała na pudełka z tyłu furgonetki. – Oczywiście wiesz, Leę nie mamy miejsca na te meble.

– Miejsce się znajdzie. Mylisz, Leę Missy spodoba się ta karuzela?

Lea wyobraziła sobie wielk mechaniczn zabawk w biało–
ró owej sypialence jej córki i zadr ała.

– Błagam, nie.

– Dobrze – wzruszyła ramionami Dora. Dopóki nie upłynni karuzeli, mo e j trzyma we własnym salonie. – Ale podobałaby si jej. Chcesz zadzwoni do Johna i powiedzie mu, e wracamy?

– Za chwileczk – Lea oparła si wygodnie w fotelu, wzdychaj c. – jutro o tej porze b d piekła ciasteczka i wałkowała ciasto.

– Sama chciała – wytkn ła jej Dora. – Chciała wyj za m , mie dzieci, kupi dom. Dok d mieliby my przychodzi na wi teczny obiad?

– Wszystko byłoby w porz dku, gdyby mama tak nie nalegała, aby mi pomoga . Ta kobieta chyba nigdy w yciu nie ugotowała nic jadalnego, prawda?

– Ja nic takiego nie pami tam.

– Ale w ka de Bo e Narodzenie zjawia si w mojej kuchni, powiewaj c jakim przepisem na sos alfalfa albo orzechowy dressing.

– Był paskudny – przypomniała sobie Dora. – Ale i tak lepszy ni ziemniaki z curry i puree z kukurydzy i fasoli.

– Nie przypominaj mi. Z taty te aden po ytek, chodzi w czapce wi tego Mikołaja i ju przed południem jest pod dobr dat .

– Mo e Will odci gnie jej uwag . Przyjdzie sam czy z jedna ze swoich panienek? – spytała Dora, maj c na my li dług list uroczych dziewczyn ich brata.

– Ostatnio mówił, e sam. Doro, uwa aj na t ci arówk , co?

– Uwa am – Dora, ogarni ta duchem rywalizacji, przydepn ła pedał gazu i min ła szesnastokołowego potwora, niemal si o niego ocieraj c. – To kiedy Will zamierza si pojawi ?

– Złapie wieczorny poci g z Nowego Jorku w Wigili .

– Spó ni si , eby zrobi wielkie wej cie – przewidziała Dora. – Wiesz, gdyby zacz ł ci denerwowa , zawsze mog ... o, do diabła.

– Co? – Lea otworzyła szeroko oczy.

– Wła nie sobie przypomniałam, e ten nowy sublokator, którego znalazł tata, dzisiaj si wprowadza.

– Wi c?

– Mam nadziej , e tata nie zapomni, e ma tam by z kluczami. Spisał si fantastycznie, kiedy par tygodni temu pokazywał mieszkanie, bo ja byłam zaj ta w sklepie, ale sama wiesz, jaki potrafi by roztargniony w czasie przygotowa do spektaklu.

– Wiem doskonale i dlatego nie mog zrozumie , jak mogła powierzy mu wybór sublokatora.

– Nie miałam czasu – mrukn ła Dora, usiłuj c obliczy , czy zd y wywoła ojca do telefonu mi dzy przedstawieniami. – Poza tym, tata sam si ofiarował.

– Nie zdziw si , je li b dziesz dzieli korytarz z psychopat albo kobiet z trójk dzieci i stadem wytatuowanych kochasiów.

Usta Dory wygi ły si w u miechu.

– Specjalnie uczuliłam tat na psychopatów i tatua e. Mam nadziej , e to b dzie kto , kto umie gotowa i zamierza podliza si gospodyni, regularnie przynosz c mi pyszno ci. Skoro o tym mowa, jeste głodna?

– Jasne. Ch tnie wst pi na ostatni posiłek, w czasie którego b d kroi jedzenie tylko sobie.

Dora skr ciła raptownie w kierunku podjazdu. Zignorowała w ciekłe ryki klaksonów.

U miechała si , wyobra aj c sobie, jak rozpakowuje swoje nowe nabytki. Pierwsze co robi , obiecała sobie, to znajd najlepsze miejsce na powieszenie obrazu.

* * *

Wysoko w l ni cym srebrzy cie drapaczu chmur góruj cym nad zatłoczonymi ulicami Los Angeles Edmund Finley za ywał przyjemno ci cotygodniowego manikiuru. ciana naprzeciw jego masywnego palisandrowego biurka mrugała tuzinem ekranów telewizyjnych. Wiadomo ci CNN i jeden z programów sprzeda y wysyłkowej migały na nich milcz co. Pozostałe ekrany były podł czone do ró nych gabinetów jego organizacji, by mógł obserwowa pracowników.

Ale – je eli nie zdecydował si na wł czanie gło ników – w pustym pomieszczeniu rozlegały si jedynie d wi ki opery Mozarta i monotonne skrzypienie przyrz dów manikiurzystki. Finley lubił si przygl da .

Specjalnie wybrał ostatnie pi tro tego budynku, eby jego biuro mogło górowa nad panoram Los Angeles. To dawało mu poczucie władzy, wszechwładzy; cz sto stawał przy szerokim oknie za biurkiem i potrafił godzin przygl da si ruchom nieznanym przechodniów daleko, daleko w dole.

W jego domu, stoj cym na wzgórzach ponad miastem, w ka dym pokoju znajdowały si monitory i ekrany telewizyjne. I okna, wsz dzie okna, przez które mógł spogl da z góry na wiatła w niecce Los Angeles. Co wieczór stawał na balkonie sypialni i wyobra ał sobie, e posiada tutaj wszystko i ka dego – jak okiem si gn .

Był człowiekiem po daj cym przedmiotów. Jego gabinet był wiadectwem jego smaku i wyrafinowania. ciany i dywan były białe, nie nobiałe, by stanowi dziewicze tło dla jego skarbów. Waza z epoki Ming pyszniła si na marmurowym piedestale. Rze by Rodina i Denecheau wypełniały sob wy łobione w cianach nisze. Nad komod w stylu Ludwika XIV wisiał obraz Renoira w złotej ramie. Aksamitn sof , prawdopodobnie własno Marii Antoniny, otaczały l ni ce mahoniowe stoliki z wiktoria skiej Anglii.

Dwie wysokie szklane gablotki zawierały oszałamiaj c i ezoteryczn kolekcj dzieł sztuki: rze bione tabakierki z lapis lazuli i akwamaryny, letsuke z ko ci słoniowej, figuryнки z

porcelany drezde skiej, puzderka Limoges, pi tnaściewieczny sztylet z wysadzany drogiemi kamieniami i koje ci , afrykańskie maski.

Edmund Finley był posiadaczem. A to, co posiadał, zwykły gromadzi . Jego przedsięwzięcie eksportowo – importowe odnosiło niezwykle sukcesy. Równie dobrze wiodło mu się z drugim, mniej oficjalnym interesem – przemysłem. W końcu w przemyśle najbardziej liczyło się współzawodnictwo. Wymagało to pewnej finezji, bezlitosnej inteligencji i nieskazitelnego smaku.

Finley – wysoki, szczupły, dystyngowany mężczyzna tu po pięćdziesięciu latach zaczął „nabywać towary” już jako młody chłopak pracujący w dokach San Francisco.

Zamiana skrzyż, otwarcie ciarówki i sprzedanie zdobyte nie było niczym trudnym. Zanim skończył trzydzieści lat, zebrał kapitał pozwalający na założenie własnego przedsiębiorstwa. Miał do oleju w głowie, by otwarcie grać po ciemnej stronie, i zawarł tyle kontraktów, że stały dopływ towarów miał zapewniony.

Teraz stał się człowiekiem bogatym, gustującym we włoskich garniturach, francuskich kobietach i szwajcarskich frankach. Po latach zawierania transakcji mógł sobie pozwolić na posiadanie tego, czego pragnął najbardziej. A najbardziej pragnął rzeczy starych i bezcennych.

– Gotowe, proszę pana – manikiurzystka delikatnie położyła dłoń Finleya na nieśkądnym ani jednego plamki białej biurka. Wiedziała, że dokładnie sprawdzi stan swoich paznokci, podczas gdy ona będzie pakowała przybory do manikiuru i kosmetyki. Kiedy pieklił się przez dziesięć minut z powodu skrawka pozostawionej skórki przy paznokciu kciuka. Ale teraz, kiedy odważyła się podnieść wzrok, zobaczyła, że u niego do swoich wypolerowanych paznokci.

– Doskonała robota – potarł z zadowoleniem palec.

Wyciągnął z kieszeni portfel ze złotymi klamkami i wyjął z niego pięćdziesiąt dolarów. Potem, z jednym ze swoich nieznajomych i

rozbrajał cichymi miechami, podał jej jeszcze banknot studolarowy.

– Wesołych wit, moja droga.

– O... dziękuj. Bardzo dziękuj, proszę pana. Wesołych wit.

Nadal uśmiechając się, odprawił ją skinięciem wypielęgnowanych palców. Sporadyczna hojność przychodziła mu równie naturalnie co nieustanna chciwość. W obu znajdował przyjemność. Zanim drzwi zamknęły się za manikiurzystką, obrócił się na krześle, składając dłonie na jedwabnej kamizelce.

Przyjrzał się swojej panoramie Los Angeles, skąd panuje w potokach słonecznego wiatła.

Witała, pomyślał. Co za urocza pora. Czas dobrej woli, brzytwa cichych dzwoneczków i kolorowych wiatel. Jak równie, rzecz jasna, czas rozpaczliwej samotności, dramatów i samobójstw. Ale te drobne ludzkie tragedie nie dotyczyły go ani nie obchodziły. Pieniądze wyniosły go wysoko ponad mętne skąpy za towarzystwem i rodziną. Towarzystwo mógł sobie kupić. Wybrał jedno z najbogatszych miast na świecie, gdzie wszystko można kupić, sprzedać, posiadać. Tutaj nade wszystko podziwiano młodość, zdrowie i władzę. Co do młodości, jej iluzję mógł kupić.

Finley powiódł jasnymi, zielonymi oczami po budynkach i opromienionych słonecznym światłem oknach. Z lekkim zaskoczeniem zdał sobie sprawę z tego, że jest szczęśliwy.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, odwrócił się.

– Wej.

– Proszę pana – Abel Winesap, niski mężczyzna o pochylonych barkach, noszący poważy tytuł zastępcy przewodniczącego, odchrząknął. – Proszę pana...

– Czy wiesz, co naprawdę oznacza Boże Narodzenie, Abelu? – głos Finleya był ciepły niczym korzenna brandy.

– Eee... – Winesap sięgnął do wstążki krawata. – Nie, proszę pana.

– Zdobywanie. liczne słowo. I najprawdziwsze znaczenie tych rozkosznych wi t, zgodzisz si e ze mn ?

– Tak, prosz pana – Winesap poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz. To, co miał do powiedzenia i tak było trudne. Dobry humor Finleya sprawiał, e trudno zaczął przybiera cechy niebezpiecze stwa.

– Obawiam si , e jest pewien problem, prosz pana.

– Ach? – Finley u miechał si nadal, ale jego oczy zlodowaciały. Có by to mogło by ?

Winesap przełkn ł z trudem lin . Wiedział, e zimny gniew Finleya był bardziej niebezpieczny ni w ciekło kogo innego. To wła nie Winesap był wiadkiem tego, jak Finley usuwał pracownika, który przywłaszczył sobie co nale cego do niego. I nadal pami tał, jak spokojnie Finley poder n ł mu gardło szesnastowiecznym, wysadzonym drogimi kamieniami sztyletem.

Zdrajca, jak uwa ał Finley, powinien by ukarany szybko i z pewn ceremoni .

Ku swojemu przera eniu Winesap pami tał równie , e to on został wyznaczony do pozbycia si ciała.

Ci gn ł dalej, czuj c, e zaczyna si denerwowa .

– Ta przesyłka z Nowego Jorku. Towary, na które pan czekał.

– Czy wynikła jaka zwłoka?

– Nie... To znaczy tak, w pewnym sensie. Przesyłka nadeszła wczoraj, zgodnie z planem, ale towary... – zwil ył j zykiem w skie, nerwowe wargi. – To nie to, co pan zamawiał.

Finley zło ył wypieszczone dłoni na kraw dzi biurka. Kostki jego palców zbiełały.

– Słucham?

– Zawarto przesyłki, prosz pana. To nie to, co pan zamawiał, najwyra niej gdzie je zamieniono – głos Winesapa zmienił si w pisk. S dziłem, e powinienem od razu o tym panu donie .

– Gdzie to jest? – głos Finleya stracił jowialne ciepło. Stał si lodowatym sykiem.

– W dziale przesyłek, prosz pana. S dziłem...

– Przynie . Natychmiast.

– Tak, prosz pana. Ju . – Winesap umkn ł, wdzi czny za chwil zwłoki.

Za przedmioty, które miały nadej w tej przesyłce, Finley zapłacił mnóstwo pieni dzy, a jeszcze wi cej za ich ukrycie i przemyt. Ka dy z nich został ukradziony, potem ukryty i przewieziony z ró nych cz ci wiata do jego fabryki w Nowym Jorku. Nic dziwnego, w ko cu same łapówki osi gn ły sze ciocyfrow liczb .

Dla uspokojenia zatrzymał si przy dzbanku z sokiem z guawy i nalał sobie pełn szklank .

Je li popełniono bł d, pomy lał nieco przytomniej, zostanie naprawiony. Ktokolwiek zawinił, zostanie ukarany.

Odstawił ostro nie szklank , oryginalny bakarat, i przyjrzał si sobie w owalnym lustrze w stylu Jerzego III wisz cym nad barkiem. Przeci gn ł wypiel gnowan dłoni po bujnej g stwinie ciemnych włosów, podziwiał c przebłyskuj ce w nich gdzieniegdzie srebro. Ostatnia operacja plastyczna zlikwidowała mu worki pod oczami, wygładziła lini podbródka i wymazała zmarszczki, gł boko zaznaczaj ce si po obu stronach ust.

Wygl dam najwy ej na czterdzie ci lat, zdecydował Finley, odwracaj c głow , by z zadowoleniem przyjrze si swojemu profilowi.

Co za idiota powiedział, e pieni dze nie daj szcz cia?

Pukanie do drzwi pozbawiło go dobrego humoru.

– Wej – warkn ł i zaczekał, a jeden z jego pracowników wtaszczy skrzyni .

– Zostaw tutaj – wskazał palcem rodek pokoju. – I wyjd . Ablu, ty zosta . Drzwi – dodał, a Winesap rzucił si , by zamkn je za wychodz cym pracownikiem.

Kiedy Finley nie przerywał milczenia, Winesap zbladł i podszedł do skrzyni.

– Otworzyłem j zgodnie z pa skimi instrukcjami. Kiedy zacz łem przegl da przesyłk , zorientowałem si , e popełniono bł d – si gn ł ostro nie do skrzyni, zanurzaj c dło w morzu

papierowych strz pów. Jego palce dr ały, kiedy wyci gn ł porcelanowy imbryczek, ozdobiony male kimi fiołkami.

Finley wzi ł go i obrócił w dłoni. Był to wyrób angielski, liczny egzemplarz, na wolnym rynku wart zapewne jakie 200 dolarów. Ale była to masowa produkcja. Tysi ce identycznych imbryczków znajdowało si w sprzeda y na całym wiecie. A wi c dla niego nie przedstawiał adnej warto ci. Rozbił go o brzeg skrzyni. Skorupy rozprysn ły si po całym pokoju.

– Co jeszcze?

Roztrz siony Winesap zanurzył r k g ł boko w skrzyni i wyci gn ł z niego falisty szklany wazon.

Włoski, uznał Finley po obejrzeniu go. R czna robota. Wart sto, mo e sto pi dziesi t dolarów. Cisn ł go, o centymetry omijaj c głów Winesapa, i rozbił go o cian .

– I... i fili anki... – oczy Winesapa pow drowały do skrzyni i z powrotem do miertelnie spokojnej twarzy swojego pracodawcy.

– I par sreber – dwa talerze, półmisek. Pa... para kryształowych kielichów ozdobionych wzorem dzwonów weselnych.

– Gdzie moja przesyłka? – wysyczał Finley, akcentuj c ka de słowo.

– Ja, prosz pana... to znaczy, s dz , e... – jego głos przeszedł w szept – ...to pomyłka.

– Pomyłka – oczy Finleya stały si twarde jak kamie .

Zacisn ł obie pi ci. DiCarlo, pomy lał, przywołuj c obraz tego człowieka z Nowego Jorku. Młody, inteligentny, ambitny. Ale nie głupi, napomniał sam siebie Finley. Nie na tyle, by próbowa go oszuka . A jednak musi zapłaci za ten bł d, i to drogo.

– Dzwó do DiCarla.

– Tak, prosz pana – Winesap rzucił si do biurka, szcz liwy, e gniew Finleya przeniósł si na inn ofiar .

Kiedy Winesap wybierał numer, Finley wdeptywał okruchy porcelany w dywan. Sięgnął do skrzyni i systematycznie zaczął niszczyć resztę jej zawartości.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jed Skimmerhorn musiał się czego napić. Rodzaj alkoholu nie miał znaczenia. Whisky, która wypaliła mu w gardle ciepłą kłusę, kuszycę ciepło brandy, swojski smak piwa. Ale nie zamierzał wypić ani kropli, dopóki nie wtaszczy wszystkich pudeł po tych przekłutych spróchniałych schodach.

Nie miał tego tak wiele. Jego były partner, Brent, pomógł mu wnieść sofę, materace i cięsze meble. Pozostało mu parę tekturowych pudeł z książkami, naczyniami i innymi bzdurami. Nie miał pojęcia, po co w ogóle chomikuje to wszystko, zamiast oddać gdzieś na przechowanie.

Ostatnio w ogóle nie był pewien wielu rzeczy. Nie potrafił wytłumaczyć Brentowi ani sobie, dlaczego koniecznie musiał wyprowadzić się na drugi koniec miasta i zamienić olbrzymi stary dom na wynajęte mieszkanie. To było tak, jakby zaczynał wszystko od nowa. Ale nie mógł zacząć, jeśli się nie skończyło.

Ostatnio Jed zrobił wiele, żeby zakończyć stare sprawy.

Pierwszym krokiem – i chyba najtrudniejszym – było wystąpienie z policji. Komisarz spierał się z nim długo, odrzucił jego rezygnację i wysłał Jeda na przedłużony urlop. Jak zwał, tak zwał, pomyślał Jed. Już nie był policjantem. Nie mógł nim być. To, co kazało mu słuchać społeczeństwa i ochraniać je, umarło.

Nie miał depresji, jak oznajmił policyjnemu psychologowi. Był skończony. Nie musiał się „odnajdywać”. Chciał tylko, żeby wszyscy zostawili go w spokoju. Policji oddał czternaście lat swojego życia. Na tym musz poprzestać, o wiadczył.

Jed otworzył łokciem drzwi swego nowego mieszkania i popchnął je pudłem, które trzymał w objęciach. Drugie pudło przesunął po podłodze, po czym wrócił w swoim korytarzem na schodki przed drzwiami. Na razie nie spotkał swojej siadki z

tego samego korytarza. Ekscentryczny starszy pan, który wynaj 1 mu mieszkanie, powiedział, e drugie mieszkanie jest zaj te, ale lokatorka zachowuje si cicho jak myszka.

I na to wygl dało.

Jed ruszył w dół po schodach, z rozdra nieniem zauwa a j c, e por cz nie utrzymałaby ci aru niedo ywionego trzylatka. Schody były liskie od mokrego niegu, nieustannie sypi cego si z bezbarwnego nieba. Na tyłach budynku panowała niemal zupełna cisza. Cho od frontu znajdowała si ruchliwa South Street, zgiełk i panuj ca na niej atmosfera cyganerii nie dra niły Jeda. Nie przeszkadzały mu sklepy ani tury ci. Dom stał na tyle blisko rzeki, e mógł wybiera si na samotne wycieczki, gdyby zechciał.

W ka dym razie po wypieszczonych trawnikach Chestnut Hill, otaczaj cych od dwustu lat rodzinne rezydencj Skimmerhornów, była to zmiana zgoła dramatyczna.

W mroku widział sznury wiec cych kolorowych lampek rozci gni te w oknach budynku naprzeciwko. Kto przytwierdził do dachu wielkiego plastikowego wi tego Mikołaja i jego osiem małych reniferów. Tkwiły tam dzie i noc, zastygłe w locie.

To przypomniało mu, e Brent zaprosił go na Bo e Narodzenie. Du e, hała liwe rodzinne przyj cie, które niegdy sprawiłoby Jedowi wiele przyjemno ci. W jego yciu nigdy nie było du ych, hała liwych rodzinnych przyj – a w ka dym razie nie takich, które mo na by nazwa przyjemnymi.

A teraz nie miał ju rodziny. Zupełnie.

Przycisn ł palce do pulsuj cych bólem skroni i zmusił si , by nie my le o Elaine.

Ale wspomnienia, niczym duchy dawnych grzechów, pokonały go i sprawiły, e jego oł dek zacisn ł si jak ciasny supeł.

Wniósł z ci arówki ostatnie pudła i cisn ł nimi z sił , która zatrza sła w posadach wysłu onym thunderbirdem. Nie b dzie my lał o Elaine ani o Donnym Specku, ani o odpowiedzialno ci;

ani o wyrzutach sumienia. Teraz wejdzie do domu, naleje sobie drinka i spróbuje nie myśleć o niczym.

Mruć oczy dla ochrony przed kłajcym zimnem padającego mokrego niegu, po raz ostatni wszedł po schodach. Temperatura wewnątrz domu była o wiele wyższa niż na dworze, gdzie szalał wiatr. Właściciel domu nie oszczędzał na ogrzewaniu. Może nawet był zbyt rozrzutny. Ale w końcu to, w jaki sposób ten stary wydaje pieniądze, nie jest problemem Jeda.

Zabawny staruszek, pomyślał Jed. Ten jego głośny głos, teatralny, soczysty, no i ta srebrna piersiówka. Bardziej ciekawiła go opinia Jeda w kwestii dwudziestowiecznych sztuk teatralnych niż jego referencje i opłata za czynsz.

Ale kto, kto niemal przez połowę życia był policjantem, musi wiedzieć, że na świecie jest mnóstwo barwnych osobowości.

Znalazłszy się w domu, położył ostatnie pudło na drewnianym stole w jadalni. Zaczął grzebać w pomiędzy gazetach w poszukiwaniu swojej butelki. W przeciwieństwie do skrzynek, odesłanych na przechowanie, pudła nie zostały oznakowane. Nie pakował ich według jakiejś zasady. Jeśli w genach Skimmerhornów znajdowała się systematyczność, to Elaine zabrała chyba jego przydział.

Nowe wspomnienie o siostrze sprawiło, że znowu zakłóciło cicho przez niego. Wiedział, że lepiej nie pozwalać, by myśli zapuściły w nim korzenie, bo owoce, jakie wyda, będą miały smak poczucia winy. W ciągu ostatniego miesiąca zbyt dobrze zdał sobie sprawę z tego, że poczucie winy może spowodować mdłości, niesłabnące uczucie paniki i nieustanne potoki potu.

Spocone dłonie i panika nie są po danych cechami policjanta. Jak równie skłonno do niekontrolowanych ataków w ciekło ci.

Ale nie jestem już policjantem, upomniał się Jed. Jego czas i decyzje, jak powiedział babce, należały wyłącznie do niego.

Wyciągnięte mieszkanie odpowiadały mu, dzięki czemu miał satysfakcjonującą pewność, że jest sam. Jednym z powodów, dla których zdecydował się na to mieszkanie, był fakt, że była tu

tylko jedna s siadka, któr nale ało zlekcewa y . Drugi powód był równie prosty i oczywisty: mieszkanie było fantastyczne.

Wydawało si mu, e zbyt długo ył w otoczeniu pi knych przedmiotów, by mu na nich zale ało. Ale bez wzgl du na to, jak cz sto twierdził, e wygl d miejsca, w którym mieszka, nie ma dla niego znaczenia, czułby si nieszcz liwy w jakim l ni cym apartamencie lub bezdusznym mieszkaniu.

Uwa ał, e ten stary budynek został podzielony na sklep i mieszkania w latach trzydziestych. Zachowały si w nim wysokie sufity i przestronne pokoje, kominki i długie, smukłe okna. D bowe posadzki zostały wy – froterowane na wysoki połysk dla nowego lokatora.

Pokój miał boazeri z orzechowego drewna i ciany koloru ko ci słoniowej. Starszy pan zapewnił Jeda, e mo e je przemalowa , je li mu to odpowiada, ale urz dzenie mieszkania było ostatni rzecz , na jak miał teraz ochot . Te pokoje niech b d takie, jakie s .

Wyci gn ł butelk Jamesona, pełn w trzech czwartych. Przygl dał si jej przez chwil , po czym odstawił j na stół. Zacz ł grzeba w pudle w poszukiwaniu szklanki, rozrzucaj c na wszystkie strony papier pakowy, kiedy dobiegł go hałas. Jego dłonie zamarły, całe ciało spi ło si jak do skoku.

Odwrócił si , przekrzywiaj c głow , usiłuj c zlokalizowa ródło d wi ku. Wydawało mu si , e słyszy dzwonki, ich d wi czne echo. A potem miech, ulotny jak smu ka dymu, uwodzicielski i kobiecy.

Jego oczy przyłgn ły do mosi nego wywietrznika przy kominku. To t dy przedostawały si d wi ki, na tyle gło ne i wyra ne, e gdyby zacz ł si przysłuchiwa , usłyszałby całe słowa.

Pod jego mieszkaniem znajdował si jaki sklepik z antykami. Przez par ostatnich dni był zamkni ty, ale teraz najwyra niej go ju otworzono.

Jed podj ł poszukiwanie szklanki i zignorował d wi ki z dołu.

– Tak si ciesz , e wyszedł e po nas, Johnie. – Dora umie ciła nowo zakupion lamp ze szklanym kloszem nad staro wieck kas .

– Sama przyjemno – nieco si zasapał , wnosz c kolejn skrzyni do zatłoczonego magazynu. Był wysokim, ko cistym m czynn , a jego uczciwa twarz mogłaby wydawa si przyjemna, gdyby nie wyblakł e, bezbarwne oczy, ogl daj ce wiat z za grubych okularów.

Zajmował si sprzeda oldsmobili w Landsdowne i przez dwa lata z rz du otrzymywał tytuł Sprzedawcy Roku dzi ki nie narzucaj cemu si , niemal błagalnemu podej ciu, które przychodziło mu w naturalny sposób oczarowywało klientów.

Teraz u miechn ł si do Dory i poprawił zje d aj ce mu z nosa okulary w ciemnych oprawkach.

– Jak zdołała kupi to wszystko w tak krótkim czasie?

– Do wiadzenie.

Musiała wspi si na palce, eby ucałowa policzek Johna, potem pochyliła si i pogłaskała swojego młodszego siostrze ca, Michaela.

– Hej, abi pyszczku, t sknił e za mn ?

– Nieee – ale u miechn ł si i obj ł j za szyj tłustymi ramionkami. Lea odwróciła si , by zmierzy sokolim okiem dwójk pozostałych dzieci.

– Richie, trzymaj r ce w kieszeniach. Missy, nie ta cz w sklepie.

– Ale, mamó...

– Ach... – Lea westchn ła i u miechn ła si . – Jestem w domu – wyci gn ła ramiona do Michaela. – Doro, pomóc ci?

– Nie, poradz sobie. Jeszcze raz dzi kuj .

– Skoro tak mówisz... – Lea rozejrzała si po sklepie z pow tpiewaniem. To, jak jej siostra mogła y w otaczaj cym j bałaganie, pozostawało dla niej tajemnic . Wychowały si w chaosie, codziennie uwikłane w tragedi lub komedi . Porz dek był dla Lei jedynym sposobem, eby utrzyma si przy zdrowych zmysłach. – Wła ciwie mogłabym tu jutro przyj .

– Nie. Masz wolne, a ja liczę na te ciasteczka, które upieczesz – popychajcie rodzinę w stronę drzwi, Dora wsunęła do kieszeni siostrze całą torebkę czekoladowych pastylek.

– Podzielcie się nimi – szepnęła. – I nie mów mamie, kto wam je dał – zmierzwiła Richie’emu włosy. – Uciekaj, łobuziaku.

Umiechnęła się, ukazując szczerbę po dwóch przednich zębach.

– Dziś w nocy mogą przyjechać włamywacze i obrabować twój sklep – zaczął się bawić długim kołczykiem z cytrynowych i ametystów, zwisającym jej z ucha. – Gdybym tu spał, mógłbym ich zastrzelić.

– O, dziękuj ci, Richie – powiedziała Dora z powagą. – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Ale dziś sama zastrzeliłam swoich włamywaczy. – Wypchnęła swoją rodzinę ze sklepu i od razu zaczęła zamykać go na klucz, wiedząc, że Lea zaczeka, dopóki nie usłyszy chrobotu wszystkich zamków i nie zorientuje się, że włączyła alarm.

Znalazłszy się sama, odwróciła się i odetchnęła głębiej. Zapach jabłka i sosny z potpourri rozprzestrzenił się w całym sklepie. Dobrze było w domu, pomyślała i uniosła pudło z nowymi nabytkami, które zdecydowała zanieść na górę do mieszkania.

Przeszła przez magazyn, by zamknąć na klucz drzwi prowadzące do wewnętrznej klatki schodowej. Musiała unieść jednocześnie pudło, torebki, torbę i płaszcz, który zdjęła wchodząc do sklepu. Wiatło na schodach zapaliła ramieniem, mrużąc pod nosem przekleństwo.

Była już w połowie drogi, kiedy zobaczyła wiatło w drugim mieszkaniu. Nowy lokator. Uchwyciwszy lepiej swój ładunek, podeszła do zastawionych pudłem drzwi i zajrzała do środka.

Stał przy starym stole z butelką w jednej ręce, a szklanką w drugiej. Całe umeblowanie pokoju stanowiła szafa i zawałone różnymi rzeczami krzesło.

Ale już bardziej interesował go mężczyzna, zwrócony do niej profilem i pociągający długi łyk whisky.

Był wysoki, a jego barczysta, atletyczna sylwetka przywiodła jej na myślenie boksera. Miał na sobie granatowy sweter z rękawami podwiniętymi do łokci – nie było widać żadnych tatuaży – a także levisy, wytarte do białości w strategicznych punktach. Włosy miał nieco rozczochrane, opadające niedbale na kołnierz. Miały gładki bok odcień dojrzewającej pszenicy.

Natomiast zegarek, dla kontrastu, był albo niezwykle udany podróbka, albo oryginalnym rolexem.

Choć na ocenę sytuacji miała jedynie parę sekund, wyczuła, że jej się nie chce siedzieć w swoim nowym domu. Jego twarz, naznaczona cieniem rzucanym przez wysokie kości policzkowe i szczecin brody, była mroczna.

Zanim zdołała się odezwać, zauważyła, że jego ciało sztywnieje. Obejrzał się gwałtownie. Dora zmusiła się, by nie cofnąć się instynktownie, kiedy przeszył ją spojrzeniem twardych, pozbawionych wyrazu i uderzających w oczy.

– Drzwi były otwarte – powiedziała obronnym tonem i natychmiast poczuła rozdrażnienie. Przeprasza za to, że stoi w swoim własnym korytarzu!

– Ach – odstawił butelkę i podszedł do niej ze szklanką w ręce. On również się jej przyjrzał. Właściwie cała jej figura przysłańiała tekturowe pudło, które trzymała w objęciach. Ładna owalna twarz, z delikatnym dołeczkiem w brodzie, staromodna cera – „krew z mlekiem”, szerokie, nie umalowane usta, teraz wygięte w uśmiechu, duże piwne oczy wyrażające przyjazną ciekawość, pukle włosów w kolorze sobolowego futra.

– Nazywam się Dora – wyjaśniła, kiedy on nadal tylko się jej przyglądał. – Te tutaj mieszkam. Potrzebujesz pomocy?

– Nie. – Jedną odsunął butem pudło i zamknął drzwi tu przed sobą Dory.

Przez chwilę stała z otwartymi ustami, zanim oprzytomniała.

– No, proszę. Witaj, siadaj – mruknęła, zwracając się w stronę własnych drzwi. Po chwili poszukiwała znalazła klucze, otworzyła drzwi zatrzasnęła je za sobą.

– Wielkie dzi ki, tatku – powiedziała do pustego pokoju. – Zdaje si e, znalazła mi prawdziwy skarb.

Rzuciła swoje rzeczy na sof w stulistne ró e, odrzuciła niecierpliwie włosy. Mo e i przyjemnie jest popatrze na tego typu, ale ona wolałaby kogo obdarzonego cho by cieniem s siedzkiej yczliwo ci. Ruszyła do staro wieckiego telefonu, postanawiaj c porozmawia z ojcem. I to tak, eby mu poszło w pi ty.

Zanim zdołała wykr ci cały numer, dostrzegła kartk z narysowanym u dołu du ym, u miechni tym sercem. Quentin Conroy zawsze ozdabiał swoje listy i notatki rysunkami b d cymi ilustracj jego nastrojów. Dora odwiesiła słuchawk i zaczęła czyta .

– Izzy, moja najdro sza córeczko.

Dora skrzywiła si . Jej ojciec był jedyn osob na wiecie, która nazywała j tym zdrobnieniem.

Stało si . I dobrze si stało, miem twierdzi . Twój nowy lokator to młody człowiek, który pomo e Ci w ci szych pracach. Nazywa si – co mo esz sprawdzi w umowie wynajmu czekaj cej na twój podpis – Jed Skimmerhorn. Nazwisko pełne wyrazu, które wywołuje w moim umy le wizj krzepkich kapitanów lub dziarskich pionierów. S dz , e jest fascynuj co małomówny, a pod tymi spokojnymi wodami wyczuwam kł bi cy si wir. Nie potrafi wymy li dla mojej uwielbianej córki lepszego prezentu ni ten intryguj cy s siad.

Witaj w domu, moja pierworodna.

Twój oddany ojciec

Nie chciała da si rozbawi , ale nie mogła powstrzyma u miechu. Podst p był tak oczywisty. Zamknijmy j w niewielkim pomieszczeniu z atrakcyjnym m czyzn , a mo e – to tylko przypuszczenie – zakocha si w nim, wyjdzie za niego i da swojemu zachłannemu ojcu kolejne wnuki, które b dzie mógł rozpieszcza .

– Wybacz, tatku – mrukn ła. – Znowu si zawiedziesz.

Odło yła li cik i przeci gn ła palcem po umowie, szukaj c podpisu Jeda. Znalazła nieczytelny gryzmoł. Podpisała si linijk ni ej, na obu kopiach. Wzi ła jedn z nich, przeszła przez korytarz do drzwi Jeda i zapukała.

Kiedy drzwi si otworzyły, wepchn ła przez nie dokument, dziobi c nim w pier Jeda.

– B dziesz tego potrzebował do akt personalnych.

Wzi ł go od niej. Spu cił oczy, czytaj c dokument, potem podniósł je znowu. Jej spojrzenie nie było ju przyjazne, lecz chłodne. I o to mu chodziło.

– Dlaczego stary zostawił to tobie? Uniosła brod .

– Ten stary – powiedziała spokojnie – to mój ojciec. Budynek nale y do ranie, dlatego mo e mnie pan uwa a za swój gospodyn , panie Skimmerhorn.

Odwróciła si na pi cie i dwoma susami przemierzyła cały korytarz. Zatrzymała si z r k na gałce drzwi. Odwróciła si .

– Czynsz prosz mi płaci dwudziestego pierwszego ka dego miesi ca. Mo e pan wkłada czeki pod moje drzwi i oszcz dzi sobie zarówno płacenia za znaczek, jak i kontaktów z innymi lud mi.

Weszła do pokoju i zamkn ła drzwi, tryumfalnie przekr caj c w nich klucz.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dobiegłszy truchtem do schodów prowadz cych do mieszkania, Jed poczuł, e wypocił ju z siebie niemal zupełnie pół butelki whisky. Jednym z powodów, dla których wybrał to miejsce, była poło ona w okolicy siłownia. Dzi rano sp dził bardzo satysfakcjonuj ce

półtorej godziny, podnosząc hantle, boksując z całej siły w worek treningowy i wygotowując z siebie w saunie poranny ból głowy.

Teraz, czując się już niemal jak człowiek, pragnął tylko dzbanka czarnej kawy i jednego z tych podgrzewanych w kuchence mikrofalowej niada, które trzymał w lodówce. Wyciągnął z kieszeni dresu klucze i wszedł do holu. Natychmiast usłyszał dźwięki muzyki. Na szczęście nie kołdy, lecz aksamitny lament gospel w wykonaniu Arethy Franklin.

Przynajmniej nie będzie mnie drażnić muzyczny gust gospożyny, pomyślał i poszedłby prosto do swojego pokoju, gdyby nie zauważył otwartych drzwi jej pokoju.

Moja kolej, zrozumiał Jed i poszedł dalej, trzymając ręce w kieszeniach. Wiedział, że poprzedniego wieczora był dla niej rozmyślnie niegrzeczny. A ponieważ zrobił to z rozmysłem, nie widział powodu, dla którego miałby ją przeprosić. Chociaż właściwie między nimi byłoby zawrzesienie pokój z kobietami, do której należał ten budynek.

Uchylił drzwi nieco bardziej i zajrzał do środka.

Jej mieszkanie – podobnie jak jego – było przestronne, wysokie i pełne słonecznego światła, wpadającego przez trzy frontowe okna. Na tym koło czyły się podobieństwa.

Nawet pamiętając lata spędzone w domu podczas cym w szwach od przedmiotów, poczuł oszołomienie. Nigdy dotąd nie widział tylu rzeczy upchniętych na takiej powierzchni. Jednocześnie zajmowały szklane półki, na której tłoczyły się stare buteleczki, puszki, figurynki, malowane pudełeczka i inne drobiazgi, których nie był nawet w stanie nazwać. Była tu spora liczba stołów, a każdy z nich zastawiony szkłem i porcelaną. Kanapa w jaskrawe kwiaty ugięła się pod ciężarem poduszek, kontrastując z bladymi kolorami wielkiego dywanu. Multaśki kobierzec, pomyślał. W jego rodzinnym domu w salonie leżał podobny dywan.

Jak przystało na ten por roku, przy oknie stała choinka, której każda gałązka przystrojona była kolorowymi bombkami i lampkami.

Drewniane saneczki wylądowane były po brzegi sosnowymi szyszkami. Ceramiczny bałwanek w cylindrze u miechał si do niego.

Powinien tu panowa cisk, pomy lał Jed. I nieporz dek. Ale jako tak si nie stało. Miało si tylko takie wra enie, jakby kto otworzył magiczny kufer ze skarbami.

Na rodku tego wszystkiego znajdowała si jego gospodyni. Miała na sobie szkarłatny kostium z prost spódnic i obcisł , dopasowan marynark . Dopóki stała tyłem do niego, wyd ł wargi i zastanowił si , co mu wczoraj padło na oczy, e nie zauwa ył tego szykownego małego ciałka.

Usłyszał, jak Dora pomrukuje, towarzyszc gł bokiemu głosowi Arethy. Oparł si o framug drzwi, czekaj c, a powiesi na cianie le cy na sofie obraz i odwróci si . Trzeba jej przyzna , e kiedy go dostrzegła, zdołała zdusi krzyk niemal zupełnie.

– Drzwi były otwarte – powiedział.

– Ach – a poniewa w przeciwie stwie do swojego sublokatora nie miała zwyczaju postugiwa si monosylabami, wzruszyła ramionami. – Przenosiłam cz towarów z pi tra do sklepu – poprawiła sobie grzywk . – Jakie problemy, panie Skimmerhorn? Nieszczelne rury? Myszy?

– Nie zauwa yłem.

– wietnie – przeszła przez pokój i znikn ła mu z oczu. Musiał wej do rodka, eby j zobaczy . Stała przy stole w jadalni i nalewała z porcelanowego dzbanka do pasuj cej do niego delikatnej fili anki co , co pachniało jak cudownie mocna kawa. Dora odstawiła dzbanek i uniosła brew. Jej pozbawione u miechu wargi były równie jaskrawoczerwone jak jej kostium.

– Potrzebuje pan czego ?

– Troch tego nie zaszkodzi – wskazał dzbanek.

Teraz chce by dobrym s siadem, pomy lała Dora. Podeszła bez słowa do szklanej szafki o płynnych liniach i wyj ła z niej fili ank i spodek.

– mietanki? Cukru?

– Nie.

Ponieważ nie wszedł dalej, przyniosła mu kawę. Pachniał mydłem, zauważyła. Bardzo przyjemnie. Ale jej ojciec nie pomylił się co do jego oczu. Były twarde i niezgięalne.

– Dziękuję – dwoma łykami opróżniła delikatnie filiżankę i oddał jej jej. Jego matka też miała takie, przypominał sobie. Kilka sztuk zbiła, rzucając nimi w ścianę.

– Stary... twój ojciec – poprawił się – powiedział, że mogłoby przynieść tu mój sprzątaczkę. Ale ponieważ nie on tu rządzi, pomyślałem, że uzgodni to z tobą.

– Sprzątaczkę? – Dora odstawiała filiżankę na stół i wzięła swoją. – Jaki sprzątaczkę?

– Atlas, hantle...

– A – odruchowo omiotła spojrzeniem jego ramiona i pierś. – Nie sądzę, żeby miało mi to przeszkadzać – chyba nie będzie słychać hałasu w godzinach otwarcia sklepu.

– Bardzo uważaj – spojrzał na obraz, przyglądał się mu przez chwilę. Ten też jest jaskrawy, pomyślał, jak kolory, które nosiła, jak jej zwałajęce z nóg perfumy. – Wiesz co, on wisi do góry nogami.

Uśmiechnęła się szybko, ołóż nieważność. Rzeczywiście postawiła go na sofie tak, jak wisi na aukcji. – Też uważaj. Zamierzam powiesić go inaczej.

Podeszła do obrazu i przekręciła go. Jedną zmrużyła oczy.

– Tak jest dobrze – zawyrokował. – Nadal jest brzydki, ale wisi dobrze.

– Ocena dzieła sztuki jest równie subiektywna jak sama sztuka.

– Jak wolisz. Dziękuję za kawę.

– Nie ma za co. Aha, Skimmerhorn?

Zatrzymał się i spojrzał przez ramię. Słaby błysk niecierpliwości, jaki mignął w jego spojrzeniu zaintrygował ją bardziej niż jakikolwiek przyjacielski uśmiech.

– Jeśli chcesz zmienić coś w umeblowaniu swojego nowego mieszkania, przyjdź do mojego sklepu. „Salon Dory” ma coś dla ciebie.

– Nie potrzebuj niczego. Dzi ki za kaw .

Dora nie przestała si u miecha , kiedy usłyszała stuk zamykanych drzwi.

– Mylisz si , Skimmerhorn – szepn ła. – Ka dy czego potrzebuje..

* * *

Wysiadywanie w brudnym biurze i słuchanie „Beach Boys”, wy piewuj cych „Little St. Nick” nie nale ało do wymarzonych porannych zaj Anthony’ego DiCarla. Ale chciał usłysze par odpowiedzi, i to zaraz.

Dokładniej mówi c, to Finley chciał je usłysze , i to wczoraj. DiCarlo szarpn ł swój jedwabny krawat. Na razie nie dowiedział si niczego, ale dowie si . Wczorajszy telefon z Los Angeles nie pozostawiał adnych w tpliwo ci. Ma w ci gu dwudziestu czterech godzin znale przesyłk albo poniesie konsekwencje.

DiCarlo nie miał najmniejszej ochoty sprawdza , na czym maj one polega .

Spojrzał na du y biały zegar, wiesz cy nad jego głow i przyjrzał si , jak miniaturowa wskazówka przeskakuje z 9:04 na 9:05. Zostało mu mniej ni pi tna cie godzin. R ce zacz ły si mu poci .

Przez du szyb , ozdobion otłuszczonym wi tym Mikołajem i jego elfami, widział tuzin urz dników z działu ekspedycji, stempluj cych i wysyłaj cych paczki.

DiCarlo prychn ł, kiedy do pokoju wszedł przera aj co tłusty kierownik działu wysyłkowego z niewiarygodnie paskudn peruk .

– Przepraszam za zwlok , panie DiCarlo – na nalanej twarzy Billa Tarkingtona widniał znu ony u miech. – Pewnie wyobra a pan sobie, jaki tu mamy młyn. Ale nie narzekam, o nie. Interes kwitnie.

– Czekałem pi tna cie minut, panie Tarkington – wysyczał DiCarlo z nie tajon w ciekło ci . – Nie mam czasu do stracenia.

– A kto go ma o tej porze roku? – pan Tarkington, promieniując niesłabnącym zadowoleniem, podreptał do automatu z kawą.

– Proszę państwa. Chce pan kawy? Postawię pana na nogi.

– Nie. Popelniono błąd, panie Tarkington. Ten błąd należy natychmiast naprawić.

– No cóż, zobaczymy, co się da zrobić. Może mi pan opowiedzieć o tym dokładniej?

– Przesyłka, którą nadałem do Abila Winesapa z Los Angeles, nie była ta, która dotarła do Los Angeles. Czy wyraziłem się jasno?

Tarkington wydziła pulchny dół warg.

– A to zagadka. Ma pan przy sobie list przewoźny?

– Oczywiście. – DiCarlo wyjął z kieszeni marynarki złożony dokument.

– Zobaczymy – tłuste, serdelkowate palce poruszały się z niewymuszoną gracją po klawiaturze komputera. – Przyjrzyjmy się – zastukał znowu w klawisz. – Przesyłka została nadana siedemnastego grudnia... Tak, tak, jest. Wyruszyła w terminie. Powinna dotrzeć do adresata wczoraj, najdalej dzisiaj.

DiCarlo przeczesał palcami faliste czarne włosy. Idioci, pomylił. Jestem otoczony przez idiotów.

– Przesyłka dotarła na czas. Popelniono pomyłkę.

– Chce pan powiedzieć, że paczka, którą posłaliśmy do Los Angeles, miała dotrzeć gdzie indziej?

– Nie. Chcę powiedzieć, że pomyłono zawartość przesyłki.

– A to dziwne – Tarkington pociągnął łyk kawy. – Czy przesyłkę pakowano tutaj? Och, zaraz, zaraz, już pamiętam – zlekceważył odpowiedź DiCarla. – My daliśmy skrzynię i papier pakowy, pan nadzorował pakowanie. No więc jak, do jasnej anielenki, mogliśmy zamienić przesyłki?

– To ja o to pytam – syknął DiCarlo i uderzył dłonią w biurko.

– Dobrze, dobrze, tylko spokojnie – Tarkington, niezłomnie uprzejmie, nacisnął kilka klawiszy. – Przesyłka została wysłana

przez sekcję trzeci. Zobaczmy, kto był wtedy na dy urze. A, jest. Zdaje się, że to Opal – obrócił się z u miechem. – Dobra pracownica. I miła kobietka. Ostatnio miała kłopoty.

– Jej prywatne życie nie interesuje mnie. Chc z nią pomówić.

Tarkington pochylił się i nacisnął przycisk na biurku.

– Opal Johnson proszona jest o zgłoszenie się do biura pana Tarkingtona – wyłczył przycisk i poklepał się po tupecyku, by upewnić się, że jest na swoim miejscu.

– Na pewno nie chce pan kawy? A p czusia? – uniósł wieczko tekturowego pudełka. – Mamy dziś takie pyszne, z truskawkowym nadzieniem. I gniazdka.

DiCarlo wydał z siebie dźwięk przywodziący na myśl czajnik z gotującą się wodą i odwrócił się. Tarkington skusił się na paczkę.

Kiedy do magazynu weszła wysoka, uderzająca czarna kobieta, DiCarlo mocno zacisnął pięści. Miała na sobie wytarte dżinsy i jasnozielony sweter oraz pas z torebką Nike. Włosy cięgnęła w k dzierzawy kucyk. Wokół jej lewego oka widać było śluznicę siniaki.

Otworzyła drzwi i zajrzała do korytarza. Pokój natychmiast napełnił się hałasem pasów transmisyjnych i zapachem zenerwowania.

– Pan mnie wzywał, panie Tarkington?

– Tak, Opal. Pozwól na minutkę. Chcesz kawę?

– Jasne – zamknęła drzwi i rzuciła szybkie spojrzenie na DiCarlo, próbując zorientować się, co ją czeka.

Wyleję ją. Daj jej wymówienie, bo tydzień temu nie wyrobiła normy po tym, jak Curtis ją pobili. Ten obcy był przedstawicielem właścicieli i zaraz jej to powie. Trzaskami sięgnęła z torebki papierosa i zapaliła go.

– Mamy tu problem, Opal.

Wydawało się jej, że gardło ma pełne piasku.

– Tak, prosz pana?

– To jest pan DiCarlo. W zeszłym tygodniu nadawał u nas paczkę, na twojej linii.

Szybki skurcz strachu sprawił, że zakrztusiła się dymem.

– W zeszłym tygodniu mieliśmy wiele przesyłek, proszę pana.

– Tak, ale kiedy paczka dotarła na miejsce, okazało się, że popełniono błąd – westchnął Tarkington.

Opal wbiła wzrok w podłogę, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

– Czy wysłano ją pod niewłaściwy adres?

– Nie, adres się zgadzał. Nie zgadzała się zawartość, a ponieważ pan DiCarlo osobiście nadzorował pakowanie, jesteście my zdezorientowani. Myślałem, że może przypominaś coś sobie.

Czuła ból w brzuchu, wokół serca, za oczami. Koszmar, który gnębił ją od tygodnia, zaczynał się urzeczywistniać.

– Bardzo mi przykro – zmusiła się, by to powiedzieć – trudno sobie przypomnieć poszczególne paczki. Pamiętam tylko, że w zeszłym tygodniu pracowałam na trzy zmiany i w domu musiałam moczyć stopy, tak mnie bolały.

Kłamie, uznał DiCarlo. Widział to w jej oczach, w jej postawie. Postanowił poczekać na odpowiednią chwilę.

– No cóż, warto było spróbować – Tarkington machnął ręką z rezygnacją. – Daj mi znać, jeśli ci wpadnie coś do głowy. W porządku?

– Tak, proszę pana. Oczywiście – zgmiotła papierosa w popielniczkę z dentystycznego aluminium i pospieszyła na swoje miejsce pracy.

– Będziemy szukać, panie DiCarlo. W trybie przyspieszonym. „Premium” dba o satysfakcję klienta. Dostawa z ręką do ręki – z uśmiechem zacytował motto towarzystwa.

– Pewnie – Tarkington już go nie interesował, choć przyjemno ciwałoby go w ten jego tłusty brzuch. – A jeśli nadal chce się pan cieszyć poparciem firmy E.F. Incorporated, znajdzie pan rozwinięcie tej zagadki.

DiCarlo okręcił się, hałaśliwie działy wysyłkowy i podszedł do stanowiska Opal. Obserwowała go rozbieganymi oczami. Kiedy

zatrzymał się przy niej, serce zaczęło tak mocno tłuc się jej o
ebra, a jej to zabolęło.

– Kiedy masz przerw obiadow ?

Z zaskoczenia niemal upu cięła pudło z naczyniami.

– Wpół do dwunastej.

– Spotkamy się przed głównym wej ciem.

– Jadam w kafeterii.

– Nie dzisiaj – powiedział mi kko DiCarlo. – Chyba nie
chcesz straci pracy. Wpół do dwunastej – powtórzył i wyszedł.

* * *

Bała się mu sprzeciwi , bała się go posłucha . O wpół do
dwunastej wło yła swój oliwkow park i ruszyła do wyj cia dla
personelu. Mogła się tylko modli , by zdołała się opanowa do
czasu, gdy okr y budynek.

Wolałaby darowa sobie ten obiad. Czuła, e jajko, które
zjadła dzi rano na niadanie, mogło wróci w ka dej chwili.

Do niczego się nie przyznawaj, nauczyła sama siebie. Nie
udowodni ci niczego, je li się sama nie przyznasz. Je li j
wyrzuc , mo e znów wróci na zasiłek. Jej duma to zniesie,
pytanie tylko, czy znios to jej dzieci.

Dostrzegła DiCarla opieraj cego się o czerwonego porsche.
Ju sam samochód był szalowy, ale m czyzna – wysoki,
ciemnowłosy, efektownie przystrzy ony i ubrany w popielaty
kaszmirowy płaszcz – skojarzył się jej z gwiazdorem filmowym.
Przera ona, że kniona, onie mielona zbli yła się do niego ze
spuszczon głow .

DiCarlo nie odezwał się ani słowem. Po prostu otworzył
drzwi. Usta mu zadrgały, kiedy westchn ła, siadaj c na
skórzanym obiciu. Usiadł za kierownic i przekr cił kluczyk w
stacyjce.

– Panie DiCarlo, naprawdę bym chciała panu pomóc. Ja...

– Pomo esz mi – wrzucił jedynek i samochód mign ął spod
Premium niczym smukły czerwony pocisk. Ju wiedział, jak z ni

post powa . Odczekał dwie minuty, by jej nerwy napi ły si wystarczaj co. U miechn ł si z satysfakcj , kiedy odezwała si pierwsza.

– Dok d jedziemy?

– W adnym konkretnym kierunku.

Mimo frajdy z przeja d ki samochodem pierwszej klasy musiała obliza zeschni te wargi.

– Musz wróci za pół godziny. Nie zareagował. Przyspieszył.

– O co tu chodzi?

– Có , powiem ci, Opal. Wydawało mi si , e lepiej nam pójdzie z dala od twego miejsca pracy. Zdaje si , e ostatnio nie le si nam czyła .

– Chyba tak. Przed wi teczna gor czka.

– I chyba wiesz, co si stało z moj paczk . Jej oł dek skurczył si bole nie.

– Niech pan posłucha, ju panu mówiłam, nie wiem, co si tam stało. Wykonuj swoj prac najlepiej, jak potrafi .

Skr cił ostro w prawo, a zaparło jej dech.

– Wiemy oboje, e to nie ja zawałam spraw , kotku. Mo emy to załatwi miło albo niemiło.

– Nie... nie rozumiem.

– Ach, tak – jego głos miał ten sam niebezpieczny ton co pomruk porsche.

– Rozumiesz doskonale. Co si stało, Opal? Spodobało ci si to, co było w skrzyni i chciała to mie dla siebie? Przedwczesna premia gwiazdkowa?

Zesztywniała i niemal zapomniała o strachu, ogarni ta furi .

– Nie jestem złodziejka . Przez całe ycie nie ukradłam nawet ołówka. Zawracaj pan, panie wa ny.

Odezwał si w niej temperament, który – jak z upodobaniem powtarzał jej Curtis – przysparzał jej siniaków i połamanych ko ci. Przypomniawszy to sobie, po ostatnich słowach przywarła do drzwi.

– Mo e i nie ukradła tego – zgodził si , kiedy znowu zaczął a dr e - dlatego b dzie mi bardzo przykro poda ci do s du.

Gardło si jej ciskało.

– Do s du? Jak to do s du?

– Znikn ła przesyłka, któr mój pracodawca uważa za cenn . Policja zapewne zainteresuje si jej losem, je li we mie si za t spraw . I nawet je li jeste niewinna, w twoich aktach personalnych pozostanie wielki znak zapytania.

Panika zaczęła łomotać w jej głowie jak serce dzwonu.

– Nawet nie wiem, co było w tej skrzyni. Ja j tylko wysłałam. To wszystko.

– Oboje wiemy, e kłamiesz. – DiCarlo zaparkował przed sklepem samoobsługowym. Oczy Opal zaszkliły si łzami, w dłoniach skr cała pasek torebki. Jeste my ju prawie w domu, uznał i odwrócił si , mierz c j zimnym, bezlitosnym spojrzeniem.

– Nie chcesz straci pracy, prawda, Opal? Nie chcesz, eby ci zwolnili i aresztowali, prawda?

– Ja mam dzieci – wyszlochała, a pierwsze łzy potoczyły si jej po policzkach. – Ja mam dzieci.

– Wi c lepiej o nich pomy l, pomy l o tym, co si z nimi stanie, je li wpakujesz si w tak histori . Mój pracodawca to twardy człowiek – przesun ł spojrzeniem po blednych siniakach na jej twarzy. – Wiesz ju chyba co o twardych m czynach, czy nie?

Podniosła r k do policzka w obronnym ge cie.

– Ja... ja upadłam.

– No pewnie. Zaraz po tym, jak si nadziała na czyj pi , prawda? – nie odpowiedziała, wi c naciskał j dalej, teraz ju delikatniej. – Je li mój szef nie dostanie tego, co do niego nale y, nie b dzie si m cił na mnie. Przerzyje całe Premium, a natrafi na ciebie.

Dowiedz si , pomy lała w panice. Zawsze si dowiaduj .

– Ja tego nie wzi łam, naprawdę . Ja tylko...

– Tylko co? – warknął DiCarlo, powstrzymując się z całej siły, by nie złapał jej za gardło i nie wydusił z niej całej reszty.

– Jestem w Premium od trzech lat – zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu chusteczki, pocięła nosem. – Za rok mogę awansować.

DiCarlo opanował szarpnięcie nim furi i zmusił się do spokoju.

– Słuchaj, wiem, co znaczy wspinać się po tej drabinie. Ty pomóż mi, ja zrobię to samo dla ciebie. Nie ma powodu, żeby o tym, co mi powiesz, dowiedział się ktoś trzeci. To dlatego chciałem wyjść z gabinetu Tarkingtona.

Opal zaczęła szukać papierosa. DiCarlo uchylił automatycznie okno.

– Nie pójdzie pan z tym do pana Tarkingtona?

– Nie, jeżeli będziesz ze mną szczerą. W przeciwnym wypadku... – by wzmocnić efekt, ujął w palce jej brodzik i uszczypnął ją, odwracając ją ku sobie.

– Przepraszam. Strasznie mi przykro. Myślałam, że się nie pomyliłam, ale nie byłam pewna. I bałam się. W zeszłym miesiącu straciłam kilka dni, bo mój najmłodszy chorował, a tydzień temu spódnica mi się rozciągnęła, to było wtedy, jak upadłam i... i tak się spieszyłam, że pomyliły mi się faktury – odwróciła się i skuliła, jakby oczekiwała ciosu. – Upadłam. Zakręciło mi się w głowie i upadłam. Myślałam, że wszystko wylało na mnie, ale nie byłam tak całkiem pewna. Ale wczoraj sprawdziłam w dokumentach i wszystko było w porządku. Wiemy, że się wybroniłam i że nikt się nie dowie.

– Pomyliła paczki – powtórzył. – Jakiej idiotce zakręciło się w głowie, pomyliła adresy i dlatego teraz mój tyłek jest w niebezpiecznym stanie.

– Przykro mi – wyszlochała. Może jej nie uderzy, ale będzie musiała za to zapłacić. Zawsze musiała komuś płacić. – Bardzo mi przykro.

– Będzie ci jeszcze bardziej przykro, jeżeli ci przesyłka się nie znajdzie.

– Wczoraj sprawdziłam dokumenty. Tylko jedna niewymiarowa skrzynia została wysłana tego ranka – nadal pl cz c, si gn ła znów do torebki. – Zapiisałam adres, panie DiCarlo – wyci gn ła karteczk , a on j pochwycił.

– Sherman Porter, Front Royal, Wirginia.

– Prosz , panie DiCarlo. Ja mam dzieci – otarła oczy. – Wiem, e popełniłam bł d, ale w Premium naprawd si staram. Nie mog straci pracy.

Schował karteczk do kieszeni.

– Sprawdź to, a potem zobaczymy. Otworzyła usta, oszołomiona nadzieją .

– Nie powie pan tego panu Tarkingtonowi?

– Powiedziałem: zobaczymy.

DiCarlo wł czył silnik i zacz ł planowa dalsze posuni cia. Je li sprawy nie potocz si po jego my li, wróci po Opal, a wtedy posiniaczy jej nie tylko twarz.

* * *

Przy ladzie Dora wła nie sko czyła wi za wielk czerwon kokard na prezencie, który zakupił u niej klient.

– Oszaleje na ich widok, panie O'Malley – zadowolona z transakcji, poklepała opakowane w jaskrawy papier pudełko z kobaltowymi solniczkami. – A b dzie jeszcze bardziej zaskoczona, bo nie widziała ich u mnie.

– Bardzo pani dzi kuj , e zechciała mnie pani zawiadomi , panno Conroy. Prawd mówi c, nie rozumiem, co moja Hester w tym widzi, ale z pewno ci mogłaby wykupi cały sklep.

– B dzie pana za to uwielbia – zapewniła go Dora. Wzi ł pudło pod pach . – A ja z przyjemno ci zatrzymam dla pana drugi komplet a do waszej rocznicy lubu w lutym.

– To miłe. Mo e mam wpłaci na nie zaliczk ?

– Niekoniecznie. Wesołych wi t, panie O'Malley.

– I wzajemnie – ruszył do wyj cia, zadowolony klient rze ko zmierzaj cy do domu.

W sklepie było jeszcze sześciu klientów, dwóch obsługiwanych przez pomocnic Dory, Terri. Wizja kolejnego pomyślnego dnia przed nią tęcznym okresem zastoju przebiegała serce Dory dreszczem. Okrążywszy ladę, przeszła do głównego pomieszczenia sklepu. Miała sposób na to, by zaoferować pomoc bez narzucania się.

– Jeśli macie państwo jakie pytania, proszę zgłaszać się do mnie.

– Proszę pani?

Dora odwróciła się z uśmiechem. W postawnej matronie z polakierowanymi czarnymi włosami było coś nieuchwytnie znajomego.

– Tak, w czym mogę pomóc?

– Jeśli mogę prosić – wskazała trochę bezradnie na jeden ze stołów, z towarami – to służę do przytrzymywania drzwi, prawda?

– Tak. Oczywiście mogę na to wam w dowolny sposób, ale ich pierwotne przeznaczenie jest właśnie takie. – Dora obejrzała się odruchowo, usłyszawszy dzwonek u drzwi. Na widok Jeda uniosła lekko brew.

– Czemu z nich pochodzi z okresu wiktoriańskiego – cięgnęła. – Najpowszechniejszym materiałem było zwykle elazno – podniosła pokład koszyk z owocami. – Tęgi u wiano prawdopodobnie w salonie. Mamy też jeden przyjemny egzemplarz z mlecznego szkła. – Znajdował się w jej pokoju, ale przecież mogła go tu przynieść.

Kobieta przyglądała się wypolerowanemu do połysku mosi nemi limakowi.

– Moja siostrzenica i jej mąż właśnie wprowadzili się do swojego pierwszego własnego domu. Na Gwiazdkę dam im osobne prezenty, ale chciałabym też znaleźć im coś do domu. Sharon, moja siostrzenica, czemu pani kupuje.

– O... A czy zbiera coś szczególnego?

– Nie. Lubi zwykle starocie.

– Tak jak ja. Czy wybrała pani te figurki do przytrzymywania drzwi z jakiego konkretnego powodu?

– Wła ciwie tak. Moja siostrzenica du o szyje. Urz dziła sobie liczny pokój. Wie pani, to stary dom, a oni go odnowili. Drzwi pokoju, w którym zwykła szy , ci gle si zamykaj . Poniewa wkrótce urodzi im si dziecko, moja siostrzenica na pewno b dzie chciała słysze , co si dzieje w pozostałej cz ci domu, a to jest taki zabawny pomysł – ale wahała si nadal. – Kilka miesi cy temu kupiłam tu Sharon na urodziny taki nocnik. Szalenie si jej spodobał.

To potr ciło znajom strun .

– Sunderland, z ab wymalowan wewn trz na denku. Oczy kobiety zabłysły.

– O, wła nie. e te to pani zapami tała.

– Bardzo lubiłam ten przedmiocik, pani...

– Lyle. Alice Lyle.

– ...pani Lyle. Ciesz si , e znalazł si w dobrych r kach. – Dora przytkn ła palec do ust i zamilkła na chwil . – Skoro si jej podobał, mo e polubi te co w tym stylu? – wzi ła do r ki mosi n statuetk słońa.

– To Jumbo – wyja niła. – Ten od P.T. Barnuma.

– Tak – kobieta wyci gn ła r k i zachichotała, przejmuj c go od Dory. – Oj, ci ki, prawda?

– Jeden z moich ulubie ców.

– Jest doskonały – zerkn ła dyskretnie na karteczk z cen przy przedniej nodze Jumbo. – Tak, zdecydowanie.

– Czy mam go zapakowa ?

– Tak, prosz . I... – si gn ła po pi cego psa, którego Dora kupiła na aukcji zeszłego dnia. – Czy to mogłoby pasowa do pokoju dziecinnego?

– Według mnie jest uroczy. Sympatyczny i przyjacielski pies strażnik.

– Chyba wezm i jego, jako pierwszy prezent na powitanie najmłodszego dziecka w rodzinie. Honorujecie karty Visy?

– Oczywiście cie. To chwilę potrwa. Może zechce pani odpocząć i napić się kawy?

Dora wskazała stolik, na którym zawsze stały dzbanki z kawą i herbatą, a także tace z ładnymi ciasteczkami. Potem zabrała oba przedmioty i podeszła do lady.

– Więcej zakupów, Skimmerhorn? – zagadnęła, mijając go.

– Szukam... jakby to powiedzieć... prezentu dla gospodyni.

– Pomyszkuj sobie. Zaraz przyjdę.

Jed nie wiedział całkiem na pewno, w poszukiwaniu czego włączył się. Po prostu w szwach mieszkania Dory było niczym w porównaniu z bogactwem towarów oferowanych przez „Salon Dory”.

Były tu delikatne figurynki, przy których czuł się wielki i niezdarny, jak niegdyś w bawialni matki. A jednak nic tutaj nie było sztywne czy formalne. Buteleczek różnej wielkości, przez wietlone promienie słoneczne, a prosiły się, by je czymś napełnić. Były plakaty reklamujące wszystko, od pigułek na trawienie do pasty do butów. Białe ołnierzki toczyły bitwę na tle starych plakatów wojennych.

Następny pokój był równie zatłoczony. Misie i czajniczki. Zegary z kukułkami i korkociągami. Mieście, pomysł. Ludzie mogą znajdować na to wyszukane określenia, jak na przykład „kurioza”, ale to miłośnicy, ot co.

Wziął od niechcienia małe emaliowane pudełko, ozdobione malowanymi różyczkami. To się chyba spodoba Mary Pat, zdecydował.

– No, Skimmerhorn, zaskoczysz mnie – Dora uśmiechnęła się, obramowana framugą drzwi. Wskazała na pudełko i podeszła bliżej. – Popisałeś się znakomitym gustem. To piękny egzemplarz.

– Pewnie trzyma się w tym spinki albo pierścionki, tak?

– Pewnie tak. Pierwotnie trzymano w tym muszki. Osiemnastowieczna szlachta nosiła to, by zakryć dzioby po ospie, a potem... ponieważ były modne. Ten egzemplarz to

Staffordshire, około 1770 roku – spojrzała na niego znad pudełka
miej cymi si oczami – cena wynosi dwa tysiące pićset.

– To? – przedmiocik gin ła w jego dłoni.

– No có , to Jerzy III.

– No tak – odstawił puzderko na stół tak ostro nie, jakby
mogło wybuchn . Fakt, e mógł sobie na nie pozwolić , nie grał
tu adnej roli. – Nie całkiem o to mi chodziło.

– Nie szkodzi. Mamy tu co dla ka dego. Prezent dla
gospodyni, tak? Mrukn ła i rozejrzała si po pokoju. Teraz bała si
tu czegokolwiek dotyka . Znowu tkwiła po uszy we
wspomnieniach, w bolesnych wspomnieniach z dzieci stwa, w
głównym salonie Skimmerhornów.

*Nie dotykaj tego, Jedydiaszu. Jeste taki niezdarny. Niczego
nie szanujesz.*

Powstrzymała wspomnienia, którym towarzyszyła powracaj ca
wo perfum Chanel i cherry.

Nie udało mu si pohamowa ponurego spojrzenia.

– Mo e powinienem po prostu nazbierać kwiatków.

– To te mile. Ale długo nie postoj . – Dora bawiła si jego
prawdziwie m sk nieporadno ci . – Butelka wina jest równie
dopuszczalna. Niezbyt to oryginalne, ale ujdzie. Mo e opowiesz
mi co o tej gospodyni?

– Po co?

Zaskoczenia w jego głosie rozbawiło j jeszcze bardziej.

– ebym mogła wyrobić sobie o niej zdanie i pomóc ci co
wybra . Czy to jedna z tych wysportowanych, towarzyskich pa
czy raczej spokojna kurka domowa, która sama piecze chleb?

Mo e nie chciała, ebym poczuł si głupio, pomy łał Jed, ale i
tak si poczułem.

– To ona mojego partnera... mojego byłego partnera. To
piel gniarka, pracuje w szpitalu. Ma dwoje dzieci i lubi ksi ki.

– Jakie ksi ki?

– Nie wiem.

Do diabła, dlaczego nie poszedł do Kwiaciarni?

– No dobrze – poklepała go po ramieniu, poczuwszy przypływ litości. – Robiła w domu zapracowaną, oddaną kobietę. Współczujciej i romantycznie. Podarunek... – zamyśliła się, przykładając palec do ust – nie powinien być zbyt osobisty. Co do domu – kiwnęła głową, odwróciła się i ruszyła w kierunku pokoju, zaaranżowanego tak, by przypominał starożytną śpialnię. – To chyba będzie niezłe – wzięła drewniany słój z kamiennymi ozdobami mosiężnymi okuciami.

Jedną zmarszczył brwi. Jego rodzice nie przepadali za oryginalnymi antykami.

– Co to, co to ciasteczka?

– Sprytnie – Dora uśmiechnęła się do niego. – To słój na biszkopty. Wiktoriański. Z dobrego drewna, z około 1870 roku. Praktyczny i ozdobny prezent, i kosztuje czterdzieści dolarów. Nie wiaciej niż tuzin takich z długimi łądęgami, albo butelka francuskiego wina.

– Dobra. Chyba się jej spodoba.

– Widzisz? Nie bolało. Mogłoby ci pomóc w czymś jeszcze? Jaki prezent gwiazdkowy w ostatniej chwili?

– Nie, starczy – poszedł za nią do głównego pomieszczenia sklepu. Pachniało przytulnie, uznał. Jakby jabłkami. Słychać tu było cichą muzykę. Rozpoznał fragment „Dziadka do orzechów” i z zaskoczeniem poczuł, że się odprężył. – Skąd bierzesz to wszystko?

– O, stąd i owdąd – rzuciła przez ramię – aukcje, pchle targi, wyprzedaje.

– I włącznie z tego wybierasz.

Rozbawiona, wyjęła spod lady pudełko i otworzyła je.

– Ludzie kolekcjonują różne rzeczy, Skimmerhorn. Czasem nie zdajcie sobie z tego sprawy. Nigdy nie zbierała w dzieciństwie kulek albo komiksów, kart z baseballistami?

– Zbierałem – musiał je ukrywać, ale zbierałem je. Owinęła pudełko bibułką, szybko i sprawnie.

– A wymieniałeś się tymi kartami? – zerknęła na niego i pochwyciła jego spojrzenie, skierowane na jej dłoń.

– No pewnie – mruknął. Jego oczy podniosły się i spotkały jej spojrzenie. Przyglądając się jej przy pracy, czuł coś w rodzaju, jakby przeszywała go płonca strzała. – Tak, jak ty bawiła się lalkami.

– Akurat, właśnie nie się nie bawiłam – jako nie mogła się uśmiechnąć. Przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał ją po prostu jednym kląpnięciem szczerki. – Nigdy ich za bardzo nie lubiłam. Wolałam wyobrazić sobie koleżanki, bo może na było je zmienić w kądła posta, jaka mi się zamarzyła. – Bardziej starannie, niż było trzeba, przykryła pudełko wieczkiem ze złotym napisem „Salon Dory”. – Zmierzam do tego, żeby wiesz, że dzieci zbiera przedmioty i handluje nimi. Niektóre nigdy z tego nie wyrastają. Mam ci to opakowanie? Za darmo.

– Jasne, jasne.

Przestąpił z nogi na nogę, potem ruszył wzdłuż lady. Właśnie ciwemu nie interesowało go to, co tam stało, ale chciał trochę odetchnąć. Nie po raz pierwszy czuł takie podniecenie, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się to dlatego, że kobieta ma ładne dłonie. I wielkie brzozy oczy, dodał. No i ten uśmiech, pomyślał. Zawsze sprawiała takie wrażenie, jakby miała się z jakiegoś sekretnego artu.

Zdaje się, że zbyt długo pozostawał w celibacie, skoro pocięła go kobieta, która się z niego wyśmiewa.

Chyba żeby zabił jakoś czas, podniósł przedmiot w kształcie piłki baseballowej z dziurą na górze. Na boku widniał napis „Mountain Dew”. Dziwne. Jedną obrócił przedmiot w dłoni. Chyba nie mógł to być jakiś dziwny kubek.

– Ciekawe, prawda? – Dora postawiła przed nim zabawnie zapakowaną paczkę.

– Zastanawiałem się, co to.

– To do zapalania zapalek – wzięła jego rękę i położyła ją na piłce, po czym powiodła jego kciuk po jej szorstkim boku. – Zapalaki wsadza się w tę dziurę, a zapala się na tym boku. „Mountain Dew” to whisky. Ten przedmiot pochodzi z kogoś

dziewiętnastego wieku – spostrzegła na jego twarzy cie u miechu. – Podoba ci si ?

– Inne ni wszystko.

– Przepadam za tym, co jest inne ni wszystko – przez chwil przetrzymała w dłoni jego r k . – We to. Uwa aj to za podarunek do nowego mieszkania.

Niewytłumaczalny urok, jaki miał dla niego przedmiocik, wyra nie zbladł.

– Zaraz, ja nie...

– To nie ma wielkiej warto ci, nie tej wyra anej w pieni dzach. To s siedzka przysługa, Skimmerhorn. Nie b d wredny.

– No, skoro tak ładnie prosisz. Roze miała si i u cisa ła przelotnie jego dło .

– Mam nadziej , e prezent spodoba si twojej przyjaciółce. – Odeszła do innego klienta, ale k tem oka obserwowała go, dopóki nie opu cił sklepu.

Niezwykły m czyzna, pomy łała. A ona interesowała si tylko tym, co niezwykle.

* * *

DiCarlo mkn ł przez Van Wyck w kierunku lotniska, w jednej r ce trzymaj c słuchawk telefonu, a w drugiej – kierownic .

– DiCarlo – oznajmił, uzyskawszy poł czenie. – Daj mi pana Finleya – spojrział na zegarek, czuj c, e nerwy zaczynaj go ponosi . Zd y, zapewnił sam siebie. Musi zd y .

– Panie DiCarlo – głos Finleya zapełnił cały samochód – rozumiem, e ma pan dobre wie ci.

– Znalazłem ródło problemu, prosz pana – DiCarlo przybrał z wysiłkiem spokojny, urz dowy ton. – Wiem ju , co si stało. Jaka idiotka z Premium pomyliła przesyłki. Nasz wysłała do Wirginii. Wyprostuj wszystko bezzwłocznie.

– Ach tak – nastąpiła długa pauza. Wn trzno ci DiCarla zlodowaciały. – A co pan rozumie pod słowem „bezzwłocznie”?

– Wła nie jad na lotnisko, prosz pana. Mam bilet na lot do Dulles, gdzie czeka na mnie wynaj ty samochód. Przed pi t czasu wschodniego b d we Front Royal. Mam nazwisko i adres, pod który wysłano nasz przesyłk – jego głos osłabł. – Wszystko to na mój koszt, prosz pana.

– To bardzo m drze z pa skiej strony, panie DiCarlo, poniewa nie ycz sobie, eby pa ska pomyłka kosztowała mnie wi cej ni dotychczas.

– Oczywiście, prosz pana. I ma pan moje słowo na to, e pomyłka zostanie naprawiona najlepiej jak mo na.

– Znakomicie. Spodziewam si , e zgłosi si pan, kiedy znajdzie si pan na miejscu. Oczywiście urz dniczka ma zosta zwolniona.

– Oczywiście.

– I, panie DiCarlo... Pan wie, jak wa na jest dla mnie ta przesyłka, prawda? Ma pan u y wszystkich sposobów, by j odnale . Dokładnie wszystkich.

– Zrozumiałem.

Kiedy poł czenie zostało przerwane, DiCarlo u miechn ł si ponuro. Teraz, kiedy jego wi ta legły w gruzach, bardziej ni ch nie zastosuje owe „wszystkie sposoby”. Dokładnie wszystkie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– **N**iezły bałagan, co? – zadaj c to retoryczne i mało zabawne dla DiCarlo pytanie, Sherman Porter przetrz sał swój sfatygowany katalog.

– Chyba mieli my to u nas, ale była tu aukcja – ci gn ł Porter, beztrasko niszczc uporz dkowany katalog. – I tak

potworny cisk. Przeszło t dy mnóstwo towarów. Cholera jasna, gdzie ta kobieta to trzyma?

Porter wysun ł kolejn szuflad .

– Nie wiem, jak mam tu co znale , skoro Helen wyjechała na tydzie do córki w Dystrykcie Kolumbii. Zd ył pan w ostatniej chwili. Wła nie miałem zamkn biuro a do Nowego Roku.

DiCarlo spojrział na zegarek. Kwadrans po szóstej. Czasu było coraz mniej. Co do cierpliwo ci, nie pozostało po niej nawet ladu.

– Mo e nie wyraziłem si dostatecznie jasno, panie Porter. Zwrot tej przesyłki jest dla mojego pracodawcy spraw niezmiernej wagi.

– Wyraził si pan dostatecznie jasno. Facet chce tego, co do niego nale y. O, to wygl da obiecuj co – Porter wyj ł cienki plik ładnie zadrukowanych arkuszy. – Prosz spojrze , Helen zrobiła list wszystkich towarów, które sprzedali my na aukcji, numery eksponatów, ich cen . Ta kobieta to skarb.

– Mog spojrze ?

– Jasne, jasne. – Porter wr czył mu papiery i otworzył doln szuflad swojego biurka. Wyj ł z niej butelk Four Roses oraz dwie zakurzone lepkie szklanki. U miechn ł si do DiCarlo szeroko.

– Napije si pan ze mn ? Jest ju po godzinach, a to rozgrzewa. DiCarlo zmierzył butelk spojrzeniem pełnym niesmaku.

– Nie.

– No to sam si napij .

DiCarlo wyj ł własn list i zacz ł porównywa . Wszystko si zgadzało, zauwa ył, rozdarty mi dzy uczuciem ulgi a rozpacz . Wszystko sprzedane. Pies z chi skiej porcelany, porcelanowa figurynka, abstrakcyjny obraz, orzeł z br zu i wypchana papuga. Przepadła wielka i paskudna gipsowa replika Statuy Wolno ci, a tak e para podpórek pod ksi ki w kształcie syren.

DiCarlo miał w kieszeni jeszcze jedn list . Widniały na niej opisy tego, co tak starannie i z poniesieniem wielkich kosztów zostało ukryte w ka dej sztuce towaru. Grawerowany wazon Emile Galie, wart niemal 100 tys. dolarów, para netsuke, skradzionych z prywatnej kolekcji w Austrii, których cena z powodzeniem mogłaby osi gn sze ciocyfrow sum . Zabytkowa szafirowa brosza, rzekomo noszona przez Mari Stuart.

A lista nie ko czyła si na tym. Mimo zimna panuj cego w pokoju DiCarlo zacz ł si poci . Ani jeden przedmiot nie znajdował si ju w posiadaniu Portera. Sprzedane, pomy lał DiCarlo, wszystko sprzedane.

– Nic nie zostało – powiedział słabo.

– Mówiłem, e mieli my tu niezły młyn. – Porter, zadowolony na samo wspomnienie o tym, nalał sobie kolejnego drinka.

– Musz mie te towary.

– Wiem, ale ta przesyłka nadeszła na chwil przed aukcj i nie mieli my czasu, eby zrobi inwentarz. Jak s dz , pa ski szef i ja mogliby my pu ci Premium z torbami – poniewa pomysł ten miał swój urok, Porter u miechn ł si i znowu poci gn ł łyk alkoholu. – Zało si , e zgodziłby si na niezł sumk .

– Pan Finley chce mie swój własno , nie proces s dowy.

– To ju jego sprawa – Porter doko czył swojego napitku, wruszaj c ramionami. – Helen trzyma tu gdzie list naszych klientów. Wysyła im zawiadomienia o aukcjach. Jedyne, co mo emy teraz robi , to przekopa si przez ni i dopasowa adresy do tych nazwisk, które wpisała przy sprzedanych towarach. Mo e pan si do nich zgłosi , wyja ni to wszystko. Oczywi cie zwróci mi pan za to moje towary, prawda?

Zebranie towaru Finleya zajmie mi kilka dni, pomy lał DiCarlo z niesmakiem. Kilka tygodni.

– Oczywi cie – skłamał.

Porter wyszczerzył zęby. W jego mniemaniu udało mu się już sprzedać jedną partię towaru. Teraz sprzeda następną – wszystko za tę samą cenę.

– Lista.

– A tak, tak – czuję w głowie przyjemny szumek Four Roses, Porter zaczął grzebać w szufladzie i wyciągnął metalową kasetkę pełną kart.

– Proszę, niech się pan nie spieszy. Mam mnóstwo czasu.

* * *

Dwadzieścia minut później DiCarlo opuścił kompletnie pijanego Portera. Była w tym wszystkim jedna iskierka nadziei. Porcelanowa figurynka nadal znajdowała się we Front Royal, jako własność Thomasa Ashwortha, handlującego cegami i antykami. DiCarlo uczył się kurczowo, mimo wszystko, i szybkie odzyskanie jednego przedmiotu ułagodzi Finleya i wyjedna mu więcej czasu.

Przejechał przez wiatła po drodze do sklepu Ashwortha, DiCarlo opracowywał strategię. Wejdzie, wyjdzie, nieporozumienie, wszystko w tonie lekkiej, przyjacielskiej pogawędki. Ponieważ Ashworth zapłacił za to tylko czterdzieści pięć dolarów, DiCarlo zdecydował się odkupić ją za sumę przynoszącą Ashworthowi zysk.

Wszystko może na załatwić szybko i bezboleśnie. Kiedy będzie już miał figurkę, zatelefonuje do Finleya i powie mu, że wszystko jest pod kontrolą. Przy odrobinie szczęścia Finleyowi wystarczy to, że będzie mógł przekazać list Winesapowi, a DiCarlo wróci do Nowego Jorku, by cieszyć się z tamtego Bożego Narodzenia.

Ta wizja poprawiła mu humor do tego stopnia, że pod pieknywał, parkując samochód przed sklepem Ashwortha. Ale kiedy wysiadł z wozu i stanął na chodniku, jego beztroski uśmiech zgasł.

ZAMKNIĘTE

Duży karton na oszklonych drzwiach wejściowych miał mu się prosto w oczy.

DiCarlo w dwóch susach znalazł się przy drzwiach, szarpąc klamkę, tłukąc pięci w szkło. To niemożliwe. Dopadł wielkiej wystawy, osłonił ramkami oczy i przylgnął do szyby. Nie zobaczył niczego z wyjątkiem ciemnych kształtów i własnej niedoli.

Finley nie przyjmie do wiadomości żadnych wykrętów, wiedział to. Nie będzie tolerował czegoś tak błędnego jak pech.

Potem, wyszczerzywszy zęby w grymasie, DiCarlo dojrzał porcelanowe figurynki, mężczyzn i kobiet w balowych strojach, obejmujących się lekko.

Obleczone w rękawiczki dłonie DiCarla zacisnęły się w pięści. Nie pozwoli, by zatrzymała go szyba i zamek.

Pierwszym krokiem było przestawienie samochodu. DiCarlo powoli okrążył dzielnicę, obserwując policyjne wozy patrolowe. Zaparkował dwie przecznice dalej. Ze schowka na rękawiczki wziął to, czego – jak się dzieli – potrzebował. Latarkę, rubkę, rewolwer. Wsunął je do kieszeni swego kaszmirowego płaszcza.

Tym razem nie podszedł do sklepu od frontu. Ruszył boczną ulicę pewnymi, niespiesznymi krokami kogoś, kto wie, dokąd idzie. Ale jego oczy zerknęły na boki, ostro nie, czujnie.

To małe miasto, a w taki zimny, wietrzny wieczór większość obywateli siedzi w domu przy kolacji. W drodze do tylnego wejścia do sklepu Ashwortha DiCarlo nie spotkał nikogo.

Nie zauważył też żadnego systemu alarmowego. Z pomocą rubki szybko wyłamał zamek. Trzask rozłupywanego drewna wywołał u niego ból na jego twarzy. Przez lata zorganizowanych kradzieży niemal zapomniał o prostej przyjemności włamywania się do domu. DiCarlo wliźnił się do podwórka, zamykając za sobą drzwi. Włączył latarkę, przysłaniając jej światłem korytarz i omiótł nim pomieszczenie. Wszedł do pomieszczenia, przypominającego małe, zagracone biuro. Ze względu na konieczność zatarcia ładów, DiCarlo zdecydował, że włamanie ma wyglądać na zwykłą kradzież.

Z niecierpliwości, ponieważ marnował czas, otworzył kilka szuflad i sprawdził ich zawartość.

Zachichotał, ujrawszy plastikowe banknoty. Wyglądało na to, że szczęście uśmiechnęło się do niego. Szybko przeliczył znajdujące się w środku drobne banknoty; jego zdobycz wynosiła około pięćset dolarów. Wepchnął pieniądze do kieszeni i, zadowolony, powrócił w stronę pomieszczenia sklepowego, przywiecając sobie latarkę.

Uznał, że przyda się mu drobny akt wandalizmu. Rozbił lampę z mlecznego szkła i wazy *Capo di Monte*, wybierając przedmioty na chybił trafił. Potem, ponieważ sprawiło mu to aż tyle przyjemności, przewrócił kopniakiem stół z kolekcji małych filiżanek do kawy.

Pod wpływem impulsu, a tak jest dlatego, że minęło wiele lat, odkąd czuł dreszcz towarzyszący kradzieży, wepchnął sobie do kieszeni kilka puzderek z emalii *cloisonne*.

Z uśmiechem zacisnął palce na figurynce.

– Mam ci, dziadku – mruknął i zamarł, bo na schodach po jego prawej stronie zapaliło się światło. Klęknął pod nosem, DiCarlo wcisnął się pomiędzy palisandrowy komód a mosienny lamp z kloszem.

– Zadzwoń na policję – starszy mężczyzna w samym flanelowym szlafroku schodził po schodach, trzymając kij do golfa. – Już tu jadłeś, więc lepiej stój, gdzie stoisz.

DiCarlo rozpoznał w głosie mężczyzny podeszły wiek i strach. Przez chwilę ze zdziwieniem poczuł zapach pieczonego kurczaka. Stary mieszka na górze, rozumiał DiCarlo i przeklął się za to, że włamał się do sklepu niczym amator.

Ale nie było czasu na robienie sobie wyrzutów. Trzymając figurki pod pachami niczym piłki futbolowe, popędził w stronę Ashwortha, tak jak niegdyś gnał Piłtą Aleją z upchniętymi pod marynarkę torbami od Gucciego, nalecymi do jakiejś starszej kobiety.

Starszy mężczyzna jęknął, zachwiał się na schodach, a znoszony szlafrok załopotał wokół jego sinych nóg, cienkich jak

ołówki. Łapię powietrze, zamachnę się niezgrabnie kijem golfowym, walczę o utrzymanie równowagi. DiCarlo, bardziej odruchowo niż wiadomie, chwycił za kij, kiedy ten ze wstępnym przeciwnikiem powietrze tuż koło jego ucha. Ashworth upadł. Jego głowa uderzyła ze złowieszczym trzaskiem w okutą elazem skrzynię na wale.

– O Jezu – DiCarlo z obrzydzeniem trząsnął głową. Ashwortha czubkiem buta. W świetle słonecznym z mieszkania na piętrze widział strugę krwi, otwarte wpatrując się w niebo. Ogarnięty furii kopnął ciało jeszcze dwa razy, zanim udało mu się opanować.

Wyszedł tylnymi drzwiami i odszedł spory kawałek od domu, kiedy usłyszał wycie syren.

* * *

Telefon odezwał się, kiedy Finley zmieniał kanały na ekranach swoich licznych telewizorów.

– DiCarlo na drugiej linii, proszę pana.

– Połóż go – Finley nacisnął odpowiedni guzik. – Ma pan dla mnie jakieś wiadomości?

– Tak. Tak, proszę pana. Mam porcelanowe figurki i listy adresów, pod którymi znajdują się inne przedmioty – DiCarlo mówił z samochodu, jadąc na lotnisko z dozwoloną prędkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Finley odczekał chwilę.

– Proszę to wytłumaczyć.

DiCarlo zaczął od Portera, zatrzymując się co kilka zdań, by wyczuć, czy Finley chce, żeby mówił dalej.

– List wyślę panu faxem, jak tylko znajdę się na lotnisku.

– Tak, proszę to zrobić. Jest pan nieco... niespokojny, panie DiCarlo.

– No tak, proszę pana, właściwie to miałem tu mały problem z odzyskaniem tej figurki. Nabył ją sprzedawca antyków z Front Royal. Kiedy przybyłem na miejsce, zastałem jego sklep

zamkni ty. Wiedz c, e zale y panu na szybkich rezultatach, włamałem si do niego. Handlarz był na pi trze. Zdarzył si wypadek, prosz pana. Ten człowiek nie yje.

– Ach tak – Finley przyjrzał si swoim paznokciom. – Wi c, jak rozumiem, zaj ł si pan Porterem.

– Zaj łem si ...

– Mo e powi za pana z tym... wypadkiem, czy tak? A powi zanie z panem, panie DiCarlo, jest powi zaniem ze mn . Proponuj , eby zerwał pan to powi zanie szybko i ostatecznie.

– Ja... ja wła nie jad na lotnisko...

– Wi c zawróci pan i pojedzie w przeciwn stron , dobrze? I prosz si nie fatygowa z faxem. Kiedy sko czy pan porz dkowa sprawy w Wirginii, zjawi si pan tutaj, z figurk . Przedyskutujemy nast pne posuni cia.

– Mam przyjecha do Kalifornii? Prosz pana...

– Do południa, panie DiCarlo. Jutro zamykamy wcze nie. wi ta, pan rozumie. Co do lotu, prosz si skontaktowa z Winesapem.

– Tak, prosz pana – DiCarlo odło ył słuchawk i zjechał na najbli szy zjazd. Modlił si , eby Porter nadal był w biurze, pijany tak, by mógł mu wpakowa kulk w mózg bez wi kszego kłopotu.

Je li natychmiast nie wyprostuje tego wszystkiego, nigdy nie zd y na wi teczn kolacj .

– Naprawd , Andrew, naprawd nie musisz mnie odprowadza .

W odruchu samoobrony, który zrozumie mo e tylko kobieta miertelnie znudzona, Dora zablokowała drzwi własnym ciałem. Daj mi wej , pomy lała, i zamkn drzwi na klucz. Wtedy, na osobno ci, b dzie mogła swobodnie bi głów w cian .

Andrew Dawd, dyplomowany ksi gowy, dla którego ulgi podatkowe i papiery warto ciowe były szczytem rozkoszy, roze miał si rubasznie i uszczypn ł j w policzek.

– O nie, Doro, moja matka nauczyła mnie, e dziewcz ta nale y zawsze odprowadza a do drzwi.

– Ale mamusi tu nie ma – sykn ła Dora i weszła na nast pny schodek. – I pó no ju .

– Pó no? Nie ma nawet jedenastej. Chyba mnie nie wygonisz bez fili anki kawy, co? – błysn ł białymi z bami, na których wyprostowanie jego kochaj ca mama wydała maj tek. – Wiesz, e robisz najlepsz kaw w Filadelfii.

– To wrodzony talent – wła nie szukała jakiej uprzejmej formy odmowy, kiedy drzwi wej ciowe trzasn ły, otwieraj c si i zamykaj c.

Jed przeszedł przez korytarz z r kami w kieszeniach sfatygowanej skórzanej lotniczej kurtki. Była rozpi ta, a spod niej wyłaniał si podkoszulek i podarte d insy. Włosy Jeda były rozczochrane przez wiatr, na jego twarzy wida było zarost, co pasowało do jego ponurego spojrzenia.

Dora nie mogła zrozumie , dlaczego bardziej odpowiadał jej niebezpiecznie wygl daj cy Jed ni odziany w trzycz ciowy garnitur i wypolerowany na wysoki połysk ksi gowy. Prawdopodobnie to ze mn jest co nie w porz dku, uznała.

– Skimmerhorn.

Jed zmierzył wielbiciela Dory jednym szybkim spojrzeniem i wło ył klucz w swój zamek.

– Conroy – powiedział. Po tym powitaniu i po egnaniu jednocze nie wszedł do rodka i zamkn ł za sob drzwi.

– Twój nowy lokator? – ciemne, dobrze utrzymane brwi Andrew uniosły si niemal do połowy wysokiego czoła, znamionuj cego, jak zwykła zapewnia go matka, inteligencj , a nie zwykle łysienie.

– Tak – do nozdrzy Dory dotarł powiew wody toaletowej Andrew „Halston for men” i dra ni ca zwierz ca wo , któr zostawił po sobie w powietrzu Jed. Poniewa okazja znalezienia wymówki przepadła, otworzyła drzwi i wpu ciła Andrew do mieszkania.

– Wygl da nadzwyczaj... fizycznie – Andrew zmarszczył brwi i rozpostarł swój płaszcz na oparciu krzesła, dokładnie go wygładzaj c.

– Mieszka sam?

– Tak. – Dora, zbyt zgnębiona, by zwracać sobie głowę porządkom, ruszyła do kuchni, rzucając po drodze w stronę kanapy swoje norki, z około 1925 roku.

– Oczywiście cię rozumiem, jak waś jest, by mieszkanie nie stało puste, ale czy nie sądzisz, że byłoby mi drzej, a na pewno bezpieczniej, wynająć je innej kobiecie?

– Innej nić co? – mruknęła Dora, potem zamilkła i wsypała ziarną kawy do starego młynka z korbką. – Nie.

Mieląc kawę, zerknęła przez ramię na Andrew stojącego za nią z dezaprobatą co od tyłu ustami. – Ty tak nie uważasz?

– Oczywiście, że nie. Chodzi mi o to, że mieszkacie tutaj razem, sami...

– Nie. Ja mieszkam tutaj, sama. On mieszka tam.

Ponieważ drażniła ją, że dyszy jej w kark, podczas gdy ona pracuje, powiedziała:

– Moje włosy czysz jak muzykę, Andrew?

– Muzykę? – jego banalnie przystojna twarz rozjaśniła się – oczywiście cię. Nastrój.

Po chwili dobiegły jej ciche dźwięki starego nagrania Johny'ego Mathisa. O – o, pomyślała, a potem wzruszyła ramionami. Jeśli nie potrafiła poradzić sobie z księgowym, noszącym garnitur od Brooks Brothers i używającym wody kolońskiej Halstona, zasługiwała na to wszystko.

– Kawa będzie za chwilę – powiedziała, wracając do salonu. Andrew stał z dłońmi na woskich biodrach, przyglądając się jej nowemu obrazowi. – To jest co, prawda?

Przechylił głowę na prawo, potem na lewo.

– Z pewnością cię robi wrażenie – potem odwrócił się do niej i przez chwilę napawał się widokiem jej sylwetki w krótkiej czarnej sukience, wyszywanej płomiennymi detalem. – I pasuje do ciebie.

– Zdobyłam go na aukcji w Wirginii parę dni temu – usiadła na poręczach fotela, automatycznie zakładając nogi na nogi i nie

zwracaj c uwagi na spódnic , która odsłoniła wi ksz cz jej uda.

Andrew zwrócił na to nale yt uwag .

– Wydawało mi si , e miło b dzie z nim pomieszka przez jaki czas, dopóki nie znios go do sklepu – u miechn ła si , po czym – zauwa ywszy drapie ny błysk w jego oku – zerwała si z fotela jak oparzona. Zobacz , co si dzieje z kaw .

Ale on chwycił j za r k i przyci gn ł do siebie ruchem, który musiał mu si chyba wydawa stylowy. Dora z trudno ci unikn ła zderzenia z jego podbródkiem.

– Nie pozwólmy, eby muzyka si marnowała – powiedział, sun c płynnie po dywanie. Jego matka wydała fortun na lekcje ta ca, a on nie zamierzał teraz tego zmarnowa .

Dora zmusiła si do spokoju. Ta czy dobrze, pomy łała, dostosowuj c do niego swoje kroki. U miechn ła si i zamkn ła oczy. Pozwoliła, by muzyka i rytm uniosły j . Roze miała si mi kko, gdy Andrew przegi ł j stylowo.

Nie jest taki zły, pomy łała. Wygl da dobrze, nie le si rusza. Db a o matk i ma gruby portfel. To, e znudził j do szale stwa na kilku spotkaniach, nie oznacza jeszcze...

Nagle przycisn ł j mocno do siebie, niszc c jej pogodny nastrój. Mogła to zrozumie , a na pewno – przewidzie . Ale kiedy oparła dło o jego pier , wyczuła nie daj cy si pomyli z niczym innym kształt szczoteczki do z bów, któr trzymał w wewn trznej kieszeni marynarki.

Nawet znaj c jego sumiennie nie przypuszczała, e miał j przy sobie po to, by czy ci z by po ka dym posiłku.

Zanim zd yła to skomentowa , jego r ce w lizn ły si jej pod spódnic i chwyciły obleczone w jedwab po ladki.

– Hej? – owładni ta furi usiłowała mu si wyrwa , ale cho odczepił si od jej ust, zacz ł obcałowywa jej kark i rami .

– Och, Doro, Doro, pragn ci .

– To widz , Andrew.

Gdy starała si uwolni , jedna z jego r k si gn ła do jej zamka błyskawicznego.

– Ale mnie nie dostaniesz. A teraz pozbieraj się jako .

– Jeste taka piękna, a nie mog wytrzyma ...

– Wytrzymaj albo ci co zrobi .

Ale on tylko mamrotał co błagalnie, po czym popchnął ją i razem runęli na podłogę . To, co się stało, nie stało się z powodu ura onej godno ci kobiety przyduszonej szalejącym księciem . Chodziło o to, że padając zawadzili o stolik do kawy i kilka cennych drobiazgów rozbiło się o podłogę .

Miarka się przebrała. Dora wzięła kolano między uda Andrew. Gdy ją uderzył, uderzyła go z całych sił w oko.

– Precz! – wrzasnęła, odpychając go.

Przewrócił się, jak czarna, bezwładny jak ugotowana krewetka. Dora wstała.

– Jeśli nie wyjdiesz stąd natychmiast, znowu ci przywalę . Nie artuj . Podniósł się na czworaki.

– Zwariowała – wykrztusił i wyjął nie nobiał chusteczek , by otrzeć z twarzy krew.

– Masz absolutną rację – wzięła jego płaszcz i podała mu go.

– Lepiej odczep się ode mnie. A teraz wracaj do domu. I połóż sobie lód na to oko.

– Moje oko – dotknął go ostro nie, skrzywił się . – Co ja powiem matce?

– Wpadłem na drzwi. – Dora pomogła mu wstać , zgrzytał zębami ze zniecierpliwienia. – Wyjdź stąd, Andrew.

Usiłując zachować godność , wyrwał jej swój płaszcz.

– Zaprosiłem cię na kolację . Dwa razy.

– Potraktuj to jako złą inwestycję . Z pewnością ci zdołasz to sobie jako odliczyć – otworzyła drzwi w tej samej chwili, w której Jed uchylił swoje . – Wyjdź ! A jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, podbij ci oboje oczu.

– Wariatka – Andrew rzucił się w stronę drzwi. – Rozum ci odjęło.

– Wróć tu, to dopiero zobaczysz wariatka – zdjęła z nogi szpile i cisnęła nimi jak dyskiem. – Jeste zwolniony.

Pantofel odbił się od drzwi z przyjemnym łoskotem. Dora stała w jednym, łapiąc powietrze. Ciche odchrząknięcie Jeda kazało jej odwrócić się. Uśmiechnął się. Po raz pierwszy widziała jego uśmiech, ale akurat nie miała nastroju, by podziwiać, jak sympatyczna zrobiła się jego chmurna dotychczasowa twarz.

– Widzisz w tym coś dziwnego, Skimmerhorn? Zastanowił się.

– Tak.

Ponieważ minęło wiele czasu od chwili, kiedy czuł się tak rozbawiony, oparł się o framugę, nie przestając się uśmiechać.

– Interesująca randka, Conroy?

– Fascynująca – pokiwała korytarzem, by odzyskać pantofel. Wróciła, uderzając nim o dłoń.

– Ci głębiej tu jesteś?

– Na to wygłoda.

Dora westchnęła głębiej, przeciągnęła dłonie po zmierzwiionych włosach.

– Chcesz się napić?

– Jasne.

Przekroczywszy próg swojego mieszkania, zdjęła drugi pantofel i odrzuciła go w śmietnik za pierwszym.

– Brandy?

– Oczywiście – spojrzał na okruchy porcelany na podłodze. To musiał być ten hałas, który usłyszał. Między nim a krzykiem przeżył przykrą chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy interweniować. Nawet wtedy, gdy jeszcze nosił odznak, bardziej zaprzętały go rodzinne kłótnie niż łapanie przestępców.

Spojrzał na nalewającą brandy Dorę. Jej twarz była wciąż zarumieniona, oczy zamknięte. Poczuli ulgę, że wielka akcja ratunkowa nie była konieczna.

– Kim jest ten dupek?

– Moim byłym księgowym – Dora podała mu kieliszek. – Przez cały wieczór zanudzał mnie do obłędu gadaniną o długoterminowych zyskach i podatkach, a potem przyniósł mi się, że może tu przyjdzie zedrżeć moje ubranie.

Jed przesun 1 spojrzeniem po jej połyskliwej czarnej sukience.

– Fajne ubranko – uznał. – Nie rozumiem, po co tracił czas na podatki.

Dora poci gn ła kolejny łyk, przekrzywiła głow .

– Zaraz, zaraz. To chyba miał by komplement. Jed wzruszył ramionami.

– Wybrał najgorsz drog .

– Powinam złama mu nos – wyd ła usta, podeszła i kucn ła nad okruciami staroci.

– Spójrz tylko! – temperament znowu zacz 1 j ponosi . Uniosła zbit fili ank . – To Derby, z 1815 roku. A ta popielniczka to Manhattan.

Jed kucn 1 obok niej.

– Drogie?

– Nie w tym rzecz. To półmisek na słodycze Hazel Ware – maroka ski ametyst, z przykrywk .

– Teraz to skorupy. Zostaw to, jeszcze si skaleczysz. Daj mi szczotk albo co takiego.

Wstała i poszła do kuchni, mruzc pod nosem.

– Miał w kieszeni szczoteczk do z bów. – Wróciła, machaj c w ciekłe szczotk i mietniczk jak tarcz i dzid . – Pieprzon szczoteczk . Zakładam si , e ten sukinsyn był harcerzem.

– W kieszeni płaszcz miał pewnie zmian bielizny. – Jed delikatnie wyj 1 jej z r ki szczotk .

– Nie byłabym zdziwiona. – Dora wróciła do kuchni po wiadro na mieci. Skrzywiła si , gdy Jed wrzucił stert potłuczonego szkła do wiadra. – I par prezerwatyw.

– Ka dy szanuj cy si harcerz nosi je w portfelu.

Usiadła, zrezygnowana, na por czy fotela. Wygl dało na to, e było ju po przedstawieniu.

– A ty?

– Co ja?

– Byłe harcerzem?

Wyrzucił ostatni parti skorup i spojrzał na ni przeci gle.

– Nie. Ja byłem młodocianym przestpc . Lepiej uwa aj tu na nogi. Mogłem przeoczy jakie kawałki.

– Dzi ki.

Dora zbyt zdenerwowana, by usiedzie w miejscu, wstała i napełniła oba kieliszki.

– To co teraz robisz?

– Ty powinna wiedzie . – Jed wyci gn ł paczk papierosów i zapalił jednego. – Wypełniłem przecie formularz.

– Nie miałam czasu przeczyta . Mog wzi ? – wskazała paczk . – Lubi zapali w chwilach stresu lub wyj tkowego rozdra nienia.

Podał jej zapalonego ju papierosa i wzi ł nast pnego.

– Lepiej ci?

– Chyba tak – zaci gn ła si szybko i równie szybko wypu ciła dym. Nie lubiła tego smaku, a jedynie efekt. – Nie odpowiedziałe na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

– Co teraz robisz?

– Nic – u miechn ł si , cho nie widział w tym nic miesznego. Jestem i tak bogaty.

– Ach. Chyba opłaca si by młodocianym przestpc – zaci gn ła si znowu. Dym i brandy przyjemnie j oszołomiły. – Wi c co robisz przez cały dzie ?

– Niewiele.

– Mogłabym ci znale zaj cie.

Uniósł brew.

– Doprawdy?

– Uczciw prac , Skimmerhorn. To znaczy, je li potrafisz u ywa tych r k.

– Mówiono mi, e potrafi – jego palce pow drowały po jej plecach, przesun ły si po zamku błyskawicznym, rozpi tym niemal do talii. Po chwili wahania, zapi ł go starannie. Dora zadr ała, zatrzepotała rz sami.

– O... dzi kuj . Chodzi mi o to, e potrzebuj nowych półek w magazynie. A to miejsce ci gle wymaga tego czy tamtego.

- Twoja balustrada na zewn trz to kpiny w ywe oczy.
- Och – wyd ła usta, jakby krytyka dotyczyła jej. W przypadku Dory niemal tak było. – Umiesz j naprawi ?
- Chyba tak.
- Mog ci to potr ci z komornego albo zapłaci za godzin .
- Zastanowi si .

W tej chwili zastanawiał si nad czym innym, nad tym, jak strasznie chciało mu si jej dotkn . Tylko mu ni cie kciuka wzdłu wygi cia szyi. Nie wiedział dlaczego, ale chciał to zrobi , tylko to, i przekona si , czy puls u nasady tej długiej, smukłej szyi ulegnie przyspieszeniu.

Zły na samego siebie, odstawił pusty kieliszek i wymin ł j , id c po kubeł na mieci.

- Wynios to.
- Dzi kuj – musiała przełkn lin . Nie było to proste, bo co chyba utkwilo jej w gardle. To, w jaki sposób ten m czyzna patrzył na ni , przeszywało j najdziwniejszym uczuciem.

Idiotka, powiedziała do siebie. To przez ten długi i wyczerpuj cy dzie . Ruszyła w stron kuchni.

- Strasznie ci dzi kuj – powiedziała jeszcze raz. – Gdyby tu nie przyszedł, jeszcze przez godzin kopałabym wszystko, co stan łoby mi na drodze.

- Nie ma za co. Podobało mi si , e jego wykopała .
- U miechn ła si .
- Dlaczego?
- Miał paskudny garnitur – zatrzymał si w drzwiach i spojrział na ni . – Pr ki mnie strasznie wkurzaj .
- Zapami tam – zerkn ła w gór z u miechem. Jed powiódł spojrzeniem za jej wzrokiem i przyjrzał si gał zce jemioly, pod któr stali.

- Ładne – powiedział i, poniewa zdecydował, e b dzie oboj tny na takie sytuacje, ruszył do drzwi, omijaj c j .

- Hej! – Dora rozbawiona sytuacj i jego zachowaniem, złapała go za rami . – To przynosi pecha – oznajmiła. – Nie chc ci ga na siebie pecha.

Zareagował instynktownie, tak jak zareagowałby na strzał albo cios nożem w plecy. Najpierw zadziałał, potem pomyślał. Uchwycił jej podbródek, mocno, tak by nie mogła się poruszyć.

– Ci gasz na siebie co wi cej ni pech, Isadoro.

A potem pochylił się nad nią. Jego pocałunek smakował dymem i brandy, i ukrytą gwałtownością, która sprawiła, że krew odpłynęła z głowy Dory.

Boże, o Boże, zdołała tylko pomyśleć. A może to jej kochała, kiedy jej usta rozwarły się bezbronne.

Trwało to tylko kilka sekund, ale kiedy ją puścił, zachwiała się, patrząc na niego rozszerzonymi oczami.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, przeklinając siebie i walcząc z przymusami, by zrobić dokładnie to, czego próbował ten idiota księgowy.

– Nie radz mi wyrzucić – powiedział miłośnik. – Zamknij drzwi, Conroy.

Wyszedł z jej pokoju i przekręcił klucz w swoich własnych drzwiach.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Co się tak w ciekasz? – spytała Lea. Wpadła na zaplecze, by obwieścić sprzedaż towaru za pięćset dolarów i została skwitowana, po raz trzeci tego ranka, krótkim parsknieniem.

– Nie w ciekam się – warknęła Dora. – Jestem zajęta. – Właśnie pakowała czteroczęściową zastawę z fabryki Fire-King Dinnerware w deski wielokrzewu. – Ci, którzy odkładają kupowanie prezentów na dwa dni przed wyjazdem, powinni zostać odstrzeleni. Wiesz, że musiałam wysłać Terri, żeby odniosła to na drugi koniec miasta?

– Mogła powiedzieć klientowi, żeby sam po to przyszedł.

– I straci okazję sprzedać ją – odparowała Dora. – Mam nadzieję, że uda mi się z tymi skorupami od trzech lat. Mam nadzieję, że udało mi się komuś wcisnąć.

– Teraz już jestem pewna, że co tu nie gra – Lea splótła ramiona. – Opowiadaj.

– Wszystko gra.

Oprócz tego, że nie mogła spać w nocy. I pod żadnym, absolutnie żadnym pozorem nie przyznałaby, że jeden szybki pocałunek niemal ją znokautował.

– Mam za dużo roboty i za mało czasu, to wszystko.

– Ale to lubisz – wytknęła jej Lea.

– Już nie – Dora owinęła ostatni filianek w gazetę. – Gdzie ten głupi przykleić? – odwróciła się, a potem cofnęła gwałtownie, ujrawszy Jeda.

– Przepraszam – ale nie wyglądał, jakby było mu przykro. – Przyszedłem, żeby spytać, czy nadal chcesz, abym naprawił to poręcz.

– Poręcz? A... a, tak. – Nie cierpiała, kiedy coś jej wytręcało z równowagi. Bardziej tylko nie znosiła pomyłek.

– Potrzebujesz drewna czy czegoś w tym stylu?

– Czegoś w tym stylu – zerknęła na Lec, która chrząknęła znacząco.

– Ach... Leo, to jest Jed Skimmerhorn, nowy lokator. Jed, to moja siostra, Lea.

– Miło mi – Lea wyciągnęła do niego rękę. – Mam nadzieję, że już się pan urządził.

– Nie ma za bardzo czego urządzać. Mam naprawić poręcz czy nie?

– Chyba tak. Jeśli nie jesteś zbyt zajęty. – Dora znalazła przykleić i zajęła się paczką. Nagle za nią witał jej pewien pomysł. – Właściwie mógłby mi pomóc. Masz samochód, prawda? Tego thunderbirda?

– No i?

– Mam tu przesyłkę, a właściwie mam ich trzy. Nie mogę z nimi nikogo wysłać.

Jed wetknął kciuki w kieszenie spodni.

– Mam rozwozi przesyłki?

– Je li nie sprawiłoby ci to kłopotu. Zwróć ci za benzynę – obdarzyła go promiennym uśmiechem. – Może trafi ci się par napiwków.

Powinien posłać ją do diabła. Nie wiadomo dlaczego, nie zrobił tego.

– Jak mógłbym się oprzeć? – obejrzał z wyrażeniem niesmaku pudełko, które pakowała. – Dokąd?

– Wszystko jest napisane. Tam są dwa pozostałe – wskazała kciukiem pokój. – Możesz je przynieść do samochodu bocznymi drzwiami.

Jed podniósł paczkę bez słowa i zniknął za drzwiami.

– To jest twój lokator? – szepnęła Lea. Mylił galopowały w jej głowie, kiedy rzuciła się do drzwi, by przez nie wyjść. – Kto to? Czym się zajmuje?

– Właśnie ci powiedziałam. To Jed Skimmerhorn.

– Wiesz, o co pytam – obserwowała, jak Jed składa paczkę na tylnym siedzeniu swojego T-Birda, a potem jednym skokiem wróciła na swoje miejsce. – Idzie!

– Mam nadzieję – powiedziała sucho Dora. – Zabrał tylko jedną paczkę – wzięła drugą i podała mu ją, kiedy ukazał się w drzwiach. – Ostro nie – nakazała.

W odpowiedzi usłyszała tylko burknięcie.

– Widziałaś, jakie ma bary? – syknęła Lea. – John nie miał takich w moich najdziwniejszych fantazjach.

– Ofelio Conroy Bradshaw, wstyd się. John to cudowny facet.

– Wiem. Mam bzika na jego punkcie, ale on nie ma takich ramion. To znaczy ma, oczywiście cie, ale to tylko kości ci... Bo... e! – lewicy Jeda napięły się, kiedy ich właściciel nachylił się nad bagażnikiem.

Lea położyła dłoń na sercu i uśmiechnęła się.

– Miło upewnić się, że cię gdzie jestem wrażliwa na te sprawy. Wiem co zamierza robić?

– Z czym?

– Z... fakturami – powiedziała szybko. – Nie zapomnij ich dać panu Skimmerhornowi, Doro – wzięła je i wrzuciła osobie Jeda, który zjawił się po ostatniej paczce.

– Dziękuję – zmierzył Leę osobliwym spojrzeniem, jakby nie podobał się mu błysk w jej oku. – Mam naprawić te ruiny?

– Ruiny? A, porządek – przypomniała sobie Dora. – Jasne, jasne. Jestem tutaj w domu, wsuń rachunek pod drzwi.

Nie mógł się powstrzymać. Powinien i wiedział o tym, ale nie mógł.

– Znowu nami tni wielbiciel?

Uśmiechnęła się słodko i otworzyła przed nim drzwi.

– Pocałuj mnie gdzieś, Skimmerhorn.

– Myślałem o tym – mruknął. – Myślałem – z tymi słowami zniknął z oczu.

– Opowiadaj – zaczęła Lea. – Wszystko. Nie pomijaj żadnego szczegółu, nawet drobnego i nieistotnego.

– Nie ma o czym mówić. Wczoraj wieczorem umówiłam się z Andrew i Jedem wszedł akurat wtedy, gdy go wyrzucałam.

– Wyrzuciła Jeda?

– Andrew. Za duży o sobie pozwolił – powiedziała Dora, zachowując resztki cierpliwości. – Wyciągnęłam go. A teraz, skoro skończyłyśmy już z ploteczkami...

– Zaraz. Czym on się zajmuje? Mam nadzieję, że Jeda. Pewnie wyczyta hantlami czy czymś takim, żeby mieć takie bary.

– Nie wiedziałam, że masz fioła na punkcie ramion.

– Tylko jeśli jest do nich dołożone takie ciało. Zaraz, to na pewno tragarz.

– Nie.

– Murarz?

– Przegrała wycieczkę dla dwojga na Miami. Będzie grać o walizki Samsonite?

– No powiedz jej.

Przez całą swoją bezsenność Dora przeglądała dokumenty Jeda. Jedną z osób, które wystawiły mu referencje,

był komisarz James L. Riker z wydziału policji w Filadelfii. Co miało nawet sens, pomyślała, bo ostatnim miejscem zatrudnienia Jeda był właśnie wydział policji w Filadelfii.

– To były policjant.

– Były? – Lea otworzyła szeroko oczy. – Bo e, wyrzucili go, bo brał łapówki? Handlował narkotykami? Zabił kogo ?

– Powstrzymaj swoją wyobraźnię, kotku – Dora poklepała siostrę po ramieniu. – Daj słowo, powinna przejść pałeczki po rodzicach. Zrezygnował – wyjechała. – Parę miesięcy temu. Kiedy tata zadzwonił do komisarza, okazało się, że Jed ma referencje najlepsze z moich, a w policji nadal trzymaj dla niego miejsce, na wypadek gdyby zechciał wrócić.

– Hm. To dlaczego zrezygnował?

– To już nie nasz interes – powiedziała surowo, ale ciekawo drczyła jak podobnie jak Lea. Obie były tak samo zawiedzione, a ojciec nie spytał o to komisarza.

– Koniec zabawy – uniosła dłoń, by powstrzymać kolejną porcję pytań. – Jeśli nie pójdziemy pomóc Terri, zamieni moje życie w piekło.

– Dobrze. Jako mi ra niej wiedzie, że mieszkasz drzwi w drzwi z policjantem. To ci uchroni od kłopotów – zatrzymała się jak wryta, otwierając szeroko oczy. – O Bo e, Dory, czy on ma bro ?

– Nie sędz, żeby jej potrzebował przy rozwoju zastawy stołowej – wypowiedziawszy te słowa, Dora wypchnęła siostrę za próg.

* * *

W innych okolicznościach DiCarlo czułby się nieswojo, siedząc w eleganckiej recepcji z tandetnymi figurkami na kolanach. W tej konkretnej recepcji, ozdobionej reprodukcjami impresjonistów i rzeźbami Erte w ogóle nie czuł żadnej niestosowności sytuacji. Czuł przerażenie, miętelną przerażenie.

To, e zabił człowieka, nie obeszło go zbyt. Nie dlatego, e zabijanie sprawiało mu przyjemno , jak kuzynowi Guido. Po prostu nie robiło mu to ró nicy. Według niego wpakowanie kuli małego kalibru mi dzy oczy Portera było samoobron .

Ale podczas długiego lotu ze Wschodu na Zachodnie Wybrze e ogarn ł go niepokój. Zwa ywszy n kaj cy go pech, zacz ł si martwi , czy zło liwy los nie podsun ł mu niewła ciwej figurki. Wygl dała tak jak tamta, której pakowania dogl dał w Premium. W sprawiedliwym wiecie nie powinno by dwóch takich samych porcelanowych paskudztw w tak małym mie cie.

– Pan DiCarlo? – odezwała si urz dniczka recepcji. – Pan Finley oczekuje pana.

– A, tak. Ju . – DiCarlo wstał, bior c figurk pod pach , a drug r k poprawiaj c w zeł krawata. Ruszył za blondynk w stron mahoniowych drzwi o dwóch skrzydłach, po drodze rozci gaj c usta w przyjemnym u miechu.

Finley nie podniósł si zza biurka. Delektował si widokiem zdenerwowanego DiCarla, brn cego przez biały ocean dywanu. U miechn ł si zimno, spostrzegłszy smu k potu nad górn warg DiCarla.

– Panie DiCarlo, uporz dkował pan swoje sprawy w pi knym stanie Wirginia?

– Zaj łem si wszystkim.

– Wspaniale – wskazał miejsce na biurku, na którym DiCarlo postawił figurk . – To wszystko, co ma pan dla mnie?

– Mam te list pozostałych nabywców. I adresy. – DiCarlo si gn ł do kieszeni na skinienie Finleya. – Jak pan widzi, jest ich tylko czworo, a dwoje z nich to równie handlarze. S dz , e b dzie mo na bez problemu odwiedzi ich sklepy i po prostu odkupi te przedmioty.

– Tak pan s dzi? – powiedział mi kko Finley. – Gdyby umiał pan my le , panie DiCarlo, moja własno dawno by tu była. Jednak e – ci gn ł, kiedy DiCarlo nie odezwał si – zamierzam da panu okazj do odkupienia winy.

Wstał i powiódł palcem po słodkiej porcelanowej twarzyczce kobiety.

– Do niezczyście. Właśnie ciwie okropnie, zgodzi się pan ze mną ?

– Tak, proszę pana.

– A ten człowiek, ten Ashworth, zapłacił za to twardo walut . Fascynujące, nieprawda , co te rzeczy podoba się ludziom. Wystarczy spojrzeć : proporcje niezczyście, kolorystyka uboga, materiał po ledni. No cóż . Piękno tkwi wewnątrz.

Uniósł stojąc na biurku biały , nieużywany marmurowy popielniczek i utrzymał go w kobiecie.

DiCarlo, który przed kilkoma godzinami z zimną krwią zamordował dwóch mężczyzn, wzdygnął się , gdy popielniczka utrzymała drugą głowę . Patrzył, usiłując opanować rozdygotane nerwy, jak Finley systematycznie odłupuje kości z przynajmniej jednej figuerek.

– Brzydki kokon – mruknął Finley – chroni cię czyste piękno.

Z korpusu figuryнки wyjął mały przedmiot, zamknięty w twardej plastikowej osłonce. Otworzył ją delikatnie, a dźwięk, który przy tym wydał, przywołał na myśl mężczyznę znowu rozbiegającego się kochankę .

To, co ukazało się oczom DiCarla, przypominało złoty zapalniczek , ozdobiony bogatym ornamentem i wysadzany jakimiś kamieniami. Była dla niego niemal tak samo atrakcyjna, jak figurka, która ją kryła.

– Wie pan, co to jest, panie DiCarlo?

– Eee... Nie, proszę pana.

– To etui – Finley może miał się , pieszcząc złoty przedmiot. Przez chwilę był doskonale szczęśliwy: dziecko z nowymi zabawkami , mężczyzna z nową kochanką . – Co, rzecz jasna, nic panu nie mówi. W tym małym, ozdobnym pudełeczku przechowywano przybory do manikiuru albo do szycia, może haczyki do zapinania guzików lub przyrząd do gaszenia wiec. liczny drobiazg, który wyszedł z mody pod koniec dziewiętnastego wieku. Ten tutaj jest bardziej wyszukany niż pozostałe, jest ze złota, a te kamienie, panie DiCarlo, to rubiny. Na denku wyryte

s inicjały – odwrócił przedmiocik, uśmiechając się. – To prezent, który Napoleon dał swojej Józefinie. A teraz należy do mnie.

– To wspaniałe, proszę pana – DiCarlo z ulgą powiedział, że przyniósł właśnie ciw figurkę, a jego pracodawca jest zadowolony.

– Tak pan s dzi? – szmaragdowe oczy Finleya błysnęły. – Ten drobiazg to tylko ułamek mojej własności, panie DiCarlo. O, ciesz się, że go mam, ale przypomina mi, że moja przesyłka jest niekompletna. Przesyłka, dodam, której skompletowanie zajęło mi ponad osiem miesięcy, a przetransportowanie dwa. To prawie rok mojego życia, który ma dla mnie wielką wartość, że nie wspomnę o poniesionych kosztach – znów uniósł popielniczkę i opucił ją na delikatne fałdy sukni milady. Ostre odpryski porcelany mignęły niczym małe pociski.

– Rozumie pan moje strapienie, prawda?

– Tak, proszę pana – po plecach DiCarla zaczął ciec zimny pot. – Oczywiście.

– Więc teraz musimy dopilnować, by odzyskać naszą własność. Proszę usiąść, panie DiCarlo.

DiCarlo zmiotł drożdżki okruchy porcelany z ólejką skóry krzesła. Usiadł ostro nie na jego brzoisku.

– Więci ta nastrajają mnie wspaniałomyślnie, panie DiCarlo. – Finley również usiadł, wracając do pieszczonych etui lekkimi, kolistymi ruchami palców. – Jutro mamy Wigilię. Jak sądzę, ma pan własne plany na ten wieczór.

– No, właśnie ciwie to tak. Wie pan, moja rodzina...

– Rodzina – twarz Finley'a rozpromieniła się w uśmiechu. – Nie ma to jak rodzina podczas wigilii. Ja osobiście nie mam rodziny, ale to nieistotne. Ponieważ udało się panu przynieść mi ten niewielki ułamek mojej własności, i to tak szybko, z najwyższymi niech ci przyszołoby mi oderwanie pana od rodziny w Boże Narodzenie. – Splótł ramiona, nie wypuszczając z dłoni uwięzionego w nich etui. – Dam panu czas aż do pierwszego stycznia. Jestem wspaniałomyślny, wiem, ale, jak powiedziałem, są więci ta. Nastrajają mnie sentymentalnie. Chcę mieć wszystko,

co nale y do mnie, do pierwszego stycznia. Nie, nie, do drugiego – u miechn ł si szeroko. – Wierz , e mnie pan nie zawiedzie. Oczywi cie oczekuj meldunków o post pach poszukiwa , wi ta czy nie. Zastanie mnie pan tutaj b d pod moim prywatnym numerem. Prosz tego nie zaniedbywa , panie DiCarlo. Je li nie otrzymam od pana raportów w regularnych odst pach czasu, b d zmuszony poszuka pana osobi cie. Nie chcieliby my tego.

– Nie, prosz pana – przed oczami DiCarla przemkn ła przykra wizja cigaj cego go w ciekłego wilka. – Zaraz si do tego zabior .

– Doskonale. Ach, i niech Barbera zrobi kopi tej listy, zanim pan wyjedzie, dobrze?

* * *

Jed nie miał poj cia, dlaczego to robi. Nie miał adnego powodu, by zej do sklepu od razu z samego rana. W pewno ci wystarczało mu zapełnianie dnia wiczeniem w sali gimnastycznej, podnoszeniem hantli we własnym mieszkaniu, czytanie. Bóg jeden wie, jaki szalony impuls skłonił go do zej cia i zgłoszenia si na ochotnika do rozwoju enia paczek Dory.

Oczywi cie, przypomniał sobie z grymasem przypominaj cym niemal u miech, dostałem kilka niezłych napiwków. Kilka dolców, a w jednym niezapomnianym przypadku nawet kolorow puszk z bo onarodzeniowymi ciasteczkami domowej roboty.

Nic wielkiego, a tak interesuj co było obserwowa , o ile rado niej wita si człowieka, który trzyma paczk , a nie odznak policyjn .

Mógłby uzna całe to zamieszanie za rodzaj eksperymentu, ale teraz znowu wystawał na zimnie i naprawiał balustrad . Fakt, e gdzie gł boko, na jakim pierwotnym poziomie czuł z tego powodu zadowolenie, sprawiał, e czuł si jak idiota.

Musiał pracować na zewnątrz, ponieważ w całym budynku nie było dwóch metrów nie zajętej przestrzeni. Ponieważ koncepcja, jak miała Dora na temat narzeczonych, sprowadzała się do posiadania jakiegoś rubromatu i małego młoteczka z ozdobnymi rączkami, musiał wpaść do Brenta, żeby powiedzieć coś od niego. Oczywiście Mary Pat przesłuchała go na każdy temat, od wywierania do wywierania uczuciowego, jednocześnie nie nęczyła go ciastkami. Minęła godzina, zanim udało mu się zbiec, ocalając zdrowe zmysły i piłę mechaniczną Brenta.

Wydarzenia tego dnia nauczyły Jeda jednej ważnej rzeczy: od tej pory będzie się trzymał na uboczu, tak jak zamierzał. Kiedy nie chce się związków z innymi ludźmi, nie powinno się z nimi przestawać.

Przynajmniej nikt go nie nakłonił tutaj, na tyłach budynku, a praca sprawiała mu przyjemność, lubił czuć dotyk drewna pod palcami. Kiedy myślał o urządzeniu małego warsztatu na tyłach domu w Chestnut Hill. Miejsca, w którym mógłby majsterkować i budować, kiedy praca pozwalałaby mu na to. Ale to było, zanim pojawił się Donny Speck. Zanim ledźstwo przerodziło się w obsesję.

I, oczywiście, zanim zapłaciła za to Elaine.

Nie zdążył w porę wyrzucić tego z pamięci, zobaczył to znowu. Srebrny mercedes sedan rozpierający się godnie pod dachem gara u. Mglisty blask pereł na szyi Elaine. Przypomniawszy sobie, że były urodzinowym prezentem od któregoś z jej trzech mężów. Zobaczył, jak Elaine podnosi oczy tak samo wietliwie, jak był kitny jak jego, chyba to była jedyna cecha rodzinna, jak dziedziczyli wspólnie, i spojrzeli ciekawie w jego kierunku. Zobaczył w nich ciekawość i siebie samego, przede wszystkim przez wypieszczony trawnik, między starannie utrzymanymi krzakami róż, których zapach w lecie przyprawiał niemal o szaleństwo.

Słotać i nić na chromowanych sztachetach, olepiało go. Wysoko na jednej z trzech jabłoni ptak wyprawiał szaleństwa.

Potem eksplozja rozdarła powietrze jak palca pi i odrzuciła Jeda do tyłu, mi dzy ró e, których płatki osypały si , rozdmuchni te sił wybuchu.

Srebrny mercedes stał si kłbem ognia i czarnego smrodliwego dymu wznoszącego si wprost w letnie niebo. Wydawało mu si , e słyszy jej krzyk. Ale mo e był to zgrzyt rozdieranego metalu. Miał nadzieję , e tak. Miał nadzieję , e nie czuła niczego, kiedy jej palce przekruciły kluczyk w stacyjce i uruchomiły bomb .

Jed, zlany potem, zaatakował now balustrad elektryczną szlifierek Brenta. Sko czyło si . Elaine nie yje i nic nie mo e przywróci j yciu. Nie yje te Donny Speck, chwała Bogu. I bez wzgl du na to, jak bardzo Jed by sobie tego yczył, nie mógł go zabi jeszcze raz.

A teraz był dokładnie tam, gdzie pragn ł by . Sam.

– Ho, ho, ho!

Jed wył czył szlifierek , wytrcony z zamylenia przez rozlegający si za nim rubaszny głos. Odwrócił si , a jego oczy za szklami ciemnych lotniczych gogli zwiły si , kiedy przyglądał si , na wpół z rozdrażnieniem, na wpół z ciekawości , wi temu Mikołajowi o ró owych policzkach.

– Par dni za wczynie, co?

– Ho, ho, ho – powtórzył wi ty Mikołaj i poklepał si po przyjemnie okręgłym brzuchu. – Wyglądasz, jakby potrzebował trochę wi tecznej radości, synu.

Jed wyjął papierosa, z rezygnacją przyjmując przerw w pracy.

– Pan Conroy, prawda?

Twarz wi tego Mikołaja wyduła si .

– To te oczy – wyjął Jed, zapalając zapałkę . To oczy Dory, pomyślał. Du e i brzoze, i pełne radosnych sekretów.

– Och – Quentin przyjął rzecz do wiadomości i rozpoznał si . – Policjanci s pewnie uczeni, jak rozpoznawa przebrane osoby, tak jak aktorzy uczeni s przebiegania si . Ja, oczywiście, cie,

w czasie mojej kariery, zagrałem wielu obroców prawa i porzdku publicznego.

– Aha.

– Jak zwykle o tej porze roku, b dzieemy gra dla dzieci – poglądził jedwabist, biał brod. – Wystp mały, lecz satysfakcjonujcy i dajcy mo liwo zagrania jednej z najbardziej ukochanych postaci przed widzami, którzy w ni naprawd wierz. Dzieci to aktorzy, rozumiesz, a aktorzy to dzieci.

Jed, rozbawiony wbrew samemu sobie, pokiwał głow.

– Wierz panu na słowo.

– Widz, e Izzy zagoniła pana do pracy.

– Izzy?

– Moja ukochana córka. – Quentin poruszył brwiami i mrugn ł. – liczno ci, co?

– Jest w porzdku.

– I potrafi gotowa. Nie mam pojcia, sk d jej to przyszło. Na pewno nie od matki. – Quentin nachylił si konspiracyjnie: – nie chc narzeka, ale ugotowanie jajka to dla mojej ony tryumf kulinarny. Oczywi cie, ma talent do czego innego.

– Jestem tego pewien. Dora jest w rodku.

– Oczywi cie. Prawdziwa bizneswoman, ta moja pierworodna. W tym aspekcie przewy sza nas wszystkich – cho, oczywi cie, mogłaby zrobi na scenie olniewajc karier. Naprawd olniewajc – powtórzył z pewnym alem. – Ale ona wybrała wiat drobnego handlu. Geny to osobliwa rzecz, nieprawda?

– Nie mylałem o tym za bardzo.

Kłamstwo, pomyłał. Kłamstwo w ywe oczy. Wi ksz cz swego ycia strawił na rozmy laniach o dziedziczonych cechach.

– Niech pan posłucha, musz sko czy, zanim zrobi si ciemno.

– Mo e ci pomog? – powiedział Quentin, okazujc nieoczekiwany praktycyzm, który czynił go równie dobrym dyrektorem teatru, jak i aktorem.

Jed spojrział na wypchany brzuch, czerwony kostium i powiewaj c bia ł bawełnian bro d .

– A nie ma pan elfów do pomocy?

Quentin roze miał si rado nie, a jego grzmi cy baryton odezwał si echem.

– Teraz wszyscy wst puj do zwi zków, chłopcze. Te małe łobuzy nie chc robi niczego, co nie jest wymienione w kontrakcie.

Jed pochylił si znów nad szlifierek ; usta mu zadrgały.

– Kiedy z tym sko cz , mo e mi pan pomóc to podnie .

– Znakomicie.

Quentin, człowiek cierpliwy, przysiadł na najni szym schodku. Zawsze lubił przygl da si pracy fizycznej. „Przygl da si ” było tu wła ciwym słowem. Na szcz cie skromny maj tek uchronił go przed głodowaniem, podczas gdy on zajmował si swoj karier . Maj c trzydzie ci lat poznał swoj on w czasie przygotowywania „Burzy”, z nim w roli Sebastiana i z ni jako Mirand . Razem weszli w nowy wspaniały wiat małe stwa i, odnosz c znaczne sukcesy, zacz li podró od sceny do sceny, a do osiedlenia si w Filadelfii i zało enia Liberty Players.

Teraz, w słusznym wieku pi dziesi ciu trzech lat (w yciorysie oficjalnym czterdziestu dziewi ciu), zamienił Liberty Players w szanowany zespół, maj cy w repertuarze wszystko, od Ibsena pocz wszy do Neila Simona, i na wszystkim robi cy kas .

By mo e dlatego, e w yciu nigdy nie napotkał trudno ci, Quentin wierzył w „yli długo i szcz liwie”. Jego młodsza córka wiodła ycie przykładowej m atki, jego syn wiernie reprezentował nazwisko na scenie. Zostawała jedynie Dora.

Quentin zdecydował, e ten zdrowy młody m czyzna o nieprzeniknionych oczach jest doskonałym rozwi zaniem. U miechaj c si do siebie, wysupał z wypchanego brzucha piersiówk i poci gn ł szybko jeden łyk. Potem nast pny.

– Dobra robota, chłopcze – powiedział pół godziny pó niej, d wign wszy si , by poklepa balustrad . – Gładka jak policzek

dziewczyny. I przyjemnie było przyglądać ci się przy pracy. Jak to umocowa ?

– Niech pan chwyci – zasugerował Jed. – Niech pan trzyma swój koniec od góry.

– To fascynujące – srebrne dzwoneczki przy butach Quentina zadźwięczały, kiedy wspinał się po schodach. – Oczywiście cię nie jestem zupełnym nowicjuszem, rozumiesz. Asystowałem przy budowaniu dekoracji. Niegdyś skonstruowali my do zmyłnego „Jolly Rogera” dla potrzeb przedstawienia „Piotrusia Pana”. – Quentin podkręcił białego wosa, a w jego oku pojawił się złowrogi błysk. – Ja oczywiście cię grałem Haka.

– Wiedziałem. Proszę uważać – Jed przytwierdził poręcz do słupków, posługując się elektryczną wiertarką Brenta.

Przez cały czas Quentin prowadził ożywioną konwersację. Jed zauważył, że mimo na przestawienie go słysze równie łatwo, jak muzyki w poczekalni u dentysty.

– Równie łatwo jak to.

Quentin, ponownie u dołu schodów, potrząsnął poręczą i rozpromienił się.

– Niewzruszona jak skała. Mam nadzieję, że moja Izzy doceni cię – klepnął Jeda przyjacielsko po plecach. – Może przyjdiesz do nas na wieczną kolację? Moja Ofelia wystąpi z niezwykle przyjemnym cię.

– Jestem zajęty.

– Ach, no tak – szeroki uśmiech Quentina nie zdradzał jego myśli. Przeprowadził na temat Jeda wywiad dokładniejszy, niż ktokolwiek podejrzewał. Wiedział doskonale, że Jed nie ma adnej rodziny poza swoją babką.

– To może Nowy Rok? Zawsze wydajemy przyjęcie w teatrze. W Liberty. Będzie miło widziany.

– Dzięki. Pomyśl o tym.

– A na razie uważam, że obaj zasługujemy na małą nagrodę za nasze trudy.

Znowu wyjął flaszki, mrugnawszy do Jeda, nalał whisky do srebrnej nakrętki. Podał ten prowizoryczny kubek Jedowi.

Ponieważ Jed nie widział żadnego powodu, by odmówić, wypił jednym haustem. Ledwie zdołał złapać powietrze. Ta whisky była jak bomba atomowa.

– Na Boga! – Quentin znów klepnął Jeda po plecach. – Lubię, kiedy mężczyzna pije jak mężczyzna. Wypij jeszcze. Za pełne, białe piersi, które dają głowie mężczyźnie słodki odpoczynek!

Jed przełknął kolejną porcję i poczuł, że whisky zaczyna stawać się zaporą między nim a zimnem.

– Czy wiemy ty Mikołaju naprawdę, powinien pić?

– Drogi chłopcze, a niby jak moglibyśmy przetrwać te długie, zimne noce na Bieguni Północnym? Potem będziemy wystawiać „Południowy Pacyfik”. Miła zmiana, te palmy i w ogóle. Co roku musimy zaliczyć kilka musicali. Podobają się publiczności. Izzy ma cię przyprowadzić.

Uzupełnił zawartość kubka Jeda i rozpoczął porywać wersję „The is nothin’ like a dame”.

To chyba przez whisky, uznał Jed. To by tłumaczyło fakt, że siedzi na dworze, w zimnie i ciemnościach, i nie widzi nic dziwnego w tym, że Mikołaj intonuje cym piosenkę z musicalu.

Po kolejnym kubku usłyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi. Odwrócił się leniwie, by spojrzeć na Dorę stojącą u szczytu schodów z rękami na biodrach.

Jezu, co za nogi, pomyślał.

Dora rzuciła mu jedno miaśmące spojrzenie.

– Powinnaś się domyśleć, że nie będiesz go powstrzymywać.

– Byłem zająty.

– Siedzeniem na schodach i piciem whisky z mężczyzną w przebraniu wi tego Mikołaja? Ale zajął cię.

Ponieważ język zaczął odmawiać mu posłuszeństwa, Jed musiał po prostu następnemu zdaniu wiele uwagi.

– Naprawiłem poręcz.

– Brawo – Dora zbiegła kilkoma susami po schodach i chwyciła ojca za ramiona w chwili, gdy wykonywał fantastyczny piruet. – Koniec przedstawienia.

– Izzy! – zachwycony Quentin ucałował ją namiętnie i ucałował ją w potną skórę. – Twój młodzieniec i ja zajmowali myślicielki stolarkę.

– Właśnie nie widzi. Obaj wyglądacie na bardzo zmęczonych. Wejdźmy do rodzaka, tato – zabrała mu butelkę i wetknęła ją Jedowi. – Wróć po ciebie – syknęła i powlokła ojca po schodach.

– Byłem zająty – powtórzył Jed i zakrył butelkę starannie, zanim wetknął ją do tylnej kieszeni spodni. Kiedy Dora pojawiła się znowu, pakował narządzia Brenta z uwagą wskazaną przy obchodzeniu się z najdelikatniejszą porcelaną.

– No – zatrzasnął bagażnik i oparł się ciężko o niego. – A gdzie wiemy ty Mikołaju?

– pi. Mamy tu pewne zasady, Skimmerhorn. W pracy się nie pije. Jed wyprostował się, a potem znowu oparł się roztropnie o samochód.

– Ja skończyłem – wskazał chwiejnie w stronę balustrady. – Widzisz?

– Tak – westchnęła i potrzęsnęła głowę. – Nie powinnam się wciąkać na ciebie. On jest nie do wytrzymania. Chodź, pomogę ci wejść po schodach.

– Nie jestem pijany.

– Jesteś zany w pestkę, Skimmerhorn. Twoje ciało wie o tym, tylko do mózgu jeszcze to nie dotarło.

– Nie jestem pijany – powtórzył, ale nie stawiał oporu, gdy objęła go w pasie, prowadząc po schodach. – Zarobiłem dzisiaj dwadzieścia dolców i dwa tuziny ciasteczek.

– To miłe.

– Bardzo dobrych ciasteczek – zatoczył się na nią, gdy wchodził w drzwi. – Jezus, jak ty ładnie pachniesz.

– Pewnie mówisz to wszystkim swoim gospodyniom. Masz klucze?

– Tak – zaczął ich szukać, zrezygnował i oparł się o cianę. Dobrze, że tu jest, pomyślał, po takim ostrym picciu na pustym stole, nie licząc kilku ciastek.

Dora westchnęła, po czym włożyła rękę do jego kieszeni. Napotkała twarde udo i kilka monet.

– Sprawdź w drugiej – podsunęła jej.

Spojrzała na niego, zauważyła jego szeroki i zaskakująco uroczy uśmiech.

– Nie. Skoro ci się to spodobało, nie jesteś aż tak pijany, jak się dziwię. Sam je wyjmij.

– Mówiłem, że nie jestem pijany – znalazł klucze. Ale jak miał je włożyć do zamka, skoro podłoga się chwiała? Dora poprowadziła jego rękę.

– Dziękuję.

– Tyle mógł zrobić. Trafisz do łóżka? Uchwycił się framugi drzwi.

– Powiedzmy to wprost, Conroy. Nie chcę z tobą spać.

– No, teraz już wiem, gdzie moje miejsce.

– Pełno w tobie komplikacji, sionko. Te dupe, brzośce, oczy, to małe, zadziorne ciało. Chcę być sam.

– To odebrało mi wszelką nadzieję na urodzenie twoich dzieci. Ale nie martw się, ja to przeżyję – poprowadziła go do kanapy, popchnęła go na niego i położyła na niej jego stopy.

– Nie chcę cię – oznajmił, kiedy cięgnęła mu buty. – Nikogo nie chcę.

– Fajnie – rozejrzała się za jakimś kocem. Zauważyła kilka rzeczy, które zostawił na poręczach.

– No proszę, ciepłutko i miłutko – otuliła go nimi.

Wyglądał strasznie słodko, pomyślała, pijany jak biała, ponury i zasypiający. Wiedzioną impulsem pochyliła się i pocałowała go w czubek nosa.

– Idź spać, Skimmerhorn. Jutro będziesz się czuł jak nie wiadomo co.

– Odejdź – mruknął, zamknął oczy i zapadł w sen.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miała rację. Czuł się okropnie. Ostatnią rzecz, jak pragnął usłyszeć, było dobijanie się do drzwi, podczas gdy usiłował utopić się pod prysznicem. Klęknął, zakrył się kurki, owiniął biodra ręcznikiem i powłóknął się do drzwi. Otworzył je jednym szarpnięciem.

– Czego, do cholery?

– Dzień dobry, Skimmerhorn – Dora minęła go, trzymając pod pach pleciony koszyk. – Widzisz, jesteś w swoim zwyczajnym, pogodnym i radosnym nastroju.

Miała na sobie jakiś kostium z krótką spódniczką w jaskrawych błękitach i odcieniach, które poraziły jego wzrok.

– Spadaj!

– Oj, ale się dziś paskudnie czujemy.

Niewzruszona, zaczęła rozpakowywać koszyk. Jego zawartość okazała się czerwony termos, kamionkowy słoik z jakimś podejrzanie wyglądającym pomarańczowym płynem i nie nobila serwetka, owinięta wokół dwóch pulchnych rogalików.

– Ponieważ to mój ojciec wywołał te małe katastrofy, pomyślałam, że powinnam zadbać dziś o twoje samopoczucie. Potrzebna nam szklanka, kubek, spodek, talerz – kiedy nie drgnął, przechyliła głowę. – Dobrze, ja je znajdę. Może się trochę przyodziejiesz? O wiadczyły mi bardzo jasno, że nie interesują cię od strony fizycznej, a widok twojego wilgotnego, na wpół nagiego ciała mógłby wywołać we mnie nieokiełznany seksualny amok.

– Mi nie zadrgały mu na policzkach, kiedy zacisnął zęby.

– Urocze, Conroy. Naprawdę urocze. – Odwrócił się i zniknął w sypialni. Kiedy ukazał się z powrotem, ubrany w szary, rozdarty na kolanie dres, postawiła przed nim zachęcający wyglądający posiłek.

– Wziął już aspirynę?

– Wła nie o tym my lałem.

– Najpierw te – podała mu trzy pigułki. – Popij je tym. Po prostu połknij.

Spojrzał spode łba na w ciekłe pomara czowy płyn w kieliszku.

– A to co, do diabła?

– Wybawienie. Zaufaj mi.

Poniewa nie mógł si ju poczu gorzej, popił pigułki dwoma haustami lekarstwa Dory.

– Jezu. Smakuje jak balsam do ciała.

– A, bo to chyba ta sama recepta. Ale rezultat gwarantowany. Tata tak twierdzi, a wierz mi, zna si na tym. Wypij kaw . Na kaca nie pomo e, ale przynajmniej ci obudzi, eby mógł w pełni korzystać z jego uroków.

Poniewa wydawało mu si , e jego oczy za chwil wypadn z orbit, przycisn ł je dło mi.

– Co było w tej butelce?

– Tajemna bro Quentina Conroya. Ma w piwnicy aparat destylacyjny. Mo e tam robi eksperymenty niczym szalony naukowiec. Tata lubi pi .

– A to ci nowina.

– Wiem, e powinnam to pot pi , ale to takie trudne. On nikomu nie wyrz dza krzywdy. Nie wiem nawet, czy krzywdzi sam siebie. – Odłamała ro ek jednego rogalika i skubn ła go.

– Nigdy nie robi si agresywny, opryskliwy czy zły. Nigdy po pijanemu nie siada za kierownic ani nie zbli a si do du ych maszyn. – Wzruszyła ramionami. – Jedni poluj , inni zbieraj znaczki. Tata pije. Lepiej ci?

– Przez j .

– To dobrze. Musz otworzy sklep. Nie masz poj cia, ile osób wychodzi na zakupy w Wigili – ruszyła do wyj cia i zatrzymała si z r k na klamce. – A por cz wygl da nie le. Dzi kuj . Daj mi zna , kiedy b dziesz na silach przybi kilka pólek. I nie martw si – błysn ła z bami w u miechu – ja te nie chc z tob spa .

Zamkn ła cicho drzwi i zeszła na dół.

* * *

DiCarlo czuł si wy mienicie. Szcz cie znów mu dopisywało; wynaj ty porsche gnał z pr dko ci dziewi dziesi ciu pi ciu mil na godzin . Na tylnym siedzeniu spoczywał, starannie opakowany, orzeł z br zu i reprodukcja Statuy Wolno ci, które z łatwo ci nabył w sklepie ze starociami na przedmie ciach Waszyngtonu.

Poszło jak po ma le, pomy łał DiCarlo. Wszedł do sklepu, dla zachowania pozorów przyjrzał si kilku egzemplarzom i znowu wyszedł, dumny posiadacz dwóch egzemplarzy ameryka skiego kiczu. Po krótkiej podró y do Filadelfii, gdzie odbierze dwie pozostałe pozycje z listy, skieruje si do Nowego Jorku. Je li wszystko pójdzie tak jak dzisiaj, do dziewi tej wieczorem znajdzie si w domu, co da mu mnóstwo czasu mi wi teczne ceremonie.

W drugi dzie Bo ego Narodzenia podejmie znów działania. W tym tempie powinien zebra wszystkie przedmioty grubo przed wyznaczonym terminem.

Mo e nawet dostanie za to nagrod .

Postukuj c palcami w rytm tanecznej piosenki, wybrał numer prywatnego telefonu Finleya.

– Tak.

– Prosz pana, tu DiCarlo.

– I masz mi co ciekawego do powiedzenia?

– Tak, prosz pana – niemal to wy piewał. – Znalazłem w Dystrykcie Kolumbii dwa kolejne przedmioty.

– Transakcje poszły gładko?

– Gładko jak po ma le. Teraz jad do Filadelfii. W jednym z tamtejszych sklepów znajduj si dwa kolejne przedmioty. Na miejscu b d najdalej o trzeciej.

– A zatem ycz panu Wesołych wi t, panie DiCarlo. Do dwudziestego szóstego trudno b dzie si ze mn skontaktowa .

Oczywi cie, je li b dzie miał pan co do przekazania, prosz zostawi wiadomo u Winesapa.

– B d si odzywał. Wesółych wi t, prosz pana.

Finley odło ył słuchawk , ale nadal stał na balkonie, obserwuj c smog nad Los Angeles. Na jego piersi, na pi knym złotym ła cuszku wisiało złote etui.

* * *

DiCarlo rzeczywi cie znalazł si w Filadelfii przed trzeci . Szcz cie nie opuszczało go, gdy wszedł do „Salonu Dory” na kwadrans przed zamkni ciem. Pierwsz rzecz , która rzuciła mu si w oczy była pos gowo zbudowana ruda kobieta w zielonej czapce elfa.

Terri Starr, asystentka Dory i oddany członek Liberty Players, rozpromieniła si na jego widok.

– Wesółych wi t! – powiedziała głosem czystym jak d wi k wi tecznych dzwonek. – Zd ył pan w ostatniej chwili. Dzi zamykamy wcze niej.

DiCarlo zaprodukował szeroki u miech.

– Pewnie nie znosi pani klientów w ostatniej chwili.

– artuje pan? Uwielbiam ich – zd yła ju zauwa y porsche przy kraw niku i spodziewała si , e ten dzie zamknie si jak pot n transakcj . – Szuka pan czego konkretnego?

– Wła ciwie tak – rozejrzał si po sklepie, w nadziei, e uda mu si szybko zlokalizowa obraz lub psa z porcelany. – Wracam do domu, a moja ciotka kolekcjonuje figurki zwierz t. Zwłaszcza psów.

– Mo e b d mogła panu pomóc.

Terri, mierz ca niemal dwa metry dzi ki niebotycznym szpilkom, przeszła przez sklep niczym sier ant robi cy przegl d ołnierzy. Oceniała równie garnitur i płaszcz DiCarlo i poprowadziła go w stron jadeitowej kolekcji.

– To jeden z moich ulubionych eksponatów – otworzyła szklan szafk o wygi tej linii i wyci gn ła z niej zielonego jak

jabłko, rze bionego pieska Foo, jednego z najdroższych egzemplarzy. – Wspaniały, prawda?

– Tak, ale moje ciotka nie ma a tak wyrafinowanego gustu – pozwolił sobie na rozbawione spojrzenie. – Zna pani te małe damy.

– artuje pan? Nie mo na ich nie zna , prowadz c sklep z antykami. Zastanówmy si – Terri odstawiła z niejakim alem jadeitow figurk . – Mamy par sympatycznych gipsowych cocker spanieli.

– Rozejrz si . Mógłbym tu troch pomyszkowa ? Wiem, e chce pani st d wyj , a ja mog zobaczy co , co b dzie pasowa do cioci Marii.

– Prosz bardzo. Nie musi si pan spieszy .

DiCarlo obejrzał gipsowe spaniele. Obejrzał pudle z emalii cloisonne i psy myliwskie z d tego szkła. Były tu plastykowe dalmaty czyki i chihuahua z br zu. Ale nigdzie nie było psa z porcelany.

Zwracał te uwag na obrazy. Były tu dziesi tki oleodruków, słowiatych portretów reklamowych. Ale nie było abstrakcji w hebanowej ramie.

– Chyba znalazłam doskonałego... – Terri cofn ła si dwa kroki, kiedy DiCarlo odwrócił si w jej stron . Pochlebiała sobie, e umie trafnie interpretowa wyraz ludzkiej twarzy. Na jego twarzy przez chwil widziała wypisane morderstwo.

– Prze... przepraszam. Zaskoczyłam pana?

Jego u miech pojawił si tak szybko, wymiataj c lodowaty błysk z oczu, e uznała, i musiała si pomyli .

– Owszem. Chyba si zamy liłem. Co my tu mamy?

– To wyrób ceramiczny ze Staffordshire, suka ze szczeni ciem. Słodkie, prawda?

– W sam raz dla cioci Marii. – DiCarlo nie pozwolił zbledn przyjemnemu u miechowi nawet wtedy, gdy zobaczył czterocyfrow cen . – Na pewno si jej spodoba – powiedział, maj c nadziej , e pakowanie figurki da mu troch czasu. – My łałem o czym innym, ale to zupełnie w stylu cioci Marii.

– Gotówk czy czekiem?

– Czekiem – wyci gn ł kart kredytow . – Widzi pani, moja ciocia miała kiedy takiego psa – ci gn ł, id c za Terri do lady – w białobr zowe łaty, który zwi jał si w kł bek na dywanie i przesypiał dwadzie cia godzin na dob . Ciocia Maria go uwielbiała. Miałem nadziej znale tu co , co by go przypominało.

– To urocz e – Terri otuliła figurk w bibu ł . – Musi by pan bardzo oddanym siostrze cem.

– C ó , ciocia Maria mnie wychowała.

– Szkoda, e nie było pana tu przed paroma dniami. Mieli my bardzo podobny egzemplarz. Porcelanowy, c tkowany pies, pi cy zwini ty w kł bek. Sprzedali my go wczoraj.

– Sprzedali cie? – powiedział DiCarlo, pokazuj c odłoni te w u miechu z by. – A to szkoda.

– Nie był ani w cz ci tak pi kny jak egzemplarz, który pan nabył, panie... DiCarlo – dodała, zerkn wszy szybko na jego kart kredytow . – Zobacz pan, e w wi teczny ranek ciotka padnie panu na szyj .

– Na pewno ma pani racj . Widz , e macie tu te obrazy.

– Kilka. Przewa nie plakaty i stare rodzinne portrety z wyprzeda y.

– A wi c nic nowoczesnego? Chc zmieni wystrój domu.

– Niestety, nie. Mamy par rzeczy w magazynie na zapleczu, ale nie zauwa yłam adnych obrazów.

Kiedy zaj ła si wypisywaniem rachunku, DiCarlo zamy lił si , b bni c palcami po ladzie. Musiał si dowiedzie , kto kupił tego psa. Gdyby nie było jeszcze zupełnie jasno, a za jego plecami nie znajdowała si du a wystawa, wetkn łby rewolwer pod liczn bródk sprzedawczyni i zmusił j , by znalazła dla niego kilka informacji.

Oczywi cie, pó niej musiałby j zabi .

Zerkn ł na wystaw . Ruch na ulicy nie był du y, nie było te wielu przechodniów. Potem potrz sn ł głow . Za szyb

przemknęła na tych worolkach dziewczynka otulona park . Nie opłacała się ryzykować .

– Proszę tu podpisać – Terri podsunęła mu rachunek i kartę kredytową . – Gotowe, panie DiCarlo. Mam nadzieję , że pani siostra spędzi z dziećmi miło wita.

Ponieważ patrzyła na niego przez okno, DiCarlo ostro nie umieścił pudełko w samochodzie a potem pomachał do niej radośnie. Płynnie ruszył naprzód.

Zatrzyma się gdzieś na późny obiad. Kiedy się ściemni, a sklep opustoszeje, wróci tu.

* * *

Dora zapukała do drzwi Jeda w swoim najlepszym oficjalnym stylu. Wiedziała, że warknie na nią . Na to nie mogła poradzić . Ale przywykła już do jego parsknienia i złorzeczeń . Nie tęskniła za nimi, ale przywykła.

Nie zawiodła się na nim.

Jego podkoszulek z krótkimi rękawami był ciemny od potu. Jego ramiona błyszcząły. Mogłaby przez chwilę podziwiać tę prymitywną siłę , ale zbyt długo przyglądała się grymasowi na jego twarzy.

Jed chwycił za kołnierzyk, który zarzucił sobie na szyję .

– Czego znowu chcesz?

– Przepraszam, że przeszkadzam – zerknęła pod jego ramieniem i zauważyła sprzątnięty kulturowy rozrzucony po całym mieszkaniu – kiedy tak ci pochłania wyczerpanie mi się, ale zepsuł mi się telefon. Muszę zadzwonić .

– Na rogu jest budka.

– Jaki ty uroczy, Skimmerhorn. Dlaczego jeszcze nie złapała ci jakaś ciara?

– Bo wszystkie przeganiają kijem.

– O, nie w tym . Będzie kolega . To rozmowa miejscowa.

Przez chwilę myślała, że zatrzyma ją przed nosem. Znowu. Ale on uchylił drzwi szerzej i zrobił jej przejeżdżając.

– Ale szybko – oznajmił i począpał do kuchni.

Przez dyskrecję? – zastanowiła się Dora. Raczej nie. Jej domysł okazał się słuszny. Jed wrócił, wlewając w siebie gatorade wprost z butelki. Dora podniosła słuchawkę, zakłamała cicho i odłożyła ją na widełki.

– Twój telefon się zepsuł.

– Nic dziwnego, mieszkamy w tym samym budynku – zostawił swoje drzwi uchylone, tak jak i ona. Z jej mieszkania dobiegały go dźwięki muzyki. Tym razem w tecznej. Ale było to coś, co brzmiało jak redniowieczny chór i raczej go intrygowało, niż drażniło.

Na nieszczerze Dora miała na niego identyczny wpływ.

– Zawsze się tak ubierasz, kiedy masz zadzwonić?

Miała na sobie gładki srebrny kombinezon i sandały na wysokich obcasach. Z jej karku dego ucha zwisała kuszek z gwiazdek.

– Wpadnij dzisiaj na kilka przyjęć. A ty? Spędzasz Wigilię na podnoszeniu ciastek?

– Nie lubię przyjęć.

– Nie? – wzruszyła ramionami, a srebrny jedwab zaszelecił kusząc coś. – A ja uwielbiam. Ten hałas, jedzenie i plotki. Oczywiście mnie rozmowa z istotami ludzkimi sprawia przyjemność, a to pomaga.

– Nie mogę ci zaproponować żadnej imprezy, więc może się odczepisz? – odrzucił rękawkę i wziął ciastko. – I niech twój chłopak nie tyka w tecznej ponczu.

– Wychodź sama, a ponieważ nie chcesz się martwić, ile razy skosztuj w tecznej ponczu, dzwoniłam po taksówkę.

Przysiadła na poręcz kanapy, obserwując ze zmarszczonymi brwiami, jak Jed podnosi ciastko. Nie powinnam go chwycić, pomyślała. Jest ostatnią istotą na ziemi, która zasługiwałaby na współczucie. A jednak przykro było wyobrazić go sobie spędzającego ten wieczór samotnie, w towarzystwie przyrządów kulturowych.

– Może pojedziesz ze mną?

Długie, spokojne spojrzenie, jakie postąpił, kazało jej pospieszyć z wyjątkami.

– To nie propozycja, Skimmerhorn. Tylko kilka przyjdzie, na które wpadasz na krótko i zachowujesz się miło.

– Ja nie zachowuję się miło.

– Wiem, że straciłaś wprawę, ale to Wigilia. Czas braterstwa i dobrej woli między ludźmi. Pewnie coś o tym słyszałaś.

– Obiło mi się o uszy.

– Zapomniałaś powiedzieć „E, tam, bzdura”.

– Wynocha, Conroy.

– No, to już postępuj od dzisiejszego poranka. Ludzie powiedzą, że jesteście w sobie zakochani – westchnęła i wstała. – Baw się dobrze, Skimmerhorn, ze swoimi ciarkami i różgami, które pewnie przyniesie ci w tydzień Mikołaj. – Zatrzymała się i przechyliła głowę. – Co to za hałas?

– Jaki hałas?

– Ten – jej oczy zwiły się. – O rety. Nie mów mi, że naprawdę mamy tu myszy.

Odłożyła ciarki i równie zaczęła nasłuchiwać.

– Kto jest w sklepie.

– Co?

– W sklepie – powtórzył. – Dławił się szybkimi wentylacyjnymi. Nie znasz własnego domu, Conroy?

– Nie bywam tutaj tak często i nie wtedy, kiedy sklep jest otwarty – chciała o tym zapomnieć, kiedy nagle zastygła, uderzona nowym myśleniem. – Ale tam nikogo nie ma.

– Chyba jednak jest.

– Nie – uniosła rękę szybciej. – Już dawno zamknęłyśmy sklep. Terri wyszła o wpół do czwartej.

– Wiadomo wróciła.

– W Wigilię? Przygotowuje jedno z tych przyjdzie, na które się wybieram. Dora pobiegła w stronę drzwi, tylko stukając obcasami.

– Dokąd idziesz?

– Na dół, rzecz jasna. Kto musiał unieszkodliwić urządzenie alarmowe i włamał się do sklepu. Jeśli myśli, że zdoła wynieść z niego worek pełen skarbów, czeka go niespodzianka.

Zakłócił soczyście, a potem złapał ją za ramiona i popchnął na krzesło.

– Została tu – zniknął w sypialni.

Dora wciąż zastanawiała się, jakim epitetem go obdarzy, kiedy wróci z trzydziestką ósemką. Jej oczy rozszerzyły się.

– Co to?

– Parasolka. Została tutaj. Zamknij drzwi na klucz.

– Ale... Ale...

– Została – Jedną zamknął za sobą drzwi. To pewnie ta jej asystentka, pomyślał, szybko i cicho schodząc w dół. Albo siostra, która czegoś zapomniała. Albo staruszek szukający butelczyny.

Ale pozostało w nim zbyt wiele z gliny, by mógł ryzykować. Albo zapomnieć o fackie, że telefony nie działały, a dzięki dobiegającej przez wentylator przywoźił na myślenie raczej ukradkowe niż bez troskie.

Dotarł do drzwi prowadzących do magazynu, uchylił je. Nie zauważył wiatła. Usłyszał jakiś dźwięk – odgłos zamykanej szuflady.

Czy Dora trzyma tu gotówkę? zastanowił się i zakłócił pod nosem. Chyba tak. W jakiejś starej wiekowej puszcze albo słoju na ciasteczka.

Szmer, który rozległ się za nim, kazał mu spieścić do skoku i obrócić gwałtownie. I zakłócił. Dora stała trzy kroki za nim, z oczami, które wydawały się pochłaniać całą twarz i z ciemnym arkiem do wstecz w uniesionej ręce.

Jedną wskazał jej kciukiem schody. Pokryła głowę. Pogroził jej palcem. Uniosła podbródek.

– Idiotka – mruknął.

– I wzajemnie.

– Wynosi się, na miłość boską.

Ruszył dalej i zamarł, gdy po trzecim kroku schodek zatrzeszczał pod jego stop. Rozległa się seria strzałów, a ciana tu koło jego twarzy bryzła odpryskami gipsu.

Jed skulił się i reszt schodów pokonał sprintem, przewracając się u ich stóp, podnosząc się i wpadając z wyciętą bronią do pomieszczenia akurat w porę, by zobaczyć, jak boczne drzwi zatrząskują się. Usłyszał kroki zbiegającej po schodach Dory i krzyknął, żeby się nie zbliżała.

Dopał drzwi pędem, ale wyjrzał ostro nie. Zimne powietrze wypełniło jego płuca lodowymi igiełkami. Ale jego krew płonęła. Po prawej cichło echo oddalających się kroków. Pobiegł w tamtą stronę, ignorując Dorę, arliwie domagając się, by został.

Zadziałał instynkt i pół życia spędzonego na treningach. Przebiegł jeszcze kawałek, zanim usłyszał ryk silnika, pisk opon. Wiedział już, że zgubił swój zwierzyn.

Przebiegł jeszcze kilka przecnic, w słabej nadziei, że zobaczy choćby zarys samochodu. Kiedy wrócił, Dora stała, drąc na rodka małego wirowanego podwórka.

– Wejd do rodka.

Jej strach nagle przerodził się w gniew.

– Masz krew na twarzy – warknęła.

– Tak? – dotknął twarzy; na palcach pozostała ciemna smuga.

– Chyba skaleczył mnie tynk – spojrzał na ciarek, który nadal trzymała. – I co zamierzała z tym poczł?

– Kiedy on by ci złapał i przewrócił, ja bym go tym uderzyła. – Poczowała odrobinę ulgi, kiedy zatknął broń za pasek. – Nie powiniene zadzwonić po pomoc czy coś takiego? *

– Już nie jestem policjantem.

Owszem, jesteście, pomyślała. Nie miała wielkiego do wiadczenia w przypadku obroców prawa i porządku, ale on miał spojrzenie policjanta, ruchy policjanta, nawet głos. Bez słowa podjęła za nim w stronę tylnych drzwi.

– Słyszała kiedyś o systemach alarmowych?

– Przecież mam. Powinien zacząć wyjąk jak cholera, gdyby ktoś usiłował wejść.

Tylko mrukn ła i, nie wchodz c jeszcze do rodka, przyjrzał si mechanizmowi.

– Mała zabawka – powiedział z niesmakiem, rzuciwszy na niego okiem.

Wyd ła usta, odgarniaj c grzywk .

– Facet, który mi to sprzedał, nie powiedziałby tego.

– Facet, który ci to sprzedał, pewnie ob miał si jak norka, montuj c to tutaj. Wystarczy przeci par drucików – pokazał jej postrz piane ko ce. – To on odł czył telefon, na wszelki wypadek. Musiał widzie wiatło i wiedział, e kto jest w domu.

– To chyba głupio, prawda? – zacz ła szcz ka z bami. – Powinien poczeka , a wyjdziemy albo pójdziemy spa , a potem mógłby wej i ukra wszystko, co wpadłoby mu w r ce.

– Mo e si spieszył. Nie masz płaszcz czy czego takiego? Nos zrobił ci si czerwony.

Potarła go, ura ona.

– e te nie pomy łałam, eby wzi szal. Co to był za d wi k tu przed twoim bohaterским p dem po schodach? Brzmiało jak p kaj ce balony.

– Tłumik. – Jed zacz ł szuka w kieszeni drobnych.

– Tłumik? – pisa ła, chwytaj c go za rami . – Jak w filmach gangsterskich? Strzelał do ciebie?

– Chyba nie chodziło mu konkretnie o mnie. Masz przy sobie dwadzie cia pi centów? Lepiej to zgłosi .

Jej dłonie osun ły si z jego ramienia. Rumie ce, wywołane zimnem, zbladły. Jed zauwa ył, e jej renice rozszerzaj si .

– Je li mi tu zemdlejesz, w ciekni si naprawd – wzi ł j pod brod i potrz sn ł lekko. – Sko czyło si . Nie ma go. Rozumiesz?

– Masz ran na twarzy – powiedziała nieprzytomnie.

– Ju mi mówiła .

– Mógł ci zastrzeli .

– Mogłem sp dzi ten wieczór z egzotyczn tancerk . To daje pewne poj cie, jak bardzo to wielkie „mogłe ” odstaje od rzeczywisto ci. Co z pieni dzmi?

– Ja nie... – odruchowo sprawdziła kieszenie. – Mam telefon w furgonetce.

– No tak – podszedł do samochodu i pokrcił głowę, kiedy drzwi okazały się otwarte.

– Nic tu nie ma – zaczął z rozdrażnieniem.

Z zadowoleniem zauważył, że zaczyna nabierać rumieńców.

– Tylko telefon i stereo – uniósł brew.

– To prezent – splótła ramiona.

– Aha – wystukał numer Brenta i odczekał dwa sygnały.

– Wesołych wam!

– Cześć, Mary Pat. – W tle usłyszał wrzaski dzieci i przesadnie głośne „Jingle Bells”. – Muszę przez chwilę pogadać z Brentem.

– Jed. Nie dzwonisz chyba z jakimiś naciąganimi wymówkami do jutra? Przysięgam, że wywlokę cię z domu własnymi rękami.

– Nie, przyjdę.

– Punktualnie o drugiej.

– Nastawi zegarek. MP, czy Brent jest w domu?

– Właśnie przyrzeka swoje słynne na cały wiatro nadzienie z kiełbasy. Poczekaj.

Rozległy się jakieś hałasy, „Jingle Bells” ustąpiło miejsca „Rudolfowi”. „Hej, kapitanie. Ciesz się, ciesz”...

– Wybacz, że ci przeszkadzam w gotowaniu, ale mam tu drobny problem.

– Jody, puść tego kota! Jaki problem?

– Włamanie. Do sklepu pod moim mieszkaniem.

– Co ukradziono?

– Muszę sprawdzić. – Odgarnął z twarzy wzburzone wiatrem włosy i spojrzał na drzwi Dor. – Strzelał do mnie. Miał tłumik.

– Cholera. Dostałem?

– Nie. – Znowu dotknął policzka. Krwawienie prawie ustało.

– Miał tu blisko samochód. Siedziałem pod widelcem silnika nic taniego.

– Nie ruszaj się stamtąd, Kimo Sab. Zgłoś to i juź do ciebie jadę.

– Dzi ki – odłó ył słuchawk i spojrzął na Dor , przest puj c z nogi. na nog w bezowocnej próbie rozgrzania si . – Mo e lepiej wyci gnij znów t brandy. Chod . – Poniewa jej dłonie zlodowaciały, odruchowo wzi ł je w swoje, ogrzewaj c, dopóki nie znale li si w sklepie. – Rozejrzyj si , czy czego nie brakuje.

– Mam niczego nie dotyka , tak?

– Ogl dasz du o kryminalów, co?

– Mog zamkn drzwi?

– Jasne – rzucił szybkie spojrzenie na wyłamany zamek i zamkn ł drzwi. Zapalił wiatło, stan ł i zacz ł si przygl da .

Magazyn był zatłoczony po brzegi. Pod jedn ze cian pudełka pi trzyły si od podłogi a do sufitu. Na półkach spoczywały rozpakowane towary, przemieszane bez najmniejszego ladu systematyzacji. W k cie tłoczyły si dwie katalogowe szafki. Na wierzchu ka dej chwiały si kolejne piramidy pudełek.

Biurko przypominało w tym wszystkim wysp na morzu szale stwa. Stały na nim telefon, lampka, porcelanowy dzbanek pełen ołówków i piór i popiersie Beethovena, słu ce za przycisk do papierów.

– Niczego nie brakuje – oznajmiła Dora.

– Sk d wiesz?

– Wiem, co tu mam. Musiałe go spłoszy – podeszła do półek i pukn ła palcem w co , co Jed uznał za stary flakonik po perfumach lub olejku. – Ten flakonik braci Daum z Nancy jest wart ponad tysi c dolarów. Ten talerz Castelli prawie tyle samo. A to... – zdj ła pudełko z namalowan na nim zabawk .

– Nando? Dzieci cy robot?

– W pudelku osi ga dla kolekcjonerów warto dwóch tysi cy – poci gn ła nosem i odstawiła przedmiot na miejsce.

– A ty to tak sobie zostawiasz?

– Mam system alarmowy. Miałam – mrukn ła. – Nie mog co noc ładowa moich towarów do piwnicy.

– A gotówka?

– Co wieczór składamy wszystko w depozycie, z wyjątkiem stu dolarów w drobnych banknotach i monetach.

Podeszła do biurka i otworzyła górny szufladę. Wyjęła z niej kopertę i przeliczyła pieniądze.

– Słuchaj. Jak powiedziałam, musiały się spłoszyć.

Zrobiła jeden krok. Pod jej stopą zaszelecił jakiś papier. Schyliła się po niego.

– Rachunek – powiedziała. – Dziwne, powinien być w katalogu.

– Pokaż – odebrał go jej. – Timothy O'Malley. Pięćset dolarów podatku, dwudziesty pierwszy grudnia. Za solniczki?

– Jego ona je zbiera.

– Pięćset dolarów za głupie solniczki?

– Za arcydzieła – poprawiła go Dora i odebrała mu rachunek. – Prostack.

– Pijawka.

Bez słowa podeszła do katalogu, by włożyć rachunek.

– Spójrz! – zawołała. – Jaki bałagan! Podszedł do niej i spojrzał jej przez ramię.

– To dziwne?

– No pewnie. Prowadź akta bardzo starannie. Urząd podatkowy przeraża mnie tak samo jak wszystkich dobrych Amerykanów. W zeszłym miesiącu Lea przez tydzień porządkowała i aktualizowała ten katalog.

– Wiem, chodziło mu o dokumenty. Co tu trzymasz?

– Nic cennego. Rachunki, faktury, listy przesyłek, spisy inwentarza, potwierdzenia. Sprawy biurowe. – Przeczesała włosy dłonią, zdezorientowana. Gwiazdki u jej uszu iskrzyły się w świetle arówek. – Po co ktoś miałby się włamywać do moich rachunków? Oszalały agent podatkowy? Ksiądz psychopata?

Ledwie skończyła mówić, ugryzła się w język.

– A ten dupek, jak się nazywa?

– Nie bój się. Andrew nigdy by tego nie zrobił.

– Czy nie mówiłaś, że to ksiądz?

- No tak, ale...
- I wylała go z pracy?
- To jeszcze nie powód, eby...
- Andrew i jak dalej?
- Westchn ła g łą boko, rozdmuchuj c grzywk .
- Podam ci jego nazwisko, adres, numer telefonu, a ty b dziesz go n ka ło alibi na rzeczon noc. Jak ka dy policjant.
- Nie jestem policjantem.
- Je li co wygl da jak glina, mówi jak glina – poci gn ła nosem – pachnie jak glina...
- Sk d wiesz, jak pachnie glina? Przechyliła g łow .
- Smarem do pistoletów i potem. Skoro ju o tym mówimy, nawet smakujesz jak glina.
- To znaczy, jak?
- Nie wiem – bardzo powoli powiodła spojrzeniem po jego ustach, a potem podniosła oczy – twardo, władczo, troszk niemi ło.
- Mog by znacznie bardziej niemi ły – zbli ył si tak, e utkwiała uwi ziona mi dzy nim a katalogiem.
- Widz . Mówiłam ci ju , e zawsze miałam problemy z władzami? I to od podstawówki, kiedy panna Teesworthy kazała mi zostawa po lekcjach.
- Obj ł j .
- Nie mówiła . – Nie czu tu smaru ani potu, pomy lał. Cały pokój pachniał Dor , t gor c , mocn woni , która sprawiała, e m czyznom lina napływała do ust.
- No wła nie – ci gn ła. – To jedna z przyczyn, dla których zacz łam prowadzi własny interes. Nienawidz , kiedy mi kto wydaje rozkazy.
- To wida . Mówiłem ci, eby si nie mieszała.
- Czulałam przemo n potrzeb bycia blisko m czyzny z broni – uniosła d ło , dotkn ła kciukiem ranki na jego policzku.
- Przestraszyłe mnie.
- Nie bała si , dopóki si nie sko czyło.
- Nie, omal nie zbzikowałam ze strachu. A ty?

– Ja nie. Uwielbiam, kiedy do mnie strzelaj .

– A wi c to pewnie reakcja na to wszystko – obj ła go za szyj . Był taki, jak lubiła.

– Wiesz, działamy w szoku.

– Mówiłem ci, eby si trzymała z daleka.

– Odepchnij mnie – jej usta wygi ły si . – No, odwagi!

Nadał si u miechała, kiedy jego usta zbli yły si ku niej. Spodziewała si , e b dzie gwałtowny i była na to przygotowana. Popchn ł j na katalogow szafk . Uchwyty szufladek wpiły si jej w plecy, ale była zbyt pochłoni ta własn rozkosz , by to zauwa y .

Wiedział, e robi bł d. Wiedział to nawet wtedy, gdy zaton ł w niej.

Złapała go na jaki haczyk, z którego nie umiał si zerwa . Teraz dr ała, tul c si do niego, poj kuj c cicho z pełnym zaskoczenia podnieceniem. A smakowała – Bo e, smakowała dokładnie tak słodko i gor co, jak pachniała.

Min ło wiele, bardzo wiele czasu, odk d pozwolił sobie wej w t mroczn , mi kk , nios c zapomnienie otchła kobiety.

Oderwał si od niej, chc c oprzytomnie , ale zacisn ła obie dłonie na jego włosach i przyci gn ła go znów do siebie.

– Jeszcze – mrukn ła. – Zawsze chc wi cej.

On mógł da jej wi cej. Wiedziała o tym. Przy nim nie mo na było zazna niedosytu. Mogła bra i bra , i ci gle dostawa wi cej.

Przez jedn szalon chwil chciał j wzi tutaj, na podłodze ciasnego, zakurzonego magazynu, w którym wci unosił si zapach prochu. Mo e by to zrobił, mo e nie miałby wyboru, ale pozostało mu tyle przytomno ci, by usłysze pukanie do drzwi i zgrzyt wiru pod oponami.

– Policja – wzi ł Dor za ramiona i odsun ł j zdecydowanie. W jego oczach zobaczyła to, czemu tak zaprzeczał. Znowu był policjantem. Mo e zrobisz kawy, Conroy? Chyba ju nie pójdiesz na te swoje przyj cia.

Spojrzała w gór schodów, odwracając się do niego plecami, kiedy przemówiła.

– I to wszystko?

– Tak – miał okropną ochotę na papierosy, które zostawił na górze. – To wszystko.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dora wybrała brandy. Jed popijał kawę. Gliniarz, pomyślała w ciele. W końcu nie pije się na służbie. Przynajmniej w telewizji. Zwinęła się w kłębki na kanapie, chcąc ignorować go tak samo jak on ją, i zajęła się podziwianiem lampek na choince.

Podoba mi się kolega Jeda, pomyślała. Brent Chapman w pominięciu tych spodniach, poplamionym krawacie, z szerokim uśmiechem. Przyniósł ze sobą zapach kiełbasy i cynamonu, a okulary w cienkiej rogowej oprawce powiększały jego łagodne oczy. Wzbudzał w niej tyle zaufania, że zanim się opamiętała, robiła kawę i podawała ciasteczka, jakby podejmowała niespodziewanego gościa, a nie policjanta poddającego przysłuchaniu.

Brent zadawał pytania powoli, z namysłem i niemal kłopotliwie.

Nie, na razie nie zauważyła, żeby coś zmieniło.

Nie, w katalogu nie było niczego, co miałyby jakimiś wymiernymi wartościami.

Tak, przez ostatnie tygodnie przez sklep przewinęło się wiele osób, ale nie, nie przypominała sobie nikogo zachowującego się podejrzanie lub zadającego cęgo niezwykle pytania.

Wrogowie? Tu może miała się krótko. Nie, chyba żeby liczyć Marjorie Bowers.

– Bowers? – Brent nastawił uszu. Jego ołówki zawisł nad pominięciem tym notesem.

– Rywalizowałyśmy ze sobą o rolę w szkolnym przedstawieniu. Na pierwszym roku. Wystawialiśmy „West Side Story”. Przez cignęłam ją na przesłuchaniach, więc zaczęła rozpuszczać plotki, że jestem w ciąży.

– Chyba nie...

– Skoro chodziło o moją reputację, nie miałam wyboru – cignęła Dora. – Zaczęłam się na nią po szkole – zerknęła przelotnie na Jeda, który w skupieniu i ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się półmiskowi na kredensie.

– To bardzo ciekawe. Ale dla nas chyba nieprzydatne.

– No cóż, ona mnie naprawdę nienawidziła – Dora podniosła swój kieliszek, wzruszając ramionami. – A potem znowu, tym razem w Toledo. Nie, myślę sobie. Pierwszy rok musiał być w Milwaukee. Dużo wtedy podróżowali my.

Brent uśmiechnął się. Zaczynał lubić gospodynię Jeda. Wiąkszość osób, które padły ofiarą włamania z broni w rękę, nie okazywały poczucia humoru.

– Szukamy czegoś bardziej aktualnego.

– Powiedz mi o tym całym księgowym – rozkazał Jed.

– Na miłość boską, Andrew nie mógłby...

– Dawd – przerwał jej Jed – Andrew Dawd. Do niedawna był księgowym Dory. Pozwolił sobie na zbyt wiele, więc dała mu fang w nos i wymówienie – uśmiechnął się wrednie do Dory. – I kopa w tyłek.

– Ach – Brent wypchnął jej policzek, gryzmoląc nazwisko w notatniku. Miał ochotę się uśmiechnąć, ale błysk w oczach Dory kazał mu zachować kamienną twarz. – Czy, eee... groził pani?

– Oczywiście, że nie. Daj mi papierosa, Skimmerhorn. Zapalił jej jednego.

– Rozdrażniona czy zestresowana? – zapytał, podając jej.

– Sam się domyśli – wyrwała mu go i zacięgnęła się szybko. – Najbardziej gwałtowny postępek, do jakiego zdolny jest Andrew, to powrót do domu i poskarżenie się mamusi.

– Nie zaszkodzi z nim porozmawiać – zauważył łagodnie Brent. – Gdzie może być gozasty ?

Dora rzuciła Jedowi spojrzenie pełne słonecznej nienawiści.

– Dawd, Dawd i Goldstein. „Prowadzenie ksiąg podatkowych”. Przy Szóstej i Market.

Brent kiwnął głową i wziął jedno z ciasteczek, które wysypała na ładny, rzeźbiony półmisek stojący koło jego łokcia. – Niezły sposób spędzenia Wigilii, co?

– Miałam inne plany – Dora zdobyła się na uśmiech. – Przykro mi, ale musiałam opuścić swoją rodzinę.

– To czyste tego zawodu. Bardzo dobre ciasteczka.

– Dzięki. Może weźmie pan trochę ze sobą? Ma pan dzieci, prawda?

– Trójka – Brent, reagując instynktownie jak na uderzenie młotkiem w kolano, sięgnął po portfel, by pokazać im zdjęcia. Jed zatoczył oczami i oddalił się; Dora wstała i zaczęła podziwiać zdjęcia dzieci. Były to dwie dziewczynki i chłopiec, wyszorowani do połysku i ulizani dla potrzeb szkolnej fotografii.

– Najstarsza jest bardzo podobna do pana – skomentowała Dora.

– Tak, rzeczywiście. To Carly. Ma dziesięć lat.

– Mam siostrzenicę, która skończyła dziesięć lat. Jest w tej klasie.

– Carly też. W szkole podstawowej Bester w Landsdowne.

– Missy chodzi do Bester. – Kiedy Jed wszedł do pokoju, jego partner i jego gospodyni uśmiechali się promiennie do siebie. – Na pewno się znajecie.

– To pewnie Missy Bradshaw, prawda? Ma młodszego brata imieniem Richie, który jest prawdziwym...

– Koszmarem, zgadza się.

– Była u nas dziesięć razy. Mieszka w sąsiedztwie. Rodzice Missy i my mamy ten sam garaż.

– Może zostawić was samych? – zagadnął Jed.

Oboje rzucili Jedowi łobuzerskie spojrzenie.

– Powiedz, Brent, zawsze jesteś taki wredny?

– Bardzo cz sto.

Włó ył portfel do kieszeni i wstał. Na koszuli miał okruszki ciasteczek, a na okularach lady palców. Dora uznała, e jest czaruj cy.

– Ale to najlepszy policjant, z jakim pracowałem, wi c mo esz si czu bezpieczna, maj c go pod r k .

– Dzi kuj . Dam ci troch tych ciasteczek – poszła do kuchni, umy lnie ignoruj c Jeda.

– Niezła gospodyni – skomentował Brent i poruszył brwiami.

– Daj spokój. Kiedy b dziecie co wiedzie o tych pociskach, które wydlubali cie ze ciany?

– Jezu, Jed, to przecie wi ta. Daj chłopakom z laboratorium par dni. Sprawdzimy te odciski palców, ale to pewnie strata czasu.

– Skoro jest na tyle profesjonalist , eby mie tłumik, pewnie nosi te r kawiczki.

– Otó to.

– Co s dzisz... – Jed przerwał, kiedy wróciła Dora nios c papierowy talerz, owini ty aluminium foli .

– Dzi kuj , panno Conroy.

– Doro. Dasz mi zna , je li si czego dowiesz?

– Mo esz na to liczyc . Uspokój si . Jed b dzie miał na wszystko oko.

– Có – zmierzyła Jeda długim, zimnym spojrzeniem. – Teraz mog spa spokojnie.

– Wła nie. Wesołych wi t.

– Odprowadz ci – Jed skin ł głow w stron Dory. – Wróc . Id c korytarzem, Brent wysupłał spod folii nast pne ciasteczko.

– Jeste tu, zaraz, co około tygodnia?

– Prawie.

– I ju j tak wkurzyłe ?

– Wrodzony talent. Słuchaj, po co zawodowiec włamuje si do sklepu ze starociami i zabiera tylko par dokumentów?

– Oto pytanie za sze dziesi t cztery dolary – Brent wyszedł tylnymi drzwiami, zachłystuj c si ostro dm cym wiatrem. – Tu jest mnóstwo cennych rzeczy.

– Ale on nie przyszedł po cenne rzeczy, co?

– Mógł mie taki zamiar. Przerwał mu.

– Widzi wiatło na pi trze, przecina przewody telefoniczne. Rozwała system alarmowy. Ale nie ma ochoty na braci Daum.

– Na kogo?

– Niewa ne – warkn ł Jed, w ciekły na siebie. – Idzie prosto do katalogu...

– Poniewa czego szuka.

– Tak – Jed wyci gn ł papierosa. – Ale czy znajduje? I czego mo na szuka , w katalogu w sklepie ze starociami?

– Rachunków? – podsun ł Brent, otwieraj c samochód.

– Spisu inwentarza, nazwisk, adresów...

– A jednak pewnych rzeczy nie mo na si oduczyc .

– Kiedy kto do mnie strzela, zaczynam si czu osobi cie zaanga owany.

– Nie mog ci za to wini . Brakuje nam ciebie w mie cie, kapitanie.

W oczach Jeda mign ło co , co wygl dało niemal jak al, po czym szybko znikn ło.

– Miasto chyba poradzi sobie beze mnie.

– Słuchaj, Jed...

– Daruj sobie. – Nie miał nastroju na wykład, kłótni albo roztr zanie problemu winy. – Daj mi zna , jak si co wyja ni.

– Tobie pierwszemu – Brent wsiadł do samochodu, opu cił okno. – Aha, i uwa aj na swój tyłek, kolego. Ta panienka go skopie.

Jed w odpowiedzi tylko parskn ł. Wszedł do mieszkania. Chciał dopilnowa , eby Dora zamkn ła si na noc. Potem zejdzie na dół, by jeszcze raz si rozejrze .

Jak ka dy dobry obywatel, powiedział do siebie

– Wyszli – powiedział, wchodz c przez otwarte drzwi. – Mo esz liczy na Brenta. To dobry policjant.

– Wspaniale. Siadaj.

– Mam robot . Zamknij drzwi na klucz.

– Siadaj – powtórzyła, wskazuj c krzesło. – Zdezynfekuj t ran .

– Sam to zrobi .

– Czy ty nic nie rozumiesz, Skimmerhorn? Je li zostały ranny w obronie kobiety, jej obowi zkiem jest ran opatrzy . Gdybym nosiła halk , musiałabym podrze j na banda e.

Jed przesun ł spojrzeniem po l ni cym kombinezonie.

– Co ty wła ciwie pod tym nosisz?

– Pi kny kolor ciała – Dora popchn ła go na krzesło. Czekąca na to. – Teraz ty powinieni powiedzie : „E tam, prosz pani, to tylko dra ni cie”.

– Bo jest – u miechn ł si blado. – Ale mogło by gorzej.

– Bez w tpienia – ukl kła przy krze le, szeleszcz c jedwabiem i zacz ła przemywa ran wacikiem. – Moja siostra powiedziałyby, e mógłby straci oko. Lea uwa a, e mo na straci oko w ka dej sytuacji. Odziedziczyła po mamie geny troski. – Zamoczyła kolejny wacik i powiedziała wesoło – teraz mo e troch zapiec.

Rana eksplodowała ogniem. Jed chwycił Dor za przegub.

– Niech ci , co to było?

– Alkohol – zatrzepotała rz sami. – Wypali ka de zanieczyszczenie.

– A do ko ci – mrukn ł Jed.

– Nie b d dzieckiem, Skimmerhorn. Nie ruszaj si . Skrzywił si , gdy znowu dotkn ła jego rany.

– Zawołała mnie po imieniu, kiedy p dziła po schodach z histerycznym krzykiem.

– Nigdy nie krzycz histerycznie.

– Tym razem i owszem – u miechn ł si wrednie – Jed! Jed! Och, Jed! Dora wrzuciła wacik do pustej emaliowanej miski.

– To było wtedy, kiedy my lałam, e ci zabije. Niestety, myliłam si – odwróciła kciukiem jego głow , przygl daj c si ranie. – Chcesz, eby ci przylepi plaster?

– Nie – jego oczy błysnęły. – A nie pocałujesz mojej rany?

– Nie – wstała, podniosła miskę, po czym postawiła ją znowu.

– Słuchaj, muszko to zapyta. Wiem, co powiesz. Powiesz, ebyś się nie martwiła, że to coś się zdarza. Ale i tak musz zapyta. Mylisz, że on wróci?

Jed przyjrzał się jej. W jej twarzy, w jej oczach widniało napięcie, które dotąd udało się jej ukryć. Nie mógł i nie chciał uspokajać jej.

– Nie wiem – powiedział sucho.

– wietnie – Dora zamknęła oczy, odetchnęła głębiej. – Wiedziałam, że lepiej nie pytać. Skoro nie wiesz, po co tu przyszedł, to skąd możeś wiedzieć, czy wróci?

– Tak jakoś.

Powinienem skłamać, powiedział do siebie Jed, z przykrością zauważając, że jej policzki znowu zbladły. Nie byłoby tak trudno wymyślić na przykład jakie wytłumaczenie, które zapewniłoby jej spokojną noc. Jej oczy, kiedy je otworzyła, były bardzo ciemne, bardzo zmęczone.

– Słuchaj – wstał i zaskoczył ją i siebie, zakładając jej za ucho pasmo włosów. Potem cofnął rękę i wepchnął ją do kieszeni. – Słuchaj – powtórzył. – Chyba dziś w nocy nie musisz się o nic martwić. Masz tylko iść do łóżka i zapomnieć o wszystkim. Niech policja tym się martwi...

– Tak – miała już poprosić go, by został, i tylko wczasy spowodowane to było strachem przed samotnością. Potrzebowała głowę i potarła ramiona, by je rozgrzać.

– Jutro będzie poza domem, u siostry. Zostawi ci numer telefonu, na wypadek gdyby... na wszelki wypadek – skończyła.

– W porządku. Zamknij za mną drzwi na klucz. Dobrze?

– Pewnie – stanęła z ręką na klamce, gdy wychodził z pokoju.

– Ty też. To znaczy, zamknij drzwi na klucz.

– Jasne – zaczął, a zamknięcie drzwi i zasunięcie rygiel. Usta mu zadrgały, kiedy usłyszał charakterystyczne szuranie krzesła po podłodze i szuranie klamki, gdy podkładała je pod niego. Dobry

pomyśl, Conroy, pomyśl, schodźc do magazynu, by rozejrzeć się jeszcze raz.

* * *

W ładnym domku, tonącym w cieniu potężnych dębów, pewna zamożna matrona rozkoszowała się szklaneczką sherry i „Białym Bożym Narodzeniem” w wykonaniu Binga Crosby’ego, śpiewając tego na ekranie wielkiego telewizora.

Pani Lyle uśmiechnęła się, słysząc za plecami ciche kroki i wyciągnęła rękę.

– Chodź popatrz, Muriel – zachęcała, zwracając się do swojej długoletniej gosposi. – To moja ulubiona piosenka.

Kiedy spadł cios, nie krzyknęła. Delikatny kryształ rozprysnął się, uderzając w róg stolika, plamąc kobierzec z Aubusson czerwony jak krew sherry.

Przez mgłą paraliżującą tego bólu usłyszała brzęk rozbijanego szkła i w ciekły mski głos, powtarzający bez końca.

– Gdzie ten pies? Gdzie ten pieprzony pies?

Potem nie słyszała już niczego.

* * *

O północy DiCarlo jechał windą do swojego mieszkania na Manhattanie. W objęciach trzymał pudełko, które zwinął z zaplecza sklepu monopolowego.

Mam szczęście, znalazłem rachunek za tego głupiego psa, pomyślał i zastanowił się leniwie, czy kule, które wystrzelił w stronę schodów w sklepie z antykami, uderzyły w coś lub w kogo.

Nie ma się o co martwić, pomyślał. Tej broni nie da się zidentyfikować. A on robił postępy.

Uchwycił pudełko mocniej, wychodząc z windy. Miał orła z brzozy, gipsowy Statu Wolności, porcelanowego psa.

I wróbla w garści, pomyślał i rozemniał się do siebie.

* * *

– Tak... – Dora chrupała surow marchewk , podczas gdy Lea doglądała wi tecznej g si. – Wi c Jed leci za facetem, wymachuj c tym pistoletem, a ja stoj jak jedna z tych twoich hollywoodzkich heroin, zaciskaj c r ce na piersi. Masz jaki sos do tych jarzyn?

– W lodówce. Dzi ki Bogu, nie zranił ci – Lea zadr ała, udr czona stert brudnych garnków w zlewie, dzie mi siej cymi spustoszenie w salonie i prawdziwym zagro eniem, którym mogła sta si w kuchni jej matka.

– Przez całe lata bałam si , e do twojego sklepu kto si włamie. To ja ci przekonałam, eby zało y system alarmowy, pami tasz?

– Ale mi pomógł – Dora zanurzyła ró yczk brokułów w sosie z kwa nej mietany i szczypiorku i oparła si o stół kuchenny. – Jed powiedział, e to mała zabaweczka.

– Te co – Lea powstrzymała przemo n ch obra enia si – Ned, kuzyn Johna, powiedział, e to dzieło sztuki.

– Ned, kuzyn Johna, to dure . Fajny sos – nabrała go kalafiorem. – No wi c przyjechały gliny i zrobiły, co do nich nale y. Tacie spodobałoby si to przedstawienie. I zadali mi mas pyta – umy lnie omin ła kwesti strzałów. To nie nadawało si na temat wi tecznej rozmowy. – I okazało si , e były partner Jeda jest waszym s siadem.

– O? – Lea poląła tłuszczem słodkie ziemniaki, obgryzaj c paznokie .

– Ojciec Carli Chapman. Chodzi do szkoły z Missy.

– Carli? – przebiegaj c w pami ci wszystkie kole anki córki, Lea podniosła pokryw k garnka i pow chała. – A, tak. Brent i Mary Pat. Mamy wspólny gara .

– Tak mówił – Dora naląła sobie kieliszek wina, które Lea postawiła na stole. – Fajny facet. B d przesłuchiwa Andrew.

– artujesz! Andrew?

– Porzucony księgowy mści się na kobiecie, niszczy jej dokumenty podatkowe – Dora wzruszyła ramionami i podała siostrze kieliszek wina. – Tak samo dobre jak wszystko inne. Kiedy będzie kolacja?

– Za dwadzieścia minut. Może zaniesiemy te resztki, które oszczędziła, do pokoju. Jeśli nam się zajdzie przez... – przerwała i zaklęła cicho, widząc Trixie Connroy, robiącą wielkie wejście.

Trixie zawsze robiła wielkie wejście, czy to na scenie, czy do sklepu na rogu. Z okazji zwykłej rodzinnej kolacji ubrała się w powiewny, intensywnie kolorowy tunik, z frędzelkami wokół drapowanych rękawów i na dole. Materiał wirował teatralnie wokół jej smukłej figury. Włosy, obcięte krótko po chłopięcemu, miały intensywny płomiennorudy kolor. Jej twarz, młocno biała i bez zmarszczek dzięki fantastycznym zabiegom pielęgnacyjnym i jednemu dyskretnemu liftingowi, była o wiele młodsza. Łagodnie błękitne oczy, które odziedziczyła po niej Lea, były ocienione nieprawdopodobnie długimi rzęsami, pełne, wrażliwe usta – zmysłowo czerwone.

Wionęła przez kuchnię, ciągnąc za sobą powiewające jedwabie i swój firmowy zapach: dojrzały, mocny woń z korzennymi nutami.

– Najdroższe moje! – Jej głos był równie dramatyczny jak ona sama, głębił się szept, który z łatwością dosięgał ostatniego rzędu w korytarzu. – Jak cudownie zobaczyłam moje dwie dziewczynki – wciągnęła głębił boki powietrze. – Och, i te wspaniałe aromaty. Mam nadzieję, że nie przypalisz moich kłopsików, Ofelio.

– Eee... – Lea rzuciła Dorze rozpaczliwe spojrzenie i w odpowiedzi otrzymała wzruszenie ramion. – Nie, oczywiście, nie. – Nawet nie wstawiła ich na gaz. Wepchnęła je pod zlew w nadzieję, że pójdą do psu. Mamo, wiesz... one są zielone.

– Oczywiście – Trixie okrężyła piecyk, trzaskając pokrywkami. – Sama je tak ufarbowałam, z okazji witalności. Moje podamy je teraz jako przystawki?

– Nie. Chyba powinniśmy... – ponieważ nie była w stanie wymyślić dobrej wymówki, postanowiła powiadomić siostrę – mamę, wiesz, ktoś włamał się do sklepu Dory?

– Lea, do cholery...

Lea zignorowała stłumione przekleństwo i brnęła dalej.

– Wczoraj wieczorem.

– O, moje dziecko. O, moje jagniętko – Trixie przemknęła przez kuchnię i ujęła twarz Dory w obciśnięte pierścienkami dłonie – nic ci się nie stało?

– Oczywiście, nie.

– Może zabierzesz mamę do drugiego pokoju, Doro? Usiądźcie razem i opowiesz jej wszystko.

– ‘Tak, tak, koniecznie – Trixie chwyciła Dorę za rękę i zaczęła ciągnąć ją do drzwi. – Powinna do mnie zadzwonić natychmiast po tym, kiedy się to stało. Przyjechałabym w mgnieniu oka. Moje biedne maleństwo. Quentin! Quentin, okradli nas córeczko!’

Dora rzuciła siostrze jedno spojrzenie, zanim matka wypchnęła ją na korytarz.

W salonie Bradshawów panował chaos. Wszędzie porozrzucone były zabawki, przez co dywan w praktycznym płowym kolorze stał się torem z przeszkodami. Powietrze rozdzierały krzyki i skomlenia. Stalowy Michael terroryzował zdalnie kierowanym samochodem policyjnym domowego psa, Mutsy’ego. Will, bardzo nowojorski w czarnej jedwabnej koszuli i krawacie w turecki wzorek, zabawiał Missy frywolnymi piosenkami granymi na szpinecie. John i Richie siedzieli ze szklanym wzrokiem nad grą Nintendo, a Quentin, pod silnym wpływem ponczu, kibicował im głośno.

– Quentin! – dramatyczny ton Trixie sprawił, że wszyscy zamarli w pół ruchu. – Nasze dziecko było w niebezpieczeństwie!

Will, nie mogąc sobie tego odmówić, uderzył dramatycznie w klawisze. Dora zmarszczyła nos.

– Nie byłam w niebezpieczeństwie, mamę – poklepała matkę uspokajając co, posadziła ją na fotelu i wręczyła kieliszek wina. –

Kto włamał si do sklepu – wyja niła. – To nic wielkiego. Niczego nie zabrali. Jed ich wystraszył.

– Miałem co do niego przecucie – Quentin dotkn ł nosa palcem. – Szósty zmysł, rozumiecie. Czy doszło do r koczynów?

– Nie, Jed go przep dził.

– Ja bym go zabił – Richie rzucił si na kanap i pu cił seri z niewidocznego karabinu. – Mówi ci.

– O, na pewno.

– Richie, nie stój na obiciu – rozkazał odruchowo John. – Zadzwo niła na policj ?

– Tak. Teraz wszystko w r kach najdzielniejszych z dzielnych – podniosła Richie’ego. – A oficer ledczy jest ojcem twojej bardzo, bardzo dobrej kole anki, abi pyszczku. Jody Chapman.

– Jody Chapman! – Richie zacz ł si krztusi i chwycił si za gardło.

– Posyła ci całuski – Dora zatrzepotała rz sami i cmokn ła. Cichn ce j ki i skrzeki przekonały j , e kryzys min ł.

– Willowby! – Trixie uci ła hałasy jednym słowem i uniesieniem r ki. – Dzi w nocy zostaniesz z Isadora. Nie znam spokoju, je li nie b dzie jej pilnował jaki m czynna.

– Mamo – to wystarczyło, by Dora zabrała wino. – W imieniu wszystkich feministek wstydm mi za ciebie.

– Polityczne i społeczne teorie bledn , kiedy chodzi o dobro mojego dziecka – Trixie skin ła dostojnie głow . – Will, zostaniesz ze swoj siostr .

– Nie ma problemu.

– Owszem, jest – wtr ciła si Dora. – On zostawia w zlewie brudy po goleniu i wie dzie ze swoimi kobietami z Nowego Jorku długie, obsceniczne rozmowy.

– Na własny rachunek – wyszczerzył z by Will. – I nie wiedziałyby , e s obsceniczne, gdyby nie podsłuchiwała.

– Wasza matka wie, co mówi – Quentin wstał po nast pn porcj ponczu. Wygl dał schludnie i wytwornie w wykrochmalonym kołnierzyku i meloniku. Po drodze ucałował r k swojej ony.

– Jutro sam zajrz do sklepu i zorientuj si w sytuacji. Nie zwracaj sobie tym swojej licznej główki, słoneczko.

– Skoro mówimy o rzeczach obscenicznyc – mrukn ł Will i skrzywił si – co to za smród?

– Kolacja – obwie ciła Lea, zagl daj c przez kuchenne drzwi. U miechn ła si krzywo w stron matki – przepraszam, kochana, spaliłam twoje klopsiki.

* * *

W s siednim domu Jed próbował opu ci go cinn rodzin . wi teczna kolacja u Chapmanów przypadła mu do gusty bardziej, ni mógł si spodziewa . Trudno było nie oszale z rado ci na widok dzieciaków, które nie mogły si nacieszy gwiazdkowymi prezentami. Nie mo na było nie rozkoszowa si zapachem choinki i indyka, i słodk woni szarlotki. A poza tym po prostu lubił Brenta i Mary Pat jako ludzi, jako par .

Im dłu ej przebywał w ich przytulnym domu, tym bardziej czul si niezr cznie. Nie mógł nie porównywa tej rodzinnej sceny: ogie trzaskaj cy na kominku, dzieci bawi ce si na dywanie, z własnymi ałosnymi wspomnieniami wi t.

Wrzaski. Albo gorzej, o wiele gorzej, lodowate milczenie. Ten rok, kiedy matka rozbiła o cian jadalni wszystkie porcelanowe talerze. Rok, w którym ojciec odstrzelił swoj dwudziestk pi tk wszystkie kryształowe wisiorki z yrandola w holu.

A potem wi ta, kiedy Elaine w ogóle nie zjawiła si w domu. Przyszła po dwóch dniach, z rozci t warg i podbitym okiem. Czy to ten sam rok, w którym aresztowali go za kradzie w sklepie? Nie, przypomniał sobie Jed. To si zdarzyło dwa lata pó niej, kiedy miał czterna cie lat.

Takie były te dobre, stare czasy.

– Przynajmniej we troch jedzenia – nalegała Mary Pat. – Nie mam co z tym zrobi .

– B d koleg – wł czył si Brent. Klepn ł on po pupie, przechodz c obok niej, eby wzi piwo. – Je li tego st d nie we miesz, b d m czył tego indyka z niespodziank przez miesi c. Chcesz jeszcze piwa?

Jed potrz sn ł głow .

– Nie, przyjechałem samochodem.

– Naprawd nie musisz jeszcze wychodzi – po aliła si Mary Pat.

– Jestem tu od rana – przypomniał jej, a poniewa była jedn z nielicznych osób, przy których czuł si swobodnie, pocałował j w policzek. – Teraz wracam do domu i zobacz , czy uda mi si jako odpracowa te tłuczone kartofelki i sos.

– Nigdy nie przytyłe ani dekagrama. Denerwujesz mnie – zgarn ła resztki do pojemnika. – Mo e opowiesz mi o swojej wspaniałej gospodyni?

– Nie jest wspaniała. Jest w porz dku.

– Brent powiedział, e jest wspaniała – Mary Pat zerkn ła na m a z ukosa. Ten wzruszył ramionami. – I seksowna.

– Bo dała mu ciasteczka.

– Skoro jest siostr Lei Bradshaw, musi by bardziej ni w porz dku – Mary Pat napełniła szczerze nast pny pojemnik kawałkami szarlotki. – Lea jest oszałamij ca, nawet rano, z gromadk wrzeszcz ych dzieciaków w samochodzie. Jej rodzice s aktorami, rozumiesz. Teatralnymi – dodała, podkre laj c ostatnie słowo. – Widziałam tak e jej matk – przewróciła oczami. – Chciałabym tak wygl da , jak b d w jej wieku.

– Wygl dasz dobrze, złotko – zapewnił j Brent.

– Dobrze – Mary Pat zamkn ła pojemniki, potrz saj c głow .

– Czy powiedział: „wspaniale”? Czy powiedział „seksownie”?

– Ja tak powiem.

– Dzi kuj ci, Jed. Mo e przyprowadzisz tu kiedy swoj gospodyni ? Na kolacj albo drinka?

– Płac jej komorne; nie wchodz z ni w adne układy.

– Obronił j przed złoczy c – wytkn ła mu Mary Pat.

– To odruch. Musz i – wzi ł pojemniki, które mu wcisn ła.
– Dzi kuj za obiad.

Mary Pat, obejmuj c Brenta w pasie, pomachała w stron oddalaj cych si wiatel samochodu Jeda.

– Wiesz co, chyba mogłabym rzuci okiem na ten sklep.

– To znaczy na jego wła cicielk ?

– Jak wolisz – oparła głow na jego ramieniu. – Chciałabym przyjrze si tej wspanialej, seksownej, niezam nej gospodyni Jeda.

– Jemu si to nie spodoba.

– Zobaczymy. Potrzebuje kogo w swoim yciu.

– Potrzebuje pracy.

– Wi c zaatakujemy go oboje – odwróciła si i uniosła twarz do pocałunku. – Nie damy mu adnej szansy.

* * *

W Los Angeles Finley zasiadał w olbrzymiej jadalni do kolacji, zło onej z kaczk i przepiórczych jajek. Towarzyszyła mu pi kna zielonooka, smukła blondynka. Władala trzema j zykami i doskonale znała sztuk i literatur . Jakby nie było do jej urody i inteligencji, była niemal tak bogata jak Finley. Jego ego domagało si , by wszystkie te trzy cechy wyst powały razem.

Kiedy ona s czyła szampana, on otworzył małe, elegancko opakowane pudełeczko, które mu wr czyła.

– Pomy łała o mnie, moja droga – uniósł wieczko, przeci gaj c chwil oczekiwania.

– Wiem, jak kochasz pi kne przedmioty, Edmundzie.

– Istotnie – obdarzył j ciepłym spojrzeniem i odwin ł bibułek . Wyj ł mał japo sk rze b z ko ci słoniowej, ostro nie tul c j w dłoni. Westchn ł gł boko z satysfakcj .

– Podziwiałe to za ka dym razem, kiedy jadł ze mn obiad, wi c pomy łałam, e to b dzie wspaniałe prezent – przykryła dłoni jego r k , ucieszona jego reakcj . – Podarunek

pochodzić z mojej własnej kolekcji wydaje mi się bardziej osobisty.

– Jest wspaniała – przyjrzał się rzębie błyszczącymi oczami.
– I, jak powiedziała, jedyna w swoim rodzaju.

– Właściwie chyba się pomyliłam – podniosła znowu kieliszek i nie zauważyła nagłego skurczu, który przebiegł przez jego palce. – Parę tygodni temu udało mi się zdobyć bliźniaczy egzemplarz – może miała się cicho. – Nie pytaj mnie, w jaki sposób, ale to z muzeum.

– Nie jest unikalna – jego zadowolenie ulotniło się jak dym, zastąpił go gorzki zawód. – Dlaczego wydawało ci się, że chciałbym mieć coś pospolitego?

Zmiana tonu zaskoczyła ją.

– Edmundzie, to cię głębia sama rzęba. Przepięty egzemplarz wyjątkowej urody. I nadzwyczaj cenny.

– Cena jest rzeczą względną, moja droga – mierzył ją zimnym spojrzeniem, ujął delikatnie rękę. Cisnął ją mocno, coraz mocniej, a misterny przedmiot złamał się z trzaskiem przypominającym wystrzał. Kiedy kobieta krzyknęła, uśmiechnął się ponownie.

– Zdaje się, że się zniszczyła. Co za szkoda – odłożył strzaskane szczątki i ujął swój kieliszek. – Oczywiście gdyby podarowała mi przedmiot ze swojej kolekcji, miałby dla mnie prawdziwą wartość. W końcu jest jedyny w swoim rodzaju.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy drugiego dnia witał, nieco po dziesiątej, Jed pukał do drzwi Dory, ostatni raz, jakiej się spodziewał, był młoki głos, jakby mu zaczęła chwila, do cholery. Potem rozległ się jakiś łoskot i przekleństwo.

Will – w kwiecistym prze cieradle spowijaj cym jego chude ciało niczym toga, trzymaj c si za palec u stopy, którym wyr n ł o stolik Pembroke, otworzył drzwi z nieprzyjaznym grymasem.

– Je li czym handlujesz – powiedział – to mam nadzieję , e jest to kawa.

Chyba ich podrywa, pomy lał Jed z niech ci . Najpierw ksi gowy w garniturku i z szalej cymi hormonami, teraz ko cisty chłopak tu po maturze.

– Isadora – powiedział, obna aj c z by.

– Jasne – Will troskliwie przytrzymał c opadaj ce prze cieradło cofn ł si , by Jed mógł wej do rodka. – Gdzie ona jest, do cholery – mrukn ł – Dora! – jego głos odbił si grzmi cym echem od cian i sufitu.

Ten dzieciak ma niezłe płuca, uznał Jed, po czym zauwa ył kł b poduszek i koców na sofie.

– Nie wejdziesz tu, dopóki nie wysusz włosów – Dora wyjrzała z łazienki, ubrana w aksamitny szlafrok i uzbrojona w suszark . – Przecie mo esz... och – urwała, zauwa ywszy Jeda. – Dzie dobry.

– Musz z tob pomówi .

– Dobrze – przeczesała mokre włosy palcami. – Znasz mojego brata? Brat, pomy lał Jed, zły na siebie, bo nagle poczuł niezaprzeczaln ulg .

– Nie.

– Ten facet w prze cieradle to Will. Will, ten nieogolony facet to Jed, s siad z korytarza.

– Były glina, który pogonił włamywacza – zaspane oczy Willa błysn ły. – Bardzo mi miło. Kiedy grałem handlarza narkotyków w filmie ze Stallonem. Od razu mnie zabili, ale to było wspaniałe prze ycie.

– Jasne.

– Masz – Dora podała Willowi suszark . – Mo esz wej pod prysznic. Zrobi kaw , ale ty przyrz dzisz niadanie.

– Mo e by – odszedł, wlok c za sob tren z prze cieradła w kwiatuszki.

– Mama uważała, że w domu, do którego się włamało, powinien być ktoś – wyznała Dora. – Tylko Will się nadawał. Może porozmawiaj w kuchni.

Kuchnia była umeblowana równie praktycznie jak jej własna, ale z pewnością lepiej urządzona i bardziej zorganizowana. Dora wzięła puszkę, którą Jed uznał za pojemnik na biszkopty, i wsypała ziarna kawy do młynka. Potem odezwała się znowu:

– Jak się dzieliła ta?

– Dobrze. Koło południa przyjdzie tu facet, który zainstaluje ci nowy system alarmowy. Porządny.

Dora zamarła. Zapach świeżo zmielonej kawy i ciała pachnącego karmelą wypełnił pomieszczenie i sprawił, że krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach Jeda.

– Słucham?

– To mój przyjaciel. Zna się na swojej pracy.

– Przyjaciel – powtórzyła, wracając do mielenia. – Po pierwsze, musisz powiedzieć, że dziwi mnie, że w ogóle masz jakichś przyjaciół. Po drugie, zdaje się, że oczekujesz ode mnie wdzięków za swój niewiarygodny uprzejmość.

– Ja też tu mieszkam. Nie lubi, jak do mnie strzelają.

– Mogła przedyskutować to ze mną.

– Nie było ci – poczekał, a postawił czajnik na gazie. – Przyda ci się kilka porządnych zamków w drzwiach. Mogą się wybrać w sklepie elastycznym.

Dora wsypała miarkę kawy do zbiorniczka z filtrem, wydymając usta.

– Nie wiem, czy mam być zła, rozbawiona czy oszołomiona.

– Dam ci rachunek za zamki.

To przeważało. Usta jej drgnęły, a potem u niej przeszedł w krótki, gardłowy śmiech.

– Dobra, Skimmerhorn. Ruszaj i uczyni nasz mały wiatek bezpiecznym przystankiem. Co jeszcze?

– Mogę zdzielić miarę na te półki.

Przeci gn ła j zykiem po z bach i si gn ła po stoj cy za nim wiklinowy koszyk z pomara czami.

– Zm czyło ci leniuchowanie? – Kiedy nie odpowiedział, przepołowiała pomara cz gro nie wygl daj cym no em. – Po niadaniu poka ci, o co mi chodzi. Tak si składa, e dzi otwieramy po południu. – Przepołowiwszy sze pomara cz, wło yła je do wyciskarki. – Mo e przygotujesz stół?

– Na co?

– Na niadanie. Will robi wspaniałe nale niki.

Zanim zd ył odpowiedzie , rozległ si gwizd czajnika. Dora zała kaw wrz c wod . Kuchni wypełnił mocny zapach.

– Gdzie trzymasz talerze?

– Pierwsza szafka.

– I jeszcze jedno – powiedział, otwieraj c drzwiczki. – Mo e chciaaby si ubra – jego leniwy u miech sprawił, e zaschło jej w gardle. – Widok twojego wilgotnego, na wpół nagiego ciała mógłby wywoła we mnie nieokiełznany seksualny amok.

Jej własne słowa, rzucone jej w twarz, jako jej nie roz mieszyły. Nalała kawy do fili anek i odeszła.

– Fajnie pachnie – oznajmił Will, wchodz c do kuchni w czarnych d insach i swetrze. Jego włosy, o par tonów ja niejsze ni włosy Dory, były rozrzucone w artystycznym nieładzie. Wygl dał jak reklama Ralphi Laurena.

– Dora robi wietn kaw . Słuchaj, mog wł czy telewizor? Na dziennik CNN. Od kilku dni nie wiem, co si dzieje na wiecie.

Will nalał kawy Jedowi i podwin ł r kawy.

– Will, niech ci !

Głos Dory sprawił, e Will skrzywił si , a potem wyszczerzył z by.

– Zapomniałem spłuka umywalk – wyja nił. – Dora nie znosi, kiedy zostawiam w niej krem do golenia.

– Zapami tam, na wypadek gdyby stało mi si to potrzebne.

– Ale to, e ona rozrzuca wsz dzie bielizn , jest w porz dku – podniósł głos na tyle, by był słyszalny w łazience, zabarwiaj c go

odrobin sarkazmu. – Dorastałem przy dwóch siostrach. Kiedy chciałem wejść do łazienki, musiałem przedzierać się przez dywan i dywanik.

Przemawiając, odmierzał składniki i mieszał je ze sobą z niedbałą finezją. Uchwycił spojrzenie Jeda i uśmiechnął się znowu.

– Wszyscy wietnie gotujemy – powiedział. – Lea, Dora i ja. To samoobrona przed daniami na wynos. A co do tego włamania – zmienił płynnie temat – mylisz, czy jest się czym przejmować?

– Zawsze się przejmuję, kiedy ktoś do mnie strzela. Taki już jestem mieszyński.

– Strzela? – ręką Willa zawisła nad miską, przed chwilą rozbite jajko chlupnęło do rodka. – Jak to „strzela”?

– No wiesz. Pistolet. Kule. – Jedną przełknął łyk kawy. – Pif paf.

– Jezus, Jezus. Nic nie mówiła o strzelaniu – nie wypuszczając kapiącej skorupki, rzucił się do salonu, a z niego do małego przedpokoju i otworzył szarpnięciem drzwi łazienki.

Dora niemal nie wyklęła sobie oka eyelinerem.

– Will, do cholery!

– Nic nie mówiła, że strzelał. Chryste, Dory, opowiadała to jak jakiś kawał.

– Westchnęła, odłożyła eyeliner na półeczek nad zlewem i spojrzała twardo na Jeda ponad ramieniem Willa. Powinna wyglądać mieszyńsko z jednym umalowanym okiem. Ale ona była nad sana, seksowna i pociągająca.

– Wielkie dzięki, Skimmerhorn.

– Polecam się na przyszłość, Conroy.

– Nie w ciekaw się na niego – rozjuszony Will chwycił Dorę za ramiona i potrząsnął. – Chcę dowiedzieć się dokładnie o wszystkim, co się zdarzyło. I chcę to usłysze zaraz.

– To zapytaj tego cibskiego gliniarza – odepchnęła Willa. – Jestem zajęta – oznajmiła i zamknęła drzwi na klucz.

– Isodoro, masz mi odpowiedź – Will zaczął dobijać się do drzwi. – Albo zadzwoni do mamy.

– Spróbuj, a opowiem jej o twoim weekendzie na Long Island ze striptizerk .

– Z artystk kabaretow – mrukn ł, ale wrócił do Jeda. – Ty – oznajmił – ty opowiesz mi o wszystkim, a ja przygotuj niadanie.

– Nie ma wiele do opowiadania.

Jed czuł si jako dziwnie. Nie chodziło o opowiadanie o wypadkach wigilijnego wieczoru, podczas gdy Will przygotowywał nale niki z jabłkami. Chodziło o widok brata i siostry, o wyraz troski i gniewu na twarzy Willa, uczu wiadcz cych o gł bokiej miło ci, a nie tylko zwykłej, rodzinnej lojalno ci.

– I to wszystko? – naciskał Will.

– Co? – Jed zmusił si , by wróci do rzeczywisto ci.

– To wszystko? Jaki łobuz włamuje si , robi bałagan w dokumentach, strzela i ucieka.

– Mniej wi cej.

– Dlaczego?

– To ju zmartwienie policji – Jed nalał sobie drug fili ank kawy. – Słuchaj, dzi po południu zało tu nowy system alarmowy. I zamki. B dzie bezpiecznie.

– Czym si zajmujesz? – zapytał Will. – Przesłuchiwaniami, narkotykami, czym?

– To ju nieistotne, prawda? Nie jestem policjantem.

– No tak, ale... – Will przerwał, patrz c ze zmarszczonymi brwiami na nale niki, które wyło ył na talerz w bł kitny wzorek – Skimmerhorn? Tak ci nazwała, tak? Takie nazwiska zapadaj w pami . Pami tam je sprzed kilku miesi cy. Nałogowo ogl dam dziennik – zacz ł szpera w pami ci, jakby przypominał sobie dawno temu wyuczon rol . – Kapitan, prawda? Kapitan Jedydiasz Skimmerhorn. To ty zastrzeliłe Donny’ego Specka, narkotykowego króla. „Policjant milioner ciera si z narkotykowym baronem” – przypomniął sobie. – Gazety du o o tobie pisały.

– Gazety nadaj si tylko do wykładania ptasich klatek.

Will miał ochotę naciska dalej, ale przypomniał sobie co jeszcze. „Siostra kapitana Skimmerhorna zginęła w samochodzie z podłożem bomb”.

– Kto, kto poradził sobie z takim pierwszorzędnym bandytą, potrafi chyba zająć się moimi siostrami.

– Dora sama potrafi sobie zająć – oznajmiła Dora. Trzymaj się w rękach dzbanek z sokiem, podniosła słuchawkę dzwoniącego kuchennego telefonu. – Halo? Tak, Will tu jest, chwileczkę – zatrzepotała rękami. – Marlen.

– Och – Will zgarnął na talerz dwa naleniki i złapał widelec. – To potrwa chwilę – odebrał słuchawkę i oparł się o ciano. – Cześć, malutka – jego głos obniżył się o kilka tonów i nabrał gęstości ciepłego miodu. – Kochanie, przecie wiesz, że to skniłem. O niczym innym nie myślałem. Dziś wrócę i pokazać ci, jak bardzo.

– Chory człowiek – mruknęła Dora.

– Czemu nie powiedziała mi o wszystkim? Dora wzruszyła ramionami i ciszyła głos.

– Nie widziałam powodu, by martwić moją rodzinę. Nawet w najlepszych warunkach lubi poddramatyzować. Kiedy moja matka dowiaduje się, że boli mnie brzuch, od razu uznaje, że to malaria i natychmiast zaczyna wydzwanianie do specjalistów. Wyobraź sobie, co by zrobiła, gdyby dowiedziała się, że ktoś przestrelał moją ciano.

Jed potrzebuje głowę, delektuj się nalenikami.

– Zadzwoń do CIA i wynajmą ci dwóch wielkich ochroniarzy. Pewnie nazywaliby się Bubba i Frank. A tak skończy się na Willu.

– Will jest w porządku – powiedział Jed w chwili, gdy Will posłał w słuchawkę parę całuszków i skończył rozmowę. Kiedy zrobił dwa kroki, telefon odezwał się znowu.

– Halo – oczy Willa błysnęły. – Heather, kochanie. Oczywiście, że za tobą skniłem, malutka. Nie mogłem myśleć o niczym innym. Do jutra wszystko załatwię i pokazać ci, jak bardzo.

– Nieźle podej c ie – o wiadczył Jed, u miechaj c si do swojej kawy.

– Jak wolisz. Skoro on kocha si przez telefon, ja wył cz telewizor – wstała i dotkn ła wył cznika. Zatrzymała si , słuchaj c komunikatu.

– Nadal nie znaleziono adnych poszlak w sprawie gwiazdkowej tragedii na Society Hill – powiedział spiker. – Szanowana obywatelka naszego miasta, Alice Lyle, nadal pozostaje w stanie pi czki, wywołanej atakiem włamywacza. Zdarzenie miało miejsce w jej mieszkaniu, prawdopodobnie 24 grudnia.

Pani Lyle straciła przytomno . Muriel Doyle, gospodini pani Lyle, została znaleziona martwa na miejscu zbrodni. Makabrycznego odkrycia dokonała w wi teczny poranek siostrzenica pani Lyle. Alice Lyle, wdowa po Haroldzie T. Lyle z Lyle Enterprises pozostaje w krytycznym stanic. Rzecznik filadelfijskiej policji twierdzi, e w sprawie tej prowadzone jest ledztwo.

– O Bo e – Dora odwróciła si do Jeda, splataj c ramiona. – Ja j znam. Była w sklepie przed wi tami, kupowała prezent dla siostrzenicy.

– To zamo na dzielnica – powiedział ostro nie Jed. – Lyle jest znanym nazwiskiem. Włamywacze robi si czasem agresywni.

– Kupiła dwie figurki do przytrzymywania drzwi – przypomniała sobie Dora. – I opowiadała, e jej siostrzenica spodziewa si dziecka – przeszedł j dreszcz. – To straszne.

– Nie mo esz si tym tak przejmowa – Jed podniósł si i sam wył czył telewizor.

– Tego ci nauczyl i w twojej szkole? – warkn ła i zaraz potem potrz sn ła głow – przepraszam. Wła nie dlatego nie słucham tych przekł tych dzienników. Jedyne, co czytam w gazetach, to rubryk recenzji i komiksy – odgarn ła włosy, usiłuj c si otrz sn . – Chyba zejd na dół i otworz wcze niej. Ten bałagan posprz ta Will, zanim pojedzie do Nowego Jorku.

Tym razem nie mógł si ę powstrzyma – przesun ął palcami wzdłu ę jej brody. Skór ę miała mi ękk ą jak płatki ró ę .

– Trudno si ę z tym pogodzi ę , kiedy si ę ich zna.

– I kiedy si ę nie zna – uniosła dło ę , dotkn ęła jego przegubu. – To dlatego odszedł ę ?

Opuścił rękę .

– Nie. Pójdź do sklepu elaznego. Dziękuj za niadanie. Dora westchnęła cicho, kiedy drzwi si ę za nim zamknęły.

– Will, jak skończysz tę obsceniczną rozmowę , zajmij si ę talerzami. Schodź do sklepu.

– Skończyłem – wpadł do kuchni i chwycił sok. – Masz swoje sekreciki, co, Dory? Dlaczego nie powiedziała mi, że ten twój lokator to ten wielki zły policjant, który zgasił Donny'ego Specka?

– Kim jest Donny Speck?

– Jezu, na jakim wiecie ty wyjeżdżasz? – zaczął sprzątać ze stołu, podjadając naleśnika. – Speck prowadził jeden z największych narkotykowych karteli na Wschodnim Wybrzeżu, chyba największy. I był szaleńcem; lubił wysadzać ludzi w powietrze, je li mu przeszkadzali. Zawsze tak samo: bomba uruchamiana przekręceniem kluczyka w stacyjce.

– Jedną aresztował go?

– Aresztował, akurat. Sprzątnął go w prawdziwej, starej wieckiej strzelaninie.

– Zabił go? – Dora poruszyła wargami tymi wargami – czy to... czy dlatego musiał wystąpić z policji?

– A tam, za to dostał medal. Podawali to we wszystkich wiadomościach zeszłego lata. To, że jest wnukiem L.T. Bester, Incorporated, przyciągnęło na niego uwagę prasy.

– Bester Inc.? Ta straszna forsza?

– Nie inaczej. Nieruchomości, sklepy. Filadelfia nie ma zbyt wielu dzianych gliniarzy.

– To mieszkanie. Skoro jest bogaty, po co wynajmuje mieszkanie nad sklepem?

Will pokręcił głową .

- Nosisz nazwisko Conroyów i dziwi ci ekscentryczno ?
- Straciłam na chwil głow .
- A wi c – Will napelnił zlew gor c wod z płynem do mycia talerzy – widz tu nast puj cy scenariusz: nasz bohater, bogaty kapitan policji, chce troch odpocz . Zeszłe lato troch go zm czyło. ledztwo w sprawie Specka trwało miesi cami, potem jego siostra wyleciała w powietrze razem z samochodem...
- Zaraz – chwyciła Willa za rami . – Siostra?
- Mówi si , e to Speck, ale trudno to b dzie udowodni .
- To... to straszne – zbladła i przycisn ła dło do oł dka. – Okropne...
- Gorzej. On to widział. W gazetach napisali: „Kapitan policji wiadkiem mierci swojej siostry w płomieniach”. Mocne.
- Biedny Jed – szepn ła Dora.
- Wsz dzie o tym pisali. Nie pami tam dokładnie, ale wspominali te o skandalach w klanie Skimmerhornów i Besterów. Jego siostra rozwodziła si trzy lub cztery razy. Rodzice lubili publiczne awantury. Było chyba te co o młodzi czych wybrykach Jeda. Wiesz, jak ludzie lubi czyta o nieszcz ciach bogatych rodzin.
- Nic dziwnego, e chce, eby wszyscy zostawili go w spokoju. Ale – powiedziała po chwili – to adne rozwi zanie. – Pocałowała policzek Willa. – Zamknij drzwi na klucz, kiedy b dziesz wychodził. Zobaczmy si na Sylwestra?
- Obowi zkowo. Dora?
- Hmmm?
- Rób to, co ci ka e. Lubi , kiedy tu jeste .
- Lubi tu by – wzi ła swoje klucze i zbiegła po schodach.

* * *

Tego ranka ruch w sklepie był niewielki, co pozwoliło Dorze na zastanowienie si . To, czego nie wiedziała o Jedzie Skimmerhornie, mogłoby wypełni sportowy stadion.

Fascynuj ce okruchy, jakie rzucił jej Will, sprawiły jedynie, e niedosyt wiedzy o nim zacz ł jej bardziej doskwiera .

– Dzie dobry, Izzy, moja najdro sza córeczko – Quentin wkroczył do sklepu w nausznikach z nerek, umocowanych na niezwyklej, złotosrebrnej czuprynie. Miał na sobie si gaj cy kostek płaszcz z owczej wolny, gwiazdkowy prezent od ony.

– Tatu ! Oto osoba, której mi potrzeba.

– To, e dzieci ci potrzebuj , jest nagrod dla ojca. Dzi ki temu człowiek w rednim wieku wie, e nie jest bezu yteczny. M czyzna w rednim wieku utwierdza przez to swoje poczucie warto ci. Ach, Terri, jak zawsze zjawiskowa – podszedł do rudowłosej, uj ł jej dło i nachylił si nad ni z teatraln przesad . – Skarb Liberty Players, twojego niegodnego dyrektora i „Salonu Dory”. Có to, dzi dzie bez klienteli?

– Było kilku szperaczy, jedna wymiana i jedna zapieraj ca dech w piersiach transakcja: kołatka do drzwi w kształcie ziewaj cego hipopotama za dwadzie cia dolarów – zameldowała Dora. – Sklepy musz p ka w szwach. Terri, poradzisz sobie sama, prawda?

– Z zawi zanyymi oczami i skuta ła cuchami.

– Tatu – Dora wzi ła ojca pod rami i wyprowadziła go z głównego pomieszczenia sklepu do mniejszych salek wystawowych – co wiesz o Jedzie Skimmerhornie?

– Co wiem? – Quentin wyci gn ł rolk mi towych dropsów, eby zyska na czasie. – Zaraz, chwileczk . Mierzy ponad sze stóp. Wa y jakie sto siedemdziesi t funtów, budowa atletyczna. Trzydzie ci par lat. Wnioskuj c z karnacji, pochodzenie anglosaskie.

– Przesta . Znam ci , Quentinie D. Conroyu. Lea mo e sobie uwa a , e wynaj łyby mieszkanie jakiemu dzwoni cemu ła cuchami, wytatuowanemu oprychowi z gangu motocyklowego, ale ja wiem lepiej.

Quentin zamrugał, wyra nie zaskoczony.

– Lea tak powiedziała? Na Boga, co za jadowity j zyk – uderzył pi ci w dło .

– Nie zmieniaj tematu. Wiesz wszystko, czego mo na si dowiedzie o Skimmerhornie, w przeciwnym razie nie zamieszkałby tutaj. Wi c jazda. O co tu chodzi z t bogat rodzin ?

– Z klanem Besterów i Skimmerhornów – u ci lił Quentin. Zdj ł ostro nie płaszcz i zło ył go czule na krze le.

– Wi kszo pieni dzy ma rodzina ze strony matki, cho gał Skimmerhornów te ma si czym pochwali . Jed jest ich spadkobierc , skoro chcesz wiedzie , bo on i paru dalekich kuzynów stanowi ostatnie gał zie ich usychaj cego drzewa genealogicznego.

– Wi c naprawd jest niezale ny finansowo – mrukn ła Dora.
– Niech mnie...

– Najwa niejsza, jak si wydaje, jest tu niezale no . – Quentin odkaszln ł dyskretnie, zakrywaj c usta r k . Na policzki wyst pił mu rumieniec. – Wiesz, jak nie lubi powtarza plotek, Izzy.

– Powiesz tylko raz.

Roze miał si i pogłaskał j po kciuku.

– Moja dziewczynka ma refleks. A wi c plotka głosi, e miody Jed wst pił do policji wbrew woli swej rodziny. Nie aprobowali wyboru takiego zawodu i grozili mu, e go wydziedzicz – jego głos nabrał niskich, gł bokich, doskonale odmierzonych tonów. – W ka dym razie, o jego rodzicach było gło no w eleganckich sferach. Gło no w sensie dosłownym. Uwielbiali publiczne awantury. To, e si nawzajem nienawidzili, nie stanowiło dla nikogo tajemnicy, ale nigdy by si nie rozwiedli, by nie zerwa finansowych wi zów mi dzy Besterarni a Skimmerhornami.

– Jak miło – mrukn ła Dora.

– Istotnie. Jed własnymi siłami wyrobił sobie w policji mark . Reputacj zawdzi czał na ladowaniu zarówno ogara, jak i teriera. cigał poszlaki i zatapiał z by w sprawie – Quentin u miechn ł si do swojego porównania. – Mniej wi cej rok temu dostał awans na kapitana, który – jak wielu s dziło – był tylko

przystankiem na drodze do stopnia szefa policji. Potem pojawił się Donny Speck.

– Will mi mówił. Speck zabił siostrę Jeda.

– To ogólne założenie. Co do kwestii, dlaczego Jed wystąpił z policji, mogą być tylko przypuszczenia. Proponuję, żeby sama go zapytała.

– Nie powie mi tego.

– Interesujesz się nim zawodowo czy prywatnie? Zastanowiła się i przyjrzała mi z bliska, którą stronę stawał jej ojciec.

– Jeszcze nie wiem. Dziękuję ci za tę historię – pocałowała go w policzek – którą powinien być opowiedzieć mi wcześniej, o co.

– Nie ma za co.

– Jed jest na zapleczu, wstawia nowe zamki. Może trochę poza – wracasz mu głowę?

– Z przyjemnością ci – wisił swój płaszcz i przewiesił go sobie przez ramię.

– Może go tu zostawić.

– Zostawić... o, nie, nie – pogłaskał płaszcz z miłością, unikając spojrzenia Dory. – Weźm go ze sobą. Mogłbym zmarznąć.

Mógłby potrzebować piersiówki, którą masz w wewnętrznej kieszeni, poprawiła go Dora w myśli i wróciła do pracy.

* * *

Tymczasem na zapleczu Jed znowu czynił użytek z wiertarki Brenta. Niemal zamocował ją na ścianie, potem zasłonił, kiedy na horyzoncie pojawił się Quentin.

– I Wesółch wi t! Zdaje się, że jesteś naszym bohaterem. Przyjmij moje najszczerze wyrazy wdzięczności.

– Proszę pana...

– Quentin, proszę. Will powiedział, że bronił mojej dziewczynki, naraził się na szwank własnego życia i całe coś czyni.

– Quentin uśmiechnął się i kręcił się z drewnianym oparciem. – Powiedz, macie już jakie poszlaki?

– Zadzwoń na posterunek i poproś pomocnika Brenta Chapmana. On zajmuje się tymi sprawami.

– Ale ty, mój drogi chłopcze, byłeś na miejscu zbrodni, z bronią w pogotowiu. Gdzie są ślady kul? Will powiedział, że padły strzały.

– Na gipsie przy schodach – Jed spojrzał z rozbawieniem na Quentina, dokonując ciego oglądnięcia. Nie zdziwiłoby go, gdyby wyjął szkło powiększające i czepił się w szkocką kratę.

– Ciekawe, prawda? Wiesz, kiedy grałem Poirota w skromnej inscenizacji „Orient Expressu”.

– A Will grał handlarza narkotykami razem ze Stallonem. Nieźła rodzinka.

– Zbrodniarzy trzeba grywać równie mocno jak bohaterów, to rozwija artystycznie osobowość. Widzisz, my mamy teatr we krwi. Choć Izzy wydaje się skłaniać raczej ku rekwizytom.

Wrócił na krzesło. Oparł się wygodnie, skrzyżował nogi i splótł dłonie na foremnym brzuchu.

– Która godzina?

Jed obrócił nadgarstek, by spojrzeć na zegarek.

– Za kilka minut dwunasta.

– To znakomicie – Quentin sięgnął z zadowoleniem do kieszeni płaszcza po butelkę.

– Nie podchodź z tym do mnie. Quentin uśmiechnął się do brotliwie.

– Zdaje się, że wtedy napełniłem butelkę czymś, co może na by nazwa paliwem wysokooktanowym. Dziś mamy coś znacznie słabszego.

– I tak dziękuję.

– No cóż, za wszystkie dziewczynki, które kochałem. – Quentin wyszczylił powoli swoją porcję, westchnął i schował butelkę z powrotem. Dora mogła wpaść w koma w tej chwili. – Przyszedłem tu również z innego powodu. Chciałbym ponownie zaproszenie na nasze coroczne przyjęcie sylwestrowe w teatrze.

Moja ona chce osobi cie podzi kowa ci za zaopiekowanie si nasz Izzy.

– Nie przepadam za przyj ciami.

– Poczytam sobie za szczególń uprzejmo , je li zajrzysz przynajmniej na chwil . Po tym incydencie martwi si , e Izzy b dzie wraca samotnie do domu.

Zasiawszy ziarno, Quentin poci gn ł jeszcze jeden łyk i opu cił scen .

* * *

Poniewa ruch w sklepie niemal zamarł, Dora zostawiła Terri na posterunku i po wi ciła wi ksz cz popołudnia na uporz dkowanie dokumentów. Niemal zmierzchało, kiedy na dole pojawił si Jed i bez słowa zaj ł si mierzeniem ciany, na której miały zawisn pólki.

Dora równie nie zwracała na niego uwagi. Prawie przez pi minut.

– Ten system alarmowy, który mi wepchn ę , wystarczyłby do obrony Fort Knox.

Jed gryzmołił co w notatniku.

– Ty masz tylko zapami ta sze ciocyfrowy kod.

– A je li go zapomn , rozdzwoni si dzwonki i syreny, zaczn błyska wiatła i jaki typ z megafonem krzyknie, ebym wyszła z r kami w górze.

– Wi c nie zapomnij.

– Nie jestem zbyt mocna w liczbach. Dlatego mam ksi gowego.

– Miała . Nawiasem mówi c, jest czysty.

– Czysty? Andrew? Pewnie, e tak. Mamusia sprawdza co wieczór, czy umył si za uszami.

Jed zwin ł z trzaskiem ta m miernicz .

– A w ogóle po kiego diabła umówiła si z nim?

– Miał mi opowiedzie o paragrafie dwudziestym pi tym nowej ustawy podatkowej. Bałam si mu odmówi – u miechn ła

si . Przynajmniej rozmawiali ze sob . – Wła ciwie było mi go al. Jego matka jest naprawd star wredn j dz .

– Krytyczn noc Andrew sp dził razem ze star wredn j dz i dwoma tuzinami go ci na gwiazdkowym przyj ciu u Dawd, Dawd i Goldsteina. Ma elazne alibi do wpół do jedenastej.

– Nigdy w to nie w tpiłam. – Przez chwil oddzielała rachunki od faktur. – Dzwoniłam do szpitala.

– Co?

– Pani Lyle, z dzisiejszych wiadomo ci. Nie mog przesta o tym my le . – Dora wyj ła rachunek z Federal Express. – Nadal – jest nieprzytomna. Posłałam jej kwiaty. To chyba głupie.

– Tak. – Chryste, dlaczego pozwalał, eby podchodziła go z tej strony? – Ale ludzie na ogół lubi takie głupie gesty.

– Ja lubi . – Dora westchn ła gł boko i odwróciła si plecami do biurka. – Skimmerhorn, chcesz wyj ?

– Prawie sko czyłem pomiary. Zaraz zejd ci z oczu.

– Nie, wyj tak w ogóle – przesun ła niecierpliwie dłoni po włosach. – Chcesz wyj na pizz albo do kina? Nie chce mi si tkwi w tych papierzyskach.

– Troch za wcze nie na kino.

– Ale jak sko czymy pizz , nie b dzie za wcze nie – przybrała swój najbardziej przekonuj cy ton. – B d koleg , Skimmerhorn. Jedyna rzecz gorsza od samotnego siedzenia w kinie to samotne siedzenie w kinie dla zmotoryzowanych.

Wiedział, e nie powinien. Po tym, do czego niemal doszło poprzedniej nocy, nale ło jej unika .

– Jaki jest ten kod?

– A bo co?

– Bo zamkniemy, wychodz c.

Z jej oczu znikn ło napi cie.

– Dwana cie dwadzie cia cztery dziewi dziesi t trzy. Wigilia dziewi dziesi tego trzeciego – u miechn ła si , bior c płaszcz. – Tej daty na pewno nie zapomn .

– Prawidłowe rozumowanie. – Włó ył marynark . Po krótkim wahaniu uj łą k , któr mu podała. – Sprawdzimy zamki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTY

Mary Pat była zwolenniczką otwartego działania. Ciekawo, jak budziła w niej osoba gospodyni. Jedną, moją było zaspokoić, wybierając się na zakupy. Mary Pat wkroczyła do „Salonu Dory”, przyglądając się jego wnętrzu, z przyjemnością tym wikszą, że zastała w nim swój siadki.

– Lea! Jak się masz!

– O, cze! – Lea odstawiła odkurzaną włą nie spluwaczkę z tego szkła. – Co cię sprowadza do tej dzielnicy?

– Urodziny mojej matki.

To, co miały się odbyć za trzy miesiące, nie miało żadnego znaczenia.

– Strasznie spodobała mi się beczułka na biszkopty, którą kupił tu dla mnie Jed, i pomyślałam, że może znajdę coś wyjątkowego.

– Wyjątkowych rzeczy mamy dużo. Jak tam dzieci?

– Doprowadzaj nas do szaleństwa. Licz dni do końca ferii.

– Kto nie liczy? – Lea myślała szybko. Mary Pat jest idealnym źródłem wiadomości o Jedzie. – Wiacie znacie Jeda.

– Od lat. – Mary Pat przyglądała się kolekcji porcelany Gossa, czekając na właściwy moment, by wypytać Lec o jej siostrę. – Zanim Jed został kapitanem, on i Brent byli przez sześć lat w tym samym oddziale. Twoja siostra ma uroczy sklepik. Od dawna zajmuje się handlem?

– Od pierwszej klasy – powiedziała sucho Lea. – Zawsze lubiła handlować. Oficjalnie od trzech lat.

Twarda bizneswoman? – zastanowiła się Mary Pat. Pazerna karierowiczka?

– Na pewno jest tu parę pięknych rzeczy – spojrzała na metkę z cen shakera do coctaili w stylu Art Deco i gwizdka, która beczułka.

– Mam nadzieję, że od czasów włamania nie miała jakich kłopotów.

– Dziękuję Bogu, nie – Lea podeszła do srebrnego serwisu do kawy i napełniła dwie filiżanki. – Ze smietanką, prawda? Bez cukru?

– Mhm. Dziękuję.

– Jesteście mi strasznie wdzięczni za to, że Jed był na miejscu. wiadomo, że Dora mieszkała w drzwiach z policjantem przynosi mi pewną ulgę.

– Z jednym z najlepszych policjantów. Brent uważa, że jeśli Jed się otrząśnie i wróci do pracy, w ciągu najbliższych pięciu lat zostanie szefem policji.

– Naprawdę? – Lea, usiłując nie myśleć o dziecku, wsypała do swojej kawy szczyptę cukru.

Mary Pat wróciła do głównego tematu rozmowy.

– Byłam zdziwiona, kiedy się tu wprowadził. Twoja siostra to prawdziwa kobieta interesu: właścicielka sklepu i mieszkania...

– O, Dora uwielbia rzeczy.

Nachalna, zdecydowała Mary Pat. Aroganka. Cieszyła się ze względu na Jeda, że wpadła tu powoli. Odwróciła się na dźwięk głosów dobiegających od drzwi.

– Chyba wiem, gdzie znaleźć to, czego pani szuka, pani Hendershot. – Dora prowadziła przez sklep staruszkę, wspierając się na brzoze łasce.

– Proszę zadzwonić – powiedziała staruszka głosem zaskakującym przy tak w tym ciele. – Wesele mojej wnuczki będzie za dwa miesiące. Ci młodzi, zawsze im spieszy.

– Proszę się nie martwić. – Dora, mimo że miała na sobie tylko lekki jedwabny kostium, wyprowadziła staruszkę na zewnątrz, a do stojącego przy krawieństwie klasycznego dekolotki. – Znajdziemy dla niej idealny prezent.

– Nie zawiedź mnie – pani Hendershot rzuciła swoją łaskę na miejsce dla pasażera i usiadła za kierownicę. – Wejść do rodka, dziewczyno, zaciśnij się na miarę.

– Dobrze, proszę pani – Dora cofnęła się na krawieństwo.

Kiedy pojazd pani Hendershot z rykiem pomknął ulicą, wróciła pospiesznie do sklepu, zacierając zmarznięte dłonie.

– Gdyby startowała w wyścigach, nikt by jej nie pokonał.

– Kobieta w tym wieku nie powinna prowadzić – oznajmiła Lea i naląła filiżankę kawy dla swojej siostry.

– A dlaczego? Prowadzi ten swój stary czołg jak kierowca rajdowy. Dzień dobry – zwróciła się do Mary Pat. – Czy Lea zajęła się pani?

Mary Pat miała chwilę na to, aby się przyjrzeć swojej ofercie. Zaakceptowała – z lekkim ukłuciem zazdrości – stylowy kwiecisty akret Dory i prosty dopasowany spódnica w brzoskwiowym kolorze. Zdziwił ją widok szpilek na wysokich obcasach u kobiety, która cały dzień spędzała na stojąco. Zastanowiła się, czy szafiry, zebrane w grona u jej uszu, są prawdziwe.

– Przyszłam poszukać tu czegoś na urodzinowy prezent. Lea i ja jesteśmy siadkami.

– To Mary Pat Chapman – oznajmiła Lea.

– Wszystkie wypracowane teorie Mary Pat wzięły w łeb, który Dora ujęła jej dłoń. Uścisk był pełen ciepła i przychylności.

– Tak się cieszę, że wpadła. Miałam nadzieję, że uda mi się cię poznać. Wtedy, w nocy, Brent był po prostu wspaniały, natychmiast mnie uspokoił. A właśnie nie, podobała ci się beczka na biszkopty?

– Tak – odprężyła się Mary Pat – właśnie ciwie to podobała mi się tak bardzo, że przyszłam tu poszukać prezentu dla mojej matki – zawahała się i odstawiła filiżankę. – Ale przyszłam tu nie tylko dlatego. Najbardziej chodziło mi o to, aby ci się przyjrzeć.

Oczy Dory rozejrzały się do niej ponad brzegiem filiżanki.

– Kto mógłby cię poprosić? A może, przy okazji tego przyglądania się, wybierzemy twojej mamie jakiś prezent? Myślała o czymś konkretnym?

– Skąd. Miała masaż?

Wobec tak jawnego przesłuchania Dora musiała powściągnąć chichot.

– Nie. Raz byłam prawie zaręczona. Pamiętasz Scotta, Leo?

– Niestety.

– Przeprowadził się do Los Angeles, i nasz, romans łagodnie, dobiegł końca. A może buteleczka na perfumy? Mamy kilka ładnych egzemplarzy – kryształ, porcelana, dęte szkło. –

– Może. Moja matka ma toaletkę. O, to jest ładna – chwyciła buteleczkę w kształcie serca, z kwiatkami z przodu i tyłu. – Uwaga, ten sklep przyniósł ci sukces? Eee... finansowy?

Dora uśmiechnęła się.

– Nie interesuje mnie konto bankowe, czyżby, nawet tak przyjemnie zasobne jak konto Jeda. Znacznie bardziej interesuje mnie jego ciało. Ta buteleczka kosztuje siedemdziesiąt pięć dolarów, ale jeśli ci się podoba, opuszczam dziesięć procent. Na dobry początek.

– Kupione. – Mary Pat odwzajemniła uśmiech. – Jest przyjemny dla oka, co?

– Bardzo. Opakowa?

– Tak. – Mary Pat poszła za Dorą do lady. – Zwykle nie jestem taka w ciemności, ale Jed to prawie rodzina.

– Rozumiem. Na twoim miejscu też stałabym się w ciemności.

Mary Pat może miała się, bardziej niż zadowolona z rezultatów swojej wizyty.

– Dobrze. Widzisz, Doro, Jed potrzebuje wyłączenie... – przerwała, bo w sklepie pojawił się przedmiot ich rozmowy.

– Conroy, te półki mają być... – przerwał, oczy się mu zwziły. – M.P.?

– Cześć – jej uśmiech był krótki i trochę wymuszony. – Miesznie, jeśli się tu spotkaliście.

Znał ją dobrze, za dobrze. Z uśmiechem obojętności ci zatknął kciuki w kieszeniach spodni.

– Co ty tu robisz?

– Kupuję prezent – dla potwierdzenia wyjątkowość kart kredytowych.
– Dla matki.

– I mam szczerą nadzieję, że się jej to spodoba. – Stojąc obok Dory mrugnęła do Mary Pat. – Może to

wymieni w ci gu miesi ca. – Odwróciła si do Jeda. – Potrzebujesz czego ?

Zacisn ł usta z rozdra nieniem.

– Chcesz, eby te cholerne półki były przymocowane na stałe czy zdejmowane?

– A mog by zdejmowane? wietnie. Jed mi tu bardzo pomaga – Dora odwróciła si z u miechem do Mary Pat. – Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

– Nie ma to jak złota r czka w domu – zgodziła si Mary Pat W zeszłym roku Jed pomógł Brentowi wyko czy nasz salon. Powinna to kiedy obejrze .

– Jeste dyskretna jak wybuch atomowy, Mary Pat – Jed spojrział spode łba na obie kobiety i wyszedł, trzaskaj c drzwiami.

– To taki łagodny, przyjacielski facet – powiedziała Dora. – Dlatego go kochamy.

Mary Pat wyszła po chwili, zadowolona z porannych dokona .

* * *

Ta kobieta prosi si o kłopoty, my lał ponuro Jed, przesuwaj c pił w poprzek deski. Uwa a, e sama da sobie rad . Kusiło go, eby udowodni jej, jak bardzo si myli. I zrobiłby to, gdyby w jednej sprawie nie była tak bliska prawdy.

Nie bał si jej. Niech to diabli, nie bał si . Ale... Odłó ył pił i wyj ł papierosa. Zrobił si przez ni nerwowo jak diabli.

Lubił słucha jej miechu. W jaki dziwny sposób uj ło go to, jak rozmawiała z ekranem w ciemno ciach kina. Rozmowa nie sprawi jej adnego problemu, pomy lał. Do diabła, mógłby pewnie nie odezwa si do niej słowem przez godzin , a ich konwersacje nie utkn łyby ani na chwil .

Byłby głupi, gdyby udawał, e mu si nie podoba. Wielkie oczy krótkie spódniczki. I nie była jak rozmazan mazep .

Podobało mu się to, jak zabrała się do księgowego, uniesione pięci i ogniste spojrzenia.

Jed przyląpał się na u miechu i zdeptał niedopałek papierosa.

Nie da się złapać. Po co mu ból głowy. Po co mu komplikacje. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że to hormony wciagnęły go w tę sytuację.

Może kilka razy, zbyt wiele razy, wyobraził sobie Isador Conroy bez tych obcisłych szmatek. Co nie znaczyło, że zamierzał je z nich rozebrać,

W końcu, pomyślał, wychowano mnie w duchu podejrzliwiego, cynizmu i obojętności, zgodnie z najlepszymi tradycjami Skimmerhornów. Lata w policji tylko pogłębiły te cechy. Dopóki jej nie ufam, zdołam utrzymać się przy sobie.

Dziesięć minut na zimnym powietrzu ochłodziło jego krew. Zebrał narzedzia i wszedł do rodka.

Cięgle tam była, siedziała za biurkiem. Zanim Jed zdążył wymyślić jakiś sarkastyczny komentarz, zobaczył jej twarz. Była miernie blada, płonęły w niej pociemniałe oczy.

– Złe wieści? – spytał, starannie usuwając z głosu wszelkie oznaki zainteresowania. Kiedy nie odpowiadała, odłożył narzedzia. – Doro? – Stał przed biurkiem, jeszcze raz powtarzając jej imię.

Uniosła twarz ku niemu. Jedną z łez, kręcącymi się w jej oczach, spłynęła na policzek i potoczyła się w dół. Widywał setki płaczących kobiet. Jednym przyglądał się chłodnym okiem, inne budziły w nim dziki ból. Nie pamiętał, żeby coś wstrząsnęło nim bardziej niż ta samotna cicha łza.

Dora zamrugała, po jej policzku potoczyła się następna łza. Zerwała się, wydając jakiś zdławiony dźwięk. Rozum podpowiadał mu, żeby zostawić ją w spokoju, ale pobiegł za nią, dopadając jej dwoma skokami. Chwytnie i odwrócił twarz do siebie.

– Co się stało? Czy to twój ojciec?

Potrzebowała głową z całych sił, usiłując się opanować. Miała ochotę oprzeć głowę na ramieniu Jeda. Był może nie zrobiła tego dlatego, że otoczył ją nim.

– Usiedź. – Choć opierała się, poprowadził ją do krzesła. – Chcesz, abym przyprowadził twoją siostrę?

– Nie – zacisnęła wargi, odetchnęła głębiej. – Idź sobie.

Mógł jej posłuchać, ale i tak miał zbyt wiele na sumieniu. Podszedł do małego zlewu i napełnił filiżankę Dixie ciepłą wodą.

– Masz. Wypij. Potem usiedź wygodnie, zamknij oczy i odetchnij głębiej kilka razy.

– A to co? Uniwersalne lekarstwo Skimmerhornów?

Czując przemożną potrzebę pogłaskania jej i uspokojenia, wsadził obie ręce do kieszeni.

– Co w tym stylu.

Wypiła wodę; miała zaschnięte gardło.

Z zamkniętymi oczami, pomyślał Jed, wygląda krucho, zupełnie inaczej niż ta pełna życia kobieta, której przed chwilą tak powiedział. Usiadł na brzegu biurka i odczekał chwilę.

– Dobrze – powiedziała po chwili. – Działa – westchnęła, otworzyła oczy. – Dziękuję.

– Co ci tak wytręciło z równowagi?

– Telefon – pociągnęła nosem i sięgnęła do szuflady po paczkę chusteczek. – Poznałam tego pana, kiedy pojechałam w służbową podróż tu przed Gwiazdkę. Zadzwoeniłam do niego, żeby się dowiedzieć, czy nie ma w swoim sklepie tego, czego potrzebuje moja klientka – znowu musiała głębiej odetchnąć. – Nie wie. W zeszłym tygodniu zabił go włamywacz.

– Przykro mi – Jed nie znosił tych słów, zawsze bezużytecznych.

– Spotkałam go tylko raz. Przelicytowałam go na aukcji. Lea i ja poszłyśmy do jego sklepu, a on zrobił nam gorącą czekoladę – głębszo jej załamał. Przez chwilę walczyła z sobą. – Rozmawiałam z jego synem. Zabili go następną noc.

– Czy złapali mordercę?

– Nie – spojrzała na Jeda. Oboje przyjli z ulg fakt, e oczy jej obeschły. – Nie znam adnych szczegółów. Nie chciałam pyta . Jak ty to znosisz? – zawołała, chwytaj c dło Jeda z gwałtowno ci , która zaskoczyła ich oboje. – Jak znosisz tak koszmarn codziennie ?

– Nie traktuje si tego tak jak w prywatnym yciu. Nie mo na.

– Odszedłe , bo przestałe patrze na te sprawy jak policjant?

– Cz ciowo – odebrał jej swój dło , odst pił na pewien dystans.

– To chyba niezbyt dobry pomysł.

– Mnie wydawał si dobry.

– Interesuj cy jest ten czas przeszły, Skimmerhorn – wstała, marz c, by jej oł dek wreszcie si uspokoił. – Powiniene powiedzie „wydaje si ”, chyba, e si rozmy liłe . Mogliby my si nad tym zastanowi , ale teraz nie mam jako nastroju do dyskusji. Musz porozmawia z Le .

* * *

Gregg i Renée Demosky wrócili do swojego dwupoziomego domu w Baltimore dokładnie o osiemnastej. Jak zwykle kłócili si ze sob . Wrzeszczeli na siebie przez cał , trwaj c dwadzie cia minut jazd z gabinetu dentystycznego Gregga, gdzie Renée pracowała jako pomocnica. W gara u, w którym Gregg zaparkował br zowe BMW obok ich szykowej toyoty supra, kontynuowali swój utarczka , nie przerywaj c jej a do drzwi domu.

– Mogli my pój na kolacj – powiedziała Renée, otwieraj c gwałtownie drzwi wej ciowe. Była pos gow blondynk , która zacz ła si lekko zaokr gla .

– Raz na jaki czas chciałabym spojrze na ludzi, którzy nie siedz z otwartymi ustami – poskar yła si . – Wpadamy w rutyn , Gregg.

– Lubi rutyn – mruknął. – Daj spokój, Renée, zapomnij o tym. Chcę tylko trochę odetchnąć w moim własnym domu. Czy prosz o zbyt wiele?

– A ja chciałabym gdzie wyjść, może do Inner Harbor – Renée szarpnęła drzwiczki lodówki i wyjęła potrawkę z tuńczyka. – Ale nie, po całym dniu spędzonym na nogach, przy czyszczeniu cudzych zabawek, wracam do domu i muszę przygotować obiad.

Gregg pomaszerał prosto w stronę szkoockiej, czekając na niego w salonie.

– Nie odchod, kiedy mówię do ciebie! – Renée cisnęła garnek z potrawką do piecyka i pobiegła w łazienkę.

W salonie zatrzymała się jak wryta, podobnie jak ona, i spojrzała osłupiała na rozpoznaną przed nią obraz zniszczenia. To, czego nie ukradziono, było zniszczone lub rzucone na dywan pokoju, gdzie niegdyś leżał perski dywan. Miejsce pod dwudziestopięciocalowym telewizorem stereo i odtwarzaczem kompaktowym było rozpaczliwie puste.

– Och, Gregg! – wszystkie rzeczy poszły w niepamięć. Renée chwyciła ramiona. – Okradli nas.

– Nie płacz, kotku. Zajm się wszystkim. Idź do kuchni i zadzwoń na policję.

– Nasze rzeczy. Nasze liczne rzeczy.

– To tylko rzeczy – przytulił ją i pocałował w czubek głowy. – Moje rzeczy i moje. Cię mamy siebie.

– Och – Renée spojrzała na niego przez łzy – naprawdę tak myślisz?

– Jasne – przesunął dłoń po jej włosach. – A kiedy policja skończy i powie nam, co się stało, wyjdziemy na kolację. Tylko ty i ja.

* * *

DiCarlo pogwizdywał, wtórując Tinie Turner w jego samochodowym stereo. Miał swoje podpórki pod kciuki w

kształcie syren – a także sześćset dolarów, które Demosky ukrył w zamrażalniku, piątkę pierścieni z rubinami i brylantami, który René zostawiła niedbale na szafce, a także zysk, który będzie miał z przekazania całego sprzętu elektronicznego swojemu staremu paserowi w Kolumbii, w stanie Maryland.

Podsumowując, był to wspaniały dzień. Włamanie wyglądało na zwykły rabunek, a jemu zwróciły się koszty podróży. Teraz zamierzał zafundować sobie hotel pierwszej klasy, zanim odbierze znajdując się w Wirginii papug.

Potem wpadnie na chwilę do Filadelfii po obraz.

W ciągu najbliższych dwóch dni Finley przekona się, jak godny zaufania i pomysłowy jest Anthony DiCarlo. I, pomysł DiCarlo, będzie zmuszony wypłacić mu znaczny nagród za wyświadczony usługi.

ROZDZIAŁ DZIESI TY

W palenisku kominka trzaskały wesoło płomienie. Rzucały wesołe, ruchome blaski na orientalny dywan i wyłożyły one jedwabny tapet ściany. Zapalały blaski w znakomitym wermucie i iskrzyły się w ciemnym kim roni tym szkle bakaratowym. Van Cliburn wykonywał subtelne etudy Chopina. Wiekowy dystyngowany lokaj podawał na gregoriańskich srebrach pyszne przystawki.

Był to dokładnie taki pokój, w jakim Jed spędził dzieciństwo, te same starannie wyeksponowane bibeloty, przypominające o dawnym bogactwie. A jednak czuło się tu pewnie różnicę. W tym pokoju, w tym domu, zaznał nieco krótkotrwałego szczęścia. W tym pokoju nikt na niego nie krzyczał, nie wymyślał mu ani nie traktował z lodowatą obojętnością.

A jednak budził w nim wspomnienia – bolesne wspomnienia – o chłopcu, którym wtedy był.

Jed wstał z niemiłosiernie niewygodnego krzeselka w stylu Ludwika XIV i zaczął spacerować po salonie swojej babki.

W stroju wieczorowym wyglądał na dziedzica fortuny Besterów–Skimmerhornów. Tylko wyraz jego oczu, kiedy zapatrzył się na migoczące płomienie, zdradzał drogę, jaką dla siebie wybrał i walkę, jaką stoczył z samym sobą, by znaleźć dla siebie miejsce.

To, że musiał tu przyjść, nie sprawiło mu przykrości. Ze wszystkich jego krewnych to właśnie nie Honorcia zaskarbiła sobie jego wdzięk. Los zrządził, że to właśnie nie musiał opuścić. Ale drażniło go wykonywanie jej rozkazów.

Dwa razy nie zgodził się pójść z Honorcią na Bal Zimowy – wyraził to wprost. Nie przyjął jego odmowy do wiadomości, posługując się kombinacją podstępów, poczucia winy i nieustępliwością, zdołała go zmusić do wzięcia się za smoking.

– A więc, Jedydiaszu, nadal jesteś szybki.

W drzwiach salonu stała Honorcia. Miała wyraz twarzy, charakterystyczny dla Nowej Anglii – kości policzkowe i wspaniałe błękitne, trochę krótkowzroczne oczy. Nie nobiałe włosy miękko puklami okalały jej wstydliwą twarz. Jej usta, nadal pełne i w dziwny sposób zmysłowe, wyginał uśmiech. Chytry uśmiech. Honorcia dobrze wiedziała, kiedy wygrała, czy to partii brydża czy też walki charakterów.

– Babciu – ponieważ oczekiwała tego, a jemu sprawiało to przyjemność, Jed nachylił się nad jej dłoń – wyglądał przepięknie.

Była to prawda, a ona o tym wiedziała. Suknia od Adolpha w kolorze królewskiego błękitu podkreślała zarazem kolor jej oczu, jak i wspaniałą figurę. Na szyi, w uszach, na przegubach nosiła rzucające błyski brylanty. Lubiła te klejnoty, ponieważ nie zapracowała, a tak było dlatego, iż była na tyle próżna, by wiedzieć, że cięgnię na nią liczne spojrzenia.

– Należy mi drinka – rozkazała. W jej głosie nadal pobrzmiwał bostoński akcent, nie zmieniony od czasów

młodo ci. – Bdziesz miał czas, eby opowiedzie mi, co robisz ze swoim yciem.

– Na to nie trzeba wiele czasu – odrzekł, ale posłusznie podszedł do barku z alkoholami.

Pami tał, jak kiedy , ze dwadzie cia lat temu, przyłapała go na podkradaniu alkoholu z tego samego barku. Jak zmusiła go, by pił whisky prosto z karafki – i pił, a ona przygl dała mu si stalowym wzrokiem. A potem, kiedy wymiotował jak chore koci , podtrzymywała mu głow .

„Kiedy bdziesz na tyle dorosły, by pi jak m czynna, Jedydiaszu, razem b dziemy pi przyzwoite koktaile. A na razie nie porywaj si na to, czego nie mo esz unie ”.

– Sherry, babciu? – spytał i u miechn ł si .

– A dlaczegó to miałabym pi napój dla starszych pa , skoro mamy tu dobr whisky? – szeleszcz c jedwabiami, usiadła przy kominku. – Kiedy zobacz t ruder , do której si wprowadziłe ?

– Kiedy zechcesz, ale to nie rudera.

Parskn ła i upiła łyk whisky z masywnej kryształowej szklanki.

– Odrapana nora nad niechlujnym sklepikiem.

– Nie zauwa yłem, eby była odrapana.

– Miałe całkiem odpowiedni dla siebie dom.

– Miałem dwudziestopokojowe mauzoleum, którego nienawidziłem od zawsze.

Wiedział, e to musiało si sta . W ko cu to po niej odziedziczył nieust pliwo , która uczyniła z niego dobrego policjanta.

– To tylko drewno i cegły – powiedziała lekcewa co. – Nienawi do przedmiotów to głupia strata energii. Poza tym, byłby tutaj mile widziany. Jak zawsze.

– Wiem. – Ju to przerabiali. Ale poniewa zale ało mu na tym, by z jej oczu znikn ła troska, u miechn ł si . – Ale nie chciałem komplikowa ci twojego ycia seksualnego.

Zareagowała natychmiast.

– We wschodnim skrzydle nie byłby dla mnie adn komplikacj . Poza tym zawsze szanowałam twój niezale no . – Poniewa zauwa yła, e od czasów, gdy zło yła mu pierwsz propozycj , zaszła w nim jaka nieuchwytna zmiana, odło yła reszt argumentów. – Kiedy zamierzasz wróci do pracy?

Wahał si bardzo krótko.

– Nie zamierzam wraca .

– Robisz mi zawód, Jedydiaszu. I jak s dz , równie sobie – wstała majestatycznie. – Przynie moje okrycie. Pora wychodzi .

* * *

Dora uwielbiała przyj cia. Jednym ze sposobów, w jaki nagradzała si po ci kim dniu, było wystrojenie si i sp dzenie wieczoru w sali pełnej ludzi. Niewa ne, e nie znała nikogo, wystarczyło, eby było du o ludzi, zimny szampan i ciekawe potrawy.

Tak si zło yło, e znała wiele osób, które przybyły na Bal Zimowy. Byli tu jej przyjaciele, klienci, widzowie teatru jej rodziców. Mogła si bawi do woli, mieszaj c si z tłumem, przechodz c od grupy do grupy, wymieniaj c całuski i nowe ploteczki. Troch zaryzykowała, wkładaj c biały sukni bez rami czek, ale natłok ciał sprawił, e w sali panowało przyjemne ciepło.

– Doro, kochanie, wygl dasz bajecznie – Ashley Draper, karierowiczka pierwszej wody, która ostatnio rozwiódła si z drugim m em, zbli yła si do Dory w obłoku „Opium”.

Ashley zawsze plasowała si nieco poni ej granicy kole e stwa. Dora z rozbawieniem przyj ła szybki markowany pocałunek.

– Wygl dasz promiennie, Ashley.

– Miło, e tak mówisz, cho wiem, e jestem troch wymi ta. Cały tydzie po sylwestrze zamierzam sp dzi w „Green Door”. wi ta s takie m cz ce, prawda?

– Bóg jeden wie, jak udaje się nam przez nie przebrnąć – Dora wrzuciła do ust nadziewaną oliwkę. – My łałam, a siedzisz w Aspen.

– Za tydzień – Ashley kiwnęła palcem o różowym paznokietku w stronę najbliższej pary. – Co za koszmarna sukienka – mruknęła, uśmiechając się uroczo. – Wygląda w niej jak faszerowana oberżyna.

Ponieważ określenie to było morderczo trafne, Dora może miała się i przypomniała sobie, dlaczego tolerowała Ashley.

– Przyszła sama?

– Bo nie – Ashley przebiegła wzrokiem tłum. – Mój eskort jest ten wspaniały byczek z lokami Samsona.

Jeszcze raz opis Ashley okazał się trafiony w dziesiątkę. Dora błyskawicznie rozpoznała przedmiot rozmowy.

– No, no.

– Artysta – mruknęła Ashley niczym kotka. – Zdecydowałam się roztoczyć nad nim opiekę. A skoro mówimy o moich czynach naszego życia, słyszałam, że Andrew opuścił twoje przedsiwzięcie.

– Naprawdę? – To, że Andrew lub, co bardziej prawdopodobne, jego matka przekręciła fakty, rozbawiło tylko Dorę. – Powiedzmy, że szukam kogoś bardziej solidnego na podatkowego rednika miłośnika.

– A jak tam twój sklepik?

– O, od czasu do czasu sprzedajemy jakiś drobniaczek.

– Mmm, aha – finanse nie zajmowały Ashley, jeżeli tylko alimenty przychodziły na czas. – Szkoda, że nie było ci na Wigilię u Bergmanów.

– Ja., niespodziewanie zostałam zatrzymana.

– Mam nadzieję, że on na to zasługuje – mruknęła Ashley, po czym chwyciła nagle dłoń Dory w miarę ciszy. – Patrz, tam – zniżyła głos – to sama ja nie pani. Rzadko pojawia się tu osobiście.

– Kto? – Dora wykręciła szyję z ciekawością. Kiedy ujrzała Jeda, reszta szeptyjących wyjaśniła Ashley jako jej umknęła. –

Przepraszam ci , Ashley. Musz zaj si tym panem w smokingu.

Wygl da w nim fantastycznie, pomy lała, okr aj c sal balow , by zbli y si do niego. Zaczekała, a we mie z tacy dwa kieliszki z szampanem.

– Wiem – powiedziała, staj c za jego plecami – wróciłe do policji i jeste tu w przebraniu. – Usłyszała jego ciche przekle stwo. – Co to mo e by , mi dzynarodowy rabu klejnotów? Szajka zbrodniczych złodziei pasztetów z g sich w tróbek?

– Conroy. Czy ty musisz wsz dzie bywa ?

– Mam zaproszenie – klepn ła swój naszywan d etami wieczorow torebk . – A ty, gliniarzu?

– Jezu. Ju i tak było le przez to, e w ogóle musz tu by bez...

– Jedydiaszu! – władczy głos Honorii zdławił w zarodku wszelkie słowa skargi. – Nie pami tasz ju nic z tego, co ci uczyłam? Przedstaw babce swój przyjaciółk .

– Babce? – Dora roze miała si krótko, ujmuj c drobnoko cist dło . – Naprawd ? Bardzo si ciesz , e mog pani pozna , pani Skimmerhorn, cho teraz widz , e Jed jednak nie wyklął si z jakiego bardzo twardego, bardzo opancerzonego jajka.

– Brakuje mu nieco ogłady – Honorcia przyjrzała si Dorze z rosn cym zainteresowaniem. – I nazywam si pani Rodgers, moja droga. Przez krótki czas byłam on Waltera Skimmerhorna, ale naprawiłam ten bł d tak szybko, jak to było w ludzkiej mocy.

– Jestem Dora Conroy, gospodyni Jeda.

– Ach – w tej jednej sylabie zawarło si morze tre ci. – I jak spisuje si mój wnuk?

– Jego temperament jest nieco chwiejny – Dora zerkn ła na Jeda, z zadowoleniem zauwa aj c jego płon ce spojrzenie. – Ale wydaje si do schludny i z pewno ci nie mo na go nazwa awanturnikiem.

– Miło mi to usłysze . Widzi pani, niegdy , w czasach jego młodo ci, obawiałam si , e jego gospodarzem b dzie raczej kierownik wi zienia.

– A zatem musi pani cieszy , e wybrał wła ciw stron prawa.

– Jestem z niego bardzo dumna. Jest pierwszym i jedynym Skimmerhornem, który co osi gn ł.

– Babciu – Jed bardzo delikatnie uj ł j za rami – pozwól, e przynios ci przystawki.

– Sama mog to zrobi – równie delikatnie strz sn ła jego r k . – I musz porozmawia z kilkoma osobami. Zata cz z t dziewczyn , Jedydiaszu.

– Tak, Jedydiaszu – powiedziała Dora, kiedy Honoria oddaliła si . – Zata cz z t dziewczyn .

– Znajd sobie inn ofiar – zaproponował i zacz ł zmierza w kierunku baru. Potrzebował czego mocniejszego ni ten szampan.

– Babcia patrzy, kole – Dora szarpn ła go za r kaw. – Zakładam si , o co chcesz, e zmyje ci głow , je li nie zaprowadzisz mnie na parkiet i nie wykrzesziesz z siebie odrobiny uprzejmo ci.

Jed odstawił szampana i chwycił j za rami . Nie skrzywiła si , cho jego palce mocno wbiły si w jej ciało.

– Nie masz tu adnego chłopca?

– Nie widz tu adnych chłopców – powiedziała Dora, dzi kuj c Bogu, e Jed zwolnił uchwyt, staj c w tanecznej pozycji. – Je li chodzi ci o jak sympati , to nie. Zazwyczaj nie przyprowadzam ich z sob na przyj cia.

– Dlaczego?

– Bo musz wtedy dba , eby dobrze si bawili, a ja wol dba o siebie.

Orkiestra grała słodk wersj „Twilight Time”.

– Dobrze ta czysz, Skimmerhorn. Lepiej ni Andrew.

– Wielkie dzi ki.

– Oczywiście cię byłoby znacznie bardziej miło, gdyby patrzył na mnie, a nie na inne pary.

Kiedy opuścił na nią spojrzenie, przechyliła głowę i uśmiechnęła się :

– No i co? Dobrze się bawisz?

– Nie znosisz tego – szkoda, cholernie szkoda, pomyślał, że tak dobrze mieć ją w ramionach. – Ty za tym pewnie przepadasz.

– No pewnie. Czuję się lepiej, gdyby zaakceptował przeznaczenie takich imprez.

– A to przeznaczenie to...?

– Okazja do pokazania się. – Uniosła palec i zaczął się bawić kosmykiem jego włosów. – Uwielbiam się pokazywać.

– Już to zauważyłem.

– Zdumiewające zdolności dedukcyjne. Pewnie mają jakiś związek z funkcją kapitana policji.

Przebiegła dłonią po jej plecach, napotykała nagie skóry.

– Wyszła kiedyś na przyjęcie w czymś, co nie błyszczy?

– Tylko w przypadku bezpodległego przymusu. Nie podoba ci się moja sukienka?

– Raczej to, co z niej zostało.

Melodia skończyła się, po niej rozpoczęła się druga, a on zapomniał, że nie miał ochoty z nią tańczyć. Obok przesunęła się Honoria w ramionach dystyngowanego mężczyzny ze srebrzystymi włosami.

– Wyglądasz w porządku, Conroy.

– Jejku – otworzyła szeroko oczy. – Dotknij, jak szybko bije mi serce.

– Gdybym miał dotknąć twojego serca, zrobiłbym to na osobno ci.

– Zrobiłaś się taka miła, żeby sprawić babci przyjemność?

Spojrzał na nią znowu. Coś w jej uśmiechu sprawiło, że sam również musiał się uśmiechnąć.

– Polubiła cię.

– Jestem sympatyczna.

– Wcale nie. Jeste upierdliwa – przesun ł dłoni w gór i w dół jej pleców, gdzie jedwab sukni ust pował jedwabowi skóry.
– Upierdliwa i bardzo seksowna.

– Podobam ci si , Jed – serce zacz ł jej bi mocniej, tylko odrobin mocniej, gdy powiodła palcami wzdłu jego karku.

– Mo e – eby sprawdzi siebie i j , pochylił głow i musn ł wargami jej usta.

– Na pewno – poprawiła go. Czują, e oł dek zaczyna si jej kurczy . Ignoruj c głowy, ciekawie odwracaj ce si w ich stron , pozwoliła, by ich usta zbli yły si na niebezpieczn odległo . – Mogliby my wróci do domu, zedrze z siebie ubrania, rzuci si na łó ko i złagodzi troch to napi cie.

– Ciekawa wizja, Conroy, cho brzmi tak, jakby za chwil miało nadej : „albo”...

– Albo – powiedziała, sil c si na u miech – mogliby my najpierw si zaprzyja ni .

– Kto powiedział, e chc by twoim przyjacielem?

– Sam sobie nie pomo esz – dotkn ła jego policzka w ge cie zarówno współczucia, jak i podniecenia. – Mog sta si naprawd dobr przyjaciółk . A ty chyba tego potrzebujesz.

Poruszyła w nim co , o czym tak bardzo usiłował zapomnie .

– Sk d mo esz to wiedzie ?

– Bo ka dy tego potrzebuje. Bo chocia trudno by samotnym w sali pełnej ludzi, to ty jeste samotny.

Oparł czoło o jej głow , przegrywaj c walk toczon z samym sob .

– Niech to diabli, Doro. Nie chc ci lubi . Nie chc lubi ...

– Nikogo? – sko czyła za niego. Kiedy spojrziała mu w oczy, serce cisl ło si jej bole nie. – Przecie nie umarłe – szepn ła.

– Prawie umarłem – odsun ł si od niej. – Musz si napi .

Poszła za nim do baru i zamówiła szampana, podczas gdy on chwycił szkock .

– Co ci powiem – jej głos znów nabrał blasku. – Spróbujemy czego nowego. Nie b d si nad tob pastwi , i vice versa. Nie b d ci n ka przymówkami ani wyrafinowanymi obelgami.

Przyjrzał się jej, grzechocząc kostkami lodu w szklance.

– To co nam pozostanie?

– B dziemy y zgodnie i przyjemnie – roze miała się, patrz c na jego uniesione brwi i wzięła go pod rękę. – Dobrze, mnie b dzie przyjemnie, a ty postarasz się dostosować. Jeste głodny?

– Mógłbym być.

– Zobaczymy, co mają w bufecie. Jeśli b dziesz miał talerz w rękę, adna z tych kokietujących cię pa nie b dzie się spodziewa, e poprosisz ją do ta ca.

– Nikt mnie nie kokietuje – ale ruszył za nią.

– Pewnie, e tak. Sama bym ci kokietowała, gdybym ci nie znała. – Zastanowiła się, czy wybrać mus z łososia czy nadziewane grzybki i zdecydowała się na oba specjalności. – Chyba nie widziałam cię dotąd na Balu Zimowym, a od trzech lat nie opuciłam adnego.

Zawsze udawało mi się wykręcić, zasłaniając się pracą, pomyślał Jed. Bez słowa zabrał z jej talerza kostkę sera.

– Te rozmowy to dla ciebie coś strasznego, nie? – Z uśmiechem nałożyła sobie nową porcję jedzenia i wspinałomy łnie przysunęła talerz w stronę Jeda. – Pomog ci. To jest tak, e ja coś mówię, a ty, zale nie od tego, co powiedziałam, mijesz się, dziwisz, jesteś zły, zaciekawiony i co mi odpowiadasz. Teraz rozumiesz?

– Zawsze jesteś cholernie dowcipna, Conroy.

– Dobrze. Dobry początek – wzięła małe szpinakowe ciasteczko. – Słuchaj, czy twoja babka to ta Honoria Rodgers, która par miesięcy temu kupiła w Christie emaliowany lichtarz z dynastii Cing w kształcie słońca?

– Nic nie wiem o adnym słońcu, ale to jedyna Honoria Rodgers, o jakiej mi wiadomo.

– Fantastyczny egzemplarz, przynajmniej w katalogu. Nie mogłam przyjechać do Nowego Jorku, ale kilka razy zgłosiłam telefonicznie swoją ofertę. Oczywiście nie w sprawie Cing. Nie moja sfera. Chciałabym czasem na niego spojrzeć.

– Je li usiłujesz naci gnąć mnie na zaproszenie, musisz z ni sama pogadać .

– Ja tylko prowadzę towarzyską konwersację , Skimmerhorn. Spróbuj tego – zachć się z pełnymi ustami i wzięła następnę ciasteczko. – Niesamowicie.

Zanim zdecydował się zgodzić lub odmówić , już wkładała mu ciasteczko do ust.

– wzięte, co?

– Nie lubi szpinaku – skrzywił się i popił ciastko szkocką .

– Ja te nie lubiłam, ale ojciec przekonał mnie, śpiewajc „Popeye the Sailor man”. Miałam dwadzieścia lat – powiedziała poważnie. – I byłam naiwna.

Kiedy usta zadrgały mu w uśmiechu, uniosła kieliszek w toaie cie.

– No proszę . I tak ładnie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz.

– Doro, kochanie – Ashley, cięgnąc się do swojego młodego artysty , wspięła się na wysokie brzoze krzeselko. – Jak to się dzieje, że tyle jesz i jesteś taka szczupła?

– Drobną układzik z szatanem.

Ashley roześmiała się wesoło i obdarzyła Jeda przeciwnym spojrzeniem, które Dora zdecydowanie uznałaby za kokieteryjne.

– Isadora Conroy, Heathcliff – przedstawiła swojego towarzysza, jakby był chlubem stadniny. – Odkryłam go w cudownej małej galerii na South Street.

– O? – Dora nie zadała sobie trudu, by przypomnieć Ashley, że to jej sklep znajduje się przy South. – Zawsze chciałam co odkryć . Jak Krzysztof Kolumb. Albo Indiana Jones. – Ponieważ Heathcliff wydawał się być cnie zbity z tropu, zlitowała się nad nim. Podała talerz Jedowi i wycięgnęła rękę : – Ashley mówi, że jest panem artystą .

– Tak. Ja...

– Robi nadzwyczajne zmysłowe studia z natury – Ashley pogładziła ramie Heathcliffa, jakby głaskała ulubionego pieska. – Po prostu musisz je zobaczyć .

– Obowiązkowo.

- Chyba nie przedstawiła mnie swojemu towarzyszowi.
- Bo go nie mam. To mieszna nazwa, nie s dzisz? Tak jakby potrzebne mi było towarzystwo, ebym nie czuła si samotnie. Ja nigdy nie jestem samotna.
- Doro – Ashley znów za miała si krótkim, dziewcz cym miechem – jeste taka dowcipna.
- Nie bardzo – mrukn ł Jed.
- Dora obdarzyła go najmiłszym ze spojrze .
- Jed Skimmerhorn, Ashley Draper i Heathcliff.
- O, rozpoznałam kapitana Skimmerhorna – Ashley wyci gn ła ku niemu dło i odczekała, a odda talerz Dorze. – A wła ciwie: nieuchwytnego kapitana Skimmerhorna – musn ła palcami jego r k . – To takie niezwykle, e udało nam si skusi pana na cho by przelotny kontakt z nami.
- Nie uwa am przelotnych kontaktów za kusz ce. Tym razem miech Ashley brzmiał gł boko i gardłowo.
- Ja osobi cie lubi je zacie nia . A jak to si stało, e si poznali cie?
- Dora przeję ła piłeczk , by uchroni Ashley przed jakim komentarzem Jeda.
- Jed i ja mamy wspóln pasj – powiedziała i wolno, z namysłem poci gn ła łyk szampana. – Poduszcзки do szpilek.
- Oczy Ashley zaokr gliły si .
- Poduszcзки...
- Jed ma zupełnie niewiarygodn kolekcj . Spotkali my si na pchlim targu, kiedy oboje si gn li my po wiktoria sk poduszczk z bł kitnego atłasu i koronek, w kształcie serca, razem ze szpilekami... – Westchn ła t sknie z rozmarzeniem.
- Kolekcjonuje pan... poduszcзки do szpilek? – Ashley zwróciła si do Jeda.
- Od dziecka. To jaka obsesja.
- A jak si lubi droczy ! – Dora posłała mu porozumiewawcze spojrzenie ponad kraw dzi kieliszka. – Podtyka mi pod sam nos swoj podkówk z wizerunkami koni. I

wie doskonale, e zrobi wszystko, dosłownie wszystko, eby j zdoby .

– Negocjacje... – przesun ł palcem wzdu jej gardła – ...s rozpoc te.

– Fascynuj ce – mrukn ła Ashley.

– O, tak – zgodziła si Dora. – O, jest Magda i Carl. Wybaczysz nam, prawda? Po prostu musz z nimi pogada .

– Poduszeczki? – mrukn ł Jed wprost do jej ucha, kiedy udało im si zgubi w tłumie.

– Przyszły mi jeszcze do głowy półmiski na sardynki, ale uznałam je za zbyt pretensjonalne.

– Mogła powiedzie jej prawd .

– Po co?

Zastanowił si .

– Bo pro cieją?

– I nudniej. Poza tym, je li usłyszysz, e mieszkamy w jednym domu, znacznie mnie nachodzi w nadziei, e uda si jej uwie ci . A tego by my nie chcieli, prawda?

Jed obejrzał si przez rami , wydymaj c usta w zamy leniu i przyjrzał si Ashley wnikliwie.

– Cóż ...

– Wykorzystałaby ci i rzuciła – zapewniła go Dora. – O, jest twoja babka. Chcesz do niej podej ?

– Nie, je li zamierzasz m czy j o te wieczniki. W gruncie rzeczy nie to było jej zamiarem.

– Po prostu boisz si , e znów ka e ci ze mn ta czy . Co ci powiem, naprawd pójd porozmawia z Magd i Carlem, a ty doł czysz do mnie pó niej, je li zechcesz.

Wzi ł j pod r k , przyjrzał si ze zmarszczonymi brwiami swojej dłoni i odsun ł j .

– Nie szwendaj si nigdzie.

– Jakie czaruj ce zaproszenie. Bo co?

– Bo skoro mam tu ugrz zn na par ładnych godzin, równie dobrze mog ugrz zn z tob .

– Poezja, czysta poezja. Jak mogłabym si oprze ? Zobaczmy, czy twoja babka nie chciałaby czego przek si . Obiecuj , e nie wspomn o wiecznikach, dopóki nie nadejdzie wła ciwy moment.

– Jed.

Jed zeszywniał, czuj c dotkni cie czyjej r ki na swoim ramieniu i odwrócił si .

– Pan komisarz – powiedział. Jego twarz i głos były pozbawione jakichkolwiek emocji.

– Dobrze, e ci spotkałem – komisarz James Riker zmierzył Jeda krótkim, lecz uwa nym spojrzeniem. To, co zobaczył, musiało mu si spodoba , bo jego szczupła, smagła twarz rozja niła si w u miechu.

– Widz , e nadal jeste w formie.

– Tak jest.

– No có , i tak nale ał ci si urlop, Bóg wie, jak bardzo. Jak min ły ci wi ta?

– wietnie! – Poniewa nie mógł dłu ej zignorowa spojrzenia, jakim Riker mierzył Dor , spełnił swój obowi zek: – komisarz Riker, Dora Conroy.

– Miło mi – poniewa miała zaj te r ce, u miechn ła si tylko do niego. – A wi c to pan czuwa na stra y prawa w Filadelfii.

– Czuwam nad tym, by ten zawód wykonywali tacy ludzie jak Jed. Nawet je li Riker nie wyczuwał napi cia, czuła je Dora. Odezwała si w niej potrzeba chronienia Jeda. Gładko zmieniła kurs.

– Zdaje si , e wi kszo pa skich zaj ma charakter administracyjny.

– To prawda.

– Nie brak panu prawdziwej akcji? – u miechn ła si , podaj c Jedowi pust szklank . – W filmach policjantom zawsze tego brak.

– Wła ciwie brak. Od czasu do czasu.

– Musz o to zapyta . Mam takiego krwio erczego siostrze ca, który na pewno zechce o tym usłysze . Był pan kiedy ranny?

Nawet je li pytanie zaskoczyło go, Riker znakomicie ukrył zdziwienie.

– Nie. Przykro mi.

– Nic nie szkodzi. Skłami .

– Mam nadziej , e wybaczy pani, panno Conroy, ale musz na chwil porwa Jeda. Burmistrz chciałby zamieni z nim słówko.

Dora ust piła z gracj .

– Było mi miło, panie komisarzu.

– Cała przyjemno po mojej stronie.

Jed, pozbawiony szansy ucieczki, oddał jej pust szklank .

– Przepraszam.

Oho, naprawd mi si to nie podoba, pomy lała patrz c, jak odchodzi, Nic tego nie zdradzało, ani twarz, ani oczy, ale nie podoba mi si to, Poszedłby z wi kszym entuzjazmem na spotkanie plutonu egzekucyjnego.

Kiedy wróci, b dzie w ciekły, pełen wyrzutów sumienia albo po prostu zgn biony. Dora zastanowiła si współczuj co, czy mogłaby jako odwróci jego uwag od emocji, jakie wzbudzili w nim komisarz i burmistrz i przeł czy je na inny kanał.

Rozbawi go? pomy lała, id c po nowy kieliszek szampana. Łatwiej byłoby go wkurzy . Nawet nie wymagałoby to wiele wysiłku.

– My lałam, e bardziej zwracaj uwag na to, kogo tu zapraszaj . Chropowaty głos dawał si od razu zidentyfikowa . Dora odwróciła si z promiennym uśmiechem na ustach.

– Pani Dawd, Andrew, jak... interesuj co. Pani Dawd wci gn ła gło no powietrze.

– Andrew, przynie mi napój firmowy.

– Tak, mam.

Pani Dawd nachyliła swój kręgiel, opierała go na czarny atlas sylwetki tak blisko Dory, że ta mogła podziwiać siwe włoski, porastające brodzik matrony.

– Wiem, kim pani jest, panno Conroy. Oczywiście ostrzegałam go, ale Andrew, jak każe mu oczywista, jest podatny na kobiece sztuczki.

– Wszystkie sztuczki usunęłam sobie operacyjnie. Mogę pokazać bliźni.

Kobieta zignorowała ją.

– Ale czego może pani się spodziewać po kimś z aktorskiej rodziny? Dora odetchnęła głębiej, powoli upiła łyk szampana. Nie pozwoli, absolutnie nie pozwoli tej starej idiotce wyprowadzić się z równowagi.

– Te aktorskie rodziny – powiedziała lekko – Fondowie, Redgravowie, Bridgesowie. Bóg jeden wie, dlaczego pozwala się im takim dobre towarzystwo.

– Wydaje się pani, że jest pani młoda.

– Mamo, twój napój.

Pani Dawd odepchnęła gwałtownie Andrew i napój.

– Wydaje się pani, że jest pani młoda – powtórzyła, podnosząc głos na tyle, by parę osób zaczęło szeptać. – Ale pani sztuczki na nic się nie zdadzą.

– Mamo...

– Cicho bądź, Andrew – w jej spojrzeniu pojawił się ogień. Była niczym niedźwiedzica, broniła swojego dziecka.

– Tak, Andrew, cicho bądź – Dora uśmiechnęła się drapieżnie. – Mama Dawd zaraz opowie mi o moich sztuczkiach. Chodzi pani o to, kiedy kazałam pani oblec nęmu synkowi zabierać się spod mojej spódnicy?

Kobieta syknęła gniewnie.

– Zwabiła go do swojego mieszkania, a kiedy twoje włoski umizgi nie odniosły skutku, napadła na niego. Ponieważ zrozumiał, kim naprawdę jesteś.

Teraz w oczach Dory pojawił się błysk lasera.

– Czyli?

– Kurw – sykn ła Dawd. – Fl dr . Nierz dnic .

Dora odstawiła kieliszek, eby uzyska swobod ruchów. Zaciśn ła pi ci i zastanowiła si powa nie nad u yciem ich. Zadowoliła si jednak umieszczeniem talerza na szcudrze złanej lakierem fryzurze pani Dawd.

Wrzask, który rozległ si w sali, mógłby zburzy mury Jerycha. Pani Dawd rzuciła si do przodu z musem z łososia zalewaj cym jej oczy. Dora przygotowała si na atak i nagle sama j kn ła, chwycona od tyłu.

– Jezu Chryste, Conroy – szepn ł Jed, włok c j ku drzwiom.
– Nie mog zostawi ci sam na pi minut?

– Puszczaj! – odepchn łąby go, ale trzymał j mocno za ramiona. – Nale y jej si .

– Nie chce mi si płaci za ciebie kaucji – szedł w kierunku wygodnych foteli stoj cych w ród ro lin w doniczkach. Orkiestra zacz ła gra „Stoimy Weather”.

Bardzo na czasie.

– Siadaj – podkre lił rozkaz pchni ciem, które wbiło j w fotel. – Oprzytomniej.

– Słuchaj no, Skimmerhorn, to moje prywatne sprawy.

– Chcesz, eby komisarz zapuszkował ci za zakłócanie spokoju? – zagadn ł łagodnie. – Par godzin w pudle ochłodziłoby ci .

I ty te , pomy łała gniewnie. Sapr ła, tupn ła nog i splotła ramiona.

– Daj mi...

Ju zapalał papierosa i podawał go jej.

– Dzi kuj – zamilkła.

Znał j . Zaci gnie si płytko trzy, mo e cztery razy i zacznie mówi . Raz, powiedział do siebie. Dwa. Rzuciła mu w ciekłe spojrzenie. Trzy.

– To nie ja zacz łam – wyd ła kapry nie usta, gasz c papierosa. Jed uznał, e bezpieczniej jest usi .

– Niczego takiego nie twierdziłem.

– Ale to nie j chciałe aresztowa .

– S dziłem, e b dzie miała do kłopotu z wydlubywaniem pieprzu z włosów. Chcesz drinka?

– Nie – wołała si nad sa . – Słuchaj, Skimmerhorn, ona obraziła mnie, moj rodzin i w ogóle wszystkie kobiety. A ja to zniosłam – dodała, zgodnie z prawd . – Nawet kiedy nazwała mnie przybł d , fl dr i kurw .

Jego twarz wyra nie spowa niała.

– Tak ci nazwała?

– A ja to zniosłam – ci gn ła Dora – bo powtarzałam sobie, e to tylko stara, pomyłona idiotka. Nie zamierzałam zrobi sceny. Ne chciałam zni y si do jej poziomu. Ale poszła za daleko, o jeden krok za daleko.

– Co zrobiła?

– Nazwała mnie nierz dnic .

Jed zamrugął oczami, bohatersko usiłuj c opanowa łaskotanie na karku.

– Jak?

– Nierz dnic – powtórzyła, uderzaj c pi ci w krzesło.

– Wi c dajmy jej nauczk .

Dora uniosła podbródek, jej oczy zw ziły si .

– Nie wa si roze mia .

– Kto si mieje?

– Ty, do cholery. Zagryzasz wargi, eby si nie roze mia .

– Nieprawda.

– Prawda. Mówisz niewyra nie.

– To whisky.

– Akurat.

Odwróciła od niego głow , ale zd ył zauwa y drgni cie jej ust. Kiedy zwrócił jej twarz ku sobie, oboje u miechn li si do siebie szeroko

– Dzi ki tobie ten wieczór stał si interesuj cy, Conroy.

– To dobrze – jej gniew ju min ł. Zachichotała i oparła głow na jego ramieniu. – Chciałam ci czym zaj , eby zapomniał, e burmistrz i Riker wyprowadzili ci z równowagi.

– Dlaczego mieliby mnie wyprowadzi z równowagi?

– Naciskali na ciebie, prawda? – Choć nie poruszył się, w jakiś sposób się od niej oddalił. – Na szczęście zjawiała się pani Dawd i nie musiałam się wysilać.

– A więc wałnęła ją talerzem, żeby podnieść mnie na duchu.

– Nie, zrobiłam to z czystego egoizmu, ale uzyskałam przy okazji interesujące skutki uboczne – odwróciła głowę. – Pocałuj mnie, dobrze?

– Po co?

– Bo chcę. Tak po przyjacielsku.

Podniósł palcem jej podbródek i musknął jej usta wargami.

– Wystarczająco przyjacielsko?

– Tak, dziękuję.

Na jej twarzy zaczął pojawiać się uśmiech, ale on uniósł dłoń i objął ją za szyję. Jeszcze raz nachylił się nad jej ustami, nie zamykając oczu, rozchylił ją zębami jej wargi i poczuł smak jej pierwszego drugiego westchnienia.

To było jak woda, czysta słodka woda po męczących czarniach pragnienia. Zaczepił jej jeszcze raz.

Poczuła ostry skurcz po daniu, gwałtowny, drażniący, która pozbawiła ją sił. Nie przytulił jej mocniej, nie pogłodził pocałunkiem. Jego dotknięcie było powolne, chłodne, druzgoczące wiadome.

Kiedy ją puścił, nie otworzyła oczu, nadal smakując zalewający ją potopem wróżb. Kiedy wreszcie uniosła powieki, czuła w uszach łomot serca.

– Boże – zdołała z siebie wydusić.

– Jaki problem?

– Chyba tak – zacisnęła usta. Mogłaby przysięgnąć, że czuje w nich wibrację. – Chyba... chyba już pójdę – trzęsły się jej kolana. Trudno jest panować nad sytuacją, pomyślała, kiedy trzęsły się jej kolana.

Dotknęła dłoni brzucha, w którym nadal czuła twarde, gorące kulki: po daniu.

– Boże – powtórzyła i odeszła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nowy system alarmowy zainstalowany w domu Dory nie naarty zirytował DiCarla. Unieszkodliwienie go i pokonywanie bardziej opornych zamków zajęło mu więcej czasu, niż przewidywał, i kompletnie zburzyło jego plany. Miał nadzieję uwinąć się z magazynem do północy. Jeśli ta Conroy kupiła ten cholerny obraz, to jest on tutaj, zgodnie z tym, co powiedziała mu w Wigilię ta duża ruda.

A teraz będzie miał szczęście, jeśli zdoła do północy znaleźć się w rodoku. Co gorsza, zaczął padać obrzydliwy deszcz z niegiem. Chirurgiczne rękawiczki, jakie nosił, nie stanowiły najlepszej ochrony przed zimnem.

Przynajmniej księżyc nie wieci, pomyślał pracując i dygocząc. A na wiewanym podjeździe nie ma pojazdów, co oznacza, że nikogo nie ma w domu. Mimo tych komplikacji do rana znajdzie się w Nowym Jorku. Będzie spał przez całą noc, a potem złapie półny lot na Wybrzeże. Kiedy tylko wróci Finleyowi jego zabawki, przyjmie wyrazy wdzięczności i hojnie zapłaci, wróci do Nowego Jorku i zacznie witać sylwestra.

Zadrękał; zimno wciskało mu się pod kołnierz setkami lodowatych mrówek.

Mruknął z satysfakcją, kiedy ostatni zamek poddał się.

W niespełna kwadrans miał już pewność, że obrazu nie ma w magazynie. W przebiegu ostro na niego powstrzymał dzikich zdemolowania pomieszczenia. Jeśli wyniknie jakiś problem z obrazem, lepiej będzie, jeśli nikt się nie dowie o włamaniu.

Jeszcze raz dokładnie przeszukał sklep, automatycznie zwijając po drodze par drobiazgów, w tym piasku Foo z jadeitu, którego usiłowała sprzedać mu Terri.

Zrezygnowany, podał się na piętro. Kiedy u szczytu schodów napotkał zamknięte na klucz drzwi, zaklął, choć bez zbytniego przekonania. Ten zamek był bardziej na pokaz. Szybko się z nimi uporał.

Zacz ła nasłuchiwa , lecz nie usłyszał niczego. adnego radia, telewizji, rozmowy. Cicho ruszył korytarzem, wygl daj c przez drzwi, eby sprawdzi , czy podjazd jest nadal pusty.

Trzy minuty pó niej był ju w mieszkaniu Jeda. Poszukiwania sko czyły si wła ciwie wkrótce po tym, jak si rozpocz ły. Na cianach nie było adnych obrazów, nie było ich te w szafach. Pod łó kiem nie znalazł niczego, z wyj tkiem wymi toszonej broszury „The Haunting of Hill House” Shirley Jackson i zwini tej w kł bek skarpetki.

Znalezion w szafce trzydziestk ósemk obdarzył pewn doz uwagi, ale po obejrzeniu odło ył j na miejsce. Dopóki nie znajdzie obrazu, nie mo e ukra niczego daj cego si zauwa y . Wychodz c przyjrzał si przelotnie przyrz dom gimnastycznym.

Wej cie do pokoju Dory było kwestii chwili. Nie zadała sobie trudu, by zamkn drzwi na klucz.

Tutaj poszukiwania wygl dały zupełnie inaczej. Podczas gdy w mieszkaniu Jeda znajdowało si minimum mebli, u Dory było ich mnóstwo. Nieład u Jeda wynikał z jego niedbało ci. U Dory był stylem ycia.

Było tu kilka obrazów. Akwarelowa martwa natura, dwa owalne portrety: jeden przedstawiaj cy m czyzn o srogim obliczu, uwi zionego w sztywnym kołnierzyku, drugi – równie srog kobiet . W ród pozostałych mo na było znale litografie z podpisami, plakaty reklamowe, szkice piórkiem oraz przyczepione do lodówki rysunki, wykonane palcem. Ale abstrakcji nie było.

Przeszedł do sypialni, by przeszuka szaf . Poniewa on równie nie zamkn ł za sob drzwi, ledwie zd ył zareagowa , słysz c, e .si otwieraj . Zanim si zamkn ły, DiCarlo siedział ju w kolekcji kolorowych ciuszków, erotycznie pachn cych kobiet .

– Chyba mi odbiło – powiedziała do siebie Dora. – Kompletnie mi odbiło. – Zdj ła płaszcz, powiesiła go na oparciu krzesła i ziewn ła rozdzieraj co. Jak jej rodzice zdołali j do tego namówi ? Dlaczego pozwoliła im si w to wmanewrowa ?

Nie przestaj c mruzcze pod nosem, poszła prosto do sypialni. Miałam takie zwyczajne plany na ten wieczór, pomy lała. Miły, samotny posiłek zło ony z pieczonego na grillu kurczaka i nie łuskanego ry u; długa wanna k piel z kieliszkiem chardonnay w charakterze towarzystwa. Wszystko to miało zosta uwie czone czytaniem dobrej ksi ki przy blasku kominka.

Ale nie, pomy lała, wł czaj c jedn ze stoj cych przy ló ku lamp Tiffany'ego. O nie, ona musiała da si złapa w star rodzinn pułapk pod tytułem „spektakl musi trwa ”.

Czy to jej wina, e trzech pomocników le ało zło onych gryp ? Czy to jej wina, e pozwoliła ojcu zmusi j do przyst pienia do zwi zku?

– Absolutnie nie – powiedziała do siebie, zdejmuj c przez głow obcisły czarny kaszmirowy sweter. – W nosie mam t cał gryp . Nic musz czu si zobowi zana do rzucania si w przepa tylko dlatego, e mam kart IATSE.

Schylła si z westchnieniem, by rozwi za swoje ciasne tenisówki. Zamiast sp dzi spokojny, relaksuj cy wieczór w domu, odpowiedziała na rozpaczliwe wezwanie matki i przez kilka godzin nosiła rekwizyty i dekoracje.

Z niech ci musiała przyzna , e sprawiało jej to przyjemno . Stanie w kulisach i nasłuchiwanie echa głosów, po piech po zga ni ciu wiatel przy zmianie dekoracji, uczucie rodzinnej dumy, kiedy zespół kłaniał si po zako czeniu sztuki.

W ko cu, pomy lała ziewaj c, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Przez pi ciocentymetrow szczelin w drzwiach szafy DiCarlo mógł podziwia wspaniały widok. Im wi cej widział, tym bardziej jego rozdra nienie ulatniało si . Ta sytuacja stwarzała nowe mo liwo ci, których z pocz tku nie dostrzegł.

Kobieta, schylaj ca si i przeci gaj ca na ló ku wykonywała bardzo intryguj cy striptiz. Teraz miała na sobie tylko czarne majtki i biustonosz, bardzo sk pe, bardzo koronkowe. DiCarlo przyjrzał si płynnej krzywi nie jej po ladek, kiedy schylła si , by dotkn palców u stóp.

Była cudownie zbudowana, mocna i j drna. A z jej ruchów mo na si było domy le , e jest bardzo, bardzo zwinna.

Zmieniła jego plany, ale DiCarlo szczycił si umie j tno ci twórczego my lenia. Teraz po prostu zaczeka, a bardzo ładna, bardzo samotna pani pójdzie do łó ka.

Dora odwróciła si , daj c mu okazj do podziwiania obleczonego w czarn koronk biustu.

Bardzo ładny, pomy lał i u miechn ł si w ciemno ciach. Naprawd bardzo ładny.

A kiedy ju b dzie w łó ku, DiCarlo nie spodziewał si napotka jakich trudno ci. Posługuj c si swoim wyj tkowym wdzi kiem i... automatyczn dwudziestk dwójk , przekona j , by powiedziała mu, gdzie znajduje si obraz.

A po obowi zkach przyjemno . Mo e nawet nie b dzie musiał jej zabija .

Dora odrzuciła do tyłu włosy, poruszyła ramionami. Jakby pozowała, pomy lał DiCarlo. Krew napłyn ła mu do ł d wi i pulsowała w nich niecierpliwie. Obróciła łagodnie głow , zamykaj c oczy i u miechaj c si delikatnie.

Jej r ce uniosły si ku zapi ciu znajduj cemu si z przodu stanika.

Łomot do drzwi sprawił , e podskoczyła. W szafie DiCarlo sykn ł z rozdra nieniem i niepokojem.

– Zaraz! – krzykn ła Dora, łapi c le cy w nogach łó ka biały kosmaty szlafrok. Zacz ła si z nim szarpa przy wtórze dobijania si do drzwi. Wybiegła z sypialni, gasz c po drodze wiatło. Zatrzymała si z r k na klamce.

– Jed?

– Otwieraj, Conroy.

– Ale mnie przestraszyłe – powiedziała, otwieraj c drzwi. – Wła nie... – zamilkła, widz c wyraz jego twarzy. Widziała ju jego w ciekło , ale nigdy tak pot n i nigdy tak nieubłaganie godz c prosto w ni . Instynktownie uniosła dło do gardła i cofn ła si .

– Co?

– Co ty, kurwa, robisz?

– Ja... id spa – powiedziała ostro nie.

– My lisz, e poniewa ci płac , mo esz otwiera drzwi tym swoim kluczem i grzeba w moich rzeczach, jak tylko przyjdzie ci na to ochota?

Opu ciła dło , mocno chwytaj c klamk .

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Sko cz z tymi pierdołami – złapał j za przegub i wywłócił na korytarz. – Wiem, e kto grzebał w moich rzeczach.

– Boli! – jej próby zachowania stanowczo ci ało nie spełzły na niczym. Bała si , naprawd si bała, e mógłby zrobi co o wiele gorszego.

– Przygotuj si na to, skoro wchodzisz na mój teren.

Cisn ł ni w ciekłe o cian . Jej stłumiony okrzyk pełen zdziwienia i bólu tylko rozj trzył jego furi .

– Czego szukała ? Czego si , kurwa, spodziewała ?

– Odczep si – usiłowała si mu wyrwa , zbyt przera ona, eby przeczy . – Zabieraj łapy.

– Chcesz sprawdzi , co mam? – jego oczy przeszywały j na wylot. Zwierz wyrwało si z klatki. To było wszystko, co zdołała pomy le .

– My lisz, e mo esz grzeba w moich szufladach i szafach, bo zawróciła mi w głowie, a ja zamkn na to oczy? – oderwał j od ciany i gnany przez demony powłócił j , potykaj c si , za sob . – wietnie. – Otworzył swoje drzwi, wepchn ł j do pokoju. – Przyjrzyj si . Dobrze si przyjrzyj.

Nawet usta miała białe. Oddychała ci ko. Stał między ni a drzwiami. Nie było nadziei, e uda jej si go wymin . Z sercem tłu cym si o ebra spojrziała w jego twarz i zobaczyła, e nic go nie przekona.

– Oszalałe .

adne z nich nie usłyszało, jak DiCarlo wy lizguje si z pokoju i znika. Stali na wprost siebie, Dora podtrzymywała dłoni szlafrok opadaj cy z jej ramion.

– My łała , e nie zauwa ? – Był zbyt szybki, by mogła mu umkn . Złapał j za kłapy szlafroka i szarpn ł w gór . Szwy w szlafroku trzasn ły sucho.

– Przez czterna cie pieprzonych lat byłem glin . Znam si na tym.

– Przesta ! – szarpn ła si . Trzask p kaj czego r kawa zabrzmiał niczym krzyk. W jej oczach pojawiły si ły przera enia, obfite, rozmazuj ce ostro widzenia. – Nie było mnie tu. Niczego nie dotykałam.

– Nie kłam – ale przez furi zacz ły do niego dociera pewne w tpliwo ci.

– Zostaw mnie – wydarła si mu, padaj c do tyłu i uderzaj c si o stół. Powoli, jak kto , kto spodziewa si , e tygrys znowu skoczy, zacz ła si wycofywa . – Nie było mnie tutaj. Wróciłam do domu dziesi minut temu. Na lito bosk . Dotknij maski mojego samochodu. Pewnie jest jeszcze ciepła – jej głos łaął si do taktu uderze serca. – Przez cały wieczór byłam w teatrze. Mo esz zadzwoni , sprawdzi .

W milczeniu patrzył, jak zbli a si do drzwi. Jej szlafrok rozchylił si . Widział jej dr ce mi nie i l nienie potu panicznego przera enia. Płakała krótkimi, zdławionymi szlochami, szarpi c si z klamk .

– Nie zbli aj si do mnie – wyszeptła. – Nie chc , eby si do mnie zbli ał – umkn ła, zostawiaj c otwarte drzwi i zatraskuj c swoje.

Stal bez ruchu, czekaj c, a jego serce zwolni i powróci opanowanie, cho by na chwil .

Nie mylił si . Niech to diabli, nie pomylił si . Kto był w jego pokoju. Poruszono jego ksi ki, rozrzucono ubrania, dotkni to pistoletu.

Ale to nie była Dora.

Przycisn ł dłoń do oczu, czuj c fal mdło ci. Ekspłodował. Nic dziwnego, pomy łał, opuszczaj c r ce. Czekał na to od miesi cy. Czy nie dlatego oddał odznak ?

Wrócił do domu po koszmarnym dniu pełnym uderzenia się z prawnikami, księgowymi i bankierami i eksplodował jak granat.

I jakby tego było mało, napadł na kobietę. Dlaczego właśnie na nią? Bo podobała mu się. Podobała mu się, a to był doskonały sposób, by kazać jej za to zapłacić. Pięknie, Skimmerhorn, powiedział do siebie z nienawiścią i udał się w kierunku kuchni. I whisky.

Zatrzymał się, zanim jeszcze napełnił szklankę. Przeciwnie dłoni po włosach, odetchnął głębiej i poszedł do Dory, wybierając trudniejszy sposób.

Usłyszawszy pukanie, zamarła na poręcz czy fotela, na której się kotłowała. Podniosła gwałtownie głowę. Wstała powoli.

– Doro, przepraszam – po drugiej stronie drzwi Jed zacisnął powieki. – Cholera – szepnął i zapukał znowu. – Pozwól mi wejść na chwilę, dobrze? Chcę sprawdzić, czy nic ci nie jest. – Znowu milczenie, kładąc się mu ciężko na piersi. – Tylko na chwilę. Przysięgam, że ci nie dotknę, chcę tylko sprawdzić, czy nic ci nie jest, to wszystko.

Nacisnął niepewnie klamkę.

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami. O Boże, o Boże, pomyślała w przerażeniu, nie zamknęłam drzwi. W jej gardle odezwał się cichy, zdławiony dźwięk. Sięgnęła w stronę drzwi dokładnie w chwili, w której Jed je otworzył.

Kiedy znieruchomiała, na jej twarzy zobaczył dziki strach, co, co przez zbyt wiele lat widywał na zbyt wielu twarzach. Miał nadzieję, że kiedyś umiał uspokoić ten strach równie skutecznie, jak go obudził. Bardzo powoli uniósł rękę, wyciągając ją przed siebie.

– Zostan tutaj, nie podejść ani kroku bliżej. Dygotała jak listek.

– Nie dotknij mnie, Doro. Chcę ci przeprosić.

– Po prostu mnie zostaw.

Policzki miała nadal mokre, ale jej oczy były już suche, suche i przerażone. Nie mógł odejść, nie ukołyszy tego strachu.

– Zrobiłem ci co ? – zakłócił, kiedy zdał sobie sprawę z głupoty tego pytania. Już teraz widział siniaki. – Jasne, e tak.

Jej krzyk, kiedy cisnął niżej, odezwał się znów w jego głowie i sprawił, że odepchnął się od niego.

– Dlaczego?

To, e spytała, zaskoczyło go.

– Czy to waśnie? Nie mam żadnego wytłumaczenia. Nawet przeprosiny nie wystarczą przy tym, co zrobiłem. Chciałbym... – postąpił krok naprzód i zamrugał, kiedy cofnęła się. Wolałby dostać cios w brzuch. – Chciałbym powiedzieć, e to było usprawiedliwione, ale to nieprawda.

– Chcę wiedzieć, dlaczego – jej dłoń zwierała się i rozcierała na kołnierzu szlafroka. – Jesteś mi to winien.

W gardle uwiła mu ognista kula. Nie wiedział, co sprawia mu więcej bólu, milczenie czy wykrztuszenie tego z siebie. Ale miała rację. Był jej to winien.

– Speck włamał się do mojego domu w tygodnie po tym, jak zabił moją siostrę. – Ani jego twarz, ani głos nie zdradzały, ile go kosztowało opowiedzenie jej tego. – Zostawił mi na szafce jej zdjęcie, kilka wycinków z gazet mówiących o eksplozji. – Poczuję mdło ci, niemal tak ostro, jak kilka miesięcy temu. Poblądnięcie, usiłuję je opanować. – Chciał się upewnić, e wiem, kto jest odpowiedzialny za Elaine. Kiedy wróciłem dzień do domu i myślałem, e tu była, to wszystko wróciło.

Miała cudownie wyrazistą twarz. Mógł z niej odczytać dokładnie każdą emocję. Strach i gniew, który miał go zagłuszyć, ulatniły się. Zastąpiły go przebiegłości, zrozumienia i sól na jego rany: współczucie.

– Nie patrz tak na mnie.

Jego głos był szorstki; pomyślała, e pobrzmiwa w nim ton obrony.

– To nie zmienia tego, co zrobiłem, ani tego, e mogłem zrobić coś gorszego.

Spuściła oczy.

– Masz rację. Nie zmienia. Kiedy wczoraj mnie pocałowała, myślałam, że mi się dzieje coś nowego. Naprawdę coś.
– Podniosła wzrok, a jej spojrzenie było chłodne. – Ale to niemożliwe, bo nie byłoby tego, co się dzieje. Ty mi nie ufasz. I to mnie boli, Jed, ale to mój błąd.

Wiedział, jak to jest być bezradnym, ale nie spodziewał się nigdy, że będzie się tak czuł przy niej.

– Mogę się wyprowadzić, jeśli chcesz – powiedział sztywno.
– Mogę to zrobić już dziś wieczorem i wrócić późno po moje rzeczy.

– To nie jest konieczne, ale zrobisz, co zechcesz. Skinął głową i wycofał się na korytarz.

– Poradzisz sobie?

W odpowiedzi podeszła do drzwi, zamknęła je cicho i przekręciła klucz.

* * *

Rano znalazła kwiaty na biurku. Stokrotki, trochę podwiadłe i pachnące majową wiosną, upchnięte w wazie Mintony. Dora zdusiła w sobie bezlitośnie uczucie przyjemności i zignorowała je.

Nie wyprowadził się. Wywnioskowała to z monotonnego łoskotu uderzających o podłogę ciężkich arków, kiedy rano mijają jego drzwi.

I nie zamierzała dać się ubłagać. Teraz Jed Skimmerhorn był dla niej jedynie lokatorem. Nikim więcej. Nikt nie będzie jej straszył, groził i łamał serca, a potem wodził się do niej z bukietem stokrotek. Będzie inkasowała jego czek, kłaniała się mu grzecznie, jeśli minie w korytarzu, i była własnym życiem.

Była to kwestia dumy.

Ponieważ sklepem zajmowały się Terri i Lea, Dora wyjęła księgi rachunkowe, otworzyła księgi czeków „Salonu Dory” i zaczęła pracować.

Par minut pó niej rzuciła okiem na stokrotki i zorientowała si , e si u miecha. Stukot butów na schodach kazał jej jednak ci gn wargi i wbi wzrok w kalkulator.

Jed zatrzymał si u stóp schodów, szukaj c czego rozs dnego, co mógłby jej powiedzie . Mógłby przysi c, e odk d wszedł do magazynu, temperatura spadła o jakie pi stopni. Zdecydował, e nie b dzie winił jej za to, e okazuje mu taki chłód. Ale przez to czuł si jeszcze bardziej głupio, kupuj c dla niej kwiatki w drodze z siłowni.

– Je li chcesz tu pracowa , sko cz z tymi półkami pó niej.

– B d pracowa przez par godzin – powiedziała. Nie spojrziała na niego.

– Mam par spraw do załatwienia w mie cie – odczekał chwil , ale nie otrzymał odpowiedzi. – Przywie ci co ?

– Nie.

– Dobrze. wietnie. – Zacz ł wchodzi po schodach. – Wi c sko cz z nimi po południu. Teraz musz wyj i kupi sobie włosienic .

Dora uniosła brew, usłyszawszy trza niecie drzwi.

– Pewnie spodziewał si , e rzuc mu si w ramiona, bo kupił mi kwiatki. Dure – spojrziała na wchodz c wła nie Terri. – Wszyscy m czy ni to durnie.

Normalnie Terri u miechn łaby si , zgodziła si i przytoczyła na to kilka przykładów. Teraz stan ła w drzwiach, załamuj c r ce.

– Doro, zabrała na gór tego jadeitowego psa? Ten chi ski drobiazg? Wiem, e lubisz podbiera rzeczy ze sklepu.

– Psa Foo? – Dora postukała piórem w biurko, wydymaj c usta. – Nie. Nie ruszałam niczego od wi t. Bo co?

Terri roze miała si słabo i u miechn ła niewyra nie.

– Nie mog go znale . Po prostu nie mog .

– Pewnie gdzie si zawieruszył. Lea mogła...

– Ju j pytałam – przerwała Terri. Jej głos brzmiał słabo. – Par dni temu pokazywałam go klientowi. A teraz znikn ł.

– Nie panikuj – Dora wstała zza biurka. – Rozejrz się. Mo e sama go gdzie przestawiłam.

Ale wiedziała, e nie. „Salon Dory” mógł wygl da jak po domowemu nieporz dne miejsce, w którym beładnie rozrzucone skarby i szmelc s siadowały ze sob . Ale w tym szale stwie była metoda – metoda Dory.

Znała swój własno i swój sklep, do ostatniej jedwabnej pocztówki.

Lea zajmowała si klientem i rzuciła siostrze tylko przelotne, zatroskane spojrzenie. Potem wróciła do pokazywania tabakierek.

– Był w tej szafce – powiedziała cicho Terri. – Wyjmowałam go w Wigili , tu przed zamkni ciem. I wiem na pewno, e widziałam go wczoraj, kiedy pokazywałam figurynk z Doulton. Stały obok siebie; zauwa yłabym, gdyby go nie było.

– W porz dku – Dora pogłaskała uspokajaj co rami Terri. – Rozejrz się .

Ju pierwsze spojrzenie obudziło w niej niepokój. Zatrzymała si przy biureczku z drzewa atlasowego. Zrobiła wysiłek, by jej głos brzmiał cicho i spokojnie.

– Terri, sprzedała co dzi rano?

– Serwis do herbaty mi nie ski i par reklamówek papierosów. Lea sprzedała mahoniow kotłysk i par br zowych lichtarzy.

– Nic wi cej?

– Nie – policzki Terri i tak ju blade zbieły jeszcze bardziej. – Co si dzieje? Zgin ło co jeszcze?

– Flakonik na sole trze wi ce, ten z emalii – Dora zdusiła przekle stwo. – I kałamarz, który stał obok.

– Ten cynowy? – Terri zbli yła si do biureczka i j kn ła. – O Bo e, Doro.

Dora potrz sn ła głow , ucinaj c wszelkie komentarze i ruszyła na obchód po sklepie.

– Przycisk do papieru z Chelton – powiedziała w chwil pó niej. – Bakaratowa butelecarka na perfumy, piecz tka Faberge, ta, wyceniana na 5200 dolarów, była szczególnie gorzk pigułek ,

i bakelitowa papieronica, ta, warta najwyżej trzy dolary, rozwieczyła się niemal tak samo, jak Faberge. – Wszystkie na tyle małe, e mo na je schowa do torebki lub kieszeni.

– Dzi rano było tu nie więcej niż osiem lub dziewięć osób – zaczęła Terri. – Nie rozumiem jak... Och, Doro, mogłam bardziej uważać.

– To nie twoja wina.

– Ale...

– Nie. – Choć była w ciekła do szaleństwa, objęła tali Terri. – Nie możemy traktować wszystkich, którzy przekroczyli ten próg jak złodziei. Skończyłoby się na tych cholernych kamerach i pancernych gablotach. Po raz pierwszy ucierpieliśmy naprawdę.

– Doro, to Faberge.

– Wiem. Zgłoś to w towarzystwie ubezpieczeniowym. Po to ich mamy. Terri, chciałabym, żeby zrobiła sobie teraz przerwę obiadową.

– Nie mam apetytu.

– To idź na spacer. Kup sobie sukienkę. Poczujesz się lepiej.

Terri pocięła nosem.

– Jesteś zła?

– Zła? Jestem nieprzytomna, z w ciekło ci – jej oczy zwziły się i zacisnęły. – Mam nadzieję, że wrócę, żeby ukraść coś jeszcze, żeby mogła im połamać te ich w cibskie paluszki. Idź, odetchnij.

– Dobrze – znowu pocięła nosem i odeszła, zostawiając Dorę w małym bocznym pomieszczeniu.

– Kiepsko? – zagadnęła Lea, zaglądając do rodka.

– Jak cholera.

– Przykro mi, kotku.

– Nie bódź adnego „Mówiłam, żeby trzymała wszystko pod kluczem”?

Lea westchnęła.

– To chyba dowodzi, że miałabym rację, ale teraz, po tych kilku tygodniach, które tu przepracowałam, chyba rozumiem, dlaczego nie chcesz tego robić. To by zepsuło atmosferę.

– Tak – zgnębiona Dora potarła czoło mi dłońmi oczami, tu gdzie zaczynał rodzić się ból. – Za dziesięć tysięcy cy mo na kupi maszynę atmosfery.

– Dziesięć tysięcy cy – powtórzyła Lea, otwierając szeroko oczy.

– Dziesięć tysięcy dolarów? O mój Boże, Dory.

– Nie martw się, jestem ubezpieczona. Niech to diabli porwają. Słuchaj, zamknijemy sklep na godzinę. Wyjdź na obiad czy coś w tym rodzaju. Chceś pójść na zaplecze i wpaść w szafę. Wolałabym to zrobić bez wiadków.

– Jesteś pewna? – Lea złapała błysk w oku siostry. – Jesteś pewna. Zamknij drzwi na klucz.

– Dzięki.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jed nie wiedział, czy powrót na policję po raz pierwszy od złożenia rezygnacji nie jest kolejnym sposobem na ukaranie siebie. Mógł umówić się z Brentem gdziekolwiek i uniknąć tej paskudnej wiadomości, ale teraz jest zwykłym obywatelem.

Ale wrócił na swoje stare mieszkanie, do miejsca, w którym spędził osiem z czternastu lat służby, ponieważ wiedział, że będzie musiał stawić temu czoła. Po tym jak zeszłej nocy stracił nad sobą kontrolę, musiał przyznać, że istnieje wiele spraw, którym musi stawić czoła.

Nic się tu nie zmieniło. Nadal pachniało tu rozlanymi kawami, niedomytymi ciałami i zwietrzałym dymem, a pod tym wszystkim wyczuwało się jeszcze bardziej przykry odór rodzący dezynfekujący cegły. Ściany niedawno pomalowano na ten sam obojętny kolor. Dźwięki – wszystkie były znajome. Dzwonki telefonów, szczyki kluczy, podniesione głosy.

To, e tym razem nie czuł u boku ci aru broni, sprawiło, e czuł si bardziej ni niezr cznie. Tym razem wydawało mu si , e jest nagi.

Omali nie uciekł, ale natkn ł si na dwóch mundurowych ruszaj cych na obchód. Obie twarze rozja niły si . Ten po lewej – Snyder, przypomniał sobie Jed – stan ł na baczno .

– Kapitanie.

Co roku przyjmuj młodszych, pomy lał Jed. Ten tutaj ma jeszcze mleko pod nosem.

Teraz mógł ju tylko i naprzód. Jed skin ł głow , mijaj c policjantów.

– Dzie dobry.

Zatrzymał si przy kontuarze i zaczekał, a sier ant o nied wiedzich barach odwróci si ku niemu.

– Ryan!

M czyzna miał bary nied wiedzia, ale z twarzy przypominał pluszowego misia. Kiedy jego wzrok spocz ł na Jedzie, u miechn ł si tak szeroko, e jego oczy niemal znikn ły w mi kkich fałdach ró owej irlandzkiej skóry.

– Kapitanie! Ty sukinsynu – chwycił ponad biurkiem dło Jeda i zmia d ył j w stalowym u cisku. – Ciesz si , e ci widz . Naprawd si ciesz .

– Jak leci?

– No wiesz. Po staremu – oparł si o rozdzielaj cy ich kontuar. – Tydzie temu Lorenzo dostał w rami podczas włamania do sklepu monopolowego.

– Słyszałem. Jak si czuje?

– Dobrze si bawi – oznajmi! Ryan i mrugn ł. – Strzeli!, wytarł krew i wrócił na ulic .

– A kul wyj ł z bami.

– Co w tym stylu. – Kto krzykn ł do Ryana, który odwrzasn ł, eby poczekali. – Brak nam tu ciebie, kapitanie – powiedział, znów opieraj c si o blat. – Goldman jest w porz dku jako zast pca, ale spójrzmj prawdzie w oczy. Ten facet to dupek.

– Przywykniesz do niego.

– O nie – Ryan potrząsnął głową. – Do niektórych się przywyka, do innych nie. Ludzie wiedzieli, że mogła z tobą pogadać, tak po prostu. Wiedzieli, że jesteś na ulicy równie często jak przy biurku. Przy Goldmanie trzeba się przedzierać przez cały szereg posterunków i nie wolno obchodzić regulaminu ani procedury. – Jego jowialna twarz zmarszczyła się w grymasie. – Nie może na go zatrzymać na korytarzu, chyba że z kamerami i trzema dziennikarzami.

Cokolwiek Jed się dził o tę szczerą fałszywą informację, zachował to dla siebie.

– Dobra opinia prasy nie zaszkodzi posterunkowi. Jest porucznik Chapman? Musz z nim pogadać.

– Jasne, chyba jest w swoim gabinecie. Tam go może na przyskrzyni. Jed odczekał chwilę, potem uniósł brew.

– Daj mi plakietki dla gościa, Ryan.

Ryan zarów owinął się z zakłopotania i konsternacji.

– Cholera, kapitanie.

– Musz mieć plakietki, sieranie.

– Rzygać mi się chce – mruknął Ryan, podając mu je. – Jedno panu powiem, rzygać mi się chce.

– I powiedziałe.

Jed przyczepił odznak do koszuli.

Żeby dotrzeć do Brenta, musiał minąć kilku strażników. Wolałby długi taniec na rozrzuconych w ścieżkach. Za każdym razem, kiedy wywoływano jego imię, kiedy musiał się zatrzymać i zamienić parę słów, czuł, że odepchnięto go. Czuli to za każdym razem, gdy zmuszał się, by nie zwracać uwagi na ciekawe spojrzenia, nie zadane pytania.

Kiedy stanął przed drzwiami Brenta, napięcie utkwiło w jego karku niczym ostrze.

Zapukał i otworzył drzwi. Brent siedział za zawałonym papierami biurkiem, trzymając słuchawkę przy uchu.

– Powiedz mi coś, o czym nie wiem – podniósł wzrok. Rozdrażnienie natychmiast zniknęło z jego oczu. – Dobrze, dobrze, a jak wreszcie powiesz mi to wprost, pogadamy.

Zadzwoń do ciebie – odłoży słuchawkę i usiadł wygodniej. – Wydawało mi się, że hałas na zewnątrz wzrósł o kilka stopni. Przechodziłem obok i pomyślałem, że wpadniesz, co?

– Nie. – Jed usiadł, wyjął papierosa.

– Już wiem, chciałeś się napić policyjnej kawy.

– Jak byś miał ze mną tak leżąc, pójdź się leczyć – Jed potarł zapałkę. Nie chciał pytać, nie chciał się angażować. Ale musiał to zrobić. – Czy Goldman to naprawdę taki dupek, jak twierdzi Ryan?

Brent skrzywił się i nalał dwa kubki kawy z dzbanka, stojącego na palniku.

– No cóż, nikt go tu za bardzo nie kocha. Złapałem Thomasa w szatni, jak wbijał szpilki w laleczkę przedstawiając Goldmana. Po znałem go po tych oczkach jak paciorki i wielkich zębach.

Jed wziął swój kubek.

– I co zrobiłeś z tą lalką?

– Sam wsadziłem w nią parę szpilek. Jak na razie Goldmanowi nic szczególnego nie dolega.

Jed uśmiechnął się. Pierwszy łyk kawy starł u niego z jego twarzy.

– Wiesz co, mógłbym wspomnieć o tobie szefowi. Chyba posłuchałby mojej rady.

– Nie interesuje mnie to – Brent zdjął okulary i bez większego rezultatu zaczął przecierać szkła. – Jako dowódca jestem do bani. Skończyłoby się tak, że Thomas zacząłby wbijać szpilki w niewiarygodnie przystojną laleczkę w okularach. – Pochylił się nad biurkiem. – Wróć do nas, Jed.

Jed spuścił wzrok na kubek z kawą. Potem powoli podniósł oczy.

– Nie mogę. Jezus, Brent, jestem w rozszypce. Daj mi odznak, a sam nie wiem, co zrobić ani kto za to zapłaci. Wczoraj w nocy... – musiał przerwać. Odetchnął głębiej i sięgnął po papierosa – kto był w moim mieszkaniu, ruszał moje rzeczy.

– Mieliście kolejkę włamanie? Jed potrząsnął głową.

– Tym razem jest inaczej. Kilka rzeczy poruszonych, zatrza ni ta szuflada, któr zostawiłem uchylon , takie rzeczy. Nie było mnie przez wi kszo dnia. Sprawy z domem Elaine, z kontraktem – potarł ze znu eniem kark. – Po tym wszystkim przyszedłem, zrobiłem sobie drinka, poszedłem do kina. Wróciłem, rozejrzałem si i zrobiłem Dorze awantur .

Znowu podniósł swój kubek. Kawa nie była bardziej gorzka ni smak, który od dawna czuł w ustach.

– Prawdziw awantur , Brent. Znalazłem dowód zbrodni i złapałem złoczy c – rozgniół z obrzydzeniem papierosa i wstał. – Przycisn łem j .

– Jed, rany boskie – Brent patrzył zdezorientowany, jak Jed wielkimi krokami przemierza jego gabinet. – Chyba jej nie uderzyło ?

– Nie. – Jak mógł si czu ura ony tym pytaniem? – Ale miertelnie j przeraziłem. I siebie, kiedy zrozumiałem, co zrobiłem. Nie przemy lałem tego. Nie potrafiłem si opanowa . Po prostu wybuchn łem. Nie chc , eby co takiego mi si przydarzyło, kiedy b d nosi odznak , Brent – odwrócił si . – Ta odznaka co dla mnie znaczyła.

– Znam ci od dziesi ciu lat. Nigdy nie widziałem, eby jej le u ył.

– I nie zamierzam. Ale to nie dlatego tu jestem. To nie Dora była w moim mieszkaniu. Wi c kto?

– Mo e to ten włamywacz po co wrócił. Szukał czego , co mógłby zw dzi .

– Nie mam u siebie zbyt wielu rzeczy, ale w szufladzie było par setek. Moja trzydziestkaósemka. Walkman sony. Mieszkanie Dory po drugiej stronie korytarza jest pełne ró no ci.

– Co z systemem alarmowym?

– Obejrzałem go, niczego nie znalazłem. Ten facet jest dobry, Brent. To zawodowiec. Mo e to kto od Specka, kto kto chce si zem ci .

– Speck nie był typem faceta, wobec którego zachowuje si lojalno po jego mierci. – Ale podobnie jak Jed, Brent nie

zamierzał zlekceważyć tę możliwość. – Sprawdź parę rzeczy. Może postawi parę chłopaków przed domem?

W normalnych warunkach Jed zmarszczyłby się na myśl o ochronie. Teraz kiwnął niechętnie głową.

– Będzie czyny. Jeśli ktoś chce mnie dopaść, wołałbym, żeby Dora nie była w to zamieszana.

– Załatwione. Wić powiedz, jak rozwiążesz sprawę z Dorą?

– Przepraszam – parsknął i odwrócił się, wbijając wzrok w plakat z „Brudnego Harry’ego”. – Wielkie rzeczy. Powiedziałem, że się wyprowadzi, ale jej jest wszystko jedno, co zrobi – mruknął co pod nosem, ale Brent usłyszał.

– Co prosisz? Powiedzieliście coś o kwiatkach?

– Kupiłem jej kwiatki, cholera – warknął Jed. – Nawet na nie nie spojrzysz. Na mnie też nie, to pewnie jak cholera. Co byłoby całkiem przyjemne, gdyby nie...

– Gdyby nie?

Jed odwrócił się i spojrzał na niego ponuro.

– Niech to, Brent, złapała mnie. Nie mam pojęcia, jak to zrobiła, ale mnie złapała. Jeśli wkrótce jej nie dostanę, zaczniesz się linić.

– To zły znak – powiedział Brent, powoli kiwając głową. – Linienie się to bardzo zły znak.

– Arty sobie stroisz?

– No cóż... tak. – Brent uśmiechnął się i poprawił zjeżdżając mu z nosa okulary. – Jak wszyscy diabli. O ile sobie przypominam, zawsze byłęś gładki i elegancki w tych sprawach, bez obrazy, z kobietami. Wydawało mi się, że to te maniere z wyższych sfer. A teraz stoisz tu z haczykiem w garbie. Ładnie z nim wyglądasz.

Jed tylko spojrzał na niego.

– A wić jest wkurzona – cięgnął Brent. – Przez nią oblewasz się potem i błagasz.

– Nie błagam. Pieprzy błaganie – wcisnął rękę do kieszeni. – Wołałbym, żeby była na mnie zła niż przerażona. – Nie,

pomyślał, nie znios tego, jeżeli jeszcze raz spojrzy na mnie tymi przerażonymi oczami. – Pomyślałem, że może kupić jej kwiaty.

– Może lepiej kamyki, kolego. Takie, które się nosi na szyi.

– Biuteria? Nie będzie jej przekupywać.

– A kwiatki to co?

– Kwiaty to nie przekupstwo – Jed ruszył do drzwi. Dziwne, że onaty facet tak się na tym nie zna. – Kwiaty to uczucie. Biuteria to wyrachowanie.

– Tak, i nie ma nikogo bardziej wyrachowanego niż rozwiedziona kobieta. Spytaj mojej sony – krzyknął za nim Brent. – Hej, Skimmerhorn! Odezw się do ciebie.

Wciąż się pod nosem wrócił do swojego biurka. Włączył komputer i odszukał w nim hasło „Speck”.

* * *

Zdziwił się, zastawszy Dor nadal przy biurku. Nic było go ponad trzy godziny, a przez cały krótki okres ich znajomości zwykle kołysała papierkową robotę w dwa razy krótszym czasie. Wolała chyba kontakt z klientami, a może satysfakcję pomnażania majątku.

A może i to, i to.

To, że znowu nie zaszczycała go ani jednym spojrzeniem, nie zaskoczyło go, ale teraz był już na to przygotowany.

– Mam coś dla ciebie.

Położył przed nią pudełko. Zerknęła na nie; z satysfakcją zauważyła w jej oczach błysk ciekawości.

– To, eee... to szlafrok. Za ten, który ci wczoraj podarłem.

– Ach tak?

Poruszył niespokojnie ramionami. Prawie nie zareagowała, a stracił na to sporo czasu. Buszując w dziale z damską bielizną, mając przy sobie uśmiechniętą sprzedawczynię, czuł się jak zboczeniec. Ledwie zdołał wydukać, że chodzi mu o praktyczny szlafrok frotte.

– Chyba znalazłem właściwy rozmiar, ale może zechcesz przymierzyć.

Zamknęła ostro niebieskie rachunkowiczki i złożyła na niej ręce. Kiedy podniosła na niego wzrok, ciekawo zniknęła z jej oczu, zastąpiona przez prawdziwe ciepło.

– Powiem ci to wprost, Skimmerhorn. Mylisz, że ałosny bukiet kwiatków i szlafrok wystarczą, żeby oczyścić ci drogę?

– Ja...

Nie dała mu żadnej szansy.

– Mylisz, że na widok garści stokrotek rozplynie się radość? Tak mylisz? Nie wiem, jak dotychczas rozgrywałeś takie sprawy, koleś, ale ze mną to nie wystarczy. – Wstała zza biurka, oparła dłonie na pudle i pochyliła się naprzód. Gdyby spojrzenie mogło ranić, pewnie już by się wykrwawił na śmierć. – Niewybaczalne zachowanie nie pójdzie w niepamięć kilku dniem prezentem i minie zbitego psa.

Zorientowała się, że niemal krzyczy i odczekała chwilę, by zacząć panować nad sobą.

– Nie przerywaj – powiedział cicho Jed. – Wyrzuć to z siebie.

– Bardzo proszę. Włamujesz się do mojego mieszkania, wykorzystujesz różnego oskarżenia. Dlaczego? Bo byłam pod ręką, a tobie nie podobało się to, co zaczynało się dziać między nami. Nawet nie przyszło ci do głowy, że może się mylić, od razu zaatakowałaś. Przestraszyłaś mnie miertelnie, a najgorsze jest to, że... – zaciśnięła usta i odwróciła się – upokorzyłaś mnie, bo zgodziłam się na to. Stałam, dygotałam i płakałam. Nie próbowałam się bronić – poczuła się spokojniejsza, kiedy to przyznała i odwróciła się do niego: – to jest najgorsze.

Rozumiał ją dobrze.

– Musiałabyś zwariować, żeby mnie wtedy zaatakowała.

– Nie o to chodzi.

– Właśnie, że o to – znowu poczuł gniew na samego siebie. – Na miłość boską, Doro, stałaś w obliczu szaleńca, cięszego od ciebie o więcej niż pięćdziesiąt funtów. Co miała zrobić, powalić mnie na ziemi?

– Znam zasady samoobrony – powiedziała, unosząc brodę. – Mogłam coś zrobić.

– Zrobiła – przypomniał sobie, co poczuł na widok jej łez przerażenia. – Jesteś głupia, jeśli wstydzisz się swojego strachu.

– Obranie mnie nie jest chyba najlepszym sposobem na naprawienie sytuacji – odrzuciła włosy do tyłu. Nie był to jej zwykły, odruchowy gest, zauważył Jed. Ten był pełen zmęczenia. – Słuchaj, miałam cię gdzieś ...

Przerwała, kiedy ujął jej dłoń. Mimo że zesztywniała, łagodnie rozprostował jej ramiona. Do pracy zakasała rękawy marynarki. Na jej przedramionach widniały smugi siniaków, które – wiedział to – pasowały do jego palców.

– Mogłbym dalej cię przeproszać – jego spojrzenie mówiło wiele. Ale to nic nie znaczy – puścił ją i włożył ręce do kieszeni. – Nie mogłem powiedzieć, że nigdy dotąd nie posiniaczyłem żadnej kobiety, bo to się zdarzało. Ale to się zawsze działo w czasie akcji, nigdy w normalnym życiu. Skrzywdziłem cię. I nie wiem, jak ci to wynagrodzić.

Ruszył w kierunku schodów.

– Jed – powiedziała z westchnieniem. Poczekaj.

Idiotka, pomyślała i zdjęła pokrywki pudełka. Szlafrok był niemal identyczny jak ten, który miała, różnił się tylko kolorem. Przeciwnie, pocięła palcem po soczyście zielonej frotowej klapie.

– Nie mieli białych – chyba nigdy w życiu nie było mu tak głupio. – Lubisz się ubierać w żywe kolory, wiemy ...

– Jest ładny. Nie powiedziałam, że ci wybaczam.

– W porządku.

– Wolałabym, żebyśmy jakoś unormowali sytuację. Nie przepadam za siedzącymi kłótniami.

– Masz prawo ustanawiać reguły. U mnie nie udało się słabo.

– To, że mi to prawo oddałeś, musi ci nie być dolega.

– Nie masz pojęcia o bólu. Nigdy nie byłaś mężczyzną w dziale damskiej bielizny – chciał jej dotknąć, ale powstrzymał się. – Przykro mi, Doro.

– Wiem. Naprawdę wiem. Dzień rano byłam na siebie prawie tak wściekła jak na ciebie. Zanim zdążyłam ochłonąć, okazało się, że mamy w sklepie kłopoty. Wiem, kiedy wróciłaś, byłam gotowa gryźć.

– Jakie kłopoty?

– Kradzieże – jej spojrzenie stwardniało. – Dzień rano, zaraz po tym, jak wyszedłem kupić włosiennicę.

Nie udało się.

– Jesteś pewna, że wczoraj, kiedy zamykałaś, wszystko było na miejscu?

Znowu zeszywniała.

– Wiem, co mam w sklepie, Skimmerhorn.

– Powiedziała, że wróciła na kilka minut przed moim przyjściem.

– Tak, i co...

– Kiedy wyszedłem od ciebie, była zdenerwowana. Była zdenerwowana tak, jak dzisiaj. Nie sądziła, żeby była w stanie zauważyć.

– Co zauważyła?

– Czy coś zginęło z półki. Zobacz teraz.

– O czym ty mówisz?

– Kto był wczoraj w moim mieszkaniu.

W porę ugryzła się w język, ale dostrzegł na jej twarzy powątpiewanie.

– Nie mówi tego, żeby usprawiedliwić moje zachowanie, ale kto naprawdę był w moim mieszkaniu – powtórzył, z wysiłkiem zachowując spokój. – Policjanci dostrzegają rzeczy, których cywile nie widzą. Myślałem, że to któryś z ludzi Specka kręci się koło mnie, ale to mogło być coś innego. Ktoś, kto szuka jakichś błyskotek.

– A co z tym systemem alarmowym? Z tymi zamkami, które miały mnie chronić przed włamywaczami?

– Nic nie chroni przed włamywaczami.

– Och – zamknęła na chwilę oczy, gdy wziął ją za rękę i pociągnął za sobą po schodach. – No, teraz czuj się lepiej. Przed

chwil w spokoju ducha w ciekąłem si na jakiego sklepowego złodzieja. Teraz musz si martwi , e po moim mieszkaniu włóczył si jaki włamywacz.

– Po prostu sprawd my. Masz klucze?

– Drzwi nie s zamkni te – zje yła si , widz c jego spojrzenie. – Słuchaj, m dralo, drzwi wej ciowe s zamkni te, a ja byłam na dole. Poza tym – otworzyła drzwi – nikogo tu nie było.

– Mhm – schylił si sprawdzaj c zamek. Nie zauwa ył adnych wyra nych ladów. – Wczoraj, kiedy wysła wieczorem, zostawiła drzwi otwarte?

– Mo e – zaczynała si waha . – Nie pami tam.

– Trzymasz w domu gotówk ?

– Troch – podeszła do biurka i otworzyła szuflad . – Jest na swoim miejscu. Wszystko inne te .

– Nawet nie spojrziała .

– Wiem, co tu mam, Jed.

Sam obejrzał pokój, przygl daj c si przedmiotom tak uwa nie, jakby identyfikował przest pców. – A gdzie obraz? Ten znad kanapy?

– Ten abstrakcyjny? Mamie te si spodobał, wi c dałam go jej, eby mogła go mie u siebie przez jaki czas – wskazała dwa portrety, które powiesiła na jego miejscu. – Wydawało mi si , e towarzystwo tej pary b dzie przyjemne, ale myliłam si . S tacy ponurzy i pełni dezaprobaty, ale jeszcze nie zd yłam...

– Bi uteria?

– Jasne, mam bi uteri . Dobrze, dobrze – przewróciła oczami i przeszła do sypialni. Otworzyła kuferek z drewna kamforowego i hebanu, stoj cy na komodzie.

– Zdaje si , e wszystko jest na swoim miejscu. Do trudno jest mi to stwierdzi , bo ja po yczam od Lei, a ona... – wzi ła aksamitny woreczek i wytrzn ła z niego par szmaragdowych kolczyków. – Je li ktokolwiek miały tu myszkowa , wzi łyby to. To jest naprawd co .

– Ładne – ocenił, przyjrząwszy się im pobieżnie. Nie zdziwił go widok takiej ilości ci biuterii, a może na by nie obdzielili tuzin kobiet. Dora lubowała się w ilości. Nie zdziwiło go też, że jej sypialnia była równie załoczona i przytulna jak jej salon. I tak subtelnie kobieca.

– Niczego sobie łóeczko.

– Lubi je. To Ludwik XV, kopia. Kupiłam je z hotelu w San Francisco. Zakochałam się w tym wezłowi.

Było wysokie, obite ciemnoniebieskim brokatem, delikatnie wygięte na górze. Dora dodała mu sto pikowany jedwabny zagłówek i całą armię ozdobnych poduszek.

– Lubi tu siadywać wieczorami i czyta przy ogniu z kominka – zamknęła szkatułkę. – Jedną z rzeczy, które mnie tu ujęły, to wielki pokój i to, że mogę mieć kominek w sypialni. To właściwie to, jak powiedziałby mój ojciec, co lubi tygrysy – uśmiechnęła się. – Przykro mi, kapitanie, chyba nie mam dla pana adnego przestępstwa.

Powinien poczuć ulgę. Ale nie mógł zignorować tego mrowienia w karku.

– Może dasz mi list skradzionych przedmiotów? Może emy... Brent może wysłać paru swoich chłopców, żeby sprawdzili lombardy.

– Już to zgłosiłam.

– Pozwól mi sobie pomóc – tym razem, czując potrzebę dotknąć jej, podszedł bliżej, żeby sprawdzić, czy się cofnie. Ale kiedy pogłodził jej ramie, tylko uśmiechnęła się.

A więc wybaczone mi, pomyślał. Tak po prostu.

– Dobrze. Byłoby głupio odrzucić pomoc kapitana policji przy wielkiej sklepowej kradzieży. Może e... – ruszyła naprzód, ale on nie ustąpił jej z drogi. W rezultacie przysunęła się tylko do niego. Serce zaczęło jej bić mocno, ale to uczucie nie miało nic wspólnego ze strachem. Na pewno nie. – Lista jest na dole.

– Myślałem, że może chcesz się dowiedzieć. Miała rację.

– Zawsze dobrze jest wiedzieć. W jakiej sprawie tym razem?

– Zapłaciłem się w to, co zdarzyło się mi dzisiaj.

– Och – to zabrzmiało nieco dr co; nie mogła nic na to poradzi . – Co zdarzyło si mi dzy nami?

Jego oczy pociemniały. Przywiodły jej na my l kobaltowe szkło stoj ce na wystawie w sklepie.

– Pragn łem ci . Chciałem wiedzie , jak to jest, kiedy si ciebie rozbiera, dotyka, jak to jest czu ci pod sob . Chciałem wiedzie , czy twoja skóra smakuje tak, jak pachnie.

Patrzyła na niego, czuj c, e jej oł dek zaczyna podskakiwa .

– Czy wła nie to si zdarzyło?

– Z mojej strony. Zacz łem wariowa .

– Ale ju ci lepiej? Potrz sn ł głów .

– Gorzej. Teraz wyobra am sobie, e robimy te wszystkie rzeczy w tym łó ku. Je li chcesz naprawd si odegra za tamt noc, powiedz mi, e ci to nie interesuje.

Wypu ciła powietrze, które za długo ju zatrzymywała w płucach. „Interesuje” nie było słowem, którego by u yła.

– Chyba... – roze miała si słabo i przeczesała włosy obiema dło mi – chyba teraz powiem, e rozwa wnikliwie twoj ofert i dam ci zna , jaka b dzie moja odpowied .

– Wiesz, gdzie mnie szuka .

– Tak, wiem.

Nie chciał jej podnieci , ale ucieszyło go, e tak si stało.

– Mo e zjemy kolacj ? Mogliby my... omówi warunki.

Szybkie, dzikie trzepotanie serca sprawiło, e poczuła si bardzo młoda i... bardzo głupia.

– Nie mog . Umówiłam si na randk z moim siostrze cem – wzi ła z biureczka srebrn szczotk i odło yła j . – Jest w wieku, w którym nie cierpi si dziewczyn, wi c od czasu do czasu zabieram go do kina lub salonu gier. Rodzaj m skiego wieczoru.

– Ale ty jeste dziewczyn .

– Nie dla Richie’ego – znowu wzi ła szczotk , ciskaj c mocno jej r czk . – Ja lubi sp dzi półtorej godziny na „Piekielnych wojownikach zombie”, wi c jestem jednym z chłopaków.

– Skoro tak twierdzisz – zerknął na jej niespokojne dłonie i uśmiechnął się. – Odłóżmy nasz meble wieczór na później.

– Jasne. Może na jutro.

– Chyba mogłoby to zmieścić w moim planie dnia – wyjął delikatnie szczotkę z jej niespokojnych palców i odłożył ją. – Może pójdziemy po te listy?

Kiedy opuścił niebezpieczny teren sypialni, Dora westchnęła ciężko i z ulgą. Miała niezłomny zamiar przemyśleć to wszystko, jak tylko krew znów napłynie jej do głowy.

– Masz klucze do drzwi na dole? – odezwał się Jed, wychodząc na korytarz.

– Co... a, tak.

– Dobrze – sprawdził zamek, zanim zatrzasnął drzwi.

* * *

Luksusowy apartament w hotelu Ritz – Carlton z meblami, olbrzymim łóżkiem, z wygodnie zaopatrzonym darmowym barkiem, ze znakomitą obsługą i masażystką czekającą na telefon, mógłby wprawić Di Carla w dobry humor.

Mógłby, gdyby DiCarlo miał przy sobie obraz.

I miałby go lub znalazł miejsce, gdzie on się znajduje, gdyby nie niespodziewane wejście mężczyzny z drugiego mieszkania.

Nie wiedział, czy powinien dzwonić do Finleya. Nie miał mu nic do powiedzenia poza powiadomieniem o swojej wpadce. Miał jeszcze czas – do drugiego stycznia. To, co nie powiodło mu się tamtej nocy, rujnowało jego rozkład zajęć, ale w gruncie rzeczy, była to tylko zwłoka, nie katastrofa.

Schrupał następnego orzeszka i popił go beaujolais, które zostało z obiadu. Zdziwiło go, że ten mężczyzna wiedział, że kto był w jego mieszkaniu. Niczego nie poprzestawiał. Oparł się nawet pokusie zwinięcia przedmiotów, które dałoby się bez trudu sprzedać paserowi. To, co zabrał ze sklepu na dole, może być uznane za łup sklepowego złodzieja.

Ale skoro ten m... czyzna podejrzewał s... siadk... o wtargni cie do jego pokoju, plany DiCarla nie musiały ulec zmianie.

Teraz trzeba tylko wróci..., postanowił DiCarlo. Zrobi to, co zaplanował wczoraj. Dokładnie to samo. Ale tym razem wejdzie tam wiedz c..., e..., kiedy sko czy z t... kobiet..., zabije j... .

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pod o lepiaj cym nocnym niebem, rozja nionym lodowatymi gwiazdami i przeszytym ostrzem mro nego ksi yca temperatura spadła do minus dwudziestu stopni.

Sklepy na South Street były zamkni te na głucho, ruch na ulicy zamarł. Od czasu do czasu z której z restauracji wychodził kto opatulony w ciepłe okrycie i p dem puszczał si w kierunku samochodu lub metra. Potem na ulicy znowu zapadała cisza, przerywana tylko cichym bzyčeniem latarni.

Za pierwszym okr eniem budynku DiCarlo zauwa ył policyjny samochód. Z r kami mocno zaci ni tymi na kierownicy skr cił za róg i ruszył wzdłu rzeki. Nie spodziewał si obecno ci osób trzecich. Gliniarze mieli zazwyczaj zbyt du o do roboty, eby pilnowa jakiego budynku przed ewentualnym drobnym włamywaczem.

Wi c mo e ta panusia ma chody u szefa policji, pomy lał DiCarlo. A mo e ja po prostu mam pecha. Tak czy owak, to tylko kolejny detal. I kolejny powód, by sprz tn zgrabniutk pann Conroy, kiedy z ni sko czy.

Dla uspokojenia włączył si bez celu przez jakie dziesi minut, wył czywszy radio i układaj c ró ne warianty scenariuszy. Zanim powrócił na South, miał ju gotowy plan. Podjechał do kraw nika i zaparkował tu przed policyjnym samochodem. Wysiadł, trzymaj c w r ku map Filadelfii.

Wiedział, że policjant widzi tylko dobrze ubranego mężczyznę w wynajętym samochodzie, najwyraźniej zagubionego w mieście.

– Jakie problemy, kolego? – mundurowy opuścił okno. Powietrze w samochodzie pachniało kawą i pastrami.

– Oj tak – utrzymuj się w swojej roli, DiCarlo ucieknij sobie z zawstydzeniem. – Dobrze, że pana spotkałem, panie władzo. Nie wiem, gdzie skręcić, ale chyba skręć się w kółko.

– Tak mi się zdawało, że już tu pana widziałem. Zobaczymy, czy da się to naprostować. Gdzie chce pan dojechać?

– Na Piastów i Walnut? – DiCarlo wetknął mapę w okienko. – Znalazłem to tutaj, proszę. Ale dojechać tam to całkiem inna sprawa.

– To proste. Musi pan tylko dojechać do Piastów i skręcić w lewo. Trafi pan dokładnie na Walnut i Independence Square i skręci pan jeszcze raz w lewo – sięgnie po pióro. – Pokaż panu.

– Jestem bardzo wdzięczny, panie władzo.

DiCarlo wcisnął z uśmiechem lufę pistoletu z tłumikiem w pierś policjanta. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Rozległy się dwa stłumione strzały. Ciało policjanta zadrgało i znieruchomiało. DiCarlo sprawdził starannie puls, a nie znalazłszy go, cicho otworzył drzwi od strony kierowcy, dotknął ich dłońmi w rękawiczkach. Ułożył ciało w siedzącej pozycji. Zasunął okno, zamknął drzwi i wrócił do własnego samochodu.

Zaczynał pojmować, dlaczego kuzyn Guido miał takiego fioła na punkcie zabijania.

* * *

Dora była zawiedziona; Richie nie przyjął jej propozycji przenocowania go u siebie. Zdaje się, że zło ono mu atrakcyjniejszą ofertę. Po kinie odwiozła go do przyjaciół.

Walczyła, że nie wracała koło domu Lei i Johna i nie wzięła na noc pozostałych dzieci. Miła, hałaśliwa prostytutka przywatka ukołowała jej nerwy. Po prostu nie chciała być sama.

Nie, poprawiła się, nie tak całkiem po prostu. Nie chciała być sama, o kilka kroków od Jeda Skimmerhorna. Bez względu na to, jak bardzo pociągający i czarujący był tego popołudnia, nie mogła sobie pozwolić na zapomnienie o tym, że ten człowiek był zdolny do dzikich wybuchów w cieńkości.

Uwierzyła w jego przeprosiny i przyjęła je bez zastrzeżeń. Nawet zrozumiała jego motywacje. Ale to nie zmieniało faktu, że okazał się skrzynką dynamitu z bardzo krótkim lontem. Nie chciała znaleźć się w polu rażenia, kiedy – i jeśli – znowu wybuchnie.

Poza tym ona też miała temperament. Może jej lont był dłuższy, ale moc wybuchu byłaby równie silna.

Może tego właśnie nie było mu potrzeba, pomyślała. Kobiety, która mu się przeciwstawiła, będzie z nim walczyć i wygrywać tak czy sto, jak ona przegrywała. Gdyby miał kogoś, kto rozumiałby jego potrzeby wyżywiania się na przedmiotach, może zdołałby się otworzyć. Może zdołałby oczyścić rany z jej trujących sił. Może e...

– Przestań, Doro – mruknęła. – Odwracasz kota ogonem. To nie on tego potrzebuje, tylko ty.

Na pewno nie był jej potrzebny kochanek z wielką liczbą problemów niwiel w sztuce Eugene'a O'Neilla. Skrzyknęła na wirowany podjazd za sklepem. Nieważne, że tak słodko się uśmiecha.

T-Bird zniknął. Dora zmarszczyła na chwilę brwi, potem potrzyśnęła głowę. No i dobrze, pomyślała. Skoro go tu nie ma, nie będzie myślała o zapukaniu do jego drzwi i napytaniu siebie kłopotów.

Jej buty skrzyknęły na wirze, zastukały na schodach, które zwykle pokonywała biegiem. Wystukała szyfr wyłączenia systemu alarmowego, po czym włączyła go, otworzywszy drzwi.

Nie będzie kusił losu i czeka na powrót Jeda, postanowiła. Pójdź wczyniejspa. Imbryczek herbaty, ogień w kominku i księżka, nad którą spróbuje się skupić to doskonałe lekarstwo na skłopotaną głowę. A przy odrobinie szczęścia uda się jej te

zapomnie o „Krzyucz, je li mo esz”, horrorze, którym dziuraczyła Richie’ego.

Weszła do mieszkania i zapaliła lampki na choince. Ciepłe, kolorowe wiatelka zawsze ją rozweselały. Przy cichych dźwiękach, płynących z radia, zdjęła buty i płaszcz. Wszystko złożyła starannie w szafie na korytarzu, pod piewując razem z Billie Holliday.

Boso, tylko w północach, podreptała do kuchni, by zagotować wodę. Zamarła z ręką na kurku, usłyszawszy skrzypnięcie deski w podłodze pokoju. Jej serce natychmiast pomknęło w kierunku gardła, a ona zastygła nieruchomo, pozwalając wodzie spływać do zlewu i słuchając stukotu galopującego serca.

– Weź się w garść, Conroy – szepnęła. No proszę, obejrzenie głupiego filmu zupełnie ją rozstroilo.

W jej sypialni nie krył się dwupółmetrowy nieludzki stwór z rzeźnickim nożem, dny krwi. Budynek osiada, to wszystko.

Rozbawiona swoim przerażeniem postawiła czajnik na gazie i przykryła kurek. Wróciła do salonu i tu zatrzymała się jak wryta.

Było tu ciemno, ciemno jak w jaskini, tylko wiatło z kuchni obrysowywało zarysy mebli. Przez co, oczywiście, ciemno stawała się jeszcze straszniejsza.

Ale przecie włączyła lampki na choince, prawda? Oczywiście, że tak, zapewniła samą siebie, unosząc powoli rękę do gardła, by uspokoić galopujące tętno. Wskoczyły korki? Nie, przecie stereo ci głębiało, a czerpały prąd z tego samego gniazdko. Powoli zaczęła szukać logicznego wytłumaczenia, czekając, aż jej serce uspokoi się. Pewnie było jakie zwarcie w lampkach. Pokryła głowę nad swoją wybujałą wyobraźnię i przeszła przez pokój, by sprawdzić, co się stało.

Wtedy zgasło wiatło w kuchni.

Z westchnieniem podobnym do jęku zmusiła się, by się odwrócić. Przeszył ją długi, powolny dreszcz. Lepkie paluszki strachu przeliznęły się po jej skórze. Przez pełną minutę nie

zrobiła żadnego ruchu, nasłuchując najdrobniejszych odgłosów. Nie słyszała niczego z wyjątkiem własnego, dudniącego serca i płytkiego oddechu. Uniosła rękę do twarzy i rozejrzała się. Oczywiście, to nic takiego. Arówka się przepaliła, to wszystko.

Twórcza wyobraźnia to czysty koszmar, pomyślała. Teraz musi tylko...

Jaka ręka zakryła jej usta, czyje ramie oplótło się wokół jej talii. Zanim zdołała pomyśleć o obronie, została zamknięta jakimś ciętym ciałem.

– Nie przeszkadza ci ta ciemność, prawda, kotku? – DiCarlo zniżył głos do szeptu, ze względu na dźwięki praktycznych, a także po to, by jeszcze bardziej spotęgować jej strach. – Teraz będziesz stać spokojnie i niczego nie powiesz. Wiesz, co to? – rozluźnił chwyt na tyle, by móc wcisnąć pod jej sweter pistolet i przesunąć nim po jej piersiach. – To duży, zły pistolet. Nie chcesz, żeby ciemność ujęła, prawda?

Potrzebował głowę, zaciskał mocno powieki, gdy gładził jej ciało metalem broni. Opuściła ją wszelka zdolność myślenia.

– Grzeczna dziewczynka. Teraz zabiorę cię. Jeśli krzykniesz, będę musiał cię zabić.

Kiedy zabrał dłoń z jej ust, zacisnęła mocno wargi, by nie pokazać mu, że drżała. Nie pytała, czego od niej chce. Bała się, że wie.

– Patrzyłem na ciebie wtedy w sypialni, kiedy się rozbierałaś. Jej oddech przyspieszył się. Wolno rękę wsunął między jej nogi.

– Miała czarną bieliznę. Koronkową. Podobała mi się.

Jak knęła, odwracając głowę, kiedy dotknął jej przez wełnę spodni. Podglądał ją. Podglądał ją. Tylko tyle była w stanie pomyśleć.

– Teraz znowu zrobisz dla mnie mały striptiz. Jak tylko załatwimy pewną sprawę.

– Mam... mam pieniądze... – zdołała wykrztusić. Zaciskała zębami, patrzyła prosto przed siebie, by odgrodzić się od wiadomości, że tego, co robił z jej ciałem. – Czteryście dolarów gotówką. Dam je panu.

– Dasz mi wszystko, co mo esz da . I to tutaj, zapinane z przodu, te . Zakwiliła, kiedy zac ł bawi si jej biustonoszem.

– O tak, jest liczny. Jaki ma kolor? Nie odpowiedziała.

Przycisn ł luf pistoletu do jej klatki piersiowej.

– Masz odpowiada , kiedy zadaj pytanie.

– Cze... czerwony.

– Majtki te ?

Rumieniec wstydu wypełził na jej spotniałe policzki.

– Tak, tak, s czerwone.

– Ognista z ciebie sztuka – roze miał si , czuj c zadziwiaj ce podniecenie wywołane jej dr c pro b , by przestał. Tej przyjemno ci si nie spodziewał.

– B dziemy si wietnie bawi , kochanie, i nikomu nie stanie si krzywda. Dopóki dajesz mi to, czego chc . Powiedz, e rozumiesz.

– Tak.

– Co: tak?

Zagryzła wargi, przera ona.

– Tak, rozumiem.

– Dobrze. Naprawd wietnie. Najpierw powiesz mi, gdzie to jest, a potem zaczniemy zabaw .

W jej oczach zac ły wzbiera gryz ce łzy. Wydawało si jej, e tamtej nocy poznała smak strachu. Ale nic, nic nie mogło si równa z tym miertelnie zimnym przera eniem, które przeszywało j teraz.

I nie zrobiła nic, tylko j czała, trz sła si i a prosiła, eby j skrzywdzi . Zmusiła si , by opanowa trz s c si brod . Nie jest bezradna. Nie mo e by bezradna. Mo e j zgwałci , ale ona mu tego nie ułatwi.

– Nie wiem, o czym pan mówi – nie musiała udawa , e przeszywa j dreszcz. Miała nadziej , e wyda mu si kompletnie obezwładniona, gdy osun ła si mi kko na niego. – Prosz , prosz , niech mnie pan nie krzywdzi. Dam panu wszystko, czego pan chce, je li mnie pan nie skrzywdzi.

– Nie chc , eby mnie do tego zmusiła.

Bo e, był twardy jak elazo. Za ka dym razem, gdy przesuwał broni po jej ciele, dr ła, a jego krew zaczynała szybciej kr y . Te współczuj ce serduszka, które uwa aj gwałt za akt przemocy, gówno si na tym znaj , pomy ła. Tu chodziło o władz . Tylko i wył cznie o władz .

– Jak si postarasz, wietnie sobie damy rad – wsun ł luf pistoletu pod zapi cie jej stanika, powoli przesuwał c ni w gór i w dół mi dzy jej piersiami. – Przeszukałem cały dom i nic nie znalazłem. Powiesz mi, gdzie jest obraz, a ja zabior bro .

– Obraz? – my li zawirowały szale czo w jej głowie. Postaraj si , powiedział, a zabior bro . Wi c si postara. Ale nie tak, jak my ła.

– Dam panu ten obraz, ka dy obraz, jaki pan zechce. Prosz , niech pan zabierze pistolet, Nie mog skupi my li, taka jestem przera ona.

– Dobrze, kochanie – DiCarlo skubn ł płatek jej ucha i opu cił bro . – Tak lepiej?

– Tak.

– Nie podzi kowała – połaskotał j luf pistoletu. Zacisn ła powieki.

– Dzi kuj .

Znowu opu cił bro , zadowolony, e pokazał jej, kto tu rz dzi.

– Teraz lepiej. Teraz mi powiedz, gdzie go masz, a nic ci nie zrobi .

– Dobrze – obj ła praw dłoni pi lewej r ki. – Powiem. – Wykorzystuj c sil obu ramion wbiła łokie w jego oł dek. J kn ł bole nie i zatoczył si do tyłu. Kiedy rzuciła si ku drzwiom, usłyszała za sob łomot.

Ale strach odebrał jej zr czno ruchów. Wypadła na korytarz, niemal przewracaj c si . Mocowała si wła nie z zamkami tylnych drzwi, kiedy j dopadł. Krzykn ła, my l c tylko o tym, by prze y , przejechała paznokciami po jego twarzy.

DiCarlo zakł ł i chwycił j za gardło.

– Teraz już nie będziemy tacy mili, prawda? – Zaciśnij dłonie, a zacznie ci się dusić, wlokąc się z powrotem do ciemnego mieszkania.

Oboje usłyszeli głos kroków na schodach. Jednym desperackim ruchem DiCarlo rozbił wiszącą w korytarzu lampę i zaczął się w mroku.

Jed wszedł cicho z wycigniętą bronią.

– Rzuć to – syknął DiCarlo, zaciskając palce, by Jed usłyszał krztuszenie się Dory. – Za jej plecami trzymam pistolet. Jeden niepotrzebny ruch i ta pani nie będzie miała kręgosłupa.

Jed nie widział broni, ale widział blade plamy twarzy Dory i słyszał jej rozpaczliwą walkę o tęsk powietrza.

– Puść ją – kucnął, nie spuszczał oczu z DiCarla i położył broń na podłodze. – Na nic ci się nie przyda, jeśli ją udusisz.

– Wstawaj, ręce na głowę. Kopnij broń w moim kierunku.

Jed wyprostował się, podniósł ręce. Wiedział, że Dora nie spuszcza z niego wzroku, ale on na nią nie spojrział.

– Daleko nie uciekniesz.

– Wystarczająco daleko. Kopnij broń.

Jed kopnął ją tak, by zatrzymała się w połowie drogi między nimi a Dorą. Wiedział, że napastnik będzie musiał podejść, aby ją zabrać. Jeśli podejdziesz wystarczająco blisko, będzie mieli szansę.

– Przepraszam – powiedział Jed. – Chyba nie trafiłem.

– Cofnij się. Podciągnij kurwa – DiCarlo zaczął się pocić. Wypadki nie toczyły się tak, jak zaplanował. Ale miał kobietę. A skoro miał kobietę, miał obraz Finleya.

Zaczęła przesuwać się w stronę wyjścia, mając Dorę między sobą a Jedem. Kiedy sięgnął po broń Jeda, popchnął Dorę tak, by schyliła się wraz z nim. Ten ruch rozluźnił nieco jego uchwyt. Spazmatycznie złapała powietrze.

– On nie ma broni – wychrypięła i rzuciła się do tyłu.

Jej stopa uderzyła w trzydziestkę ósemkę, odrzucając ją pod drzwi. Jed odepchnął ją w bok i spiął się, oczekując ataku DiCarlo. Ale DiCarlo rzucił się do ucieczki.

Jed dopadł go przy drzwiach. Wypadli przez nie razem, spleceni w kłbowisko nóg i przekleństw. Pod ciarą ich ciał balustrada trzasnęła głośno i pękła na dwie części. Kiedy upadli na ziemi, Dora wypełzła przez drzwi i powłokła się po schodach, szukając broni.

Pierwszy cios wymierzony był w nerki Jeda. Następny w podbrzusze. Jed uderzył ją prosto w twarz mężczyzny i z satysfakcją zobaczył rozpryskującą się krew.

– Nie mogła znaleźć! – krzyknęła Dora.

– Wynosi się stąd – Jed powstrzymał stop DiCarla, szybując w kierunku jego głowy, i przewrócił go.

Dora wydała w ciekły skowyt, kiedy DiCarlo, chwyciwszy część połamanej balustrady, cisnął nią w kierunku twarzy Jeda, chybiając o kilka centymetrów. Otworzywszy szeroko usta, zbiegła po trzech schodkach i skoczyła na plecy DiCarlo.

Z tryumfem zatopiła ząb w jego karku. Zanim strzasnął z siebie, zdążyła jeszcze zobaczyć tryskającą krew.

Uderzyła o schodek, jej głowa eksplodowała bólem. Podniosła się, zdołała stanąć na nogach. Ale nagle zobaczyła wszystko podwójnie, potem potrójnie, wreszcie wszystko zgasło. Upadła bezwładnie na ziemi.

* * *

Kiedy znowu otworzyła oczy, ostro widzenia na zmianę pojawiała się i znikwała. To bolało. Dora zamknęła oczy i zaczęła ponownie zapadać w ciemność.

– O, nie. No, kochanie, otwórz oczy – Jed klepał wierzchem dłoni policzki Dory, a jej kęsała z rozdrażnieniem i otworzyła oczy.

– Przestań – odtrąciła jego rękę i zaczęła siadać. Pokój zawirował niczym karuzela.

– Nie tak szybko – Jed, bardzo zaniepokojony widokiem jej oczu, które znowu powoli zaczynały wywracać się białkami do

góry, położył ją na posłaniu. – Spróbuj nie straci przytomności, ale na leń co.

– Moja głowa – niepewnie ręką dotknęła potylicy i syknęła z bólu. – Co mnie uderzyło?

– Raczej, w co ty uderzyłaś. Leń spokojnie. Ile palców? – podstawiał jej rękę pod nos.

– Dwa. Bawimy się w doktora?

Choć martwił się, że mogła doznać wstrząsienia mózgu, przynajmniej wiedział, że jej wzrok i mowa nie doznały uszczerbku.

– Chyba nic ci nie jest – fala ulgi, jak poczuł, została natychmiast wyparta przez atak gniewu. – Chociaż na to nie zasłużyłaś po tych twoich wygłupach. Co to miało być, Conroy? Chciałaś pojeździć sobie na barana?

– Chciałam pomóc.

Wszystko znowu wróciło, za szybko, zbyt wyrażnie. Zaciśnięła palce na jego dłoni, co przypomniało mu, że nadal trzyma ją za rękę.

– Gdzie on jest? – tym razem, mimo przeszywającego bólu, podniosła się. – Uciekł?

– Tak, uciekł. Niech to. Złapałbym go, gdyby ... Jej oczy zwziły się, spojrzały na niego wyzywająco.

– Gdybym co?

– Upadła jak ci to drzewo. Myślałem, że pomyliła się co do broni. Wspomnienia wróciły wraz z szybkością, oleistym fałdem do ci.

– Myślałem, że strzelił do ciebie, więc wałknęłam go w twarz. Okazało się, że tylko rozbiła sobie twój zadziwiająco twardy głowę.

– No, a dlaczego za nim nie pobiegłaś? – chciała się obrócić i zauważyła, że spowija ją jak kokon afgańska narzuta zrobiona szydełkiem.

– Tak, na pewno mogłam cię tam zostawić, nieprzytomnym, na zimnie, krwawym ...

– Krwawym? – ostro dotknęła głowy. – Czy ja krwawym?

– Nie bardzo – zaczął przybierał profesjonalny ton. – Może mi powiesz, co się stało? Nie sądzę, żeby to była kolejna nieudana randka.

Spojrzała na niego i odwróciła wzrok.

– Może powinniśmy zadzwonić na policję?

– Już to zrobiłem. Brent już tu jedzie.

– Aha – rozejrzała się po pokoju. – Przedtem miał broń. Nie wiem, co się z nią stało.

– Była pod stołem. Znalazłem ją. Jej uśmiech był słaby i krótkotrwały.

– Nie nudziła się.

– Dała mi dużo czasu. Parę minut więcej i zadzwoniłbym na pogotowie.

– Trafiłam fuksa.

– Długo tego – usiadł obok niej i wziął ją za rękę, zbyt delikatnie, by mogła mu ją odebrać. – Powiedz mi, co się stało. Wszystko po kolei.

– Chyba miała rację, mówiąc, że ktoś tu się wczoraj włamał. Zdaje się, że tutaj też był. Naprawdę nie zauważyłam, żeby coś było przestawione lub żeby zniknęło, ale powiedział, że widział, jak się rozbierałam – zawahała się. – A ponieważ opisał moją bieliznę, muszę mu wierzyć.

Rozpoznał charakterystyczne oznaki, upokorzenie zmieszane ze strachem, wstyd walczący ze złością.

– Doro, mogłoby poprosić Brenta, żeby wezwał policjantkę. Może będzie ci łatwiej.

– Nie – odetchnęła głębiej. – Musiał gdzieś się tu ukryć, może w sypialni. Poszłam do kuchni, żeby zrobić herbatę... Zostawiłam gotując się wodę.

– Zajmę się tym.

– O, to dobrze. Lubi ten czajnik – zaczęła bawić się filiżkami afgańskimi. – No więc, kiedy tu wróciłam, zgasły lampki na choince. Myślałam, że po prostu wtyczka wysunęła się z gniazdka czy coś w tym stylu. Podeszłam, żeby je naprawić, i wtedy zgasło światło w kuchni. Zaszedł mnie od tyłu.

Głos zaczął się jej trząść. Odchrząknęła.

– Mogłabym się obronić. Chciałabym myśleć, że mogłabym się obronić, ale on wsadził mi pistolet pod sweter i zaczął... eee... zaczął mnie nim trącać – roze miała się słabo. – Zdaje się, że niektórzy traktują nóż jako symbol falliczny.

– Chodź tu – przygarnij do siebie, kładę cię sobie na ramieniu jej pulsując bólem głowy. Pogładził jej włosy, czując narastając w nim w ciekną. – Już dobrze.

– Wiedziałam, że chce mnie zgwałcić – zamknęła oczy, jakby szukała schronienia. – W zeszłym roku cała nasza paczka poszła na kurs samoobrony, ale nie mogłam sobie niczego przypomnieć. Czułam się, jakby mój mózg pokrył się skorupą lodu, przez którą nie mogłam się przebić. Ci głębiej powtarzał, jak to będziemy się wietnie bawić, a ja czułam w ciekną. Obłonił mi szyję i mówił, że po prostu muszę być grzeczna, muszę być posłuszna. Wciekłam się, bo on uważał, że nie zrobi niczego, żeby się bronić. Może na chyba powiesz, że w końcu przebiłam się przez ten lód, bo wałnęłam go łokciem w brzuch i uciekłam. Wtedy się pojawiła.

– Dobrze – wołał nie myśl, co mogłoby się zdarzyć, gdyby się nie pojawiła. – Znasz go?

– Nie sędz. Nie poznałam jego głosu. Było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć, a on stał za mną. Na zewnątrz przyjrzałam mu się dokładnie, ale nie przypominał nikogo znajomego. – Odetchnęła głębiej. – Twoja nowiutka balustrada jest zniszczona.

– Chyba ją znowu naprawi. Masz aspirynę?

– W łazience, w apteczce – uśmiechnęła się, poczuwszy na skroni muśnięcie jego warg. To tak jej pomogło. – Daj mi jakie pół kilo, dobrze? – położyła się nieco spokojniejsza, kiedy wstał. Zmierzwił rącznik, rzucony na stolik do kawy przyciągnął jej uwagę. Był to jej obszyty aksamitem, rącznik wyszywany rącznik do ręk. Cały poplamiony krwią.

– Skimmerhorn, do cholery, musiały wziąć czysty? – pochyliła się z niesmakiem, by podnieść rącznik. – W dodatku

mokry! Wiesz, co si dzieje, kiedy rzuci si mokr szmat na drewno?

– Nie my lałem o meblach – szperał z hałasem w apteczce. – Nie mog znale aspiryny.

– Pozwól – była do zadowolona, e mo e utrzyma si na nogach i chodzi o własnych siłach, dopóki nie spojrzła na swoje odbicie w lustrze nad umywalk . – O mój Bo e.

– Słabo ci? – wypatruj c oznak zbli aj cego si omdlenia wzi ł j za ramiona, gotów j pochwyaci .

– Ze zgrozy. Z mojego makija u zostało to, co rozmazało si pod oczami. Wygl dam jak co z rodziny Addamsów – si gn ła na górn półk po mał bł kitn apteczn buteleczk . – Aspiryna.

– Dlaczego nie we wła ciwym opakowaniu?

– Bo plastikowe buteleczki na aspiryn s brzydkie i obra aj mój wyrafinowany gust.

Wytrzn ła cztery tabletki i oddała buteleczk Jedowi.

– Sk d wiesz, e to nie antyhistamina?

– Bo antyhistamina jest w bursztynowej buteleczce, a aspiryna w niebieskiej – napełniła porcelanow fili ank wod i przelkn ła pigułki jednym haustem. Skrzywiła si , słysz c pukanie do drzwi. Prababka wszystkich migren znalazła schronienie w jej czaszce. – Czy to kawaleria?

– Chyba tak. Zosta tu.

Spojrzła za nim, otwieraj c szeroko oczy na widok broni zatknij tej za pasek jego d insów. Si gn ł po ni i stan ł obok drzwi.

– Tak?

– Tu Brent.

– No wreszcie – otworzył gwałtownie drzwi. Cz targaj cej nim w ciekło ci przelała si na jego byłego partnera. – Kogo ty stawiasz na stra y, e uzbrojony gwałciciel mo e mu przej tu przed samym nosem i włama si do zamknij tego budynku?

– Trainor był dobry – usta Brenta zacisn ły si ponuro. Spojrzał ponad ramieniem Jeda na Dor stoj c w drzwiach łazienki. – Nic jej nie jest?

– Nie jest to zasługa naszych orłów Filadelfii. Gdybym nie...
– przerwał; wyraz oczu Brenta zdołał wreszcie przebić się przez jego wściekłość. – Był?

– Nie, ję. Dwa strzały w pier, z bliska. Z tak bliska, kurwa, że na koszuli ma proch.

Dora zwolniła kroku, dojrzawszy spojrzenia, które wymienili.

– Co? Co jeszcze się stało?

– Poprosiłem Brenta, żeby jeden z jego ludzi pilnował domu, na wypadek gdyby włamywacz wrócił – Jed wyciągnął papierosa.
– I wrócił – potarł zapałkę. – A policjant nie ję.

– Nie ję? – policzki Dory, które zdęły nabierać kolorów, znów zaczęły blednąć.

– Chc, żeby teraz usiadła – powiedział Jed głosem bez wyrazu. – I jeszcze raz opowiedziała mi o wszystkim, krok po kroku.

– Jak zginął? – ale już wiedziała. – Od kuli, prawda?

– Usiadł, Doro – Brent wziął ją za ramię, ale strzasnąła jego ręką i cofnęła się.

– Miał on?

– To nie...

– Nie mów mi, że to nie moja sprawa – uderzyła dłoń w pier Jeda, zanim zdęł skończy zdanie. – Ten człowiek był przed moim domem, chciał mnie bronić. Teraz nie ję. Chc wiedzieć, czy miał rodzinę.

– Miał on – powiedział cicho Brent, czując, że wyrzuty sumienia zatapiają w nim małe, ciepłe zębki. – Dwoje dzieci, oboje w liceum.

Odwróciła się, obejmując swoje ramiona.

– Doro – Jed wyciągnął ku niej rękę, żeby jej dotknąć, ale po chwili ją opuścił. – Kiedy mężczyzna lub kobieta wstępuje do policji, wie, czym ryzykuje.

– Cicho bądź, Skimmerhorn, Po prostu bądź cicho. Teraz zrobi kawę – odrzuciła potargane włosy. – Powtórzemy to jeszcze raz.

Usiedli pó niej w jadalni Dory, opracowuj c jej zeznanie punkt po punkcie.

– To mieszne, e wrócił... musimy uzna , e trzy razy – Brent sprawdził swoje notatki. – i e załatwił policjanta, eby si dosta do rodka. Tak nie post puje zwykły gwałcieiel.

– Tego bym nie powiedziała. Im bardziej bylam przera ona, tym bardziej mu si to podobało – wyrecytowała, jakby uczyła si roli. – Mo na powiedzie , e był podniecony, e nie chciał, eby wszystko potoczyło si zbyt szybko. Bo zacz ł o czym mówi – otworzyła oczy. – Zapomniałam. Powiedział co o obrazie.

– Chciał, eby mu dała swoje obrazy? – zapytał Brent.

– Ja... nie. Nie, nie s dz , eby to o to chodziło. Chciał mie jaki konkretny obraz, chciał, ebym powiedziała mu, gdzie on jest. Nie słuchałam go wtedy naprawd uwa nie, bo musiałam co zrobi , eby mnie nie zgwałcił.

– Mo e chodziło o zdj cia*? Jakie masz zdj cia?

– Chyba wszystkie mo liwe rodzaje. Rodzinne, z wakacji, z urodzin. Nic, co mogłoby kogo zainteresowa .

– Kiedy zrobiła ostatnie? zapytał Jed. Co na nich było?

– W Bo e Narodzenie, u Lei. Nawet ich jeszcze nie wywołałam. A przedtem... przeczesala dłoni włosy, odgarniaj c je z twarzy – Bo e, nie wiem tego na pewno Mo e kilka tygodni temu, pewnie kilka miesi cy.

– Chciałbym wywoła ten film, je li pozwolisz – u miechn ł si Brent. – Nie zaszkodzi sprawdzi .

– Pójd po niego.

– Co tu nie pasuje powiedział Jed, kiedy wyszła z pokoju. – Nie zabija si policjanta, eby zgwałci kobiet i zrabowa jej album z fotografiami.

– Od czego trzeba zacz . Chciał mie zdj cie, wi c przyjrzymy si jej zdj ciom. Mo e uchwyciła na nich co , czego nie powinna zobaczy .

* W j zyku angielskim słowo „picture” oznacza zarówno obraz, jak i fotografi ; przyp. tłum.

- Mo e, ale ten kawałek nie pasował do układanki.
- Przyjrzałe si mu na tyle, eby go opisa ?
- Sze stóp, sto siedemdziesi t funtów. Ciemne włosy, ciemne oczy, smukła budowa ciała. Miał kaszmirowy szary płaszcz i granatowy lub czarny garnitur z czerwonym krawatem. Zabawne, facet wkłada krawat i garnitur, eby zgwałci kobiet .
- yjemy w zabawnym wiecie.
- To jest ten film Dora poło yła na stole pudełeczko. – Zostało par wolnych klitek, ale chyba, ich nie wykorzystam.
- Dzi kuj – Brent wsadził film do kieszeni. – Chciałbym, eby popracowała z Jedem nad identi–kitem. To taka zabaweczka, dzi ki której ustalamy portret pami ciowy.
- Jasne – ycie toczy si dalej, pomy lała ało nie. – Pójd po płaszcz.
- Nie dzisiaj – Brent poprawił okulary i wstał. – Musisz odpocz . Jutro b dzie ci lepiej szło. Je li co przyjdzie ci do głowy, zadzwo , niewa ne o której.
- Dobrze. Dzi kuj .
- Kiedy zostali sami, Dora zaczę ła zbiera fili anki i spodki. Zbyt trudno było jej spojrze Jedowi prosto w oczy. – Jeszcze ci nie podzi kowałam.
- Nie ma za co – poło ył dłonie na jej r kach. – Zostaw to. Powinienem chyba zawie ci do szpitala. Niech sprawdz t twój tward głow .
- Nie chc , eby lekarze w cibiali nos w moje sprawy – zacisn ła usta, by głos przestał jej dr e . – W ogóle niech nikt nie w cibia nosa w moje sprawy. Aspiryna st piła troch ból.
- Ale nie pomo e na wstrz nienie mózgu.
- Nic na to nie pomo e – odwróciła dłonie pod jego r kami, zło yła je, błagaj c o zrozumienie – nie zmuszaj mnie, dobrze?
- Czy ja ci zmuszam? – zdj ł r ce z jej dłoni, przechylił jej głow i sprawdził stan jej oczu. Zobaczył tylko zwykłe zm czenie.
- Id spa .

– Nie jestem zmęczona. Ta kawa nie pozwoli mi pewnie zasnąć przez... Omal nie przyprowadziłam tu wczoraj Richie'ego – ta myślnica sprawiła, że jej głos dek scurczył się spazmatycznie. – Gdyby on... – nie mogła dalej o tym myśleć. – Tu powinno być bezpiecznie.

– I będzie – położyła delikatnie ręce na jej ramionach i zaczęła masować napięte mięśnie. – Następnym razem, kiedy wyjdę do sklepu po papierosy i mleko, weźmiesz ze sobą.

– To tam się wybrała? – Ponieważ za bardzo chciało się jej znów przytulić do niego, wzięła filiżanki i zaniósła je do kuchni. – Nie zauważyłam, żeby miał torbę.

– Zostawiłem ją w samochodzie, kiedy usłyszałem twój krzyk. Postawiła głowę na filiżanki na stole.

– Szybko myślisz. Zawsze zabierasz pistolet idąc do sklepu?

– A wiesz, jak marzą o te całodobowe sklepy? – musnęła włosy, gdy roześmiała się zduszonym chichotem.

– Nie martw się, nie zemdleję.

– Nie martwi się – ale nie cofnę ręki z jej włosów. – Chcesz, abym zadzwonił do twojej siostry? Do ojca, matki?

– Nie – Dora zatkała zlew, odkręciła kran. – Chyba będzie musiała im powiedzieć o tym jutro, a to będzie straszne.

Nie zmywała naczyń ze względu na zamykanie do porządku, wiedział o tym, ale dlatego, że chciała odwlec moment, w którym zostanie znów sama. Przynajmniej tym mogła się zająć.

– Co ci powiem, a może dziś przejdę na twojej kanapie? Obiecuję, że nie zostawię resztek kremu po golaniu w umywalce.

Westchnęła z ulgą, zakręciła kran i przytuliła się do niego, kryjąc twarz na jego piersi.

– Dziękuję.

Zawahał się, a potem przygarnął ją do siebie.

– Jeszcze mi nie dziękuj. Mogę chrapać.

– Zaryzykuję – potarła policzkiem o jego policzek. – Właściwie moglibyśmy spać w jednym łóżku, ale...

– Nie pora na to – dokończył.

– Zupełnie – odsun ła si . – Dam ci poduszk .

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wygł dała dobrze. Naprawd dobrze. Niezbyt cz sto miał okazj przygl da si pi cym kobietom, i to na pewno tylko takim, które sp dziły z nim noc, ale adna nie wygl dała lepiej ni ona.

Dora le ała na brzuchu, jej włosy, potargane przez noc, odsłaniały policzek, przez co twarz prezentowała si w całej okazało ci, wyj wszy czoło kryj ce si pod grzywk . Wygl dała niesłychanie poci gaj co.

My łał, e zawdzi cza to tym wielkim, ciemnym oczom, temu, jak dominowały w jej pełnej wyrazu twarzy. Ale te oczy były teraz zamkni te, a twarz u piona.

I ci gle wygl dała cholernie dobrze.

Mo e to z powodu skóry. Skóra Dory była jak jedwab, gładki biały jedwab, leciutko zaró owiony.

Otrzn ł si , zarazem zakłopotany i podniecony. Kiedy m czyzna zaczyna wymy ła metafory na okre lenie skóry kobiety, znaczy to, e przepadł na amen.

Podszedł do nocnej szafki, postawił na niej swój kubek i przysiadł na skraju łó ka.

Czuł jej zapach – t niebywale seksown wo , przez któr zawsze zasychało mu w ustach. Kolejny problem, pomy łał, pojawia si wówczas, gdy m czyzna daje si złapa na tak oczywisty haczyk jak perfumy.

– Isodoro – dotkn ł jej ramienia przez grub kołdr , potrz sn ł ni lekko, tak jak to robił tej nocy co dwie godziny, by upewni si , e nie znajduje si w zapa ci.

Jkn ła na wpeł kapry nie, na wpeł z rozdra nieniem i odwróciła si . Kołdra ze lizn ła si z jej ramion. Jed przyjrzał si

z namysłem flanelowej koszuli, w jak si ubrała. Była gruba niczym zbroja i miała kłuj cy w oczy turkusowy kolor.

Zauwa ył dwie małe ró owe aplikacje przypominaj ce wi skie uszy. Podniósł kołdr , zaciekawiony. I rzeczywi cie. Tłu ciutki ró owy wi ski ryjek u miechn ł si do niego.

Wiedział, e wybrała akurat t koszul , bo uznała j za ciepł i kompletnie aseksualn .

Miała racj tylko w połowie, pomy lał i opu cił kołdr .

– Isadoro – znów potrz sn ł jej ramieniem i przytrzymał j , eby si nie odwróciła. – Izzy – szepn ł jej do ucha – wstawaj.

– Odejd , tato.

U miechn ł si , pochylił si nad ni i uszczypn ł z bami jej ucho. Natychmiast otworzyła oczy. I natychmiast poczuła ciepło rodz ce si w jej ciele.

Zamrugła powiekami, oprzytomniała, ale zanim zd yła si zorientowa , zamkn ł jej usta pocałunkiem. Oszołomiona poło yła mu dło na ramieniu, wbijaj c w nie palce, kiedy poczuła, e ciepło w jej ciele eksploduje.

– Teraz si obudziła ? – szepn ł Jed i zacz ł si bawi , skubi c lekko jej dołn warg .

– O tak. Najzupełniej – odchrz kn ła, ale jej głos pozostał senny i zachrypni ty.

– Kim jestem?

– Kevinem Costnerem – u miechn ła si i rozprostowała ramiona. – To tylko taka nieszkodliwa fantazja, Skimmerhorn.

– Czy on nie jest onaty?

– Nie w moich fantazjach.

Odsun ł si , tylko troch obra ony.

– Ile palców?

– Trzy. My lałam, e ju wczoraj uzgodnili my, e nic mi nie jest.

– A dzisiaj to potwierdzamy. – Jej oczy były senne, bardzo seksownie senne. Ale renice miała w normie. – Jak głowa?

Leżała przez chwilę nieruchomo, dokonując bilansu strat. Oprócz ciężkiego dzwonienia w głowie, nadal czuła ból. O wiele za silny.

– Boli. I ramię też.

– Weź.

Dora spojrzała na dwie aspiryny na jego dłoni.

– Dwie? Skimmerhorn, ja biorę dwie aspiryny przy złamanym paznokciu.

– Nie bój się mazgajem – wiedział, że to poskutkuje.

Spojrzała na niego spod ręki, wzięła tabletki i kubek z kawą, który jej podał.

Jej złość zamieniła się w zaskoczenie, kiedy pocierając pierwszy łyk.

– Bardzo dobra kawa. Smakuje prawie jak moja.

– Bo jest twoja, to znaczy ziarna są twoje. Przyglądnij się kiedyś, jak ją robisz.

– Szybko się uczysz – chcąc rozkoszować się chwilą, podparła plecy poduszką i ułożyła się wygodnie. – Dobrze ci się spało na tej kanapie?

– Nie, ale spałem. Skorzystałem z prysznicy. Nie masz żadnego mydła, które nie wyglądałoby jak kwiatek albo łabędź?

– Miałam kilka koników morskich, ale się zużyły – pochyliła się i powłóczyła go, bawiąc się jego mokrymi włosami, opadającymi w ciemnopłowych skrętańach na kołnierzyk. – Mmm. Gardenia.

Zakryła ręką jej twarz i delikatnie ją odepchnął.

– Co ci powiem – zaproponowała. – Kiedy wyjdę znowu na zakupy, rozejrzę się za mydłem w kształcie hantli. O tym pocierając cym, mskim zapachu przeoczonych sportowych skarpetek.

Pocierając łyk z kubka trzymanego w obu dłoniach i westchnęła.

– Nie pamiętam, kiedy kto ostatnio przyniósł mi do łóżka kawę – przechyliła głowę i przyjrzała się mu z uśmiechem. Z wilgotnymi po prysznicy włosami, zarostem ocieniającym

szczękami i oczami niemal równie rozdrażnionymi, co pięknie, przedstawiał bardzo pocieszający widok.

– Twardy z ciebie orzech, Skimmerhorn. Musiałeś wiedzieć, że bez żadnego wysiłku mogłeś się tu ze mną wczoraj znaleźć. Wiedziałyśmy, że jakieś sznurki pociągają, ale nie pociągają za nas.

– Byłaś obolała i zmęczona. – Myślałem o tym. O tak, myślałem. – Nie jestem zwierzęciem.

– O tak, jesteś. Jesteś wielkim, niespokojnym, złym zwierzęciem, i to jest część twojego uroku – musnęła palcami policzek, którego nie chciało mu się ogolić. – Te twarde miśnięcie i paskudny charakter. Jest coś kuszącego w wiadomości, że jesteś w równym stopniu zdolny do złego, jak i dobrego. Mam fioła na punkcie złych chłopców o dobrym sercu.

Ujął dłoń, którą tuliła do jego policzka, chcąc ją odepchnąć. Ale ona splótła jego palce ze swoimi i usiadła, żeby go pocałować. Bardzo delikatnie, bardzo słodko, ale kiedy jego miśnięcie zadrgało od tego pocałunku.

– Przeciśniesz strunę, Doro.

– Nieśmiało.

Mógł jej udowodnić, że się myli, zrobiłby to, gdyby jej oczy nie zdradzały, że gnębi ją ból głowy. Mógłby rzucić ją na łóżko i rozładować tę nieszczęśliwą dzwonkę, którą w nim budziła.

Nie zrobił tego, bo nie chciał brać tego, czego pragnął, wiedząc, że może sprawić jej ból.

– Posłuchaj – powiedział rozsądnie, patrząc jej w oczy – nie znasz mnie. Nie wiesz, do czego jestem zdolny albo czego nie mogę zrobić. Jednej rzeczy możesz być pewna: tego, że ci pragnę, a kiedy przekonam się, że jesteś w stu procentach tym, czego mi trzeba, wezmę cię. I nie będę prosił.

– Nie ma takiej potrzeby, bo ja już się zgodziłam.

– I nie będę miły – spojrzał na ich splecione dłonie i umyślnie usunął swój rękaw. – I ni cholery mnie nie obchodzi, czy będziesz niejaką.

– Kiedy si na co decyduj , nie waham si . I wiem, e ty mnie nie ostrzegasz. Ostrzegasz siebie.

Opu cił r ce i wstał.

– Mamy dzi co innego do roboty. Co zrobisz ze sklepem?

– Dzi jest zamkni ty.

– Dobrze. Musimy pój na policj . Pozbieraj si do kupy, a ja zrobi niadanie.

– Umiesz?

– Umiem wla mleko do płatków.

– Pycha.

Odrzuciła kołdr , kiedy ruszył do wyj cia.

– Aha, Conroy – rzucił przez rami – podoba mi si twoja winka.

* * *

Podczas, gdy Jed i Dora dzielili si pudelkiem płatków kukurydzianych, DiCarlo kr ył po swoim nowojorskim mieszkaniu. Nie spał tej nocy. Zd ył do połowy opró ni butelk whisky, ale to nie ot piło jego rozgor czkowanego umysłu ani nie przyniosło mu spokoju.

Nie mógł wróci do Filadelfii. Martwy gliniarz to jedno, ale zostawił za sob dwoje wiadków. wiadków, którzy na pewno zapami tali go na tyle, by go zidentyfikowa .

Znajd mnie, pomy lał DiCarlo ponuro i nalał sobie kolejny kieliszek. I powiesz za tego gliniarza. Je li DiCarlo wiedział co o policjantach, to to, e nie spoczni , dopóki nie dopadn tego, kto zabił jednego z nich.

A wi c nie tylko nie mo e wróci , ale musi zej do podziemia, dopóki nie przestanie wrze . Kilka miesi cy, pomy lał. Najwy ej pół roku. To nie problem. Ma mnóstwo kontaktów, mas gotówki. Mo e sp dzi w Meksyku sympatyczn ciepł zim , popijaj c margarit . Kiedy gliny przestani kr ci si za własnym ogonem – wróci.

Jedyny szkopał w tym wszystkim to Edmund J. Finley.

DiCarlo spojrział na przedmioty, które postawił pod cian , obok choinki. Wyglądały jak smutne, zapomniane prezenty, nie rozpakowane i nie chciane.

Podpórki pod księżki, papuga, orzeł, Statua Wolności, pies z porcelany. Wliczając w to figurki , które zdobył wcześniej, odzyskał sześć sztuk z siedmiu. Kiedyś, z wyjątkiem Finleya, uznaliby to za sukces.

To tylko parszywy obraz, pomylony. Bóg widzi, jak bardzo się starał. Ma podbite oko, rozciętą wargę i obolałe nerki. Jego kaszmirowy płaszcz jest do wyrzucenia.

Zrobił więc, nie musiał, by naprawił błęd, którego tak naprawdę nie popełnił. Jak tylko znajdzie czas, kiedyś za to zapłaci Opal Johnson. W najtwardszej walucie.

A na razie musi znaleźć najlepszy sposób postępowania z Finleyem. W końcu Finley jest człowiekiem interesu i wie, że czasem trzeba się liczyć ze stratami. Wiadomo tak właśnie nie mu to przedstawi. Jak człowiek interesu człowiekowi interesu. Najlepiej udobrucha Finleya, pokazując mu najpierw pięć odzyskanych przedmiotów, a potem zyska sobie jego współczucie i podziw, zagłusząc się w szczególności sprawy.

Wspomni też o policjancie. Ktoś taki jak Finley zrozumie, jak wiele ryzykował wykażając się .

To za mało, przyznał DiCarlo i przyłożył sobie do posiniaczonego policzka worek z lodem. Podszedł do lustro w korytarzu i przyjrzał się sobie. W dodatku nie miał czasu, żeby widać Nowy Rok. Nie mógł się pokazać miłośnikom, bo jego twarz wyglądała, jakby przejechał po niej czołg.

Wróci do tej Conroy i do tego jej się siada. Nie od razu.

DiCarlo dotknął ostro nie podpuchniętego oka i skrzywił się . Będzie cierpliwy. Pół roku, rok. Do tego czasu zapomni o nim. Ale on nie zapomni.

Tym razem nie będzie mowy o humanitarnym zabójstwie. O, nie. Tym razem będzie to vendetta, którą trzeba realizować powoli i z rozkoszą .

Umiechnął się do tej myśli i zaklął, bo ruch uraził jego rozciętą wargę. DiCarlo wytarł krew wierzchem dłoni i odwrócił się do lustra. Zapłacił mu za to, nie ma mowy. Ale najpierw trzeba zakończyć sprawę z Finleyem.

Wiedział, że mógłby uciec policji, ale nie był pewny, czy zdołałby uciec swojemu pracodawcy. Wezwał go na rozmowę, praktycznie bez pochlebstwa. I... DiCarlo przycisnął do ust worek z lodem i umiechnął się samymi oczami. Na dobre wolał. Zaproponuje, że wynajmie do tego zadania innego człowieka – na własny koszt.

To z pewnością ci przemówi do praktycznego zmysłu Finleya. I do jego chciwości.

Ruszył, zadowolony, do telefonu. Im szybciej skończy w Kalifornii, tym szybciej znajdzie się na plażach Meksyku.

– Chcę zarezerwować miejsce w pierwszej klasie na lot z Nowego Jorku do Los Angeles. Najbliżej. Nie ma żadnego a do szesnastej piątej? – zabębnił palcami w biurko, zastanawiając się. – Tak, tak, to mi odpowiada. Nie, w jedną stronę. Chcę jeszcze zarezerwować następny lot z Los Angeles do Cancun, na pierwszego stycznia – otworzył szufladę biurka, wyjął z niej paszport. – O tak, pogoda na pewno będzie lepsza.

* * *

– Chyba miał trochę dłuższą twarz – Dora obserwowała zmieniający się na ekranie komputera wizerunek, słuchając cichego stukotu klawiszy pod palcami pracownika. – Tak, tak. I trochę szczuplejsz – potrzyła niepewnie głowę i spojrzała na Jeda. – Czy miał gęste brwi? Chyba zrobił mi się podobny do Al Pacino.

– Dobrze ci idzie.

Zamknęła oczy i pozwoliła, aby pojawił się ten ponury obraz. Ale razem z nim wróciło przerażenie, a ona otworzyła oczy.

– Spojrzałam na niego tylko przelotnie. On... – si gn ła po wod z lodem, o któr poprosiła. – Chyba miał wi cej włosów ni ten tutaj i mo e bardziej pofalowane.

– Dobrze – człowiek przy komputerze zmienił fryzur twarzy na monitorze. – Jak to wygl da?

– Lepiej. Chyba miał ci sze spojrzenie, wie pan, grubsze powieki.

– Takie?

– Chyba tak... – westchn ła. – Nie wiem.

Jed stan ł za jej krzesłem, poło ył r ce na jej ramionach i zacz ł masowa ich napi te mi nie.

– Cie sze wargi i nos – rozkazał. – Oczy gł biej osadzone. O, tak. Miała racj z tymi brwiami, troch grubsze. Bardziej. Zetnij troch podbródek.

– Jak ty to robisz? – szepn ła Dora.

– Przyjrzałem si mu lepiej ni ty, to wszystko.

Nie, to nie wszystko, pomy łała. Niezupełnie. Zobaczył tyle co ona, ale zapami tał, sklasyfikował i utrwalił. Teraz patrzyła, jak twarz jej prze ladowcy zyskuje kształt na ekranie.

– Teraz daj ciemniejszy cer – doradził Jed, zw aj c oczy w skupieniu. – Bingo.

– To on – Dora, wstrz ni ta, poło yła dło na r ce Jeda. – To jest on. Niewiarygodne.

Brent poklepał monitor, niczym dumny tatu .

– Niezła zabaweczka. Jed musiał stan na głowie, eby wł czy j do bud etu.

Dora u miechn ła si słabo i zmusiła si do spojrzenia w oczy ledz ce j z ekranu komputera.

– To lepsze ni Nintendo.

– Daj nam wydruk – Brent zwrócił si do policjanta przy komputerze. – Mo e wst picie na chwil do mojego gabinetu? – wzi ł j pod r k , wyprowadził z sali konferencyjnej i poprowadził korytarzem. Spojrzała na drzwi i przeczytała widniej cy na szkle napis: KAPITAN J.T.SKIMMERHORN.

Zerkn ła na Jeda.

– T jak testosteron?

– Co za dowcip, Conroy.

– Och, wczoraj zapomniałem o tym wspomnie . – Brent otworzył drzwi gabinetu i przepuścił przed sobą Dorę . – Dzwoniła do mnie twoja matka.

– Moja matka? – Dora uniosła brew i usiadła.

– Zaproszenie na przyjęcie sylwestrowe w teatrze.

– Och, to już jutro – przypomniawszy sobie Dora. Prawie o tym zapomniawszy . – Mam nadzieję , że przyjdziecie.

– Czekamy na to z niecierpliwością . Sylwestrowe przyjęcie w Liberty Theater to łakomy kąsek . – Brent sięgnął do szuflady i wyjął z niej kopertę . – Twoje zdjęcie. Kopie zatrzymamy, ale nie widzimy w nich nic niezwykłego.

Wyjął je i zachichotała. Pierwsze zdjęcie przedstawiało szeroko otwarte usta Richie’ego, zrobione z bardzo bliskiej odległości. Autoportret, pomyślała Dora. Wszędzie rozpoznawała ten krzywy trójkąt. Najwyraźniej ten mały łobuz dobrał się do jej aparatu.

– Obrzydliwe, ale zwyczajne – włożyła kopertę do torebki. – To dokąd teraz?

– Donikąd – warknął Jed. – To sprawa policji.

– O, więc wrócił pan do oddziału, kapitanie? – uśmiechnęła się tylko, kiedy spojrzał na nią z morderczym błyskiem w oku. – Kto włączył ciwie tu dowodzi? – zwróciła się do Brenta.

Odchrząknął i poprawił okulary.

– No, tę sprawę prowadź ją.

– A więc c... – Dora złożyła dłonie na podolku i zamarła w oczekiwaniu.

– Dopóki nie znajdziemy go – zaczął Brent, obserwując kłopotliwie spacerującego Jeda – postawimy pod twoim domem kilku strażników.

Pomyślała o zabitym policjancie, jego żonie, dzieciach.

– Nie chcę , żeby ktoś jeszcze dla mnie ryzykował.

– Doro, w tym okolicy nie ma policjanta, który nie zgłosiłby się na ochotnika do tego zadania. Nie po tym, co się stało z

Trainorem. Ten facet zabił policjanta – spojrzał na Jeda. – To dlatego tak łatwo przyszło mi zmusić balistyk do po piechu. Kula, którą wyjął z Trainora, pasuje do tych, które wydułbali ze ściany twojego domu.

– A to ci niespodzianka – mruknął Jed.

– Muszę przygotować sprawę – Brent zdjął okulary i wytarł je pomiędzy koszulami. – Jeśli złapiemy tego sukinsyna ywcem, musimy mieć sterty dowodów rzeczowych. Wysyłam raport balistyczny do innych okręgów w całym mieście i kraju. Co mogłoby pasować.

Był to dobry ruch. Jed łowiął tylko, ale czuł tak gorzko na myśli, że nie on go wykonał.

– Gdzie Goldman?

– W Vail – syknął Brent. – Na nartach. Wziął tydzień urlopu. Gdyby Jed nie czuł takiej wściekłości, pewnie stanąłby osłupiały.

– Sukinsyn. Ma pod nosem martwego policjanta, jednego ze swoich ludzi. A on wyjeżdża na urlop podczas, kiedy jego ludzie mają dwa razy więcej roboty.

– Urlop mu się należał. – Brent złapał słuchawkę dzwoniącego przeraźliwie telefonu. – Oddzwonił – warknął i rzucił ją na widełki. – Słuchaj, mam nadzieję, że przetrwasz sobie coś w tej swojej pańskiej dupie. Może wtedy się ockniesz i wrócisz tu, gdzie twoje miejsce. Mamy tu martwego glina, a poziom morale jest na poziomie dupy karła, bo nasz dowódca bardziej martwi się o całość swoich licznych zbiorów niż o swoich ludzi. – Wycelował palcem w stronę Jeda – no i co masz z tym zamiarem zrobić, do cholery?

Jed powoli zaciągnął się papierosem, wydmuchnął dym i zaciągnął się znowu. Nie powiedział ani słowa; nie miał odwagi. Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Spierdoliłem sprawę – Brent zerknął na Dorę, skrzywił się – przepraszam.

– Nic nie szkodzi – włączyła ten incydent za wiele mówiła. – Mylisz, że to coś da?

– Nie – to, e tracił panowanie nad sob przy drugiej osobie, zawstydzalo go. Jak zawsze. Ciemny rumieniec ju teraz zacz ł wypelza mu na szyj .

– Kiedy Jed co postanowi, nie zmieni zdania nawet przed plutonem egzekucyjnym – opadł na krzesło. – Ale jako lepiej si czuj .

– No, to ju jest co . Lepiej za nim pójd .

– Ja bym tego nie robil.

U miechn ła si tylko i wzi ła płaszcz.

– Do zobaczenia na przyj ciu.

* * *

Dogoniła go na ulicy. Nie chciało si jej krzycze za nim, eby zaczekał. Była absolutnie pewna, e szkoda byłoby na to jej gardła. Dobiegła do niego i zrównała z nim krok.

– Ładny dzie – zagadn ła uprzejmie. – Chyba si troch ocieplilo.

– Lepiej do mnie nie podchod .

– Jasne – wzi ła go pod r k . – Lubi chodzi , kiedy jest zimno. Krew mi wtedy szybciej kr y. Je li tu skr cimy, dojdziemy do Chinatown, liczne małe sklepiki.

Jed skr cił z rozmysłem w przeciwnym kierunku.

– Mmm, uparciuch – skomentowała Dora. – Wiesz co, tak naprawd nie w ciekasz si na niego.

– Nie mów mi, co czuj – chciał j odepchn , ale wpiła si w niego niczym wyj tkowo głodna pijawka.

– Mo e spłyniesz, Conroy?

– Mowy nie ma. Chodnik jest suchutki – przyjrzała si jego profilowi, ale oparła si pokusie pogłaskania go po napi tej szcz ce. – Mo esz na mnie wrzeszcze , je li uwa asz, e od tego lepiej si poczujesz. Mnie to pomaga, kiedy jestem na siebie w ciekła.

– Mam ci aresztowa za molestowanie?

Zatrzepotała rz sami.

– My lisz, e to si uda? Taki drobiazg jak ja molestuje takiego wielkiego twardziela?

Rzucił jej jedno krótkie, nienawistne spojrzenie.

– Mogłaby si przynajmniej zamkn .

– Wol ci wkurzy . Wiesz co, je li b dziesz tak zaciska z by, to je sobie połamiesz. Lea zgrzyta w nocy z bami i teraz musi wkłada tak plastikow rzecz, kiedy kładzie si spa . To przez stres. Lea wiecznie si zamartwia. Ale nie ja. Kiedy pi , wył czam wszystko. Po to si pi, prawda?

Tu przed nast pnym zakr tem Jed zatrzymał si i zwrócił ku niej.

– Nie przestaniesz, prawda?

– Nie. Ja tak mog bez ko ca – zapi ła zamek jego kurtki, wygładziła kołnierz. – Martwi si , bo mu na tobie zale y. Nie jest łatwo, kiedy komu na nas zale y, bo to obarcza nas odpowiedzialno ci . Zdaje si , e ty nosisz na swoich barkach mnóstwo odpowiedzialno ci. Musi czu du ulg , mog c j na chwil z siebie zrzuci .

Trudno w cieka si na kogo , kto tak doskonale go rozumie. Ale je li nie przestanie si w cieka , do jego serca mo e zakra si rozpacz.

– Miałem powody, eby odej . I nadal s aktualne.

– Mo e mi o nich opowiesz?

– To moje prywatne sprawy.

– W porz dku. Chcesz wiedzie , z jakiego powodu odeszłam z teatru?

– Nie.

– wietnie, posłuchaj. – Znowu ruszyła, prowadz c go w kierunku miejsca, gdzie zaparkował samochód. – Lubiłam gra . Nic dziwnego, te komedianckie geny... I byłam dobra. Jak tylko sko czyłam z dziecinnymi rólkami, wzi łam si za takie rzeczy, jak „Nasze miasto”, „Szklana mena eria”. Miałam cudowne recenzje. Ale... – zerkn ła na niego spod rz s – ciekawi ci to?

– Nie.

– Ale – ci gn ła, nie zra ona – to nie było to, co naprawd chciałam robi . Potem, jakie pi lat temu, dostałam spadek po matce chrzestnej, Annie Logan. Mo e o niej słyście ? W latach trzydziestych i czterdziestych była gwiazd filmów klasy B, a potem została agentk .

– Nie słyście.

– No, wi c była bogata.

Obok nich mign ł samochód, wzbudzaj c powiew wiatru, który potargał jej włosy. Nadal powiewały w powietrzu, kiedy odwróciła si z u miechem do Jeda.

– A ja przepadałam za ni . Ale miała ze sto lat i nielichy szmat ycia za sob . No wi c dostałam te pieni dze, poszłam na kursy zarz dzania. Chocia ich nie potrzebowałam, to znaczy tych kursów. Niektóre rzeczy ma si we krwi.

– Czy ty do czego zmierzasz, Conroy?

– Ju dochodz . Kiedy oznajmiłam rodzinie, co zamierzam zrobi , byli wzburzeni. Naprawd ich uraziłam tym, e nie chciałam zrobi u ytku z tego, co uwa ali za talent, i kontynuowa tradycji Conroyów. Kochali mnie, ale chcieli, e bym była kim , kim nie mogłam by . Nie byłabym szcz liwa w teatrze. Chciałam mie własny dom, własny interes. Wi c nawet wiedz c, e ich zawiodłam, ruszyłam naprzód i zrobiłam to, co było dla mnie dobre. Min ło wiele czasu, zanim dojrzałam do odpowiedzialno ci, któr poci ga za sob fakt, e kto nas kocha, martwi si o nas, e komu na nas zale y.

Przez chwil nie odzywał si . Zaskoczyło go, e nie czuje ju gniewu. W jakim momencie w czasie jej monologu opu ciła go w ciekło , ucichła niczym gwałtowny sztorm i ust piła pod naporem nieust pliwo ci Dory.

– A morał twojej niebywale długiej i zawitej opowie ci jest taki, e skoro nie chc by glin , nie powinienem si wkurza na przyjaciół, którzy pragn mojego powrotu.

Dora westchn ła i zast piła mu drog , kład c mu lekko r ce na ramionach.

– Nie, Skimmerhorn, niczego nie rozumiałe – spojrzała mu prosto w oczy, bardzo powa nie i współczuj co. – Nie zostałam stworzona po to, eby by aktork , wi c dokonałam wyboru, którego nie akceptowała moja rodzina, ale ja miałam wewn trzn pewno , e post puj wła ciwie. Jeste policjantem do szpiku ko ci. Musisz tylko zaczeka , a dojrzejesz do tego, by przyzna , e dobrze wybrałe .

Złapał j za rami , zanim zdołała ruszy si dalej.

– Wiesz, dlaczego odszedłem? – jego oczy nie były ju gniewne, lecz ciemne i puste i, według Dory, przera aj ce przez swój brak uczu . – Nie musiałem zabija Specka. Mo na go było obezwładni , ale nie chciałem o tym wiedzie . Doprowadziłem sytuacj do punktu, w którym jeden z nas musiał zgin . Tak wyszło, e padło na niego. Dostałem za niego pieprzon pochwał , mimo e mogłem go wzi bez jednego strzału. Gdybym miał to zrobi jeszcze raz, zrobiłbym dokładnie tak samo.

– Wybrałe – powiedziała ostro nie. – Wi kszo ludzi uznaloby chyba, e wła ciwie; twoi zwierzchnicy na pewno tak my leli.

Niecierpliwo a biła od niego.

– Tylko to si licz. Wykorzystałem odznak , eby si zem ci . Nie dla prawa, nie dla sprawiedliwo ci. Dla siebie.

– Ludzka słabo – mrukn ła. – Zało si , e miałe od cholery czasu, eby przyzna , e nie jeste doskonały. A skoro to przyznałe , b dziesz prawdopodobnie jeszcze lepszym policjantem, kiedy znów przyjmiesz odznak .

Zacisn ł chwyt i przyci gn ł j odrobin ku sobie. Kiedy uniosła twarz, zwolnił u cisk, ale nadal j trzymał.

– Po co to robisz?

W odpowiedzi, najprostszej z mo liwych, zanurzyła dło w jego włosach i przyci gn ła jego usta do swoich. W tym pocałunku czuła jego niecierpliwo , ale tak e co jeszcze, co bli niaczo podobnego. Tym czym była dza, gł boka i ludzka.

– Dlatego – powiedziała po chwili. – I chyba musimy przyznać, że wbrew temu, co zawsze uważałam za swój zdrowy rozsądek, mnie również na tobie zależy. – Otworzyła usta i zamknęła je. – Poczuj się za to odpowiedzialny, Skimmerhorn.

Odwróciła się, podeszła do samochodu i wyciągnęła jego kluczyki.

– Ja prowadzę.

Zaczekał, aż zamknęła drzwiczki i usiadła za kierownicą.

– Conroy?

– Tak.

– Mnie też.

Uśmiechnęła się, zapalając silnik.

– To dobrze. Wiesz co, Skimmerhorn? Zróbmy sobie przejażdżkę.

ROZDZIAŁ PI TNASTY

Dom Finleya wyglądał jak muzeum jego ambicji, małych i wielkich. Zbudowany dla reżysera filmów akcji, którego zamiłowaniem było wyszukiwanie konstrukcji wkrótce przewyższających możliwości, wznosił się wysoko na wzgórzach ponad Los Angeles.

Finley kupił go, kiedy na rynku zapanował mroźny okres, i natychmiast wzbogacił go bardziej skomplikowanym systemem alarmowym, krytym basenem w rodzaju na wypadek, gdyby zdarzył się jeden z rzadkich tutaj deszczowych dni, i wysokim kamiennym murem, który otoczył cały teren niczym palisadą wokół zamku.

Finley był podglądaczem, ale nie znośił, kiedy to jego podglądano.

W wieży na trzecim piętrze urządził od nowa wielką salę projekcyjną, uzupełniając jej wyposażenie zestawem

telewizyjnych monitorów i teleskopem o wysokiej mocy. Szerokie, składane krzesła znikły. Na ich miejsce Finley wstawił wielki kanap z kasztanowego aksamitu. Spędził tu wiele czasu, obserwując filmy wideo z sobą w roli głównej, migając na ekranie.

Oczywiście wynajął dekoratorów wnętrz. Zanim w ciągu pół roku zdołał umeblować ten dom ku swojej satysfakcji, zmienił trzy agencje.

Ciany wszystkich pokoi były białe. Niektóre malowane, niektóre powleczone lakierem, inne pokryte tapetą, ale wszystkie w czystej, dziewiczej bieli, tak jak dywan, kafelki, bielone drewno podłogi.

Kolor wносиły tu tylko jego skarby – figurynki, rzeźby, drobiazgi, które zbierał latami.

Pokój za pokojem ciągnęły się kilometry szkła: w oknach, lustrach, szafach, kredensach, i hektary jedwabiu w zasłonach, obiciach, poduszkach, tkaninach na ścianach.

Kały dywan, kała półka, kała nisza kryła jakieś dzieło sztuki, którego nigdy nie posiadał. Kiedy zaczynało go nudzić, a tak działo się zawsze po pewnym czasie, prznosił je na mniej wyeksponowane miejsce i zaczynał się oglądać za czym innym.

Nigdy nie czuł zadowolenia.

W jego szafie wisiały trzy rodzaje garniturów. Wełna i jedwab, len i gabardyna. Wszystkie tradycyjnie skrojone, wszystkie w ciemnych kolorach: granat, czarny, szary i kilka bardziej frywolnych jasnych bluzonów. Adnych swobodnych strojów, adnych sportowych kurtek, adnych koszulek z małymi wizerunkami graczy w polo, umiejscowionymi na piersi.

Pięćdziesiąt par czarnych skórzanych butów, wyglansowanych do połysku, czekało na niego na szklanych półkach.

Była tu ta samotna para butów Nike, pasująca do jego sportowego stroju. Jego lokaj miał obowiązek zmieniać je co dwa tygodnie i zastępować nowymi, nieskazitelnie białymi parami.

Jego krawaty wisiały w idealnym porządku, ułożone według kolorów: czarne przed szarymi, szare przed białymi i kitnymi.

Stroje oficjalne spoczywały w przepięknej rokokowej komodzie.

W białej niarce piętrzyły się stosy schludnie złożonych wykrochmalonych koszul z monogramami na mankietach, czarnych skarpetek, białych jedwabnych bokserskich spodenek i chusteczek do nosa z irlandzkiego płótna. Wszystkie lekko przesycone były zapachem lawendy w saszetkach, które jego gospodyni zmieniała co tydzień. Prywatne pokoje pana domu obejmowały garderobę o dwóch ścianach od podłogi do sufitu pokrytych lustrami. Był tu mały barek, na wypadek gdyby dandy entelmen poczuł pragnienie, przygotujcie się do wieczornego wyjścia. Stało tu krzesło z wygodnym oparciem, a obok – połączona konsolka z lampą od Tiffany’ego, je liby zechciał usiąść i przyglądać się wybranemu strojowi.

Po prawej stronie garderoby znajdowała się sypialnia. Obrazy Pissarra, Morisot i Maneta obramowane białymi ścianami, każda z osobnym oświetleniem. Meble były szczerze zdobione, poczynając od biurka w stylu Ludwika XVI, poprzez nocny stolik na kołach, a kończąc na sofie, strzeżonej przez weneckie kandelabry w kształcie murzynków. Trio kandelabrow Waterforda rzucało na to wszystko światło z góry.

Ale jego dumą i radością było łóżko. Olbrzymie, zaprojektowane w szesnastym wieku przez Vredemana de Vries. Składało się z czterech słupów podtrzymujących baldachim i miało dwa wezgielowa, wykonane z dębu, rzeźbione i zdobione wizerunkami główek cherubinów, kwiatów i owoców.

Próbowo kusila go, by na baldachimie zamontowało lustro, ale wiadomo stracił, jakie pocignaloby to za siebie, kazala mu zrezygnować z tego pomyslu.

Zamiast tego byla tu kamera, dyskretnie ukryta w rzeźbionej belce sufitu, celujaca dokladnie w loko. Sterowalo si ni pilotem, ukrytym w gornej szufladzie nocnej szafki. Zatrzymal si i wlcyl monitor.

W kuchni przygotowywano obiad, sałatkę z białą, którą sobie zamówił. Obserwował kucharza i jego pomocnicę, pracujących w słonecznym, pełnym białej i nierdzewnej stali pomieszczeniu.

Przełczył podgląd na salon. Przyjrzał się, jak DiCarlo popija drinka z limonką, jak grzechocze kostkami lodu w szklance, poprawia krawat.

Dobrze. Był niespokojny. Nadmiernie pewno siebie zawsze budziła w Finleyu niesmak. Najważniejsza jest skuteczność. Zbyt pewno siebie jest przyczyną błędów. Chyba trzeba przestać się już znaczyć nad tym biednym chłopcem. W końcu przyniósł mu jego skarby na dwa dni przed terminem.

Inicjatywa to jest coś. Może jednak nie powinien złamać temu chłopcu ręki.

* * *

DiCarlo jeszcze raz poprawił krawat. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś go obserwuje. Owładnięty tym uczuciem przyglądał włosy, strzepnął marynarkę, poprawił spodnie.

Pociągnął kolejny łyk i rozemniał się do siebie. Każdego by się tu tak czuł, pomyślał, w tym pokoju z setkami posągów i obrazów. Te wszystkie oczy. Malowane, szklane, marmurowe. Nie miał pojęcia, jak Finley to znosił.

Musi mieć całą armię służących, którzy odkurzają mu to gównem, pomyślał DiCarlo. Odstawił szklankę, wstał i zaczął spacerować po pokoju. Zbyt dobrze znał Finleya, żeby dotykać przedmiotów. Wiedział, jakim był fanatykiem na punkcie swoich zdobyczy, więc trzymał ręce przy sobie.

To dobry znak, uznał, że Finley zaprosił go do domu, a nie do biura. Dzięki temu spotkanie stawało się bardziej przyjazne, bardziej osobiste. Głos Finleya w telefonie wydał się mu przyjemny i zadowolony.

Jeśli wykaże wystarczającą odwagę, pomyślał DiCarlo, chyba uda mu się jako wybroni z tego brakującego obrazu,

przekona Finleya, że to jedynie kwestia czasu. Koniec ko ców, DiCarlo uznał z całą pewnością, że rozstanie się w przyjeździe i wróci do hotelu Beverly Hills, w którym znajdzie jakichś kobiet, skłonnym razem z nim powita Nowy Rok.

A jutro, pomyślał z uśmiechem, Meksyk.

– Panie DiCarlo, mam nadzieję, że nie kazałem panu czeka zbyt długo.

– Nie, proszę pana. Podziwiałem pański dom.

– Ach – Finley podszedł do barku pokrytego czarnym japońskim lakierem. – Bardzo mi się podoba. – Będę musiał pana oprowadzić po obiedzie. Może trochę czerwonego wina? – podniósł wiktoriański dzbanek w kształcie kakadu. – Mam wspaniałe chateau latour.

– Dziękuję – DiCarlo zaczął czuć się pewniej.

– Ojej – Finley uniósł brew i pozwolił sobie na dostrzeżenie siniaków na twarzy DiCarlo. – Czy by zdarzył się jakiś wypadek?

– Tak – DiCarlo dotknął obanda owanego karku. Wspomnienie wpijających się w niego zębów Dory znowu stanęło mu przed oczami. – Nic poważnego.

– Miło mi to usłyszeć. Szkoda by było, gdyby zostały blizny – odstawił dzbanek. – Mam nadzieję, że ta podróż w niczym nie zakłóciła pańskich planów spędzenia w tym. Spodziewałem się pana dopiero za dziekana lub dwa.

– Chciałem podzielić się z panem rezultatami mojej misji tak szybko, jak tylko było to możliwe.

– Lubię odpowiedzialnych ludzi, panie DiCarlo. Na zdrowie – zadowolony, stuknął kieliszkiem w kielich DiCarlo. Uśmiechnął się na wielokrotnie echem dźwiękami otwieranych drzwi w korytarzu. – To pewnie pan Winesap. Przyjdzie, żeby obejrzeć przedmioty. Jak pan wie, pan Winesap jest znakomity, jeśli chodzi o te jego listy. A teraz, mam nadzieję, że wybaczy mi obawę, ale nie mogę dłużej powstrzymać swojej cierpliwości – powiedział, widząc wchodzącego Winesapa. – Muszę zobaczyć moje skarby. Zdaje się, że zanieśono je do biblioteki – zrobił gest w kierunku drzwi. – Panowie...

Korytarz było ony był białym marmurem i tak przestronny, a mimo skrzyni i wieszaka mogłyby się w nim znaleźć trzy osoby.

W bibliotece unosił się zapach skóry, cytryny i ró. Ró e uło one były w dwóch wysokich wazonach z drezde skiej porcelany, stoj cych na kominku.

Były tu setki, mo e tysie ce ksi ek zgromadzonych w dwupoziomowym pokoju, nie tylko na półkach, ale również w skrzyniach i szafkach otwartych i za szkłem.

Stała tu urocza obracana biblioteczka z czasów regencji, a tak e model edwardia ski, który Finley kazał ukra z zamku w Devon.

Chciał, eby w pomieszczeniu panował nastrój biblioteki wiejskiej rezydencji – i udało się mu to z powodzeniem, kiedy umie cił tu gł bokie skórzane fotele, kolekcj zabytkowych fajek, a na cianie kazał zawiesić obraz Gainsborougha przedstawiaj cy polowanie.

A za iluzorycznym malowidłem na cianie biblioteczki, zgodnie z przytulnym charakterem wnętrza, kryły się wszechobecne monitory.

– I mo emy zaczyna . – Finley wkroczył spr ystym krokiem do biblioteki i wzi ł do r ki podpórk do ksi ki w kształcie syreny.

Lokaj, tak jak mu polecono, przyniósł mały młotek, nó i du y kosz na mieci.

Finley ujął młotek i jednym uderzeniem pozbawił głowy biał kitnook syrenk .

– Nie trzeba się z tym spieszyć – powiedział mi kko i dalej delikatnie odłupywał kawałki taniego gipsu.

– Wyprodukowano w Tajwanie – pouczył swoich gości. – W małej, bardzo zapracowanej fabryczce, którą się zainteresowałem. Zazwyczaj wysyłamy nasze produkty do Ameryki Południowej i Północnej i uzyskujemy sympatyczny, choć nieciekawy, zysk. Ale te mo emy nazwa jedynymi w swoim rodzaju. Niektóre z nich są doskonałymi reprodukcjami cennych dzieł sztuki, tak idealnymi, e mogłyby wprowadzić w błąd nawet znawc .

Wyj ła mały plastikowy sze cian, odrzucaj c reszt syrenki i przebił no em opakowanie. Wewn trz znajdowało si irchowe zawini tko, a w nim – małe, bardzo stare netsuke.

Przygl dał si mu przez chwil z rozkosz . Kobieta na czworakach, kl cz ca przed brzuchatym m czynn , władczo trzymaj cym j za piersi. Jej główka z ko ci słoniowej obracała si lekko, jakby chciała zobaczy jego twarz, kiedy wejdzie w ni od tyłu.

– Cudowne, cudowne – odstawił netsuke i ostro nie rozbił nast pn podpórk .

Kolejny eksponat kontynuował temat; kobieta kl czała u stóp m czynny, pochylała z u miechem głow i zaciskała palce na jego wzniesionym penisie.

– Co za mistrzostwo – głos Finleya dr ał z emocji. – Ponad dwa tysi ce lat i adnej technologii, która byłaby tu pomoc . Japo czycy rozumiej i ceni rol erotyki w sztuce, podczas gdy Europejczycy zasłaniaj swoje przyrodzenia i udaj , e dzieci rodz si w główkach kapusty.

Wzi ła nó i wypatroszył papug .

– I prosz – powiedział, otwieraj c aksamitny woreczek.. – O, i prosz – przeszył go najl ejszy z dreszczy, gdy szafirowa brosza spadła wprost w jego nadstawion dło .

Była wykonana ze złotego filigranu, inkrustowanego brylantami, a sam klejnot, wa cy ponad osiem karatów, miał gł boki bł kit bławatka, był szlifowany w fasety i pełen majestatu.

– Nosila j Maria, królowa Szkotów – Finley pogładził kamie i metal, obrócił go, by móc podziwia jego tył – kiedy knuła intrygi i swoje potajemne romanse. Oto cz łupu, który przypadł dobrej królowej El uni, kiedy kazała straci swoj liczn kuzynk .

Niemal czuł zapach krwi i zdrady, bij cy od klejnotów. Ten zapach podobał mu si .

– Och, ile kłopotów i wydatków kosztowało mnie zdobycie tego drobiazgu. Trzeba b dzie przydzielili mu honorowe miejsce – oznajmił i ostro nie odło ył brosz .

Niczym rozpieszczone dziecko, otwieraj ce gwiazdkowe prezenty, chciał wi cej.

Grawerowana waza Gallé, kryj ca si w Statui Wolno ci, przej ła go dreszczem. W ułamku chwili zapomniał o swoich go ciach i zacz ł rozpływa si nad ni , gładz c jej smukłe cianki w podziwie nad małymi kobiecymi postaciami zdobi cymi szkło Art Nouveau.

W jego oczach pojawiły si łyzy, sprawiaj c, e zakłopotany Winesap odwrócił wzrok.

Z wydr onej podstawki orła z br zu Finley wy dostał owini te pudełeczko. Kiedy je rozwijał, lina zacz ła zbiera si mu w ustach. Pudełko wykonane było z gładkiego palisandru, miło nie naoliwionego i wypolerowanego. Ale jego wieczko było małym klejnotem, mikroskopijn mozaik , wykonan w Rosji dla Katarzyny Wielkiej, by mo e przez jej sprytnego kochanka Orłowa, kiedy ju zamordował m a Katarzyny i wyniósł j na tron.

Znowu krew, pomy łał Finley. Znowu zdrada.

Na szkle widniał podpisany przez artyst cudownie delikatny wizerunek carskiego pałacu.

– Widzieli cie kiedy co równie znakomitego? Duma carów, cesarzy i królów. Niegdy stało za szkłem w muzeum, eby mogły je ogl da te niedomyte jołopy, tury ci. A teraz jest moje. Tylko moje.

– Ładniutkie, jasne – DiCarlo nie chciał przerywa , ale nadszedł czas, by wykona ruch. – Zna si pan na sztuce, panie Finley. Co za przyjemno posiada co bezcennego, skoro ka dy głupi mo e wej wprost z ulicy i obejrze to?

– Dokładnie, dokładnie. Prawdziwe dzieło sztuki musi mie wła ciciela, musi by w kolekcji. Muzea kupuj je dla potomno ci. Bezdušní bogacze, aby stały si lokat pieni dzy. Obydwa przypadki s dla mnie odpychaj ce – jego oczy były

teraz bardzo zielone, bardzo jasne i odrobin szalone. – Posiadanie, panie DiCarlo, jest wszystkim.

– Tu pana rozumiem i cieszę się, że odegrałem pewną rolę w dostarczeniu panu pańskich przedmiotów. Oczywiście, napotkałem pewne trudności...

– Jestem tego pewny – Finley przerwał mu, zanim zdążył zepsuć nastrój. – Ale musimy z tym skończyć, zanim zaczniemy roztrząsać pańskie ciękie przeżycia i burzliwe przygody.

Uderzył młotkiem psa, rozbijając jego brzuch. Pies urodził złotego kota.

– Jest bardzo solidny – wyjął Finley, rozwijając grube spowicie. Oczywiście, to wspaniałe dzieło sztuki, ale jest jeszcze cenniejsze ze względu na swoją historię. Podobno jest to prezent Cezara dla Kleopatry. Teraz nie sposób udowodnić, że to prawda, choć jego wiek na to wskazuje. Ale już sama ta historia mi wystarcza – powiedział miłoko, miło nie. – Wystarcza w zupełności.

Rzeczywiście słyszę mu z podniecenia, kiedy odstawił figurki.

– A teraz obraz.

– Ja, eee... – nadszedł odpowiedni moment, by mu to powiedzieć. – Z obrazem miałem drobny problem, panie Finley.

– Problem? – Finley nie przestał się uśmiechać. Przebiegł wzrokiem pokój i nie zobaczył ani śladu po ostatnim nalecym do niego przedmiocie. – Chyba nie wspominał pan o żadnych kłopotach, panie DiCarlo.

– Chciałem oddać panu te przedmioty bez chwili zwłoki. Te eksponaty przedstawiają sobie mnóstwo pańskiego czasu i pieniędzy, a wiem, że chciał je pan dostać najszybciej, jak to jest możliwe.

– Teraz rozmawiamy o obrazie – i teraz tylko obraz liczył się dla Finleya, Kleopatra, Katarzyna i Maria Stuart odeszły w zapomnienie. – Nie widzę go tutaj. Może po prostu wzrok mnie zawodzi. Może to optyczne złudzenie.

Sarkazm wywołał na policzkach DiCarla gorący rumieniec.

– Nie zdołałem przywieźć go teraz ze sobą, proszę pana. Jak próbowałem powiedzieć, napotkałem pewien problem.

– Problem – nadal się u niego miechał, bardzo miło, mimo i kwas w jego ośrodku zaczynał wrzeć. – Jakiej natury?

DiCarlo, czując się ośmieszony, usiadł znowu. Krótko opowiedział o swoich włamaniach, przypominając Finleyowi, że pierwsze z nich zaowocowało odzyskaniem porcelanowego psa. Poszukiwanie obrazu przedstawił w sposób podkreślający, jak wiele ryzykował.

– Z pewnością się zgodzi się pan – zakończył, jakby podsumowując spotkanie w interesach – że mój powrót do Filadelfii byłby ryzykowny dla nas wszystkich. Znam pewnego człowieka, którego mogę skierować do tej sprawy, oczywiście na własny koszt. Ponieważ odzyskał pan sześć z siedmiu przedmiotów, sądzę, i okaże się pan cierpliwie. Uważam, że z całą pewnością obraz wróci do pana w ciągu, powiedzmy, sześciu tygodni.

– Sześć tygodni – Finley skinął głową, stukając palcem w usta. – Powiedział pan, że zastrzelił policjanta.

– To było konieczne. Obserwowałem budynek.

– Mmm. A na jakiej podstawie pan tak wnioskuje?

– Nie mam pewności. – DiCarlo przechylił się ku niemu. Szczerze była od niego. – Nie zostawiłem absolutnie adnego śladu włamania. Podśledzałem kłótnię między Conroy a jej lokatorem. Był agresywny. Może dlatego poprosiła o ochronę policji.

– Ciekawe, że nie wyeksmitowała go po prostu – skomentował Finley bardzo, bardzo miłym głosem. – Powiedział pan, że to ten lokator uszkodził pańską twarz.

DiCarlo zesztywniał w uraźliwej ciszy.

– To była pewnie kłótnia kochanków. Zdaje się, że dostaje od niej wiązki na dach nad głową.

– Naprawdę? – Finley pominął milczeniem grubiaństwo tej uwagi. – Pomówimy o tym później, panie DiCarlo. Może po obiedzie.

– Jasne – DiCarlo rozparł się z ulgą na krześle. – Wprowadź pana we wszystkie szczegóły.

– Doskonale. Co powiecie na obiad, panowie?

W wiktoriańskiej jadalni z widokiem na tonię w słońcu ogród podano im wymienitą sałatkę z białą i schłodzone pouilly–fumé. W czasie obiadu Finley dbał o to, by rozmowa nie zeszła na tematy zawodowe. Odbierały mu przyjemność smakowania potraw, wyjął DiCarlo. Przez całą godzinę grał rolę jowialnego gospodarza, osobiście napełniając szklanki kieliszek DiCarla.

Kiedy ostatnia kropla wina i ostatni okruszek biszkoptów w winie z kremem odeszły w zapomnienie, Finley wstał od stołu.

– Zechcesz nam wybaczyć, Ablu, ale ku mojemu strapieniu pan DiCarlo i ja musimy wrócić do interesów. Może wybierzemy się na obchód moich włości, przez ogród? – zwrócił się do DiCarla.

DiCarlo, przyjemnie oszołomiony winem, ciękim jedzeniem i sukcesem, poklepał się po brzuchu.

– Po posiłku przyda mi się spacer.

– Dobrze, dobrze, jestem gorącym zwolennikiem wycieczek fizycznych. Będzie pan wdzięczny za dotrzymanie mi towarzystwa. Nie zabawimy zbyt długo, Ablu.

Finley poprowadził DiCarla przez solarium ozdobione palmami w doniczkach i fontannami z pozytywkami, a potem przez drzwi atrium do ogrodu.

– Chciałbym panu powiedzieć, jak bardzo pana podziwiam, panie Finley – zaczął DiCarlo. – Zarządza pan swoją firmę, prowadzi pan taki dom. Umie pan doskonale dbać o swoje sprawy.

– Chciałbym, żeby tak było – pod butami Finleya chrząkało cicho biały wir ogrodowej cieki.

– Zna się pan na kwiatkach, panie DiCarlo?

– Tylko na tych, na które można poderwać kobiety.

Finley rozejmiał się z aprobatą i poprowadził go przez ogród, na końcu którego zatrzymał się, podziwiając widoki. Spojrzał na

rozpocierajcie się pod nim niekiedy Los Angeles, wciagnęli w płuca otaczające go wonie. Kwiaty – wczesne róże, ja min. Zapach wie o podlanego nawozu i skoszonoj trawy.

– Co pan zamierza, panie DiCarlo? – zapytał zniechęca Finley.

– Co? A... to proste. Przydziel do tego zadania mojego człowieka. Zajmie się to Conroy. Prosz mi wierzyć, jak się do niej dobierze, wywiezie mu wszystko. – Zaciśnięli na chwilę usta, zrozumiał, że ominie go przyjemność wyduszenia z niej informacji o obrazie. – Jak powiedziałem, zapewne zaczeka przez tydzień czy dwa, dopóki nie ucichnie hałas. Ale dopadnie jej i tak długo będzie nad nią pracować, a powie mu, gdzie jest obraz.

– A wtedy...

– Zlikwiduje ją, proszę się nie obawiać – DiCarlo uśmiechnął się krótko, jak zawodowiec do zawodowca. – Nie będzie żadnych niedoróbek.

– Ach tak, niedoróbek. Są bardzo niekorzystne. A pan?

– Co do mnie, planowałem spędzić kilka miesięcy w Meksyku. Niestety, widzieli mnie. Było ciemno, to prawda, ale wolę nie ryzykować. Jeśli mnie zidentyfikują, ja będę już za granicą.

– Bardzo mądre, bez wątpienia – Finley pochylił się nad krzakiem róży, powąchał delikatnie bladorożowy pyłek, dopiero zaczynające rozchyłać się subtelne płatki. – Wydaje mi się, panie DiCarlo, że jeśli pana zidentyfikują, mogą również trafić na mój ład, aczkolwiek niezbyt wyraźny.

– Absolutnie nie. Nie ma takiej możliwości. Prosz się spokojnie, nigdy nie skojarzę kogoś takiego jak pan z kilkoma włamaniami do sklepu ze starzyzną w Filadelfii.

– Niedoróbki – westchnął Finley. Kiedy wyprostował się, trzymał w dłoni rewolwer z ręków ci wykładanych mas perłowych. Nadal uśmiechał się słodko i ujmująco. – Najlepiej się ich pozbyć.

Wystrzelił, mierząc prosto w brzuch DiCarlo. Huk odbił się echem ponad wzgórzami i spłoszył ptaki, które wzbiły się w niebo z krzykiem.

Oczy DiCarla rozszerzyły się z zaskoczenia, potem zaszkliły się bólem. Niewiarygodnie palił cym bólem. Spojrzał tu po na swój brzuch, przyciskając dłoń do powiększej się plamy na koszuli, a wreszcie nogi ugięły się pod nim.

– Zawiódł mnie pan, panie DiCarlo – Finley nie podniósł głosu, ale pochylił się, by jak de jego słowo było dokładnie słyszane. – Wziął mnie pan za głupca? Tak się pan ceni, jeśli dziękuję panu, i przyjmuję do wiadomości pańskie ałosne wymówki i błądzący panu szerokiej drogi?

Wyprostował się i kopnął w ciele DiCarla widać czego się walczyło na ziemi.

– To pańska wina – wrzasnął i kopnął go jeszcze raz, i jeszcze, przekrzykując jęki DiCarla, błagając czegoś o litość. – Chcę mieć mój obraz. Chcę tego, co do mnie należy. To przez pana go nie mam.

Linia spłynęła z ust Finleya, kiedy strzelił w kolano DiCarla: najpierw w lewe, potem w prawe. Przenikliwy wrzask bólu DiCarla przeszedł w zwierzęce skomlenie.

– Zabiłbym pana szybko, gdyby nie ubliżył pan mojej inteligencji. Teraz czekaj pana godziny umierania. A to i tak za mało.

Musiał zmusić się, by schować rewolwer do kieszeni. Wyjął chusteczkę i delikatnie osuszył nią czoło.

– Za mało – powtórzył. Znowu pochylił się, zbliżając twarz do twarzy DiCarla. – Wydałem panu rozkazy. Zapomniał pan, kto tu rządzi?

– Proszę – jęknął DiCarlo, zbyt wstrząśnięty, by zrozumieć, że jego błagania padają w pustkę. – Pomóż mi. Proszę.

Finley umieścił chusteczkę w kieszeni na piersi.

– Dałem panu mnóstwo czasu, więc nie trzeba, żeby odkupił winę. Nawet rozważałem, czy nie udzielił panu

rozgrzeszenia. Potrafi okazać wspinałomy Ino , ale pan, pan mnie zawiódł. A to, panie DiCarlo, jest nie do wybaczenia.

Wyprostował się, wci dygocząc z w cieńko ci. Teraz b dzie musiał spędzić na medytacjach co najmniej godzin , zanim zdoła doprowadzić się do stanu, w którym b dzie mógł się pokazać na wieczornym przyjęciu.

Pomyłka, pomyłka. Nieodpowiedzialny pracownik. Otrzeptał r kawę i ruszył z powrotem do solarium. Tego nie może na tolerować .

– Proszę pana – Winesap wliźnił się do pokoju, splatając niespokojnie ręce. Słyszał strzały i z olbrzymim niepokojem oczekiwał tego, co teraz nastąpi.

– Pozbądź się pana DiCarla. Ramiona Winesapa opadły bezwładnie.

– Oczywiście, proszę pana. Natychmiast.

– Nie – Finley wyjął grzebień z prawdziwego szylkretu i przeczesał wzburzone wiatrem włosy. – Najpierw niech się wykrwawi na śmierć .

Winesap spojrział przez szybkię w kierunku miejsca, gdzie leżał DiCarlo, skomląc do nieba.

– Mam tu zaczekać ?

– Oczywiście, jak inaczej zorientujesz się, że umarł? – Finley schował z westchnieniem grzebień . – Zdaj sobie sprawę, że jutro jest witać Abulę, i nigdy nie omyliłbym się ingerując w twoje plany. Dlatego proszę, aby następnego dnia skupił uwagę na zebraniu wszystkich dostępnych informacji o tej Isadorze Conroy z Filadelfii. – Powciągnął swój dół i zmarszczył nos, czując zapach prochu. – Niestety, zdaje się, że sam b d musiał się tym zająć .

ROZDZIAŁ SZESNASTY

— **S**zcz liwego Nowego Roku!
U drzwi westybulu Liberty Theater łysy, wysoki jak grochowa tyka, m czyzna w czerwonym skórzanym kombinezonie, nabijanym srebrnymi gwiazdkami, powitał wchodz tego Jeda. Ten, zaskoczony, nagle zorientował si , e został pochwycony w nied wiedzy u cisk i e m czyzna klepie go serdecznie po plecach.

Jego nowy przyjaciel pachniał mocno winem i wod toaletow „Giorgio for men”.

— Nazywam si Indygo.

Poniewa cera m czyzny była zbli ona do tego koloru, Jed skin ł głow .

— Widz .

— Cudowna zabawa – Indygo wyj ł cienkiego czarnego papierosa, osadził go w złotej cygarniczkce i upozował si z jedn r k na w skim biodrze. – Orkiestra gra z biglem, szampan jest zimny, a kobiety... – jego brwi zadrgały figlarnie – ...ile chce .

— Dzi ki za informacj .

Jed zacz ł si powoli wycofywa , ale Indygo okazał si by jedn z tych przyjacielskich osób i otoczył jego barki ramieniem.

— Mo e chcesz, eby ci komu przedstawi ? Znam tu wszystkich.

— Mnie nie znasz.

— Ale strasznie chc ci pozna – poprowadził Jeda przez tłum, znajduj cy si w westybulu do miejsca, w którym dwaj sprawni kelnerzy rozdzielali drinki. – Niech zgadn – odst pił o pół kroku, przechylił głow i zaci gn ł si europejskim papierosem – jeste tancerzem.

— Nie.

— Nie? – ruchliwa twarz Indygo zmarszczyła si z namysłem.
— A powiniene , z takim ciałem... Gene Kelly miał wspaniał ,

atletyczn budow . Szampana! – skin ł swoim papierosem w kierunku kelnera. – I drugiego dla mojego przyjaciela.

– Szkock – poprawił go Jed – z lodem.

– Szkocka z lodem? – migdałowe oczy Indygo rozszerzyły si . – Oczywiście. Powinienem od razu zgadn . Aktor, naturalnie dramatyczny, z Nowego Jorku.

Jed wzi ł swojego drinka i wrzucił dolara do słoja na napiwki. Czasami, pomy lał, lepiej pój na współprac .

– Tak, jestem wła nie mi dzy rolami – powiedział i umkn ł razem ze swoim drinkiem.

Westybul Liberty Theater został zaprojektowany w gotyckim stylu, z mnóstwem ozdobnych plastronów, zawijasków i gargulców, wie cz cych złożone gzymsy. Ponad drzwiami, wiod cymi do wła ciwego teatru, wisiały br zowe maski Komedii i Tragedii.

Dzi całe pomieszczenie pełne było osób, które co do jednej, jak si wydawało, były zdecydowane, by przekrzycze wszystkie pozostałe. Wokoło unosiły si zapachy perfum i dymu, a tak e popcornu, który wesoło podskakiwał w maszynie stoj cej za barkiem.

Dora mogłaby powiedzie Jedowi, e był to po prostu zapach teatru.

Tłumy go ci ci gle przesuwaly si po sali, a ich elegancja wahała si od białych krawatów po podarte levisy. Trzy osoby w czarnych golfach siedziały w k cie na podłodze i gło no czytały wiersze Emily Dickinson. Przez otwarte drzwi słyca było zespół katuj cy wersj „Brown sugar” Rolling Stonesów.

Bal zimowy, pomy lał Jed, to to raczej nie jest.

Wszystkie wiatła płon ły. Widział ludzi stłoczonych mi dzy rz dami, ta cz cych lub stoj cych, rozmawiaj cych i jedz cych, podczas gdy zespół na scenie młócił rocka.

W lo ach, w kanale pod scen i na drugim balkonie usadowili si inni uczestnicy przyj cia, pokonuj cy hałas dzi ki wspaniałej akustyce Liberty Theater.

Instynkt kazał Jedowi pomyśleć przez jedną strasznie chwilę o maksymalnym zagroźczeniu lokalu i zasadach przeciwpożarowych, zanim postanowił poszukać Dory w tym zbiorowisku, które wydawało się całą populacją Pensylwanii.

Kontakty z ludźmi nigdy nie były jego mocną stroną. Zbyt wiele razy wymuszano na nim udział w przyjęciach, kiedy był dzieckiem, przeżył zbyt wiele upokarzających publicznych kłótni swoich rodziców. Wolałby spędzić cichy wieczór w domu, ale skoro już przywlokł się na to przyjęcie, mogłaby przynajmniej mu się pokazać.

Gdyby nie wybrała się tu tak wcześnie, tłumaczyciel, a nie bledzie zapewne potrzebna przy urządzaniu sali i trzymaniu matki z dala od dostawców dań, przyszedłby razem z nią i miał na nią oko.

Nie podobało mu się to, że jest sama, skoro facet, który na niego napadł, nadal przebywał na wolności. Choć trudno było przebywanie w ród tyłu osób nazwać „byciem samemu”, i tak się o niego niepokoił. W przeciwnym razie nie byłoby go tutaj.

Dwa przyjęcia w ciągu jednego tygodnia. Jednocześnie był gościem szkockiej i zaczął przepychać się w stronę frontu teatru. To było jego roczna norma.

Przecisnął się między dwiema kobietami, został obdarowany błyszczącymi papierowymi czapeczkami, której przyjęcia odmówił i przeżył chwilę zwłóknienia, kiedy to zachciało mu się przebić przez tłum do wyjścia i uciec.

I wtedy ją zobaczył. Nie wiedział, jak mógł jej dotrzeć dostrzec. Siedziała na samym środku sceny, w dziwnym jazgocie, i prowadziła poufne rozmowy z dwiema kobietami.

Co zrobiła z włosami, zauważył Jed. Zebrała je na czubku głowy w platanach ciemnych, dzikich loków, które wydawały się niemal wymykać spod kontroli. I oczy, pomysł, przyglądając się jej, jak chwyciła dłoń jednej ze swoich towarzyszek i rozebrała ją. Umalowała je tak, że wydawały się wiązki, gładkie, płomienne jak oczy Cyganki. Jej usta, z uśmiechem wypowiadające słowa, których nie słyszał, były jaskrawo, wyzywająco czerwone.

Miała na sobie czarno – srebrny kombinezon z wysokim kołnierzem, długimi rękawami i nogawkami, które przylegały jej do nóg jak druga skóra i powinny być prawnie zabronione. Srebrne paciorki, rozproszone po całym kombinezonie migotały przy jej każdym ruchu niczym małe błyskawice.

Wiedziała, że tak będzie, pomyślała. Mogła odejść z teatru, ale nadal wiedziała, jak wykorzystać światło reflektorów.

Chciał jej dotykać. Ta myśl i towarzysząca jej fala podania przez chwilę zupełnie go obezwładniła.

Odstawił swój szklankę na poręcz krzesła i zaczął przedzierać się przez tłum.

– Ale on i tak posługuje się w swojej grze metodą Stanisławskiego – powiedziała Dora z uśmiechem. – Kiedy ma reklamować ten produkt, będzie usiłował złapać grypa. Chciałabym wiedzieć, co się stało, kiedy...przerwała, czując, że ktoś bierze ją pod pachy i zdejmuje ją ze sceny.

Przez chwilę mignęła jej przed oczami twarz Jeda, potem jego usta opadły na jej wargi. Gwałtowna, zgłodniała, dzika dziewczyna podniosła w niej głowę, przepływała z ołdka do piersi; kiedy ją puścił, serce waliło jej jak oszalałe.

– O, cześć – zachwiała się i dla utrzymania równowagi chwyciła go za ramię. W szpilkach mogła mu spojrzeć niemal prosto w oczy. Ogień w jego spojrzeniu sprawił, że jej tętno zaczęło skakać w rytmie muzyki. Fajnie, że przyszedł. Ja... eee... to jest...

Spojrzała na swoje kolczyki i jakoś straciła w tek.

– Proszę nam wybaczyć – Jed pociągnął ją w stronę pierwszego napotkanego zakrętu. Nie mógłby nazwać go spokojnym, ale przynajmniej nie musieli do siebie krzyczyć. – Co to ma być za ubranie?

– To? – zerknęła na iskrzący się kombinezon i spojrzała mu w oczy. – Seksowne. Podoba ci się?

– Powiem natychmiast, jak wróci mi oddech.

– W ogóle nie jesteś rozmowny, Skimmerhorn. Chcesz drinka, może coś do jedzenia?

– Ju piłem. Przy drzwiach spotkał mnie dwumetrowy Murzyn w czerwonej skórze. U ciskał mnie.

– Indygo – w jej oczach zabłyśły iskierki. – Jest bardzo towarzyski.

– Uznał mnie za bezrobotnego aktora z Nowego Jorku.

Dotkn ł na prób jednego z jej loków, zastanawiaj c si , co by si stało, gdyby pozwolił im si rozsypa po ramionach.

– Indygo jest troszk oryginalny, ale to znakomity re yser i ma bardzo dobre oko. Dobrze, e nie powiedziało mu, e jeste gliniarzem – uj ła dło Jeda i zaprowadziła go za kulisy, gdzie znale li kolejny bar i bufet. – Nie przepada za policj .

– Nie jestem gliniarzem.

Zamierzał zamówi nast pn szkock , ale zrezygnował i poprosił o wod sodow . Dora zamówiła szampana.

– Dlaczego nie przepada?

– Kiedy dorabiał sobie jako bramkarz w jednym klubie. Gliny zrobiły obław na nielegalne kasyno na zapleczu i zgarn ły go – przekrzywiła głow , uniosła ramiona i odezwała si , do złudzenia imituj c głos Indygo: – Kochanie, to było straszne. Czy wiesz, jakich ludzi trzymaj tam w celach?

– Tak. Kryminalistów.

– Tego mu nie mów. To ja wpłaciłam za niego kaucj i, musz powiedzie , facet był załamany – odruchowo poprawiła kołnierzyk koszuli Jeda. – Pewno trudno ci mu współczu , bo nigdy nie było po tamtej stronie krat.

– Byłem po ich obu stronach.

– Och – szybkim, praktycznym gestem odgarn ła mu z czoła zmierzwione wiatrem włosy. – Kiedy musisz mi o tym opowiedzie .

– Mo e. Sko czyła mnie pucowa ?

– Tak. Ładnie ci w czerni, wygl dasz troch jak buntownik. Jak James Dean.

– On nie yje.

– No tak. Ale gdyby do ył trzydziestki... – jej u miech był zadumany i rozbawiony. – Czy ka dy policjant bierze wszystko tak dosłownie czy tylko ty?

– To kwestia faktów i fantazji. Mnie jest lepiej z faktami.

– Kiepsko. Ja wi kszo ycia sp dziłam na fantazjowaniu. Mo na powiedzie , e odbyłam nad nim studia. – Wzi ła z bufetu dekoracyjnie rozci t rzodkiewk i schrupała j . – Wol to ni zwykł rzeczywisto .

– Wołała , kiedy była aktork .

Jej miech był musuj cy niczym b belki szampana.

– Chyba nie musz ci przypomina , e nosz nazwisko Conroy. Mo e nie wyst puj ju na scenie, ale nadal jestem aktork – przysun ła si do niego i skubn ła kusz co jego ucho. – Je li kiedykolwiek zechcesz wyj na scen , by mo e wróc z mojego wygnania.

Pal ca strzała przeszyla jego wn trzno ci.

– A mo e zostaniemy tym, czym jeste my?

– wiat nigdy si nie dowie, co stracił – spojrzala na jego szklank . – Nie musisz udawa mojego kierowcy, wiesz? Mo emy zadzwoni po taksówk .

– To nie wystarczy – wyci gn ł dło , uj ł jej podbródek. – Chc by zupełnie trze wy, kiedy b d si dzi z tob kocha .

– Och – dr c r k podniosła swój szklank do ust – och. U miechn ł si .

– Wypadasz z gry, Conroy?

– Ja... eee...

– Isadoro!

Oczom Jeda ukazała si pos gowa ruda pi kno , której królewskie kształty opinała migocz ca ziele , od kolan do kostek rozpinaj ca si w sztywne wachlarze. Wygl dała egzotycznie jak niebezpieczna syrena.

Dora, błogosławi c wycucie Trixie, odwróciła si z gł bokim westchnieniem do swojej matki.

– Problemy?

– Ten dostawca to zwierzę. Nie rozumiem, dlaczego nadal go zatrudniam – rzuciła mu przez ramię spojrzenie, które mogłoby stopić stal. Odmówił, zdecydowanie odmówił wysłuchania tego, co miała mu do powiedzenia o paście sardelowej.

Ponieważ teraz wypadła kolej Willa na trzymanie matki z daleka od dostawcy, Dora rozejrzała się szybko. Mój braciszek jest już martwy, uznała.

– Gdzie Will?

– Och, wyszedł z tylu licznymi dziewczynami, którą przywiózł z Nowego Jorku. – Trixie wzniosła w górę ręce. Ten ruch sprawił, że kolorowe paciorki jej klipsów zataczyły wesoło. Starcie z dostawcą wyparły z jej pamięci wszelkie nazwiska. – Z tym modelem.

– Miss Stycznia – syknęła Dora.

– No, a ta sardelowa pasta – zaczęła Trixie. Zrobiła głębszy wdech, zamierzając rozpocząć długą, pełną oburzenia perorację.

– Mamo, nie przedstawiałam ci jeszcze Jeda.

– Jeda?

Trixie, wytrącona z transu, przyglądała włosy. Kiedy lepiej się mu przyjrzała, jej twarz zmieniła się w ułamku sekundy. Podniosła lekko brzoź, zatrzepotała długimi rzęsami i zerknęła spod nich na Jeda. Dla Trixie flirt był swojego rodzaju sztuką.

– Szalenie się cieszę, że mogę pana poznać.

Jed zrozumiał, czego się po nim oczekuje. Ucałował podaną mu dłoń.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Conroy.

– Och nie. Trixie, proszę – prawie to za pieśnią. – Czułabym się stara i stateczna.

– Jestem pewien, że to niemożliwe. Widziałem panią w zeszłym roku w „Hello, Dolly”. Była pani cudowna.

Gładkie policzki Trixie zaróżowiły się ze szczęścia.

– Och, jak to miło, że pan tak mówi. Uwielbiam Dolly Levi, to taka soczysta, wyrazista rola.

– Odtworzyła ją pani perfekcyjnie.

– Tak – westchnęła na to wspomnienie. – Lubię go, Doro. Powiedz mi, Jed, ojej, jakie ty masz potężne dłonie, prawda?

– Mamo – ponieważ Jed zachowywał się tak miło, Dora ulitowała się nad nim – Jed to ten lokator, którego znalazł dla mnie tato.

– Lokator... lokator! – instynkt matczyński natychmiast przeważał flirtu. – O mój drogi, drogi chłopcze! – Trixie, przepełniona uczuciem wzdrygnęła się, zarzuciła mu ręce na szyję. Miała chwyty jak zapalniki. – Jestem na wieki twój dłużniczką!

Dora tylko cmoknęła, kiedy Jed rzucił jej bezradne spojrzenie.

– Nic takiego – powiedział Jed, niezgrabnie klepiąc Trixie po plecach. – Ja tylko odpowiedziałem na ogłoszenie.

– Ocaliłem mój ukochany Isador z rąk tego straszego włamywacza – Trixie oderwała się od niego i pocałowała go w oba policzki. – Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć za to, czego przeproszę i nie dopuszczę, żeby obrabował moją dziewczynkę.

Spojrzał na Dorę zwonowymi oczami ponad ramieniem jej matki. Dora umknęła mu spojrzeniem.

– Mam na niego oko – powiedział znacząco. – Proszę się nie martwić.

– Zmartwienie to los matki – westchnęła smutnie u miech Trixie.

– Tu jesteś, kwiatuśku – Quentin, w białym krawacie i fraku, wkroczył dumnie między nich, nadal pewnie trzymając się za nogi, mimo że dwaj kelnerzy nie mieli przy nim chwili spokoju. Obdarzył swój nos długim, namyślnym pocałunkiem, na widok którego Jed uniósł brew. – Przyszedłem błagać moją wybrankę o taniec.

– Oczywiście, najdroższy – Trixie objęła go i zaczęła obracać się w rytm tanga.

– Poznała tego młodego człowieka, którego wybrałem dla Izzy?

– Właśnie przed chwilą. – Przy kolejnym obrocie Trixie odwróciła głowę i posłała Jedowi uśmiech. Nie zdziwił się,

gdyby nagle zobaczył w jej zbach ró . – Masz taki wspaniały gust.

– Izzy, poka Jedowi nasz teatr. Nasze skromne schronienie to co wi cej ni tylko scena. – Quentin mrugn ł, przechylił swój on do tyłu i odpłyn li w gł b sali.

– Kwiatuszku? – spytał po chwili Jed.

– Na nich to działa.

– Najwyra niej.

Nie pami tał, czy kiedykolwiek widział, jak jego rodzice wymieniaj cho by najbardziej bezosobowy u cisk czy pocałunek. Jedyne uczucie, którego był wiadkiem, kazało im obrzuca si obelgami i naczyniami.

– Nigdy nie wspominałe , e tu ju byłe .

– Co?

– W teatrze – powiedziała, ci gaj c na siebie jego uwag . – „Hello, Dolly”?

– Nie pytała – poprowadził Dor do baru. – Nie powiedziała jej, prawda?

– Nie chc jej denerwowa . Nie patrz tak na mnie – warkn ła.

– Widziałe , jak si zachowała, kiedy my łała, e padłam ofiar włamywacza. Wyobra asz sobie, co by si stało, gdybym powiedziała, e jaki wariat groził mi pistoletem? – Kiedy nie odpowiedział, tupn ła nog . – Powiem jej, w mój własny sposób.

– Twoja sprawa – powiedział Jed, wyjmuj c papierosa – ale je li dowie si od kogo innego, b dzie le.

– Nie chc teraz o tym my le – zabrała mu papierosa, zaci gn ła si szybko i oddała mu. – Oprowadz ci . Budynek pochodzi z połowy dziewi tnastego wieku. Wystawiano w nim popularne musicale – ruszyła w gł b kulis, jednym z w skich korytarzy. – Odk d wodewil si sko czył, teatr zacz ł podupada , kilka razy omal go nie zburzono. Kiedy... – otworzyła drzwi garderoby. Wzi ła si pod boki i spojrzała na Willa, wypl tuj cego si z nami tnego u cisku.

– Dezercja – powiedziała – to obraza, któr zmywa si krwi .

Will uśmiechnął się i objął kształtną kobietę w sukiencej czerwonej sukieneczce.

– Lorraine pomaga mi uczyć się roli. Startuję do reklamy płynu do ust.

– Była na słuchaniu, Will. Ja już odrobiłam swoją część, a Lea przyjdzie dopiero po północy.

– Dobrze, dobrze – Will ruszył do drzwi, cięgnąc za sobą swój przyjaciółkę. – Później się spotkamy.

Jed nawet nie pofatygował się, żeby ukryć swój podziw dla bioder Lorraine, kołyszających się w wahadło.

– Czy ci wypadła, Skimmerhorn – zauważyła Dora. – Kto ci je przydepnie.

– Zaraz – odwrócił się do Dory dopiero wtedy, gdy Lorraine zniknęła z widnokręgu. – Jaką część?

– Przy mamie, żeby trzymała ją z dala od włosów dostawcy. Choć, póki co, ci nad scenę. Stamtąd jest niesamowity widok na scenę.

W miarę upływu czasu Jed przestał kwestionować fakt, że dobrze się tu bawi. Chociaż nie lubił tłoku, nie przepadał za przyjaciółkami i rozmowami z nieznanymi, nie czuł dojmującej potrzeby szybkiego wyjścia. Kiedy na pierwszym piętrowym wpadł na Chapmanów, doszedł do wniosku, że oni też się świetnie bawili.

– Cześć, Jed. Wesołego Nowego Roku! – Mary Pat pocałowała go i oparła się o poręcz, by przyglądać się temu, co działo się niżej. – Co za przyjaciel. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Jed sprawdzał, na co patrzy. Mnóstwo ludzi, tęczowe kolorów, wybuchy hałasu.

– Conroyowie są ... jedyni w swoim rodzaju.

– Mnie to mówisz? Poznałem ojca Lei. Ta czyli my jitterbuga – jej twarz zaróżowiła się od mięchu. – Nie wiedziałam, że umiem tańczyć jitterbuga.

– Wystarczyło, że się na nim uwiesiła – skomentował Brent. – Ten stary umie prowadzić.

– Ma w sobie do paliwa. – Jed zauważył w dole Quentina w miesznej, zadziornie przekrzywionej czapeczce.

– Gdzie Dora? – spytał Brent – Nie widziałem jej, odkąd tu przyszli my.

– Jest w pobliżu. Indygo chciał z nią zatańczyć.

– Indygo? – Mary Pat przechyliła się bardziej przez balustradę, machając do obcych i sypiąc na nich confetti.

– Nie może na go przegapić. To olbrzym, łysy czarny facet w czerwonej skórce.

– Och. Och – powtórzyła, gdy odnalazła go w tłumie. – Bo e, chciałabym tak tańczyć – oparła łokcie na balustradzie i zakółsała delikatnie biodrami do taktu.

– Co ci wiadomo? – Jed zwrócił się do Brenta.

– Jest wcześniej – Brent trzymał piwo. – Rozsyłały jego portret. Jeśli jest gdzieś notowany, powinniśmy go znaleźć. Sam też się trochę nachodziłem, szukając kogoś w różnorodnych miejscach seksualnych lub włamywaczy. Na razie nic – Brent spojrzął na swój pusty szklank, poprawił okulary. – Chodźmy, strzelimy sobie po piwku.

– O nie – Mary Pat oderwała się od balustrady i chwyciła Brenta za ramię. – Zatańczysz ze mną, poruczniku. Już prawie północ.

– A może zatańczymy tutaj i trochę się pocałujemy? – Brent z ociąganiem ruszył przed siebie, popychany przez nią. – Słuchaj, Jed z tobą zatańczy.

– Ja idę po własnych kobietach.

Zanim cała trójka zdążyła przepchnąć się na parter, solista krzyknął do mikrofonu, wznosząc ręce w prośbie o ciszę.

– Hej, wszyscy, słuchajcie! Do godziny zero mamy jedną minutę, więc znajdźcie swój drugi połówek, albo jakkolwiek chcecie parę ust, i przygotujcie się na powitanie Nowego Roku.

Jed, nie zwracajcie uwagi na hałas i kilka interesujących propozycji ze strony samotnych kobiet, zaczynają przedzierać się przez tłum.

Zobaczył ją po prawej stronie sceny, w towarzystwie brata nalewając ze miechem szampana do tuzina wycigniętych z ich stron kieliszków.

Odstawiła pustą butelkę i wzięła następną, oglądając się na zespół, czy jego członkowie mają czym wzniesić toast. Wtedy go zobaczyła.

– Will – nie spuszczać oczu z Jeda, podała butelkę bratu. – Rad sobie sam.

– Teraz będzie najgorszy tłok! – wrzasnął, ale ona już szła w kierunku krawędzi sceny.

– Uwaga, kochani! – głos solisty rozległ się pod sklepieniem teatru. – Teraz liczcie razem ze mną. Dziesięć, dziewięć ...

Czuła się, jakby poruszała się w zwolnionym tempie, jakby szła przez wodę, ciepłą, jedwabistą wodę. Serce biło jej w piersi mocno i szybko.

– Osiem, siedem...

Pochyliła się, położyła ręce na ramionach Jeda. Chwycił ją w pasie.

– Sześć, pięć ...

czuła zadrząły. Zrobiła krok w powietrze, w toczący deszcz konfetti, poczuła drżenie jego mięśni, kiedy przeczeswała palcami jego włosy i oplótła go nogami.

– Cztery, trzy...

Centymetr po centymetrze ześlizgnęła się po jego ciele, patrzć mu głębiej w oczy. Zaczęła szybciej oddychać.

– Dwa, jeden...

Jej wargi ustąpiły pod naporem jego ust, gorące i głodne. Oboje jednocześnie wydali z siebie jakieś rozkoszy, które utonęły w eksplozji radosnych okrzyków. Mrucząc coś niezrozumiałe, pocałowała go głębokim, zaciskając obie ręce na jego włosach.

Postawił ją powoli na ziemi, pewnie, że co w nim za chwilę eksploduje: głowa, serce, łąd wie. Mimo to stanęła na ziemi, jej ciało nadal tuliło się do niego, dając mu bolesną wiadomość, że go zagłębienia i wypukło ci jej ciała.

Smakowała bardziej niebezpiecznie niż whisky, bardziej musy co niż szampa. Teraz wiedział, że może się upić kobiet.

Odsunął swoje usta od jej warg, ale nadal trzymał ją mocno. Oczy miała na wpół zamknięte, usta rozchylone. Oblizwała lekko wargi, jakby chciała zapamiętać jego smak.

– Jeszcze – mruknęła.

Ale zanim zdążył spełnić jej życzenie, pojawił się Quentin i objął ich oboje.

– Szczęśliwego Nowego Roku, mes enfants – przechylił głowę i podniósł głos, tak że popłynął jak strumień wina ponad hałasem – „Pogratulujmy stare, powitajmy nowe, dzwonicie, dzwonicie, dzwony przez niegim zimowe. Stary rok odchodzi, więc odejmu dajmy, pogratulujmy kłamstwo, prawdę powitajmy”.

* * *

– Tennyson – mruknął Jed, dziwnie poruszony, a Quentin rozpromienił się w uśmiechu.

– Znakomicie – pocałował Dorę, a potem Jeda, oboje równie serdecznie. Zanim Jed zdążył ochłonąć po szoku, pojawiła się Trixie.

– Uwielbiam was – kolejne, szczerze rozdzielane pocałunki. – Will, chodź tutaj i pocałuj swoją matkę.

Will zjawił się posłusznie, zeskakując efektownie ze sceny i porwał matkę w teatralny uścisk. Pocałował ojca i odwrócił się do Jeda.

Jed zjeżył się i zaczął się wycofywać.

– Nie chciałbym ci przyłożyć.

Will tylko się uśmiechnął.

– Przepraszam, taka z nas już banda efekciarzy – mimo ostrzeżenia obdarzył Jeda mocnym uściskiem.

– Jest Lea i John.

Jed cofnął się w odruchu obrony, ale został przyparty do sceny. Poddał się i z filozoficznym spokojem przyjął pocałunek Lei i uścisk Johna, któremu jeszcze nie został przedstawiony.

Obserwuj całe wydarzenie i zmieniaj wyraz twarzy Jeda, Dora może miała się i uniosła znaleziony pełny kieliszek szampana.

Twoje zdrowie, Skimmerhorn. Jeszcze niczego nie widziałe.

* * *

Dicarlo umierał długo i boleśnie. Winesap czekał cierpliwie, usiłując nie słyszeć słabych krzyków o pomoc, rozpaczliwych modlitw i skamlanych szlochów.

Nie wiedział, jak Finley traktuje słuźbę. Nie chciał wiedzieć. Ale przez ciągłe się w nieskończoność trzy godziny oczekiwania setki razy wyraził życzenie, by Dicarlo zachował się przyzwoicie i wreszcie umarł.

Potem, kiedy zaczął zapada zmierzch, a do solarium przestały docierać światła, Winesap pojął, że Dicarlo nie umierał długo, znacznie długo.

Nie cieszyło go czekanie na niego zadanie.

Wyszedł z domu, wzdychając, minął zastygłe w konwulsyjnym ruchu ciało i przeszedł przez południowy trawnik, zmierzając w stronę kamiennej szopy na narządzia. Dowiedział się dyskretnie, czy mógłby znaleźć gdzieś kawałek materiału lub plastiku.

Zgodnie z instrukcjami Finleya, znalazł opryskany biały farbą materiał, używany przy malowaniu. Wziął cięki beł na ramiona i wrócił do ogrodu i swojego ponurego zadania.

Łatwo było nie myśleć o tym, co robił. Musiał tylko wyobrazić sobie, że to on leży tutaj, wpatrując się martwymi oczami w ciemne niebo, a cała sytuacja od razu straciła dla niego swój odrażający charakter.

Rozpostarł tkanin na białych kamieniach. Lepiły się od krwi, pokrywając je niemal w całość. A muchy... No, co tu do mówić... pomyślał Winesap, przyjemne to nie jest.

Kucnął; dysząc przez niego, przetoczył bezwładne ciało DiCarlo, a spoczął delikatnie na rodunku materiału.

Potem zajął się resztą. Praca fizyczna zawsze przyprawiała go o siódme poty. Wyjął chusteczkę i otarł mokry twarz i kark. Zmarszczył nos, odrzucił chusteczkę i włożył ją pod trupa.

Usiadł, omijając kałużę krwi i ostro nie wyjął portfela DiCarlo. Ujął go delikatnie w dwa palce i postanowił, że przy pierwszej okazji go spali, wraz z pieniędzmi i resztą zawartości.

Z rezygnacją kogoś przeciwnego obowiązkami sprawdził starannie pozostałe kieszenie DiCarlo, by mieć absolutnie pewność, że nie zostało w nich nic, co mogłoby pomóc rozpoznać ciało.

Z okna na piętrze dobiegały go ciche dźwięki jakiejś włoskiej opery. Finley przygotowuje się do wieczornego wyjścia, pomyślał Winesap.

W końcu jutro miało być wesoło.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Noc była czysta jak kryształ, powietrze rześkie. Cienka powłoczka lodu na bocznej szybie T-Birda iskrzyła się w świetle ulicznych latarni jak lodowa pajęczyna. W rodunku szumiący grzejnik, dodając kolejny dźwięk, towarzyszył „Blue Monday” B.B.Kinga, nadawany w radio.

Ciepło, blues i powolna, łagodna jazda mogłyby ukołysać Dorę do snu. Gdyby tylko nie miała tak napiętych nerwów. Była jako rozładowana napięta, bez przerwy komentowała przyjeżdżające,

ludzi i muzyk , cho ze strony Jeda nie padała adna odpowied ,
lub bardzo sk pa.

Kiedy dotarli na zaplecze domu, niemal zaschło jej w ustach.

– Nic si nie stało, prawda? – spytała.

– Z czym?

Zacisn ła palce na swojej wieczorowej torebce.

– Z policjantem, którego zostawił tu Brent.

– To dlatego jeste taka niespokojna?

Przyjrzała si budynkowi, o wietlonym tylnym drzwiom,
lampie w pokoju, któr zostawiła zapalon .

– I tak si powstrzymywałam przez cały wieczór.

– Nic si nie stało – pochylił si i sam odpi ł jej pasy. – Byli
tu obaj.

– Dobrze. To dobrze – ale to jej nie uspokoiło. W milczeniu
wysiedli z wozu i zacz li wchodzi po schodach.

Nie lubi by zdenerwowana, pomy łała, kiedy Jed otwierał
wej ciowe drzwi. I w tej chwili nie chodziło jej o napastnika i
policjantów. Chodziło o to, co miało si wydarzy , kiedy znajd
si sami.

To zupełnie bez sensu, uznała. Weszła na korytarz i wyj ła
klucze do swojego mieszkania. Pragn ła go, tak bardzo pragn ła
sko czy to, co zacz ło si mi dzy nimi.

A jednak...

Jed wyj ł klucze z jej zeszywniałych palców i sam otworzył
drzwi.

To kwestia panowania nad sob , pomy łała, zdejmuj c
płaszcz i rzucaj c go na krzesło. Przedtem zawsze wołała
dominowa w zwi zku z m czyzn , wołała wiedzie , e
posuwaj si w kierunku, który sama wybrała.

Ale przy Jedzie to nie ona trzymała ster, i oboje o tym
wiedzieli.

Usłyszała, jak za jej plecami drzwi zamykaj si , szcz ka
zamek. Gardło znowu cisn ło si jej ze zdenerwowania.

– Napijesz si ? – nie odwróciła si do niego; ruszyła prosto w
kierunku brandy.

– Nie.

– Nie? – jej palce zawisły nad karafką, cofnęły się. – To ja te nie. Podeszła do stereo, wcisnęła klawisz odtwarzacza kompaktowego, nie mając pojęcia, jak płytę zostawiła w środku. Bessie Smith podjęła pieśń w miejscu, w którym przerwał B.B. King.

– Za kilka dni muszę sprzątnąć choinkę – wyciągnęła rękę i dotknęła gałązki. – Wziewi to Trzech Króli. Spakowała ozdoby, spaliła kilka gałązek choinki. Zawsze robi się przy tym smutno. – Wzdrygnęła się, gdy Jed dotknął jej ramion.

– Denerwujesz się.

– Ja? – rozejrzała się i zaczęła mówić, ale jednak sobie czegoś nie nalała, czegoś, co ochłodziłoby jej wyschnięte i rozpalone gardło.

– Podoba mi się to.

Poczuła się idiotycznie. Odwróciła się i zmusiła do słabego uśmiechu.

– No pewnie. Dzięki temu czujesz się jak władca.

– O tak – pochylił się i ucałował kciuk jej ust. – A poza tym to daje mi pewność, że długo o tym nie zapomnisz. Chodź ze mną.

Wziął jej rękę i poprowadził do sypialni.

Chciał, żeby wszystko działało się powoli, chciał odkrywać ją całkiem po całkiem, delektując się jej zdenerwowaniem. Dopóki była jeszcze bezbronna, i dopóki należała do niego.

Włączył lampkę stojącą przy łóżku i spojrzał na Dorę.

Westchnęła, gdy musnęła jej wargi pocałunkiem. Czuła, że była ostatnią rzeczą, jakiej się po nim spodziewała, i najbardziej dręczącym podarunkiem, jaki mógł jej dać. Rozchyliła usta, poddając się mu. Serce tłukło się jej w gardle, jakby ktoś walił jej pięścią.

Odchyliła głowę w geście poddania, który rozpalił do białości jego podniecenie. Ale nadal delikatnie pieścił jej wargi, czekając, aż nadejdzie odpowiednia chwila.

– Trz siesz si – szepn ł, wodz c ustami wzdłu jej ust, przesuwasz j zykiem po ciepłej, gładkiej skórce, nurzasz c si w zapachu jej ciała.

– Przez ciebie.

– Chyba masz racj – znowu pochylił si nad jej ustami, przeci gaj c pocałunek tak długo, a rozkosz zaczą ła szumie jej w głowie. Rozległy si westchnienia, szepty bez tchu, gło ne bicie serc.

– Po ciel łó ko – szepn ła. Ale kiedy oderwała si od niego i odwróciła si , przyci gn ł j do siebie i pocałował j w kark.

– To mo e poczeka .

Jego r ce spocz ły na jej brzuchu, tam gdzie czaiło si napi cie, zwini te w ciasny kł b niczym grzechotnik.

– Ja chyba nie mog .

– To nie b dzie działo si zbyt szybko – przesun ł dło mi w gór i w dół jej ciała. – To nie b dzie łatwe.

– Jed... – jej głos zmienił si w j k. Teraz dotykał jej piersi, piesszcz c je, dra ni c kciukami, zataczasz c małe kółeczka, podczas gdy jego j zyk robił cudowne rzeczy z płatkiem jej ucha. Zamkn ła oczy, powstrzymała wszelkie my li o panowaniu nad sob i przywarła do niego.

Teraz k sał j leciutko, zaspokajasz c prymitywn dz poznania smaku jej skóry. Rozpi ł guziczki si gaj ce od gardła do bioder. Jej oddech zwolnił, stał si gł bszy, jakby weszła w trans. Lekko muskał kciukiem jej skór , przesuwasz c si , z dr cz c powolno ci , od jednego guzika do drugiego.

– Cały wieczór zastanawiałem si – powiedział mi kko i cicho do jej ucha, powstrzymuj c własne dłonie, by nie stały si zbyt zachłanne – cały wieczór wyobra ałem sobie, co si pod tym kryje.

Powoli rozchylił materiał, przesun ł palcami wzdłu jej brzucha. Znalazł czyst kobieco .

– Słodki Jezu – zanurzył twarz w jej włosach, czuj c przeszywaj ce po danie. Jej skóra była gor ca i mi kka, mi nie

dr ały bezbronn timer pod jego dotkni ciem. Czua ka dy jej dreszcz, kiedy stali tak spleceni w wietle lampki.

Nie wiedzial, e dza mo e by tak przera aj co wielka, e po danie mo na dawa i bra z tak przesywaj c nami tno ci , przesywaj c jak ostrze szpady, czekaj cej, by ugodzi . Wiedzial tylko, e po da ka dego centymetra jej ciaa, a tak e mial wiadomo , e ona po da go rownie rozpaczliwie jak on jej.

Uniosla rami jak we nie, obj la go za szyj . To prawie jakbym lataa, pomy laa. A powietrze wydawalo si , e blyszcy jak srebro. Potem dotkn l jej znowu i to lagodnie l ni ce powietrze rozblysto pelnym blaskiem, jakby slo ce odbilo si w mieczu.

Przymkn la oczy, oparla si o niego plecami, czuj c zarazem dum i zdziwienie, kiedy jego r ce zacz ty bl dzi po jej cieie. Obrocila glow , by mogl dosi gn jej ust. Jej wargi rozwarly si , wilgotne i glodne, blagaj ce o nowe pocaunki. Nie wiedziala ju z cal pewno ci , gdzie czula rozkosz. Zbyt wiele budzilo si w niej uczu . Jego usta, tak, to w nich kryla si rozkosz, w ich mocnym dotyku, w zadra ni ciach z bow, w rozdra nionym j zyku.

A jeszcze wi cej bylo jej w twardym naporze jego ciaa, w przebiegaj cych go slabych dreszczach, znamionuj cych pow ci gan agresj . Bij cy od niego ar mowil o przesywaj cej go mocnej, rozpaczliwej dzy.

Byly te jego r ce. Bo e, te r ce, glaszcz ce, pieszcz ce, bior ce w posiadanie, niemal brutalne. Ba la si , e straci wszelk godno i zacznie blaga go o wi cej.

Z jej ust zacz ty si wydobywa kwilenia, gl bokie j ki, a ciaa, przylegaj ce do niego, poruszalo si w coraz szybszym rytmie. eby sprawi przyjemno obojgu, przesun l r k wzdlu jej brzucha, a wreszcie dotkn l jej. Byla ju wilgotna i gor ca. Zacz l j dra ni koniuszkiem palcow, a podniecenie Dory si gn lo niemal szczytu. Zesztywniala, napa la na niego calym cialem. Krzykn la, kiedy wstrz sn l ni pierwszy gwaltowny

orgazm. Kiedy rozchyliła nogi, w liźniła się w nią głębiej, jakby weszła, kiedy wydała pełne oszołomionej rozkoszy westchnienie.

– Jeszcze?

W głowie zakręciło się jej. Aby nie stracić równowagi, objęła go drugim ramieniem.

– Tak.

Zaczęła ją pieścić, czując wzrastające podniecenie, kiedy z jej ust wymawiała jego imię. Wiedział już, że może na nią się zdobyć niemal do nieprzytomności, nawet nie spróbował tego trunku. I ta kobieta może przedostać się do krwi jak narkotyk. Czując narastające w nim dreszcze, odwrócił ją ku sobie i zsunął z ramion obcisłą jej materiał.

W jego twarzy ujrzała dzikość, w oczach malowała się przerażająca agresja. Ale choć serce biło jej jak oszalałe, nie o strach tu chodziło.

– Pragnę cię – jej głos był niski i cichy jak lejcy siemiak. Ręce, które zdjęły z niego koszulki, były dalekie od spokoju. Ale oczy, niemal na równym poziomie z jego, były twarde i pewne. Rozpięła jego dżinsy, podchodziła do niego z odchyleniem głowy.

– Chcę, abym we mnie wszedł. Teraz.

W odpowiedzi ujął jej biodra i upadł wraz z nią na łóżko.

Przetoczyli się dwa razy, niecierpliwie zdzierając z siebie ubrania, a wilgotne ciało dotknęło wilgotnego ciała. Ale kiedy chciała objąć go i przyjąć, cofnął się, żeby liznąć jej ciało. Kiedy wiała się pod nim i jęczała, on przystąpił do uczty, ssąc jej piersi, a spazmy, jakby nie wstrząsały, stały się nie do zniesienia.

Chwyliła jego włosy, dysząc, wyprężyła ciało w rozpaczliwym zapraszającym geście.

– Teraz, na miłość boską, teraz.

Złapał z bami jej sutki, drażnił ją, a jej paznokcie wbiły się mu w ramiona.

– Tym razem to ja chcę jeszcze.

Ale im więcej brał, tym więcej po dawał. Poddała się zupełnie, bez ograniczeń, fali doznała. A jednak, to jeszcze było za mało.

I tak jak sobie obiecał, odkrywał każdą centymetr jej ciała, smakując, dotykając, zagarniając. O cokolwiek poprosił, ona dawała. Cokolwiek mu ofiarowywała, on przyjmował.

Patrzył na nią. Światło budziło blask na jej wilgotnej skórze, błyszczącej jak jedna z jej porcelanowych figurek. Ale ona była z krwi i kości, a jej ręce miały w sobie tyle ciekawości, co i jego dłonie, jej usta równie wiele wyciały.

Po ciele pod nimi była liska i gładka jak woda. Muzyka przepływała obok nich, cała z łagodnych dźwięków saksofonu i drzewnego basu.

Kiedy wyliznął się w nią, głębił boki gardłowy jak przemiękł z jej ust w jego. Powoli, rozkoszując się, wchodził coraz głębiej, karmił się jej oszalałymi westchnieniami i budził nowe.

Podniósł głowę, chcąc zobaczyć jej twarz, widział na niej oznaki bezdennej rozkoszy. Znowu przeżyła orgazm, konwulsyjnie napinała się wokół niego, a wstrzymał oddech wobec takiej burzy emocji.

Jej oczy otworzyły się, zamglone i wielkie, i przywarły do jego twarzy. Usta drżały, kiedy próbowała coś powiedzieć, ale zdołała z siebie wydać tylko kolejny dźwięk. Widziała tylko jego, czuła tylko jego, pragnęła tylko jego. Każdym powolnym ruchem Jeda przeszywał ją dreszczem, zmieniając ciało w kłębek rozedrganych nerwów i rozdzierając dźwięki. Nie pozwalał jej zgasnąć, a wreszcie nie była w stanie zrobić niczego innego, jak tylko opleść się wokół niego i pozwolić mu, by ją zabrał tam, dokąd chciał.

Znowu krzyknęła. Jed ukrył twarz w jej włosach i podał się za nią.

Muzyka zmieniła się. Elton John wyśpiewywał swoją odśpiewała Marilyn. Dora leżała bezwładnie na łóżku, niemal nie czując cięaru Jeda na swoim nagim ciele. Czuła, że jego usta dotykają lekko jej piersi, czuła te bicie jego serca, wciąż przyspieszone.

Znalazła sil , by podnie r k , przesun ni po jego włosach i ramieniu.

Jej dotyk, zarazem macierzy ski i miłosny, obudził w nim wrzenie. Czuł si , jakby wła nie spadł z bardzo wysokiej góry i wyl dował w bardzo gł bokim, ciepłym ródle. Co kazało mu pocałowa jej pier i spojrze na jej u miech.

– Wszystko gra? – spytał.

– Nie. Niczego nie widz .

Tym razem to on si u miechn ł.

– Masz zamkni te oczy.

– Och – otwarła je z westchnieniem. – Dzi ki Bogu. Ju my lałam, e o leplam – odwróciła głow na zmi tym posłaniu, spojrzała na niego. – Chyba nie spytam, jak si czujesz. Wygl dasz a na zbyt zadowolonego z siebie.

Podniósł si i pocałował j . Włosy opadły jej na ramiona, tak jak sobie wyobra ał, beładnie pi trz c si wokół twarzy. Usta miała obrzmiałe, oczy senne.

Czuł, e co si w nim budzi – nie nowe po danie, jakby mógł si spodziewa , lecz co innego. Co , co rozpoznał jako zadowolenie.

– Ale zapyta mo esz.

– Dobrze – odgarn ła mu włosy z czoła. – Jak si czujesz, Skimmerhorn?

– Dobrze.

– Twój talent krasomówczy mnie zadziwia.

Roze miał si , pocałował j jeszcze raz i odwrócił si na bok, przygarniaj c j do siebie.

– Szkoda, e nie przychodzi mi do głowy nic z Tennysona. – Wizja Jeda cytuj cego poetów sprawiła, e na jej ustach pojawił si mglisty u miech.

– A mo e co z Shelleya? „Wstaj z ło a, ni c o tobie w pierwszym słodkim nocy nie, gdy łagodny zefir tchnie, gdy si złoc gwiazdek roje !”^{*} Poczł si pokonany.

* Tłum. Antoni Lange

– To ładne – podniósł jej twarz do pocałunku, słodkiego i sennego. Bardzo ładne.

Przytuliła się mocniej, zadowolona.

– Jako jedna z Conroyów wychowałam się w ród bardów i dramatopisarzy.

– I dobrze na tym wyszła – uśmiechnęła się tylko, kiedy nadal się jej przyglądał, wciąż trzymając ją pod brodę, mierząc ją mrocznym, uważnym wzrokiem. – Znowu cię pragnę.

– Miałam taką nadzieję.

* * *

– Doro, wyglądasz koszmarnie.

– Co ja bym poczuła, Leo, gdyby los pozbawił mnie ciebie i twoich słów otuchy?

Nie zra ona Lea wzniósł się pod boki i przyjrzała się swojej siostrze.

– Może się czym zaraziła. Wszyscy chorują na grypa, wiesz? Chyba powinna zamknąć sklep na trochę.

W sklepie pojawiła się klientka; Dora wyszła z za lady.

– Twój sposób myślenia wyjątkowy, dlaczego to ty jesteś pracowniczką, a ja szefową – uśmiechnęła się promiennie. – Dzień dobry. Mogę w czym pomóc?

– Czy pani jest Dorą Conroy?

– Zgadza się – Dora wyciągnęła rękę. Wiedziała, że z powodu niewyspania wyglądała blado i mizernie, ale kobieta, która ciskała jej rękę, była chyba bliska omdlenia. – Czy mogę panią poczęstować kawą? Albo herbatą?

– Ja... – kobieta zamknęła oczy i zdjęła z głowy białą kitkę narciarską. – Mam wielką ochotę na kawę, ale nie wolno mi jej pić – położyła rękę na łagodnie zakręglonym brzuchu. – Poprozę o herbatę.

– Ze smietanką? Z cytryną?

– Nie, czystą.

– Prosz , niech pani usi dzie – Dora przejęła kontrol nad sytuacj . Zaprowadziła kobiet w kierunku krzesła. – Wszyscy rozkr camy si dzisiaj powoli. To po wi teczne zm czenie.

Skin ła na Le , by zaj ła si młod par , która wła nie weszła. Nalała herbaty do dwóch fili anek.

– Dzi kuj . Jestem Sharon Rohman – powiedziała kobieta, bior c fili ank z r k Dory.

– Dzi chyba nie mam pami ci do szczegółów. Och! – przypomniała sobie od razu. Natychmiast usiadła i wyci gn ła r k do Sharon. – To pani jest siostrzenic pani Lyle. Tak mi przykro z powodu tego, co si z ni stało. Kiedy ostatnio dzwoniłam do szpitala, powiedziano mi, e nadał jest nieprzytomna.

Sharon zacisn ła usta.

– Wczoraj w nocy odzyskała przytomno .

– O, jak to dobrze.

– Nadał jest w stanie krytycznym – Sharon uniosła do ust fili ank i odstawiła j z powrotem, nie wypiwszy z mej ani kropli. – Lekarze nie wiedz , kiedy, je eli to w ogóle nast pi, dojdzie do siebie. Jest bardzo słaba.

Oczy Dory błysn ły w odpowiedzi.

– To musiał by dla pani straszny okres. Nie ma chyba nic gorszego ni czekanie.

– To prawda – ale niewymuszone, altruistyczne współczucie pomogło si jej odpr y . – Zawsze były my sobie bliskie. Jak prawdziwe przyjaciółki. Pierwsz osob , tu po moim m u, której powiedziałam o dziecku, była wła nie ciocia.

– Wygl da pani na tak zm czon – powiedziała delikatnie Dora. – Mo e wst pi pani na pi tro, do mojego mieszkania? Pole y pani w spokoju przez par minut.

Oczy Sharon zaszklity si wobec takiej uprzejmo ci.

– Nie mog tu zosta . Musz wraca do szpitala.

– Sharon, to napi cie nie jest dobre dla twojego dziecka.

– Jestem tak ostro na, jak to tylko mo liwe – otarła łz wierzchem r ki. – Prosz mi wierzy , robi wszystko, co ka e mi

doktor – odetchnęła głębiej. Potem odezwała się już spokojniej – panno Conroy...

– Doro.

– Doro – odetchnęła dla uspokojenia. – Przyszłam, żeby podziękować ci za kwiaty, które przysłała do szpitala. Były liczne. Ciocia Alicja kocha kwiaty. Jej ogród to bajka. Pielęgniarki powiedziały mi, że dzwoniła kilka razy, żeby dowiedzieć się o stan cioci.

– Ciesz się, że się polepsza.

– Dziękuję. Ale widzisz, myślałam, że znam wszystkich jej znajomych. Nie wiem, co was to czy.

– Prawda jest taka, że spotkałyśmy się jedynie przelotnie. Tutaj. Przyszła do sklepu tu przed wiatkami.

Sharon pokręciła głowę ze zdziwieniem.

– Kupiła coś u ciebie?

– Parę rzeczy – Dora nie miała serca powiedzieć Sharon, że były to prezenty dla niej i jej dziecka. – Mówiła, że przyszła, bo ty byłaś tu parę razy.

– Tak – Sharon uśmiechnęła się z zakłopotaniem, gdy Dora ponownie napełniła jej filiżankę. – Masz tu zawsze takie ciekawe rzeczy. Mam nadzieję, że ci nie obrażę, ale to dziwne, że tak troszczysz się o kobiety, którą spotkała tylko raz w swoim sklepie.

– Polubiłam ją – powiedziała Dora z prostotą. – I bardzo mnie zmartwiło, że napałnęła to już wkrótce po wizycie u mnie.

– Kupowała coś dla mnie, prawda?

– Bardzo cię kocha.

– Tak – Sharon opanowała się z wysiłkiem. Musi być silna, wiedziała, dla dziecka, dla cioci. – Ten, kto zabił Muriel i skrzywdził moją ciotkę, zniszczył wiele przedmiotów. To zupełnie bez sensu.

– Czy policja już coś znalazła?

– Nie. – Sharon westchnęła bezradnie. – Nic. Byli bardzo uprzejmi, od samego początku. Wpadłam w histerię, zanim do niej dotarli. Znalazłam ją. W Boże Narodzenie, już i... biedna

Muriel. Kiedy dzwoniłam po pogotowie i na policj , byłam naprawdę spokojna. I nagle zupełnie si rozkleiłam. Dobrze jest z nimi pogada , to pomaga. Policjanci potrafi by tacy dokładni i konkretni.

Dora pomy lała o Jedzie.

– Wiem – po krótkim wahaniu zdecydowała si . – Chciałaby wiedzie , co dla ciebie kupiła?

– Tak, bardzo.

– Powiedziała mi, e lubisz szy . Kupiła ci wiktoria ski przycisk do przytrzymywania drzwi, eby mogła słysze swoje dziecko w pokoju dziecinnym.

– Przycisk? – słaby u miech przemkn ł po twarzy Sharon

– Słonik z br zu.

– Jak Jumbo?

– Wła nie.

– Znale li my go w k cie salonu – w jej oczach znowu pojawiły si łzy, ale nie były ju tak gor ce i rozpaczliwe. – Wła nie takie rzeczy lubiła mi kupowa .

– Wzi ła te przycisk do pokoju dziecinnego. Pies z porcelany, zwini ty w kł bek i pi cy.

– O, tego nie widziałam. Musiał si stłuc. Zniszczył prawie wszystkie prezenty, jakie przygotowała, i wiele jej własnych rzeczy. – Chwyła Dor za r k . – Wygl dało to tak, jakby wpadł w szał. I chyba to był szaleniec, prawda? eby zabi star kobiet i zostawi drug na pewn mier – po chwili otrz sn ła si . – Chciałabym jej co da , kiedy zobacz si z ni dzisiaj. Mogłaby co dla mnie wybra ?

– Z rozkosz .

* * *

Dwadzie cia minut pó niej Dora stan ła na chodniku, patrz c, jak Sharon wsiada do samochodu i odje d a.

– O co chodziło? – chciała wiedzie Lea. – To biedactwo wygl dało tak nieszcz liwie.

– To była siostrzenica pani Lyle, tej kobiety, na którą napadli to w Wigili .

– T z Society Hill? Była nieprzytomna, prawda?

– Ju odzyskała przytomno . Lea potrz sn ła głow . . .

– To okropne, e kto mógłby si włama w taki sposób do twojego domu.

Krótki dreszcz przeszył Dor na wspomnienie własnej przygody.

– Okropne – zgodziła si . – Mam nadziej , e go znajd .

– A na razie – Lea odwróciła Dor do siebie i spojrzała jej w twarz. – Wró my do ciebie. Dlaczego wygl dasz na tak wyczerpan , skoro wczoraj miała cały dzie wolny?

– Nie mam poj cia, cały dzie sp dziłam w łó ku. – Dora odwróciła si z u mieszkciem bł dz cym jej po ustach i zaczę ła przestawia pozytywki.

– Chwileczk – Lea przechyliła si , wpijaj c sokoli wzrok w twarz Dory.

– Och – powiedziała, rozci gaj c to słowo do trzech wznoszcych si sylab. – Ju mi wita. Jed.

Dora uniosła emaliowane wieczko pozytywki graj cej „Sonat ksi ycow ”.

– Co z nim?

– Nie graj ze mn w te gierki, Isadoro. W czyim łó ku sp dziła ten dzie ?

– W moim – u miechn ła si i zamkn ła pozytywk . – I było niewiarygodnie.

– Naprawd ? – Lea cała zamieniła si w słuch. – Dobra, opowiadaj.

– No wi c, on... nie mog – uprzytomniła sobie zmieszana. – To co innego.

– Oho – powiedziała Lea i u miechn ła si od jednego zgrabnego uszka do drugiego.

– Pami tasz, co zrobiłam, kiedy John pocałował mnie po raz pierwszy?

– Wróciła do domu, rzuciła się na łóżko i płakała przez całą godzinę.

– Właśnie nie. Ponieważ byłam przerażona, wstrząsnęła i absolutnie pewna, że właśnie nie spotkałam mężczyzny, z którym spędziła resztę życia – ucieknęła do tego wspomnienia. Słodko i chytrze.

– Miała osiemnaście lat – wytknęła jej Dora. – Lubiła dramatyzować i była dziewczyną.

– Masz dwadzieścia lat, lubisz dramatyzować i nigdy jeszcze nikogo nie kochała.

Głębokie westchnienie.

– Oczywiście, że kochałam.

– Nie, nie kochała.

Dora wzięła ciereczkę do kurzu.

– Nie powiedziałam, że Kocham Jeda.

– A Kochasz?

– Nie wiem.

– Właśnie – powiedziała Lea z tryumfem. – Dokładnie o to mi chodzi. Gdyby go nie kochała, odpowiedziałaby twierdząco. Ponieważ Kochasz, jesteś niepewna. To gdzie on jest?

– Wyszedł – Dora skrzywiła się, czując, że Lea już podeszła. – Odkąd się tu pojawił, wszystko stało się na głowie. Do sklepu było włamanie, moje mieszkanie zostało przeszukane, ja prawie zgwałcona, a ty...

– Co? – Lea znalazła się przy niej w dwóch skokach i złapała ją za ramię. – Co powiedziała?

– Cholera – choć próbowała jeszcze zabrać ramię, wiedziała, że rzeczy zaszły za daleko. – Właśnie ciwie to nie było, ale tak le. Przesadziłam, bo się w ciekle na ciebie.

– Zaraz – Lea podeszła wielkimi krokami do drzwi, zamknęła je na klucz i powiesiła na nich tabliczkę z napisem „Zamknij te”.

– Powiesz mi o wszystkim, Dory, i to teraz.

– Dobrze – Dora zrezygnowana, potarła twarz rękami. – Lepiej usiądź.

Opowiadanie zajęło trochę czasu, zwłaszcza że Lea przerywała jej bez przerwy, ale wreszcie dobiegło końca.

– Chcę, żeby obiecała, że nie powiesz rodzicom, dopóki ja sama tego nie zrobię.

– Idź na górę i spakuj się – Lea zerwała się na równe nogi. Kiedy spojrzała na Dorę błyszczyły jej oczami, wyglądała jak smukły jasnowłosy anioł, który cisnął w diabły swój harf i aureolę. – Zamieszkać u nas.

– Mówi nie ma. Kotku, jestem tu zupełnie bezpieczna.

– O, całkowicie – warknęła jadownicę Lea.

– Naprawdę. Policja go szuka, a budynek jest strzeżony przez nich – rozejrzała się, patrząc z podziwem na Leę. – Jezus, kotku, ja śpiam z gliniarzem.

To podziałało – w pewnym stopniu.

– Nie chcę, żeby wychodziła sama. Nawet na pięć minut.

– Na miłość boską ...

– Mówi powaźnie – błysk w oku Lei nie pozwalał na dalszą dyskusję. – Jeśli mi tego nie obiecasz, sprowadź tu Johna i razem zawlecemy ci do naszego domu. I chcę jeszcze porozmawiać z Jedem na osobno ci.

– A proszę ci uprzejmie – Dora uniosła ręce w geście poddania. Nie mogła odgrywać starszej siostry wobec kobiety, która twardej ręką wychowywała trójkę dzieci. – Nie powie ci nic ponad to, co usłyszała ode mnie. Jestem tu absolutnie i zupełnie bezpieczna. Gwarantuję ci to.

Obie wrzasnęły, gdy ktoś załomotał do drzwi.

– Hej! – krzyknęła Terri, dobijając się. – Dlaczego zamykamy w środku dnia?

– Ani słowa – syknęła Dora i podeszła do drzwi. – Przepraszam, zrobiłyśmy sobie przerwę.

Terri przyjrzała się obu kobietom, wydymając usta. W powietrzu podejrzenie mocno pachniało kłótnią.

– I chyba się wam należała. Ruchliwe przedpołudnie?

– Można i tak powiedzieć. Słuchaj, na zapleczu jest nowy towar. Może go rozpakujesz? Chcę go wycenić.

– Jasne.

Terri posłusznie zdjęła płaszcz i ruszyła na zaplecze. Zawsze mo e podsłuchiwa pod drzwiami, jak zacznie si robi ciekawie.

– Jeszcze nie sko czyły my, Isadoro.

– Wystarczy, Ofelio – Dora ucałowała policzek Lei. – Mo esz wzi w obroty Jeda, jak tylko wróci.

– Mam taki zamiar.

– I jemu te nagderaj, dobrze? Chc zobaczy , jak to zniesie. Lea parskn ła z oburzeniem.

– Ja nie gderam.

– Jeste w tym mistrzem wiata – powiedziała Dora swoim najlepszym scenicznym szeptem.

– A je li my lisz, e to arty, jeste ...

– Hej, Doro – Terri wystawiła głow z zaplecza. U miechała si ze zdziwieniem, trzymaj c komputerow podobizn DiCarla.

– Dlaczego trzymasz tu zdj cie faceta, który przyszedł tu w Wigili ?

– Co? – Dora musiała uczyni wysiłek, by zachowa normalny ton. – Znasz go?

– Był ostatnim klientem w Wigili . Sprzedałam mu figurk ze Staffordshire, suk e szczeni ciem – spojrzała na portret pami ciowy i zmarszczyła brwi. – Wierz mi, w naturze wygl da znacznie lepiej. To twój znajomy?

– Niezupełnie – serce zacz ło bi jej coraz szybciej. – Terri, czy zapłacił gotówk ?

– Za Staffordshire? Raczej nie. Zapłacił kart kredytow . Podniecenie rozsadzało jej pier , ale była na tyle aktork , by jej głos pozostał spokojny.

– Mogłaby znale ten rachunek?

– Jasne – twarz Terri wydłu yła si . – Nie mów mi, e jest niewypłacalny. Jego karta była aktualna.

– Nie, wszystko jest w zupełnym porz dku. Chc tylko zobaczy ten rachunek.

– Dobrze. Miał jakie takie włoskie nazwisko – dodała. – Delano, Demarco, co w tym stylu. – Wzruszyła ramionami i zamknęła za sobą drzwi.

* * *

– DiCarlo – Brent podał Jedowi akta. – Anthony DiCarlo. Przeważnie małe afery: drobne kradzieże, wyłudzenie, nielegalny hazard... parę włamań. Miał krótki okres, w którym sędzono go za wymuszanie, ale od prawie sześciu lat jest czysty jak łąza.

– To, że ci nie złapali, nie znaczy, że jesteś czysty – mruknął Jed.

– Przefaksowali mi to dzisiaj rano z Nowego Jorku. Znam tam jednego chłopa do współpracy detektywa, który trochę się dla mnie pomógł. Nie bójmy się chyba nie zbyt wielkiego kłopotu przy sprawdzeniu, czy nasz chłopczyk miał alibi na tamtą noc.

– Jeśli ma, to fałszywe. To on – Jed rzucił fotografię z akt na biurko Brenta. – Może powinienem ruszyć się do Nowego Jorku.

– Może powinniśmy dać im trochę czasu.

– Pomyśl o tym.

– Jak na kogoś, kto marzy, żeby dobra się komuś do tyłka, wyglądasz na bardzo odprężonego.

Usta Jed'a zadrgały.

– Naprawdę?

– Tak – Brent odchylił się do tyłu i skinął głową. Lea mogłaby pozazdrościć mu wyczucia. – Tak jak my lałem – mruknął z uśmiechem. – Dora to fantastyczna kobieta. Nie le, kapitanie.

– Przymknij się, Chapman – powiedział łagodnie Jed i ruszył do wyjścia. – Bójmy się w kontakcie, tak?

– Jasne – Brent odczekał, a drzwi zamknęły się za nim, po czym chwycił za telefon, by złożyć raport Mary Pat.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nie myślał o tym. Wiedział, że Dora będzie w sklepie, więc poszedł prosto do swojego mieszkania. Rozebrał się do szortów i podkoszulka, po czym usiadł na atlasie. Lepiej mu się myślało, kiedy wyciskał z siebie siódme poty.

Musiał zdecydować, ile jej powie. Miała prawo wiedzieć o wszystkim, ale co innego prawo, a co innego to, co będzie dla niej dobre. O ile znał Dorę, a zaczynała się, że znał ją bardzo dobrze, spodziewał się, że zechce się wtrącić. Jednym z najważniejszych problemów policji jest wtrącanie się cywili.

Ale nie jestem glin, upomniawszy się i skupił na zachowaniu rytmu. Wprawdzie nie może się uważać za cywila, skoro spędził w policji niemal połowę życia.

Nowy Jork poradzi sobie. Ale ich nie dotyczyło to osobicie. Wystarczyło, że przed oczami stanęła mu blada, nieprzytomna twarz Dory, aby poczuł, jak osobicie interesuje to jego.

Podróż do Nowego Jorku, trochę w ciemności nie zaszkodzi chyba za bardzo oficjalnemu ledztwu. A jeżeli uda mu się zrobić coś konkretnego, co rzeczywistego, nie będzie się czuł taki...

Zatrzymał się w pół ruchu i spojrzał w ciekłe w sufit. Jaki się czuł? Odetchnął i opuścił sztag, podniósł, opuścił.

Niepotrzebny, zrozumiał. Bez przydziału. Nie dokończony.

Nic w jego życiu nie skończyło się naprawdę, bo nic nigdy tak naprawdę się nie zaczęło. Łatwiej było trzymać się na uboczu. Akurat łatwiej, pomyślał Jed. Musiał to zrobić, żeby przeżyć.

Więc dlaczego wstąpił do policji? Myślał, że chodziło o potrzebę porządku, dyscypliny i, tak, nawet o potrzebę posiadania rodziny. Praca dawała mu to wszystko. I więcej. Poczucie, że ma w życiu cel, satysfakcję i dumę.

Donny Speck kosztował go utratę wszystkiego; ale nie chodziło tu o Specka, upomniawszy sam siebie. Ani o Elaine.

Chodziło mu o ochronę kobiety z przeciwka. Kobiety, do której zaczynał coś czuć.

To tak należało przemyśleć.

Nie przestał podnosić sztangi, kiedy rozległo się pukanie, ale uśmiechnął się, kiedy wymówiła jego nazwisko.

– Daj spokój, Skimmerhorn. Wiem, że tam jesteś. Chcę z tobą pomówić.

– Drzwi są otwarte.

– To jak możesz kazać mi zamykać moje? – zapytała. Wkroczyła do pokoju w bardzo oficjalnym, zielonym jak myliwska kurtka kostiumie i wniosła ze sobą zapach grzechu.

– O – uniosła brew i zmierzyła długim spojrzeniem jego ciało rozciągnięte na atlasie, mięśnie błyszczące od potu i drżenia. Jej serce fiknęło koziółką. – Bardzo mi przykro, że przerwałam ci swój rytuał. Nie brakuje ci bicia w bębny do taktu?

– Chcesz czego, Conroy?

– Bardzo wielu rzeczy. Butów z czerwonego zamszu, kilku tygodni na Jamajce, tego bottgerowskiego imbryczka, który widziałam w Antique Row – pocałowała jego słone od potu usta.

– Kiedy skończysz? Mogłabym się podniecić, patrz, jak wyduszasz z siebie siódme poty.

– Zdaje się, że już skończyłem – Jed odłożył sztangę z hałasem.

– Przestaniesz się wciąkać, kiedy ci powiem, co znalazłam – zrobiła dramatyczną pauzę. – Terri rozpoznała zdjęcie.

– Jakie zdjęcie? – Jed zszedł z atlasa i sięgnął po rącznik.

– To zdjęcie. Ten magiczny obrazek, który razem stworzyliśmy na komputerze. Jed, on był w Wigili w naszym sklepie. – Podniecenie sprawiło, że zaczęła chodzić po pokoju, stukając obcasami po nagim drewnie podłogi i gestykulując. – Nazywa się ...

– DiCarlo, Anthony – przerwał Jed, z rozbawieniem patrz, jak Dora otwiera usta. – Ostatni znany adres: East Street 83, Nowy Jork.

– Ale skąd... Cholera – schowała, nad sana, rachunek. – Przynajmniej mógłby udawać, że mój talent detektywistyczny zrobił na tobie wrażenie.

– Prawdziwa z ciebie Nancy Drew, Conroy – poszedł do kuchni, wyjął z lodówki napój i wypił go wprost z dzbanka. Kiedy oderwał go od ust, Dora stała w drzwiach, a oczy błyszczały jej groźnie. – Dobrze sobie poradziła. Ale gliniarze pracuj szybciej. Zgłosiła to?

– Nie – wyduła usta. – Chciałam powiedzieć o tym tobie.

– To Brent prowadzi śledztwo – przypomniał jej Jed. Wyciągnął ją ku niej i przesunął po jej dolnej wardze – nie daj się.

– Ja się nie daję sam. Nigdy.

– Z taką buzi zdobyłaby mistrzostwo świata, kotku. Co Terri powiedziała o DiCarlo?

– To Brent prowadzi śledztwo – powiedziała kwaśno. – Wróć do mieszkania i zadzwoni do niego. Może on to doceni.

Jed ujął jej twarz i cisnął lekko.

– Jazda, Nancy.

– No, skoro stawiasz sprawę w taki sposób... Powiedziała, że był bardzo uprzejmy, bardzo układny – obeszła Jeda, otworzyła lodówkę i wydała mimowolny i bardzo kobiecy pomruk obrzydzenia – Chryste, Skimmerhorn, co to jest to co w salaterce?

– Obiad. Co jeszcze powiedziała?

– Nie mówisz tego zjeść. Ja zrobię ci obiad.

– DiCarlo – powiedział Jed sucho i złapał ją za ramiona, zanim zdążyła otworzyć jego szafkę.

– Powiedział, że chce kupić specjalny prezent dla swojej ciotki. Terri powiedziała, że pokazała mu psa Foo – którego, jak teraz się dzieje, musiał zwinąć, kiedy włamał się do sklepu. – Umilkła na chwilę z ponurą miną. – Powiedziała, że był sztywno ubrany i przyjechał porsche.

Chciał usłyszeć więcej.

– Czy Terri jest w sklepie?

- Nie, nie b dzie jej ju dzisiaj. Zamkn li my.
- Chc z ni pomówi .
- Teraz?
- Teraz.
- Có , bardzo mi przykro, ale nie wiem, gdzie mo na j znale . Ma randk z jakim facetem.
- Dora parskn ła, gdy Jed wyszedł z kuchni.
- Je li to takie wa ne, mo esz j złapa pó niej w teatrze. Przedstawienie jest o ósmej. Mo emy j złapa mi dzy scenami.
- wietnie.
- Ale nie rozumiem, co by to mogło da – Dora poszła za nim do sypialni. – Ju z ni rozmawiałam, mamy nazwisko i adres.
- Nie wiesz, jakie zadawa pytania – zdj ł podkoszulek i rzucił go w k t. – Mógł co chlapi . Im wi cej o nim wiemy, tym łatwiej go złama w trakcie przesłuchania. Mamy jeszcze par godzin, wi c je li naprawd chcesz co ugotowa ...
- Ale ona nie słuchała. Kiedy na ni spojrział, zobaczył, e stoi jak wmurowana, przyciskaj c r ce do serca, a jej twarz wyra ła najprawdziwszy szok.
- Co? – instynkt kazał mu si obejrze , zmierzy pokój zw onymi oczami.
- Łó ko – zdołała wyszepta . – Och...
- Rozlu nił spi te mi nie. To, e poczuł si zakłopotany, rozw cieczyło go jak wszyscy diabli. Najpierw krytykuje to, jak gotuje, potem sposób zajmowania si domem.
- W tym roku moja pokojówka ma wychodne – spojrział ze zmarszczonymi brwiami na skotłowan po ciel. – Nie rozumiem, po co miałbym sła łó ko, skoro zaraz je znów roz ciel .
- Łó ko – powtórzyła z nabo e stwem – francuska Art Nouveau, pocz tek wieku. Och, spórz tylko na t inkrustacj – przykl kła przy wezglowiu i przesun ła delikatnie palcami po figurce smukłej kobiety w powiewaj cej szacie, trzymaj cej w r ce dzbanek. J k, który wydała, brzmiał niemal miło nie. – To palisander – oznajmiła z westchnieniem.

Jed patrzył z rozbawieniem, jak wspina się na łóko i na czworakach przygląda się wezłowi.

– Co za robota – szepnęła. – Spójrz na te rzeczy – przesunęła po nich pieścotliwie dłonie. – Jakże delikatne.

– Mam tu chyba gdzieś szkło powiększające – powiedział Jed, widząc, że Dora niemal je dźga nosem po drewnie.

– Nawet nie wiedziałeś, co tu masz, prawda?

– Wiem, że to jedna z moich niewielu ulubionych rzeczy w tym mauzoleum, w którym się wychowywałem. Pozostałe są w magazynie.

– W magazynie – zamknęła oczy i wzdrygnęła się. – Musisz pozwolić mi na nie spojrzeć – przykucnęła i wyglądała tak, jakby miała za chwilę złożyć błagalną prośbę. – Dam ci uczciwe ceny rynkowe za wszystko, na co byś mogła sobie pozwolić. Tylko mi obiecaj, przyrzeknij mi, że nie pójdziesz do innego kupca, dopóki nie złożę ci oferty.

– Weś się w garść, Conroy.

– Proszę – przypęzła na brzeg łóki. – Mówi powaźnie. Nie spodziewam się taryfy ulgowej ze względu na naszą nazwę. Ale jeśli masz coś, czego nie chcesz – obejrzała się na wezłowi i zatoczyła oczami. – Bo e, nie wytrzymam. Chod tu.

– Oho – usta mu zadrgały. – Chcesz mnie uwieść, bym opłacił cię?

– Uwieść, akurat – zaczęła szybciej oddychać, rozpinając marynarkę i zdejmując ją. Pod nią nosiła cienki stanik w tym samym odcieniu głębokiej zieleni. – Zafunduj mi przejazd, jakiejś dotąd nie miałyśmy, kolego.

– Ach... – nie wiedział, które uczucie w nim przeważa. Szok czy podniecenie. – To dopiero oferta, Conroy.

– To nie oferta, bracie, to fakt – uklękła, zdejmując spodnicę. Odrzuciła ją; klęczała na łoku w zielonym pasie do poch, czarnych pochach i szpilkach. – Umrze, jeśli ci teraz nie byś miała, tu, w tym łoku.

– Nie chc by za to odpowiedzialny. – Bo e, kolana ugi nały si pod nim. – Conroy, poty na mnie bij .

U miechn ła si .

– Wiem.

Chwy ciła go za gumk szortów. Nie opierał si zbytnio.

– Zaraz spocisz si bardziej.

Poci gn ła go. Pozwolił, by go przewróciła. Kiedy znalazła si na nim, chwycił j za r ce.

– B d delikatna.

Roze miała si .

– Mowy nie ma.

Pocałowała go mocno, rozwieraj c jego wargi i wymiataj c z jego głowy najmniejszy ład racjonalnej my li. Pu cił jej r ce i przytrzymał j ; napała na niego bezlito nie.

Wci gn ł powietrze, które uwi zło mu w piersi.

– Doro, pozwól...

– Nie tym razem – zacisn ła dłonie w jego włosach i brutalnie pocałowała go w usta.

Była bezlitosna, szorstka, nieubłagana, dr czyła go niemal do szale stwa, a nie wiedział, czy przeklina j czy błaga . Kolejne burzliwe doznania przeszywały go jak wicher, sprawiaj c, e całe jego ciało pulsowało ostro i błagało o jeszcze. Wsun ł r ce pod jej stanik; dotkni cie jej twardych, dojrzałych piersi było dla niego kolejn tortur .

Wypr yła si pod jego dotykiem. Niski, koci pomruk aprobaty wyrwał si jej z gardła, gdy zdejmowała stanik. Odrzuciła głow i nakrywszy jego dłonie swoimi, zaczął ją prowadzi po swoich piersiach, po płaskim brzuchu. Jej palce zacisn ły si , gdy doprowadził j do pierwszego, wstrz saj cego orgazmu. Ale kiedy chciał przetoczy si na ni , mocno zacisn ła na nim nogi, miej c si ochryple, gdy zakł ł.

Opadła na niego, zatopiła z by w jego ramieniu. Smakował sol , potem i gor cokrwestym samcem. Ta kombinacja sprawiła, e w głowie jej zawirowało. Ale zdołała pieszczotami wydoby z niego zdyszany słaby j k. Czowała pod ustami jego dudni ce serce.

Zacisnął palce na gładkim ciele ponad podwójkami, zbyt nieprzytomny, by kontrolować siłę uścisku. Teraz, wreszcie, pozwoliła mu się unieść. W oczach mu pociemniało, gdy opadła na niego, przyjmując go głębią bokiem, głębią bokiem w aksamitną otchłom. Oszołomiony patrzył, jak jej ciało wypręga się, jak zamyka oczy w niepowstrzymanym geście pieśczości, jak zaciska się na nim po dłużej.

Potem poruszyła się, z początku powoli, zająta własną rozkosz, przez chwilę kolejne szaleństwa wstrząsnęła. Potem szybciej, coraz szybciej, napinając mięśnie ud niczym stalowe sprężyny, kołysząc biodrami niczym tłokami. Zakończymy razem, gdy jej ciało sztywniało, siła tego ruchu przeszywała go niczym gorczą strzałą.

Podniósł się, szukając ustami jej piersi, ramienia, ust. Złapał ją za włosy, oszalała, odchylił jej głowę i wpiął się w jej gardło, mamrocząc ochryple obietnice, których żadne z nich nie rozumiało. W tej chwili wiedział tylko, że mógłby dla niej umrzeć. A z całą pewnością ci mógłby dla niej zabić.

Orgazm ogłuszył go jak brutalna i oczekiwana piątka, pozbawił go tchu i zawrócił mu w głowie. Objął ją, wcisnął twarz pomiędzy jej piersi i poddał mu się.

– Doro – odwrócił głowę, delikatnie muskając ustami jej skórę. I jeszcze raz – Doro – tulił ją, dopóki jej ciało przestało drżeć. Kiedy opadł na plecy, jego oczy zwały się. Podniósł palec do jej policzka i otarł z niego łzę. – Co to?

Mogła tylko pokręcić głowę i przytuliła go do siebie. Wtuliła policzek w jego włosy.

– Wczoraj myślałam, że nie może być już lepiej. To nie było liwe. Drżenie w jej głosie zaniepokoiło go.

– Gdybym wiedział, że to stare wyrobie z ciebie wariatka, już dawno bym cię tu przyprowadził.

Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały poważne.

– To wspaniałe łóżko.

– W magazynie mam ich co najmniej sześć.

Roześmiała się.

– To nas zabije.

– Zaryzykuj .

I ja te , pomyślała Dora. I ja te . Ponieważ Lea miała zupełną rację . Zakochałam się w tobie.

* * *

Dwie godziny później przybyli do teatru akurat w chwili, gdy siostra Nellie demonstrowała, jak zmywa się farbami z włosów męczyzny. Dora poprowadziła Jeda za kulisy. Stał tam jej ojciec, bezgłośnie powtarzając wiersze i gestykulując.

– Hej – Dora uszczypnęła go w policzek. – Gdzie mama?

– W garderobie. Jaki problem z sarongiem Krwawej Mary. Jed, mój chłopczyku – potrzebuję Jeda, zezujcie w stronę sceny – tak się ciesz, że wpadła. Mamą dziś bardzo uczliwie widowni, prawie nie ma wolnych miejsc. Reflektor – mruknął i rozpromienił się, kiedy na scenie rozbrzysnął się wiatł. – Właśnie ciwy dobrany reflektor ożywia równie dobrze jak walc.

– Wpadli my na chwilkę, żeby sprawdzić, jak wam idzie – powiedziała Dora, rzucając Jedowi ostrzegawcze spojrzenie. – I chciałabym złapać na chwilkę Terri podczas przerwy. Sprawy sklepowe.

– Nie chcę, żeby wypadła przez ciebie z roli.

– Nie martw się – objęła go za ramiona i, mimo że widziała to przedstawienie niezliczoną ilość razy, wkrótce była nim pochłonięta tak samo jak on.

Jed trzymał się z boku, bardziej zaciekawiony widokiem Dory i Quentina niż scenicznym dialogiem. Pochylali ku sobie głowy, dyskutując nad jakimś pomniejszonym elementem, dodanym do sceny. Ramię Quentina uniosło się, opasując talię Dory; jej ciało skłoniło się ku niemu.

Jed doznał uczucia, które ogłuszyło go bardziej niż cios w kark. Była to zazdrość.

Czy kiedykolwiek odczuwał coś tak nieskomplikowanego, tak proste poczucie wspólnoty z własnym ojcem? Odpowiedź była

prosta i niewesoła. Nie. Nigdy. Nie pami tał ani jednej zwykłej rozmowy, która nie byłaby podminowana napięciem, rozczarowaniem, urazem. Nie, nawet gdyby chciał, za pół godziny było na pojednanie. I pewnie nawet nie warto usiłować zrozumieć dlaczego.

Czuję, że ogarnia go dawna gorycz, cicho wycofał się w stronę garderoby. Zapali papierosa i zaczeka na Terri.

Dora obejrzała się przez ramię. Uśmiech znikł z jej ust, kiedy zobaczyła, że za nimi nie ma nikogo.

– Tato?

– I muzyka – szepnął. – Dobrze, dobrze. Hmmm?

– Kocham Jeda.

– Tak, najśladza, wiem.

– Nie, tato. Ja go naprawdę kocham.

– Wiem – nikt inny nie zdołałby wytrzymać go ze skupienia. Ale do Dory odwrócił się z szerokim uśmiechem – przecie go dla ciebie wybrałem, czy nie?

– On chyba nie chciałby, abym się w nim zakochała. Czasami niemal widzę rany, które w nim krwawi.

– Uleczysz je, z czasem. „Goj się rany zaraz czy stopniowo?”*

– „Otello” – zmarszczyła nos. – Nie podoba mi się taki koniec.

– Dopiszesz swój własny. Conroyowie znakomicie improwizują – błysnęła mu pewna myśl, która sprawiła, że w jego oczach zamigotał nowy płomyk. – Może chciałaby, abym dał mu lekkiego szturcha. Mogł z nim porozmawiać, jak mam czyzna z mam czyzn, przy jednym z moich specjalnych trunków.

– Nie – dotknęła palcem nosa. – Nie – powtórzyła. – Poradz sobie – przycisnęła dłoń do niespokojnego ołdka. – Boj się – wyznała. – To się zdarzyło tak nagle.

– To dziedziczne – przyznał Quentin przem drzale. – W chwili, gdy zobaczyłem twój matk , pokryłem si cały rz systym potem. Bardzo kr puj ce. Prawie dwa tygodnie zbierałem si w sobie, by poprosi j o r k . Musiałem nauczy si tego tekstu jak roli.

– Nigdy nie zapomniate adnej swojej roli – pocałowała go przy wtórze dobiegaj cych z widowni oklasków. – Kocham ci .

– Wła nie to powinna mu powiedzie – u cism ł j j . – Słuchaj, Izzy, posłuchaj tylko tych oklasków.

Jed słysz c oklaski i nagły chaos za kulisami, pojawił si obok nich dokładnie w chwili, gdy Dora zatrzymywała Terri.

– Hej, pomagasz nam dzisiaj?

– Nie – Dora chwyciła mocno rami Terri. – Chc z tob chwil pogada .

– Jasne. Co s dzisz o numerze z ta cem? Opłaciło si bra te lekcje.

– Była wietna – kiwn wszy głów na Jeda, poprowadziła szybko Terri mi dzy robotnikami i technikami. – Znajd my jaki k cik w garderobie.

Kilka innych dziewcz t z zespołu siedziało przed lustrami, poprawiaj c makija i fryzur . Cho niektóre miały na sobie tylko bielizn , przygotowuj c si do zmiany kostiumu, adna z nich nawet nie spojrziała na Jeda.

– Mog po yczy ? – zagadn ła Dora i chwyciła stółek, zanim ktokolwiek zdołał odmówi . – Siadaj, Terri, daj odpocz stopom.

– Nie masz poj cia, jakie to przyjemne – odwróciła si do lustra, wzi ła g bk do podkładu i zacz ła usuwa pot z twarzy.

– Pomówmy o DiCarlo – zacz ła Dora.

– O kim? – Terri przestała powtarza w my lach rol . – A, o tym wigilijnym kliencie – u miechn ła si do Jeda. – Dora robi wokół niego strasz n tajemnic .

– Co kupił? – spytał Jed.

– Figurk Staffordshire. Nawet nie mrugn ł, kiedy usłyszał cen . Kupił j dla ciotki. Ukochanej ciotki. – Powiedział, e

wła ciwie to ona go wychowała, a teraz jest ju naprawdę stara. Wiecie, wiele osób nie myli o tym, a starsi ludzie lubi dostawa ładne prezenty, a on j chyba naprawdę kochał.

Jed odczekał, a sko czy.

– Czy okazywał zainteresowanie czym jeszcze?

– No, rozglądał się po sklepie, i to do długo. My lałam, e mo e złapie się na psa Foo, bo szukał zwierzęcia.

– Zwierzęcia? – oczy Jeda błysnęły ostro, ale jego głos nadal był chłodny i bezbarwny.

– No wiesz, figurki. Jego ciotka je zbiera. Psy – dodała, szybkimi, rzuconymi ruchami poprawiając makijaż oczu. – Rozumiesz, jej pies zdechł, i dlatego...

– Wyglądał jako specjalnie? – przerwał Jed.

– Eee... – Terri wyduła usta i próbowała sobie przypomnieć. – Chyba chciał dokładnie takiego psa jak ten, który zdechł jego ciotce. Powiedział, e nie znalazł tego, czego szukał – przeciągnęła pomadkę po ustach i oceniła rezultat. – Pamiętam, e mówił o tym psie ciotki, o tym, co zdechł. Pomyślałam, e ten porcelanowy, którego mieli my, byłby w sam raz. Wyglądał tak, jakby pozował do niego ten pies. Jeszcze jak był żywy, rozumiesz – wzięła szczotkę i zajął się swoimi włosami. – Wiesz, Doro, ten którego kupiła na tej aukcji. Ale ju go sprzedały my.

Dora poczuła, e robi się jej zimno.

– Pani Lyle.

– Nie wiem. To chyba ty go sprzedała.

– Tak – Dora poczuła, e kreci się jej w głowie. Zaciśnięła palce. – Tak, to ja go sprzedałam.

– Hej! – zaniepokojona Terri odwróciła się do niej. – Nic ci nie jest?

– Zupełnie nic – zmusiła się do uśmiechu. Musi się wydychać. Potrzebuje powietrza. – Dzięki, Terri.

– Aden problem. Zostaniesz na resztę przedstawienia?

– Nie dziękuj – Dora ruszyła chwiejnie do drzwi.

– Zobaczymy się jutro.

– Mo e lepiej id za ni – zwróciła si Terri do Jeda. – Wygl da troch blado.

– Powiedziała mu o tym porcelanowym psie?

– Chyba tak – zdziwiona Terri wstała i wyjrzała za Dor na korytarz. – To wygl dało na zbieg okoliczno ci, rozumiesz. Powiedziałam mu, e mieli my co takiego, ale to ju sprzedane. Musz zobaczy , co dzieje si z Dor .

– Ja to robi .

Złapał j przy wyj ciu dla aktorów, w chwili gdy wychodziła na zewn trz, by zaczerpn gł boko powietrza.

– Otrznij si , Conroy – przytrzymał j za ramiona. Bał si , e je li robi co wi cej, złamie si jak gał zka.

– Sprzedałam jej to – chciała mu si wyrwa , ale zacie nił nieco uchwyt. – Na miło bosk , Jed, sprzedałam jej to. Nie wiem, po co mu to było, dlaczego był gotów za to zabi , ale to ja jej to sprzedałam, a on dowiedział si o tym nazajutrz...

– Powiedziałem: otrznij si – prawie uniósł j w powietrze, zbli aj c twarz do jej twarzy. – Sprzedajesz wiele rzeczy, to twój zawód. Nie odpowiadasz za to, co si dzieje z lud mi, którzy s twoimi klientami.

– Ja tak nie mog ! – krzykn ła i uderzyła go. – Nie mog si tak odcina od wszystkich. To twój numer, Skimmerhorn. eby si przypadkiem nie przejd , eby przypadkiem ci co nie poruszyło. To ty tak robisz. Nie ja.

To go ugodziło, i to bole nie.

– Chcesz wini za to siebie, w porz dku – chwycił j za rami i odcign ł od drzwi. – Zabior ci do domu i sp dzisz cał noc zamartwiaj c si tym wszystkim.

– Nie b d przeprasza za to, co czuj . I sama trafi do domu.

– Zanim zrobisz dwa kroki, to twoje czułe serduszko wykrwawi ci si na amen.

Najpierw usłyszała szum w uszach. Zawsze tak było, kiedy ogarniała j w ciekło . Odwróciła si ku niemu w owym ruchem i zamierzyła si na niego lew r k . Zrobił unik, ale to

okazało się być z wodem. Cios jej prawej ręki trafił go w szczękę. Zatoczył się od jego impetu.

– Oj! – gwiazdy stanęły mu przed oczami. Póki nie było dzieła miał okazję, by docenić to, co prawie go załatwiła. Ale teraz oświadczył ty furii, zacisnął pięści.

Wyzywaj co uniosła podbródek.

– Spróbuj – zachciała go. – Spróbuj tylko.

Mogłoby to go rozmieścić, gdyby w jej oczach malowała się tylko wściekłość. Gdyby pod wyzywającym spojrzeniem nie czaiły się Izy.

– Pieprzyć to – mruknął. Schylił się pod jej wzniesionymi pięściami, złapał ją w pól i przerzucił sobie przez ramię.

Bluznęła stękiem wyzwick wściekłości, co zmusza ją do upokarzającego bębnienia pięściami po jego plecach.

– Postaw mnie, ty tchórzliwy łobuzie. Chcesz walczyć?

– Słuchaj, Conroy, nigdy w życiu nie przylałem kobiecie. Ty możeś by pierwsza.

– Niech ci diabli, postaw mnie i spróbuj. Będzie ci zdrapywała z chodnika. Jak z tobą skończą, będzie ci wyślubiwała spomiędzy płyt. Jak tylko... – wściekłość opuchała ją gwałtownie, minęła szybko i bezładnie, jak zawsze. Opadła bezwładnie na jego ramię, zamknęła oczy. – Przepraszam.

Ale on nadal był zły.

– Zamknij się – wyciągnął kluczyki, wcisnął je w zamek. Wsunął ją do samochodu płynnym, ekonomicznym ruchem, ochraniając ręką swój głowę.

Z zamkniętymi oczami słuchała, jak obchodzi samochód, otwiera drzwiczki i zatrząskuje je.

– Przepraszam, Jed. Przepraszam, że ci uderzyłam. Boli?

Poruszył pulsując bólem szczękę.

– Nie – nawet, gdyby mu ją złamała, nie przyznałby się do tego. – Bijesz jak baba.

– Akurat – poderwała się obrażona. Zimne spojrzenie jego oczu kazało jej ponownie opaść na siedzenie. – Nie byłam zła na

ciebie – szepnęła, kiedy wyprowadzał samochód z parkingu. – Chciałam się na kim wyładować, a ty byłeś pod ręką.

– Miło mi, że mogłem pomóc.

Jeśli chciał ją ukarać tym lodowatym tonem, udało mu się to pierwszorzędnie.

– Masz rację, że jesteś w ciekły – spuściła oczy.

Jej szczerokość i smutek były trudniejsze do zniesienia niż cios, jaki mu wymierzyła.

– Zapomnij o tym. I wiesz co, Conroy? Nie mów nikomu, że mnie tak podeszła.

Odwróciła się i, widząc, że najgorsze już minęło, zmusiła się do uśmiechu.

– Zabiorę to z sobą do grobu. Jeśli będzie to dla ciebie jakim pocieszeniem, chyba złamałam sobie kilka palców.

– Wcale nie – ale ujął jej dłoń i podniósł do swoich ust. Zdziwienie na jej twarzy kazało mu znowu się nachmurzyć.

– Co znowu?

Ponieważ puścił jej rękę, podniosła ją do swego policzka.

– Trochę mnie zdziwiło, że to wszystko. Zwykle nie zachowujesz się wobec mnie tak słodko.

Poprawił się na swoim miejscu, zakłopotany.

– Zaraz zacząłbym, że to zrobiłem.

– Pewnie nie powinnam ci tego mówić, ale co takiego: całowanie ręki i inne romantyczne gesty sprawiają, że zupełnie mi kniesz.

– Zdefiniuj termin „inne romantyczne gesty”.

– No wiesz, kwiaty i przecięgłe spojrzenia. Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że w tych przecięgłych spojrzeniach jesteś całkiem dobry. No i te wielkie rewolwery. I noszenie mnie w ramionach po kręconych schodach.

– Nie masz kręconych schodów.

– Mogłabym sobie wyobrazić, że mam – nachyliła się ku niemu i pocałowała impulsywnie. – Ciesz się, że już się na mnie nie wściekasz.

– Kto mówi, że się nie w ciekam? Tylko nie chcę się z tobą bić, kiedy prowadzisz – zamilkł na chwilę. – Co do pani Lyle – zaczął – muszę sprawdzić, w jakim jest stanie. Jeśli jest jej już lepiej, mogłaby mi może coś powiedzieć.

– Nam – poprawiła go Dora. – Jest już przytomna. Dziś rano przyszła do mnie jej siostrzenica – znów zacisnęła mocno palce i zmusiła się, by nadal mówić cicho i spokojnie. – Powiedziała, że pani Lyle odzyskała przytomność, ale lekarze nie obiecywali szybkiej poprawy.

– Dziś pewnie jest już za późno na wizytę – powiedział po chwili Jed. – Może jutro zacząć szukać jakiegoś dojeżdżającego.

– Chyba nie musisz. Poproś o to Sharon, jej siostrzenicę. – Dora patrzyła prosto przed siebie i usiłowała nie czuć urazy wobec braku troski w jego głosie. – Ale nie robi tego, dopóki nie będzie pewna, że jej to nie zaszkodzi. Nie pozwól, żeby ją przesłuchiwał, gdyby się czuła.

Wyrwał się spod kół samochodu, gdy szarpnął kierownicę.

– Wyglądam jak gestapowiec, Conroy? Myślisz, że będzie wiecił jej prosto w oczy i zmuszał do mówienia?

Bez słowa szarpnęła za klamkę i wyskoczyła z samochodu. Dobięła do schodów przed nim i zastąpiła jej drogę.

– Doro – wziął jej ręce, prosił o cierpliwość. Jej dłonie były lodowate i sztywne. – Wiem, co robi i nie zwykłem nękać starych, chorych kobiet – spojrzał jej w twarz. Nie lubił prosić. Nie lubił czuć potrzeby. Ale zrozumiał, że nie ma wyboru. – Zaufaj mi.

– Ufam ci – spojrzała mu w oczy i zacisnęła palce na jego dłoniach. – Bezgranicznie. To wszystko wytręciło mnie trochę z równowagi, to wszystko. Jutro z samego rana skontaktuj się z Sharon.

– Dobrze – sam też czuł się trochę wytręcony z równowagi. Pochylił się i pocałował ją.

Nie lubił prosić, o nie. Nie lubił tego potrzebować. Ale musiał to zrobić.

– Zostań ze mną na noc. Jej oczy rozpogodziły się.

– Miałam nadzieję, że o to poprosisz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dora nigdy nie podejrzewała się o strach przed szpitalami. Była młoda i zdrowa i nigdy nie spędziła zbyt wiele czasu w żadnym szpitalu, a już na pewno jako pacjentka. Kiedy myślała o szpitalu, przed oczami stawały jej niemowlęta na porodówce, bukiety kwiatów i pielęgniarki, szybko i sprawnie przemykające po korytarzach, bezszelestne w swoich szpitalnych bucikach.

Ale kiedy stała przed oddziałem intensywnej opieki lekarskiej i czekała na wizytę u pani Lyle, czuła, że serce ciśnie jej w piersiach niczym kamień. Za cicho, pomyślała. Tu jest o wiele za cicho, mierzą czai się za szklanymi drzwiami i grubymi zasłonami i czeka na ofiary.

Słychać było stłumione uderzenia i pomruki maszyn i monitorów, niczym jakby starej, przelanej kobiety, narzekającej na ból. Gdzieś z głębi korytarza dobiegało łosne, nieustanne i ciche szlochanie. Nagle okropnie zachciało się jej palić.

W wahadłowych drzwiach pojawiła się Sharon. Choć wyglądała na wyczerzoną, na widok Dory uśmiechnęła się.

– Jest przytomna. Nie umiem powiedzieć, jak dobrze jest z nią mówić, naprawdę z nią rozmawia.

– Ciesz się – Dora, rozdarta mi duszę poczuciem winy a ulgą, ujęła rękę Sharon. – Sharon, to kapitan Skimmerhorn i porucznik Chapman.

– Witam. Dora powiedziała, że chciałabym panowie pomówić z ciocią Alicją.

– Uzgodniliśmy to z doktorem – powiedział Brent. – I bardzo dziękujemy za wyrozumiałość.

Usta Sharon zacisnęły się w twarde, białe linie.

– Zrobi wszystko, co mogę, żeby pomóc w ujściu tego, kto zrobił to mojej ciotce. Moście państwo wejść.

W spojrzeniu, jakie Sharon rzuciła ku drzwiom, Jed wyczytał niepokój.

– Nie zmierzmy jej.

– Wiem – jej reakcja powdrowała ku górze, a potem spoczęła na łonie kryjącym dziecko. Miała kogo chronić. I miała kogo pomścić. – Dora powiedziała, że b dziecie uważa. Powieście mi, jeśli się czego dowiecie, prawda?

– Oczywiście – Dora poprowadziła ją do ławki. – A na razie posiedź sobie. Daj odpocząć stopom, spróbuj się odprężyć.

– Mamy tylko piętnaście minut – powiedział Jed półgłosem, kiedy Dora wróciła do nich – wykorzystajmy je maksymalnie. Ty – dodał, skinął głową w kierunku Dory – niczego nie mów, niczego nie rób, dopóki nie dam ci znaku.

– Tak jest, kapitanie. Zignorował ją i zwrócił się do Brenta.

– W ogóle nie powinna z nami iść.

– Ona widziała te figurki, my nie. Sprawdźmy, czy to ma w ogóle jakiś związek ze sprawą. – Ruszył przez drzwi, minął wszystkie pielgniarki i wszedł do jednej z małych, zasłoniętych zasłonami salek.

Dora czuła wdzięczność, że kazał jej milczeć. Nie wiedziała, czy głos jej nie zawiedzie. Kobieta, którą zapamiętała jako elegancką i pełną życia osobę, leżała na wspaniałym łóżku, a zamknięte oczy obrysowywały ciemne siniaki. Niegdyś czarne włosy przybłąkły, a u ich nasady zaczęły pojawiać się siwe odrosty. Jej twarz, okolona nie nobilitnymi bandami przybrała ziemisty odcień. Policzki zapadły się, kości policzkowe ostro zarysowały się pod skórą, która wydawała się tak cienka, że dotknięcie mogłoby ją rozdrzeć.

– Pani Lyle – powiedział cicho Brent, stojąc przy łóżku.

Dora spojrzała, jak porysowane bladoblikitnymi żyłkami powieki zaczynają trzepotać. Monitor nadal buczał jednostajnie, gdy pani Lyle usiłowała spojrzeć na niego przytomnie.

– Tak?

Głos miała słaby i chrypliwy, jakby kto przeciągnął ciernym papierem po jej strunach głosowych.

– Jestem porucznik Chapman. Czy czuje się pani na siłach odpowiedzieć nam na parę pytań?

– Tak.

Dora zauważyła, że pani Lyle usiłuje przełknąć linę, odruchowo podała jej kubek wody i włożyła słomkę między jej wyschnięte wargi.

– Dziękuję – głos pani Lyle stał się odrobinę silniejszy. Podniosła wzrok na Dorę i uśmiechnęła się.

– Panna Conroy! Jak to miło, że pani przyszła. Rozkaz Jeda poszedł od razu w zapomnienie.

– Ciesz się, że czuje się pani lepiej – delikatnie dotknęła kruchej dłoni pani Lyle. – Tak mi przykro, że pani to spotkało.

– Powiedzieli mi, że Muriel nie żyje – zmęczone oczy powoli napełniły się łzami, ale najgorsze cierpienie miała już za sobą. – Była mi bardzo bliska.

Poczucie winy zaczęło nadwierać jej spokój niczym fale bijące o brzeg. Mogła stawić mu czoła, ale nie potrafiła o nim zapomnieć.

– Tak mi przykro. Policja liczy, że zdoła pani pomóc w odnalezieniu człowieka, który to zrobił.

Z pudełka stojącego przy łóżku wyciągnęła czystą chusteczkę higieniczną i delikatnie osuszyła policzki pani Lyle.

– Chcę jej pomóc – zacisnęła usta i wróciła spojrzeniem do Brenta. – Nie widziałam go, poruczniku. Nie widziałam nikogo. Ja... oglądałam film w telewizji i myślałam, że to wchodzi Muriel... – przerwała i cisnęła ręką Dory dla nabrania odwagi. – Myślałam, że to ona do mnie podchodzi. Potem poczułam ten okropny ból, jakby coś eksplodowało mi w głowie.

– Pani Lyle – zaczął Brent. – Czy przypomina sobie pani porcelanowego psa, którego kupiła pani u panny Conroy na dzień przed tym, jak została pani zaatakowana?

– Tak, kupiłam go dla dziecka Sharon. Przycisk do przytrzymywania drzwi – powiedziała i znów odwróciła się do Dory. – Boj się, że Sharon nie odpoczywa tyle, ile powinna. Ten stres...

– Nic jej nie jest – zapewniła ją Dora.

– Pani Lyle – wystąpił Jed. – Czy pamięta pani coś, co dotyczyłoby tej figurki?

– Nie – choć usiłowała wytężyć pamięć, jej myśli rozpieczęły się jak chmury. – Była słodka. Pomyślałam, że to byłby pies pilnujący naszego maleństwa. Czy to tego szukał? Tego małego pieska? Chyba... chyba słyszałam, że krzyczał coś o psie. Ale to niemożliwe.

Jed pochylił się, by mogła na niego spojrzeć. W jej oczach malowało się przerażenie, ale musiał jeszcze naciskać, jeszcze odrobinę.

– Co krzyczał, pani Lyle?

– „Gdzie pies?” A potem zaczął kląć. Leżałam i nie mogłam się ruszyć. Myślałam, że dostałam ataku serca i że majaczkę. Słyszałam trzaski i krzyki, ci głębiej o tym psie. A potem nie słyszałam już niczego – zamknęła oczy, wyczerpana. – Przecie nie mógł zamordować Muriel dla małego pieska z porcelany.

* * *

– Ale zamordował, prawda? – spytała Dora, kiedy stali czekając na windę.

– Bez wątpienia – Brent poprawił okulary i włożył ręce do kieszeni. – Ale nie koniec na tym. Kula, która zabiła Muriel, pochodzi z tej samej broni, od której zginął Trainor – spojrzął na Jeda. – I pasuje do tych, które wyjęliśmy ze ściany w sklepie.

– Wić wrócił po coś jeszcze – Jed wszedł do windy, pogroby w myśli. – Nie chodziło mu o psa, albo nie tylko o psa. Cokolwiek to było.

– Ale ta figurka nie była cenna ani unikalna – szepnęła Dora.
– Nie pochodziła nawet ze znanej fabryki. Kupiłam ją tylko dlatego, że była liczna.

– Kupiła ją na aukcji – Jed powoli rozpatrywał kolejne możliwości. – Gdzie?

– W Wirginii. Lea i ja wybrałyśmy się na wycieczkę w interesach. Pamiętasz? Wróciłam w dniu, w którym się wprowadziłyśmy.

– A następnego dnia sprzedała psa – wziął ją za ramię i wyprowadził z windy, gdy zjechali na parter. – Miała włamanie do sklepu, pani Lyle została napadnięta, potem znowu się włamało. Co jeszcze kupiła, Doro?

– Na aukcji? Mnóstwo rzeczy – przeczesała włosy palcami. Mimo zimna nie zapiła płaszcza; mroźne powietrze wywieje szybko mdły zapach szpitala. – Mam w sklepie spis.

– Czy na aukcjach nie sprzedaje się przedmiotów kompletnymi? – zapytał Brent. – Całymi partiami, które pochodzą z tego samego miejsca lub od tego samego sprzedawcy?

– Jasne. Czasami kupuje się całą ciarę mebli, żeby dostać jeden przedmiot. To nie Sotheby's; już przy okazji targu, ale było tam parę ładnych okazów.

– Co kupiła bezpośrednio przed psem i zaraz po nim?

Była zmęczona, mierzwiście zmęczona. Słaby ból w skroni zwiastował nadejście gigantycznej migreny.

– Chryste, Skimmerhorn, jak mogłabym pamiętać? Od tego czasu zdarzyło się tyle rzeczy.

– Bzdura, Conroy.

Brent uniósł brwi, usłyszawszy ton jego głosu. Już go kiedyś słyszał: kiedy Jed przesłuchiwał stawiającego opór podejrzanego.

– Pamiętasz wszystko co sprzedajesz, a także za ile, włącznie z podatkiem. Co kupiła przed psem?

– Miseczek do golenia w kształcie łabędzia – warknęła. – Początek XX wieku. Czterdzieści sześć dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Nie płaci się podatku, jeżeli towar przeznaczony jest na handel.

- A po psie?
- Abstrakcyjny obraz w hebanowej ramie. Ostre kolory na białym płótnie, z podpisem E.Billingsly. Ostateczna cena pi dziesi t dwa dolary siedemdziesi t pi ... – przerwała i uniosła r ce do ust. – O Bo e.
- Strzał w dziesi tk – mrukn ł Jed.
- Obraz – szepn ła przera ona. – Nie fotografia, obraz. To o niego pytał.
- Dowiedzmy si , dlaczego.
- Policzki Dory zbiełały; chwyciła Jeda za r k .
- Dałam go mojej matce – jej oł dek zalała fala mdło ci. – Dałam go mojej matce.
- Uwielbiam niespodziewanych go ci – Trixie zatrzepotała swoimi wspaniałymi rz sami i wzi ła Jeda i Brenta pod rami . – To cudownie, e zdołali cie znale odrobin czasu, by do mnie wpa .
- Mamo, my tylko na chwil – zacz ła Dora.
- Bzdura. – Trixie ju wyprowadziła obu m czynn z korytarza wielko ci znaczka pocztowego do pomieszczenia, które zwykła nazywa salonem.
- Musicie zosta na obiad. Carlotta na pewno przyrz dzi dla nas co pysznego.
- To bardzo miłe, pani Conroy, ale...
- Trixie – jej miech zabrzmiał jak krótki ptasi trel. Dotkn ła pieścotliwie piersi Brenta. – Pani Conroy jestem tylko dla obcych i wierzycieli.
- Trixie – Brent zaczerwienił si po uszy. Nigdy nie przypuszczał, e b dzie flirtowa z kobiet , która mogłaby by jego matk . – Naprawd si pieszymy.
- Po piech powoduje wrzody oł dka. Nikt w mojej rodzinie nie miał problemów z oł dkiem, z wyj tkiem drogiego wuja Willa, który strawił całe ycie na robieniu majtku, co nie sprawiało mu adnej przyjemno ci. Czy mógł pó niej zrobi co innego, ni zostawi mi te pieni dze? A my, oczywi cie,

czerpali my z nich bardzo wiele przyjemno ci. Prosz , prosz , siadajcie.

Wskazała im dwa masywne fotele przed kominkiem, w którym trzaskał wesoło ogie . Sama upozowała si na czerwonej aksamitnej sofie, niczym królowa zasiadaj ca na tronie.

– Jak czuje si twoja czaruj ca ona?

– Dzi kuj , dobrze. wietnie bawili my si na noworocznej zabawie.

– Było wesoło, prawda? – oczy jej błysn ły. Niedbale wsparła rami o oparcie sofy. Dojrzała Scarlett, zabawiaj ca w Tarze swoich zalotników. – Uwielbiam przyj cia. Isadoro, kochanie, zadzwo na Carlott , dobrze?

Zrezygnowana Dora poci gn ła za staro wiecki, szydełkowany sznur, zwisaj cy po lewej stronie kominka.

– Mamo, wpadłam, eby zabra obraz. Kto si nim... interesuje.

– Obraz? – Trixie zało yła nog na nog . Bł kitny jedwab powłóczyстых spodni zaszele cił. – Który obraz, kochanie?

– Abstrakcyjny.

– Ach, tak – całym ciałem zwróciła si do Jeda. – Zwykle preferuj rzeczy bardziej tradycyjne, ale w tym obrazie było co miałego i pełnego rozmachu. Nie dziwi si , e ci zainteresował. Pasuje do ciebie.

– Dzi kuj – domy lił si , e to komplement. W ka dym razie łatwiej było tak uwa a . – Bardzo lubi abstrakcyjny ekspresjonizm, na przykład Pollocka i jego skomplikowan rytmik linearn , jego manier atakowania płótna. A tak e energii i werw , powiedzmy Konincka.

– Tak, oczywi cie – zgodziła si Trixie z entuzjazmem, patrz c na niego błyszcz cymi oczami, cho nie miała poj cia, o czym mówi.

Jed zerkn ł z satysfakcj na czyste osłupienie maluj ce si na twarzy Dory. U miechn ł si chytrze i splótl r ce.

– I, oczywi cie, jest jeszcze Motherwell. Ta surowa kolorystyka i amorficzne formy.

– Geniusz – zgodziła się Trixie. – Skończony geniusz – nieco zbity z tropu obejrzała się w stronę korytarza, słysząc znajome kroki.

Pojawiła się Carlotta trzymając się pod boki. Za uniformę służyły jej czarne dresy. Była mała, krępa kobietką, przypominając pniak z ramionami. Jej ziemista twarz miała wyraz wiecznego niezadowolenia.

– O co chodzi?

– Prosimy o herbatę, Carlotta – zarządziła Trixie, nagle bardzo dystyngowanym tonem. – Najlepiej ulung.

Czarne małe oczka Carlotty zmierzyły całą grupkę.

– Zostaj na obiad? – spytała szorstkim i jakby egzotycznym głosem.

– Nie – odezwała się Dora.

– Tak – powiedziała jednocześnie nie jej matka. – Przygotuj obiad dla czterech osób, z łaski swojej.

Carlotta uniosła kanciastą brew.

– Więcej zjedz tu czyka. To przygotowałam; to zjedz.

– Na pewno będzie przepyszny. – Trixie skinęła ręką na Carlottę, odprawiając ją.

– Sama słodycz – mruknęła Dora, siadając na poręcz fotela Jeda. Już zrozumiała, że nie uda im się wyjść bez herbaty i tu czyka, ale przynajmniej chciała skupić uwagę matki na najważniejszej kwestii. – A obraz? Myślałam, że chcesz go tutaj powiesić.

– Chciałam, ale po prostu nie pasował. Jest zbyt wyzywający – wyjaśniła Jedowi, którego uznała za znawcę przedmiotu. – W salonie powinno się dać odpocząć moim. Przenieś mi go do sanktuarium Quentina. Mój mój uważa, że obraz będzie go ładował energią.

– Pójdź po niego.

– Wspaniała dziewczyna z tej naszej Isadory – powiedziała Trixie, gdy Dora znalazła się poza zasięgiem głosu. Uśmiechnęła się do Jeda, ale błysk wyrachowania nie zniknął zupełnie z jej oczu. – Taka bystra i ambitna. Jest oczywiście nadzwyczaj

zdecydowana, co oznacza jedynie, że potrzeba jej równie zdecydowanego mężczyzny. Sądzi, że kobieta, która prowadzi sklep, bardziej umiała równie skutecznie zajmować się domem i rodziną. Prawda, mój drogi?

Każda odpowiedź mogłaby zatrzęsnąć pałką.

– Sądzi, że Dora może robić wszystko, czego zapagnie.

– Bez wątpienia, Brent, twoja żona pracuje, prawda? I macie troje dzieci?

– To prawda – ponieważ Jed najwyraźniej znajdował się na torturach, Brent uśmiechnął się szeroko. – Utrzymanie wszystkiego w ryzach kosztuje nas trochę wysiłku, ale my to lubimy.

– A mężczyzna samotny, mężczyzna w pewnym wieku... – Trixie wbiła w Jeda wymowne spojrzenie. Ledwie pohamował rumieniec. – W życiu w rodzinie tylko mu służy. Towarzystwo kobiety, krzepi czy wpływ rodziny... Były kiedyś onaty, Jed?

– Nie – spojrzenie Jeda stwardniało, gdy do pokoju weszła Dora, niosąc obraz.

– Mamo, przepraszam, ale chyba bardziej musiała zjeść obiad sama. Zadzwoiłam do sklepu, żeby powiadomić ich, że wrócę trochę później, ale mają tam mały kłopot, z którym nie poradzę sobie bez Ciebie. Muszę natychmiast wracać.

– Och, ale kochanie...

– Wkrótce spotkamy się na obiedzie – pochyliła się i pocałowała policzek Trixie. – Chyba mam coś, co lepiej nada się do pokoju taty. Niech któreś z was wpadnie i rzuci na to okiem.

– Dobrze – Trixie odstawiła filiżankę, westchnęła wzdychając i wstała. – Skoro musisz, to musisz. Ale powiem Carlottcie, żeby zapakowała dla was obiad.

– Proszę, nie...

Trixie poklepała policzek Dory.

– Nalegam. To tylko chwila. Wyszła pośpiesznie. Dora westchnęła.

– Bardzo sprytnie, Conroy – Jed wziął z jej rąk obraz i przyjrzał mu się.

– Skoro mówimy o sprycie – odwróciła się, z zaciekawionym uśmiechem – amorficzne formy?

– Kiedy umawiałem się z malarką. Takie rzeczy się podchwytuje.

– Ciekawe, co podchwyciła ode mnie.

* * *

– Nawet nie lubiła tego czyka – powiedziała Dora, ale ugryzła kęs kanapki. Jedną czył włą nie wyjmowała płótno z ram.

– Podoba mi się, że tak posiekała jajka na twardo i pikle – Brent czył drugą kanapkę i westchnął z satysfakcją.

Zdecydowali się zażądać pokój Dory, ze względu na jego przestronność i dyskrecję. Nikt nie skomentował faktu, że Brent nie należał, by oddać mu obraz, i nie chciał zawiadomienia o tym swojego zwierzchnika.

Wszyscy rozumieli bez słów, że Brent nadal uważał Jeda za swojego kapitana.

– W ramie nic nie ma – Jed odłożył ją ostro nie. – Ale to jeszcze nic nie znaczy. Niech spojrzą na nich chłopcy z laboratorium.

– Nie może chodzić o sam obraz – Dora popiła tego czyka dietetyczną pepsi. – Malarz jest nieznany, sprawdziłam to nazajutrz, jak kupiłam, na wypadek gdybym trafiła na jakie zapomniane arcydzieło.

Jed odwrócił obraz w zamyśleniu.

– Płótno jest nacięte na dykt. Daj mi coś do podważenia, Conroy.

– Mylisz, że coś może być w środku? – odezwała się z kuchni, szperając w szufladach. – Pojemnik z narkotykami, nie, lepiej. Brylanty – wróciła ze rubinami – albo może rubiny. Są teraz cenniejsze.

– Zejdź na ziemię – poradził jej Jed i zaczął dłużyć z tyłu obrazu.

– To jest mo liwe – uparła si , zagl daj c mu przez rami . – To musi by co , dla czego warto zabi , a to przewa nie bywaj pieni dze.

– Przesta mi dmucha w kark – Jed odepchn ł j łokciem i zacz ł podwa a dykt .

– To mój obraz – wypomniała mu. – Mam dowód kupna.

– Nic – mrukn ł Jed, ogl daj c dykt . – adnych tajemnych schowków.

Dora rzuciła mu spojrzenie.

– Ale mogłyby by .

– Jasne – zignorował j i poklepał wewn trzn stron płótna.

– To dziwne. To płótno wygl da na solidnie stare – Dora odepchn ła go i przyjrzała si bli ej obrazowi. – Cho Billingsly mógł dla oszcz dno ci malowa na starym płótnie.

– Tak. A czasami na starych obrazach maluje si co , eby przeszmułowa je za granic .

– My lisz, e pod tym jest jaki stary mistrz? – Dora pokr ciła głow z rozbawieniem. – I kto tu powinien zej na ziemi ?

Ale on zwracał na ni tyle uwagi, co na brz cz c pod sufitem much .

– Musimy zedrze t farb i zobaczy , co si pod ni kryje.

– Zaraz, Skimmerhorn. Ja za to zapłaciłam. Nie pozwol ci tego zniszczy tylko dlatego, e podpowiada ci to twój policyjny nos.

– Ile? – odwrócił si do niej, kipi c z niecierpliwo ci i obrzydzenia. Zadowolona, e wreszcie poj ł, skrzy owała r ce na piersi.

– Pi dziesi t dwa dolary i siedemdziesi t pi centów. Wyci gn ł portfel, mruzc pod nosem i odliczył banknoty.

Dora przyj ła je. Tylko silne uczucie, jakim darzyła Jeda, powstrzymało j przed policzeniem pieni dzy.

– Plus koszta własne – powiedziała sucho. – I przyzwoity zysk. Razem równe osiemdziesi t i b dziemy kwita.

– Na miło bosk – wcisn ł jej w r k wi cej banknotów. – Ale ty jeste chciwa.

– Praktyczna – skorygowała i pocałowała go, by zakończyła transakcję. – Mam w magazynie coś, co się nam przyda. Wracam za sekundę.

Włożyła pieniądze do kieszeni i zbiegła po schodach.

– Kazała ci zapłacić – Brent, pełen podziwu, odchylił się na krześle. – I zarobiła na tobie dwadzieścia siedem dolarów. Myślałem, że artuje.

– W tym, czy Dora kiedykolwiek artuje na temat pieniędzy – Jedną cofnął się, wyjął papierosa i wbił wzrok w obraz, jakby mógł coś dojrzeć przez czerwone i niebieskie plamy. – Może i ma miłe serce, ale głowa ma jak rekin finansowy.

– Hej! – Dora kopnęła w drzwi – otwórzcie! Mam zajęte ręce.

Jedną uchylił drzwi. Dora wniosła do pokoju materiał ochronny, butelkę i kilka szmatek.

– Wiesz co, może lepiej wezwą jakiego eksperta. Moglibyśmy przezświetlić obraz promieniami rentgenowskimi czy czymś podobnym.

– Na razie sami się tym zajmijmy – rzucił szmatki na podłogę i wziął butelkę. – Co to?

– Płyn, którego używam, kiedy jakiś idiota namaluje coś na ścianie domu – uklękła i zaczęła zwijać dywan. – Musimy być bardzo ostrożni. Pomóż mi.

Brent był już obok niej, uśmiechając się na widok w ciekłej miny Jeda, który zauważył, na czym spoczywa jego wzrok. Kucnął i rozciągnął materiał ochronny.

– Wierz mi, już to robiłam – wyjąknęła. – Jaki filister pomalował precyzyjny stary kredens tak, aby pasował mu do wystroju jadalni. Zanim zrobiłam z nim porządek, minęły całe wieki, ale warto było – przysiadła na piętach i odgarnęła włosy z oczu. – Chcesz, abyśmy spróbowała?

– To ja za niego zapłaciłem – przypomniał jej Jed. – Teraz jest mój.

– Ja tylko oferuję pomoc – wręczyła mu szmatkę. – Na twoim miejscu zacząłabym od rogu. Na wypadek, gdyby coś popsuło.

– Niczego nie popsuj – ale kiedy klknął obok niej, rzeczywiście zaczął od rogu. Zmoczył szmatkę i powolnymi, delikatnymi okrężnymi ruchami startł czupki podpisu.

– egnaj, Billingsly – mruknęła Dora.

– Zamilcz, Conroy – znów zmoczył szmatkę i delikatnie startł biały skorup podkładu.

– Tu co jest.

– artujesz – Dora przysunęła się bliżej, kipiła z podniecenia.

– Co to jest? Nie widzę – usiłowała dojrzeć co przez jego ramię, ale dał jej sówkę w bok – Skimmerhorn, do cholery, ja tylko chcę spojrzeć.

– Wynocha – z napiętymi mięśniami delikatnie usunął widoczną podkładu. – Ale znalezisko – mruknął. – Sukinsyn.

– Co? – Dora, nie zgadzając się na odstąpienie jej na boczny tor, szarpała go dopóty, dopóki nie pozwolił jej kucnąć przy rogu obrazu. – Monet – szepnęła tonem, jaki przybiera się w kośćce – Claude Monet. O mój Boże, kupiłam Moneta za pięćdziesiąt dwa dolary i siedemdziesiąt pięć centów.

– To ja kupiłam Moneta – przypomniał jej Jed. – Za osiemdziesiąt.

– Dzieci – Brent położył ręce na ich plecach. – Nie jestem jakimś szczególnym znawcą sztuki, ale nawet ja znam tego faceta i nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł namalować jakieś abstrakcyjne gówno na tym skarbie.

– Chyba, żeby chciałby go przeszmygłować – dokończył Jed.

– Właśnie. Sprawdź, czy w ostatnich miesiącach były jakieś kradzieże obrazów.

– Ten mógł pochodzić z prywatnej kolekcji – palce Dory zawisły nad podpisem Moneta, ale nie dotknęły go. – Nie rusz go, Jed. Mógłby go zniszczyć.

Miała rację. Jed pohamował niecierpliwą i odłożył szmatkę.

– Znam kogoś, kto zajmuje się pracami konserwatorskimi. Ona może ci tym pomóc i nie rozpowie o tym.

– Stara przyjaciółka? – zagadnęła Dora.

– Nie jest stara – nie wiadomie pogładził Dor po włosach i zatrzymał palce na jej karku. Obejrzał się na Brenta.

– Musisz o tym zameldować Goldmanowi.

– To będzie następny krok.

Jed spojrzał na podpis mistrza, położyłony na mglistej zieleni.

– Nie powinienem prosić, ale poproszę.

– Ile czasu ci potrzeba? – spytał Brent, uprzedzając go.

– Tyle, żeby sprawdzić dom aukcyjny w Wirginii i znaleźć jakiś ład – powiedział spokojnie.

Brent skinął głową i wziął swój płaszcz.

– Sprawdziłem już DiCarla. Policja z Nowego Jorku donosi, że przez kilka dni nie pojawiał się w swoim mieszkaniu. Sprawdzaj to, i pilnuj bezpieczeństwa filadelfijskich kobiet i dzieci mogłem zapomnieć o paru drobniactwach. Zrobiłby mi przysług, gdyby zdołał powiścić porcelanowe figurki psa i obraz. Zadzwoń do mnie.

– Dobrze.

– I uważaj na siebie. Na razie, Doro.

– Cześć, Brent – na chwilę zamarła w miejscu – ile dla ciebie ryzykuje?

– Do ciebie o.

– Wić lepiej dopilnujmy, żeby tego nie stracił.

– My? – chwycił ją za rękę, kiedy podniosła się z podłogi. – Nie pamiętam tam niczego o „nas”.

– Wić masz sklerozę. Może zadzwonisz do swojej przyjaciółki malarki, a potem zarezerwujesz dla nas miejsce w samolocie do Wirginii? Spakuj się w cięgu dziesięciu minut.

– Nie ma na świecie kobiety, która mogłaby się spakować w dziesięć minut.

– Skimmerhorn – spojrzała na niego przez ramie, idąc w stronę sypialni – urodziłam się na trasie. Nikt nie pakuje się szybciej niż aktor przed premierą.

– Nie chcę, żeby jechała ze mną. Może by niebezpiecznie.

– Wietnie, sama kupi bilet.

– Niech cię diabli, jaka ty upierdliwa.

– Ju to słyszałam. Ach, i zarezerwuj pierwsz klas , dobrze?
Nie lubi tłoku.

* * *

Winesap zapukał delikatnie do drzwi gabinetu Finleya. Wiedział, e pracodawca wła nie zako czył czterdziestopi ciominutow telefoniczn konferencj i nie miał pewno ci, w jakim zastanie go nastroju. Ostro nie wsun ł głow do pokoju. Finley stał przy oknie, zało ywszy r ce do tyłu.

– Prosz pana?

– Abel. Pi kny mamy dzi dzie , prawda? Pi kny.

Dr cy oł dek Winesapa uspokoił si niczym jezioro po burzy.

– Tak, prosz pana, istotnie.

– Jestem szcz liwym człowiekiem, Ablu. Oczywi cie sam do tego doprowadziłem, co czyni dla mnie t sytuacj jeszcze słodsz . Ile z osób tam, na dole, lubi własn prac , jak s dzisz? Ilu z nich wraca do domu po dniu pracy z uczuciem spełnienia? Tak, Ablu, jestem człowiekiem szcz liwym – odwrócił si z twarz wykrzywion w u miechu. – A co mog zrobi dla ciebie?

– Przyniosłem dossier Isadory Conroy.

– Znakomita robota. Znakomita – skin ł na Winesapa, zapraszaj c go do rodka. – Bardzo ci ceni , Ablu – si gaj c po teczk , Finley u cisp ł drug r k ko ciste rami Winesapa. – Bardzo. Chciałbym teraz okaza ci moje uznanie – otworzył szuflad i wyj ł z niej aksamitne pudełko.

– Dzi kuj panu – Winesap, pokorny i wzruszony, uniósł wieczko. – Och, prosz pana – powiedział zdławionym głosem. Gardło cisp ło mu si , poniewa nie miał poj cia, na co patrzy.

Wygl dało, jak jaka ły ka z du główk i krótkim trzonkiem w kształcie orła.

– Bardzo si ciesz , e podoba ci si . Wybrałem j z mojej kolekcji ty ek do herbaty. Uznałem, e stop cyny z ołowiem

pasuje do ciebie najlepiej. Mocny, trwały materiał, cz sto niedoceniany.

– Dzi kuj panu. Dzi kuj . Nie wiem, co powiesz .

– Nic takiego – Finley zlekcewa ył jego wdzi czno . – To tylko dowód tego, jak bardzo ci cenisz – usiadł i przyło ył palec do ust – dobrze mi słuysz, Ablu, a lojalnie wynagradzam tak samo, jak karzę zdrad . Szybko, precyzyjnie i dokładnie. Przez nast pn godzin nie przyjmuj telefonów.

– Tak jest, prosz pana. Jeszcze raz dzi kuj .

Ale Finley ju zapomniał o nim, szybko, precyzyjnie i dokładnie. Otworzył teczk i skoncentrował si na Isadorze Conroy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lodowaty deszcz m ył słabo, kiedy Jed jechał przez Front Royal. Pogoda była ohydna przez cały lot z lotniska w Filadelfii do Dulles i wygl dało na to, e taka pozostanie. Klimatyzacja w wynaj tym samochodzie pracowała na dwóch szybko ciach: szybko jak piorun i wolno jak limak. Za ka dym razem, gdy Jed usiłowal j uruchomić, wn trze wozu zmieniało si w małą , ale skuteczną saunę .

Dora zabawiała go po drodze rozmowami , a jej łagodny głos i lekkie uwagi rozlu niały go. Nie musiał odpowiadać , nie musiał nawet słuuchać . Umiała przekazać mu swój nastrój nawet wtedy, kiedy zastanawiał si , co ma zrobić dalej.

– Gdyby kiedykolwiek zaj łła si oddziaływaniem na pod wiadomo , zbiłaby na tym maj tek.

– Naprawdę ? – Dora opu ciła osłon przeciwsłoneczną i spojrzwała w przytwierdzone w niej lustro, poprawiając szminkę na ustach.

– Teraz dwa razy w prawo – powiedziała i zakręciła szminkę.
– Na zapleczu jest parking.

– Skoro jest tu znak i strzałka, to chyba sam bym się domyślił.

– Ci głębiej się wkurzasz, bo spakowałam się szybciej, niż ty.

– Wcale się nie wkurzam.

– Właśnie nie, ale tak – poklepała go po ramieniu, uśmiechając się promiennie. – Ludzka rzecz. I to, ale uparłam się prowadzić, choć ja znam drogę, to też ludzka rzecz. Mnie to nie przeszkadza. Uwaga, ale to urocze.

– Uparłam się, bo nie wiedziałem, czy to twoje gadanie o powłocie ozonowej i Z.Z.Top nie skończy się katastrofą.

– Ach – pochyliła się i pocałowała go w policzek. – Wiem, słuchaj.

– Nadal dzwoni mi w uszach – Jedną wcisnął się obok sfatygowanej furgonetki Forda. – Zapamiętaj sobie, Conroy, nie przyjechała tu po zakupy.

– Wiem, wiem – zatoczyła oczami. Jedną wysiadł z samochodu.

– I to ty zadajesz pytania – ciągnęła dalej. – Mam stać dwa kroki za tobą jak grzeczna dziewczynka i trzymać buzią na kłódkę.

Zaczekał, aż zatrzyma drzwi.

– Dokładnie tak – popatrzył na nią, zaczynając mówić w deszczu. – To ładna buzia, mimo że prawie się nie zamyka.

– O, moje serce zadrżało ze szczęścia – wzięła go pod rękę i ruszyli do tylnego wejścia. – W środku nie będzie ciepło – powiadomiła go, otwierając skrzypiące w zawiasach metalowe drzwi. – Ale będzie sucho. Pan Porter ma skłonność do skrajnej oszczędności. Adnych fanaberii, adnych błyszczących wystaw, a za to parę korzystnych transakcji – odetchnęła głębiej; jej spojrzenie zabłysło – Bo, spójrz na to wszystko.

Spojrzał. Ale zobaczył tylko rzędy zakurzonych mebli i brudne szklane półki pełne starzyzny. Były tu splątane kłębki i uterii, lepkiej od brudu i zmatowiałej od zaniedbania. Jedna szafka miała w sobie wciąż cznie pieprzniczki i solniczki, inna – zbiór butelek, z których jedna nie była specjalnie czysta. Był tu komplet pokrywek Shrinera, bez troski ustawiony na

sfatygowanym automacie z gum do ucia, a tak e kilka tekturowych pudeł, wypchanych ksi kami w broszurowym wydaniu po dziesi centów za sztuk .

– To chyba wydanie Maxfielda Parrisha.

Ale zanim zd yła si ruszy , Jed złapał j za rami . Z błysku w jej oczach wywnioskował, e przeprowadzenie jej miedzy tym wszystkim, b dzie przypominało spacer po roz arzonych w glach. Trzeba to zrobi szybko i nie ogl da si za siebie.

– Gdzie s biura?

– Z przodu, na prawo. Jed, chciałabym tylko spojrze ...

Ale on ju ci gn ł j za sob , opieraj c si niczym szczeniak walcz cy ze smycz .

– We si w gar , Conroy. R ce ci si poc .

– To prawdziwe okrucie stwo – mrukn ła. Ale uniosła brod – na pewno nie chcesz, ebym porozmawiała z Porterem? Jak handlowiec z handlowcem?

– Powiedziałem, e to ja b d mówi .

– Testosteron w akcji – mrukn ła Dora pod nosem.

Kiedy dotarli do biura, okazało si , e jest otwarte, ale puste. Jed uznał, e jest to jedyne miejsce w tym budynku, które w ci gu ostatnich dziesi ciu lat miało kontakt ze cierk i szczotk . W odró nieniu od bałaganu panuj cego w sklepie, biurko było l ni ce i uporz dkowe, a półki szafek czyste i dokładnie zamkni te. W powietrzu unosił si ulotny cytrynowy zapach wosku w sprayu.

– Zmieniło si tu od mojej ostatniej wizyty – Dora zajrzała ciekawie do rodka. Na suszce do atramentu nie było ani jednego kleksa, a w lewym rogu biurka stał ładny porcelanowy wazon ze wie ymi szklarniowymi ró ami. – Poprzednio na cianie wisiał kalendarz z panienkami rocznik tysi c dziewi set pi dziesi t sze , a reszta pokoju wygl dała, jakby wybuchła tu mała bomba. Pami tam, e zastanawiałam si , jak mo na pracowa w takim chaosie – pochwyciła ironiczne spojrzenie Jeda i wzruszyła ramionami. – Mój chaos jest zorganizowany – rozejrzała si próbu j c nie zwraca uwagi na stół z towarem. – Mo e Porter

gdzie się tu kręci. Niełatwo go zauważyć. Wygląda trochę jak fretka.

– Czym mógł być? Jed położył dłoń na ramieniu Dory, by ją uciszyć i zwrócił się do schludnie ubranej kobiety w okularach wiszących na złotym łańcuszku.

– Chcielibyśmy pomówić z panem Porterem.

Oczy Helen Owings zamglily się i alarmująco szybko wypełniły gorącymi łzami.

– Och – powiedziała i zaczęła szuka chusteczki. I znowu: – Och kiedy osuszyła strumienie łez.

– To straszne – zanim Jed zdążył zareagować, Dora już prowadziła go pod ręką w stronę biura i krzesła. – Przynieś pani wody?

– Nie, nie – Helen pocignęła nosem i zaczęła drzeć mokre chusteczki na drobne strzępki. – To tylko szok, to, co zapytali cie o niego. Pewnie nie wiedzieli cie.

– Nie wiedzieliśmy o czym? – Jed cicho zamknął drzwi i zaczekał na odpowiedź.

– Sherman... Pan Porter nie żyje. Został zamordowany – usta Helen zdrętały, choć ostatnie słowo było pełne wyrazu.

– O Boże – Dora rozejrzała się za krzesłem dla siebie, czując w głowie powolne, mdlące wirowanie.

– Tu przed Bożym Narodzeniem – Helen wydmuchnęła nos w coś, co zostało z chusteczki. – To ja go znalazłam. Tam – wskazała biurko.

– Jak zginął? – zapytał Jed.

– Zastrzelony – Helen zakryła twarz dłonią, a potem splótła je podłokiem. – Przestrzelili mu głowę. Biedny, biedny Sherman.

– Czy policja ma jakich podejrzanych? – chciał wiedzieć Jed.

– Nie – Helen westchnęła i przywołała na pomoc resztki opanowania. – Chyba nie mogła znaleźć żadnego motywu. Nie ukradziono niczego, co moglibyśmy zauważyć. Nie było żadnych... oznak walki. Przepraszam panie...

– Skimmerhorn.

– Panie Skimmerhorn. Znał pan Shermana?

– Nie – przez chwilę zastanawiał się, ile jej powiedzie. Jak zwykle zdecydował, że im mniej, tym lepiej. – Panna Conroy prowadzi sklep w Filadelfii. Chodzi nam o pewne przedmioty, które zakupiła tu na aukcji dwudziestego pierwszego grudnia.

– Na naszej ostatniej aukcji – głos się jej załamał. Odetchnęła głębiej i wyprostowała ramiona, wyraźnie walczyła o zachowanie spokoju. – Proszę mi wybaczyć moje zachowanie. Dopiero wczoraj zaczęli my znów pracować i jestem jeszcze roztrzęsiona. Czy macie jakiś problem?

– Pytanie – Jedu niech się czaruj co i ze współczuciem. – Panna Conroy kupiła tu dwa przedmioty. Interesuje nas, gdzie i w jaki sposób je zdobyliście.

– Czy mogłaby zapytać, dlaczego? Zwykle nie ujawniamy naszych ról. Przecież inny kupiec mógłby ujawnić się przed nami i przeliczyć nas.

– Chcielibyśmy wiedzieć coś więcej o pochodzeniu tych przedmiotów – uspokoił ją. – Nie zamierzamy wykorzystywać waszego ródła zaopatrzenia.

– No.... – nie było to w zupełnej zgodzie z przepisami, ale Helen była pewna, że nie przyniesie to żadnej szkody. – Może byś mogła nam pomóc. Pamiętasz numery aukcyjne? F Pi tna cię i osiemna cię – powiedziała Dora głosem bez wyrazu. Pamiętała coś jeszcze, coś od czego jej odepnęła się do góry nogami. Ale kiedy Jed wyszeptał jej imię, potrząsnęła głową,

– F pi tna cię i osiemna cię – powtórzyła Helen, przyjmując z wdziękiem cię nadarzący się jej jakiś zajęcie. Podeszła do kartoteki. – A tak, dział F nadszedł z Nowego Jorku. Mała wyprzedza – uśmiechnęła się i położyła akta na biurku. – Mówi ci szczerze, panie Skimmerhorn, wiemy, że z nich została chyba kupiona na straganie. Pamiętam, że ich jako nie dorównywała – moim oczekiwaniom. Conroy... tak, kupiła pani dwie pozycje, Niestety, chyba nie mogłaby pani o nich za wiele powiedzieć. Ja...

Przerwała, słysząc pukanie do drzwi,

– Panno Owings?

– Tak, Richie?

– Mamy tu problem z tym wczesnoamerykańskim naczyniem do nalewek. Klienci się spieszą.

– Dobrze, powiedz im, że już idę. – Helen wstała, przyglądała włosy i poprawiała spódnicę. – Przepraszam na chwilę.

Jed czekał, a drzwi zamknęły się za nimi i sam zajął się aktami. Przejrzał listy, spis inwentarza, ceny, a potem po prostu zabrał to, co wydawało się mu istotne,

– Co ty wyprawiasz? – chciała wiedzieć Dora. – Tak nie można.

– Oszczędzimy sobie czasu. Chodź.

– Zna moje nazwisko.

Więc zrobimy kopie dokumentów i odelemy jej oryginały – złapał ją mocno za rękę, choć tym razem nie było to konieczne. Nie zamierzała się ociągać ani zostawać w tyle, by obejrzeć jakiś zakurzony skarb. Kiedy siedzieli już w samochodzie, Jed ujął ją pod brodę,

– Dobra, teraz mów. Weszła tam biała jak przez cieradło.

– Przypomniam sobie pana Ashwortha. Mówiłam ci o nim. To ten właściciel sklepu, którego wtedy spotkałam na aukcji. Kupił jeden przedmiot z tej partii towaru.

– Ten, którego zabił włamywacz – mruknął Jed. – Mówiła, że ma tu gdzieś sklep.

– Tak, parę kilometrów stąd.

– Więc tam udamy się następnie – zapalił silnik. – Dasz rad?

– Tak. Ale najpierw chcę wysiadać i zadzwonić do sklepu.

– Nie było ci zaledwie od paru godzin, Conroy. Poradz sobie bez ciebie.

– Nie chcę, żeby Terri i Lea przebywały w tym miejscu – zacisnęła zęby i spojrzała przed siebie. – Chcę, żeby zamknęły sklep.

– Dobrze – ujął jej rękę, zimną i sztywną. – Dobrze.

Choć na wszelki wypadek Jed zabrał ze sobą rzeczy potrzebne mu na noc, miał jednak nadzieję, że zdoła wrócić z Wirginii w

ci gu jednego dnia. Po odwiedzeniu sklepu Ashwortha nie było ju jednak o tym mowy.

Dora potrzebowała odpoczynku, a on zamierzał dopilnować, eby go miała.

Milczała, kiedy zameldował si w hotelu kolo lotniska. To, e prawie nie odzywała si przez cał drog w deszczu z Front Royal, martwiło go niemal tak samo jak informacja, któr otrzymali od wnuka Toma Ashwortha. Oprócz tego, e Ashworth został zamordowany, a włamywacz poczynił w sklepie ró ne szkody, została skradziona figurka.

Jed otworzył drzwi hotelowego pokoju, odstawił torby na bok i wskazał Dorze krzesło.

– Siadaj. Musisz co zje .

– Nie jestem głodna.

– Owszem, jeste – podniósł słuchawk i zamówił dwa steki, kaw i butelk brandy, nie pytaj c Dory o zdanie. – Za pół godziny – powiedział, odkładaj c słuchawk – co prawdopodobnie oznacza czterdzie ci minut. Masz czas, eby si poło y .

– Ja... – spojrzała t po na łó ko – chyba si wyk pi .

– wietnie. Nie spiesz si .

Wstała, wzięła swój torb . Nie spojrzała na niego.

– Czy ty niczego nie czujesz? – spytała łami cym si ze zm czenia głosem. – Troje ludzi nie yje. Na razie troje. Mo e by ich wi cej. Ludzie, na których mi zale y, mog by w niebezpiecze stwie, poniewa dla mnie pracuj . A ty zamawiasz kolacj . Nie boisz si ? Nie jest ci niedobrze? W ogóle niczego nie czujesz?

Ostatnie pytanie wisn ło niczym bat. Dora przycisnęła torb do piersi i zmusiła si , by spojrze na twarz Jeda. Popatrzył jej prosto w oczy.

– Owszem, co czuj . Czuj si wkurwiony. Wyk p si , Doro. Prze sta na chwil o tym my le .

Odwróciła si ze znu eniem.

– W ten sposób nic z tego nie wyjdzie.

Cicho zamknęła za sobą drzwi. Za chwilę usłyszała wpuszczaną do wanny wodę.

Zapalił papierosa, klnąc cicho nad stawianymi mu opór zapalkami. Zawiodł ją, to właśnie nie wyczytał z jej oczu, kiedy wreszcie na niego spojrzała. A to, co o nim myślała, co do niego czuła, jak na niego patrzyła, znaczyło dla niego wiele, może nawet zbyt wiele.

Ona znaczyła dla niego zbyt wiele.

Podszedł do drzwi łazienki, podniósł dłoń, by zapukać. Potem opuścił ją. Nie ma tu nic do gadania, pomyślał. Pora zacząć działać. Wrócił do telefonu i wykręcił numer Brenta.

– Porucznik Chapman.

– Tu Jed.

– I co działo się?

– Kilka trupów – Jed wydmuchnął dym i odruchowo zniżył głos. – Sherman Porter, właściciel domu aukcyjnego, w którym Dora kupiła obraz i psa. Zastrzelony w swoim gabinecie tu przed Bożym Narodzeniem. Moim zadzwonił do tutejszej lokalnej policji i zapytał o szczegóły.

– Robi się.

– Ashworth Thomas, lokalny sprzedawca antyków, zamordowany przez włamywacza mniej więcej w tym samym czasie co Porter. Był na aukcji razem z Dorą, kupił porcelanowe figurynki. – Jed sprawdził listę. – Mężczyzna i kobieta, około dwu stóp wysoko ci, w strojach z epoki. Sprzedawca wojny secesyjnej. Nie cieszył się nią długo.

– Warto?

– Znikoma. Sprawdziłem, co jeszcze było w tej partii towaru i kto kupił resztę.

– Nie nudziło się, kapitanie. Przeczytaj mi to, ale zwolnij. Nie stenografuj najlepiej.

Kiedy Jed dotarł do końca listy, rozgniół papierosa.

– Dobrze by było, gdyby wziął swoich ludzi do galopu.

– Nie musisz mi tego mówić.

– Towar nadszedł z Nowego Jorku, prawdopodobnie z jakiej wyprzedaży, ale kobieta z domu aukcyjnego mówiła, że to tandeta, nie całkiem to, czego się spodziewała. Mam nazwisko faceta, który to przesłał. Jutro sprawdź go osobiście.

– Podaj mi jego nazwisko. Na wszelki wypadek my też go sprawdzimy.

– Franklin Flowers, adres brookliński. Co nowego o pani Lyle?

– Jej stan zaczyna się stabilizować. Nie pamięta nic ponadto, co nam powiedziała.

– Obraz?

– Twoja stara przyjaciółka pracuje nad nim. Miło pomyśleć, że pracuje w domu twojej babki – głos Brenta rozjaśnił się odrobinę rozbawieniem. – Twoja babka powiedziała mi, bez ukrytych znaczeń, że tego procesu nie wolno przyspieszać.

– Kto jej pilnuje?

– Dwa czy cztery godziny na dobę. Musiałem trochę zamydlić Goldmanowi oczy, wywiadczy mi trochę przysług. Raporty służyć będą plus pturki i kawa z mleczkiem. Nie zaszkodzi, gdybym sam mu je przyniósł. Podaj mi swój numer, może coś znajdziesz dzisiaj.

Jed odczytał numer widniejący na telefonii.

– Zaczyna się robić coś?

– Nie aż tak, żeby nie mógł sobie z tym poradzić. Goldman uznał, że interesuje go zabójca Trainora. Wystąpił przed sądem. Wiesz: „Kiedy zabijasz jednego z moich ludzi, nie spocznesz, póki zabójca nie stanie przed obliczem sprawiedliwości”. Film o jedenastej.

– Rzucimy mu Di Carla pod nogi.

Niesmak w głosie Jeda napełnił Brenta nadzieją.

– Jeśli go znajdziemy. Zdaje się, że nasz przyjaciel zapadł się pod ziemię.

– Wić go stamtąd wykopie. Zadzwoń do ciebie z Nowego Jorku. Odwiesił słuchawkę, oparł się o wezgielnicę i zapalił kolejnego papierosa. Woda przestała już płynąć. Miał

nadziej , e Dora le y teraz w wannie, zamkn ła oczy i nie my li o niczym.

Dora rzeczywi cie le ała w wannie. Zamkn ła oczy, pozwalaj c gor cej wodzie i płynowi do k pielii powoli rozlu nia jej ciało. Ale umysł nie dawał si uspokoi . Ci gle widziała, jak oczy Helen Owings wypełniaj si łzami. Słyszała głos Thomasa Ashwortha III, załamuj cy si , kiedy mówił o swoim dziadku. Ci gle pami tała, jak blado i mizernie wygl dała pani Lyle, le ca na szpitalnym łó ku otoczonym aparatur .

Nawet ciepło wody nie pozwoliło jej zapomnie , jak zimna była lufa pistoletu przyci ni tego do jej piersi.

I gorzej, ci gle słyszała pozbawiony wyrazu i uczu głos Jeda, pytaj cego o ofiary, nadal widziała jego oczy, tak wspaniale bł kitne i niewzruszone. Ani upału, ani lodu, adnego współczucia.

Czy to równie nie był rodzaj mierci? pomy lała. Nie czu niczego, nie, poprawiła si , nie pozwala sobie na odczuwanie czegokolwiek. I jeszcze gorzej. Umie pozwoli sobie na stanie z boku i obserwowanie innych, na drobiazgow analiz bez adnego alu.

Mo e myliła si co do niego. Mo e naprawd nic go nie dotykało, nic nie przebijało tych szczelnych powłok oboj tno ci i zimnego obiektywizmu.

Wykonywał tylko swój zawód, składał fragmenty układanki, ale aden z nich nie znaczył dla niego nic wi cej poza kolejnym krokiem w kierunku rozwi zania.

Le ała w wannie tak długo, a woda zacz ła stygn . Odwlekaj c chwil , w której b dzie musiała znowu spojrze mu w oczy, wytarła si starannie, nało yła na skór krem. Upu ciła r cznik na ziemi i si gn ła po szlafrok.

Jej r ka zawahała si , a potem musn ła soczyst ziele szlafroka. Pozwoliła sobie zapomnie o tej jego stronie. O stronie łagodnej, mo e i szorstkiej, ale mimo to yczliwej.

Westchn ła cicho i otuliła si szlafrokiem. To moja wina, pomy lała. Zawsze szukała czego wi cej, a je li nie mogła tego

dosta , czuła si zawiedziona. Ale usi i przypi si pasem
bezpiecze stwa jest tak strasznie trudno. Tak cholernie trudno.

Otworzyła drzwi, pozwalaj c, by fala pary i zapachu
przenikn ła do pokoju. Jed stał przy oknie, patrz c na deszcz.
Nakryty na dwie osoby wózek z kolacj stał obok niego. Jed nalał
ju sobie fili ank kawy i podniósł j do ust, spogl daj c w jej
stron .

Jej widok był jak cios w splot słoneczny. K piel przywróciła
kolor jej policzkom, ale jej skóra nadal m yła delikatnym
blaskiem zm czenia. Nieporz dnie spi te włosy były wilgotne od
pary. I, zupełnie nagle, powietrze wypełniło si jej zapachem.

Przygasił wiatło, nie dla uzyskania atmosfery, ale dlatego, e
chciał jej sprawi ulg . W mroku wygl dała krucho i licznie, jak
kwiat zatopiony w szkle.

Zmusił si , by nie odrywa fili anki od ust, i poci gn ł
gł boki łyk.

– Kolacja ju jest – powiedział, odstawiaj c fili ank . –
Zjedz, póki gor ce.

Teraz jego spojrzenie nie jest puste, zauwa yła. Ani oboj tne.
W jego oczach zobaczyła co wi cej ni po danie, co bardziej
prymitywnego, bardziej gwałtownego. Był to głód kobiety. Jej.

– Chcesz mi to ułatwi ... dlaczego nie zauwa yłam tego
wcze niej? – powiedziała.

– Daj ci tylko co do jedzenia, to wszystko – chciał odsun
krzesło, ale ona podeszła do niego. Jej ramiona oplotły go, ciało
przywarło do niego, ukryła twarz w jego szyi. Teraz nie mógł ju
nie ofiarowa jej wszystkiego, co miał. Obejmował j , głaskał jej
plecy i patrzył na strugi deszczu na szybie.

– Bałam si – szepn ła.

– Nie musisz si ba – jego u cisk zacie nił si odrobin i
znów osłabł. – Nic ci si nie stanie.

– Bałam si o co wi cej. Bałam si , e nie b dzie ci przy
mnie, eby mnie obj , kiedy b d tego potrzebowała. Albo je li
b dziesz, zrobisz to, bo to cz twoich obowi zków, od których
nie mo esz si gładko wykr ci .

– Głupia jeste . Nigdy niczego nie robi gładko.

Roze miała si krótko, zaskoczona, e była w stanie to zrobi .

– Wiem. Wiem o tym. Ale widzisz, weszłam ci w drog – przechyliła głow , by widzie jego twarz, by zobaczy na niej to, co chciała zobaczy . – Zmusiłam ci , eby czuł co , czego czu nie mo esz, je li masz robi to, co musisz. Chciałam, eby czuł do mnie to, czego ty nie chcesz czu .

– Nie wiem, co czuj do ciebie.

– I o tym te wiem – uniosła dło do jego policzka, cieraj c z niego napi cie. – Teraz mnie pragniesz, i to nam wystarczy – dotkn ła jego ust, powoli pogł biaj c pocałunek. – Kochaj si ze mn .

dza przeszyla go na wylot.

– Nie tego teraz ci potrzeba.

– Wła nie, e tego – poci gn ła go w kierunku łó ka. – Wła nie, e tego.

* * *

Pó niej zwin ła si obok niego w kł bek, nasycona i pi ca. Był taki łagodny, pomy łała. Taki cierpliwy. I, wiedziała o tym, pochłoni ty ni . Nie tylko ona zapomniała na krótk chwil , po co tu przyjechali. Dał jej wszystko, o co prosiła, przyj ł wszystko, co chciała mu da . Teraz słuchała szmeru deszczu i zapadła w odr twienie granicz ce ze snem.

– Jedzenie wystygło – powiedział Jed – ale i tak musisz zje . Kiedy tu weszli my, wygl dała , jakby si miała przewrócić .

– Ju mi lepiej – u miechn ła si , kiedy wzi ł j za r ce. Coraz cz cie j mu si to zdarza, pomy łała. Ciekawe, czy zdaje sobie z tego spraw .

– Powiedz, co teraz zrobimy.

– Rano pojedziemy do Nowego Jorku.

– Powiedziałe „my” – przytuliła si do niego. – Robisz post py, Skimmerhorn.

– Oszcz dzam sobie kłótni.

- Mhm. Lubisz moje towarzystwo. Mógłby to przyzna .
- Lubi twoje towarzystwo w łó ku. Poza nim jeste utrapieniem.
- By mo e, ale to lubisz – uniosła si , przeci gn ła dłoni po potarganych włosach.
- Sprawiasz, e czuj si lepiej. Przesun ł palcem po jej sutce.
- Cała przyjemno po mojej stronie. Roze miała si i odrzuciła włosy do tyłu.
- Nie o to chodzi, cho było niesamowicie – u miechn ła si łagodnie i potarła kostkami o jego brod . – Ja te lubi twoje towarzystwo.
- Złapał j za nadgarstek i przytrzymał.
- Mo e nie powinna . Mo e powinna wia , ile sil, w przeciwnym kierunku.
- Nie s dz .
- Nie znasz mnie, Doro. Nie masz poj cia, sk d pochodz , i nie rozumiałyby , gdyby wiedziała.
- Wypróbuj mnie.
- Potrz sn ł głow i zacz ł wstawa .
- Wypróbuj mnie – powtórzyła. Zabrzmiało to jak wyzwanie.
- Jestem głodny – wło ył d insy i odwróciwszy do niej tyłem, zdj ł pokryw k z zimnych steków.
- W porz dku. Mo emy rozmawia jedz c.
- Była to okazja, której nie mogła zmarnowa . Wło yła szlafrok i usiadła za wózkiem z kolacj . Była tylko jedna fili anka. Pewnie, pomy lała, s dził, e kawa mnie obudzi, a on chciał, ebym spała. Nalała sobie troch kawy do kieliszka i wypila j , gorzk i zimn .
- Wi c sk d pochodzisz, Skimmerhorn?
- Ju teraz ałował tego, co powiedział, a co postawiło go w takiej sytuacji.
- Z Filadelfii – powiedział tylko i zaj ł si swoim stekiem.
- Z bogatej Filadelfii – poprawiła go. – O tym ju wiem. A wi c to ona zacznie.

– Wiem te , e obie strony były maj tne, a mał e stwo twoich rodziców było rodzajem układu na wysokim szczeblu – posoliła swój stek. – I e cz sto kłócili si publicznie.

– Odk d pami tam, nienawidzili si wzajemnie – wzruszył ramionami, ale w jego ruchach kryło si napi cie. – Masz racj z tym układem. adne z nich nie zamierzało zrezygnowa z poł czenia fortun, wi c przez dwadzie cia siedem lat yli we wzajemnym obrzydzeniu i wrogo ci. I jak na ironi , by mo e na szcz cie, umarli razem, kiedy kierowca stracił panowanie nad ich limuzyn i spowodował wypadek.

– Straci ich w ten sposób musiało by dla ciebie okropne.

– Nie – podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. – Wcale nie. Kiedy yli, nie czułem do nich niczego z wyj tkiem lekkiego obrzydzenia. Mówiłem ci, e nie zrozumiesz.

Przez chwil jadła w milczeniu, poniewa jedzenie wypełniało chwile milczenia.

– Chyba si mylisz. Tak s dz . Nie szanowałe ich i gdzie po drodze przestałe ich kocha .

– Nigdy ich nie kochałem.

– Ale kochałe . Dziecko zawsze kocha rodziców, dopóki jego miło nie zostanie odtr cona, a cz sto kocha ich nawet wtedy. Ale je li przestałe ich kocha , wida musiałe to zrobi . Wi c kiedy umarli, to, co wtedy czułe , je li w ogóle co czułe , było poczuciem winy, e nie czujesz nic wi cej – przerwała i zmierzyla go wzrokiem – mam racj ?

Trafiła w dziesi tk , ale nie był w stanie tego przyzna .

– Mieli dwoje dzieci, których specjalnie nie pragn li – ci gn ł. – Elaine i mnie, eby zapewni ci gło rodu. Kiedy byłem dzieckiem, bez przerwy mi to mówili.

Nosisz nazwisko Skimmerhornów. Jeste jego dziedzicem. Mógłby chocia nie by taki głupi. Oka wreszcie jak wdzi czno . Nie b d taki niezno ny.

– Moje obowi zki – mówił dalej Jed, usiłuj c zapanowa nad starym widmem nienawi ci. – I ich oczekiwanie. Twoi rodzice

chcieli, eby została w teatrze; moi uczyli sobie, ebym pomna ał rodzinn fortun .

– I oboje zawiedli my ich, ka de na swój sposób.

– To nie to samo, Doro. Plany twoich rodziców wobec ciebie wynikały z dumy. Moi rodzice powodowali si chciwo ci . W moim domu nie było uczucia.

Nie chciał tego mówi , nie chciał o tym pami ta , ale to ona poruszyła koło, a on nie mógł go zatrzyma , dopóki nie zatoczyło pełnego obrotu.

– Twoja siostra...

– Nie znaczyła dla mnie wi cej ni ja dla niej – powiedział to głosem bez wyrazu, poniewa była to ałosna prawda. – Igraszka losu sprawiła, e byli my wi niami w tej samej celi, ale współwi niowie rzadko czuj do siebie sympati . Wszyscy czworo starali my si nawzajem unika . – U miechn ł si słabo, bez wesoło ci. – Nawet w domu tak wielkim jak nasz nie zawsze jest to proste.

Cho wiedziała, e nie zale ało mu na tym, ogarn ło j współczucie.

– Z nikim nie mogłe porozmawia ?

– O czym? – roze miał si krótko. – To, e moi rodzice si nienawidz , dla nikogo nie było tajemnic . Publiczne awantury były zaledwie wst pem. Zawsze ko czyli je w domu. Je li nie rzucali si sobie do gardeł, obrywało si mnie lub Elaine.

– Uciekłem w drobne kradzie e, zło liwe wybryki i małe oszustwa. Ona uciekła w romanse. Zanim sko czyła dwadzie cia lat, miała ju dwie skrobanki. Rodzice pomogli jej zatuszowa spraw , tak jak tuszowali moje wybryki. Odstawienie nas do szkoły z internatem na nic si nie zdało. Mnie wyrzucili, a Elaine wdała si w romans z jednym z nauczycieli.

W ko cu poddali si ; w tym jednym si zgodzili. Zawarli układ z Elaine: przeznaczyci dla niej ładn sumk , pod warunkiem, e wyjdzie za odpowiedniego kandydata. Ja zamieszkałem z babk . Pierwsze mał e stwo Elaine trwało niecałe dwa lata. W okresie, kiedy si rozwodziła, ja wst piłem

do akademii policyjnej. To ich naprawdę wkurwiło – nalał obojgu pełne kieliszki brandy. – Straszyli, e nas wydziedzicz, ale nie chcieli, eby ten cały maj tek przeszedł w obce r ce. Dlatego Elaine mogła zaliczy drugiego m a, a ja dostałem odznak . A potem zgin li.

Zbyt wiele czuła – o wiele za du o, ni by chciał – wiedziała o tym. Lito nad dzieckiem, oburzenie nad jego losem, al nad rodzin , której nie ł czyły adne wi zy.

– Mo e masz racj – powiedziała powoli. – Nie rozumiem, po co ludzie zostaj z sob bez miło ci. I jak mog nie obdarzy ni swoich dzieci. Ale to nie znaczy, e nie rozumiem ciebie.

– Musisz zrozumie , e by mo e nie b d w stanie da ci tego, czego potrzebujesz.

– A to ju mój problem, prawda? – wzi ła butelk i napełniła kieliszki. – Mnie si raczej zdaje, Skimmerhorn, e bardziej niepokoi ci to, e mogłabym da ci dokładnie to, czego pragniesz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dora kochała Nowy Jork od zawsze. Kiedy wyobra ła sobie, e tu zamieszka. Jakie poddasze w Village, ulubiona egzotyczna knajpka, kółko zaprzyja nionej cyganerii, zawsze nosz cej si na czarno, cytuj cej najnowsze ezoteryczne publikacje. I, oczywi cie, zwiariowana s siadka, zawsze zakochuj ca si w niewła ciwych m czyznach.

Tylko, e wtedy miała czterna cie lat. Od tego czasu troch si zmieniała.

Ale nadal kochała Nowy Jork za jego nieustaj cy gwar, energii , arogancj . Kochała ludzi, spieszenie id cych po chodnikach, unikaj cych spojrze innych, osoby objuczone

firmowymi torbami Saksa, Macy'ego i Bendela, – sklepy elektroniczne, w których bez przerwy odbywały si wyprzeda e, sprzedawców ulicznych z pieczonymi kasztanami i złym humorem, a tak e jawn beczelno taksówkarzy.

– Sukinsyn – mrukn ł Jed, kiedy jaka taksówka niemal otarła si o ich samochód.

Dora u miechn ła si promiennie.

– Cudownie, prawda?

– O, tak. W tpi , czy od pocz tku tego wieku wypisano tu cho jeden mandat.

– Niewiele by to pomogło. Poza tym... och, popatrz! – Dora opu ciła szyb i wystawiła głow na zewn trz.

– Je li odetchniesz tym powietrzem, umrzesz.

– Widziałe ten kostium? – Dora zmru yła oczy, nie z powodu spalin, ale by odczyta nazw sklepu. – Fantastyczny. Gdyby mógł gdzie zaparkowa , wyskoczyłabym tylko na pi minetek.

Parskn ł pogardliwie, – Zejd na ziemi , Conroy. Westchn ła i opadła z powrotem na siedzenie. – Mo e mogliby my tu wpa , jak ju sko czymy. Musisz tylko jecha t dzielnic .

– Zapomnij. W Filadelfii nie ma sklepów?

– Pewnie, e s . Nie w tym rzecz. Buty – powiedziała z przeci głym westchnieniem i zagapiła si na nast pn wystaw , podczas gdy Jod usiłował wł czy si w ruch na Madison Avenue. – Robi po wi teczn wyprzeda .

– Powinienem to przewidzie . Z drogi! – krzykn ł i ostro wymin ł nast pn taksówk . – Powinienem był to przewidzie – powtórzył – i nie ci gn ci przez Manhattan. To jakby da kotlet wygłodniałemu psu.

– Powiniene pozwoli mi prowadzi – poprawiła go. – Jestem mniej porywcza i nie mogłabym przygl da si sklepom. Poza tym, to ty chciałe sprawdzi mieszkanie DiCarla.

– I wolałbym dotrze do niego ywy.

– Albo mogliby my wzi taksówk z lotniska.

– Powtarzam: ywy.

Dora czuła w sobie bardzo dużo wycia.

– Wiesz co, powinniśmy tu zostać na noc, w jakimś potwornie drogim hotelu w rodzimym ciu. Obejrzelibyśmy sztukę Willa. – Spojrzała po dliwie na wystawy sklepów – zrobilibyśmy zakupy.

– To nie wycieczka krajoznawcza, Conroy.

– Ja tylko próbuję wykorzystać sytuację.

Jed zignorował ją i skręcił w Osiemdziesiąt Trzeci. Rozejrzawszy się za miejscem, w którym mogłyby zaparkować wypoczynony samochód, zrobił jedyną sensowną rzecz i zaparkował na drugiego.

– Bóg ci musiał zaufać.

– Dobrze – postarała się sprawić wrażenie godnej zaufania. – W jakiej sprawie?

– Masz usiadać za kierownicę. Ja wejdę i sprawdzę DiCarla – przepytam ciebie, może kilku siadów.

Jej usta odżyły się niebezpiecznie.

– Dlaczego nie mogę wejść z tobą?

– Bo chcę, żeby samochód tu stał, kiedy wyjdę. Jeśli będziesz musiała go przestawić, objedziesz całą dzielnicę, nie zatrzymuj się ani przy kostiumach, ani przy butach, i zaparkujesz znowu tutaj. Rozumiesz?

– Nie jestem głupia – zaczęła, ale on pocałował ją i wysiadł.

– Zamknij drzwi, Conroy.

Kiedy pięć minut zmieniło się w dziesięć, a dziesięć w dwadzieścia, Dora zaczęła się zastanawiać, czy nie zostawić Jedowi wiadomości, że czeka na niego w butikach i nie złapać taksówki. Już się gała po torebki i notes, kiedy pojawił się Jed, biegiem zbliżył się do samochodu.

Włączył silnik i zaczął czekać na okazję, by włączyć się w ruch uliczny.

– Teraz mi powiedz, jak dostać się na ten cholerny Brooklyn?

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Zostawiasz mnie tu prawie na pół godziny, a potem chcesz, żebym ci dała mapę miasta?

- Dozorca wpu cił mnie do mieszkania DiCarla.
- To adne wytłumaczenie – przez chwil d sała si w milczeniu, ale ciekawo zwyci yła. – Wi c? Co tam znalazłe ?
- Par tuzinów włoskich butów. Kilka garniturów od Armaniego. Par butelek Dom Perignon i jedwabn bielizn we wszystkich kolorach t czy.
- A wi c DiCarlo jest z tych wybrednych.
- Znalazłem te ksi eczk czekow z kontem na troch ponad siedem tysi cy dolarów, porcelanow Madonn i kilka tuzinów rodzinnych fotografii, oprawionych w ramki.
- Oszcz dza, nie zapomniał o swojej religii i ceni swoj rodzin . Jak na razie nie przypomina zimnokrwistego mordercy.
- A Ted Bundy miał przystojn twarz i miły u miech – skr cił w Lexington i ruszył w stron ródnie cia. – Znalazłem te papier firmowy E.F. Incorporated z siedzib w Los Angeles i fili na Manhattanie, mas dokumentów z tej samej firmy i jaki tuzin wiadomo ci na sekretarce automatycznej od mamy, kuzyna Alphonso, ciotki Sophii i jakiej kretynki imieniem Bambi.
- Tylko dlatego, e kobieta ma na imi Bambi, uwa asz j za kretynk ?
- Jak e si pomyliłem – przemkn ł na ółym wietle. – To, e nazwała DiCarlo misiaczkiem, chichotała i szczebiotała jak dziecko nie upowa nia mnie do nazwania jej kretynk .
- To ju lepiej.
- Nie znalazłem notesu z adresami, paszportu ani adnej gotówki. Zwa ywszy to, a tak e fakt, i wiadomo ci zostały pozostawione bez odpowiedzi, s dz , e DiCarlo od pewnego czasu znajduje si poza domem.
- Rozs dne rozumowanie. My lisz, e nadal jest w Filadelfii? Powiedziała to lekko, ale on usłyszał w jej głosie nutki zmartwienia.
- Istnieje taka mo liwo . Nikt nie b dzie napastował twojej rodziny, Doro. Nie ma ku temu powodów.
- Pewnie masz racj . Je li tam jest, czeka na mnie – skrzywiła si . – Miło pomy le .

– Nie zbliży się do ciebie. Obiecuję .

Drogę z Manhattanu do Brooklynu Heights Jed przeżył, wspomagając się papierosami i nie do końca przyjemnym uczuciem zmagania się z ruchem ulicznym. Kiedy stanął przed sklepem Franklina Flowersa, zdążył już dopasować do siebie te kawałki układanki, które miał, rozrzucił je i ułożył na nowo. Płynnie zaparkował na parkingu.

– To ci się pewnie spodoba, Conroy – pochylił się ku niej, przechylając głowę, by spojrzeć przez okno po jej stronie na wystaw sklepu.

F.FLOWERS

KUPUJEMY I SPRZEDAJEMY

– Kto tego nie robi? – powiedział Jed. – Pamiętaj, Conroy...

– Tak, tak. To ty mówisz.

Weszli do sklepu. Był tylko odrobin większy od przeciwnego salonu, a w środku tłoczyły się w nim rozmaite towary, od wywiechtanych misiów po lampy stojące. Choć w pomieszczeniu nie było nikogo, z zaplecza, za zasłon z paciorków rozlegał się czyjś głos. Idąc za radą napisu na kontuarze, Jed zadzwonił mosiężnym dzwonkiem, który niedługo ozdabiał kontuar niewielkiego domu rozpusty w Bronxie.

– Jedną chwilę – głos należał do mężczyzny. W jego ustach słowa brzmiały niczym piosenka.

Słowo Flowersa okazało się równie solidne jak on sam. Zanim Dora skończyła oglądać kolekcję butelek z Avon, Flowers pojawił się w pomieszczeniu, poprzedzony klekotem koralików i wonnym chmurkiem dymu.

Był to potężny mężczyzna, mierzący ponad sześć stóp, z małym brzuszkiem. Miał okrągłą, sympatyczną twarz promieniującą słodyczą – niczym jeden z jego misiów. Cesał się z przedziałkiem tuż koło ucha, co pozwalało mu zaczesywać cienkie kosmyki jasnych włosów na duży łysin. W dwóch grubych palcach trzymał cienkiego brązowego papierosa.

– Dzie dobry! – powiedział i znowu zaczął nucić, jak przedszkolanka recytując alfabet. – Och, och – klasnął językiem i zerknął w kierunku stojących rzędem zegarów – już prawie popołudnie. Jak ten czas leci! Nigdy nie umiałem dojść z nim do ładu. Wiatr kręci się zbyt szybko, jak na moje potrzeby. A czym mógłbym państwu służyć?

Ponieważ widok jowialnego olbrzyma zupełnie pochłonął Dorę, Jed mógł przejąć prowadzenie bez najmniejszego problemu.

– Pan Flowers?

– Tak, nazywam się Frank Flowers, a to mój mały wiatraczek – zaciął się delikatnie papierosem i wypuścił dym ustami złoconymi jak do pocałunku.

– Jak państwo widzą, kupujemy i sprzedajemy niemal wszystko. Czy mógłbym państwa dzisiaj zainteresować?

– Czy zna pan Shermana Portera? Rozbawienie Flowersa ulotniło się raptownie.

– Biedny Sherman. Dowiedziałem się o tym przed dwoma dniami. Tragedia. Ten wiatraczek mnie czasem przeraża. Zastrzelony przy własnym biurku jak pies – zadrżał, przejechał dreszczem. – Obrzydliwe. Po prostu obrzydliwe.

– Zamówił u pana partię towaru – cięgnął Jed. Flowers wykorzystał chwilę przerwy i zaciął się papierosem. – Do Wirginii dotarła dwudziestego pierwszego grudnia.

– Ach, tak – Flowers uśmiechnął się smutno. – Kto mógł wiedzieć, że to nasz ostatni wspólny interes? Los jest okrutny i kapryśny kochanków. Prawie sześć lat. Ładny zawód, mam nadzieję, przyjaźni.

Jed wyciągnął dokumenty, które zabrał z akt Helen.

– Zdaje się, że mamy problem dotyczący tej przesyłki.

– Naprawdę? – Flowers zapomniał na chwilę o smutku i zmarszczył się. – A to dziwne. Helen nigdy mi o tym nie wspominała. Oczywiście to zrozumiałe w tych tragicznych okolicznościach. Ale gdyby Helen spotkała się z jakim

problemem, zadzwoniłaby raczej do mnie i nie wysyłałaby pana do Nowego Jorku.

– Załatwiamy to przy okazji – powiedział Jed gładko. – Nabył pan ten towar podczas wyprzedaży?

– Te drobiazgi? Tak, w Catskills. Co za powietrze, jakie krajobrazy. Kupiłem kilka pomniejszych drobiazgów. Parę wikszych sztuk sprzedałem już innym klientom. Po co cięgniesz te meble do Wirginii, skoro mam rynek zbytu tu przy domu.

Wydmuchnął dwa zgrabne kółeczka z dymu.

– Rozumiej panstwo, przeważnie nie występuję jako agent innych kupców. To małe pomieszczenie – obrzucił sklep czułym spojrzeniem, jak kochający ojciec patrzy na niezbyt roztropnego dziecko – jest nie bardzo drogie, rozumiej panstwo, ale trudno tu zarobić na chleb. O ile sobie przypominam, wybrałem dla Shermana kilka sympatycznych drobiazgów – strzepnął popiół z papierosa do marmurowej popielniczki. – Nie rozumiem, czego może dotyczyć ten problem.

– Obrazu – zaczął Jed.

– Obrazu? – Flowers zmarszczył brwi, oparł rękę na biodrze. – Nie wysyłałem żadnego obrazu.

– Abstrakcja, podpisana nazwiskiem E. Billingsly.

– Abstrakcja? – Flowers przechylił głowę i zachichotał niczym panienka. – O nie, mój drogi. Nigdy nie dotykam nawet żadnej abstrakcji. Słowa dla mnie zbyt dziwaczne. I zbyt trudno je sprzedać. Nie, obawiam się, że musiała tu zrobić jakąś pomyłkę.

– Ma pan spis przedmiotów, które pan wysłał?

– Oczywiście. Jestem prawdziwym pedantem. Abstrakcja, powiada pan? Nic dziwnego, że Helena ma problem. Za sekundę jestem z powrotem.

Zniknął za zasłonami.

– Może ma współnika – szepnęła Dora. – A ten współnik dołączył obraz do przesyłki. A może... – przerwała na widok wracającego Flowersa, niosącego dwie teczki, jedną słonecznie żółtą, drugą jaskrawoczerwoną.

– Kod kolorystyczny, rozumiecie – położył teczkę z uśmiechem na kontuarze. – W ólejkę jest spis tego, co kupiłem na wyprzedzająco – otworzył ją. W środku znajdowały się starannie przepisane na maszynie spisy towarów wraz z ich opisami.

– To powinno być ... chyba dwunasty grudnia. – Przebiegł szybko list wzrokiem. – No proszę, a tu już styczeń. Czas ucieka zbyt szybko. Jest – odłożył ostro nie pierwsze kartki, drukiem do dołu i pukał palcem w spis: posiadał Woodlowów, Catskills, dwunasty grudnia. Ma pan tu cały list, wraz z rachunkiem. Nie ma żadnego obrazu.

Ani psa z porcelany, zauważył Jed. Ani figurynki, pasujące do opisu tej, która stała się przyczyną śmierci Toma Ashwortha.

– A to moje dokumenty dotyczące tego, co wysłałem, zwłaszcza do Shermana, Panie wie o jego duszy. Jak panstwo widzi – oznajmił, otworzywszy teczkę – pierwsza przesyłka jest zarazem ostatnią. Jest tu też pokwitowanie pocztowe. Ani ładunku obrazu – uśmiechnął się radośnie. – Może dostał się przez pomyłkę do mojej przesyłki przy rozpakowywaniu. W tej paczce Sherman był troszeczkiem flejtuchowaty.

– Tak – powiedział Jed. – Na pewno ma pan rację.

* * *

– Właśnie, nie ma racji – upierała się Dora, otwierając samochód. – Widziałam, jak pomocnik rozpakowywał tę przesyłkę. Właśnie nie nadeszła.

– Aha – Jed wyjął kluczyki, ale nie włączył silnika. Bawił się nimi, a jego spojrzenie nie wyrażało niczego.

– Tam był obraz. Kupiłam go, do cholery.

– Jasne, może był – zgodził się Jed. – A także porcelanowy pies i kupa innych rzeczy. Żadna z nich nie figurowała w spisie Flowersa. Nie zgadza się ani jeden przedmiot.

– Może kłamie – spojrzała na drugą stronę ulicy i potrząsnęła głową. – Ale nie sądzę.

– Nie, nie kłamie – Jed odwrócił się do niej. – Powiedz mi co, Conroy. Gdyby przemyślała Moneta i par innych nielegalnych skarbów, dla siebie czy dla kogo innego, i po wieciłaby sporo czasu, eby je ukryć, nada im pospolity wygląd...

– To nie wysyłałabym ich na aukcję – przerwała, spoglądając na niego w natchnieniu nagle pociemniałymi oczami. – Nie pozwoliłabym, eby kupili je ludzie, rozproszeni po całym wybrzeżu.

– Ponieważ wtedy napytałaby się kłopotu i musiałaby wiele ryzykować, odzyskując je, chociaż od początku były w twoim posiadaniu.

– Wić kto zawałił sprawę DiCarlo?

– Może.

– Kto jeszcze? – spytała. – Masz to pytanie wypisane na twarzy.

– Pokwitowania. To od Flowersa i to, które zabrałem od Portera. Oba pochodziły z przedsiwiorstwa wysyłkowego Premium. – Uruchomił silnik. – Muszę zadzwonić w par miejsc.

* * *

Dora wlewała w siebie niekończące się filiżanki kawy i znała się nad kanapkami firmowymi, czekając w małej brooklyńskiej knajpce, a Jed skończył telefonować, i wykorzystując ten czas na zastanowienie. Wyjęła notes i zaczęła zapisywać w nim swoje uwagi oraz rysować diagramy.

– Wyglądaj na to, e to prawdziwy Monet. – Jed usiadł przy stoliku i przysunął sobie jej talerz. – Muszę przeprowadzić jakieś testy, eby mieć sto procent pewności, ale moja babka i jej kumpel daj sobie rękę ucić za jego prawdziwość.

– Co to za kumpel?

– Jeden taki znajomy. Był naczelnikiem londyńskiej policji. – Jednym kłapnięciem z bólem po arł trójki kanapki i gestem przywołał kelnera. – Wyglądaj na to, e kiedy, kto kupił

przedmiot z naszej listy, został napadnięty w okresie od dwudziestego pierwszego grudnia do Nowego Roku.

– Napadnięty? – krew odpłynęła jej z twarzy – chcesz powiedzieć : zabity?

– Nie – Jedną jej rękę uciśnięto mocno. – Okradziony. Właścicielka dywanu z tego, co zakupił na tej aukcji. Sprawna robota. Z tego, co mówi mi Brent, wynika, że nawet bardzo sprawna. I cięgi ani ładni DiCarla. Jest jakimś tam wiceprezesem nowojorskiej filii E.F. Incorporated. Od czasu kiedy pokazał się w pracy. Parę razy dzwonił, ale od Nowego Roku zapadła cisza. Ani jego sekretarka, ani podwładni nie wiedzą, gdzie się podziewa. Jego matka zgłosiła dzień wcześniej jego zaginięcie.

– Wiąca teraz szuka go policja – Dora uniosła swój filiżankę i nie zauważyła błysku w spojrzeniu Jeda. – Dobrze. Mam nadzieję, że jeszcze ucieka i że w końcu skrzykniesz go. Co teraz?

Jed wzruszył ramionami i wziął następną kanapkę.

– Jeśli zdołamy zebrać wystarczająco dużo dowodów, możemy ich użyć do zbadania morderstw w Filadelfii i Wirginii, powiadomimy policję federalną.

– Nie musisz mi mówić, że tego by nie chciał. Zaczynam czytać w twoich myślach, kapitanie.

– Lubię czytać to, co zacząłem – przysunął leniwie do siebie jej notatnik i zaczął czytać. Jego wargi zadrgały – znowu bawisz się w Nancy Drew?

– Nie nosisz odznaki, Skimmerhorn. Czyli jesteś Joe Hardym. Puścił to mimo uszu. Jej diagramy obudziły jego zainteresowanie.

U góry kartki widniał napis „Przedsiębiorstwo przesyłkowe Premium”, od którego rozchodziły się kreski. Na końcu jednej z nich umiała imię Portera. Pod drugą znajdował się znak zapytania. Pod nim – lista przedmiotów, które miał wysłać Flowers. Pod Porterem napisała nazwiska wszystkich, którzy kupili coś na aukcji i nazwy przedmiotów, które nabyli. Kolejną linią była jej nazwisko z nazwiskiem pani Lyle.

– Co to ma być, Nancy?

– To taka teoria – zeszywniała, słysz c jego ton. – Wła ciwie to mam’ ich dwie. Pierwsza to ta, e DiCarlo został przechytzony. Kto , komu powierzył swoje skarby, dał nog i wysłał je do Wirginii.

– Motyw?

– Nie znam go – westchn ła i wzi ła swój kaw .

– Mo e jaki niezadowolony fagas, odrzucona kobieta, a mo e po prostu niefortunny urz dnik, który co pomylił.

– By mo e, gdyby ten niezadowolony fagas czy odrzucona kobieta zatrzymali cz łupu. I nawet niefortunny urz dnik miałby problemy z wysłaniem towaru na jak sympatyczn aukcj w Wirginii, gdzie DiCarlo nie ma prawdopodobnie adnych powi za .

– Z tego, co wiesz, wynika, e DiCarlo mógł od lat wykorzystywa dom aukcyjny Portera jako przykrywk dla swoich machlojek. – Odrzuciła włosy i spojrzała na niego wilkiem. – Pewnie masz lepszy pomysł?

– Owszem. Ale najpierw rzu my okiem na numer dwa – u miechn ł si do siebie z rozbawieniem. Postukał palcem w diagram.

– Co tu masz?

– Nie musz wysłuchiwa twoich przem drzałych kpin, Skimmerhorn.

– Wytrzymaj przez chwil – uniósł jej dło do ust, skubn ł kostki jej palców – tylko przez chwilk .

– No, có , wydaje si oczywiste, e były dwie przesyłki. Jedna z towarami z wyprzeda y, druga z przemytem. Poniewa zgodzili my si , e DiCarlo musiałby by kretynem, eby wysła skarby do Wirginii, gdzie zostałyby wystawione na licytacj , wydaje si logiczne, e te przesyłki zostały zamienione.

– Mów dalej – zach cił j . – Zaraz zasłu ysz na odznak .

– A poniewa oba pokwitowania pochodz z Premium, nale y si spodziewa , e to tam zamieniono przesyłki.

– Nie le, Nancy – spojrzał na ni z zadowoleniem, wyj ł par banknotów i poło ył je na stole. – Sprawdź my teraz Queens.

– Zaraz – złapała go dopiero przy drzwiach. – Chcesz powiedzieć, e mam racj ?

– Mówi, e musimy to sprawdzi .

– Nie, to za mało – stan ła w przej ciu, blokuj c mu drog . – Spójrz mi w oczy, Skimmerhorn, i powiedz, e mam racj .

– Masz racj . Wydała okrzyk tryumfu i sama otworzyła drzwi.

– To na co czekamy?

* * *

– Wiesz co – powiedziała Dora, kiedy od pi tnastu minut czekali w biurze Billa Tarkingtona. – Wła ciwie zawód policjanta jest nudny.

– Chcesz si podda, Conroy? Oparła brod na r ce.

– Czy to tym zajmowałe si przez te wszystkie lata?

Siedział tyłem do niej, obserwuj c pasy transmisyjne i pracowników.

– Nie potrafiłbym policzy, ile godzin sp dziłem na czekaniu. Ziwn ła szeroko.

– To chyba uczy cierpliwo ci.

– Nie. Niekoniecznie. Godziny nudy miesza j si z chwilami przera enia, a to uczy ci zawsze trzyma r k na pulsie.

Ze swego miejsca widziała jego profil. Był z ni tylko cz ci swojej osobowo ci, wiedziała o tym. Druga cz była tam, dok d nigdy nie pozwalał jej wej .

– Jak pokonujesz przera enie?

– Rozpoznaj c je i akceptuj c.

– Nie mog sobie wyobrazi, e si boisz – mrukn ła.

– Mówiłem ci, e mnie nie znasz. To chyba on.

Tarkington wyłonił si zza drzwi z radosnym uśmiechem na ustach.

– Pan Skimmerhorn? – potrz sn ł entuzjastycznie dłoni Jeda.
– I panna Conroy. Przepraszam, e kazałem pa stwu czeka .
Mo e kawy? A p czusia? Albo ma lane ciasteczko.

Zanim Jed zdążył otworzyć usta, Dora uśmiechnęła się do Tarkingtona.

– Mam wielką ochotę na kawę.

– Zaraz ja pani podam.

Tarkington, szczęśliwy, nie mógł w czymś usłużyć swoim gościom, nalał kawy do trzech kubków. Dora posłała Jedowi chytre spojrzenie.

– Wiemy, że jest pan zajęty. Mam nadzieję, że nie zabierzemy panu zbyt wiele czasu.

– Proszę się tym nie martwić. Dla klienta mam zawsze czas, o tak. mietanki? Cukru?

– Dziękuję, nie – powiedział Jed, patrząc z lekkim obrzydzeniem na strugę cukru, sypiącą się do jednego z kubków.

– A więc – Tarkington podał im kubki i pocignął łyk swojej słodkiej jak syrop kawy. – Mieliście państwo jakie pytanie odnośnie wysyłania paczek, tak?

– Właśnie – Jed sięgnął do kieszeni i odczytał numery faktur przewozowych, które otrzymał od Flowersa. – Paczka wysłana z tej instytucji siedemnastego grudnia przez Franklina Flowersa na adres Shermana Portera, Front Royal, Wirginia. Numer ASB–54467.

– witnie – Tarkington usadowił się za biurkiem. – Zaraz to znajdziemy. A w czym właściwie jest problem?

– Towar, który się sprzedał, nie jest tym, który został otrzymany.

Palce Tarkingtona cofnęły się z klawiszy komputera. Jego twarz przybrała złośliwy wyraz, jakby cierpiał z powodu wiatrów.

– O Jezuniu, znowu to samo.

– Mieliście już takie przypadki? – chciał wiedzieć Jed. Tarkington zaczął stukać w klawisze komputera.

– Zapewniam pana, panie Skimmerhorn, że reputacja Premium jest bez skazy. Mogę tylko powiedzieć, że w tym roku okres wiązki był dla nas wyjątkowo ciężki. Siedemnastego grudnia, powiada pan – jego małe oczka zabłysły. – Może to to!

– Co?

– Mieli my ju skarg dotycz c paczki, wysłanej tego samego dnia. Tamten klient był bardzo zdenerwowany, prosz mi wierzy . Nie tak cierpliwy jak pan i panna Conroy.

– DiCarlo – wyrwało si Dorze.

Zanim Jed zd ył zareagowa , na ustach Tarkingtona zabłysn ł u miech.

– Dokładniusi ko. Znacie go?

– Zostali my sobie przedstawieni – u miechn ła si Dora beztrosko.

– Czy to nie zbieg okoliczno ci? – Tarkington pokr cił głow nad osobliwo ci tego wiata i rado nie zastukał w klawisze. – Spadł mi ci ar z tego biednego starego serca, prosz mi wierzy . Zrobiłem wszystko, co mogłem, eby zlokalizowa miejsce pobytu własn ci pana DiCarla, i teraz wydaje si prawdopodobne, e dwie przesyłki zostały opatrzone fałszywymi adresami i skierowane w niewła ciwym kierunku. Nie mam poj cia, jak to si stało, ale teraz naprawienie tego galimatiasu stało si łatwe jak bułka z masłem. Natychmiast skontaktuj si z panem DiCarlo.

– Zajmiemy si tym – Jed spojrział Tarkingtonowi przez rami na ekran komputera i zanotował nazwisko urz dniczki, która wysłała paczk .

– To zaoszcz dzi mi przykrych chwil – siorbn ł kaw i mrugn ł, daj c do zrozumienia Dorze i Jedowi, e mieli doprawdy du o szcz cia.

– Oczywiście cie zwrócimy zarówno pa stwu, jak i panu DiCarlo wszystkie koszty zwi zane z nadaniem paczek.

– Znakomicie.

– Miałam racj – powiedziała Dora pod nosem, kiedy wychodzili.

– Pó niej padniemy sobie w ramiona. – Jed podszedł do najbliższej pracownicy i zapytał: – gdzie jest Johnson?

– Opal? – kobieta skin ła głow w kierunku s siedniego pasa transmisyjnego. – Tam. Linia szósta.

– Co teraz? – chciała wiedzieć Dora.

– Teraz sprawdzamy różne nudne szczegóły.

Dorze nie wydawały się one nudne. Zwłaszcza, kiedy usiedli razem z Opal w pracowniczej stołówce i wysłuchali jej historii. Ponieważ wydawało się, że Dora jest wyraźnie zafascynowana i pełna współczucia, Jed usiadł wygodnie, wyjął papierosa i pozwolił jej odgrywać dobrego policjanta.

Nie zamierzał jej tego mówić, ale była do tego stworzona.

– Mo esz w to uwierzyć? – dąsała jeszcze z podniecenia, kiedy szli przez parking. – Upuszcza kilka faktur, a w efekcie przemycany Monet trafia do naszych ręk – u miechnęła się, kiedy Jed otwierał samochód. – Mo e jednak podoba mi się zawód policjanta.

– Lepiej zosta przy swoich starociach – doradził jej Jed.

– Mógłby przynajmniej powiedzieć, że dobrze się spisałam.

– Dobrze się spisała. Tylko nie zacznij zadzierać nosa.

– Nie zadzieram nosa – zdjęła buty. – Ale teraz wiemy, jak, kto i dlaczego. Teraz musimy tylko znaleźć DiCarla.

– Zostaw to du ym chłopcom, koteczku.

– Chcesz się wycofa? – osłupienie a biło od niej. – Teraz?

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że pora, żeby ty się wycofała.

– Nie zrobisz beze mnie ani kroku, Skimmerhorn. Gdybym nie kupiła trefnego towaru i nie znalazła się w samym środku tego szaleństwa, nadal by machał hantlami i siedział nabzdyczony w swoim pokoju.

– Mam ci za to dziękować?

– Jeszcze mi podziękujesz. Jak ci wróci rozum – westchnęła z ulgą i u miechnęła się. – Na pewno nie chcesz zaprosić mnie do tego drogiego hotelu?

– Ju się napatrzyłem Nowego Jorku, dziękuję.

Musiał jeszcze coś sprawdzić. Ekran komputera Billa Tarkingtona okazał się krynicy wiedzy. Dostarczył te informacje o adresacie, do którego miała dojść nielegalna przesyłka DiCarla. O Ablu Winesapie z E.F. Incorporated w Los Angeles.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Mro ne powietrze nie powstrzymało Finleya od dopełnienia porannego rytuału. Codziennie, bez względu na pogodę, przepływał pięćdziesiąt minut w swoim basenie w kształcie klepsydry przy dźwiękach muzyki Vivaldiego, sześćdziesiąt minut z ukrytych w krzewach jaśniejących kwiatów. Była to kwestia dyscypliny. Oczywiście woda była przyjemnie ogrzana do temperatury osiemdziesięciu trzech stopni Fahrenheita* – dokładnie.

Przy ciepłej wodzie mocnymi, pewnymi ruchami ramion, widział cienkie smugi pary, unoszące się w chłodnym zimowym powietrzu. Liczył, ile razy przemierzył basen, za każdym obrotem czując wiśnięcie pewności siebie i satysfakcji.

Basen należał do niego, wyłącznie do niego. Finley nie pozwalał, by jakiś słuchacz, towarzyszy czy gość miał jego wody.

Kiedy, gdy zażywał kąpieli, wdarła się tu pewna nie całkiem trzeźwa znajoma. Następnego dnia Finley kazał spuścić z basenu wodę, oczyścić go i na nowo napełnić. Nie trzeba chyba dodawać, że nieszczęśliwego nigdy nie otrzymał już zaproszenia.

Finley stanął pionowo w basenie, rozkoszując się wodą opływającą jego ciało. Czując się skórką, kiedy wyszedł na brzeg po szerokich, kamiennych schodach prowadzących na posadzkę z terakoty. Lokaj podał mu nie nobiałe szlafrok.

– Czas? – rzucił, wycierając się szybko.

– Dwanaście minut i osiemnaście sekund, proszę pana.

Lokaj zawsze zatrzymywał stoper dokładnie w tym samym momencie. Kiedy popełnił błąd i zatrzymał go na nieco ponad trzynastu minutach. Wywołało to brzydki scenariusz, w wyniku którego niemal stracił dobrze płatną pracę. Teraz Finley nigdy nie przekraczał swoich dwunastu minut i osiemnastu sekund.

* czterdzieści dwa stopnie Celsjusza; przyp. red.

– Znakomicie – Finley, chytrze u miechni ty, przyjął witaminizowany napój – mikstur skomponowaną specjalnie dla niego przez osobistego dietetyka. Nawet w kielichu Waterforda rzadki, paskudnie wyglądał cy wyciąg z ziół, warzyw i chichskich korzeni smakował ohydnie. Finley przełknął go szybko, jakby pił czystą, wie wodę ze źródła młodości. Wmawiał sobie, że tak było naprawdę.

Odprawił lokaja, wręczając mu pusty kieliszek i mokry ręcznik.

Skoro cz porannego rytuału miał już za sobą, pozwolił sobie na rozwinięcie problemu Isadory Conroy. Nie jest to aż tak przykry problem, pomyślał. Nie może przecież zanadto wybrzydzać na zawieranie interesów z młodą, piękną kobietą. Rozważając wszystkie możliwości, wszedł przez francuskie okno do salonu.

Wziął prysznic, wykonał wokół siebie kilka zabiegów pielęgnacyjnych i ubrał się, przepełniony poczuciem władzy. Smakowite niananie, składające się z jednego wiejskiego owocu, kromki pełnoziarnistego chleba i ziołowej herbatki, spożył na patio, parę kroków od miejsca, w którym zastrzelił DiCarla. Przez cały czas zastanawiał się nad Isadora. Kiedy wreszcie znalazł rozwiązanie, uśmiechnął się, a nawet cicho zachichotał i otarł serwetką usta.

To powinno się sprawdzić, uznał. A jeśli nie – cóż, wtedy po prostu ją zabije.

* * *

Dora próbowała opanować rozdrażnienie. To zbyt łatwa do przewidzenia reakcja, powiedziała do siebie, zbyt typowa. Każda kobieta byłaby zła, gdyby obudziła się rankiem sama w łóżku, nie mając pojęcia, gdzie podział się jej kochanek ani kiedy wróci.

Nie jestem ka d kobiet, upomniała się Dora. I nie będzie zła, nie będzie nawet leciutko rozdrażniona. Każde z nas może chodzić,

dokąd mu się podoba. Nawet go nie zapytam, gdzie się, u diabła, włóczył.

Ale kiedy usłyszała pukanie do drzwi, obci gnęła bluzę od dresu, uniosła podbródek i pomaszerowała do salonu.

– No dobra, Skimmerhorn – mruknęła. – Lepiej, żeby to była dobra wymówka.

Otworzyła gwałtownie drzwi, bliska wybuchu. Musiała go powściągnąć, bo przed nią stała Honoria Skimmerhorn Rodgers.

– Och – Dora uniosła rękę do włosów, nieporządnie zebranych, na czubku głowy. – Pani Rodgers. Dzień dobry.

– Dzień dobry, Doro – Honoria nie zdradziła nawet drgnieniem powieki rozbawienia, z jakim obserwowała zmieniający się wyraz twarzy Dory. Furia, wstrząs, zakłopotanie. – Przyszłam nie w porę?

– Nie. Nie. Ja tylko... – Dora powstrzymała nerwowy chichot i uśmiechnęła się. – Je li szuka pani Jeda, to chyba go tu nie ma.

– Właśnie chciałam zamienić z tobą słówko. Mogę wejść?

– Oczywiście – Dora ustąpiła jej z drogi, rozpaczliwie ałując, że nie otworzyła drzwi sklepu i nie była ubrana wygodnie. Stojąc w dresie Steelersa, bosą, czuła się jak łachmaniarz, zwłaszcza że Honoria wpłynęła do mieszkania pachnąca paryskimi perfumami i otulona w luksusową narzutkę z norek.

– Jakże to urocze! – szczerzy zachwyt dźwięczy w głosie Honorii pomógł Dorze podnieść się z kluczek. – Zupełnie urocze – omiotła pokój apróbując cym spojrzeniem i zdjęła rękawiczki. – Muszę ci się przyznać, że zawsze się zastanawiałam, jak wyglądasz te mieszkania na South Street. Jest duży, prawda?

– Potrzebuję ci o miejscu. Czy mogę wziąć pani okrycie?

– Tak, dziękuję.

Kiedy Dora wiesziała norki, Honoria przechadzała się po pokoju.

– Zajrzałam do twojego sklepu. Byłam zawiedziona, kiedy okazało się, że jest zamknięty. Ale to – przesunęła palcem po płynnych, kobiecych liniach lampy w stylu Art Deco – wynagradza mi wszystko.

– Jedn z najlepszych stron handlu jest to, e mog trzyma mój towar tak długo, jak mi si spodoba. Czy mog poda pani kaw lub herbat ?

– Ch tnie wypij troch kawy, je li nie sprawi ci to kłopotu.

– Najmniejszego. Prosz usi , czu si jak u siebie.

– Dzi kuj . Tak wła nie robi .

Honorია nie uwa ała, e jest w cibska. Była po prostu ciekawa. Na tyle ciekawa, by przyjrze si z aprobat widokowi na gwarn i barwn , South Street rozci gaj cego si z wysokich okien salonu Dory. Podobało jej si te umeblowanie mieszkania – ciepłego i przytulnego, uznała, a jednocze nie eklektycznego i troszk teatralnego. Ale pokój bardzo si jej spodobał – doskonale odbicie osobowo ci Dory.

Ta dziewczyna si nadaje, pomy lała i podniosła szylkretow ły eczk do herbaty, by przyjrze si jej z podziwem. Ta dziewczyna nadaje si , bardzo si nadaje.

– Prosz – Dora postawiła na stole tac z imbrykiem Fiesty i fili ankami. Marzyła, eby móc znale jaki taktowny wybieg i wpa do łazienki, by umalowa usta. – Si dziemy tutaj?

– Ch tnie. Pozwolisz, e zrobi na to miejsce na stole. Co za cudowny aromat. ytnie ciasteczka? – Jej oczy zabłyśły. – Cudownie.

– Zawsze je trzymam w kuchni – prawdziwa rado Honorii sprawiła, e Dora znów odetchn ła. – Jest w nich co bardzo cywilizowanego.

Honorია roze miała si i usiadła.

– To bardzo uprzejmie, e nie pytasz, dlaczego o dziewi tej rano stukam do twoich drzwi. – Honorია poci gn ła łyk kawy, zamilkła i napiła si znowu. – Zupełnie wyj tkowa.

– Ciesz si , e pani smakuje – Dora odczekała, a Honorია poło y kropl je ynowej galaretki na ciastku. – Wła ciwie z trudem powstrzymuj si , aby nie zapyta pani o obraz.

– Dobre – Honorია pottrzymała przez chwil ciasteczko w ustach przełkn ła je z lekkim westchnieniem. – Kochanie, moja matka byłaby tob zachwycona. Od jej mierci nie jadłam takich

ciastek. – Ch tnie przeka przepis na nie pani kucharzowi. – B d bardzo wdzi czna. A wi c – usiadła wygodniej, trzymaj c Fili ank i spodeczek z peñ gracji wpraw , której nabywaj tylko kobiety pewnej klasy. – Uwa am, e mogłyby my wymieni si informacjami. – Tak? Chyba nie rozumiem.

– Mój wnuk prosi mnie, ebym przechowała w moim domu pewien obraz, a tak e abym pozwoliła jego starej przyjaciółce nad nim po pracowa . Mam to robi , zachowuj c naj ci lejsz tajemnic i pod ochron policji. – U miechn ła si i skłoniła głów . – Oczywi cie tej pro bie nie towarzysz adne wyja nienia. – Oczywi cie – Dora odpowiedziała u miechem i pochyliła si do przodu. – Prosz mi powiedzie , pani Rodgers, dlaczego my mu ulegamy?

– Mów do mnie Ria, mój m mnie tak nazywał. Ulegamy mu, moja droga, bo za bardzo nam na nim zale y, aby my tego nie robiły – chwila pauzy. – Mam racj ? – Tak. Tak, zupełn . Ale to nie znaczy, e on ma racj . – Wcze niejsze rozdra nienie Dory wróciło z dawn sił . – Powiem ci o wszystkim, co jest mi wiadome, Rio, a ty powiesz mi, jakie s rezultaty bada . – Dokładnie to miałam na my li.

Dora zacz ła od samego pocz tku. Jed mógł znale kilka rozs dnych przyczyn, dla których lepiej było oszcz dzi Honoru wiadomo ci tego, co si wła ciwie działo i towarzyszej jej troski. A jednak doszła do wniosku, e i tak babka Jeda była ju uwikłana przez niego w to wszystko, i to z premedytacj . Pomagała mu tylko z uprzejmo ci. Honoria słuchała jej, nie przerywaj c. Popijała kaw małymi łydkami, a to, co czuła, dawało si odczyta tylko z ciemniej cych oczu, zaciskaj cych si warg i unosz cej si czasami brwi o pi knym rysunku. Było w tym wiele temperamentu, ale równie dobrego wychowania. To od niej, pomy łała, Jed nauczył si panowa nad sob .

– To musiało by dla ciebie straszne – powiedziała na koniec Ho – noria. – Najgorszy był wypadek pani Lyle. Bez wzgl du na to, co mówi Jed, czuj si za to odpowiedzialna.

– Oczywiście, że tak – powiedziała to z całym przekonaniem, co sprawiło Dorze ulgę w kształcie tuzina grzecznych protestów. – Nie byłaby sobą, gdyby się tak nie czuła. Ten DiCarlo... – Honoria wymówiła nazwisko z pełnym kultury niesmakiem. – Czy policja ma jakiegokolwiek pojęcia, gdzie może się ukrywać?

– Nie sądzę – Dora uniosła rękę w geście pełnym rozdrażnienia, po czym pozwoliła im opaść. – A jeżeli wiedzą, nie uznali za stosowne powiadomić mnie o tym.

– Jak zwykle mówią ci. Uważam, że to zaczęło się w czasach, kiedy musieli wyjść z jaskini, żeby polować za pomocą kijów i kamieni. Myśliwi – powiedziała to z uśmiechem, z pewnym chłodnym pobłażaniem, które Dora przyjęła z zachwytem. – Oczywiście kobiety były pozostawiane w jaskiniach, by rodzić w brudzie i ciemnościach, by piec mięso na ogniu podtrzymywanym nawozem i wyprawiać skóry. Ale mówią ci i tak uważają, że są najlepsimi.

– Jedną powiedział mi jeszcze, co ma się stać z obrazem.

– A widzisz? – Honoria zadowolona, że jej teoria znalazła potwierdzenie, należała kawę sobie, a potem Dorze. – Chciałabym móc ci powiedzieć, jakie są jego plany, ale on również nie uznał za stosowne wtajemniczyć mnie w nie. Ale za to mógł ci opowiedzieć o samym obrazie. Jest ołówek nieważny.

Jej twarz rozjaśniła się z emocji.

– Choć trzeba jeszcze przeprowadzić testy, nie ma wątpliwości co do jego autentyczności. Ja nie mam wątpliwości. To jedno ze studiów lilii wodnych, bez wątpliwości namalowane w Giverny – jej oczy zasnuły się mgiełką rozmarzenia. Głos stał się miękki, jakby mówiła o kochanku – ach, to wiatło, ulotne i liryczne. Ta subtelna, uwodzicielska siła, która wciąga cię do rodka obrazu, każe ci wierzyć, że czujesz zapach mokrych kwiatów i stojącej wody. – Jej spojrzenie wyostrzyło się. – W tej serii powstało ponad siedemnaście obrazów.

– Wiem. Tak si ę składa, e to mój ulubiony impresjonista. Nigdy nie s dziłam, e stan si ę wła cicielk jednego z jego obrazów, cho by przelotnie.

– Ja mam jeden. To prezent od mojego m a na nasz dziesi t rocznic . Jedno ze studiów ogrodu. Kiedy wisz obok siebie, ich widok zapiera dech w piersiach. Zanim policja go zabrała, stan łam w mojej sypialni, spojrzalam na nie oba i rozplakałam si . Chciałabym móc wierzy , e DiCarlo ukradł go ze wzgl du na jego urod , a nie na cen . To uczyniłoby niemal wszystko zrozumiałym.

– My lisz, e pozwolił mi na niego spojrze ? – po aliła si Dora. – Przecie to ja go kupiłam. Ale nie, budz si ę dzi rano, a łó ko jest puste. Jed gdzie wyszedł i czy powiedział mi, gdzie b dzie lub co zamierza zrobi ? Nie. Nawet nie zostawił kartki na drzwiach lodówki. Zdaje mi si ... – przerwała przera ona. Mówiła do babki Jeda. Jego babki. – Bardzo przepraszam – wyj kała.

– Nic nie szkodzi – na potwierdzenie swoich słów Honoria odrzuciła głow do tyłu i roze miała si . – Och, zupełnie nie szkodzi. Jestem zachwycona. Mam nadziej , moja droga, e kiedy wróci, zrobisz mu prawdziwe piekło. Zawsze potrzebował, eby zrobił mu je kto , kto go kocha. Bóg jeden wie, ile razy musiał cierpie je ze strony tych, którzy go nie kochali. To nie samo, rozumiesz.

– Chyba tak – zakłopotanie min ło niemal całkowicie, ale rumieniec pozostał. – Pani Rodgers... Rio, nie chciałabym, eby pomy lała, e zawsze anga uj si ę w zwi zki z moimi lokatorami.

– Ci gle my lisz, e jestem zgorszona – reakcja Dory spodobała si Honorii. U miechn ła si i si gn ła po drugie ciastko. – Powiem ci, dlaczego po lubiłam dziadka Jeda, dobrze? Był niewiarygodnie przystojny, bardzo silny, jasnowłosy i szalenie podniecaj cy. Innym słowy, byłam na niego napalona.

Skubn ła delikatnie ciasteczko, patrz c na Dor z rozbawieniem.

– Na szczęście Jed odziedziczył wiele fizycznych cech swojego dziadka i adnej psychicznej. Walter Skimmerhorn był człowiekiem zimnym, cz sto okrutnym i nieustaj co nudnym. Ka da z tych cech jest niewybaczaln wad u m a. Zrozumiałam swój bł d w pierwszym roku mał e stwa. Ale, ku mojemu strapieniu, naprawienie go zaj ł o mi o wiele wi cej czasu.

A gorzkie wspomnienia wci były w niej ywe.

– Ty, z drugiej strony – cięgnęła Honoria – ju zrozumiała, e mój wnuk przedstawia sob o wiele, wiele wi cej ni wspaniałe ciało. Gdybym miała udzieli porady w tych sprawach dzisiejszej młodzie y, brzmiałaby ona nast puj co: yście ze sob, co ty i Jed wła nie robicie, zanim we miecie lub.

– My nie... – serce Dory zatrzepotało, ku jej niezadowoleniu, ze zdecydowanie kobiec nadziej. – Mam nadziej, e nie dałam ci do zrozumienia, i my limy o lubie.

– Ale nie – powiedziała Honoria lekko. Poddaj c si sentymentalnym uczuciom, wyobraziła sobie, jak pi kne prawnucz ta daliby jej Jed i Dora. – Jed mówił mi, e twoi rodzice pracuj w Liberty Theater. Bardzo podobało mi si wiele ich przedstawie. Mam nadziej, e uda mi si ich pozna.

– Och... – zanim Dora zdołała odpowiedzie, rozległo si pukanie do drzwi. – Przepraszam na chwil.

Bardziej ni poruszona napomkni ciem o mał e stwie i delikatnym wspomnieniem o jej rodzinie, otworzyła drzwi. Na korytarzu stał Jed. Obrzucił j przeci głym spojrzeniem, od bosych stóp po rozczochran fryzur. Dora wygl dała nieporz dnie i seksownie, a w dodatku była rozkosznie zarumieniona.

– Conroy – przycięgnę j ku sobie, zanim zd yła cokolwiek powiedzie i zamkn ł jej usta nami tnym pocałunkiem. – Masz co pod tym?

– Skimmerhorn – jej rumieniec stał si bole nie ró owy. – Twoja...

– Sam sprawdz – podniósł ją, znowu zaczynając ją całować, wniósł do mieszkania.

Rozpaczliwie zakłopotana, uderzyła go w pierś.

– Skimmerhorn – wydarła się jego pocałunkom i odetchnęła głębiej. – Lepiej mnie postaw i przywitaj się z babką.

– Co?

– Dzień dobry, Jedydiaszu – Honoria otarła palce płócienną serwetką. – Dora i ja piłymy sobie kawę. Może chciałbyś się przyłączyć?

– Babciu – trzeba przyznać, powiedział to swobodnie, choć postawił Dorę na ziemi dość gwałtownie. – Czekasz na mnie?

– Wcale nie. Wpadłam z przyjacielską wizytą – zerknęła na Dorę, spiesząc z dodatkami filiżanek i spodeczkiem. – Dora i ja wymieniałymy uwagi o Monecie. Tak się składa, że obie go bardzo lubimy.

– Teraz to sprawa policji.

– Wić gdzie twoja odznaka, Skimmerhorn? – zagadnęła słodko Dora i naleła kawy do jego filiżanki.

– Zamknij się, Conroy.

– To moja wina, że ma takie maniery – wyjąknęła Honoria. – Mam nadzieję, że mu to wybaczysz.

– Nic sobie z tego nie róbcz – powiedziała Dora. – Tak, jak ja. Jedydiaszu – zwróciła się do niego, z uśmiechem patrząc, jak wyszczerzył na nią zębami. – Twoja babka i ja chciałybymy wiedzieć, co zrobiono z Monetem.

Wydawało się, że prościej rzucić im co, niż walczyć z obydwiema.

– Dzień rano powiadomili my... Brent powiadomił komisarza Rikera o tym wszystkim – poprawił się. – Na jakiś czas wszystko jest objęte tajemnicą.

– Ach tak – powiedziała Honoria. – Wić wszystko odbyło się ponad tym kapucynem głębiem, Goldmanem. Bardzo mi drze. Ten człowiek to kompletny jęłop i zupełnie nie nadaje się na dowódcę.

– Czy to opinia profesjonalisty, babciu? – chciał wiedzieć Jed. W odpowiedzi otrzymał spojrzenie, pod którym zaczerwienił się jak uczeń.

– Wiesz, Doro – cięgnęła Honoria – popełniłam ten błąd, ale nigdy do końca nie zaakceptowałam zawodu, jaki wybrał Jed, dopóki nie wystąpił z policji. Boję się, ale nie do wczoraj nie powiedziałam mu, jak bardzo jestem z niego dumna.

– Na to zawsze jest czas – powiedziała Dora.

– Masz bardzo rozwinięty zmysł współczucia – Honoria wstała, zadowolona z dokonań tego ranka. – Tego mu potrzeba. Bardzo dziękuję za kawę. Mam nadzieję, że błąd mogła jeszcze naprawić.

– W każdej chwili – Dora ucałowała Honorię i zrobiła to, czego zaniedbał zrobić Jed. Ucałowała policzek starszej pani. – Przynios twoje okrycie.

– Za chwilę mam spotkanie – Honoria zaczęła wkładać kawiczkę. – Dlatego nie zdejmę obejrze twojego mieszkania.

– Nie ma tam nic do oglądania – powiedział Jed sucho. Ale wziął od Dory narzutkę i pomógł babce jej włożyć. – Dziękuję, a mi pomogła.

Pochylił się i pocałował ją, mimo iż czuł się skrępowany obecnością Dory.

– A byłbym jeszcze bardziej wdzięczny, gdybyś o tym zapomniała. Uśmiechnęła się tylko.

– Chciałabym wkrótce zaprosić Dorę na kolację. Zadzwoń, to się umówimy. Jeszcze raz dziękuję, moja droga – zwróciła się do Dory. – Wróć, kiedy otworzysz sklep. Jest tam na wystawie pewna rzecz – łowczyni z brzozy.

– Tak, pamiętam.

– Jestem niestety bardzo zainteresowana – mrugnęła do Dory i opuściła mieszkanie.

– Co za wspaniała osoba.

– Czego chciała?

– Podstawowych informacji – Dora uniosła tacę, po czym odstawiała ją z hałasem, gdy Jed złapał ją za ramię.

– Gdybym chciał j o czym informowa – zaczął, z trudem powstrzymując w cieńko – zrobiłbym to.

– Wpl tałe w to Ri , kiedy przyszedła do niej z obrazem. Przykro mi, e jeste zły, ale kiedy zwróciła si wprost do mnie, udzieliłam jej odpowiedzi.

– Cholera – jej chłodna szczeró była jak szpilka, która przekłuła balon jego furii. – Wiesz, jak si gimnastykujemy, eby utrzyma to w tajemnicy?

– Chyba wiem – uniosła brew. – My lisz, e babunia poleci z tym do gazet?

Usta mu zadrgały, kiedy nazwała jego nieskazitelnie szykown Honori babuni .

– Im mniej osób zna szczegóły, tym lepiej.

– Wł cznie ze mn – wzięła wreszcie tac i odmaszerowała z ni do kuchni. – To dlatego budz si sama w łó ku, bez słowa wyja nienia, gdzie jeste i co robisz.

– Przesta . O czym ty mówisz, do diabła?

– O niczym – jej głos był cichy i pełen w cieńko ci. Zaczła przekłada naczynia do zlewu. – Zupełnie o niczym. Ruszaj z gołymi r kami na nied wiedzie, no, jazda!

– Conroy – rozdarty mi dzy rozbawieniem a desperacj , oparł si o framug drzwi. – W cieńka si , bo wyszedłem?

– A sk d? – odwróciła si do niego ze spojrzeniem pełnym bolesnego gniewu. – Przyzwyczaiłam si do samotnych poranków.

– Cholera – przeci gn ł dłoni po twarzy, zbity z tropu – słuchaj, obudziłem si wcze nie. Nie chciałem ci budzi ... – przypomniał sobie, jak wygl dała, skulona w kł bek, z włosami rozsypanymi po poduszce. Owszem, chciałem j obudzi , pomy lał. Ale nie po to, eby jej powiedzie , e wychodzi, pomy lał. – Poszedłem na siłowni , zjadłem niadanie z Brentem. Mieli my obgada pewne sprawy.

– Czy ja ci prosz , eby si tłumaczył? – jej głos był zimny, ale pod chłodem kryła si w cieńko .

– Tak – poszedł za ni do salonu. – Owszem.

– Och, daj spokój – przejdź ta niesmakiem z własnego powodu, potarła nos palcem wskazującym i kciukiem.

– Naprawdę muszę zaspokoić ciekawość. Co kobiety noszą pod takimi wielkimi bluzkami? – Podniósł ją znowu i zaczął pieścić jej kark w drodze do sypialni.

– Nic z tego. Właściwie... – roześmiała się, gdy padli na łóżko jak dokazujące dzieci. – Właściwie to nic.

– Na ramieniu masz dziurę.

– Wiem. Byłam chora z przerażenia, kiedy twoja babka mnie zaskoczyła.

– I plamę – przesunął palcem między jej piersiami – tutaj.

– Prawdziwy, żywy burgund. Pochlapałam się, kiedy robiłam łazanie – westchnęła i przeczeswała włosy palcami. – Chciałam przeznaczyć ten łach na szmatki, ale... – zachłysnęła się, oszołomiona, kiedy Jed rozdarł bluzkę na dwie części.

– To chyba ułatwia sprawę – zanim zdecydowała się, czy się roześmiać czy zacząć mu wymyślać, przesunął ustami po jej piersi i obudził w niej nagłą i łakomą dżemę. – Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, miałem ochotę podrzeć na tobie ubranie.

– Przecież... – oszołomiona i podniecona, odetchnęła gwałtownie, gdy jego dłonie sięgnęły władczo poniżej jej talii – w pierwszej chwili zamknęły mi drzwi przed nosem.

– Wtedy wydawało mi się to najbardziej sensowną rzeczą. – Jednym potężnym szarpnięciem rozerwał jej spodnie. – Byłoby nie miało racji.

Odchylił się, przytrzymał jej dłonie swoimi. Promienie światła wpadały przez rozsunięte zasłony, oświetlały jasno jej twarz, skórę i włosy. Ubranie leżało w strzypach na posłaniu. Czuli się jak wojownik nad wojenną zdobyczą.

Jej ciało, podniecone, podniecające, drżało jakby przesuwające się po nim jego ręce, a nie spojrzenie. Jej piersi były małe, twarde, białe jak mleko, z kuszaco sterzącymi sutkami.

Pochylił się i przesunął po niej dymiącym powietrzem, a jej oddech przyspieszył i stał się płytki, a jej ciało napięło się jak

ci ciwa luku. T tno, które czuł w jej nadgarstkach, zaczął uderza mocno niczym uderzenia małego b benka.

– Chc na ciebie patrzy – jego głos stał się ochrypliwy, gdy pu cił jej r k i wsun ł dłoń pomi dzy jej uda. Od jedwabiu do aksamitu, od aksamitu do mokrego atłasu.

Orgazm wystrzelił w niej jak raca, szybko, ostro. Jej ciało wstrz sn ło się jak od uderzenia. Krzykn ła.

– Nigdy nie mam do – szepn ł. Zaskoczyło go, e mógł odetchn . Patrzanie na poddaj c się rozkoszy Dor miało w sobie niemo liwy do okre lenia erotyzm, było nad wyraz poci gaj ce. Ztracała się w niej bez reszty i rozstawiała się z nią bez alu. Jej umiej tno brania i dawania uczucia była absolutnie uczciwa i nieodparta.

Dlatego, zrywaj c z siebie ubranie, obserwował jej twarz, na której pojawiały się kolejne uczucia.

Musiał na nią patrze , widzie ka de drgnienie i spazm na jej twarzy. Ukl kł, uniósł jej biodra, powoli przyci gn ł ją ku sobie, powoli wszedł w nią .

D wi k, który wydarł się jej z gardła, był chrapliwy i jakby koci. Nie odrywał wzroku od twarzy, nawet kiedy ostro widzenia rozmazała się i opu ciła go wiadomo .

* * *

– Jestem ci winien gór od dresu. – Jed wło ył Dorze przez głowę własn bluz .

Dora przyjrzała się jej.

– Ta jest w jeszcze gorszym stanie niż moja. Ale i nie rozstałyby się z nią nawet za cen złota.

– Poza tym jeste mi winien również dół od dresu.

– Mój nie pasowałby na ciebie – wło ył spodnie i stan ł, patrz c na nią , siedz c na brzegu łóż ka. Wyci gn ł r k i owin ł sobie na palcu kosmyk jej włosów. – Powinniśmy rozpali ogie i sp dzi cały ranek w łóż ku, patrz c na telewizj .

Przechyliła głowę .

– To brzmi niewiarygodnie kusz co, Skimmerhorn. Jak s dzisz, dlaczego mam takie dziwne wra enie, jakby usiłował mnie usun z drogi?

– Z czyjej drogi?

– Z twojej.

– Jak mog chce ci usun sobie z drogi, skoro zamierzam sp dzi maksymalnie du o czasu na tobie?

– Ty i Brent pracujecie nad czym i nie chcesz, ebym wiedziała, co to jest.

To, e nie zareagował na jej oskar enie, zawiodło j i zrobiło jej ogromn przykro .

– W porz dku – odepchn ła od siebie złe my li i przesun ła dłoni po zmi tej po cieli. – Sama si dowiem.

– Jak? U miechn ła si .

– Kiedy znajd si na tobie, wydusz to z ciebie.

– Wydusisz? – powstrzymał miech. Wytrzn ł z paczki przypłaszczonego papierosa. – Chyba nie my lisz, e po takim o wiadczeniu skoncentruj si na Bobie Barkerze albo Vannie White.

– Na Bobie Barkerze? – roze miała si , zachwycona nim do tego stopnia, e musiała rzuci mu si w ramiona – Bobie Barkerze? Bo e, Skimmerhorn, kocham ci .

Zacz ła ci gn go za sob na łó ko i całowa bez pami ci, kiedy poczuła, e sztywnieje. Jej serce zacz ło lodowacie , bardzo powoli, bardzo spokojnie.

– Hurra – zdobyła si na beztroski ton. – Nie powinnam była tego mówi , prawda? Przepraszam – poniewa ból nadal j przeszywał, odwróciła si , unikaj c jego wzroku. – Przypisz to wplywowi atmosfery albo czemu chcesz.

Nie miał poj cia, czy uda mu si w ogóle poruszy j zykiem, ale wreszcie udało mu si wydusi jej imi .

– Doro...

– Nie, nie – O Bo e, Bo e, pomy łała w panice. Zaraz zaczn płaka , je li czego szybko nie zrobi . – To tylko takie przej zyczenie, niczym si nie przejmuj.

Zmusiła się, by się u niego odwrócić. Było tak le, jak się tego obawiała. Twarz miała nieruchomą, oczy kompletnie bez wyrazu.

– Słuchaj, Skimmerhorn, to słowo na „k” przychodzi mi bardzo łatwo. Moja rodzina rzuca nim na prawo i lewo, jak to zwykle ludzie teatru.

Uniosła znowu rękę, przeczesała niemiłosiernie włosy tym niespokojnym i czarującym kobiecym gestem, który przywykła uwielbiać.

– Wiem, rozumiesz – jej głos był znowu wesoły, zbyt wesoły. – Może rozpalisz ten ogień? Ja przygotuję jak przekąskę i obejrzymy sobie telewizję.

Zrobiła jeden krok, zatrzymała się. Nie poruszył się; powstrzymał ją sam wół.

– Mówiła poważnie, prawda? – powiedział cicho, a jego spojrzenie sprawiło, że nie mogła skłamać.

– Tak – chwila obrony pojawiła się natychmiast. Wyprostowała ramiona, uniosła brodę. – Takie są moje uczucia. Jedną, i wiem, jak sobie z nimi radzić. Nie proszę, żeby się do nich dostosował ani nawet żeby je zaakceptował, jeśli to dla ciebie za trudne – w jej oczach zaczęły pojawiać się pierwsze ogniki gniewu. – A ponieważ tak ci przykro o nich słyszeć, postaram się nigdy o nich nie wspominać. Nigdy. W porządku?

Nie, na razie nic nie było w porządku. Nie potrafił określić chwili, w której sytuacja między nimi uległa zmianie, tak jak nie potrafił określić własnych uczuć. Ale mógł zrobić coś, by ustabilizować zaczynając mu zagrać sytuację.

– Ubierz się – powiedział. – Chcę ci coś pokazać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Pogoda w końcu uległa poprawie. Słońce odbijało się jasnowybrzo w szybie T-Birda, co dało Dorze pretekst do włożenia ciemnych okularów. Była to marna ochrona, ale Dora czuła się lepiej, jeżeli miała się za czym schować.

Jechali na północ Germantown Avenue pod czystym błękitnym niebem. Jedź prowadził, Dora zabijała czas obserwując pieszych. Temperatura spadła niemal do pięćdziesięciu stopni Fahrenheita, zmuszając ludzi do przybrania wawiego tempa. Przejechali przez centrum, omijając rzeki i szalejący nad nimi zimny wiatr. Zmierzali w stronę Chestnut Hill.

Nie aż tak daleko od South Street, jeżeli nie liczyć olbrzymiej przepaści bogactwa i snobizmu.

Odkąd wsiadła do samochodu, nie odezwał się ani słowem. Nie pytała, dokąd jadą. Wiedziała to niemal na pewno. Powody, dla których zabrała je w tę podróż, wkrótce się wyjaśnią – podobnie jak to, jakie konsekwencje przyniosło jej impulsywne wyznanie miłości.

Zamiast zadręczać się tym, co musiało nadejść, postanowiła obejrzeć podziwiając krajobraz, przepięknie odnowione domy i sklepy, blask kryształu i złota na wystawach, urok bruku pod wielkimi oponami T-Birda.

Drzewa wysoko na wzgórzu były stare i dostojne, domy zadbane i wytworne. Tu może na pewno znalazłyby się diamenty, dziedziczone fortuny i wypchane portfele, kluby tylko dla wybranych i dobrze ułożone salony. Zastanowiła się przelotnie, jak wyglądało to wszystko w oczach dorastającego chłopca.

Jedź skręcił w wąską uliczkę obok liczego starego domu w stylu kolonialnym. Cegły miały kolor delikatnego, nasyconego różu, a wykończenia – gładki bokowy białki. Wysokie okna połyskiwały w ostrym świetle dnia, oświetlone błyskami brzości do swoich tajemnic.

To piękny dom, pomysł Dora. Pięknie utrzymany, doskonale umiejscowiony i budzący silne skojarzenia z kobiecością – przez swoje wdziące kształty i godność. Gdybym szukała domu dla siebie, zdała sobie sprawę, nie mogłabym znaleźć nic lepszego. Wiek, tradycje, poezje – to wszystko pasowało do jej obrazu o idealnym domu rodzinnym.

Wyobraziła sobie, jak róże zasadzone pod wysokimi oknami, tonią latem w kwiatach o mrocznych kolorach, które rozciągają kobiecy zapach. A na jesieni wielkie, bujne drzewa zapłonęły złotem i szkarłatem. W tej wizji nie zabrakło koronek w oknach i psa na podwórzu.

A ponieważ miała przed oczami tak wyrazisty obraz, serce cisnęło jej boleśnie. Bardzo wtopiła, czy Jędrzej widział ten dom tak jak ona.

Wysiadła bez słowa z samochodu i rozejrzała się. Na wzgórze docierały tylko niewyraźne odgłosy miejskiego gwaru. Nie było tu turystów, fotografujących się na tle pomników, tłumy worolkowców pędzących po chodnikach, kuszonych wonią pizzy z delikatesów na rogu. Czy to nie tego mi potrzeba? pomysł Dora. Hałas, różnorodnych zapachów i wolność, jak czuję, gdy mnie otaczają?

– To tu dorastała? – spytała.

– Tak. – Poprowadził ją do drzwi, ozdobionych przepięknymi szklanymi wstawkami. Otworzył je, odstąpił na bok i wpuścił Dorę do środka.

Foyer było wysokie na dwa piętra, oświetlone wieloramiennymi kandelabrami, rzucającymi wdziące błyski na wielkie drewniane schody. Podłoga była wielkimi czarno – białymi marmurowymi płytami. Kiedy stąpiła po nich, jej zamszowe botki nie wydawały niemal żadnego odgłosu.

Puste domy mają w sobie coś niezwykle fascynującego. Cisza, odpowiadająca echem, poczucie opuszczenia. Czuję się niezwykłym poznania ludzi, którzy w tym domu mieszkali, przedmiotów, które ich otaczały, a także ochotę na postawienie

si w ich sytuacji. Tutaj stałaby moja ukochana lampa, a tu ten mały stoliczek.

Dora czuła teraz tę fascynację, ale pogłębioną jeszcze ciekawością, jak Jed mógł dopasować się do takiej architektury i wystroju wnętrza.

Nie czuła go tutaj. Choć wiedziała, że to, co było w nim najważniejsze, zatrzymało się przed progiem, a ona sama weszła do wnętrza tego domu.

Tapety w maleńkich herbacianych różyczki nosiły na sobie jągnięte prostokątne lamy po zdjętych obrazach. To ogołoczone foyer domaga się kwiatów, pomyślała Dora. Wysokich flakonów z mnóstwem frezji, lilii o wysokich, nagich łodygach, mierzycych w górę niczym włócznie i jakiegoś ładnego, zachęcającego dywanika, który przykryłby zimny marmur i złagodził sztywność oficjalnego holu.

Przesunęła dłoń po lśniącym podstawie u stóp balustrady – balustrady, pomyślała, stworzonej dla siedzących po niej dzieci lub dla bledzących po niej palców kobiet.

– Zamierzasz go sprzedać.

Obserwował ją uważnie, kiedy przechodziła z foyer do frontowego salonu. Już teraz, przy samym wejściu, jego miłośnicy nie były napięte jak ciwaki. Dora nie myślała się, Jed patrzył na ten dom nie widział sympatycznych dywaników ani przyjemnych kwiatków.

– Jest już wystawiony na sprzedaż. Dom należy do Elaine i mnie, a jej nie odpowiadały oferty, które otrzymaliśmy. Mnie to dokładnie zwisa. – Ponieważ miał ochotę zaciśnić ręce w piątych, włożył je do kieszeni kurtki. – Wiadomo kupiła sobie własny dom, mieszkam tutaj przez pewien czas. – Nie poruszył się, kiedy Dora podeszła do pustego i oczyszczonego kominka. – Ten dom jest mój, a mój agent stara się go sprzedać.

– Rozumiem.

Na gzymsie kominka powinny stać rodzinne fotografie, pomyślała. Tłumy osób pozujących do obiektywu, widać tutaj cichą

narodziny i przemijanie pokole . A w rodku powinien by stary zegar, cicho odmierzaj cy czas.

Gdzie podziały si masywne wieczniki z wypalonymi do ko ca wiecami? – pomy lała niemal rozpaczliwie. Gdzie s głą bokie fotele z małymi podnó kami, przysuni te w stron ognia na kominku?

Ogie wyp dziłby st d to zimno, pomy lała, nie wiadomie rozcieraj c ramiona w drodze powrotnej. Tu jest o wiele za zimno.

Znalazła bibliotek ogołocon z ksi ek; kolejny salon z widokiem na brukowane patio, które błagało, by ozdobi je kwiatami; jadalni , wielk i pust , pozbawion wszystkiego z wyj tkiem kolejnego kandelabru; i wreszcie kuchni z uroczym paleniskiem i kaflowym piecem.

To tu powinno by ró dło ciepła, pomy lała. Tu, gdzie sło ce wpada potopem wiatła przez okno nad zlewem i pachnie pieczonym chlebem. Ale tutaj tak e znalazła tylko zi b i odbijaj ce si echem milczenie nie zamieszkanego i nie chcianego domu.

– Jaki st d pi kny widok – powiedziała, eby przerwa milczenie. Na podwórku powinna by piaskownica, pomy lała, splataj c zeszywniale pałce. I hu tawka, zwisaj ca z konaru wielkiego klonu.

– Nie pozwalano nam tu wchodzi .

– Słucham? – odwróciła si od okna, pewna, e nie zrozumiwała.

– Nie pozwalano nam tu wchodzi – powtórzył, wpatrzony tylko w ni , jakby nie zauwa ał kredensów z drewna pekanowego i ró owych puszek na przyprawę. – Tu przebywała wył cznie słu ba. Tam znajdowało si skrzydło, w którym mieszkali – machn ł r k , nie patrz c, w stron bocznego wej cia. – Tam jest tak e pralnia i inne pomieszczenia słu bowe. Kuchnia była poza naszym zasi giem.

Miała ochot si roze mia i powiedzie , e zmy la, ale było zupełnie oczywiste, e mówi prawd .

– A je li miała dzik ochot na par ciasteczek?

– Nie powinno si je mi dzy posiłkami. Poza tym kucharz miał obowi zek je wypieka , a po nas spodziewano si , e oddamy im sprawiedliwo – o ósmej rano, pierwszej po południu i siódmej wieczorem. Przychodziłem tu w nocy – dla samej zasady. – Teraz rozejrzał si po kuchni. Jego spojrzenie nie miało adnego wyrazu. – Nadal czuj si tu jak przemytnik.

– Jed...

– Musisz zobaczy cał reszt – odwrócił si i wyszedł.

Tak, chc , eby to zobaczyła, pomy lał ponuro. Ka dy kamie , ka d krzywizn tynku, ka dy centymetr farby. A kiedy ju to zobaczy, kiedy przejd ju przez to, mam nadziej , e nigdy wi cej nie przest pi prog u tego domu.

Doł czyła do niego u stóp schodów, gdzie czekał na ni .

– Jed, nie trzeba.

– Chod my na gór . – Wzi ł j pod rami , ignoruj c jej wahanie. Pami tał ten zapach: powietrze przesycone g stym zapachem wosku i ałobnych kwiatów, woni drogich perfum matki i siostry, odorem hawa skich cygar ojca.

Pami tał te czasy, kiedy nie było tu tak cicho. Kiedy wiecznie słyca tu było podniesione głósy, pełne gniewu i urazy lub stanowcze i przesycone obrzydzeniem. I słu cych ze spuszczoneymi oczami, nie słyca niczego i zaj tych prac .

Pami tał siebie jako szesnastolatka, niewinnie zauroczonego jedn z nowych pokojówek. Kiedy matka przyłapała ich na naiwnym, nieszkodliwym flircie, dokładnie w tym miejscu, przypomniał to sobie, z miejsca odprawiła dziewczyn .

– Pokój mojej matki – Jed skin ł głow w stron drzwi. – Pokój ojca był na ko cu korytarza. Jak widzisz, mi dzy nimi znajduje si kilka innych pomieszcze .

Miała ochot westchn i powiedzie , e zobaczyła ju dosy , ale wiedziała, e on jeszcze nie sko czył.

– Gdzie był twój pokój?

– Tutaj. Podeszła i zajrzała. Pokój był wielki i przestronny, roz wietlony promieniami popołudniowego sła ca. Okna

wychodziły na znajduj cy si na tyłach domu trawnik i schludnie przyci ty ligustrowy ywopłotem ci gn cy si wzdłu całego terenu. Dora usiadła na w skim siedzeniu pod oknem i wyrzała.

Wiedziała, e w starych domach jest wiele duchów. Przez dwie cie lat w budynku musz zebra si wspomnienia o tych, którzy si przez niego przewin li. Te duchy nale ały do Jeda, który bronił ich zazdro nie. Czy dałoby to cokolwiek, pomy lała, gdybym powiedziała mu, jak łatwo jest je wygna ?

Brakowało tu tylko ludzi. Kogo , kto ze miechem zbiegałby po schodach lub le ał przed kominkiem, zatopiony w marzeniach. Dzieci, które trzaskałyby drzwiami i cigaly si na korytarzach.

– Tu stał kiedy orzech. Wychodziłem po nim w nocy, eby szuka przygód. Pewnej nocy zauwa ył mnie jeden ze słu cych i zameldował o tym ojcu. Nast pnego dnia orzech został ci ty. Potem ojciec wszedł na gór , zamkn ł drzwi i stłukł mnie na kwa ne jabłko. Miałem wtedy czterna cie lat – powiedział głosem bez wyrazu i zapalił papierosa. – To wtedy zac łem wiczy hantlami.

Przez dym zobaczyła błysk jego oczu.

Nie zamierzałem mu pozwoli , eby mnie znowu uderzył. Pracowałem jak wszyscy diabli, eby by do silnym, by go pokona , gdyby chciał to znowu zrobi . Par lat pó niej tak si stało. Tak wła nie znalazłem si w szkole z internatem.

Co gorzkiego zac ło zalega jej w gardle. Zmusiła si , by to przełkn .

– My lisz, e tego nie zrozumieć – powiedziała cicho – poniewa ojciec nigdy nie podniósł na nas r ki. Nawet wtedy, gdy zasługiwali my.

Jed przyjrzał si uwa nie papierosowi, zanim strzepn ł popiół na podłog .

– Mój ojciec miał wielkie dłonie. Nie u ywał ich zbyt cz sto do bicia, ale kiedy to robił, tracił nad sob kontrol .

– A twoja matka?

– Ona raczej rzucała przedmiotami, kosztownymi przedmiotami. Raz uderzyła mnie mi nie skim wazonem, a

straciłem przytomno . Potem zabrała jego równowarto z
mojego funduszu na college.

Dora kiwn ła głow , nie odrywaj c wzroku od widoku za
oknem. Walczyła z mdło ciami.

– A siostra?

– Raz traktowali j jak laleczk z porcelany, innym razem jak
wi nia. Jednego dnia przyj cie, drugiego drzwi zamkni te na
klucz – wzruszył ramionami. – yczyli sobie, eby była dam
doskonał , dziewicz debiutantk , która b dzie post powała w
zgodzie z zasadami Skimmerhornów i dobrze wyjdzie za m .
Kiedy nie spełniała ich da , zamykali j w miejscu
odosobnienia.

– Prosz ?

– Zamykali j w jej pokoju, na par dni, czasem na tydzie .
Potem przekupywali j szale czymi zakupami albo przyj ciami,
dopóki nie zrobiła tego, czego od niej wymagali – zaci gn ł si
znowu, eby zabi gorycz w ustach. – Mo e my lisz, e wspólna
niedola zbli yła nas do siebie, ale jako nigdy si tak nie stało.
Mieli my si nawzajem w nosie.

Odwróciła powoli głow , spojrzała na niego przez rami .

– Nie musisz mnie przeprasza za swoje uczucia.

– Nie przepraszam – warkn ł. – Wyja niam. – I nie pozwolił,
by jej niezaprzeczalne współczucie ukoło jego ból.

– Dostałem telefon, e Elaine chce si ze mn spotka .
My lałem, e to który z jej słu cych, okazało si , e mówił
jeden z ludzi Specka. Chcieli, ebym przygl dał si temu
wszystkiemu. Wiedzieli, e w ka d rod o jedenastej wyje d a
do fryzjera. Ja tego nie wiedziałem – znowu podniósł spojrzenie i
wbiał je w Dor . – Nie wiedziałem o niej niczego. Mieszkałem o
kilka minut drogi od jej domu i byłem nieludzko wkurwiony, e
mnie wezwała. A potem przyszła wiadomo o podło onej
bombie. Mo na powiedzie , e Speck miał niezłe wyczucie
czasu.

Zamilkł na chwil , podszedł do małego paleniska i zgniótł
niedopałek papierosa na jednym z kamieni.

– Zjawiłem si pierwszy, tak jak zaplanował Speck. Widziałem j siedz c w wozie, kiedy biegłem do niej. Pachniały ró e – powiedział mi kko.

Znowu cała scena stan ła mu przed oczami, nie jak w filmie, nie jak we nie, lecz jak ywcem wyj ta z rzeczywisto ci.

– Spojrzała w moim kierunku. Widziałem na jej twarzy wyraz zaskoczenia i irytacji. Elaine nie znosiła, kiedy kto burzył jej porz dek dnia, a ja my łałem, e najbardziej wkurza j to, e s siedzi zobacz mnie, jak biegn przez trawnik z bronie w r ku. Potem przekr ciła kluczyk i samochód wyleciał w powietrze. Wybuch odrzucił mnie w krzaki ró .

– Próbowale j ratowa .

– Ale jej nie uratowałem – powiedział głosem bez wyrazu. – Teraz musz z tym y , a tak e z poczuciem winy, e nie znaczyła dla mnie wi cej ni kto obcy. A nawet mniej, poniewa nie była kim obcym. yli my razem przez niemal osiemna cie lat i nie mieli my z sob nic wspólnego.

Wtedy odwróciła si i usiadła w milczeniu. Jed zauwa ył z krótkim dreszczem zaskoczenia, jak licznie, jak doskonale wygl dała, kiedy sło ce obejmowało płynnie jej sylwetk , zagl dało w jej spokojne i czujne oczy i kładło si na powa nych ustach. Dziwne, pomy łał, w tym domu nigdy nie było niczego, co uwa ałbym za pi kne. A do teraz.

– Rozumiem, dlaczego mnie tu przyprowadziłe – zaczę ła. – Dlaczego czule si do tego zmuszony – chocia nie musiałe tego robi . Ciesz si , e tak si stało, ale to nie było konieczne – westchn ła i zło yła r ce na kolanach. – Chciałe , ebym zobaczyła ten zimny, pusty dom, gdzie nie zostało nic prócz nieszcz cia, które tu zawsze go ciło. I chciałe , ebym zrozumiała, e tak jak ten dom nie masz nic do ofiarowania.

Czuł potrzeb , rozpaczliwie siln , by podej i zło y głow na jej kolanach.

– Nie mam nic do ofiarowania.

– Nie chcesz mie – poprawiła go. – I zwa ywszy to, co miało miejsce w twoim yciu, jest to z cał pewno ci logiczne.

Problem polega na tym, Skimmerhorn, że uczucia nie kierują się logiką. Przynajmniej nie moje – przechyliła głowę. Słowo ceło było si na jej twarzy, ogrzewając ją tak, jak ciepły był jej głos, jak ciepły był ten pokój, ogrzany jej obecnością. – Powiedziałam ci, że cię kocham, a ty wolałbyś pewnie, abym ci dała w twarz, ale to wszystko prawda. Nie chciałam tego ci mówić, a mimo to chciałam.

Przejechała włosy palcami bezbronnym i znużonym gestem.

– Mimo to chciałam – powtórzyła mi kko. – Bo chociaż wiedziałam, jak zareagujesz, nie lubi dusić w sobie uczuć. Ale to są moje uczucia, Jed. Nie prosz ci o nic.

– Kiedy kobieta mówi mi czy nie, że go kocha, prosi go o wszystko.

– Tak to widzisz? – uśmiechnęła się lekko, lecz jej oczy pozostały zgaszone smutkiem. – Powiem ci, jak ja to widzę – miłość to dar, który mimo to zostaje łatwo odrzucony. Odrzucenie nie niszczy go, ale po prostu odsuwa na bok. Mimo to to robi. Nie prosz, aby się zrewanżował podobnym podarunkiem. Nie abym go nie chciała, ale go nie oczekuj.

Wstała i podeszła do niego, ujęła w dłoń jego twarz. Jej spojrzenie było nadal smutne, ale malowało się w nim upokarzające go bezgraniczne współczucie.

– Przyjmij to, co ci daję, Jed, zwłaszcza jeżeli jest to podarunek hojny i bezinteresowny. Nie bód ci go ci głę podsuwała. To sprawiłoby przykro nam obojgu.

– Jeste teraz bezbronna, Doro.

– Wiem. Nie przeszkadza mi to – pocałowała go w jeden policzek, potem w drugi, na koniec w usta. – Odpró się i baw się dobrze, Skimmerhorn. Ja zamierzam tak zrobić.

– Nie jestem czymś, czego potrzebujesz – ale przyciągnął ją blisko do siebie i trzymał mocno. Bo ona była tym, czego potrzebował. Dokładnie tym.

– Mylisz się – zamknęła oczy i powstrzymała nadchodzące łzy. – I nie masz racji również co do domu. Obaż czekacie.

* * *

Nie mógł skupić uwagi. Jed wiedział, że szczegóły, które właśnie nie omawiał z Brentem, są bardzo istotne, ale przed oczyma nadal miał obraz Dory, otoczonej aureolą światła, siedzącej na parapecie jego dawnego, znienawidzonego pokoju.

I nadal czuł na twarzy dotknięcie jej dłoni, kiedy uśmiechnęła się i poprosiła, żeby przyjął jej miłość.

– Jed, przez ciebie czuję się jak nudna nauczycielka historii. Jed oprzytomniał.

– Co?

– Dokładnie – Brent wypuścił z płuc powietrze i oparł się na swoim krześle za biurkiem. – Powiesz mi, co ci chodzi po głowie?

– Nic, zupełnie – wypił trochę w ciepłej mocnej posterunkowej kawy i odegnął od siebie rozmarzenie. – To, co znalazłem na Winesapa, wygląda, jakby był kolejnym ogniwem. Nadal uważam, że najlepszym sposobem, żeby sobie z tym poradzić, jest dotrzeć do faceta na górze, tego Finleya. Nie wprost. Im dłużej trzymamy obraz w tajemnicy, tym lepiej.

– To, co zdołałem znaleźć na temat tego faceta, zmieniłoby się pod paznokciem – poskarżył się Brent. – Jest bogaty, tak bogaty, że przy nim wyglądasz jak kmiotek, kolego. Odnosił sukces, jest sam, ma fioła na punkcie prywatności.

– I stoi na czele wielkiej firmy importowo – eksportowej, która może być świetnym przykrywką dla przemycanych towarów.

– Chcielibyśmy – mruknął Brent. – Nie mamy na Finleya żadnego powołania dowodu. Oczywiście cię przesyłka była wysłana na adres jego zastępcy, a DiCarlo pracuje dla niego.

– DiCarlo to mała płotka, chłopak na posyłki. Wystarczy spojrzeć do jego akt.

– A Finley nie ma żadnych akt policyjnych. To amerykański ideał, skromny człowiek, który do wszystkiego doszedł o własnych siłach, i powołany obywatel.

– Wi c nie zaszkodzi mu, jak troch poszperamy w jego przeszło ci – zauwa ył Jed. – Chc pojecha do Los Angeles.

– Tak my lałem, e tam jest centrum tego wszystkiego – Brent poruszył si niespokojnie. – Słuchaj, wiem, e jeste w to osobi cie zaanga owany. Policja guzik by zrobiła bez ciebie.

– Ale – przerwał mu Jed – ja nie jestem w policji.

Brent poprawił okulary, czuj c si jak ostatnie bydl . Zacz ł przekłada dokumenty na biurku.

– Goldman zaczyna zadawa pytania.

– Mo e pora, eby zacz ł mu na nie odpowiada .

– Komisarz te jest tego zdania.

– Jestem cywilem, Brent. Nikt mi nie zabroni pojecha na Wybrze e – na własny koszt, po wi caj c na to własny czas.

– A mo e wreszcie z tym sko czysz? – nie wytrzymał Brent.

– Wiem, e za godzin masz spotkanie z komisarzem i obaj wiemy, co od niego usłyszysz. Nie mo esz tego dłu ej odwleka . Mo e mi troch ułatwisz ycie i powiesz, e wracasz do pracy.

– Tego nie mog ci powiedzie . Mog powiedzie ci tylko, e my l o tym.

Przekle stwo zamarło w ustach Brenta.

– Powa nie?

– Tak powa nie, e nie przypuszczałem, eby było mnie na to sta . – Jed wstał i podszedł do drzwi z mro onego szkła, do odrapanych szafek z aktami, do zapuszczonego dzbanka na kaw .

– Cholera, t skni za tym – odwrócił si , niemal rozbawiony samym sob . – Czy to nie głupota? T skni – za ka d minut nudy, za tymi pierdolonymi raportami, za tymi nowymi mazepami. Dziewi razy na dziesi si gam rano po kabur , zanim sobie przypomn , e jej nie mam. My lałem nawet, eby kupi jedn z tych policyjnych krótkofalówek, wi c wiem, e nie jest ze mn dobrze.

– Alleluja – Brent zło ył r ce jak do modlitwy. – Pozwól mi powiedzie o tym Goldmanowi. Pozwól, ebym to ja mu powiedział.

– Nie powiedziałem, e wracam.

– Owszem, powiedziały – Brent zerwał się impulsywnie, chwycił Jeda za ramiona i pocałował go.

– Jezu, Chapman. We się w gar .

– Chłopaki przywitaj ci jak boga. Co o tym s dzi Dora? Szeroki u miech Jeda nieco zbladł.

– Nic o tym nie s dzi. Nie rozmawiali my o tym. Jej to nie interesuje.

– Och – Brent klasnął j zykiem. – Mhm. Mary Pat i ja zało yli my si . Ona twierdzi, e b d wypo yczał frak na wesele pod koniec roku szkolnego. Ja typowałem ferie wielkanocne. Ostatnio mierzymy czas szkolnym kalendarzem.

Szybki skurcz strachu, który skr cił oł dek Jeda, niemal pozbawił go sił.

– Chrzanisz.

– Nie udawaj, kapitanie, masz fioła na jej punkcie. Dziesi minut temu gapile si w pustk i niłe na jawie. A je li to nie j widziały , jestem gotów pocałowa Goldmana w usta.

– Ostatnio jeste bardzo liberalny w uczuciach. Sko cz z tym, dobrze? Znal ten ton – werbalny odpowiednik obronnej palisady.

– Dobrze, ale od ciebie zale y, kto stawia obiad na dwie osoby w Chart House – Brent oparł si o brzeg biurka. – Jestem bardzo wdzi czny za to, co ty i komisarz zrobili cie w tej sprawie. Czy zamierzasz pojecha do Los Angeles słu bowo czy nie, mog udzieli ci pomocy.

– Porozmawiamy jutro.

– I, kapitanie – dodał Brent, zanim Jed dotarł do drzwi – zrób mi przysług i pozwól im si przekupi , dobrze? Mog zrobi list rzeczy, które by si tu przydały.

U miechn ł si i usiadł wygodnie, zatapiaj c si w marzeniach o tym, jak przekazuje t wiadomo Goldmanowi.

* * *

Zbli ała si północ, kiedy Dora zaprzestała jakichkolwiek stara , aby usn . Wstała i ubrała si w szlafrok. Klasyczny

przykład bezsenno ci, nie mający nic wspólnego z tym, że Jed nie wrócił do domu ani nie zadzwonił.

Rzeczy przybrały zły obrót, pomyślała, kiedy zaczęłam się okłamywać.

Włączyła stereo, ale nami ten blues Bonnie Raitt zbyt pasował do sytuacji, więc wyłączyła muzykę. Poszła do kuchni i postawiła czajnik na gazie.

Jak mogłam pałać co takiego, pomyślała, bez przekonania zastanawiając się nad herbatą cytrynową i rumiankiem. Przecież wiedziałam, że mój przyjaciel, który usłyszy takie wstrząsające oświadczenie, zacznie wiać z prędkością wiatła, prawda? Nie. Wrzuciła do filiżanki torebki z herbatą. Nie wiedziała tego, bo nigdy nikomu tego nie powiedziała. A teraz, kiedy brała udział w przedstawieniu swojego życia, powiedziała swojej kwestii za wcześnie.

To już się nie odstanie, uznała. Szkoda, że nie dostali my tego samego scenariusza.

Nie powtórzył jej słów niczym echo, nie chwycił jej za ramiona. Systematycznie i dyskretnie wycofał się krok po kroku, odkąd usłyszał te fatalne słowa, które padły jakieś trzydzieści sześć godzin temu. I bardzo się bała, że Jed będzie się dopóty wycofywał, aż zupełnie zniknie z horyzontu.

Nic na to nie może poradzić. Nalała wrzętku do filiżanki i zostawiła herbatę do nagrzania, szukając ciasteczek. Nie może go zmusić, żeby pozwolił jej pokazać sobie, co oznacza dawanie i branie miłości. Mogła tylko dotrzymać obietnicy i nigdy więcej o tym nie wspominać. Bez względu na to, jak bardzo by cierpiała.

I miała jeszcze trochę dumy. Bonnie Raitt myślała o tej sprawie, pomyślała. Miłość ma dumę. Postanowiła, że się pozbiera i będzie dalej. Z nim, jeżeli to może być liwe. Bez niego, jeżeli to konieczne. A zaczęła od teraz, schodząc na dół i zabierając się do pracy, skoro i tak nie mogła spać.

Wyszła z herbaty, w ostatniej chwili przypominając sobie, żeby zamknąć za sobą drzwi na klucz. Nie znosiła tego poczucia,

e nie jest zupełnie bezpieczna w swoim własnym domu. Dlatego zapalała po drodze wszystkie lampy.

Kiedy znalazła si na zapleczu, zabrała si do nudnego naprawiania szkód w katalogu, który DiCarlo wyrzucił do góry nogami.

Monotonna praca i cisza uspokoiły j i pochłon ły – jak zawsze. Lubiła układać ró ne rzeczy na przypisane im miejsca, od czasu do czasu zatrzymuj c si nad jakim rachunkiem, by przypomnieć sobie dreszcz towarzyszy cy jej przy kupnie.

Pami tkowy przycisk do papieru ze wiatowych Targów w Nowym Jorku, czterdzie ci dolarów. Szlifowane lustro na toaletk za trzy tysi ce. Trzy plakaty reklamowe – papierosów Brasso, Olympic i Players, odpowiednio za sto dziewi dziesi t, dwadzie cia siedem i sto osiemdziesi t pi dolarów.

Jed zatrzymał si w połowie schodów, wpatrzony w ni . Miała na sobie zielony szlafrok i par olbrzymich fioletowych skarpetek. Kiedy pochylała si nad jakim wistkiem, jej włosy osuwały si na policzek, zasłaniaj c twarz. Odsuwała je płynnym i naturalnym ruchem, odkładała wistek i brała nast pny.

Serce, które zacz ło mu bić szybciej, kiedy zobaczył otwarte drzwi, uspokoiło si . Bez wzgl du na po danie, które odczuwał, kiedy była blisko, jej widok zawsze go uspokajał.

Zd ył schowa bro , kiedy Dora odwróciła si do niego. Zauwa yła zarys sylwetki i cofn ła si gwałtownie. Dokumenty wyleciały jej z r k, zachłysł ła si .

– Co ty wyprawiasz – spytała z w ciekło ci . – Chcesz przestraszy mnie na mier ?

– Nie – zszedł na dół schodów. – Co ty tu robisz, Conroy, do cholery? Ju po północy.

– A jak s dzisz, co robi ? wicz menueta – upokorzona własn reakcj , kucn ła i zacz ła zbiera rozsypane dokumenty.

– Wygl dała tak ładnie – kucn ł przy niej, poło ył dło na jej r ce. – Przepraszam, e ci przestraszyłem. My lałem, e jeste tak zaj ta, e mnie nie usłyszysz.

– Nie szkodzi.

– Powinna by ju w łó ku – obrócił jej twarz ku wiatłu. – Marnie wygl dasz.

– Wielkie dzi ki.

– I niezła z ciebie suczka.

– Nie jestem suczk – sykn ła ura ona. – Protestuj zarówno jako feministka, jak i miło niczka psów.

Zało ył jej cierpliwie kosmyk włosów za ucho. Wyj tkowo szybko ukryła swoje uczucia, pomy lał. Ale kiedy pierwszy strach znikn ł z jej oczu, wyczytał w nich zmartwienie i gniew. Ju teraz j zranił, a zanosilo si na to, e zrobi to jeszcze raz.

– Chod na gór , kotku.

– Jeszcze nie sko czyłam.

Uniósł brew. W jej głosie brzmiał cie urazy. Poczul si mały i niewiarygodnie głupi.

– Jeste na mnie wkurzona.

– Wcale nie – wyprostowała si , odetchn ła gł boko i zmusiła si , by tak było naprawd . – Wcale nie – powtórzyła ju spokojnie. – Jestem nie w sosie, bo czuj si bezu yteczna, nie otwieraj c sklepu, a w dodatku okłamuj moj rodzin .

– Nie musisz ju tego robi . Mo esz otworzy jutro sklep, i poczujesz si lepiej, je li powiesz prawd komu z twojej rodziny.

Rozwa yła jego słowa.

– Otworz sklep – zdecydowała. – Ale nie powiem niczego mojej rodzinie. Jeszcze nie. To ja musz sobie z tym poradzi .

Miał ochot zacz si z ni spiera i zrozumiał, e nie mo e tego zrobi . Czy nie kierował si tymi samymi pobudkami, by ul y swojemu sumieniu? Nie zamierzał powiedzie jej o rozmowie z komisarzem i o tym, e zdecydował si wróci do policji. Jeszcze nie.

– Chod na gór – powtórzył. – Pomasuj ci plecy.

– Po co?

– Bo jeste cała spi ta – powiedział przez z by. – Do cholery, Conroy, co ci obchodzi po co? Masz tylko le e i si cieszy .

Cofn ła si , patrz c na niego zw onymi oczami.

– Jeste dla mnie miły. Dlaczego? Ty co krzysz, Skimmerhorn. Chcesz zrobić coś, co nie będzie mi się podobało.
– Pobiegła za nim po schodach.

– Nie kryj przede mną niczego – położyła rękę na jego ramieniu, kiedy otwierał swoje drzwi. – Proszę. Chodzi o DiCarla, prawda? O obraz, o ten cały młyn.

Chodziło o coś więcej. I o mniej. Nie wiedział, czy będzie zadowolony, że jej powie tylko o tym.

– Jadę do Los Angeles, żeby pogadać z szefem DiCarla.

– Z Winesapem? – zmarszczyła brwi z napięciem. – To ten, do którego miała dotrzeć przesyłka, prawda?

– Ten najważniejszy nazywa się Finley, Edmund G. – powiedział Jed. – Zaczynam od niego.

– I myślisz, że to dla niego ją przemycano?

– Tak – nalął whisky dla obojga – wlał nie tak myślisz.

– Co o nim wiesz?

– Wystarczy ci wiele, żeby kupić bilet do Los Angeles – wrzucił jej szklankę, a potem zaczął mówić.

– Import – eksport – mruknęła, kiedy skończył. – Wiem, że jest pewnie kolekcjonerem. Oni zawsze są tacy. Być może nie wiedział o tym, co DiCarlo robi na boku, w końcu, jak powiedziałeś, to duży przedsięwzięcie. Ale jeżeli wiedział...

Zobaczył błysk w jej oku i zdławił westchnienie.

– Przestańmy się, Conroy. Robisz się wtedy niebezpieczna.

– Ale ja już myślisz – uniosła szklankę, przełknęła whisky jednym haustem. – A teraz myślisz, że to nie ty powinieneś porozmawiać z Finleyem – podała mu pustą szklankę, by ją napełnić. – To ja powinnam to zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Kompletnie zwariowała .
– Co za trze wy, racjonalny argument – ponieważ
– Jed nie poruszył si , sama napełniła swój
szklank . – A je li na chwil zapomnisz o swoim m skim ego,
zrozumiesz, dlaczego tak powiedziałam.

– Ego nie ma z tym nic wspólnego.

Miało jednak, aczkolwiek niewiele, i ten fakt dra nił go jak
wszyscy diabli.

– Tu chodzi o zwykły zdrowy rozs dek. Nie dasz sobie z tym
rady.

– Przeciwnie – zaczę ła zapala si do tego pomysłu. Ruszyła
naokoło pokoju, obracaj c swój szklank i rozkoszuj c si rol ,
któr miała odegra . – Dam sobie doskonale rad . W ko cu to ja
stałam si ofiar jego pracownika. To ja, zagubiona niewinna
istota, b d szuka u niego współczucia, je li jest niewinny, lub,
poniewa ja równie kolekcjonuj , do jego wyobra ni, je li jest
winny. Krótko mówi c, Skimmerhorn – wróciła do niego i
potr ciła jego szklank swój – to rola w sam raz dla mnie.

– To nie jest teatr, Conroy, do cholery.

– Ale tak. Bo e, kiedy ty tu wstawisz jakie meble? – Nie
mog c znale wolnego krzesła, przysiadła na stole. – A co
zamierzałe , kapitanie, wpa do jego gabinetu z wycigni tym
pistoletem?

– Nie wygłupiaj si bardziej ni to konieczne.

– Nie zamierzam. Gdybym miała zinterpretowa t scen ,
powiniene poprosi o spotkanie, eby nieoficjalnie
przedyskutowa t brzydk sytuacj i, by mo e, poprosi o
pomoc w zlokalizowaniu DiCarla.

Uniosła brew, czekaj c, a potwierdzi lub zaprzeczy, ale nie
zareagował. Niezra ona, podj ła w tek.

– A tymczasem powiniene wypatrywa szpary w jego zbroi,
je li rzeczywi cie ma zbroj lub szpary w niej. Robi c tak,
zdobywasz znakomite rozeznanie w jego sytuacji, poznajesz jego

styl i zaczynasz się orientować, czy jest zdolny do zarzuconego mu czynu.

– Mówisz jak prawnik – mruknął. – Nienawidz prawników.

– Mówisz jak gliniarz. Ja mam wśród prawników kilku dobrych znajomych, a mój ojciec znakomicie zagrał Clarence'a Darrowa w „Inherit the Wind”. No więc – skrzyłała nogi o długich, smukłych udach – jak mam to zagrać ?

– Nie zagrasz tego, Conroy – niemal warknął, ponieważ czuł, że wymyka mu się coś ważnego. Ujął jej podbródek. – Nie zagrasz.

– Zagram – powiedziała, niezręcznie ona. – Ponieważ oboje wiemy, że to doskonałe rozwinięcie – uśmiechnęła się, wymknęła się z jego ręki i pocałowała ją. – Mojesz się ze mną. Pohamowa mnie, gdybym zaczęła szarżować.

Jest tylko jeden sposób, by zawrzeć z nią układ, pomyślał Jed, i był nim spokój.

– Doro, nie mam nic na tego typu. Nie mamy żadnych dowodów. Może to jakiś sympatyczny dziadunio, który w wolnym czasie zbiera znaczki i nie ma nic wspólnego z przemytem. A może DiCarlo był tylko jego narządem. Wchodzenie na jego teren to ryzyko, a ja nie zaryzykuję, kiedy chodzi o ciebie.

– Dlaczego? – powiedziała miłośko. – Może na by pomyśleć, że ci na mnie zależy.

Wsadził gniewnie piści do kieszeni.

– Cholera, przecie wiesz, że zależy.

– Wiem, że mnie pragniesz, ale to, czy ci na mnie zależy, to zupełnie inna sprawa. Ale miło słyszeć.

– Nie prowokuj mnie – nie wciągnę go znowu w tę niebezpieczną dyskusję o uczuciach. – Teraz mówimy o Finleyu. Jeśli jest w to wplątany, spojrz tylko na ciebie i wyczyta wszystko z tej licznej buzi.

– Jejku, tej samej nocy mówisz mi, że ci na mnie zależy i że jestem liczna. Zaraz zemdleję.

– Powiniennem ci przyłożyć – powiedział przez zaciśnięte zęby.

– Ale tego nie zrobisz – uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. – Dużo szczekasz, mało gryziesz, cały ty, Skimmerhorn. Chodźmy się przespać. Może się o to pokłócimy rano.

– Nie będzie żadnej kłótni. Ja jadę. Ty zostajesz. Ręce jej opadły.

– Nie ufasz mi. O to chodzi, prawda? – zagryzła wargę, by powstrzymać jej drżenie, ale jej głos ochrypnął i zaczął drżeć, a oczy wypełniły się łzami.

– Nie chodzi o zaufanie – wyjął rękę z kieszeni, przesunął ją po jej włosach. – Nie bierz tego do siebie.

– A jak miałabym to brać? – pierwsza samotna łza potoczyła się jej po policzku ale w jej pełnych bólu oczach krążyło coś więcej. – Nie rozumiesz, że muszę coś zrobić? Nie mogę tylko siedzieć na uboczu, mimo że ktoś zrobił zamach na mój dom? Nie potrafię tego znieść, Jed. Nie mogę znieść tego, że uważasz mnie za jakąś bezradną ofiarę, która tylko wchodzi ci w drogę.

– Przestań – jej łzy obezwładniły go zupełnie, odebrały mu wszystkie siły. Przestań, kochanie, nie płacz – uniósł niezgrabnie rękę ku jej włosom. – Nie zniosę tego – delikatnie pocałował drżące usta – nie uważam, że jesteś bezradna.

– No więc bezużyteczna – powiedziała, łkając.

– Nie – otarł kciukami jej łzy, gotów niemal paść na kolana. – Nie nauczono ci tego robić. Jeśli zaczniesz coś podejrzewać, cała pałapka pójdzie w diabły, zanim jeszcze ją zastawimy.

Pociągnęła nosem, przytuliła twarz do jego szyi.

– Podejrzewasz?

– Co?

– Podejrzewasz? – spytała doskonale opanowanym głosem. Odsunęła się i uśmiechnęła się do niego bez ładunku. – Nabrałaś się, co? – rozejrzała się i poklepała go po policzku. Patrzył na nią zwonami, w ciekłymi oczami. – Niech ci nie

b dzie zbyt głupio, Skimmerhorn. Powiedziałam ci kiedy , e byłam dobra – uniosła szklankę w toa cie za sam siebie. – I jestem bardzo, bardzo dobra. A to nie był mój popisowy numer.

– Mo e jednak ci przyło . Je li kiedykolwiek b dziesz tak płaka , przysi gam, e to zrobi .

– Czujesz si jak palant, co? – westchn ła z rozkosz . – Czasami brakuje mi sceny – potem wzruszyła ramionami – ale niezbyt cz sto. B d spokojny, kapitanie, nasz pan Finley zobaczy dokładnie to, co zechc mu pokaza . B d na nim gra jak na katarynce.

Mogła to zrobi . Z niech ci musiał przyzna , e zrobiłaby to doskonale.

– A gdybym na tyle zwariował, eby przysta na ten poroniony pomysł, czy zrobisz dokładnie to, co ci ka ?

– Nie, ale b d si stara . To pro cizna, Jed.

Chciałby tak my le , ale wołał zna wody, w których miał si porusza , i wiedzie , jaka przyn ta znajduje si na haczyku.

– Nie chc , eby ci si co stało.

Cała złagodniała, zmi kły jej oczy, usta, serce.

– To jedna z najmiłszych rzeczy, jakie mi kiedykolwiek powiedziało .

– Je li ci co zrobi, zabij go. Jej u miech zgaś.

– Nie obarczaj mnie takim ci arem, dobrze? To mnie przera a. Podniósł j ze stołu i postawił na podłodze.

– Słuchaj, Conroy. Powiedziałem, e nie uwa am, eby była bezbronna i e nie zauwa am, e jeste bezu yteczna, ale nigdy nie mówiłem ci, za kogo ci wła ciwie uwa am.

– Nie, nie mówiło – skrzywiła si w oczekiwaniu na cios.

– Za kogo wa nego – powiedział po prostu, a jej serce stopniało jak wosk. – Bardzo wa nego.

* * *

W południe nast pnego dnia Dora uznała, e przynajmniej jedna strona jej ycia zacz ła funkcjonowa w normalnym trybie.

Sklep został otworzony. Pierwsza transakcja tak ją rozczuliła, że impulsywnie udzieliła klientowi dziesięciu procent zniżki. Kiedy po południu pojawiła się Lea, Dora powitała ją gorzej niż zwykle.

Lea wyplatała się z jej objęciem, miewając się.

– A to co? Wygrała na loterii?

– Lepiej. Otworzyłam sklep.

Lea zdjęła płaszcz i poprawiła włosy.

– Nigdy nie wyjechałaś mi, dlaczego go zamknęłaś.

– To zbyt skomplikowane – powiedziała Dora lekko. – Musiałam odpocząć przez kilka dni.

– To włamanie kosztowało cię więcej nerwów, niż myślałaś – Lea skinęła głową, pełna uznania dla samej siebie. – Wiedziałam.

– Chyba tak. W każdym razie, było już kilku szperaczy, a w ciastkarni kupiłam ciasteczka do herbaty: te z czekoladowym nadzieniem.

Lea westchnęła głęboko.

– I jak ja mam zrzucić te dwa kilogramy, które przybyły mi przez Ciebie?

– Siłą woli.

– Jasne. Aha, mama kazała mi spytać o obraz. Pudełko z ciastkami niemal wymknęło się z palców Dory.

– Obraz?

– Mówiła, że położyła jego obraz i musiała go zabrać – Lea zapomniała o sile woli i sięgnęła po lukrowane ciasteczko. – Chciała go kupić ciacie na walentynki. Zdaje się, że naprawdę mu się spodobał.

– Och... Musiałam go... sprzedać – przynajmniej mówi prawdę, pomyślała. Nadal miała osiemdziesiąt dolarów. Jeda. Trzymała je w kasetce z biuterii, niczym listy miłosne.

– Dobrze się czujesz? – czujne oczy Lei zmierzyły twarz Dory. – Wyglądasz na trochę wzburzoną.

– Hmm? Nic, nic mi nie jest. Wracam do formy. Jeszcze nie mogę się pozbiierać. Byłoby to na parę dni pojadę do Los Angeles.

– Po co?

– Jest tam przedsi biorstwo importowe, z którym chciałabym utrzymywa kontakty. Wol nie zamyka ju sklepu. – Nie ma takiej potrzeby, zapewniła sam siebie. Brent nadal roztaczał opiek nad jej rodzin .

– O to si nie martw. Terri i ja wszystkim si zajmujemy.

Telefon na ladzie zadzwonił dwa razy. Lea uniosła brew.

– Mam odebra ?

– Nie – Dora otrz sn ła si z poczucia winy i podniosła słuchawk znajduj c si o kilka centymetrów od jej dłoni. – Dzie dobry. Tu Salon Dory.

– Chciałbym rozmawia z pann Isadora Conroy.

– Przy telefonie.

– Panno Conroy – Winesap, siedz cy przy swoim biurku w Los Angeles, nachylił si nad swoimi szczegółowo zebranymi notatkami – mówi... Francis Petroy.

– Tak, panie Petroy?

Lea podeszła, by przywita klienta.

– Mam nadziej , e pani nie przeszkadzam. Dostałem pani telefon od pani Helen Owings z Front Royal w Wirginii.

– Tak – palce Dory zacisn ły si na słuchawce. – Co mog dla pana zrobi ?

– Mam nadziej , e oboje mo emy zrobi co dla siebie – Winesap odczytał zapisane w notatkach słowa „dobroduszny miech” i najlepiej, jak umiał, zastosował si do tych didaskaliów. – Chodzi mi o obraz, który nabyła pani w grudniu na aukcji, Billingsly’ego.

Poczuła sucho w ustach.

– Tak, pami tam go. Abstrakcja.

– Wła nie. Tak si składa, e kolekcjonuj abstrakcje. Specjalizuj si w malarzach nieznanym i pocz tkuj cych, na ało nie mał skal , rozumie pani.

– Oczywiście.

– Nie mogłem uczestniczy w tej aukcji ze wzgl du na sytuacj rodzinn . Ale odzyskałem nieco nadziei, kiedy pani

Owings powiedziała, że obraz został sprzedany właścicielce sklepu, a nie kolekcjonerowi.

– Właśnie ciwie – powiedziała Dora, grając na zwłok – ja również kolekcjonuję.

– Ojej – przerzucił swoje notatki. W ich bogatej treści ci nie było odpowiedzi na coś takiego. – Ojej.

– Ale oficjalne oferty interesują mnie zawsze, panie Petroy. Może zechciałby pan przyjrzeć się i obejrzeć ten obraz. Może pod koniec przyszłego tygodnia? – Zamilkła na chwilę, udając, że przegłębia terminarz – do tego czasu będzie raczej zajęta.

– Znakomicie. Naprawdę znakomicie – Winesap wytarł z ulgi spocony kark. – Który dzień pani odpowiada?

– Mogłabym znaleźć dla pana czas w czwartek, powiedzmy o drugiej.

– Wspaniale – Winesap nagryzmolił pospiesznie daty. – Mam nadzieję, że do tego czasu nie sprzeda pani obrazu. Nie chciałbym go stracić.

– Ani ja – uśmiechnęła się ponuro w stronę ciany. – Obiecuję, że dopóki nie przedyskutujemy tej sprawy, nie zwrócę się do nikogo innego. Czy mógłby mi pan podać numer, pod którym mogłabym pana znaleźć, gdyby wynikło coś niespodziewanego?

– Oczywiście – Winesap wyrecytował zamieszczony w notatkach numer jednej z filii firmy Finleya w New Jersey. – W godzinach pracy – dodał. – Niestety, mój numer prywatny jest zastrzeżony.

– W zupełnie ci pana rozumiem. A więc do czwartku, panie Petroy. Odłożyła słuchawkę, niemal zbyt w ciętą, by czuć dumę z siebie.

Wziął mnie za idiotkę, pomyślała. No cóż, panie DiCarlo, Finley, Petroy czy jak tam się pan nazywa, czeka pana niemiła niespodzianka.

– Leo! Musz wyskoczyć na godzinkę. Jeśli przyjdzie Jed, przekaż mu, że chcę z nim porozmawiać.

– Dobrze, ale dok d... – zaczęła Lea i przerwała. Wzięła się pod boki, patrzyła na zatrząskujące się drzwi.

* * *

Powinna najpierw zadzwonić. Po bezowocnej wizycie na posterunku wróciła jak niepyszna. Porucznik Chapman był w terenie. Brzmi to, jakby pojechał na piknik, pomyślała ponuro.

Więc jak ma poinformować kogokolwiek, a nawet założyć kontakt, skoro nikogo nie mogła spotkać? Potem zauważyła samochód Jeda i pozwoliła sobie na chytrych ucieczkach. Teraz Jed dowie się, a nie tylko on ma głowę na karku.

Zastała go na zapleczu. Spokojnie malował półki.

– Tu jesteś. Nienawidzę mówić banałów, ale gdzie podziewa się policja, kiedy jej potrzebujemy?

Nie przerwał swojego zajęcia.

– Jeśli chciała pogadać z policjantem, trzeba zadzwonić pod numer 997.

– Wolałam zwrócić się do samego ródła – zdjęła płaszcz, chcąc przedłużyć przyjemną chwilę – ale Brenta nie było na posterunku. Dlaczego oni mówią na to „teren”?

– To taki sposób, żeby wywrzeć wrażenie na cywilach. Po co chciała rozmawiać z Brentem?

– Ponieważ – zrobiła dramatyczną pauzę – nawet załam kontakt.

– Z czym?

– Z kim, Skimmerhorn. Nie bądź taki typy. Zadzwonił do mnie pan Petroy, ale nie sądzę, żeby to był pan Petroy. Mógł to być DiCarlo, ale jego głos nie brzmiał drwiłco. Mógł to być maskowa, ale ja mam wycucie co do głosu. Może kazał zadzwonić komu innemu – powiedziała z namysłem. – A może to był Finley, ale...

– Usiódź, Conroy – Jed odłożył pędzel na puszkę z farbami. – Wypróbuj sposób Jacka Webba.

– Jacka Webba? – oczy jej błysły. – A, tylko fakty. Rozumiem.

– Bystra jeste . Siadaj.

– Dobrze – usiadła i wyobraziła sobie, że sporządziła raport. W rezultacie powtórzyła całą rozmowę precyzyjnie, dokładnie i bez upiśki. – No i? – spytała na koniec.

– Co ty sobie wyobrazasz, do diabła, umawiasz się z nim, nie pytaj mnie o zdanie?

Myślała, że będzie ją podziwiał, a nie wciekał się na nią.

– Musiałam coś zrobić, prawda? Czy gdybym zaczęła się wahać, nie nabrałby podejrzeń? – najeżyła się cała. – A to jest naprawdę podejrzane. Kolekcjoner dzieł sztuki pyta o malarza, który prawdopodobnie nie istnieje. Sprawdziłam tego Billingsly. Nie ma nikogo takiego, więc po co kto miałby zadawać sobie trud szukania jego obrazu? Ponieważ – oznajmiła, z namaszczeniem podnosząc palec – chce mieć Moneta.

– Ale ty morderca, Conroy. Cholernie morderca. Ale nie o to chodzi.

– Jasne, że o to – dmuchnęła sobie w grzywkę. – On uważa, że jestem głupia. On uważa, że jestem jak idiotka ze sklepu ze starzyzną, która nie odróżni własnego tyłka od wazy z Delft, ale tu go czeka zaskoczenie.

– Nie chodzi również o to. Powinna go zwodzić, dopóki bym nie wrócił.

– Dziękuj, sama poradziłam sobie doskonale. Nie jestem idiotką.

– Masz pamięć w telefonie?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Proszę?

– Pamięć. Naciskasz parę guzików i twój telefon dzwoni pod ostatni zapamiętany numer.

– Och – spojrzała na paznokcie, czując powietrze z niej uchodzący. – Tak. Chyba jest coś takiego.

Spojrzała na jej pochyloną głowę.

– Pewnie nie pomyślała, żeby z tego skorzystała?

– Nie mogł myśleć o wszystkim – mruknęła. Potem spojrzała na niego z nadzieją.

– Może spróbujemy teraz?

– Odkąd wróciłem, telefon dzwonił ze trzy razy.

– Och – zerwała się z krzesła. – Dobrze, powiedz mi, że to śpieprzyłam.

– Nie musisz, już się stało – pocignęła za włosy. – Nie bierz sobie tego tak do serca, Nancy Drew, nawet starym wygom zdarza się czasem wpadka.

Odepchnęła jego dłoń.

– Zjedź, Skimmerhorn.

– Brent i ja znajdziemy sposób na tego Petroya. Do tej pory już wrócimy.

– Wróćcie? Wybieracie się gdzie?

– Nie. Ty i ja wybieramy się do Los Angeles – włożyła kciuki do kieszeni. Nadal nie podobało mu się to, ale Dora nadała sprawie nowy kierunek.

– Jutro.

– Nadal mogę w tym uczestniczyć? – przycisnęła dłoń do serca, a potem otworzyła szeroko ramiona i rzuciła się mu w objęcia. – Naprawdę mogę? – wstrząsnęła głową. – Wiesz, przyszło ci, pokryła jego twarz gradem pocałunków. – Wiedziałam, że mnie zrozumiesz.

– Nie zrozumiałem. Zostałem przegłosowany – nie zamierzał przyznać, że dostrzegł w jej pomysłach jedno prostoty i przekonał do niego Brenta.

– Nieważne – pocałowała go znowu w policzek. – Jutro? – powtórzyła, odrywając się od niego. – Boże, tak szybko. Muszę zdecydować, co na siebie włożyć.

– To najmniejsze z twoich zmartwień.

– Nie, nie, nie, właściwa prezentacja stanowi o roli. Granatowe peruki – zastanowiła się – bardzo grzeczne i oficjalne. A może czerwony kostium z podwójnym kołnierzem? Wiącej mocy i seksu. Mogłabym skupić jego uwagę na moich nogach.

– Lepiej zdecyduj się na oficjalnie.

Uśmiechnęła się na dźwięk nutki rozdrażnienia w jego głosie.
– A więc czerwony.
– Poza tym on nawet się z tobą nie zobaczy.
– Oczywiście, że się zobaczy – zamilkła i zmarszczyła brwi. –
Co może zrobić, żeby zechciał się z mną spotkać?
– Ponieważ zadzwonisz do niego i powiesz dokładnie to, co ci podyktuję.
– Rozumiem – przechyliła głowę, uniosła brew. – Napisała dla mnie scenariusz, Skimmerhorn? Szybko się ucz. Za chwilę będzie znał go na pamięć.
– Po prostu zrób to, co ci powiem.

* * *

Winesap wszedł do gabinetu Finleya w Los Angeles ze zmarszczką zmartwienia na twarzy.
– Proszę pana, panna Conroy na linii drugiej. Chce z panem mówić.
– Doprawdy? – Finley zamknął aktę, które właśnie nie studiował i splótł dłonie na ich okładce. – Interesuje ci rozwój sytuacji.
Dłonie Winesapa skrzyknęły się niczym walczące koty.
– Kiedy rozmawiałem z nią dzisiaj, wydawała się chętna do współpracy, proszę pana. I z pewnością ci nie wspominałem o panu. Nie rozumiem, co to może znaczyć.
Więc się dowiedzmy, dobrze? Siadaj, Ablu – uniósł słuchawkę i oparł się w fotelu z uśmiechem. – Panna Conroy? Mówi Edmund Finley. – Słuchał przez chwilę, a jego uśmiech stawał się coraz szerszy i bardziej złowieszczy. – Chyba nie nadam za pani, panno Conroy. Chodzi pani o jednego z moich pracowników, Anthony'ego DiCarla? Ach tak. Rozumiem – wziął z biurka notes do otwierania listów i sprawdził opuszkę kciuka jego zaostrzony czubek. – Oczywiście rozumiem, że nasze osobiste spotkanie jest niezbędne. Nie wiem tylko, czy będzie w stanie pani pomóc. Przekazali mi policji wszystko, co nam wiadomo o niespodziewanym zniknięciu pana DiCarlo – dodał po

chwili. – Skoro uwa a pani, e nie jest to sprawa na telefon, bardzo ch tnie spotkam si z pani . Jutro? – uniósł brwi.

Delikatnie przeci gn ł czubkiem ostrza po aktach, opatrzonych nazwiskiem „Conroy” – To do szybko. Sprawa ycia i mierci? – z trudem opanował miech. – Sprawdź , czy to mo liwe. Zechce pani poczeka ? Oddam słuchawk mojemu zast pcy. Sprawdź to w moim terminarzu. A zatem do zobaczenia.

Finley nacisn ł przeł cznik gestem pełnym wdzi ku.

– Ma by o czwartej po południu.

– Ma pan zebranie o wpół do czwartej.

– Ma by o czwartej po południu – powtórzył Finley i podał mu słuchawk .

– Tak jest – Winesap uj ł j spocon , r k . – Panna Conroy? Mówi Abel Winesap, zast pca pana Finleya. Odpowiadałby pani jutrzejszy termin? Obawiam si , e pan Finley dysponuje wolnym czasem jedynie o czwartej. Tak? Zna pani adres? Wspaniale. Pan Finley oczekuje pani.

– Rozkosznie – Finley kiwn ł głow z aprobat , kiedy Winesap odło ył słuchawk . – Po prostu rozkosznie. Przyszła koza do woza – znowu otworzył akta Dory i u miechn ł si do brodu do jej dossier. – Z pewno ci b d oczekiwania jej niecierpliwie. Oczy mój plan dnia na jutrzejsze popołudnie. Nie ycz sobie, eby kto mi przeszkadzał, kiedy spotkam si jutro z pann Isadora Conroy. Po wi c jej cał moj uwag .

* * *

– Jutro o czwartej – powiedziała Dora i zwróciła si do Jeda. – Był zaskoczony, cho ch tny do współpracy, miły, cho pełen rezerwy.

– A ty była na kraw dzi hysterii, cho kontrolowanej.

Wbrew sobie czuł , e zrobiła na nim wra enie. Uniósł palcem jej twarz i pocałował j .

– Nie le, Conroy. Całkiem nie le.

– I jeszcze co – nie wzięła go za rękę, choć miała na to ochotę. Gdyby to zrobiła, poczułby zimno jej dłoni. – Chyba włączyłam rozmawiając z panem Petroymem.

– Z Finleyem?

– Nie – zmusiła się do słabego uśmiechu – z jego zastępcą, Winesapem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Kiedy taksówka zatrzymała się przed frontem rówej stiukowej willi – hotelem Beverly Hills, Dora poczuła zadowolenie i podziw.

– No, no, Skimmerhorn, zadziwiasz mnie. To mi wynagradza fakt, że nie zatrzymali mnie na noc w Plaza w Nowym Jorku.

– Pokój jest zarezerwowany na twoje nazwisko – Jed przyjrzał się Dorze podając wdech cznie dłoń od wiernemu. Był to gest kobiety, która całe swoje życie spędziła na wysiadaniu z limuzyn. – Musisz zapłacić swój kart kredytowy.

Rzuciła mu przez ramię miażdżące spojrzenie.

– Wielkie dzięki, łaskawco.

– Chcesz obwieścić wszem i wobec, że przyjechała tu z osobą towarzyszącą? – spytał, kiedy sunęła przez drzwi w stronę lobby. – Z gliniarzem?

– Zapomniała o słówku „były”.

– Właśnie – mruknął i zaczekał, a Dora zamelduje się w hotelu. Olbrzymie lobby Beverly Hills Hotel nie wydawało się włączyć ciwym miejscem na oznajmienie, że określenie „były” już go nie dotyczy.

Dora przyjrzała się bacznie pomieszczeniu, szukając wzrokiem przechodzących gwiazd filmowych. Podała swój kart portierowi.

– Przyłóż ci za to rachunek, Skimmerhorn.

– To ty tu chciała przyjecha . Rzeczywi cie tak było.

– Wi c zapłacisz pół kwoty – wzięła swój kart oraz dwa klucze i podała walizki czekaj cemu boyowi hotelowemu. – Niektórzy z nas nie s obrzydliwie bogaci.

– Niektórzy z nas – podchwycił, obejmuj c jej tali – zapłacili za samolot.

Uj ł j naturalny sposób, w jaki zaznaczył, e s razem, kiedy бага ładowany był do windy i niesiony do pokoju.

Dora szybko zrzuciła buty i podbiegła do okna, by wyjrze . Nie ma nic bardziej kalifornijskiego, pomy łała, ni gładkie trawniki, królewskie palmy i przytulne domki ze stiukami.

– Nie byłam w Los Angeles, odk d sko czyłam pi tna cie lat. Za trzymali my si w niewiarygodnie kiepskim hotelu w Burbank, poniewa mój ojciec dostał rol w małym, niewartym wspomnienia filmie z Jonem Voightem. adnemu z nich nie pomógł w karierze.

Przeci gn ła si , zatoczyła kóleczo ramionami.

– Chyba jestem snobk . I snobuj si na Wschodnie Wybrze e, poniewa Los Angeles nie robi na mnie wra enia. Zaraz zaczynam my le o strachu przed workami pod oczami i modnych jogurtach. A mo e to chodziło o modne worki pod oczami i strach przed jogurtami. W ko cu te jogurty s naprawd straszne.

Odwróciła si ; jej u miech przybrał wyraz zdziwienia, kiedy on tylko dalej na ni patrzył.

– Co jest?

– Czasami lubi na ciebie popatrze , to wszystko.

– Och.

Kiedy zauwa ył, e jego o wiadczenie zarazem sprawiło jej przyjemno , jak i zakłopotalo j , u miechn ł si .

– Jeste w porz dku, Conroy. Nawet z tym spiczastym podbródkiem.

– Nie jest spiczasty – potarła go obronnym gestem. – Jest delikatnie ukształtowany. Wiesz co, mo e powinni my byli zamówi apartament. Ten pokój jest troch wi kszy od szafy. A

mo e wyjdziemy na chwil , zjemy co , powdychamy troch smogu.

– Jeste zdenerwowana.

– Ale sk d – rzuciła torb na łó ko i zacz ła rozpina rzemyki.

– Jeste zdenerwowana – powtórzył Jed. – Kiedy jeste zdenerwowana, robisz si gadatliwa. Wła ciwie zawsze jeste gadatliwa, ale kiedy jeste zdenerwowana, twoja gadanina zyskuje nowy posmak. I r ce ci lataj – poło ył na nich delikatnie swoje dłonie.

– Najwyra niej stałam si łatwiejsza do przenikni cia. Ostatni gwó d do trumny ka dego zwi zku.

Odwrocił j ku sobie, trzymaj c w r kach jej dłonie.

– Masz prawo si denerwowa . Bardziej martwiłbym si o ciebie, gdyby była spokojna.

– Nie chc , eby si martwił – poniewa tak było naprawd , zmusiła si , by uspokoi r ce. – Wszystko pójdzie wietnie. To klasyczna trema, to wszystko.

– Nie musisz tego robi . Mog zjawi si tam zamiast ciebie.

– Nigdy nie pozwalał, eby dubler odebrał mi rol – zrobiła gł boki wdech i wydech. – Nic mi nie jest. Poczekamy, a przeczytasz recenzje.

Poniewa tak wyra nie oczekiwała tego od niego, poci gn ł t gr dalej.

– Co zwykle robiła przed premier ? Zastanowiła si i przysiadła na brzegu łó ka.

– No, du o chodziłam. Chodzenie pomaga. Mo na wtedy powtarza w my lach rol i ruchy sceniczne. Rozbierałam si z cywilnego ubrania i wkładałam szlafrok, było to jak zmienianie skóry. I mówiłam. Zwykle wiczenia na dykcj .

– Na przykład?

– Stół z powyłamywanymi nogami i takie tam rzeczy – u miechn ła si i poruszyła koniuszkiem j zyka mi dzy z bami.
– Trzeba rozrusza j zyk.

– Twój zawsze wydawał si wystarczaj co ruchliwy.

– Dzi ki – roze miała si i spojrzała na niego. – Dobra robota, Skimmerhorn. Ju mi lepiej.

– Dobrze – zmierzwił jej włosy po bratersku i ruszył do telefonu. – Zamówi co do jedzenia, a potem powtórzymy wszystko od nowa.

Dora j kn ła i padła jak długa na łó ko.

– Nie znosz apodyktycznych re yserów.

* * *

Ale on nie dał jej za wygran . Dwie godziny pó niej mieli ju za sob posiłek, kłótni , rozwa enie ka dej mo liwo ci, a on wci był niezadowolony. Słuchał, jak Dora recytuje w łazience wiczenia dykcyjne i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał si w drzwi. Czułby si lepiej, gdyby miała na sobie podsłuch. Wiedział, e to głupie, bo przecie miała wej w biały dzie do biura, w którym znajdowały si dziesi tki ludzi, ale to by mu ul yło. Upierałby si przy tym, gdyby nie podejrzewał, e ochrona Finleya mogłaby to zauwa y .

To zupełnie proste, powtórzył po raz setny. Zupełny lub prawie zupełny brak ryzyka. Ju dawno dopilnował, by wyeliminowano niemal ka dy element niebezpiecze stwa.

Wła nie to jedno słówko – „niemal” – nie dawało mu spokoju.

Drzwi otworzyły si i stan ła w nich Dora w czerwonym kostiumie, podkre laj cym wszystkie atuty tego seksownego ciała i ukazuj cym nogi, które mogłyby przyprawi o linotok ka dego m czynn na tym padole łez.

– Jak s dzisz? – przy ka dym uchu trzymała inn par kolczyków. – Kropelki czy w zełki?

– Sk d mam wiedzie , do cholery?

– W zełki – zdecydowała. – S bardziej dyskretne – wło yła je do dziurek w uszach. – Zapomniałam ju , jak dobrze jest wło y kostium. Ju czuj ten dreszczyk, który podnosi mi poziom adrenaliny – si gn ła po buteleczk perfum.

Ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się, jak rozpyła je na sobie – na szyi, karku, przegubach, w zagłębieniach pod kolanami. Ten kobiecy rytuał obudził w nim dziwny dreszcz. Kiedy wzięła swój zabytkowy srebrny szczotkę i przesunęła nią powoli po włosach, zrozumiał już, co to było. Zaczęła czuć się jak podglądacz.

– Wyglądasz dobrze – musiał odchrząknąć. – Może się już przestała mizdrzyć.

– Czesanie się to nie mizdrzenie. To podstawowy zabieg higieniczny – przesunęła szczotkę po włosach i zauważyła w lustrze jego spojrzenie. – Przysięgam, że denerwujesz się jeszcze bardziej, niż ja.

– Trzymaj się tylko planu i zapamiętaj wszystko, co zobaczysz. Nie mów o obrazie. Nie masz o nim pojęcia. Spróbuj przyjrzeć się Winesapowi. Sprawdzamy go, ale chcę poznać twoje wrażenia – nie spekulacje, wrażenia.

– Wiem – odłożyła cierpliwie szczotkę – Jed, wiem dokładnie, co i jak mam zrobić. To proste, o tyle prostsze, że mogłabym tak postąpić, gdybym nie wiedziała niczego o tym obrazie. To zupełnie logiczny krok.

– I pilnuj swojego tyłka.

– Kochanie, w tym liczą na ciebie.

* * *

Wystrój biura Finleya zrobił wrażenie na Dorze, usiłując jej zebrać cenne obserwacje. Tak jak podejrzewała, Finley był kolekcjonerem, a ten obopólny konik mógł stanowić mocny fundament ich znajomości. Miała zimne ręce. To też dobrze. Prawdziwe zdenerwowanie mogło nadać jej ciwy ton jej wizycie.

Trudno było utrzymać to zdenerwowanie i wytrwać w charakterze roli, kiedy miała tak ochotę, by podejrzeć i dokładnie przyjrzeć się niektórym skarbowi Finleya. Czuli sympatię do każdego, kto stawał w poczekalni malachitowe wazy i figuryнки

Chiparus. A sofa, na której siedziała, nie była imitacją wczesnego Chippendale'a, pomyłała Dora z uszanowaniem, rokoko w znakomitym stylu.

Miała szczerą nadzieję, że Finley udowodni, że jest czysty. Wtedy z rozkosz nawiąże z nim stosunki handlowe.

Lecz je li nie...

Ta myśl zdenerwowała ją na nowo. Jej palce sięgnęły ku broszce w kształcie kalii, kwitnącej w kłapie jej akietu, wygładziły spódnice. Spojrzała na zegarek.

Niech to, dziesięć po czwartej, pomyłała. Jak długo czeka e jej czeka ?

* * *

– Wspaniale. Wspaniale – mruzczał Finley do postaci Dory na ekranie video. Była dokładnie tak liczna, jak spodziewał się na podstawie spłowiałych fotografii w gazecie, którą Winesap znalazł w teatralnym archiwum. Jej garderoba zdradzała zamiłowanie do koloru i linii, jak również upodobanie do podkreślenia kobiecości. Szanował kobiety, umiejętnie prezentowała swoje najwspanialsze zalety.

Podobało mu się, że cięgle przeczesuje włosy palcami i przesuwając je po ciele. Nerwy, pomyłała zadowolony. Pajki bardziej cieszy się, niż przeraża on nie zrezygnowana. A mimo zdenerwowania, zauważył, że jej oczy wciąż biegły ku eksponatom z jego kolekcji. To mu pochlebiało.

Zrozumiemy się bardzo dobrze, uznał. Doprawdy znakomicie.

Zadzwoił na recepcjonistkę. Pora zaczynać.

– Pan Finley prosi pani do siebie.

– Dziękuję – Dora wstała, wzięła pod pach swój kopertówkę i poszła za kobietą w stronę podwójnych drzwi.

Kiedy weszła do gabinetu, Finley uśmiechnął się i wstał.

– Panno Conroy, bardzo mi przykro, że kazałem pani czekać.

– Jestem bardzo szczęśliwa, że w ogóle znalazł pan dla mnie czas – przeszła przez dywan, ocean bieli, i ucisnęła wycignięty

dło . Pierwsze wrażenie, jakie odniosła na jego widok, to była witalność , zdrowie i wiadoma sobie siła.

– Wydawało się , że sprawa jest dla pani ważna. Czym mogły być ? Kawa, herbata, może wino?

– Poproś o wino, jeśli pan łaskaw – i o rekwizyt w postaci kieliszka, który być może mogła cisnąć nerwowo, opowiadając swoją historię , pomyślała.

– Pouilly – Fume, Barbara. Proszę siadać , panno Conroy. Proszę się rozgościć – obszedł biurko i zajął miejsce obok niej. Był to ruch obliczony na rozbrojenie jej. – Miała pani dobrą podróż ?

– Dług – Dora uśmiechnęła się przelotnie – ale nie powinnam narzekać . Pogoda zaczęła się psuć wtedy, gdy byłam w domu. Ale jutro wracam.

– Tak szybko? – Jego oczy błysnęły z należytym zainteresowaniem. – Pochlebia mi, że tak piękna młoda kobieta wybiera się w taką podróż tylko po to, aby spotkać się ze mną .

Recepcjonistka otworzyła butelkę wina. Najwyraźniej, pomyślała Dora, jej obowiązki obejmują również funkcję podczaszego. Podała Finleyowi korek i naleła do jego kieliszka odrobinę wina do skosztowania.

– Tak – powiedział, posmakowawszy go i przełknął wspaniale. – To w zupełności ci wystarczy.

Sekretarka napełniła oba kieliszki i bezszelestnie usunęła się z pokoju. Finley uniósł swój kieliszek.

– Za pani zdrowie, panno Conroy, i za pani bezpieczny powrót do domu.

– Dziękuję – było to znakomite wino, jedwabiste o ledwie dostrzegalnym smaku dymu. – Wiem, że to mogło głupio zabrzmieć , że chciałam przyjechać tutaj, aby spotkać się z panem. Ale naprawdę czułam się do tego zmuszona. – Spojrzała na blade złote wino, jakby zbierając się w sobie. Zaciśnięła palce na nosie kieliszka. – A teraz, kiedy już tu jestem, nie mam pojęcia, jak zacząć .

– Widz , e jest pani wytr cona z równowagi – powiedział łagodnie Finley. – Prosz si nie spieszy . Powiedziała mi pani przez telefon, e chodzi o Anthony’ego Di Carla. Czy jest pani jego... – zamilkł na chwil – ...przyjaciółk ?

– Och, nie – spojrzała na niego z przera eniem. Aby uzyska ton pełen obrzydzenia, przypomniała sobie głos DiCarla, szepcz cego wprost do jej ucha. – Nie. On... prosz pana, musz zapyta , na ile go pan zna.

– Osobi cie? – wyd ł usta w zamy leniu. – Obawiam si , e nie znam moich pracowników tak dobrze, jak powinienem. Moje przedsi biorstwo jest ju bardzo rozgał zione, a to niestety wyklucza blisk znajomo . Tu przed wi tami urz dzili my spotkanie. Nie zauwa yłem niczego odbiegaj cego od normy. Był równie godny zaufania, jak zawsze.

– A wi c pracuje dla pana od pewnego czasu?

– Od sze ciu lat, jak mi si zdaje. Mniej wi cej – poci gn ł łyk wina. – Odk d znikn ł w tak dziwny sposób, studiuj jego dossier, by od wie y nieco pami . Pan DiCarlo miał tu znakomit opini . Awansował do szybko. Cechowała go inicjatywa i ambicja. Obie te cechy uwa am za godne wyró nienia. Pochodzi z biednej rodziny, rozumie pani.

Kiedy tylko potrz sn ła głów , u miechn ł si i ci gn ł dalej.

– Tak jak i ja. Pragnienie, by si doskonalili – oto cecha, któr ceni w moich pracownikach i któr ch tnie wynagradzam. Jako jeden z moich przedstawicieli na Wschodnim Wybrze u okazał si godny zaufania i przebiegły – znowu si u miechn ł. – W moim zawodzie, niestety, trzeba by przebiegłym. Bardzo nie lubi nieczystej gry. Jak wskazuj akta pana DiCarla, nie jest to człowiek, który sprawiłby mi zawód w tym wzgl dzie.

– Chyba... chyba wiem, gdzie teraz jest.

– Naprawd ? – w oku Finleya pojawił si błysk.

– Chyba jest w Filadelfii – Dora poci gn ła szybki łyk wina, jakby dodaj c sobie odwagi. Jej r ce zadygotały. – Chyba... chyba mnie ledzi.

– Moja droga – Finley dotknął jej ręki – ledzi pani? Co to znaczy?

– Przepraszam. To nie ma sensu. Muszę zacząć od samego początku. Opowiedziała tę historię dobrze, robiąc kilka pauz dla odpowiedniego efektu i jednego przerwę, kiedy opisała atak.

– I nie rozumiem – skończyła. W jej oczach krążyły siły. – Nie rozumiem dlaczego.

– Moja droga, to musiało być dla pani okropne – Finley wydawał się przejęty współczuciem i zakłopotaniem. Jego umysł wykonywał szybkie kalkulacje. Wygląda na to, że DiCarlo zostawił po sobie parę wyraźnych śladów, pomyślał. W jego raporcie nie było wzmianki o próbie gwałtu ani o dzielnym siedzeniu, przybywającym na ratunek. To by tłumaczyło siniaki na jego twarzy, z którymi pojawił się podczas swojej ostatniej, i to dokładnie, wizyty.

– Twierdzi pani – zaczął Finley, głosem znamionującym lekką wstrząs – że człowiek, który włamał się do pani sklepu, człowiek, który pani napadł, to Anthony DiCarlo?

– Widziałam jego twarz – Dora splótła ręce, jakby starając się zachować spokój. – Nigdy jej nie zapomnę. I zidentyfikowałam go na policji. Zabił policjanta, proszę pana, i kobietę. Drugą kobietę zostawił na pewnym miejscu. To jedna z moich klientek. – Myślała pani Lyle sprawiła, że po jej policzku pociekła pierwsza łza. – Przepraszam. Byłam taka zdenerwowana, taka przerażona. Dziękuję panu – wyjęła, kiedy Finley podał jej uprzejmie chusteczkę. – To zupełnie bez sensu, sam pan widzi. Ukradł zaledwie parę drobiazgów, a z mieszkania pani Lyle, mojej klientki, nie zabrał niczego naprawdę wartościowego. Tylko psa z porcelany, statuetkę którą kupiła u mnie poprzedniego dnia. Chyba zwariował – szepnęła, opuszczając głowę. – Musiał oszaleć.

– Mam nadzieję, że zrozumie pani, jak trudno mi przyjść do wiadomości. Pan DiCarlo pracował u mnie od lat. Mój pracownik, napadający na kobiety, mordujący policjantów. Panno Conroy... Isodoro – znowu ujął delikatnie jej rękę, niczym ojciec

uspokajaj cy dziecko po nocnym koszmarze. – Czy ma pani absolutn pewno , e to był Anthony DiCarlo?

– Widziałam jego twarz – powtórzyła. – Policja twierdzi, e był notowany. Nie za... za co takiego, i nie ostatnio, ale...

– Wiem, e miał jakie kłopoty – Finley oparł si z westchnieniem. – A ja rozumiałem potrzeb przewyci ania dawnych bł dów. Ale nigdy bym nie uwierzył... Wygl da na to, e pomyliłem si w jego ocenie, i to bardzo. Jak mog ci pomóc?

– Nie wiem – Dora zmi ła chusteczk . – Chyba spodziewałam si , e znajdzie pan jakie wyj cie z tej sytuacji, e wska e pan policji jaki trop. Gdyby skontaktował si z panem...

– Moja droga, zapewniam ci , e je li skontaktuje si ze mn , zrobi wszystko, co w mojej mocy, by odda go w r ce policji. Mo e jego rodzina o czym słyszała?

Postarała si , by jej łzy przestały płyn . Ju spokojniejsza, pokr ciła głow .

– Policja chyba ju ich przesłuchiwała. My łałam o tym, eby spotka si z jego matk , ale nie byłam w stanie tego zrobi . Nie mogłam si na to zdoby .

– Zadzwońi do kilku osób. Zrobi wszystko, co le y w mojej mocy.

– Dzi kuj – po dr cym westchnieniu nast pił dr cy u miech. – Czuj si lepiej, kiedy co robi . Najgorsze jest to czekanie, nie wiadomo tego, gdzie w tej chwili jest i co zamierza. Boj si zasypia . Gdyby wrócił... – dreszcz, który j przej ł, nie był udawany – nie wiem, co bym zrobiła.

– Nie ma adnego powodu, by to zrobił. Czy na pewno nie dał ci do zrozumienia, dlaczego wybrał twój sklep?

– Nie. Dlatego jestem taka przera ona. By przypadkow ofiar ... No i pani Lyle. Zastrzelił jej gospodyni , a j zostawił na pewn mier , a wszystko dla jakiej statuetki – jej oczy, nadal wilgotne, były niewinne i szczerze. – Przecie nie zabija si za co takiego, prawda?

– Chciałbym to wiedzie – Finley westchn ł z uczuciem. – By mo e, tak jak mówisz – oszalał. Ale pokładałam zaufanie w

policji. Mogłoby powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że pan DiCarlo nie będzie ci już niepokoił.

– Staram się w to wierzyć. Był pan dla mnie bardzo uprzejmy, proszę pana.

– Edmundzie.

– Edmundzie – powtórzyła, uśmiechając się z otuchami. – Już samo mówienie o tym pomogło mi. Chciałabym ci coś prosić: gdyby dowiedział się o czymś, o czymkolwiek, zadzwonił. Policja nie udziela mi zbyt wielu informacji.

– Rozumiem. I, oczywiście, będzie utrzymywał z tobą kontakt. Mam tu znakomity zespół ochroniarzy. Przydziel im to zadanie. Jeśli DiCarlo zostawił jakieś lada, znajdź je.

– Tak – zamknęła oczy, rozluźniła napięte ramiona. – Wiedziałam, że mam rację, przychodź do ciebie. Dzięki – kiedy wstała, ujęła jej dłoń w swoje ręce. – Dzięki, że zechciała mnie wysłuchać.

– Słuchaj tylko, że nie mogę zrobić więcej. Uważałbym się za zaszczyconego, gdyby zechciała zjeść ze mną kolację.

– Kolacja? – nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Nie chcę zostawiać ci samej, wytraconej z równowagi. Czuj się za siebie odpowiedzialny. DiCarlo to w końcu mój pracownik. Był nim – poprawił się z uśmiechem.

– To bardzo uprzejme z twojej strony.

– A więc zgodzi się. Ułoży nieco memu sumieniu. I, przynajmniej, spędzenie wieczoru ze licznymi młodymi kobietami, dziełami ze mną zainteresowanymi, sprawi mi wielką przyjemność.

– Zainteresowania?

– Kolekcjonowanie – Finley wskazał szafkę z eksponatami. – Skoro prowadzisz sklep z antykami, chyba zainteresuj się niektórymi z moich skarbów.

– Oczywiście. Na pewno znasz się na tym lepiej ode mnie, ale już teraz kilka przedmiotów wzbudziło mój podziw. Kosańska głowa? – skinęła w stronę kamiennej rzeźby. – Dynastia Han?

– Dokładnie – uśmiechnął się niczym profesor do prymuski. – Masz dobre oko.

- Kocham przedmioty – wyznała. – Posiadanie przedmiotów.
- Ach tak. Rozumiem. – Musn ła opuszk palca jej broszk – filigran, pocz tek dziewi tnastego wieku.
- Odwzajemniła jego u miech.
- Ty równie masz dobre oko.
- Mam pewn broszk , któr chciałbym ci pokaza – pomy ła o broszce z szafirem i z przyjemno ci wyobrazil sobie, jak ironi byłoby pokazanie jej tego klejnotu. – Otrzymałem j całkiem niedawno i wiem, e doceniłaby jej warto . A wi c postanowione. Przy l po ciebie samochód. Powiedzmy o wpół do ósmej.
- Ja...
- Prosz , nie zrozum mnie le. W moim domu jest wielu słu cych, wi c b dziesz dobrze strze ona. A nie zawsze mam okazj prezentowania moich skarbów komu , kto zna ich prawdziw warto . Chciałbym pozna twój opini o mojej kolekcji puzderek na wonno ci.
- Puzderek na wonno ci? – powiedziała Dora z westchnieniem. Gdyby nie przybyła tu z pewn misj , musiałaby si zgodzi . Jak mo na oprze si kolekcji puzderek?
- Z rozkosz .

* * *

Dora wpadła do hotelu, unosz c si na skrzydłach sukcesu. Zastała Jeda chodz cego po pokoju siwym od dymu i trz s cym si w posadach od hałasu filmu wojennego, pozostawionego samemu sobie.

- Dlaczego to tak długo trwało, do ci kiej cholery?
- Tylko godzin – zrzuciła buty, podchodz c do niego. – Byłam wietna – oznajmiła i obj ła go za szyj .
- To ja ci powiem, czy była wietna – poło ył dło na jej głowie i nacisn ła, zmuszaj c j do zaj cia miejsca na fotelu. Złapał za pilota i poło ył kres wojnie naci ni ciem guzika.
- Opowiedz mi o Finleyu. Wszystko, od samego pocz tku.

– Jest jaka kawa? – zajrzała do dzbanka, poci gn ła nosem. – Pozwól mi przez chwil odetchn , dobra? – naląła sobie kawy i wypić ją , gorzk i letni . – Mam ochot na sernik – za dała. – Zamów mi jakiś sernik, dobrze?

– Nie przeci gaj struny, Conroy.

– Nie umiesz czerpa rado ci z drobnych rzeczy. Dobrze – upića ostatni łyk i zaczą ła opowiada .

– Był naprawdę miły – zako czyła. – Pełen zrozumienia i odpowiednio wstrz ni ty. Ja oczywi cie, perfekcyjnie odegrałam rol rozstrojonej, bojąc się własnego cienia bohaterki. Policja po prostu nie robi nic, eby mnie uspokoi , wi c on uprzejmie zaofiarował si , e zrobi wszystko, co b dzie w jego mocy, wł cznie z wynaj ciem firmy detektywistycznej.

– A co z Winesapem?

– Nie było go. Od razu o niego zapytałam, ale recepcjonistka powiedziała, e dzi ma dzie wolny.

– Je li to on ma si spotka z tob w najbli szy czwartek, nie mógł pozwoli , eby go zobaczyła.

– Te tak pomy łałam. Wi c wychodz c, zatrzymałam si , eby pomówić z gorylem na parterze. Powiedziałam mu, e widziałam na tabliczce nazwisko Abła Winesapa, a mój ojciec pracował kiedy , przed laty, z Ablem Winesapem, z którym utracił kontakt. Wi c go spytałam, czy to taki wysoki, zwalisty, rudym czyzna. Okazuje si , e ten Winesap jest niski, chudy, zgarbiony i łysiej cy.

– Dobra robota, Nancy.

– Dzi kuj , Ned. Jak my lisz, czy Nancy i Ned kochali si z sob ? Wiesz, na tylnym siedzeniu samochodu po zako czeniu jakiej szczególnie udanej sprawy.

– Lubi bawi si t my l . Do rzeczy, Conroy.

– Dobrze – teraz nadchodzi trudny moment, pomy łała. Musz rozegra to bardzo ostro nie. – Gabinet Finleya jest niesamowity – a, zapomniałam powiedzieć o monitorach. Ma monitory na całej cianie. Troch oble ne, nie s dzisz? Monitor przy monitorze, bezszelestne obrazki z ró nych cz ci budynku.

Chyba wsz dzie ma zamontowane kamery. Ale to nie dlatego jego gabinet jest taki niesamowity. Jego lampa Galie przyprawiła mnie o palpitacj serca. I ko Han. Niemal nienaruszony. No i tak si porobiło, e dzi wieczorem zobacz jego cał kolekcj .

Jed złapał j za przegub, zanim zd yła powiedzie co jeszcze.

– Powiedz to jeszcze raz, Conroy, tylko wolniej.

– Zjem z nim kolacj .

– Dlaczego tak uwa asz?

– Poniewa mnie zaprosił, a ja przyj łam zaproszenie. A zanim zaczniesz wyklucza wszystkie powody, dla których nie powinnam tego robi , powiem ci, dlaczego powinnam – przemy łała to punkt po punkcie w drodze powrotnej. – Podczas spotkania był dla mnie bardzo uprzejmy – przej ty i współczuj cy. S dzi, e jestem w mie cie sama, i e jestem wytr cona z równowagi. Wie, e bardzo interesuj si antykami. Gdybym odmówiła, wszystko bym zepsuła.

– Je li on ma z tym co wspólnego, ostatnim miejscem, w którym powinna znale si z nim na osobno ci, jest jego dom.

– Je li ma z tym co wspólnego – zripostowała – ostatnim miejscem, w którym mogłoby si co sta jest jego dom. Zwłaszcza, je li powiem, e zadzwoniłam do rodziców, eby powiedzie e dojechałam szcz liwie, a kolacj zjem u niego.

– Głupi pomysł.

– Wcale nie. B d miała czas, eby go urobi . Lubi mnie – dodała i ruszyła w stron szafy. Wyj ła z niej mał czarn sukienk i zestawiała j z błyszcz cym bolekkiem w czerwone i złote pasy. Przyło yła je do siebie i spojrzła w lustro. – Nie chciał, ebym sp dziła samotny, rozdygotany wieczór w Los Angeles.

Jed spojrzzał zw onymi oczami na migocz ce cekiny.

– Dobierał si do ciebie?

Dora przestała rozpina marynark .

– Jeste zazdrosny, Skimmerhorn? – zachichotała krótko, zachwycona. – Czy to nie słodkie?

– Nie jestem zazdrosny.

Nigdy w życiu nie był zazdrosny o kobiety. Nigdy. I nie zamierzał teraz tego zmieniać.

– Zadałem ci proste pytanie i oczekuję odpowiedzi.

Zdejmij marynarkę, ukazując kremowy jedwab i koronki stanika.

– Chyba chcesz postawić mnie w niezręcznej sytuacji i zmusić mnie do ponownego wyznania ci miłości. Tego by mi nie chcieli, prawda?

Zakłamał pod nosem, czując skurcz w gardle. Sięgnął po następny papierosa.

– Może mam już powyżej uszu pytania, jak ubierasz się dla innego?

– Przecież po to tu jestem, prawda? Aby spotkać się z nim, uzyskać jego współczucie i zaufanie i dowiedzieć się wszystkiego, co można – przechyliła głowę i spojrzała na zaciętą twarz Jeda. – Czy poczujesz się lepiej, jeżeli powiem ci, że nie zamierzam pójść z nim do łóżka?

– O tak, teraz mogą spać spokojnie – wydmuchnął gwałtownie kłęb dymu. – Nie podoba mi się, że idziesz tam sama. Nie wiem o nim dostatecznie dużo i nie podoba mi się to.

– Będzie wiedział więcej, kiedy wrócę, prawda? – podeszła do wieszaka. Jed przeszedł przez pokój tak cicho, że podskoczyła, gdy jego ręce spoczęły na jej ramionach.

– Nie zwykłem czekać.

Powiesiła starannie marynarkę.

– Chyba to rozumiem.

– Nigdy wcześniej nie miałem nikogo, o kogo mógłbym się martwić. Nie podoba mi się to.

– To również rozumiem – rozpięła spódnicę i zawiesiła ją porządnie na innym wieszaku. – Nic mi nie brzo.

– Jasne – przytulił policzek do jej głowy. – Doro... – co mógłbym jej powiedzieć? pomyślał. Nic, co przemykało mu przez głowę nie wydawało się odpowiednie. – Będzie mi Ciebie brakowało. Chyba przywykłem do Ciebie.

Uśmiechnęła się, wzruszona i dotknęła dłoni jego ręki.

– Ale ty sentymentalny, Skimmerhorn. Serce na dłoni, codziennie bukiety kwiatów.

– Czy tego właśnie nie chcesz? – odwrócił jej twarz do siebie. – Czy to tego szukasz?

Jej uśmiech nie znalazł odbicia w oczach, kiedy przesunęła kostkami palców po jego policzku.

– Serce już mam, dziękuję, a kwiaty mogę kupić, kiedy tylko mi się spodoba – musnęła jego wargi swoim pocałunkiem. – Mam godzinę do wyjścia. Może zaniósłbyś mnie do łóżka?

Byłaby to przyjemność i ulga, ale i to, i to musiało na razie poczekać.

– Mamy coś innego do roboty, Conroy. Włóż szlafrok i omówimy główne problemy tej całej kolacji.

Sapnęła i odstąpiła od niego.

– Stój przed tobą niemal w samych podwiązaniach, a ty mi mówisz, abym włożyła szlafrok?

– Właśnie nie.

– Przyzwyczyłaś się do mnie – mruknęła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dokładnie o wpół do ósmej Dora wsiadła do białego mercedesa. Na siedzeniu leżał jeden paczek róż, a z głośników stereo słyszała się dwukrotnie Beethovenowska sonata. Obok kryształowej czarki z kawiosem mroziła się butelka szampana.

Przesunęła miśkami płatkami po policzku i spojrzała w stronę okna, przez które obserwował ją Jed.

Niedobrze, pomyślała, podczas gdy samochód płynnie ruszył przed siebie. Wygląda na to, że potrzeba mi serca i kwiatów, a

m czyzna, który znaczy dla mnie najwi cej, nie jest w stanie mi tego da .

Obejrzała si ; zauwa yła m czyzn w samym garniturze, wsiadaj cego do ciemnego sedana i ruszaj cego za nimi.

Zamkn ła oczy, zsun ła buty i przesun ła z rozkosz nag stop po aksamitnym dywanie. Zostawiła za sob wszystkie my li o Jedzie.

Przez najbli sze kilka godzin miała by sama.

Trzymaj c w r ku kieliszek szampana i tost z kawiozem, zacz ła rozkoszowa si jazd . W innych okoliczno ciach zacz łyby rozmawia z kierowc , ale teraz zaton ła w milczeniu, przygotowuj c si do Drugiego Aktu.

Po wra eniach z biura Finleya, spodziewała si , e dom Finleya b dzie przypominał pałac.

I rzeczywi cie. Szybka jazda, migaj ce kusz co szczyty domów, widoczne przez rozło yste drzewa. A potem ciana z kamienia, cegły i szkła, migocz cego w ostatnich ognistych blaskach zachodz cego sło ca.

wietnie dobrana dekoracja.

Wysiadaj c, wzi ła ze sob ró .

Miała tylko chwil na zachwyty nad kołatk w kształcie delfina. Pó niej drzwi uchylły si , ukazuj c kobiet w stroju pokojówki.

– Panno Conroy, pan Finley prosi, eby zaczekała pani w bawialni.

Dora bez skr powania podziwiała wspaniało holu. W salonie mrukn ła twierdz co, kiedy pokojówka zaproponowała jej kieliszek wina i z ulg przyj ła moment, kiedy znalazła si sama, by odda si podziwianiu skarbów Finleya.

Czuła si , jakby weszła do prywatnego muzeum, urz dzonego tylko dla niej. Wszystko, na czym spoczywał jej wzrok, było ol niewaj ce, a ka dy kolejny przedmiot wydawał si wspanialszy od poprzedniego. Tak wspaniały, e miała ochot pa na kolana.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze w stylu Jerzego III, przesunęła delikatnie palcami po mahoniowym fotelu z tego samego okresu, zakwiliła, a to nie nad japońskim tygrysem Kakemon.

Finley zastał ją pochłoniętą zupełnie kolekcją netsuke.

– Widz, e podobają ci się moje zabawki.

– O tak – odwróciła się od kolekcji z oczami ciemnymi i błyszczącymi z zachwytu. – Czuję się całkiem jak Alicja, która właśnie trafiła do najpiękniejszego zakątka Krainy Czarów.

Roze miał się i nalał sobie kieliszek wina. Wiedział, że Dora sprawi mu przyjemność.

– Byłem pewien, że pokazanie ci swoich skarbów sprawi mi przyjemność. Obawiam się, że spędzam z nimi zbyt wiele czasu.

– Dzięki panu ta podróż okazała się wspaniałym przeżyciem.

– A zatem jestem zadowolony – podszedł i objął ją lekko w pasie. Był to gest pozbawiony erotycznych podtekstów. Dora nie miała pojęcia, dlaczego pod jego przyjacielskim dotykiem poczuła nagły dreszcz. – Przyglądała się moim netsuke. – Otworzył szafkę i z premedytacją wybrał egzemplarz, który został przemycony jako podróbka pod księżką. – Nie do końca tego przemawia to poczucie humoru i seksualność, a także artyzmu wykonania tych drobiazków.

Roze miała się i ujęła posiek.

– A oni wyglądają na tak zadowolonych z siebie, kiedy tak trwają w tym momencie oczekiwania. Trudno sobie wyobrazić jakiego surowego samuraja z czym takim dyndającego u boku.

Finley ledwo się uśmiechnął.

– A jednak dokładnie tak to sobie wyobrażam. Noszone przez wojownika, w łódku i w czasie walki. Może przez kogoś z rodziny Tokugawa. Lubi wymyślać historię demona z moich nabytków – odłożył figurkę na miejsce. – Czy mogę oprowadzić cię przed kolacją?

– O tak – wsunęła dłoń pod jego ramię.

Jest erudyta, gawdziarzem i znawcą, pomyślała Dora. A jednak, zanim upłynęła godzina, poczuła nagły niepokój, sama nie wiedząc dlaczego.

Był zachłanny, kiedy chodziło o jego własność, ale to rozumiała. W stosunku do niej zachowywał nieskazitelną maniery, a jednak odnosiła coraz silniejsze wrażenie, jakby była subtelnie gwałcona. Granice wyznaczonej roli wymagało od niej wszystkich umiejętności i całkowitej kontroli. Kiedy ktoś czyli swój obchód, wiedziała już, że nawet piękna i unikalnie może być za wiele.

– A to broszka, o której już wspominałem – Finley podał jej szafirową broszkę, podniecony faktem, że prezentuje Dorze wszystkie przemycone owego dnia przedmioty, jeden po drugim. – Kamień jest naturalnie wspaniały, ale oprawa zwraca uwagę swoim mistrzostwem, a w dodatku on również ma swoją historię.

– Jest piękna.

I rzeczywiście była; błękitne oko mrugające do niej z gniazdka z delikatnego złotego filigranu i płomiennych brylantów, zarazem piękne i tragiczne. Tragiczne, rozumiała, ponieważ na zawsze uwięzione za szkłem. Już nigdy nie będzie ozdabiać jedwabnych kobiecych sukien, już nigdy nie wywoła u miechu na twarzy podziwającej siebie kobiety.

Była może na tym polegała różnica między nimi. Ona dawała swoim skarbowi nowe życie; Finley je go pozbawiał.

– Podobno należała do królowej – powiedział Finley, obserwując ją, szukając na jej twarzy błysku rozpoznania – Marii, królowej Szkocji. Zastanawiam się zawsze, czy miała ją na sobie, kiedy pojmano ją za zdradę.

– Wolę myśleć, że miała ją na sobie, galopując przez wrzosowiska.

– A to – wskazał etui – to należało do innej nieszczęśliwej królowej. To prezent Napoleona dla Józefiny. Zanim rozwiódł się z nią za to, że była bezpłodna.

– Uważasz swoim skarbowi smutnej historii, Edmundzie.

– To, e ę czy si z nimi cierpienie, tylko podwy sza ich warto w moich oczach. Drobiazgi, nale ce do bogaczy i władców, teraz w r kach parweniusza. Mo e przejdziemy do jadalni?

Podano homara i kaczk po peki sku, tak delikatn , e niemal rozpływała si w ustach. Posiłek podano na porcelanie z Limoges, sztu ce wykonano z georgia skiego srebra. Dom Perignon perlił si w zabytkowych waterfordach I ni cych niczym kryształowe ęzy.

– Opowiedz mi o swoim sklepie – zach cię j Finley. – To musi by niezwykle podniecaj ce codziennie sprzedawa i kupowa , mie do czynienia z pi knymi rzeczami.

– Naprawd za tym przepadam – Dora zmusiła si , by si odpr y i rozkoszowa posiłkiem. – Niestety, wi kszo tego, z czym mam do czynienia, le y poza twoimi zainteresowaniami. Handluj antykami i rzeczami z wyprzeda y, a tak e... – starzyzn , niemal usłyszała szydz cy i koj cy ęłos Jeda – ...ró nymi ciekawostkami – sko czyła do kwa no. – Uwielbiam kicz tak samo jak pi kno.

– I, tak jak ja, lubisz posiada , mie kontrol . Robienie pieni dzy na czym , co si kocha, ma w sobie co nieodparcie poci gaj cego. Nie ka dy mo e, lub ma odwag , odnie sukces. S dz , Isadoro, e ty masz bardzo du o odwagi.

Poczuła skurcz oł dka, ale udało si jej przełkn k s kaczk.

– Moja rodzina uwa a to raczej za krn brno . Przykro mi to wyzna , ale bardzo łatwo mnie przerazi .

– Nie doceniasz si ; w ko cu przyjechała tu, do mnie – u miechn ł si , patrz c na ni znad okularów oczami ostrymi jak sztylety. – Mogła przypuszcza , e DiCarlo wykonywał moje rozkazy. W ko cu jest, był, moim pracownikiem.

Kiedy pobladła i upu ciła z hałasem widelec, roze miał si i poklepał j po r ce.

– Teraz ci przestraszyłem. Przepraszam. Powiedziałem to tylko po to, eby przedstawi mój punkt widzenia. Po co miałbym kaza DiCarlo, eby włamywał si do twojego sklepu i

kradł z niego par drobiazgów, kiedy tak łatwo mógłbym je zdobyć na własną rękę.

– W tym, ebym miała coś, co uznałbyś za interesującą.

– Och, nie zgadzam się z tobą – uśmiechnął się i skinął, eby podano deser. – Uwaga, masz do zaoferowania bardzo wiele interesujących rzeczy. Powiedz – dodał – czy kiedykolwiek wpadł ci w ręce jakiś Grueby?

– Kiedy miałam posiek chłopca, niestety, bardzo zniszczony. Zaciskała lecie na jej kolanach ręce w piśmie. Podano czekoladowy suflet.

– Zauważyłam twój waz w bibliotece. Jest liczna.

W takiej dyskusji o zastawie stołowej rozluźniła się nieco i uznała, e tylko wydawało się jej, e zastawia na nią pułapkę.

Później usiedli przed ogniem, spokojnie trzaskającym na kominku w salonie i wypili kawę z koniakiem. Znowu zaczęli rozmawiać swobodnie, niczym starzy przyjaciele. Przez cały czas nerwy Dory były napięte jak struny. Nigdy w życiu nie miała takiej ochoty na ucieczkę.

– Wybacz, e tak przedłużyłem twój pobyt w mieście – Finley przekładał z ręki do ręki małe porcelanowe figurki nagiej kobiety.

– Prowadzenie własnego interesu nie daje nam tyle wolnego czasu, jak się czasem uważa. Na pewno to rozumiesz.

– Tak, istotnie. Czasami czuję się w niem własnego sukcesu. A ty? – przesunął palcem po nagiej piersi figurki – czujesz się jak w pułapce?

– Nie – ale nie mogła oprzeć się wrażeń, e ściany pokoju zbliżyły się do niej.

– Musisz mieć wspaniałe kontakty.

Znowu rozejrzała się po pokoju. Nie chciała patrzeć na to, co robił z poszukiwaniem.

– Co stoje dzisiaj w interesach?

– Nie tak często, jakbym chciał. Przez całe lata musiałem to przyjemnie przekazywać innym. Ale od czasu do czasu

wybieram się na Bliski Wschód czy do Europy. Od czasu do czasu docieram nawet na Wschodnie Wybrzeże.

– Mam nadzieję, że jeśli będziesz w Filadelfii, pozwolisz mi się zrewanżować za twoją gościnność.

– Nie omieszkałam przedzielić ci telefonicznie.

– A zatem mam nadzieję, że wkrótce znajdziesz czas, żeby odwiedzić Wschodnie Wybrzeże. Edmundzie, to była cudowna kolacja i rozkoszny wieczór – wstała, żeby odegrać finał, zachwycony goście niech tylko zmierzają do wyjścia.

– Wierz mi, to była dla mnie przyjemność – wstał, ujął jej dłoń i ucałował ją z galanterią. – Pozwól mi przysłać jutro po ciebie samochód, który odwiezie cię na lotnisko.

– Tak mi miło – ze wstydem przyznała, że miała ochotę wytrzeć rękę o marynarkę – ale już załatwiłam sobie rodek transportu. Proszę, zadzwoń do mnie, jeśli będziesz... jeśli w sprawie DiCarla wyniknie coś nowego.

– Dobrze. Mam nadzieję, że wkrótce wszystko się wyjaśni.

* * *

Kiedy wysiadła pod hotelem Beverly Hills, zaczekała, a limuzyna zniknie za horyzontem, a potem po prostu stała na chodniku, powoli oddychając i czekając, aż ogarnie ją spokój. Nie chciała pokazywać się Jedowi, dopóki nie odzyska panowania nad sobą.

Czuła się idiotycznie wstrząśnięta. Wiedziała, że będzie musiała mu powiedzieć, jak wielkie wrazenie zrobił na niej ten wieczór, ale chciała to powiedzieć chłodno i precyzyjnie.

Potem zobaczyła nagle jakiś ciemny sedan. I może czynnikiem w szarym garniturze.

Wpadła do hotelu jak błyskawica.

Przestała bać się własnego cienia, Conroy, upomniała się, czując serce w gardle. Uniosła głowę do góry i wcisnęła guzik windy. To tylko przemczenie podróży. Przekonanie to sprawiło jej ogromną ulgę. Jestem przemęczona i zestresowana. Jak tylko

opowiem, o tym wszystkim Jedowi, dobrze się wypi i rano wszystko będzie dobrze.

Kiedy znalazła się na swoim pi trze i włożyła klucz do zamka, znowu była opanowana. Mogła się nawet ucieknąć, kiedy „weszła do pokoju i zobaczyła Jeda, ponuro wyglądającego przez okno.

– A, czekała na mnie.

– Ale ty dowcipna, Conroy. Naprawdę powinna ... – przerwał, kiedy jego wzrok spoczął na twarzy Dory. Jeszcze nigdy nie widział kogoś, kto byłby tak zmęczony i mimo to trzymał się na nogach.

– Co? – była tak rozstrojona, że chwyciła się za gardło i cofnęła się o krok. – Co jest?

– Nic. Zamyliłem się. Usiódł.

– Najpierw chcę zrzucić z siebie ubranie. – Nawyk kazał jej sięgnąć do szafy po wieszak.

– Pozwól, że ci pomogę – rozpiął suwak jej sukienki. Przelotnie pomasażował jej ramiona i zauważył, że tak, jak się spodziewał, są całe spięte. – Masz koszulkę nocną czy coś w tym rodzaju?

– Coś w tym rodzaju – usiadła ze znużeniem na brzegu łóżka, zdejmując po czochoy. – Zrobiłaś sobie coś na kolację, prawda?

– Jestem już tym chłopcem, Conroy. – Rozpiął jej czarną białką, odrzucił ją, po czym wciągnął jej przez głowę cienką koszulkę nocną.

– A my my jedliśmy kaczki.

– Mój cheeseburger się nie umywa.

– Była przepyszna. A dom – no, powinniśmy go zobaczyć. Niesamowite, te wielkie pokoje, za którymi ciągną się inne wielkie pokoje. Nigdy nie widziałam tylu tak cennych przedmiotów w jednym miejscu.

Potrząsnęła głową, czując, że oczy zaczynają się jej kleić.

– Muszę umyć twarz. Może powinniśmy sprawdzić, czy masz jakiś raport o finansowej działalności E.F. Incorporated. – Odkryła w łazience zimną wodę, nabrała jej w obie dłonie i

rozpryskała ją sobie na twarzy. – Lokaj podał nam kawę w filiżankach z miętowej porcelany, wartych dziesięć do dwunastu tysięcy – ziewnęła i jeszcze raz opryskała sobie twarz wodą. – A przycisk do papierów w bibliotece... Almeric Walter. Widziałam w zeszłym roku, jak taki sam poszedł w Christie's za pięć tysięcy kawalców. A jeszcze...

– Nie chcę spisu inwentarza.

– Przepraszam – wzięła prysznic i zaczęła zmywać makijaż. – Nigdy nie widziałam kolekcji, która mogłaby się z tym równać. Właściwie tego nawet nie ma na nazwę kolekcji. To coś jakby małe prywatne królestwo. – Wiedzioną poczuciem obowiązku zaczęła wklepywać tonik. – I jakoś dziwnie mi to pokazywał.

– Jak to?

– Jakby spodziewał się, że co zrobię, co powiem – pokręciła głową. – No nie wiem. Nie potrafię tego dokładnie wytłumaczyć, ale atmosfera była inna niż w jego biurze.

Ich oczy spotkały się w lustrze. Na jej twarzy widać było delikatne bruzdy zmęczenia, skóra, pozbawiona ochrony kosmetyków, robiła wrażenie bardzo delikatnej.

– On mnie przeraził, Jed. Jest prawdziwym dżentelmenem i wspaniałym gospodarzem. Ale kontakt z nim przeraził mnie.

– Opowiedz mi o tym – przeczesał jej włosy palcami. – To pozornie może nie mieć sensu.

Skinęła głową z ulgą i usiadła na łóżku.

– Oprowadził mnie po całym domu – zaczęła. – I tak jak mówiłam, było coś dziwnego w sposobie, w jaki pokazywał mi te wszystkie przedmioty. A zwłaszcza niektóre z nich. Czułam na sobie jego wzrok, kiedy je oglądałam. To było tak, jakbym... jakbym widziała kogoś masturbującego się. Cały czas powtarzałam sobie, że to dlatego, że jest taki czarujący. Zjedliśmy razem kolację, elegancki posiłek na eleganckiej porcelanie w eleganckim pokoju. I dyskutowaliśmy na temat sztuki oraz muzyki i tak dalej. Ani razu nie dotknął mnie w sposób, który mógłby budzić moje zastrzeżenia, ale...

Roze miała się cicho.

– B d ci bardzo wdzi czna, je li nie usłysz od ciebie, e mam zbyt wybujał wyobra ni . Ale powiem ci o tym, bo to jest dokładnie to, co czułam. Miałam wra enie, jakby ogl dał mnie nag . Jedli my ten niesłychanie delikatny suflet georgia skimi srebrnymi sztu cami i czułam si , jakby rozbierał mnie wzrokiem. Nie mam na to adnego wytłumaczenia, to tylko nieodparte i bardzo paskudne uczucie.

– Mo e wła nie o to mu chodziło. M czyznom o to chodzi, nawet tym eleganckim.

Mogła tylko potrzn sn głow .

– Nie, to nie to, tu nie chodziło o seks. Czułam si raczej zupełnie bezbronna.

– Była sama.

– Niezupełnie, i nie przez cały czas. Ma armi słu cych. Tak naprawd nie bałam si , e co mi zrobi. Bałam si , e chce to zrobi . A potem ten incydent w łazience.

– Zaprowadził ci do łazienki?

– Nie. Poszłam tam po kolacji. Poprawiałam makija i czułam, e on tam jest, e patrzy mi przez rami .

Odetchn ła gł boko, czuj c wdzi czno , e Jed nie prychn ł i nie powiedział, e jest głupia.

– Kiedy opu ciłam jego biuro, szczerze w tpiłam, czy Finley ma z tym co wspólnego. A teraz nie wiem, co o tym my le . Wiem tylko, e nie wróciłabym do tego domu nawet wtedy, gdyby pozwolił mi wybra sobie co ze swojej kolekcji. A, musz to przyzna , była ona cudowna.

– Nie musisz tam wraca . Sprawdzimy, czy urz d skarbowy jest w stanie wnkn w sprawki Finleya.

– Dobrze – nad lewym okiem czuła pulsowanie,, którego nie mogła si pozby . – Mo e spróbujesz si czego dowiedzie o szafirowej broszy, prawdopodobnie siedemnastowiecznej. Kamie wygl dał mi na jakie osiem karatów, płasko osadzony w złotym filigranie, otoczony małymi brylantami szlifowanymi w rozety. Pokazuj c mi go, zrobił prawdziwy spektakl.

– wietnie. Dobrze si spisała .

- Tak – senny u miech. – Dostan złot gwiazd detektywa?
- Złot odznak . Nie. Odchodzisz na emerytur .
- wietnie.
- Chcesz co na ten ból głowy?
- Przerwała masowanie skroni na tyle, eby si skrzywi .
- Morfin , ale nie przyniosłam ze sob . W kosmetyczce mam co mniej skutecznego.
- Przynios . Odpocznij sobie.
- Rzuciła si na łó ko, nie zawracaj c sobie głowy przykrywaniem si kocem.
- Zapomniałam. Widziałam takiego faceta w ciemnym sedanie... Bo e, to jak z filmu z Charlie Chanem. No wi c widziałam go, wysiadaj c z limuzyny. Kiedy wróciłam, pojawił si na drodze. Nie mam poj cia, po co Finley kazał mnie ledzi w drodze do jego domu i z powrotem.
- Nie on kazał. To ja kazałem. Gdzie trzymasz te cholerne pigułki? Nie mog si połapa w tych buteleczkach.
- Pigulek nie trzyma si butelkach, tylko w pudełeczkach. Ka dy o tym wie.
- M drala.
- W tym małym, z emaliowanymi fiolkami. Co to znaczy, e kazałe mnie ledzi ?
- Przez cały dzie . Lokalna policja. U miechn ła si , kiedy pojawił si z pigułkami.
- To prawie tak, jakby mi dał kwiaty – mrukn ła. – Wynaj łem mi ochroniarza.
- Wynaj łem go dla siebie – powiedział lekko. Zło yła głow na ramionach i zamkn ła oczy. Podeszedł do niej i zaczą ł masowa jej kark i ramiona.
- Uspokój si , Conroy. Nie pozb dziesz si migreny, wariuj c z nerwów.
- Jego palce miały koj cy wpływ.
- Jed? – jej głos był cichym, zamieraj cym pomrukiem.
- Tak.

– Lustro. Zapomniałam. Miał ich dziesięć. W każdym pokoju było ich pełno.

– A więc jest próżny.

– Mam jedno lustro, które pewnie kupiłby ode mnie.

– Zamknij się, Conroy. Bredzisz.

– Może, ale nie sądzę, żeby po prostu lubił na siebie patrzeć. On chyba lubi się przyglądać.

– Dobra. Jest próżnym zbrodnicem. – Przesunął dłońmi po jej plecach.

– Wiem. Ale to jeszcze nie znaczy, że jest przemytnikiem. Chciałabym...

– Chciałaby?

Ale cokolwiek chciała, pozostało to nie wypowiedziane. Zasnęła.

Cicho podniósł kołdrę, wziął Dorę na ręce i położył ją pod przykryciem. Nawet nie drgnęła. Jedną przyglądał się jej przez chwilę, po czym zgasił światło i położył się obok niej. Po chwili przytulił ją mocno do siebie i również zasnęł.

* * *

Ponieważ trzymał ją w ramionach, jej pierwsze dreszcze obudziły go. Instynktownie zaciął uścisk, pogładził ją po karku.

– Hej! Hej, Doro, obudź się. Otrząśnij się.

Usłyszał, jak łapie gwałtownie powietrze, poczuł drżenie jej ciała, kiedy przechodziła ze snu do jawy.

– Koszmar, tak? – szepnął.

W odpowiedzi przytuliła twarz do jego piersi.

– Dosiądź do lampki? Potrzebuję światła.

– Jasne – wyścięgnął rękę w kierunku wyłącznika, obejmując ją mocno drugim ramieniem. Błysnęło światło, wypraszając głębiej boki ciemności. – Lepiej?

– Tak – ale dreszcz nie ustąpi.

– Chcesz się napić?

– Nie – panika brzmi ca w jej głosie kazała jej zagry warg .
– Nie zostawiaj mnie, dobrze?

– Dobrze.

– Ale na pewno.

– Na pewno.

A ponieważ tak było naprawdę , jej serce powoli zaczęło się uspokajać .

– To pierwszy koszmar, jaki mi się przyśnił od czasów „L nienia” Stephena Kinga.

– Straszna księżka. – Choć w jego spojrzeniu nie było spokoju, pocałunek, którym musnęła jej włosy był lekki i bez troski. – A film jeszcze gorszy.

– Tak – jej miech był nieco dręczący, ale był to jednak miech.

– Nie wiedziałem, że interesowała się horrorami, Skimmerhorn.

– Rozluźnij . Trudno martwić się o drobiazgi, kiedy czytasz o wampirach i chodzących nieboszczykach.

Ponieważ nie pytał, nie naciskał, zdołała wreszcie go zapytać :

– Chodzi o ten dom. Dom Finleya, te pokoje i lustra. Te wszystkie rzeczy, te piękne przedmioty. Czytała „Something Wicked”?

– Bradbury. Jasne.

– O tym wesołym miasteczku, o gabinecie luster? Pamiętasz, obiecywali, że jeśli kupisz bilet, znajdziesz w środku wszystko, czego chciałaś . Ale to był tylko paskudny podstęp. I właśnie nie o to mi chodzi. Chciałam zobaczyć te wszystkie piękne przedmioty. I nagle nie mogłam się stamtąd wydostać . Był tam DiCarlo i Finley też . Za kilka dni razem, kiedy się odwracałam, jedno z tych lusterek było koło mnie i odbijało wszystko dookoła. Bez przerwy wpadałam na tafle szkła – przytuliła się do Jeda, czując ulgę w jego ciepłym ciele, w dotyku jego twardych mięśni. – Czujesz się jak idiotka.

– Nie powinnaś . Znam to uczucie.

– Znasz? – przechyliła głowę , zaintrygowana i przyjrzała się jego twarzy – naprawdę ?

– W pierwszym roku przydzielono mnie do przypadków postrzele. Miałem jeszcze tyle szczęścia, że najpierw trafił mi się przypadek samobójstwa – nie powiedział jej, że to, co zostało z głowy samobójcy, nic przedstawiało sobie ładnego widoku. – Dopiero kilka tygodni później moja pamięć w rodoku nocy wyrzuciła z siebie ten obraz. A po tym, co stało się z Elaine... – zaważał się, po czym ciągnął dalej – to wracało. Bieg przez trawnik, przez krzaki ró. Jej głowa, odwracająca się ku mnie. Grzmot wybuchu, kiedy przekrzykiwała kluczyk. Mogłoby się wydawać, że wampirzy okaże porze dnia.

– Tak. Ja też – przez chwilę leżałem w milczeniu. – Jed?

– Hmm?

– Chcesz sprawdzić, czy w telewizji leci jakiś stary horror?

– Conroy, jest szósta rano.

– Jest za ciemno, żeby mogła być szósta.

– Zasłony się zacięgnięte.

– Aha.

– Co ci powiem – uniósł się, opadł na niego i skubnął z bami jej podbródek. – Teraz pokażę ci naprawdę strasznego.

Zachichotała i objęła go za szyję dokładnie w momencie, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Serce podskoczyło jej do gardła, z piersi wydarł się jej krzyk.

– Nie myślałam o tym – szepnął i podniósł słuchawkę. – Tu Skimmerhorn.

– Jed, przykro mi, że cię budzę – ale ton głosu Brenta nie miał nic wspólnego z przeprosinami. – Mam dla ciebie coś, co może chciałbyś sprawdzić.

– Tak? – Jed machinalnie przewrócił się na plecy i sięgnął po pióro, leżące na nocnej szafce.

– Właśnie dostałem fax z biura szeryfa. Para autostopowiczów od kryła parę dni temu ciało, upchnięte w płytkim parowie w górach. Zostało z niego tylko, że można było zdjąć kilka odcisków palców. Może im już nie szuka DiCarla. Jest z całą pewnością ci martwy.

– Od kiedy?

– Trudno powiedzie , zwa ywszy na działanie warunków atmosferycznych i zwierz ta. Mniej wi cej około pierwszego stycznia. Skoro juz wyjechałe , mo e zechcesz porozmawia z tamtejszym koronerem i oficerem ledczym.

– Podaj mi ich nazwiska – Jed zapisał podan mu informacj .

– Zawiadomi ich faxem, jak tylko przestaniemy rozmawia – ci gn ł Brent. – Powiedz im, e zajmujesz si t spraw . B d na ciebie czeka .

– Dzi ki. Odez w si jeszcze. Dora siedziała na łó ku z brod opart na kolanach i przygl dała si odkładaj cemu słuchawk Jedowi.

Teraz jeste bez reszty policjantem. To ciekawe, obserwowa tak metamorfoz .

Mo e zadzwonisz i zamówisz niadanie? – wyskoczył z łó ka i poszedł do łazienki. – Złapiemy pó niejszy lot.

– Dobrze – usłyszała plusk wody z prysznica. Zacisn ła z by. Odkryła kołdr i pomaszerowała do łazienki, szarpni ciem odsłoniła plastikow zasłonk prysznica. – Nie wystarczy wydawa rozkazy, kapitanie. Niektórzy z nas potrzebuj cho by minimum informacji.

– Musz co sprawdzi – si gn ł po mydło. – Wchodzisz albo wychodzisz, Conroy, woda zalewa podłog .

– Co sprawdzi ?

Rozstrzygn ł kwesti , zdejmuj c jej przez głow nocn koszul . Nie protestowała, kiedy podniósł j i postawił pod prysznicem. Bez słowa przykr ciła kurek z gor c wod tak, by woda nie parzyła skóry. Odgarn ła z oczu mokre włosy.

– Co sprawdzi ? – powtórzyła.

– DiCarla – powiedział głosem bez wyrazu. – Znale li go.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Szeryf Curtis Dearborne żył w stosunku do obcych wrodzony brak zaufania. Ponieważ za obcego uważał każdego spoza departamentu policji w Los Angeles, gładka ze Wschodniego Wybrzeża a był dla niego kimś, kogo należało pilnować ze zmożoną czujnością.

Szeryf był wielkim, mocno zbudowanym mężczyzną we wspaniale wykrochmalonym mundurze. Jego płóciowe wierzchnie były starannie przystrzyżone i lekko spryskane utrwalaczem, a buty wyczyszczono do połysku. Pod militarnym stylem i manierą krył się wdzięk wiejskiego chłopca, wykorzystywany przez szeryfa Dearborne'a umiejętnie z dużym powodzeniem.

Kiedy Jed i Dora pojawili się w drzwiach, podniósł się zza biurka. Jego kanciasta przystojna twarz była powściągliwa i zacięta, uścisk ręki suchy i mocny.

– Witam, kapitanie Skimmerhorn. Jak to się znakomicie złożyło, wyruszył pan w podróż, kiedy mamy zidentyfikować naszego NN.

Jed natychmiast ocenił swojego przeciwnika. Dearborne zamierzał bronić swojego terytorium. Teraz najważniejszy ruch to uznanie władzy szeryfa.

– Jestem panu bardzo wdzięczny za udostępnienie nam tej informacji, szeryfie. Porucznik Chapman na pewno opisał panu kłopoty, jakie mamy. Pańskie szybkie działanie może przynieść pewne pocieszenie wdowie po oficerze Trainorze.

Było to właściwie posunięcie. Oczywiście Dearborne'a zadowolowały, usta zaciśnięte.

– Pański porucznik powiedział mi, że natychmiast zabił policjanta. Pamiętaj tylko, że kobyły nie zajmują się nim dokładniej. Proszę siadać, kapitanie, panno Conroy.

– Dziękuję – Jed usiadł, powstrzymując niecierpliwą odpowiedź. Popędzenie Dearborne'a nic by nie dało, a za to kosztowałoby go

zapewne wiele dyplomatycznych zabiegów. – Mówiono mi, że ciało nie jest jeszcze zidentyfikowane.

– Jeszcze nie. – Krzesło Dearborne’a skrzyknęło, kiedy mógł się na nim wygodnie. Ale od razu wykluczyli morderstwo na tle rabunkowym. Przy ciele nie znaleźli portfela, ale facet miał brylantowy sygnet na małym palcu u ręki, a na szyi jeden z tych złotych łańcuszków.

Dearborne prychnął, dając Jedowi do zrozumienia, że takie błyskotki uważa za podejrzanie nieskie.

– Ciało nie jest w zbyt dobrym stanie, ale nie potrzebowałem pytać koronera, aby stwierdził, w jaki sposób facet zginął. Dostał kulę w brzuch. Na breżencie, w który był zawinięty, nie zostało wiele krwi. To pozwala przypuszczać, że ciało zostało przeniesione po tym, jak denat wykrwawił się na śmierć. To musiało trwać cholernie długo. Za przeproszeniem – zwrócił się do Dory – koroner to potwierdził.

– Chciałbym rzucić okiem na raport koronera, jeżeli to możliwe – zaczął Jed. – I na wszystkie dowody rzeczowe, jakie znaleźliście. Im więcej zbiorę, tym lepiej.

Dearborne zastanowił się, zbliżając palcami do biurka. Wschodnie Wybrzeże nie przeciwstawiło się, uznał.

– Chyba możemy oddać panu te przysługi. Mamy na dole ten brezent i to, co zostało z jego ubrania. Kiedy pan skończy, przyniosę pozostałe dokumenty. Jeżeli chce pan rzucić okiem na ciało, zajdziemy do gabinetu koronera.

– Jestem bardzo wdzięczny. Czy panna Conroy może tu poczekać? – zapytał, kiedy Dora zaczęła się podnosić.

– Oczywiście – Dearborne podziwiał kobiety, znając swoje miejsce. – Proszę się rozgościć.

– Dziękuję panu. Nie chciałabym wchodzić panom w drogę – sarkazm w jej głosie był ledwie zawoalowany, ale Dearborne nie znał się na subtelnościach. – Czy mógłbyś zadzwonić?

– Proszę bardzo – Dearborne wskazał jej telefon stojący na biurku. – Linia pierwsza.

– Dzi kuj – nie ma co irytowa si na Jeda, pomy lała. Przynajmniej powiadomi rodzin , e przyjad o kilka godzin pó niej. Kiedy Jed i Dearborne wymaszerowali z gabinetu, usiadła za biurkiem Dearborne’a i u miechn ła si . Była ciekawa, czy Jed zauwa ył, e Dearborne tytułował go kapitanem i e on sam nawet nie zaprotestował.

Do wiosny przyjmie z powrotem odznak , pomy lała i zastanowiła si , jak te wygl da Jed Skimmerhorn, kiedy jest bez reszty szcz liwy.

– Dzie dobry, tu Salon Dory.

– Masz pi kny głos, kotku. My lała kiedy o sekstelefonach? W odpowiedzi Lea za miała si perli cie.

– Bez przerwy o nich my l . Hej, gdzie si podziewasz? Jeste w powietrzu?

– Nie. – Dora odgarn ła włosy i u miechn ła si do policjanta nios cego kubek kawy i akta. – Dzi kuj , sier ancie – powiedziała, umy lnie myl c si co do jego rangi.

– Jestem tylko szeregowym, prosz pani – ale zarumienił si i u miechn ł. – I bardzo dzi kuj .

– Sier ancie? – dopytywała si Lea. – Co jest, wsadzili ci do wi zienia? Mam wysła pieni dze na kaucj ?

– Jeszcze nie – wzi ła kubek, leniwie przesun ła palcem po aktach, które policjant zostawił na biurku. – Na razie zajmuj si sprawami, które Jed chciał załatwi po drodze.

Nie ma potrzeby wspomina o trupach i strzałach z pistoletu, pomy lała. Najmniejszej.

– Wi c przylecimy troch pó niej. Wszystko w porz dku?

– W najwi kszym. Dzi rano sprzedali my biurko Sherbourne.

– Och – jak zawsze w przypadku szczególnie ulubionego przedmiotu, Dora poczuła zarazem rado i al.

– Bez targów – w głosie Lei słyca było dum i przebiegło . – I jak tam twoje spotkanie?

– Spotkanie?

– Z tym facetem od importu – eksportu.

– Ach – Dora zaczęła w zamyśleniu podważyć kciukiem etykietyki akt – jako poszło. Chyba nie będzie dziwnie prowadzi ze sobą interesów. Nie mój poziom.

– No, mam nadzieję, że nie będzie dziwnie uważała o tej podróży za straconą. Widziała jakie gwiazdy filmowe?

– Adnej, przykro mi.

– No tak. Miała Jeda, z którym mogła się pławić w słowach w Los Angeles.

– Właśnie nie – nie dodała, że się działo z nim w czasie w samolocie niżej w mieście.

– Zadzwoń, kiedy wyjdziecie, żeby wiedziała, że dojechała zdrowo.

– Dobrze, mamusiu. Nie sądzę, żebyśmy zdecydowali przed dziesięć twojego czasu, więc nie martw się aż do jedenastej.

– Spróbuj się powstrzymać. Ach, musisz ci ostrzec. Mama planuje zwołać małe zebranie, żeby móc sprawdzić Jeda od bardziej osobistej strony. Pomyślałam, że powinna o tym wiedzieć.

– Wielkie dzięki – Dora westchnęła i leniwie otworzyła aktę.
– Spróbuj przygotować Jeda na... – nagle zaschło jej w ustach, zastąpiła go wzrokiem wbitym w fotografię. Przez szum w uszach dobiegł jej głos siostry.

– Dora? Dory? Jesteś tam? Mów coś. Rozłączyło nas?

– Nie – Dora zdobyła się na herkulesowy wysiłek, by nie zmienić tonu. Ale nawet wtedy, gdy podniosła spojrzenie i wbiła je w ciano, wizja u miechu z fotografii pozostała jej w pamięci.
– Przepraszam, musisz już iść. Zadzwoń później.

– Dobrze. Do jutra, kotku. Szczeliwej podróży.

– Dzięki. Cześć. – Dora odłożyła słuchawkę, bardzo delikatnie, bardzo ostrożnie. Jej ręce zlodowaciały i pokryły się potem. Znowu spuściła wzrok, oddychając płytko.

To DiCarlo. Z jego twarzy zostało wystarczająco wiele, żeby stwierdzić to z całą pewnością. Ona również miała pewność, że nie miał zbyt lekkiej miernicy. Szttywnymi palcami odłożyła pierwszą policyjną fotografię i spojrzała na drugą.

Wiedziała ju , jak okrutna mo e by dla ludzkiego ciała gwałtowna mier . aden z hollywoodzkich horrorów nie przygotował jej do tej upiornej rzeczywiście ci. Widziała miejsca, które rozerwała kula, miejsca, które rozszarpały zwierza. Kolorowa fotografia była zarazem ponura i obojętna.

Nie mogła przesta patrzeć , nie mogła oderwać oczu nawet wtedy, gdy szum przerodził się w ryk. Nie mogła przesta patrzeć nawet wtedy, gdy zaczął czernieć jej w oczach, a wzduchało się ciało zaczęło się zbliżać ku przerażonym oczom.

Jed zaklął soczy cię, widząc jej białą twarz i otwarte usta. Kiedy podbiegał ku niej, jej oczy zaczęły się wywracać. Dwoma gwałtownymi ruchami odepchnął jej krzesło od biurka i wcisnął jej twarz między kolana.

– Oddychaj powoli – jego głos zdradzał napięcie, ale dotyk jego dłoni na jej głowie był delikatny. Zamknął usta z trzaskiem.

– Dzwoniłam do Lei – Dora przełknęła rozpaczliwie łzy , czując , że ołdek cię jej jak ołów. W gardle czuła rosnące kulę – dzwoniłam do Lei.

– Trzymaj głowę nisko – rozkazał – i oddychaj.

– Proszę spróbować tego – Dearborne podał Jedowi szklankę wody. W jego głosie słychać było współczucie. Pamiętał swoją pierwszą ofiarę morderstwa. Wiąkszość dobrych policjantów jej pamięta. – Na zapleczu jest ławka. Może się na niej położyć .

– Nic jej nie będzie – Jed nadal przyciskał lekko głowę Dory, podczas gdy drugi odbierał szklankę wody. – Wybacz nam pan na chwilę , szeryfie?

– Jasne. Nie spieszcie się – dodał Dearborne, zanim zamknął za sobą drzwi.

– Teraz powoli się podniesiesz – powiedział Jed. – Jeśli znów zrobi ci się słabo, opusz głowę .

– Nic mi nie jest – ale drzenie w jej głosie było gorsze niż mdło ci i o wiele trudniejsze do opanowania. Oparła głowę o krzesło i zamknęła oczy. – Zdaje się , że zrobiłam na szeryfie piorunujące wrażenie.

– We to – uniósł szklankę do jej ust i zmusił ją, by przełknęła jeden łyk. – Chcę, żeby czuła się lepiej, kiedy będę na ciebie wrzeszczał.

– Bdziesz musiał trochę poczekać – otworzyła oczy, pijąc wodę. Tak, jest zły, zauważyła. Naprawdę zły. Ale o to nie mogła się teraz martwić.

– Jak ty to znosisz? – powiedziała mi sisko. – Jak znosisz taki widok dzień po dniu?

Zanurzył palce w zimnej wodzie i zaczął pocierać nimi o jej kark.

– Chcesz się położyć?

– Nie, nie chcę się położyć – uciekła wzrokiem. – A skoro musisz wrzeszczeć, to jazda. Ale przedtem musisz wiedzieć, że nie bawiłam się w detektywa. Wierz mi, nie chciałam na to patrzeć. Nie musiałam tego widzieć.

– Teraz musisz zacząć o tym zapominać.

– Czy tak właśnie nie robisz? – zmusiła się, by spojrzeć na niego. – Po prostu odpychasz takie rzeczy od siebie i zapominasz?

– Nie mówimy teraz o mnie. Nie musisz być blisko tego, Doro.

– Nie muszę? – zwiła suche wargi i odstawiła szklankę. Zmusiła się, by wstać. – Człowiek z tego zdjęcia próbował mnie zgwałcić. Z pewnościami by mnie zabił. To stawia mnie cholernie blisko tego wszystkiego. Nawet wiesz o tym, wiesz, co zrobił i co usiłował zrobić, nie mogę pogodzić się z tym, co widziałam na tych zdjęciach. Po prostu nie mogę. I chyba chcę wiedzieć, czy ty możesz.

Widział ją wystarczająco wiele, żeby wiedzieć, co się z nią teraz działo. Widział ją wystarczająco wiele, żeby wiedzieć, że było z nią gorzej niż powinno.

– Nie godzi się z tym, Doro. Jeśli chcesz wiedzieć, czy mogę z tym żyć, to tak, mogę. Mogę na to patrzeć. Mogę zejść teraz do kostnicy i dobrze się przyjrzeć temu wszystkiemu. I mogę z tym żyć.

Skin ła głow , po czym podeszła na dr cych nogach do drzwi.

– Zaczekam w samochodzie.

Jed zaczęła, a Dora wyjdzie. Potem wzięła akta i spojrzała na fotografii. Zakłóciła; nie z powodu tego, co na nich zobaczył, lecz z powodu tego, co zobaczyła Dora.

– W porządku z nimi? – spytał Dearborne, wchodząc do pokoju.

– Będzie w porządku – Jed podał mu akta. – Czy mógłbym teraz porozmawiać z koronerem?

– Pewnie chciałby pan też zobaczyć nieboszczyka?

– Chyba nie.

– Nie ma sprawy – Dearborne wzięła czapkę, włożyła ją na głowę. – Może pan przeczyta po drodze raport z sekcji zwłok. Jest interesujący. Ostatni posiłek naszego znajomego był prawdziwie ucztą.

* * *

Dora podziękowała za przekąskę, którą postawiła jej stewardessa i poprzestała na zimnym piwie imbirowym. Jej ołdek skręcał się na samym końcu języka. Usiłowała nie zwracać uwagi na zapachy potraw, jakimi raczyli się pasażerowie.

Miała dużo czasu na rozmowy, kiedy leżała na przednim siedzeniu samochodu, czekając, aż Jed skończy rozmawiać z Dearborne'em. Tak długo, by zrozumieć, co wyładowała na niego swój wstrząs i obrzydzenie. A on nie wyładował na niej swego gniewu.

– Jeszcze na mnie nie nawrzeszczała.

Jed przeczytał siłą nad krzyków. Wolałby jeszcze raz przeczytać raporty Dearborne'a, ale musiały poczekać, a znaleźć się same.

– Chyba nie warto.

– Wolałabym, eby na mnie nawrzeszczał i przestał si na mnie w cieka .

– Nie w ciekam si na ciebie.

– Prawie mnie nabrała – sama nie wiedziała, co teraz czuła, wiedziała tylko, e musz przez to przej . – Odk d wylecieli my z Los Angeles, prawie nie otworzyła do mnie ust. A gdybym nie zrobiła z siebie idiotki, rozdarłby mnie na strz py. – Jego oczy podniosły si znad gazety i napotkały jej pełen napi cia u miech. – Chciała to zrobi .

– Tak, chciałem. Ale nie byłem na ciebie w ciekły. Byłem w ciekły, poniewa zobaczyła te zdj cia. Poniewa wiedziałem, e przeszła przez drzwi, których nie da si łatwo zamkn i które nigdy nie zamkn si do ko ca. I nic nie mog na to poradzi .

Poło yła r k na jego dłoni.

– Nie mog zdoby si na to, eby powiedzie , e ciesz si , e otworzyłam t teczk . Ale masz racj , przez to jestem bli ej tego wszystkiego. Chyba b dzie mi l ej, je li powiesz mi, co powiedział ci szeryf Dearborne i koroner. Domysły s gorsze ni rzeczywisto .

– Nie ma wiele do opowiadania – ale opu cił gazet na kolana. – Wiemy, e w sylwestra DiCarlo przyleciał na Wybrze e, wynaj ł samochód, zarezerwował pokój w hotelu. Nie spał w nim tamtej nocy, nie zwrócił samochodu. Tego jeszcze nam nie zgłoszono. Zdaje si , e rezerwował te lot do Cancun, ale nie wykorzystał biletu.

– Wi c nie zamierzał wraca szybko na Wschód – nie cofn ła r ki, usiłuj c my le . – My lisz, e wyjechał, eby spotka si z Finleyem?

– Je li tak, nie zostawił po sobie adnego ladu. Nie przyszedł tego dnia do pracy. Je li b dziemy trzymali si teorii, e DiCarlo pracował dla siebie, by mo e przydarzyło mu si co , kiedy opuszczał kraj. A mo e miał współlnika, mo e si pokłócili.

– Ciesz si , e sama prowadz interes – mrukn ła Dora.

– Albo wersja numer trzy, moja ulubiona, pracował dla Finleya, wrócił, aby zdać mi raport, a Finley zabił go albo kazał zabić.

– Ale dlaczego? DiCarlo nie skończył zadania, prawda? Nadal mam ten obraz.

– Być może właśnie nie dlatego – wzruszył ramionami Jed. – Ale nie mamy żadnego namacalnego dowodu na czyjeś czoło Finleya z którymś z tych punktów. Wiemy, że DiCarlo przybył do Los Angeles i tu pojechał z nami. Zamordowano go gdzieś między trzydziestym pierwszym grudnia a pierwszym stycznia, jak twierdzi koroner. Zginął od pojedynczego strzału w brzuch, a potem, siedząc po braku krwi na brezentach, kilka godzin później został przeniesiony na inne miejsce. Ktoś miał tyle przytomności, aby zabrać mi portfel i utrudnić identyfikację zwłok, gdyby zostały znalezione. Siniaki na twarzy powstały kilka dni wcześniej. Sam je zrobiłem. Inne obrażenia powstały po śmierci.

Nie mógł jej powiedzieć, że DiCarlo miał przestrelone kolana.

– Rozumiem – przełknęła łyk piwa imbirowego niczym lekarstwo, które miało sprawić, że jej głos będzie brzmiał czysto i pewnie. – Nie było żadnych śladów walki, prawda?

– Zgadza się, panno Drew – uśmiechnął się jej ręką z aprobatą. Próbowaliśmy walczyć i podziwialiśmy ją za to. – Ostatni posiłek denata był prawdziwie ucztą, na którą składała się baba ant, znaczna ilość wina i maliny z białą czekoladą.

Nie, pomyślała Dora, czując skurcz w odczeka, zdecydowanie nie mam apetytu.

– Można by przypuszczać – zaczęła, ukradkiem przyciskając dłoń do wstrząsanego spazmami odczeka – że nieboszczyk był przed śmiercią do odprężony.

– W banie takiego posiłku w stanie zdenerwowania wymagałoby solidnego zacięcia. Dearborne ma pełne ręce roboty, sprawdzajcie menu okolicznych restauracji. W brezentach zaplatały się jakieś białe kamyki i nawóz. Coś takiego, jak na grządkach z kwiatami i wokół ozdobnych krzewów.

– Ciekawe, ile grzdek jest w Los Angeles.

– Mówiłem ci, że praca policjanta jest nudna. Czy Finley ma ogród?

– Rozległe – wydała z siebie trochę westchnienie. – Jest z nich bardzo dumny i czuł się zawiedziony, że niebo było zachmurzone i nie mógł mi ich pokazać w świetle gwiazd. Podziwiałam ich czując się z solarium – znowu poblądła, odwracając się do Jeda, ale jej głos zachował pewny ton – były bardzo schludne i dobrze utrzymane, dobrze nawozone i poprzecinane w składowych kamieniach z białego wiatru.

– Masz niezłe oko, Conroy – pochylił się i pocałował ją. – Teraz zamknij je na chwilę.

– Chyba lepiej pójść do telewizji – sięgnęła do rękopisu słuchawki. – Co mieli dać?

– Nowy film z Costnerem – Jed właśnie czytał jej słuchawki do sieci. – Zdaje się, że gra policjanta.

– Cudownie – Dora westchnęła, założyła słuchawki i uciekła od rzeczywistości.

* * *

Winesap wszedł do gabinetu Finleya w Los Angeles. Nie mieli ludzie, niczym małe pieski, czuć wyczuwać nastrojów swojego pana po zapachu powietrza. Winesap zaczął wykręcać sobie palce.

– Wzywał mnie pan, proszę pana?

Finley, nie odwracając oczu od dokumentów, gestem nakazał Winesapowi wejść do rodka. Jednym pociągającym piórami zatwierdził zmiany w kontrakcie, pozbawiając pracy niemal dwanaście osób. Kiedy wyprostował się, jego oczy nie wyrażały niczego.

– Jak długo pracujesz dla mnie, Ablu?

– Ja, proszę pana? – Winesap obliznął usta. – Już osiem lat.

– Osiem lat – Finley skinął powoli głową i złożył razem wskazujące palce, dotykając nimi dolnej wargi. – To długo. Jeste

zadowolony z tej pracy, Ablu? Uważasz, że jesteś dobrze traktowany i dobrze wynagradzany?

– O tak, proszę pana. W pełni ci, proszę pana. Jest pan bardzo hojny.

– Cieszę się, że to słyszysz. A jeżeli chodzi o sprawiedliwość, Ablu. Czy uważasz, że jestem sprawiedliwy?

– Zawsze – nie mógł się powstrzymać. Wizja skrwawionego ciała DiCarla przemknęła mu przez jego głowę. – Bezwarunkowo, proszę pana.

– Myślałem dziś o tobie, Ablu. Przez cały rano i popołudnie. A kiedy tak myślałem, okazało się, że przez te... osiem lat, powiadasz?

– Tak, osiem – Winesap zaczął czuć się jak pajak obezwładniony jadłem szerszenia. – Osiem lat.

– A przez te osiem lat – cięgnął Finley – dałem mi bardzo niewiele powodów, bym mógł krytykować twoją pracę. Jesteś szybki, jesteś skuteczny, jesteś, wiesz, wiesz, że ci przypadków uważamy.

– Dziękuję panu – ale do Winesapa dotarły tylko słowa „wiesz, że ci przypadków”. Poczuli strach. – Robi wszystko, co w mojej mocy.

– Wierz w to. To dlatego dziś poczułem się tak zawiedziony. Wierz, że robisz wszystko, co w twojej mocy, i widzisz; że to za mało.

– Tak, proszę pana? – głos Winesapa przeszedł w pisk.

– Czy zdołałem może znaleźć w swoim pełnym zajęciu odrobinę czasu na to, by przeczytać poranną gazetę?

– Rzuciłem okiem na tytuły – powiedział przepraszając co Winesap. – Ostatnio namnożyło mi się zajęcie.

– Zawsze powinno się znajdować czas na zapoznanie się z aktualnościami – Finley dziobił palcem w gazetę na biurku, nie odrywając płynących oczu od twarzy Winesapa – takimi, jak te tutaj. Przeczytaj mi je teraz, Ablu, z łaski swojej.

– Tak, prosz pana – Winesap podszedł do biurka, dr c z przera enia i wzi ł gazet . Artykuł, o którym mówił Finley, był zakre lony kilkakrotnie atramentem czerwonym niczym krew.

– Autostopowicze odkrywaj zwłoki – zacz ł i poczuł, e jego wn trzno ci ciskaj si bole nie. – Kil... kilka dni temu znaleziono w w woze zwło... zwłoki...

Finley wyrwał mu gazet .

– Głos ci nieco osłabł, Ablu. Pozwól, e ci wyr cz – zacz ł czyta suchy raport melodyjnym, ciepłym głosem. Notatka ko czyła si standardow wzmiank o prowadzonym przez policj dochodzeniu.

– Oczywiście – dodał, wygładzaj c le c na biurku gazet – b dziemy w stanie zidentyfikowa ciało, prawda, Ablu?

– Prosz pana... za pozwoleniem... Ciało zostało znalezione wiele mil st d. Nikt nie powinien... – skulił si , spu cił oczy.

– Spodziewałem si po tobie czego lepszego, Ablu. To moja wina. Nie byłe uwa ny – powiedział, starannie oddzielaj c ka de słowo. – Oczywiście wcze niej czy pó niej zidentyfikuj to ciało. A ja b d zmuszony do udzielenia odpowiedzi na par pyta . Naturalnie jestem przekonany, e dam sobie rad z policj , ale to dla mnie niewygodne, Ablu. Naprawd uwa am, e powiniene był mi oszcz dzi tej niewygody.

– Tak, prosz pana. Jest mi strasznie przykro. – Winesap wspomniął koszmarń podró w góry, ohydń drog , po której włókił zwłoki. Skulił si . – Nie potrafi wyrazi , jak bardzo.

– Nie, nie, jestem pewien, e potrafisz. Ale poniewa przyjrzałem si twojej pracy bardzo uwa nie i nie dostrzegłem w niej ra cych uchybie , spróbuj przymkn na to oczy. Wyjedziesz na par dni na Wschodnie Wybrze e, Ablu. Ufam, e w przypadku panny Conroy oka esz wi cej finezji ni w przypadku pana DiCarlo.

– Tak, prosz pana. Dzi kuj . B d ... uwa ny.

– Jestem tego pewien – Finley posłał Winesapowi u miech, który nasun ł mu skojarzenie z głodnym rekinem. – Zapomnimy

o tym nieszczęsnym potkniesz cię. Nie sądzę, byśmy musieli do tego wracać.

– To bardzo wspaniałomyślnie z pańskiej strony, proszę pana – Winesap zaczął ostro nie wycofywać się z pokoju. – Dziękuję panu.

– Ach, i jeszcze jedno, Ablu – Finley patrzył z rozkoszą, jak Winesap zastyga w pół ruchu i kurczy się. – Uwaga, że w tych okolicznościach powinniśmy mi zwrócić moje rzeczy.

– Och – twarz Winesapa wyduła się. – Oczywiście.

Finley wygodnie rozparł się na krześle i – w znacznie lepszym nastroju – przyjrzał się, jak Winesap zamyka za sobą z szacunkiem drzwi gabinetu. Odkład przeczytał artykuł, nie mógł uspokoić myśli. Teraz opanował się, stosując parę wdechów oddechowych. Na skołataną duszę nie ma nic lepszego niż joga.

Powinienem baczniej przyglądać się Ablowi, pomyślał ze smutkiem. O wiele bardziej bacznie. Jeśli cała ta awantura z DiCarlem zacznie nabierać rozgłosu, trzeba będzie przeznaczyć starego wiernego Abła na karmienie dla wilków, jak każda inną padlinę.

Ale miał szczerą nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Nie martwił się o siebie. Kiedy ma się do pieniędzy i władzy, pomyślał, jest się poza zasięgiem prawa.

Policja go nie tknie. Nikt go nie tknie. A jeśli za sprawą jakiegoś pomniejszego cudu podejść zbyt blisko niego, zawsze znajdzie jakieś drobne drapieżniki – jak choćby Abel – które będzie mógł na rzucić im na przynętę.

Ale był przecie człowiekiem skłonnym do wybaczenia. Finley wyjął z ubrania miecz etui, które wziął z biurka i przesunął po nim pieszczotliwie dłoń. Nadzwyczaj skłonnym, czasem nawet do przesady.

Jeśli tylko Abel wypełni starannie jego rozkazy i unieszkodliwi pannę Conroy, nie będzie trzeba go zabijać. Nie będzie takiej potrzeby.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Jak dobrze odda si zwykłym, codziennym obowi zkom. Dora rzuciła si w ich wir, usiłuj c zapomnie o nadal stoj cym przed ni spotkaniem z panem Petroyem.

Nie uwa ała si dot d za tak zwyczajn i nieciekaw , by yczy sobie przygód. Ale prawda wygl dała tak, e chciała znów wie spokojne ycie. Wi cej, chciała czu znowu nud .

Przynajmniej Jed nie zauwa ył, e brakuje jej apetytu. Była pewna, e nie uszłoby to jego uwagi, gdyby nie kryła si z tym tak dobrze.

To samo dotyczyło kobiecych sztuczek z makija em. Jej oczy mogłyby by podbite cieniami, cera biała i zm czona, ale przy pomocy kremów, podkładów i pudrów udało si jej wykona mask , bardzo zbli on do oryginału.

Miała nadziej , e do czwartku wszystko b dzie trzymało si kupy.

Potarła bol ce miejsce mi dzy oczami. Tego bólu nie potrafiły usun niezliczone ilo ci aspiryny. Drzwi sklepu otworzyły si . Nic nie mogło sprawi Dorze wi kszej rado ci ni u miechni ta i nieco podchmielona twarz ojca.

– Izzy, moja najśłodsza!

– Tatusiu, najukocha szy! – wyszła z za kontuaru, by go pocałowa , po czym nagle chwyciła go w serdeczny u cisk i wtuliła twarz w jego rami .

Odwzajemnił jej u cisk, cho jego oczy zamglity si trosk , u miechn ł si , kiedy wypu cił j z obj .

– Samiusie ka, moja dziewczynko?

– Ju nie. Trudno mi si dzisiaj pozbiera . Chcesz kawy?

– Pół fili anki.

Przygl dał si jej z uwag , kiedy podchodziła do dzbanka z kaw i nalewała j do fili anek. Znał swoje dzieci, ich twarze, barw ich głosów, subtelno j zyka ich ciał. Isadora co ukrywa, pomy lał. Wkrótce dowiem si co.

– Twoja matka wysłała mnie w charakterze ambasadora – wził podawaną filiżankę, po czym wyjął małą buteleczkę, z której odmierzył solidną porcję whisky. – Mam przekazać tobie i twojemu chłopcu zaproszenie na koktajl i zebranie towarzyskie.

– Je li chodzi o Jeda, chyba zaprotestowałby temu określeniu, ale zaproszenia by nie odrzucił. Kiedy?

– W czwartek wieczorem – uniósł brew, ujrzawszy cię na jej twarzy. – Oczywiście przed spektaklem.

– Oczywiście cie. Z przyjemnością cię go przyprowadzę.

– Sam przekazał mu zaproszenie. Jest na gorze?

– Nie, chyba wyszedł – przełknął łyk kawy, z ulgą przyjmując fakt, że kilka osób oglądających wystawę, minęło jej sklep nie wchodząc do środka. – Je li chcesz, możesz wpaść do niego później.

Quentin przygłaskał się, jak jego córka bawi się cukierniczkami.

– Posprzeczała ci się?

– My się nie sprzeczymy – zdobyła się na uśmiech. – Wałczyliśmy czasem ze sobą, ale sprzeczki nie należą do naszego rytuału. – Wziła ciasteczko, ale odłożyła je po chwili. – Wiesz co, jestem dziś trochę niespokojna. Masz ochotę na spacer?

– Zapytaj o kobiety? Zawsze.

– Weźmiesz płaszcz.

Quentin zmrużył oczy w zamyśleniu, zastanawiając się, czy to nie wybrany przez niego partner dla jego dziewczynki jest przyczyną jej rozstroju nerwowego. Ale kiedy wróciła, zapinając płaszcz, rozpromienił się w uśmiechu.

– Może powinniśmy wybrać się na New Market i rzucić okiem na parę wystaw?

– Mój ty bohaterze – Dora zawiesiła na drzwiczkach tabliczkę „ZAMKNIĘTE” i wzięła ojca pod rękę.

* * *

Kupił jej elki, a ona nie mogła ich nie zje. Stali na zewn trz, ciesz c si zimnem i brukiem ulicy, podziwiają c kosmopolityczny rozmach wystaw. Dora wiedziała, e poczuje si lepiej, kiedy zacznie zastanawia si nad kupnem puzderka z Limoges lub kaszmirowego swetra.

Wiatr wistał w bezlistnych gał ziach drzew, kiedy przysiedli na ławce, by wypić kolejną kawę. W filiżance Quentina znowu pojawiła się whisky.

– Mog ci co kupić? – spytał. – Zawsze u mniechała się, kiedy udawało ci się mnie naciągnąć na jakieś wiedełko.

– Zawsze byłam interesowna, co? – wsparła się po przyjacielsku na jego ramieniu, rozbawiona samą sobą.

– Zawsze kochała piękne przedmioty, a tak je doceniała ich wartość. To dar, Izzy, nie wada.

Poczuła pod powiekami palące, niepotrzebne łzy.

– Chyba zaczynam kaprysić. Myślałam, że kaprysy są specjalnie dla Willa.

– Wszystkie moje dzieci są cudownie kapryśne – oznajmił Quentin z zapalem. – W twoich żyłach płynie krew aktorów. Artyści nie mają łatwego usposobienia, rozumiesz. Nie powinniśmy go mieć.

– A policjanci?

Przez chwilę rozkoszował się drinkiem.

– Policję postrzegam jako zawód artystyczny. Niektórzy mogliby określić go raczej jako sztukę. Ale zwróćmy uwagę na wycucie rytmu, choreografię, dramatyzm. Tak, to na pewno sztuka – objął ją czule. Powiedz mi, co czujesz, Izzy.

Mogła to zrobić. Zawsze mogła zwierzyć się mu ze swoich uczuć, nie bojąc się, że ją skrytykuje lub potępi.

– Tak go kocham. Chętnie byłby z nim szczęśliwa. I prawie jestem, przeważnie, ale on nie ufa takim uczuciom. Nie ma z nimi żadnego do wiadczenia. Jego rodzice nie dali mu tego, co ty i mama daliście nam.

Westchnęła i obrzuciła wzrokiem młodą matkę pchając wózek po bruku. Berber w wózku miał policzki czerwone jak

ró e i miał si ęło no. Poczła ostre szarpni cie, b d ce dla niej zarazem zaskoczeniem, jak i przykrym odkryciem. Chc tego, zdała sobie spraw . Chc godzinami spacerowa z moim dzieckiem w sło cu i u miecha si .

– Chyba nie mo emy da sobie nawzajem tego, czego nam potrzeba – powiedziała ostro nie.

– Najpierw musicie zrozumie , jakie s wasze potrzeby. Spojrzała t sknie za oddalaj c si matk z dzieckiem.

– Zdaje si , e to ja powinnam co zrobi . Jak mo na wymaga , eby człowiek, którego dzieci stwo było studium nieszcz cia, zrobił pierwszy krok w kierunku stworzenia własnej rodziny? Byłoby nieuczciwo ci , gdybym go zmuszała do zrobienia tego kroku i gdybym sama nie chciała go zrobi .

– S dzisz, e tylko ci, którzy wychowali si w szcz liwej rodzinie, mog zało y szcz liw rodzin ?

– Nie wiem.

– Babka Jeda uwa a, e zrobił ju pierwszy krok i zastanawia si nad nast pnym.

– Nie s dz ... – zamilkła i spojrzała ze zmarszczonymi brwiami na ojca. – Jego babka? Rozmawiała z ni ?

– Ria, twoja matka i ja sp dzili my bardzo miło czas, kiedy byli cie w Kalifornii. Cudowna kobieta – dodał. – Jest tob oczarowana.

Oczy Dory zw żyły si .

– Zdaje mi si , e musz ci przypomnie , e jestem ju zupełnie dorosła. Podobnie Jed. Nie s dz , eby cie mieli prawo rozprawia o nas jak o niedorozwini tych dzieciach.

– Ale wy jeste cie naszymi dzie mi – u miechn ł si łagodnie i pogładził jej zarumieniony policzek. – Kiedy sama b dziesz miała dzieci, zrozumiesz, e miło nigdy nie ga nie, tak jak i troska, duma i ch mieszania si w sprawy dziecka. – U miechn ł si do niej – kocham ci , Izzy i bardzo w ciebie wierz – uszczypn ł j w podbródek. – A teraz powiedz mi, co jeszcze ci dr czy?

– Nie mog – i bardzo tego ałowała. – Powiem ci tylko, e za par dni wszystko powinno si rozwi za .

– Nie b d si wtr ca – powiedział, przynajmniej nie wtedy, kiedy tak czujnie stoisz na stra y swoich tajemnic. – Ale je li wkrótce nie zaczniesz wygl da na szcz liwsz , napuszcz na ciebie twoj matk .

– Ju si u miecham – wykrzywiła twarz w u miechu. – Zobacz, sama rado .

Wstał, zadowolony. Wyrzucił pusty kubek do kosza i wyci gn ł do niej r k .

– Chod my na zakupy.

* * *

– Jest jak kł bek nerwów – Jed spotkał Brenta na sali gimnastycznej, co pozwoliło mu rozładowa napi cie przy boksowaniu w worek bokserski. – Nie przyzna si , ale wewn trz jest cała spi ta.

Jed, niewiele mniej spi ty, zaatakował worek seri ostrych ciosów. Brent, któremu przypadło w udziale trzymanie worka, st kn ł z wysiłku.

– A ja jej nie pomagam.

– Działamy tak szybko, jak to tylko mo liwe – Brent poczuł pot ciekaj cy mu pod koszul i po ałował, e nie umówił si z Jedem w jakiej przytulnej kawiarence. – Po czwartkowym spotkaniu powinni my zacz trzyma j z dala od tego.

– Nie o to chodzi – Jed odsun ł si od worka w stron wiatła, co sprawiło Brentowi niewypowiedzian ulg . Po chwili zmru ył oczy i jednym ciosem sprawił, e worek zmienił si w wiruj c , zamazan plam . – Ona mnie kocha.

Brent zdj ł okulary, by przetrze zaporowane szkła.

– I to ma by co nowego?

– Potrzeba jej wi cej, ni mog jej da . Powinna mie wi cej.

– By mo e. Skar y si ?

– Nie – Jed strzepliwy pot z powiek i nadal nie przestawał boksować .

– To się odpręż i ciesz się przygodą .

Jed odwrócił się do niego, tak gwałtownie, że Brent uchylił się czekając na cios.

– To nie jest żadna pieprzona przygoda. Nie z Dorą . To jest...

– przerwał, zwrócił cię dostrzegając chytry uśmiech rozlewający się na twarzy Brenta. – Przestań mnie podpuszczać – powiedział bardzo łagodnie.

– Ja tylko sonduję sytuację , kapitanie – kiedy Jed wyciągnął ku niemu rękę, Brent zaczął posłusznie rozsznurowywać jego rękawice. – A jeżeli o tym mowa, nieoficjalna wersja jest taka, że od pierwszego znowu dowodzisz. Goldman się w ciebie ciekaw.

– Poczujesz się jeszcze lepiej, kiedy podpiszesz jego przeniesienie.

– Och, pozwól mi ucałować twoje stopy. Jed z uśmiechem rozmasował sobie piętę .

– W poniedziałek oznajmimy to oficjalnie. A jeżeli spróbujesz mnie tutaj pocałować , koleś , będzie musiał cię znokautować – zaczął ocierać twarz rękawiczkami. – Na razie to Goldman tu rządzi. Wszystko gotowe na czwartek?

– W sklepie mamy dwóch chłopców. Kolejna para czeka na zewnątrz, a furgonetka z aparaturą podsłuchową stoi za rogiem. Jeżeli Dora zastosuje się do instrukcji, usłyszymy każde słowo.

– Dora się zastosuje.

* * *

Godzina spędzona z ojcem wyzwoliła w Dorze tęsknotę za rodziną . Zaspokoili ją , zamykając sklep o godzinę wcześniej i spędzając wieczór w domu Lei. Gwar zatłoczonego pokoju ukoili jej duszę .

– Zdaje się , że Richie coraz lepiej gra na trąbce – zauważyła Dora.

Lea przechyliła głowę i wsłuchiwała się z dumą i zarazem rezygnacją w ochryple fałszywe.

– Za trzy tygodnie odbędzie się koncert zespołu. Zarezerwowałam dla ciebie miejsce w pierwszym rzędzie.

– Niech ci Bóg błogosławi – z sąsiedniego pokoju dobiegła ich seria stłumionych łomotów, które miały wyobrazić, przy odrobinie wyobraźni, w ciekły szary kawalerii i znakomity krzyk rebeliantów.

– Potrzebowałam tego – Dora opadła z zadowoleniem na stołek przy blacie kuchennym.

– Z radością zostawię ci tu na parę godzin. Rządź nimi – Lea dołączyła kolejną dozę burgunda do gulaszu perkoczącego na ogniu.

– Nie potrzebuję aż tyle – Dora łknęła pospiesznie odrobinę wina. – Nie. Dzisiejsze popołudnie spędziłam z tatą i zaczął mnie zastanawiać, co by było, gdybym nie miała go pod ręką. To wszystko.

– Tu się coś dzieje – Lea zmarszczyła brwi i puknęła łokciem o krawędź garnka, po czym odłożyła ją na podstawkę na łokciu w kształcie kaczki. – Masz te zmarszczki między brwiami. I jesteś blada. Zawsze blednieś, kiedy się czymś martwisz.

– Ty też byś się martwiła, gdyby musiała szukać nowego księgowego tuż przed zrobieniem rocznego bilansu.

– Nie kupuj – Lea podeszła bliżej, zaglądając jej w twarz. – Krzycz, Dory, i nie chodzi tu o interesy. Jeśli mi nie powiesz, napuszczają na ciebie matę.

– Dlaczego wszyscy straszycie mnie matę? – chciała wiedzieć Dora. – Jestem wytrwałą z równowagi, zadowolona? Moje życie zaczyna robić jakieś dziwne wolty. Chciałabym, żeby moja rodzina uszanowała moją prywatność i pozwoliła mi samej radzić sobie z moimi problemami.

– W porządku. Przepraszam. Naprawdę.

Dora przesunęła dłoń po twarzy i odetchnęła głębiej. Nie, to ja przepraszam. Nie powinnam na ciebie napadać. Chyba ci głębiej odreagowuję podróż. Może wrócę do domu, wezmę gorczycę i przejdę dwadzieścia godzin.

– Je li jutro nie b dziesz si czuła lepiej, przyjd wcze niej do pracy.

– Dzi ki. Powiadomi ci – ju podnosiła si ze stoika, kiedy kto zapukał do drzwi.

– Cze – do rodka zajrzała Mary Pat. – Przyszłam odebra moje potwory – przez chwil słuchała krzyków i porykiwa tr bki. – Ach, ten tupot małych nó ek. Cudowny, prawda?

– Siadaj – zaprosiła j Lea. – Chyba, e si spieszysz.

– Ch tnie – usiadła z westchnieniem obok Dory. – Od o miu godzin jestem na nogach. Mieli my dwa nagle wypadki, jeden po drugim – odetchn ła gł boko. – Bo e, jak ci si udaje wychowywa dzieci, pracowa i jeszcze tak wspaniale gotowa ?

– Mam wyrozumiał szefow – Lea nalała z u miechem kieliszek wina dla Mary Pat. – Dała mi dzie wolnego.

– A skoro mówimy o pracy, wietne s te wiadomo ci o Jedzie, prawda?

– Jakie wiadomo ci?

– e wraca do pracy – zamkn ła oczy, pomasowała sobie kark i nie zauwa yła zdezorientowanego spojrzenia Dory. – Brent skacze z rado ci. Nienawidził tego Goldmana, rzecz jasna. Kto go lubił? Ale chodzi o co wi cej. Policja potrzebuje Jeda, a Jed potrzebuje policji. Teraz, skoro ju zdecydował si wróci , stało si jasne, e ju doszedł z sob do ładu. Nie s dz , eby zechciał zaczeka do pierwszego z przej ciem dowodzenia. W przeciwnym razie... – jedno spojrzenie na twarz Dory kazało Mary Pat urwa w pół słowa. – A niech to. Czy bym co sknociła? Brent powiedział, e w poniedziałek podaj to do ogólnej wiadomo ci, wi c my łałam, e ju wiesz.

– Nie, Jed nie wspomniął mi o tym – zmusiła si do u miechu, ale rado nie pojawiła si w jej oczach. – Ale to dobre wie ci. Nie, wspaniałe. Jestem pewna, e tego wła nie mu potrzeba. Od kiedy o tym wiesz?

– Od paru dni – co za głupota, pomy łała Mary Pat, nie wiedz c, czy mówi o sobie czy o Jedzie. – Na pewno chcial ci o

tym powiedzie . Ja tylko, eee... – ale nie mogła znale adnego prawdopodobnego usprawiedliwienia. – Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Naprawd miło mi to usłysze – Dora wstała i zacz ła mechanicznie wkłada płaszcz. – Chyba musz lecie .

– Zosta na kolacj – powiedziała szybko Lea. – Jest mnóstwo jedzenia.

– Nie, musz jeszcze co załatwi . Pozdrów Brenta – zwróciła si do Mary Pat.

– Jasne – Kiedy drzwi zamkn ły si za Dor , Mary Pat oparła czoło na pi ciach. – Czuj si , jakbym przejechała szczeniaka. Dlaczego jej nie powiedział, do cholery?

– Bo jest idiot – głos Lei był pełen dzikiej furii. – Wszyscy m czy ni to idioci.

– To fakt – zgodziła si Mary Pat. – Ale ten tutaj jest wyj tkowym idiot . W dodatku rozmy lnym idiot . Leo, znam Jeda od dawna i wiem, e nie jest taki. Ostro ny, ale nie zimny.

– Mo e przestał zauwa a ró nic .

* * *

O drugiej w nocy do głowy mog przyj ró ne dziwne my li. Zwłaszcza, je li jest si m czyzn czekaj cym na kobiet . Zaczynaj si domysły, rusza wyobra nia, pojawia si zmartwienie i pot. Jed chodził po swoim salonie, wielkimi krokami przemierzał przestrze mi dzy otwartymi drzwiami a ko cem korytarza.

Jak to robił ju niezliczone razy podczas ostatnich czterech godzin, podszedł do tylnych drzwi i wyrztał na podjazd. Stał na nim tylko jego samochód, samotny jak i on. Ani ladu Dory.

Gdzie ona si podziewa, do pioruna? Wrócił do swojego mieszkania i spojrztał na zegar, eby porówna czas z tym, który pokazywał jego zegarek. Minuta po drugiej. Je li nie wróci za dziesi minut, obiecał sobie, obdzwoni wszystkie szpitale i powiadomi policj .

Wbił wzrok w telefon. Dopóki nie podnosił słuchawki, nie zdawał sobie sprawy, że poczuł mu się dłoń. Zaklął, rzucił słuchawkę na widelki. Nie, nie będzie dzwonił do szpitali. Nawet nie będzie o tym myślał.

Ale gdzie ona się podziwia, do cholery? Niech to szlag, co może na robić o drugiej w nocy?

Znowu sięgnął po telefon i zatrzymał się, kiedy nowa myśl przeszła go niczym błysk. Może się na niego czeka. Była to bezpieczna, a nawet wygodna myśl, więc uczenieli się jej z całych sił. Czy to tak właśnie nie się czuła, kiedy wracał późno, bez słowa wyjaśnienia? Czy zrobiła to po to, żeby mu pokazać, jak ciemni jest w ciszy, nie wiedząc, gdzie jest osoba, która coś dla nas znaczy?

Nie ujdzie jej to na sucho, postanowił. Zapłaci mi za to jak cholera. Ale kiedy znowu sięgnął po słuchawkę, usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych.

Znalazł się przy nich szybciej, niż zdążyła je otworzyć.

– Gdzie była, do cholery? – wyrwał mu się okrzyk, pełen troski i wściekłości. – Wiesz, która godzina?

– Wiem – zamknęła za sobą drzwi z wielką ostrością i obróciła w nich klucz. – Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że ogłoszono godzinę policyjną.

Przeszła obok niego tylko dlatego, że zamarał jak sparaliżowany. Ale szybko się otrząsnął. Złapał ją przy drzwiach jej mieszkania i obrócił ku sobie gwałtownie.

– Chwilunia, Conroy. Zapomnijmy na razie o sprawach osobistych. Fakty są takie, że jesteś w niebezpieczeństwie, a to, że wymknęła się spod naszej opieki na pół nocy jest dowodem niewiarygodnego braku odpowiedzialności.

– Jestem odpowiedzialna przed samą sobą i za siebie – przekrzyknęła gwałtownie klucz w drzwiach i otworzyła drzwi szarpnięciem. – I jak widzisz, nic mi nie jest.

Uderzył dłońmi w drzwi, zanim zdążyła je zamknąć.

– Nie miała prawa...

– Nie mów mi o prawach – przerwała mu, bardzo chłodna, bardzo opanowana. – Sp dziłam ten wieczór w taki sposób, na jaki miałam ochotę .

W ciepło i uraza zagotowały się w nim.

– To znaczy jak?

– Samotnie – zdjęła płaszcz i powiesiła go w szafie.

– Zrobiła to, żeby się na mnie odegrała, tak?

– Nie – przeszła obok niego w kierunku kuchni i nalała sobie szklankę wody. – Zrobiłam to, bo miałam na to ochotę . Przykro mi, jeśli się martwiłeś . Nie przypuszczałam, że będziesz się martwić .

– Nie przypuszczała – dotknij ty do swojego, wyrwał jej szklankę z ręki i rzucił ją do zlewu. Rozprysnęła się na drobne kawałeczki. – Pierdolisz, Conroy. Wiedziała, że będzie odchodził od zmysłów. Już chciałem dzwonić do tego pieprzonego 997.

– Jakże to interesujące, że tak łatwo ci przychodzi używanie tych policyjnych terminów. Dobrze, że wracasz do pracy, Skimmerhorn. Bardzo kiepski z ciebie cywil – jej oczy były pozbawione wyrazu, tak jak jej głos. – Czy regulamin wymaga złożenia gratulacji, kapitanie, czy tylko najlepszych życzeń? – Kiedy nie odpowiedział, skinęła głową – no cóż, mogą ci ofiarować i to, i to.

– Do przyszłego tygodnia to jeszcze nie potwierdzone oficjalnie – powiedział ostro nie, przyglądając się jej. Nigdy dotąd nie widział, żeby jej oczy były tak zimne, tak obojętne. – Jak się dowiedziała?

– Czy to ważne? Chodzi o to, że nie dowiedziałam się tego od ciebie. Przepraszam – precyzyjnie obok niego i poszła do salonu.

Zamknęła na chwilę oczy i przeklęła się za głupotę .

– Wić jesteś wkurzona. W porządku. Ale...

– Nie – przerwała. – Nic nie jest w porządku. I nie jestem wkurzona – ponieważ była zmęczona, tak nieznacznie zmęczona, poddała się i usiadła na poręcz krzesła. – Moja powieść, e

zostałam o wiecna. Mo na nawet powiedzie , e jestem zdruzgotana, ale nie, nie jestem zła.

Spokojna rezygnacja brzmi ca w jej głosie, poruszyła go.

– Doro, nie zrobiłem tego, eby ci zrani .

– Wiem. Wła nie dlatego uwa am, e zostałam o wiecna. Nie powiedziały mi, poniewa nie uwa ały , eby miało to by moj spraw . A wła ciwie nale ałoby powiedzie , e nie chciały , eby to było moj spraw . To wielka decyzja w twoim yciu. W twoim yciu – powtórzyła, podkre laj c te słowa z bolesnym nat eniem – nie w moim. Wi c dlaczego miałyby zawraca sobie głow i mówi mi o tym?

Oddalała si od niego. Stał o dwa kroki od niej i widział, jak odległo mi dzy nimi ro nie gwałtownie. Poczł strach.

– Mówisz to tak, jakbym krył si z tym przed tob . Chciałem to doprowadzi do ko ca, to wszystko. Nie s dziłem, e zrozumiesz.

– Nie dały mi nawet szansy, Jed – powiedziała cicho. – S dzisz, e mogłam czu do ciebie to, co czułam i nie rozumie , jak wa n rzecz jest dla ciebie twoja praca?

To, e u yła czasu przeszłego, sprawiło, e poczł nagły dreszcz paniki.

– To nie miało nic wspólnego z tob – kiedy tylko to powiedział, zrozumiał, e le dobrał słowa.

Jej oczy pozostały suche, lecz wypełnił je ból.

– Nie my lałem o tym w taki sposób.

– Chyba my lały . Chciałabym móc ci o to nie obwinia , ale nie mog . Wiem, e nie przychodziło ci to łatwo, ale od dawna podejmujesz własne decyzje. Zdecydowały , e nie zaakceptujesz tego, co czuj do ciebie i e nie pozwolisz sobie na odwzajemnienie moich uczu . I za to musz ci obwinia .

Jej głos nie dr ał, oczy patrzyły spokojnie, ale dłonie, trzymane na kolanach, zaciskały si konwulsyjnie.

– Za to musz ci wini , a tak e za to, e mnie ranisz. Mówiłam ci kiedy , e nie umiem znosi bólu i nie udaj , e mnie nie boli, kiedy tak nie jest. Poniewa jeste pierwszym

m czyzn , który złamał mi serce, uwa am, e powiniene o tym wiedzie .

– Na miło bosk , Doro – ruszył ku niej, ale kiedy drgn ła i cofn ła si , musiał si zatrzyma .

– Nie chc , eby mnie teraz dotykał – powiedziała bardzo cicho, czuj c, e za chwil przestanie nad sob panowa . – Naprawd . Wreszcie zrozumiałam, e to było wszystko, co nas ł czyło. To upokarzaj ca wiadomo .

– To nieprawda – zacisn ł r ce w pi ci, ale ju wiedział, e nie przebije si przez mur, który sam wznosił mi dzy nimi. – Nadajesz temu niewła ciwe proporcje, Doro. To tylko praca.

– Chciałabym, eby tak było. Ale oboje wiemy, e to nieprawda. To najwa niejsza rzecz w twoim yciu. Zrezygnowałe z niej, eby si ukara , i przyjmujesz j z powrotem, bo bez niej nie mo esz by szcz liwy – i mo e nawet nie mo esz bez niej normalnie y . Ciesz si razem z tob . Naprawd .

– Nie potrzebuj tu analiz. Przesta by taka rozs dna.

– Jestem rozs dna, wierz mi. Na tyle rozs dna, e zamierzam to nam ułatwi . Pojutrze b dziesz wiedział ju wszystko o obrazie. Lub prawie wszystko. Wtedy przestaniesz mnie potrzebowa .

– Niech ci diabli, wiesz, e ci potrzebuj .

Wtedy jej oczy wypełniły si łzami. Zacz ła z nimi walczy niczym ze miertelnym wrogiem.

– Nie masz poj cia, co bym kiedy dała, eby usłysze to od ciebie. Tylko raz. eby spojrział na mnie i powiedział, e mnie potrzebujesz. Ale nie jestem odwa na, Jed, i musz si broni .

Nie, nie umiał si przebi przez ten mur, który zbudowała mi dzy nimi. Za to jej ból mógł tego dokona . Prze lizn ł si przez jak szczelin i uderzył w niego.

– Czego ty chcesz, Doro?

– Kiedy sko czymy z tym w czwartek, zamierzam zamkn sklep na par tygodni i pojecha gdzie , gdzie jest ciepło. Dzi ki

temu zyskasz du o czasu, eby znale inne mieszkanie i wyprowadzi si .

– To nie jest sposób.

– To jest mój sposób. I uważam, że to ja mogę o tym zdecydować. Przykro mi, ale nie chcę ci tu zająć, kiedy wróc .

– Tak po prostu?

– Tak.

– wietnie – miał swój dum . Znał już smak odrzucenia. A jeśli tym razem znowu poczuje w sobie pustkę, znajdzie coś, co ją wypełni. Ale nie będzie błagał. Niech go diabli, jeśli będzie.

– Wyjad natychmiast, jak tylko uda mi się z tym skończyć – ponieważ czuł ból, niewiarygodny ból, uciekł w zawodowstwo. – Jutro po zamknięciu pojawi się ekipa. Zamontuj podsłuch. Kiedy skończysz, omówimy plan.

– Dobrze. Jestem bardzo zmęczona. Chciałabym, żeby wyszedł. – Podeszła do drzwi, otworzyła je – proszę .

Dopóki jej nie minął, nie czuł, że rzeczywiście mu trzęsie . Kiedy usłyszał zamykające się za nim drzwi, doznał nieznośnego i trwałego uczucia, że właśnie zamknął się za nim najlepszy okres życia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĘTY

— **C**o się z wami dzieje? – spytał Brent, kiedy Jed pojawił się w furgonetce. Jed zignorował pytanie i wytyknął papierosa.

– Co z dwiema?

– Głośno i wyraźnie – Brent podał mu słuchawki, ale nie zamierzał skończyć . – Na tyle głośno i wyraźnie, by słyszeć, jak rozmawialiście z sobą niczym grzeczni nieznajomi. Nie sądzisz, że przydałoby się jej moralne wsparcie w miejsce wykładu na temat planu działania?

– Do – Jed wło ył słuchawki i spojrzał przez tylne okno furgonetki, by sprawdzi , czy wida z niego sklep. – Wszystko gotowe?

– Jasne – zapewnił go Brent. – Słuchaj, mo e poczułby si lepiej, gdyby czekał w rodku.

– Ona b dzie czuła si lepiej, je li b d na zewn trz. Słuchaj, ja zajmuj si swoimi sprawami – Jed zaci gn ł si gł boko. – A ty swoimi.

– Jeszcze tu nie rz dzisz, kapitanie – cie gniewu w głosie Brenta obudził w ciekło Jeda. Zanim zdołał zareagowa , rozległo si trzeszczenie radia.

– Do bazy, tu jedyńka. M czyzna odpowiadaj cy opisowi wła nie wysiadł z taksówki na rogu South i Front. Kieruje si na zachód.

– Oho, zaczyna si – mrukn ł Brent, ale Jed ju si gał po przeno ny telefon. Dora podniosła słuchawk po pierwszym sygnale.

– Dobry wieczór, tu Salon Dory.

– Jest za rogiem – powiedział sucho Jed. – Widzimy go.

– W porz dku. Tu wszystko jest gotowe.

– Trzymaj si , Conroy.

– Oczywiście.

– Doro... – ale poł czenie było ju przerwane. – Niech to diabli – powiedział cicho, bezradnie.

– Poradzi sobie, Jed.

– Tak. Ale nie wiem, czy ja sobie poradz – spojrzał na Winesapa, pospiesznie zmierzaj cego chodnikiem, kul cego si pod podmuchami wiatru. – Wła nie zrozumiałem, e j kocham.

Odsun ł my l o bolesnym pulsowaniu w karku i wło ył słuchawki w sam por , by usłysze dzwonek u drzwi, w których pojawił si Winesap.

– Dobry wieczór – Dora wyszła zza kontuaru i u miechn ła si swoim najlepszym zach caj cym u miechem. – Czym mog słu y ?

– Panna Conroy? Nazywam si Francis Petroy.

Jej u miech stał si szerszy.

– Tak, panie Petroy. Czekałam na pana. – Podeszła do drzwi i obróciła wisz c na nich tabliczk słowem „ZAMKNI TE” do ulicy. Szybko zerkn ła w stron furgonetki, po czym odwróciła wzrok. – Tak si ciesz , e pan przyszedł. Czy mog pocz stowa pana kaw ? Mo e herbat ?

– Nie chciałbym sprawia kłopotu.

– To aden kłopot. Zawsze trzymam tu kaw i herbat dla klientów. Dzi ki temu interesy staj si przyjemniejsze.

– Wobec tego poprosz o herbat – mo e to uspokoi jego oł dek lepiej, ni alka seltzer, który za ył godzin temu. – Pani sklep zrobił na mnie du e wra enie.

– Dzi kuj – z satysfakcj zauwa yła, e jej r ka trzymaj ca imbryk jest spokojna.

– Lubi otacza si pi knymi przedmiotami. Ale pan to rozumie.

– Przepraszam?

– Jako kolekcjoner dzieł sztuki – podała mu fili ank herbaty i u miechn ła si . – mietanki? Cytryny?

– Nie, nie, wystarczy, dzi kuj .

– Powiedział pan, e specjalizuje si w abstrakcjach, ale mo e zainteresuj pana te nostalgiczne plakaty? – wskazała mu znak firmowy Bugattiego tu obok dziewczyny Vargas.

– Tak, eee... Bardzo ładne. Naprawd bardzo ładne.

– Mam te par dobrych karykatur z „Vanity Fair”. S w drugiej sali. Spojrzała na niego znad fili anki herbaty.

– Ale jako miło nik abstrakcji b dzie pan bardziej zainteresowany... powiedzmy Bothbym lub Kippingdale’em – powiedziała, zmy laj c na poczekaniu nazwiska.

– Tak, oczywi cie. S wyj tkowo utalentowani – herbata skwa niała w jego oł dku jak ocet. Starał si , naprawd si starał dokładnie przestudiowa wiele ksi ek dotycz cych sztuki abstrakcyjnej. Ale wszystkie nazwiska i obrazy zamazywały si w jego pami ci. – Widzi pani, moja kolekcja nie jest zbyt

rozległa. To dlatego koncentruj się na malarzach zaczynaj cych zdobywa popularno .

– Takich jak Billingsly.

– Wła nie – potwierdził z westchnieniem ulgi. – Bardzo chciałbym zobaczyć ten obraz, panno Conroy.

– A wi c, przejdźmy do rzeczy – poprowadziła go do pokoju obok. Malarka – przyjaciółka Jeda znalazła czas, eby namalować kopi obrazu. Teraz stała ona w małym salonie niczym wyzywająca striptizerka wśród pruderyjnych dam.

– Ach – Winesap poczuł satysfakcję tak wielką, e omal się nie rozpląkał. Obraz jest rzeczywiście straszny, pomyślał. Kompletnie okropny, ale pasował do opisu.

– Taka miała, arogancka maniera – zauważyła Dora. – Naprawdę mnie ujęła.

– Tak, oczywiście. Dokładnie tego się spodziewałem – odegrał wielką scenę przyglądania się ładom pędzla. – Chciałbym, aby powiększył moją kolekcję .

– Jestem tego pewna – pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiało lekkie rozbawienie. – Czy zastanawiał się pan nad ceną, panie Petroy?

– Oczywiście – powiedział, siląc się na łagodność . – Ale wolałbym, eby pani najpierw podała swoją cenę . Potem będziemy negocjować .

– Z przyjemnością – Dora usiadła na fotelu i skrzyżowała nogi. – Możemy zacząć od dwustu pięćdziesięciu tysięcy?

Wsklepiła usta Winesapa otworzyły się szeroko. Z gardła wydarł mu się zdławiony dźwięk. Potem głos mu powrócił.

– Panno Conroy, panno Conroy, pani nie mówi poważnie.

– Ale tak. Wygląda pan, jakby musiał usiąść, panie Petroy – wskazała mu stołek z haftowanym siedzeniem. – A teraz pomówmy o otwarciu – zaczęła, kiedy osunął się na niego. – Nie ma pan bladego pojęcia o malarstwie, prawda?

– No, cóż – szarpnął w duszę go krawat. – Jak powiedziałem, jestem właśnie cicielem niewielkiej kolekcji.

– I skłamał pan, panie Petroy – powiedziała łagodnie. – Nie ma pan pojęcia o abstrakcji. Czy nie byłoby prościej i znacznie bardziej przyjemniej, gdyby my oboje przyznali się, że w tej chwili impresjonizm interesuje nas bardziej niż ekspresjonizm?

Przez chwilę nie rozumiał. Potem jego ziemista twarz pobladła.

– Pani wie o tym obrazie.

– Kupiłam go, prawda?

– Tak, ale przez pomyłkę – jego zabiegane oczy rozszerzyły się. – Nie? Wiedziała pani... wiedziała pani wszystko o Monecie? Pracowała pani z DiCarlem? Pani... pani jest oszustką – oskarżył ją – ale nie.

Dora powstrzymała chichot i pochyliła się ku niemu.

– Nie ma potrzeby tak się obrażać. Przecież to pan przysłał tu DiCarla, prawda?

– To był jego błęd – Winesap rozłożył ręce z obrzydzeniem. – Cały ten bałagan to jego wina. Nie rozumiem, dlaczego go łowiliśmy, kiedy zginął tak marnie.

Obsceniczna wizja policyjnych fotografii migotała w jej pamięci.

– Wiem, że to pan go zabił – szepnęła. – Za coś takiego. Ale Winesap nie słuchał.

– A teraz musisz to wszystko uporządkować. Nie podoba mi się te dwie ciępi dziesięć tysięcy, panno Conroy. Wcale mi się nie podoba.

Wstał. To samo zrobiła Dora. Kiedy się gniął pod płaszcz, przez tylne drzwi wpadli dwaj policjanci.

– Stań!

Winesap spojrzął na wycelowane w siebie pistolety i zemdlał. Księżeczka czekowa wypadła mu z ręki i upadła na podłogę.

* * *

– Chciał mi zapłacić – powiedziała to po Dora. Patrzyła, jak dwaj policjanci wyprowadzają ją kajdankami, skutego

kajdankami Winesapa, i czuła zawroty głowy. Nie musiała pochyla głowy mi dzy kolana, ale wołała siedzieć. Nie była pewna, czy zdołałaby usta na nogach. – Chciał mi wypisać czek. – Jej miech brzmiał lekko histerycznie. – Jezu Chryste, ciekawe, czy poprosiłabym go o dwa różne dowody to samo ci.

– Masz – Jed wcisnął jej w dłoń kubek.

– Co to?

– Twoja herbata, z odrobiną brandy.

– Dobry pomysł – przełknęła ją jak wodę i poczuła, że w jej rozdygotanym ołdkiem rozlewa się ciepło. – Chyba twoi ludzie mają wszystko, czego im trzeba.

– Całe mnóstwo – chciał dotknąć jej włosów, ale bał się, że odskoczy od niego. – Nie le się spisała, Nancy.

– Tak – uniosła wzrok, zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. – Chyba w pewnym sensie stanowilibyśmy nie najgorszy zespół.

Patrzył na nią długo.

– Było ci cięko.

– Pochodzę z twardego plemienia, Skimmerhorn. Conroyowie nie poddają się tak łatwo.

– Była wspaniała – Brent pojawił się obok nich. Wziął Dorę pod pachy, podniósł ją z krzesła i pocałował mocno. – Znakomita robota, Doro. Jeśli chcesz pracować w policji, dam ci moją rekomendację.

– Dziękuję. Ale teraz odkładam moje szkło powiększające i idę do naftaliny.

– Wrócisz jeszcze?

– Nancy Drew – mruknął Jed i poczuł, że serce mu się łamie. – Pójdź teraz z Brentem na salę przesłuchań. Dobrze się czujesz?

– Czuję się świetnie. Nie może być lepiej – jej uśmiech mógłby ich oszukać, gdyby nie usiadła tak ostro nie na poręczach krzesła. – Ale cięgle nie mogą uwierzyć, że to ten ałosny człowieczek uknuł to wszystko i zabił DiCarla.

Brent otworzył usta i zamknął je pod piorunującym spojrzeniem Jeda.

– Mamy na ta mie tyle, e reszt wydusimy z niego bez trudu.
– Jed zacisn ł w kieszeniach dłonie, które zacz ły wydawa mu si bezu yteczne. – Na pewno czujesz si dobrze?

– Powiedziałam ju , e tak. Id i b d policjantem – złagodziła swoje słowa u miechem. – To pasuje do ciebie – przeczesala włosy palcami.

Jed spojrzal na pasma włosów, licznie wracaj ce na swoje miejsce.

– B d wdzi czna, je li zadzwonisz i dasz mi zna , jakie rezultaty dalo to przesłuchanie.

– Dostaniesz pełen raport – obiecal jej Brent.

– Rano – wstala ju pewniejsza. – Pójd teraz na gór i prze pi dwana cie godzin. Je li tu sko czyli cie, zamkn za wami.

Poszła za nimi do drzwi. Jed odwrócił si i poło ył r k na jej dłoni trzymaj cej klamk . Nie mógł si powstrzyma .

– Chciałbym jutro z tob porozmawia , kiedy poczujesz si na to gotowa.

Pewnie by si poddala. O mały włos. Było w nim tyle samo bólu co w niej. Ale najlepsze s czyste, szybkie ci cia.

– Mój plan dnia jest mocno napi ty. Zarezerwowałam poranny lot na Arub . Musz si spakowa .

W jej głosie, w jej twarzy nie było niczego, co pozwoliłoby na kontakt.

– Szybko działasz.

– To najlepsze dla nas wszystkich. Przy l ci pocztówk – poniewa nie podobała si jej gorycz tego zdania, obróciła dło , której dotykał i u cisn ła jego r k . – Poka im wszystkim, kapitanie.

Szybko zamkn ła drzwi i obróciła klucz w zamku.

– Dlaczego nie powiedziałe jej, e zwrócili my si do policji z Los Angeles, eby zabrala si za Finleya? – zapytal Brent. Jed stal nieruchomo na chodniku.

Czul ból, wszechogarniaj cy ból, jakby kto obil go metodycznie i bezlito nie pi ciami w piankowych r kawicach.

– My lisz, e to by pomogło jej zasnąć ?
– Nie – mruknął Brent w kierunku oddalających się pleców Jeda. – Chyba nie.

* * *

Wmawiała sobie, że potrzebuje właśnie snu. Od tygodnia nie miała spokojnej nocy. Zasunęła storczyki na drzwiach wejściowych i zebrała w sobie wszystkie siły, by podnieść tacę z kawą i herbatą.

Kiedy znalazła się na Arubie, obiecała sobie, będzie tylko spała. Włókno, na plaży, w oceanie. Karaibskie słońce wypali z mojego ciała i umysłu tę bolesną depresję, pokona ten zimowy smutek. Wróć opalona i pełna nowych sił.

Postawiła tacę na biurku, by starannie zamknąć drzwi, zapleczka i włączyła system alarmowy. Potem poszła do swojego mieszkania.

Bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby zaniósła tacę do kuchni. Kiedy odwróciła się od zlewu, stanęła oko w oko z Finleyem.

Umiechnął się i ujął w dłoń jej bezwładną rękę.

– Przyjmę twoje zaproszenie, Isodoro. I muszę powiedzieć, że twój dom jest czarujący.

* * *

– Naprawdę nie sądzę, abym musiał udzielać jakichkolwiek wyjątków bez mojego adwokata. – Winesap spojrział kapryśnie na Jeda i Brenta i zaczął obgryzać paznokcie, i tak już obgryzione paznokcie. – Naprawdę.

– Ale proszę – Brent wzruszył ramionami i usiadł okrakiem na krześle. – Mamy mnóstwo czasu. Chce pan zadzwonić, czy mamy panu przydzielić obrońcę z urzędu?

– Z urzędu? – uraona duma kazała mu wyprostować zgarbione plecy. – O nie, stać mnie na adwokata. Zajmuję bardzo dobrą pozycję – no tak, ale mój adwokat jest w Los Angeles,

pomyłał. – Mo e gdyby mogli mi panowie wytłumaczyć , dlaczego si tu znalazłem, mogliby my sobie darowa po rednictwo adwokata.

– Jest pan podejrzany mi dzy innymi o kradzie , przemyt, udział w zabójstwie policjanta oraz morderstwo – poinformował go Brent.

– Zupełny absurd – Winesap skurczył si znów w sobie, zapomniawszy o dumie. – Nie rozumiem, jak mogli cie wpa na ten idiotyczny pomysł.

– Mo e chciałby pan posłucha nagrania swojej rozmowy z pann Conroy – podsun ł mu Jed, podchodz c do magnetofonu.

– To była zwykła transakcja, w dodatku sprawa zupełnie prywatna – Winesap usiłował nada swojemu przera onemu głosowi odrobin rozdra nienia. Ale kiedy Jed wł czył magnetofon, mógł ju tylko milcze . Po kilku sekundach zrozumiał z bolesn pewno ci , e w ogóle nie okazał si uwa ny, a za to popisał si wyj tkow głupot .

Zacz ł ssa kostki palców, zastanawiaj c si gor czkowo. Wła ciwie nie bał si wi zienia. Zupełnie. Pomy lał o Finleyu i o tym, e kara, któr wymierzyłby mu jego pracodawca, sprawiłaby mu o wiele wi cej przykro ci.

– By mo e mogliby my osi gn porozumienie. Czy mog prosi o szklank wody?

– Oczywiście – Brent podszedł do kranu i napełnił wod papierowy kubek.

– Dzi kuj .

Winesap wypił j powoli, zastanawiaj c si nad ró nymi mo liwo ciami.

– Chyba poprosz panów o zapewnienie mi nietykalno ci i obj cie mnie programem ochrony wiadków. To chyba odpowiada mi w zupełno ci.

– A mnie w zupełno ci odpowiada to, e przez najbli sze pi dziesi t lat b dziesz gni w wi zieniu – powiedział miło Jed.

– Kapitanie – Brent podchwycił typowy ton przesłuchania – dajmy mu szans . Mo e ma co , co mógłby nam zaferowa .

– Przysięgam, że mam. Jeśli otrzymam gwarancję, to moja współpraca zostanie nagrodzona, dam wam wszystko, czego wam potrzeba, aby schwytać naprawdę wielki zdobycz – lojalnie, obrońca i uwierajcie w go przez osiem długich lat, że liczył się bez trudu z jego szyi. – Naprawdę wielki – powtórzył.

Jedną z nich nie dostrzegając głową, kiedy napotkał spojrzenie Brenta.

– Zadzwoń po obrońcę.

* * *

– Możemy się dzielić – Finley trzymał mocno ramiona Dory, popychając ją w stronę salonu. – I pogawiedzimy.

– Jak się pan tu dostał?

– Tyle było tu dziwnych zamieszania, prawda? – uśmiechnął się i popchnął ją na krzesło. – Nie byłem całkiem pewien, czy Abel, pan Winesap, poradzi sobie z tą kwestią. Zjawiłem się, by go nadzorować. I dobrze zrobiłem.

Zajął miejsce obok niej i założył ręce, moszcząc się wygodnie. Zauważył, że oczy Dory zerkają w kierunku drzwi i pokręcił głową.

– Proszę, nie próbuj uciekać, Isodoro. Jestem bardzo silny i sprawny. Nie chciałbym być zmuszony do stosowania przemocy fizycznej.

Ona tego nie chciała. Zwłaszcza, że miała absolutną pewność, że nie zdołałaby zrobić dwóch kroków. Najlepsze, co mogła zrobić, to grać na zwłok i czekać na ratunek.

– To ty przysłałaś Dicarla.

– To długa, smutna historia. Ale jesteście tak miłą towarzyszką – usiadł wygodnie i zaczął mówić. Opowiedział jej o starannie planowanych rabunkach w kilku różnych krajach. Sie pracownikom i koszty, jakie pociągało za sobą prowadzenie udanych interesów, legalnych i nie całkiem. Kiedy dotarł do udziału DiCarla, zamilkł i westchnął.

– Ale tego nie musz ci tłumaczy , prawda, moja droga? Jeste wspaniał aktork . Mo na by si zastanawia , dlaczego porzuciła scen . Tu po twojej wizycie w moim biurze zrozumiałem, e ty i DiCarlo grali cie w jednej lidze.

Przez chwil straciła mow ze zdumienia.

– My lisz, e był moim partnerem?

– Z pewno ci znalazła w nim pasuj cego do ciebie kochanka – szczerze zawiedziony ni , poprawił sobie spinki u mankietów. – I z cał pewno ci rozumiem, jak zdołała go skłoni , by mnie zdradził. Co za szkoda – dodał mi kko. – Miał talent.

– To, co powiedziałam ci w twoim biurze, było szczer prawd . Włamał si do mojego domu i zaatakował mnie.

– Jestem pewien, e o co si poró nili cie. Chciwo i seks nie id w parze, jak przypuszczam. – Jego oczy zw żyły si i błysn ły. – Czy by znalazła innego, bardziej przedsi biorczego m czynn , Isadoro? Kogo , kogo mogła napu ci na biednego pana DiCarlo, który wrócił do mnie z jakim n dnym wykr tem na temat tego, dlaczego nie zwrócił mi mojej własno ci?

– Ten obraz nie nale ał do ciebie. Ukradłe go. A mnie nigdy nic nie ł czyło z DiCarlo.

– A kiedy nie wrócił – ci gn ł Finley, jakby w ogóle jej nie usłyszał – zaczę ła si martwi i zdecydowała , e sama zorientujesz si w sytuacji. Och, była bardzo, bardzo sprytna. Taka czaruj ca, taka swobodna. Niemal ci uwierzyłem. ywiłem zaledwie cie w tpiwo ci, niestety słusznych, co potwierdziło si dzi na moich oczach. Jestem taki zawiedziony, e zwróciła si do policji, Isadoro. eby otrzyma znale ne – pogroził jej oskar ycielsko. – Cenilem ci bardziej. Kosztowała mnie dwóch bardzo dobrych pracowników i obraz, którego bardzo pragn łem. A teraz, jak załatwimy nasze sprawy?

Zerwała si , zbyt przera ona, by usiedzie w miejscu.

– Policja ma twojego Winesapa. Na pewno powiedział im ju wszystko o tobie.

– My lisz, e o mieliłby si ? – Finley zastanowił si przez chwil , po czym wzruszył ramionami w wytwornym ge cie lekcewa enia. – By mo e. Ale nie przejmujemy si tym. Pan Winesap wkrótce ulegnie tragicznemu wypadkowi. Wolałbym raczej porozmawia o moim obrazie i o tym, jak mog go odzyska .

– Nie mo esz.

– Ale policja z pewno ci , skoro okazała im tyle pomocy, powiedziała ci, gdzie znajduje si obraz.

Nie odezwała si ; ze zdumieniem zdała sobie spraw , e nie przyszło jej do głowy, eby o to spyta .

– Tak wła nie s dziełem – Finley u miechn ł si szeroko, wstaj c. – A teraz powiedz mi, gdzie on jest, i zostaw reszt mnie.

– Nie wiem, gdzie on jest.

– Nie kłam, prosz – si gn ł do wewn trznej kieszeni garnituru z Savile Row i wyj ł z niej l ni cego lugera. – liczny, prawda? – zagadn ł, kiedy oczy Dory przylg n ły do lufy broni. – Wyrób niemiecki, u ywany podczas II wojny wiatowej. Lubi sobie wyobra a , jak skutecznie zadawali nim mier nazistowscy oficerzy. A wi c, Isadoro, gdzie jest mój obraz?

Spojrzała bezradnie w jego oczy.

– Nie wiem.

Impet wystrzelonej kuli rzucił ni o cian . Nawet gdy poczuła pal cy wybuch bólu rozrywaj cy jej rami , nie uwierzyła, e do niej strzelił. Nie mogła w to uwierzy . Dotkn ła w oszołomieniu ogniska bólu i t po zagapiła si na okrwawione palce. Nie odrywaj c od nich wzroku, osun ła si bezwładnie wzdłu ciany.

– Doprawdy, lepiej, eby mi powiedziała – Finley, wcielenie rosz dku, pochylił si nad zwini t w mi kki kł bek Dor – tracisz du o krwi – kucn ł przy niej, uwa aj c, eby nie popłami garnituru. – Nie chciałbym sprawia ci niepotrzebnego kłopotu. DiCarlo umierał godzinami, kiedy do niego strzeliłem. Ale nie

ma potrzeby tak cierpie – westchn ła, kiedy wydała z siebie jedynie j k. – Musimy si troszk zastanowi , prawda?

Zostawił j , trac c krew, i zacz ł metodycznie przeszukiwa jej skarby, jeden po drugim.

* * *

– Ten mały sukinsyn piewał jak z nut – Brent sam miał ochot piewa , mkn c przez ulice miasta w stron South Street.

– Nie lubi układów z padalcami – mrukn ł Jed.

– Nawet, je li gra idzie o takiego wielkiego, tłustego padalca jak Finley?

– Nawet – spojrzał na zegarek. – Poczuj si lepiej, kiedy b d wiedział, e gliny z Los Angeles ju go maj .

– Nakaz aresztowania jest ju w drodze, kolego. Finley nie sp dzi tej nocy we własnym łó ku.

To sprawiło mu pewn ulg . Bardzo niewielk ulg . Jed poczułby si o wiele lepiej, gdyby mógł osobi cie uj łobuza.

– Nie musiało a tak nakłada drogi. Mogłem złapa taksówk .

– Dla mojego kapitana nie ma rzeczy zbyt dobrych. Przynajmniej dzisiaj. A gdybym był na twoim miejscu, nie czekałbym do rana z przekazaniem dobrych wie ci pewnej ol niewaj cej brunetce.

– Jej potrzeba teraz snu.

– Potrzeba jej troch spokoju ducha.

– B dzie go miała do woli na Arubie.

– Słucham?

– Nie, nic – Jed odwrócił si i wbił ponury wzrok w si pi cy deszcz ze niegiem, który zacz ł ustawa , kiedy skr cił w South.

* * *

– A wi c – Finley usiadł przy Dorze, zadowolony, e znalazła w sobie tyle siły, by podnie si do pozycji siedz cej i oparła si

plecami o cian . Krew, buchaj ca z jej rany, s czyła si ju wolniej. – Wró my do obrazu.

Zacz ła szcz ka z bami. Jeszcze nigdy nie było jej tak zimno, tak zimno, e jej ko ci zdawały si zmienia w ziej ce mrozem sople. Jej rami i bark stały w płomieniach, reszta jej ciała powoli skuwala si lodem. Spróbowala wydoby z siebie głos, ale słowa brzmiały na przemian piskliwie i bełkotliwie.

– Policja... Policja go wzi ła.

– Wiem o tym – w jego glosie pojawiły si pierwsze nutki gniewu. – Nie jestem głupi, Isadoro, jak wydajesz si s dzi . Policja wzi ła obraz, a ja zamierzam go odzyska . Zapłaciłem za niego.

– Zabrali go – jej głowa zwisła bezwładnie, po czym przesun ła si chwiejnie po cianie. Pokój zaczynał traci w jej oczach kolory, robił si coraz mroczniejszy. – Do domu babki – powiedziała, bliska omdlenia. – I znów go zabrali. Nie wiem dok d.

– Widz , e potrzeba ci bod ca – odło ył bro i rozlu nił sobie krawat. Dora patrzyła w oszołomieniu, jak zdejmuje marynark . Kiedy jego palce spocz ły na złotej klamrze paska, przez ot pienie przebił si wstr tny dreszcz przera enia.

– Nie dotykaj mnie – chciała odpełzn od niego, ale pokój zacz ł wirowa , przygotowaj c j o mdło ci. Mogła tylko zwin si w kł bek w kału y własnej krzepn cej krwi. – Prosz .

– Och, nie. W przeciwie stwie do DiCarla, nie zamierzam ci napastowa . Ale porz dne baty mog rozwi za ci j zyk. By mo e trudno ci w to uwierzy , ale zadawanie bólu sprawia mi prawdziw przyjemno – owin ł wokół dłoni koniec pasa. Klamra zwisaj ca z drugiego ko ca miała doda chło cie kolorytu. – A zatem, Isadoro, gdzie jest obraz?

Jednocze nie uniósł w gór bro i pas. Zrobiła jedyn rzecz, która mogła powstrzyma cios. Zamkn ła oczy.

* * *

– Mo esz wysadzi mnie przed frontem – powiedział Jed.

– Figa. Dostawa prosto do domu – zahamował z fantazj na podje dzie. Spod kół bryzn ła fontanna wiru. – Gdyby miał jakie ludzkie uczucia, zaprosiłby mnie na piwo.

– Nie mam adnych ludzkich uczu – Jed otworzył drzwiczki i obejrzał si . Brent u miechał si zach caj co.

– Dobra, wchod – przynajmniej zabije jako czas, który sp dziłby w samotno ci, czekaj c na poranek.

– Masz jakie zagraniczne? – Brent obj ł Jeda przyja nie za szyj i pomaszzerował z nim w kierunku schodów. – Mo e meksyka skie? Naprawd mam ochot ...

Kiedy usłyszeli słaby krzyk, obaj chwycili za bro . W dzikim p dzie dopadli drzwi. Lata pracy w zespole od razu dały o sobie zna . Kiedy Jed wywa ył kopni ciem drzwi Dory, on ubezpieczał gór , a Brent dół.

Finley odwrócił si ku nim z wyrazem lekkiej irytacji. Dwa policyjne pistolety wypaliły jednocze nie. Dwie kule kalibru 9 mm trafiły go w górn cz klatki piersiowej.

– Bo e. O, Bo e – Jed rzucił si ku Dorze, czuj c przeszywaj cy strach. Powtarzał jej imi niczym modlitw , kiedy rozdierał jej bluzk i tamował ni s cz c si krew. – Trzymaj si , kochanie. Trzymaj si .

Tyle krwi, pomy łał, przera ony do szale stwa. Za du o. A poniewa zaczynała ju krzepn wiedział, e min ło zbyt wiele czasu. Kiedy spojrział na jej bia łą nieruchom twarz, przez jedn , niewyobra alnie straszn chwil s dził, e Dora nie yje. Ale przecie dr ała. Czuł wstrz saj cy ni dygot, zrywaj c z siebie kurtk i okrywaj c j ni .

– Nic ci nie b dzie. Doro, kochanie, słyszysz mnie?

Jej oczy były szeroko otwarte, rozszerzone i nieprzytomne. Druga kula przeszła jej rami , nie naruszaj c ko ci. Nawet jej nie poczuła.

– Masz – Brent wepchn ł r cznik w rozdygotane r ce Jeda; nast pny, zło ony w kostk wsun ł pod głow Dory. – Karetka

ju jedzie – rzucił okiem na rozciągnięte na dywanicie ciało – Finley nie żyje.

– Doro, usłysz mnie. Usłysz mnie, do diabła – ręce Jeda poruszały się szybko, osuszając ręcznikiem ranę na wierzchu i sporządzając z resztek bluzki opaski zaciskowe. – Masz wytrzymałość. Wytrzymałość – póki nie mógł już myśleć o niczym. Mógł tylko przyciągnąć ją do siebie i kołysać jak dziecko. – Proszę. Zostań ze mną. Chcę, żeby ze mną została.

Poczuł na policzku muśnięcie jej ręki. Kiedy spojrzał na nią, jej usta rozchyliły się dookoła.

– Nie mów... moim rodzicom – szepnęła. – Nie chcę ich martwić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Próbałaby, gdyby to coś pomogło. Spróbowałaby wszystkiego. Oblewania się potem, modlitwy, chodzenia. Ale mógł tylko siedzieć z głową opartą na rękach i czekać.

Byli tu Conroyowie. Dora zdziwiłaby się, gdyby zobaczyła, jak dzielnie to znosili. Nie spodziewała się tego. Pojawiły się łyżki, pojawiło się przerażenie, ale wszyscy trwali, trzymając się razem, niczym potężny mur. Czekali, licząc minuty, a zakochani się w operacji.

Czekał, kiedy go potępią. Nie potępią. Chciał, żeby go oskarżyli. Nie zrobili tego. Nie usłyszał od nich słowa wyrzutu, nawet wtedy gdy stał splamiony krwią Dory i mówił, że zostawił ją samą i bezbronną.

Chryste, wolałaby, żeby to zrobili.

Ale nie. John przyniósł im wszystkim kawę, Lea zeszła na dół, żeby poczekać na jej przylot z Nowego Jorku

Willa, a Quentin i Trixie siedzieli obok siebie na sofie i trzymali się za ręce.

Minęła druga, cięgnąca się w nieskończoność godzina oczekiwania; Trixie szepnęła coś swojemu młowi. Kiedy w odpowiedzi skinął głową, wstała i zajęła miejsce obok Jeda.

– Zawsze była dzielna dziewczynka – zaczęła – w szkole zwykła zaczynać bójkę... no, może niezupełnie zaczyna, ale zawsze kończyła swoje sprawy z honorem. Nie mogłam się nadziwić, że ona, rycząca jak zarzynana, kiedy rozbiła sobie kolano, nawet nie płakała, wróciwszy do domu z rozciętą wargę czy podbitym okiem. Kwestia dumy, jak sądzę.

– To nie była jej walka – Jed przyciskał mocno dłonie do oczu. – Nie powinna być.

– To jej decyzja. Wiesz, teraz trzeba będzie koło niej skakać. Nie choruje przecież, ale kiedy... – głos Trixie załamał się, zdradzając jej. Szybko osuszyła oczy i uspokoiła się. – Ale kiedy choruje, oczekuje, że wszyscy będą się nią zajmować. Dora nie umie cierpieć w samotności.

Dotknęła delikatnie wierzchu jego dłoni. Kiedy oderwał ją od twarzy, ucisnęła ją mocno.

– Tak cięko jest czekać w samotności.

– Proszę pani... – zabrakło mu słów. Oparł się na niej i pozwolił się jej trzymać za rękę.

Wszyscy zerwali się na równe nogi, słysząc miękki stapanie podbitych krep podeszew. W drzwiach ukazała się Mary Pat, jeszcze w rękawiczkach.

– Skończyli – rzuciła pospiesznie. – Wygląda dobrze. Wkrótce przyjdzie doktor.

To właśnie wtedy Trixie zaczęła płakać, zanosząc się gwałtownym, wstrząsającym szlochem i mocząc koszulę Jeda palcami łzami. Objął ją automatycznie i spojrzał na Mary Pat z oczu.

– Kiedy możemy zobaczyć?

– Doktor wam powie. Jest dzielna, tyle możemy powiedzieć.

– Nie mówiłam? – wykrztusiła Trixie. Padła w objęcia Quentina i razem rozplakali się z ulgi.

* * *

Jed zaczął się trząść dopiero, kiedy został sam. Wyszedł na dwór, z silnym postanowieniem, żeby wracać do domu. Ta chwila należała do jej rodziny, powiedział do siebie. Teraz, kiedy już wiem, że Dora wyjdzie z tego, nie muszę się tu kręcić.

Ale jako nie mógł przejść przez ulicę i złapać taksówki. Siadł więc na schodach i zaczął czekać, aż ustąpi deszcz. Marznąca matka przeszła w niego, gęsty, lekki i mokry. Taniec białych płatków w wietle ulicznych latarni miał w sobie coś niezemskiego, coś hipnotyzującego. Jed zapatrzył się w pojedynczy snop wiatła i zapalił papierosa, potem drugiego. Wtedy wrócił, wsiadł do windy i pojechał na piętro, na którym leżała Dora.

– Tak myślałam, że wrócisz – Mary Pat uśmiechnęła się do niego oczami zaczerwienionymi ze zmęczenia. – Jed, niech cię, jesteś przemoczony. Mam ci przygotowaną łóżko?

– Chcę tylko zobaczyć. Wiem, że jest pod działaniem narkozy. Wiem, że nie będzie wiedziała, że jestem przy niej. Chcę tylko na nią spojrzeć.

– Przyniosę ci ręcznik.

– MP...

– Najpierw musisz się wytrzeć – oznajmiła. – Potem cię wprowadzę. Dotrzymała słowa. Kiedy uznała, że wytarł się już wystarczająco dokładnie, zaprowadziła go do pokoju Dory.

Dora była blada i nieruchoma, jakby nie żyła. Serce Jeda uwizło mu w gardle.

– Na pewno wyzdrowieje?

– Jej stan jest stabilny i nie pojawiły się żadne komplikacje. Dr Forsythe jest dobrym fachowcem. Wierz mi – nie chciała mi powiedzieć o ilości krwi, jak musieli wtłoczyć w Dorę, ani o tym, jak długo nie mogli ustabilizować jej słabego pulsu. – Kula

została wyjęta – i tkanka jest trochę poszarpana, ale to się zagoi. Będzie przez pewien czas słaba jak dziecko i trochę pocierpi.

– Nie chcę, żeby cierpiała – jego opanowanie w każdej chwili mogło prysnąć. – Dopilnuj, żeby miała wszystko, co złagodzi ból.

– Może z nią trochę posiedzisz? – Mary Pat pogładziła go uspokajając go po plecach. – Dobrze ci to zrobi.

– Dziękuję.

– Za godzinę skończy się mój dyżur. Wpadnę po ciebie.

Ale kiedy wróciła, jedno rzucone na niego spojrzenie kazało jej się cofnąć i zostawić ich samych. Rano nadal przy niej siedział.

* * *

Ocknęła się powoli, jakby płynęła ku powierzchni z głębi nieruchomej, mrocznej wody. Powietrze wydawało się zbyt gęste, by mogła nim oddychać, a w uszach miała szum, jakby gdzieś niedaleko fale odbijały się miękko od wybrzeża.

Patrzył, jak przytomnieje, obserwował każdą drganie jej powieki. Jej dłoń drgnęła w jego ręce, po czym zamarła.

– Nie, Doro, jeszcze nie uciekaj – musnęł palcami jej włosy, jej policzki. Nadal jest zbyt blada, pomylana, o wiele za blada. Ale jej rzęsy zatrzepotały jeszcze raz, a potem uniosły się powieki. Zaczekał, a jej spojrzenie oprzytomnieje.

– Jed? – jej głos brzmiał martwo, pusto. Jego brzmienie niemal go złamało.

– Tak, kochanie. Jestem tutaj.

– Niech mi się koszmar – ucałował jej dłoń, walczył z pokusą, by położyć głowę na łoku.

– Już dobrze.

– Był okropnie rzeczywisty. A ja... o Boże! – uniosła się, budząc przeszywający ból w ramieniu.

– Musisz leżeć spokojnie.

Wróciła pamięć, równie paląca co ból.

– Strzelił do mnie. Bo e... – uniosła rękę do płonącego bólem ramienia, ale on zacisnął na niej palce. – To był Finley.

– Ju po wszystkim. Wyzdrowiejesz.

– Jestem w szpitalu – wraz z bólem pojawiła się panika. – Czy... czy bardzo źle?

– Poskładali cię do kupy. Teraz musisz tylko odpoczywać – czternaście lat służył w policji nie nauczyło go, jak radzić sobie z okropnym bólem kłbiącym się w jej oczach niczym burzowe chmury. – Zawołam pielęgniarkę.

– Przypomniałam sobie – jej palce drżały, kiedy chwyciła go za rękę. – Był w mieszkaniu, czekał na mnie. Chciał wiedzieć, gdzie jest obraz. Powiedziałam mu, że nie wiem, a on do mnie strzelił.

– Nigdy cię już nie skrzywdzi, przysięgam – przycisnął czoło do ich złoczonych ręk i poczuł, że serce mu pęka. – Przepraszam, kochanie. Przepraszam.

Ale ona zapadała się już w mroczną wodę, daleko, daleko od bólu.

– Nie zostawiaj mnie tu samej.

– Nie zostawi.

* * *

Następnym razem, kiedy zastał ją przytomną, była otoczona kwiatami, całym potopem kwiatów od małych, słodkich bukietów po wielkie egzotyczne kompozycje. Zamiast burej szpitalnej koszuli miała na sobie coś różowego i pełnego falbanek. Miała umyte włosy i makijaż na twarzy.

Ale w oczach Jeda wyglądała przerażająco krucho.

– Jak leci, Conroy?

– Cze – uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę – jak się tu włamała? Wszyscy mają tu bzik na tle przestrzegania godzin wizyt.

– Wykorzystałem swój pozycję – zawahał się. Raka, którą była krucha jak skrzydło ptaka. – Jeśli jesteś zbyt zmęczona, mogłabyś przyjść później.

– Nie, jeśli zostaniesz, przepraszam cię dzisiaj ze strzykawkami.

– Jasne, z przyjemnością ci – czuję się rozpaczliwie niegrzecznie, odwrócił się, podziwiał cię górami kwiatów. – Wygląda na to, że możesz zacząć handlować czymś innym.

– Pięknie, prawda? Uwielbiam, kiedy się mnie rozpieszcza – zmieniła pozycję i skrzywiła się, zadowolona, że stoi odwrócony do niej plecami. – Zdradziła mnie, Skimmerhorn.

– Co?

– Powiedziały mojej rodzinie.

– Szczerze mówiąc, lepiej, żeby dowiedzieli się ode mnie niż z gazet.

– Pewnie masz rację. A co słychać w twoim świecie? Mary Pat mówi, że wykopała Goldmana i wróciła do pracy.

– Tak – musiał czymś wypełnić sobie te dni. W przeciwnym razie zwariowałby, cicho i niepostrzeżenie.

– Mogłoby spojrzeć na twoją odznak?

– Co?

– Serio – uśmiechnęła się znowu. – Mogłoby?

– Jasne – wyjął ją i podszedł do łóżka. Wzięła ją od niego, przyjrzała się jej, parę razy otworzyła i zamknęła.

– Strasznie fajna. I jak się z nią czujesz?

– W porządku – powiedział, wkładając ją do kieszeni. Nie ma mowy, nie może tu stać i gadać o głupotach, kiedy pod różnymi falbankami jej nocnej koszuli widać białe bandaże. – Słuchaj, wpadłem tylko, żeby zobaczyć, jak sobie radzisz. Muszylecie.

– Zanim dasz mi prezent? – Kiedy nie odpowiedział, zmusiła się do kolejnego uśmiechu. Przeszedł jej zwińskutrudno ci; lekarstwo przestawało działać. – To pudełko, które trzymasz? Czy to nie dla mnie?

– Tak, dla ciebie – położył ją na jej kolanach. – Wpadłem tu parę razy, podczas gdy ty spała. Kiedy zobaczyłem to

kwiaciarni, zrozumiałem, że nie potrzeba ci już żadnych bukietów.

– Tego nigdy za wiele – sięgnęła w stronę ozdobnej kokardki, po czym opadła na poduszki. – Pomóż mi, dobrze? Nie mogę jeszcze uchwycić tej ręki.

– Nie poruszył się, ale jego spojrzenie było wymowne.

– Powiedzieli mi, że nie masz żadnych trwałych uszkodzeń ciała.

– Jasne – jej usta wykrzywiły się w podkówkę – Jakby blizna nie była trwałym uszkodzeniem. Już nigdy nie będzie wyglądała w bikini tak, jak kiedyś.

– Nie mógł tego znieść, po prostu nie mógł. Odwiodł się gwałtownie podszedł do okna i wbił w nie ten pył wzrok. Cięki zapach rozdrażnił jego zmysły.

– Powinienem tam być – wydusił z siebie po chwili. – Nie powinna zostawać sama.

W jego głosie było tyle złości, jego barki miały w sobie tyle napięcia, że Dora zaczęła spodziewać się wybuchu. Kiedy nie nastąpił, zdrowo rozwinęła kokardkę.

– Z tego, co mówi Brent, wynika, że Finley wymknął się policji w Los Angeles. Nikt nie miał pojęcia, że opuścił Kalifornię, Nie wiem, jak ktokolwiek mógł się spodziewać, że wmaszeruje do mojego mieszkania i zacznie do mnie strzelać.

– Moim zadaniem było to przewidzieć.

– Aha, już ci to uderza do głowy. Jak się nazywa ten kompleks supergliny? Syndrom Johna Wayne’a, tak – udało się jej rozwinąć wstęki i włączyć zdjęć wieczko z pudełka, kiedy Jed odwrócił się do niej. – No, w drowczy – powiedziała bardzo kiepsko na ładując Johna Wayne’a – po prostu nie można być we wszystkich miejscach jednocześnie – choć jej ramię zaczynało już pulsować bólem, z radością zaczęła rozgarniać bibułę. – Uwielbiam prezenty i wcale się nie wstydzi przyznać do tego. Właściwie ci nie szkodzi, że do mnie strzelano, skoro... Och, Jed, to przepięknie.

Oślupiała bez reszty i wyjęła starą szkatułkę „z drewna i alabastru, ozdobioną wizerunkami mitologicznych postaci. Kiedy uniosła wieczko, rozległy się ciche dźwięki „Greensleeves”.

– Walało się w magazynie z moimi rzeczami – włożyła ręce do kieszeni. Czuła się jak idiota. – Pomyślałem, że może ci się spodoba.

– To przepiękne – powtórzyła i spojrzała na niego z tak szczerym zdumieniem, że poczuła się jeszcze bardziej głupio. – Dziękuję.

– Nic wielkiego. Pomyślałem, że mogłaby tu trzymać swoje fidrygałki, dopóki jesteś unieruchomiona. Eee... potrzeba ci czegoś.

– Spojrzała na niego, nadal gładząc pozytywkę.

– Gdyby mógł mi wywiadczyć przysług...

– Jak?

– Gdyby mógł znaleźć jakiś sposób i wyciągnąć mnie stąd... – ze wstydem poczuła łzy, kręcąc się w jej oczach. – Chciał do domu.

* * *

Kosztowało go to parę godzin i mnóstwo negocjacji, ale w rezultacie Dora mogła złożyć głowę na własnej poduszce, we własnym łóżku.

– Dziękuję ci, Panie – Dora zamknęła oczy, odetchnęła głębiej, po czym otworzyła je znowu, by spojrzeć na Mary Pat: – nie mam nic przeciwko twojemu miejscu pracy, MP, ale jeżeli chodzi o mnie, to go nie znosz.

– A ty nie byłaś znowu tak idealną pacjentką, dziecino. Otwórz buzię – włożyła w usta Dory termometr.

– Byłam skarbem.

– Powiedzmy, surowym diamentem. Bardzo surowym. Ale nie bód narzeka; kilka dni prywatnych dyżurów zadowala mnie w zupełności – na zdrowe ramiona Dory założyła fachowo przyrząd do mierzenia ciśnienia. – Płatnych – zaznaczyła, biorąc

termometr i odczytuje poziom gorączki. Kiedy sprawdziła ci nienie krwi, zmarszczyła szybko brwi.

Nie uszło to uwadze Dory.

– Co jest?

– Nic, czego nie można by naprawić spokojem i wypoczynkiem.

– Byłam spokojna. Nigdy nie s dziłam, e powiem co takiego, ale już zm czyło mnie le enie w łó ku.

– Przyzwyczaj się – Mary Pat przysiadła na brzegu łó ka i wzięła ją za rękę mierząc puls. – B d z tob szczerą, Doro. Wyzdrowiejesz, jeżeli będziesz odpowiednio wypoczywać i dbać o siebie. Ale to nie jest stłuczone kolano. Gdyby Jed nie nadszedł w por , nie le ałaby teraz i nie narzekałaby . Prawd mówi c, mało brakowało.

– Wiem. Pami tam wszystko ciut za wyrażenie, eby móc spa spokojnie.

– Masz prawo j cze i piekli się . Mnie to nie przeszkadza. Ale masz też przestrzegać zaleceń co do joty albo zło raport kapitanowi.

Dora uśmiechnęła się blado.

– Wi c piel gniarki mają stopnie wojskowe?

– Mówi o Jedzie, matolku. To on finansuje tę operację .

– O czym ty mówisz?

– Mówi o tym, e całodobową opiekę domową na czas rekonwalescencji masz dzi ki kapitanowi J.T. Skimmerhornowi.

– Ale... myślałam e to załatwia towarzystwo ubezpieczeniowe.

– Oprzytomniej – Mary Pat roześmiała się na sam t my li poprawiła poduszki, wygładziła kołdr . – No, a teraz odpocznij. Przygotuj ci co do jedzenia.

– Nie powinien czuć się winny – mruknęła Dora, kiedy Mary Pat zbierała się już do wyjścia.

Mary Pat zatrzymała się , spojrzała na nią .

– On ywi w stosunku do ciebie co wi cej ni poczucie winy. Wiesz, e przez pierwsze czterdzie ci osiem godzin nie opuszczał szpitala?

– Nie – Dora spu ciła wzrok na swoje dłonie. – Nie wiedziałam.

– I e ka dej nocy zagl dał do ciebie. Dora tylko potrz sn ła głow .

– Mnóstwo kobiet czeka przez całe ycie, a kto b dzie w stosunku do nich czuł si tak winny.

Dora została sama. Si gn ła po pozytywk , otworzyła jej wieczko, zamkn ła oczy i zac ła si zastanawia , co pocz .

* * *

Zmiana dobiegła ko ca. Mary Pat przekazała swojej zast pczyni raport o stanie zdrowia chorej. Ale jej praca jeszcze si nie sko czyła. Przemaszerowała przez korytarz i ostro zapukała do drzwi Jeda. Kiedy otworzył, dziabn ła go palcem w pier .

– Nie znalazłe w sobie tyle siły, eby przej ten cholerny korytarz i... – urwała i spojrzła na niego spode łba. – Co ty wyprawiasz?

– Pakuj si .

Z jej oczu strzeliły płomienie wi tego oburzenia.

– Akurat – wpadła do pokoju i wytrz sn ła na podłog ksi ki z jednego z pudeł. – Nie zostawisz jej, kiedy tak le y, zupełnie bezbronna.

– Nie zostawiam jej – zmusił si do spokoju. Przekonał si , posługuj c si bardzo logicznym rozumowaniem, e to, co robi, robi dla Dory. – Poprosiła mnie, ebym si wyprowadził. Je li dowie si , e jeszcze tego nie zrobiłem, tylko si zdenerwuje.

Mary Pat wzi ła si pod boki.

– Jeste idiot . To mogłabym wła ciwie zaakceptowa . Ale nigdy nie przypuszczałam, e jeste tchórzem.

– Z drogi, MP.

– Nie ma mowy. Jeste w stanie stan przede mn i powiedzie , e jej nie kochasz?

Si gn ł po papierosa. Mary Pat wyrwała mu go z dłoni i złamała na pół. Spiorunował j wzrokiem. Odpowiedziała mu tym samym.

– Nie, nie mog . Ale nie o to chodzi. Doktor wyra nie kazał j izolowa od stresów. Nie trzeba, ebym kr cił si tutaj i wprowadzał j z równowagi.

– Siadaj. Siadaj, do diabła – popchn ła go. – Teraz ci powiem, czego jej trzeba.

– wietnie – usiadł z rozmachem na krze le. – Ju siedz .

– Powiedziałe jej kiedy , e j kochasz?

– To chyba nie twój interes.

– Tego bym nie powiedziała – zacz ła niecierpliwie chodzi po pokoju, z trudem powstrzymuj c si , by nie kopn w kulturystyczne przyrz dy Jeda. – Zrywałe dla niej kiedy polne kwiaty?

– Jest luty, do pioruna.

– Znakomicie wiesz, o czym mówi – odwróciła si do niego i chwyciła obiema r kami za por cze fotela, odcinaj c Jedowi drog ucieczki. – Daj głow , e nigdy nie wzi ła jej na kolacj ze wiecami ani na przeja d k łódk , i e nigdy nie kupiła jej jakiego głupiego prezentu.

– Przecie dałem jej pozytywk .

– Za mało. Ona musi by wielbiona.

Nie do wiary; poczuł, e na policzki wypełza mu rumieniec.

– Nie zavrcaj głowy.

– Ch tnie nabiłabym ci na tej głowie guza, ale przysi gałam słu y zdrowiu. Niemal j straciłe .

Jego oczy błysn ły ostro niczym sztylety.

– My lisz, e o tym nie wiem? Ka dej nocy budz si złany zimnym potem, kiedy sobie przypomn , jak mało brakowało.

– Wi c zrób co wreszcie. Poka jej, co dla ciebie znaczy.

– Nie chc si jej narzuca , kiedy jest tak podatna na zranienie. Mary Pat przewróciła oczami.

– Wi c jeste głupi – potem pocałowała go, lituj c si nad nim. Znajd jakie polne kwiatki, Jed. Stawiam na ciebie.

* * *

Pudło nadeszło nast pnego dnia.

– Znowu prezenty – oznajmiła Lea, taszcz c ogromne pudło przez salon w stron kanapy, na której siedziała Dora. – Zamierzam te si da postrzeli , oczywi cie lekko.

– Wierz mi, nie warto. Podaj mi no yczki, co? Otworzymy nasze male stwo – przyjrzała si dobrze przesyłce. – Bez adresu nadawcy.

– Ach, tajemniczy wielbiciel – Lea zaatakowała opakowanie, w napi ciu wysuwaj c j zyk.

– Och – powiedziała zawiedziona, poniósłszy przykrywk . – To tylko ksi ki.

– Bo e. O, mój Bo e. Carolyn Keene – Dora ukl kła i zacz ła grzeba w pudle. – Nancy Drew, to wygl da na pełn seri . Pierwsze wydanie. Spójrz tylko: „Zagadka pochyłego komina”, „Ukryte schody” – przygarn ła ksi ki do piersi i zacz ła rzewnie płaka .

– Kochanie, och, kochanie, zabolęło ci ? Zaprowadz ci do łó ka.

– Nie – przytuliła do policzka „Paszport do Larkspur Lane”. – To od Jeda.

– Aha – powiedziała ostro nie Lea i przykucn ła.

– Zadał sobie tyle trudu tylko po to, eby by dla mnie miłym. Dlaczego jest taki miły? Spójrz, par dni temu przysłał mi t bransoletk – wyci gn ła r k , a kiedy Lea zacz ła wykrzykiwa nad ni ochy i achy, paplała dalej. – I ta mieszna krówka, i ta akwarela. Po co on to robi? Co si z nim dzieje?

– Podejrzewam, e wariuje z miło ci.

Dora poci gn ła nosem i otarła łzy r kawem szlafroka.

– To mieszne.

– Kotku, nie poznajesz, kiedy jeste uwodzona? – Lea wzięła księżkę, otworzyła ją i potrząsała głową. – Ja wolałabym nieco inny sposób, ale zdaje się, że to na Ciebie działa.

– Po prostu mnie obraża. I czuję się winny – przełknęła łzy, odegnęła je – prawda?

– Kotku, pamiętaj, który ganiał do szpitala jak wariat, nie kierował się poczuciem winy – Lea założyła siostrze pasmo włosów za ucho. – Dasz mu wreszcie odetchnąć?

Dora opuszczała księżkę na kolana, pogładziła delikatnie okładkę.

– Zanim Finley mnie postrzelił, zerwałam z Jedem. Powiedziałam mu, żeby się wyprowadził. On mnie skrzywdził, Leo. Nie chcę, żeby to zrobił jeszcze raz.

– Nie możesz mi mówić, co masz robić, ale to, że każe mi tak cierpieć, wydaje mi się absolutnie niesprawiedliwe – Lea ucałowała Dorę w czoło, a potem wstała, słysząc pukanie do drzwi.

– Cześć, Jed – uśmiechnęła się i pocałowała również jego. – Twoja niespodzianka trafiła w dziesiątkę. Dora płacze nad twoimi księżkami.

Cofnęła się odruchowo, ale Lea złapała go za rękę i wciągnęła go do łóżka.

– Patrz, kto przyszedł.

– Cześć – Dora otarła łzy i zmusiła się do drugiego uśmiechu. – Słuchaj – jej oczy znowu napełniły się łzami – naprawdę pięknie.

– Straciłaś wartość, jeśli zamknęła – ostrzegł ją.

– Racja. Ale pierwsze wydania zawsze mnie rozczulają.

– Właśnie nie wychodziłam – Lea wzięła swój płaszcz, ale ani Dora, ani Jed nie zwrócili uwagi na jej wyjście.

– Nie wiem, co powiesz – dalej przyciskała do piersi „Ukryte schody” niczym ukochane dziecko.

– Może „dziękuję” – podsunęła jej.

– Dziękuję. Ale Jed...

– Słuchaj, mam pozwolenie na zabranie ci st d na chwil .
Masz ochot na przeja d k ?

– artujesz? – wstała powoli. – Na dworze? Przeja d ka na dworze i nie do szpitala?

– We płaszcz, Conroy.

– Nie mog uwierzy – powiedziała kilka minut pó niej, siadaj c z rozkosz w samochodzie Jeda. – adnych piel gniarek. adnych głupich termometrów, adnego głupiego mierzenia ci nienia.

– Jak rami ?

– Boli jak diabli – otworzyła okno, by poczu na twarzy p d powietrza i nie zauwa yła, e jego palce zacisn ły si na kierownicy. – Zmuszaj mnie do tej terapii fizycznej, która jest, delikatnie mówi c, nieprzyjemna. Ale daje efekty – podniosła łokie pod odpowiednim k tem, by udowodni , e mówi prawd .
– Nie le, co?

– wietnie – w jego głosie było tyle powstrzymywanej w ciekło ci, e Dora uniosła brew.

– W pracy wszystko w porz dku?

– Znakomicie. Miała zupełn racj . Nie powinienem odchodzi .

– Potrzebowałe chwili czasu – dotkn ła jego ramienia. Kiedy cofn ł si , opu ciła r k . Pora – pomy lała – oczy ci atmosfer .
– Wiem, e nasze stosunki były inne, zanim... no, zanim zostałam ranna. Wiem, e zachowałam si nieładnie.

– Przesta – nie mógł tego znie . – Miała racj . We wszystkim. Nie chciałem, eby za bardzo si do mnie zbli yła i zrobiłem wszystko, eby si tak nie stało. Jeste jedn z głównych przyczyn, dla których wróciłem do pracy, ale nie powiedziałem ci o tym, bo musiałbym przyzna , e jeste dla mnie wa na. e wa ne jest to, co my lisz. Zrobiłem to z rozmysłem.

Zamkn ła okno, zamykaj c dopływ powietrza.

– Nie ma sensu do tego wraca .

– Chyba byłoby bardzo wygodne, gdybym powiedział, że zamierzałem prosić ci o wybaczenie, że zanim do ciebie strzelił, chciałem błagać, żeby dała mi jeszcze jeden szansę – zerknął na nią, zauważył, że wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami i odwrócił wzrok, pełen obrzydzenia. – Tak, spodziewałem się, że włączyłaś to powiesz.

– Nie jestem pewna – powiedziała ostro – co pociąga za sobą ta Jeszcze jedna szansa”.

Chciał jej to pokazać. Zatrzymał się na poboczu, zaciągnął hamulec i wysiadł. Okrężył samochód, by pomóc jej przy wysiadaniu. Ponieważ wpatrywała się w jego dom, wykonała nieznaczny ruch i uderzyła ramieniem o drzwiczki.

– Cholera – jej jak bezradnego bólu przeszył go niczym ostrze.

– Nie mogę znieść twojego cierpienia – przygarnął ją, osłaniając jej ramiona. – Nie mogę. Serce mi się łamie, kiedy o tym myślę. Kiedy przypominam sobie, jak wyglądała wtedy, na podłodze, jak wyglądała twoja krew na moich rękach – zaczął drężyć; jego wytrenowane mięśnie nie dygotały niczym szarpniętej struny. – Myślałem, że nie żyjesz. Patrzyłem na ciebie i myślałem, że nie żyjesz.

– Przestała – pogładziła go odruchowo. – Nic mi już nie jest.

– Nie przeszkodziłem ci – powiedział gniewnie. – Przyszedłem za pomocą.

– Ale nie uratowałaś mi życia. On by mnie zabił. Chciał to zrobić, tak samo jak chciał odzyskać obraz. Powstrzymała go.

– To za mało – spróbował się opanować. Rozluźnił uścisk, w którym ją trzymał i odstąpił.

– Dla mnie w sam raz – uniosła rękę do ust.

– Tylko chwilkę – stał przez chwilę, a zimny, rześki wiatr szeptał w оголоconych gałęziach drzew i w upiętych trawach. – Nie powinna stać na zimnie.

– Mnie tu dobrze.

– Chcę, żeby weszła do rodzaka. Chcę to skończyć wewnątrz domu.

– Dobrze – cho nie było jej ju słabo, pozwoliła mu podtrzymywa si w drodze do domu. Wydawało si jej, e potrzebował tego.

To on wydawał si potrzebowa pomocy, kiedy otwierał drzwi i wprowadzał j do rodka. Kiedy wyrwało si jej ciche westchnienie rado ci, jego serce podskoczyło. Dora stan ła na przytulnym bucharskim kobiercu.

– Wstawił e rzeczy z powrotem.

– Niektóre – przyjrzał si jej palcom, w druj cym po palisandrowym stole, wygi tym oparciu krzesła, jej u miechowi w wymy lnym, połączanym zwierciadle. – Moja gospodyni pokazała mi drzwi, wi c wyci gn łem z magazynu par rzeczy.

– Wła ciwych rzeczy – ruszyła w stron głównego salonu. Wstawił do niego wygi t pasiast sof i liczn lamp od Tiffany’ego, stoj c na stoliku z drzewa atlasowego. Na palenisku trzaskał ogie . Poczula, e przeszywa j zarazem rado i al. – Wprowadzasz si tu?

– To zale y – ostro nie zdj ł płaszcz z jej ramion, poło ył go na por czy sof y. – Wróciłem tu w zeszłym tygodniu. Tu si zmieniło. Widziałem, jak wchodzisz po schodach, siedzisz na parapecie, wygl dasz przez kuchenne okno. Zmieniła ten dom – powiedział, gdy odwróciła si powoli do niego. – Zmieniła mnie. Chc si tu wprowadzi i zacz tu y . Je li zamieszkasz tu ze mn .

Nagle oszołomienie, które poczuła, nie mogło mie nic wspólnego z jej ran .

– Chyba musz usi – opadła na pasiaste poduszki i odetchn ła ostro nie. – Wprowadzisz si tutaj? Chcesz si tu wprowadzi ?

– Wła nie.

– A ja mam y tutaj z tob ?

– Je li to wszystko, co mo esz mi da – wyj ł z kieszeni małe pudełeczko i wcisn ł je w jej dło – ale wolałbym, eby za mnie wyszła.

– Czy mog ... – jej głos załamał si , przeszedł w pisk. – Czy mog prosi o szklank wody?

W rozdra nieniu przeczesał włosy palcami.

– Conroy, do cholery... – pohamował w cieko i przera liwe napi cie – jasne, zaraz ci przynios .

Odczekała, a opu ci pokój. Dopiero wtedy zebrała si na odwag i otworzyła pudełeczko. I dobrze, poniewa zawarto pudełeczka kazała jej zastygn z otwartymi ustami. Nadal trwała w oszołomieniu, kiedy wrócił, nios c szklank ze szkła bakteratowego napełnion ciepław wod z kranu.

– Dzi ki – wzi ła od niego szklank i poci gn ła długi łyk. – Ten kamie jest olbrzymi.

Wyci gn ł papierosa, pełen niesmaku wobec samego siebie.

– Chyba jest zbyt du y.

– O nie. Nie ma na tym wiecie zbyt du ych brylantów – poło yła sobie pudełeczko na kolanach, ale nie wypuszczała go z r ki. – Zdaje si , e te ostatnie tygodnie były dla ciebie tak samo ci kie, jak dla mnie. Mo e tego nie brałem pod uwag , ale...

– Kocham ci , Doro.

Zamarła w pół słowa. Zanim zdołała si opami ta , siedział ju obok niej, mia d c jej kilka ko ci w dłoni. – I nie pro mnie o kolejn cholern szklank wody. Je li nie chcesz mi na razie odpowiedzie , zaczekam. Chc tylko, eby pozwoliła mi na nowo zdoby twoj miło .

– Wi c to o to chodziło? Te prezenty i telefony? Chciałe osłabi moje siły, korzystaj c z mojej sytuacji.

Spojrzał na ich zł czone r ce.

– Co w tym rodzaju.

Skin ła głow , wstała i podeszła do okna. Na wiosn b d tu tulipany, pomy łała. I masa słonecznych onkili.

– Dobra robota – powiedziała spokojnie. – Cholernie dobra robota, Skimmerhorn. Cho tak naprawd to ksi ki załatwiły ci to wszystko. Jak mo na si oprze pełnemu kompletowi pierwszych wyda Nancy Drew? – spojrzała na wspaniały brylant

o rozetowym szlifie. – Wykorzystałem moją słabość do romansów, nostalgii i zysków materialnych.

– Nie jestem tak zły partii – czujcie, że nerwy napinają się do ostateczności, stanęła za nią i dotknęła jej włosów. – Mam par wad, ale jestem bogaty.

Jej usta wygięły się w uśmiechu.

– Ten argument kiedy mógłby poskutkować, ale teraz sama jestem dobrze sytuowana, ponieważ zagarnęłam sumkę znalezionej Monety. Moje i jestem zachłanna, Skimmerhorn, ale mam swoje wymagania.

– Szaleję za tobą.

– Już lepiej.

– Jesteś jedyną kobietą, z którą chciałbym spędzić życie – przesunęłam lekko wargami po jej ramieniu i szyi. Z gardła wydobyło się jej westchnienie. – Jedyną kobietą, którą kochałem i którą chcę kochać.

– Znakomicie.

– Nie mogę bez ciebie żyć, Doro.

Gardło cisnęło się jej, w jej głosie zabrzmiały łzy.

– Strzałał w dziesięć.

– Czy to znaczy, że znowu mnie pokochasz?

– Dlaczego sadzisz, że przestałam cię kochać?

Ręka, którą trzymał w jej włosach, zacisnęła się, wywołując grymas na jej twarzy.

– A co z małżeństwem? Pójdiesz na to?

Uśmiechnęła się prosto w słowo. Moje nie były to najbardziej romantyczne oświadczyny, ale jej to odpowiadało. Odpowiadało w pełni ci.

– Zaślony obszyjemy koronką, Jed. I mam ław Chippendale'a, która tylko czeka, – aby postawić ją przed kominkiem.

Odwrócił ją ku sobie, odgarniając jej włosy i ujmując w dłoń jej twarz. Wystarczyło, że spojrzał w jej oczy, by opuścił go całe zdenerwowanie.

– Dzieci?

- Troje.
- Ładna liczba. – Oparł czoło o jej głowę, z sercem przepelnionym uczuciem. – Na górze jest łóżko, w apartamencie. To chyba styl Jerzego III.
- Z czterema słupami?
- I baldachimem. Zostań tu ze mną na noc. Pocałowała go, nie przestając się śmiać.
- Myślałam, że nigdy tego nie powiesz.